

Manzoni Alessandro

NARZECZENI

WSTĘP

„Czymże jest zaprawdę historia, jeśli nie pełnym chwały bojem toczonym z Czasem? Bowiem, wydzierając mu z rąk minione lata, niby wziętych przezeń w niewolę wojowników czy nawet trupy poległych, powraca ich życiu, poddaje przeglądowi i ustawia ponownie w szyk bojowy. Wszakże znakomici owi Woje, którzy w takiej walce zdobywają Palmy i Laury, zwykli zagarniać dla się co cenniejsze i wspanialsze łupy, balsamując w inkauscie Czyny Wielkich, Możliwych tudzież znakomitych Person, haftując nie kończącą się wstęgę Sławy ostrą igłą swego jeniusza, złotem i wielobarwnym jedwabiem nawleczoną. Memu wszakże mizernemu pióru nie przystoi sięgać do spraw tak wzniosłych, dostojnych a niebezpiecznych ni zapuszczać się w Labirynty Politycznych Zamysłów, ni powtarzać dźwięki Surm wojennych. Przeto, skoro doszły mnie wieści o zadziwiających wydarzeniach, jakie spotkały osoby mizernej kondycji i ubogie, sposobie się do przekazania ich pamięci Potomnych, podając szczerą i prawdziwą o nich Opowieść albo Relację. Na której posępnym Teatrum ujrzeć można będzie łaćno Tragedyje straszliwe, Sceny niegodziwość ludzką przedstawiające na przemian z cnotliwymi Czynami i obrazami anielskiej zaiste Dobroci, stojącej na przekór dyabelskim zamysłom.

Zaprawdę bowiem, zważywszy, iż ta Oyczyzna nasza pod berłem Jego Królewskiej Mości Katolickiej, Pana naszego, się znajduje, którego jest na podobieństwo Słońca, co nigdy nie zachodzi, tudzież iż przyświeca tej Oyczyźnie naszej, niby światłem odbitym, Księżyc nie zachodzący, Rycerz szlachetnego Rodu, pro tempore opiekę nad nią sprawujący, wreszcie Szlachetni Senatorowie niby Gwiazdy stałe, wraz z innymi Dostojnymi Panami Urzędnikami na podobieństwo Planet wędrujący wszędy dobroczynne światło rozsiewają, wzniosły tworząc Firmament — innej niżli w sztuce dyabelskiej nie podobna dopatrzeć się przyczyny tego, iż ziemia ta złymi czynami, nieprawością i okrucieństwem w srogie piekło przemienioną została... sama bowiem złość ludzka nie byłaby zdolna stanąć na przekór wszystkim tym Rycerzom, którzy okiem Argusa i Briareusowym ramieniem nad pomyślnością kraju czuwają. Opisując owe zdarzenia zasze w czasie, gdy nieżrały był pacholęciem, mimo iż wielka mnogość przedstawionych w nich person z dawna już opuściła Scenę tego Świata, Parkom w lenno się oddawszy, z należnym respektem przemilczeć wolę ich imiona, parantelę jako też i miejsca, w których personsy owe przebywały, wymieniając li tylko generaliter Prowincję. Nie wiem, zali nie najdą się tacy, którzy podobne przemilczenie za uszczerbek tej prostej mojej Opowieści poczytają; wszelako wierzę, iż krytyk ów musiałby być zgoła Filozofiej wszelkiej nieświadom, natomiast co się tyczy tych, którzy w takowej są biegli, tuszę, iż nijakiego mankamentu w Opowieści tej nie dostrzegą. Boć rzecz to niewątpliwa, która przez nikogo negowana być nie może, iż imiona są jedynie czystym, najczystszym przypadkiem...”

— Ależ jeżeli nawet dokonam tej gigantycznej pracy i przepiszę rzecz całą z tego wyblakłego i nieczytelnego rękopisu, jeżeli — jak się to mówi — wydobędę ową historię na światło dzienne, czy znajdzie się ktokolwiek, kto by zadał sobie trud jej przeczytania?

Wątpliwości te ogarnęły mnie w czasie mozolnego odcyfrowywania bazgraniny następującej po słowie „przypadkiem” i sprawiły, że przerwałem pracę i zastanowiłem się poważnie nad tym, co powinienem uczynić. „Co prawda — mówiłem sobie przerzucając karty rękopisu — ta płatanina zawitych okresów nie ciągnie się, na szczęście, przez całą długość opowieści. Mój czcigodny siedemnastowieczny kolega wysilił się, aby zaraz na pierwszych kartach uwidocznic cały swój kunszt, ale w dalszym ciągu opowiadania styl jego staje się miejscami zupełnie zwykły i naturalny.

Tak, ale jakież za to tuzinkowy! Jaki niezdarny! Jak roi się od błędów! Dialekt lombardzki pomieszany ze zdaniami w języku literackim, użytymi bez sensu, fantastyczna gramatyka, długie, bezładne okresy. W dodatku tu i ówdzie hiszpańska ozdobność. A na dobitkę w najtragiczniejszych czy najbardziej wzruszających momentach mających wywołać podziw, zdumienie, pobudzić do myślenia, we wszystkich tych miejscach, jednym słowem, które wymagają pewnego patosu, ale patosu dyskretnego, w dobrym guście, autor nie omieszką nigdy uraczyć nas swoją przesadną, taką jak w przytoczonym wstępie, retoryką. I, łącząc z niebywałą zręcznością wręcz przeciwne rodzaje stylu, osiąga to, że na przestrzeni jednej stronicy, w jednym zdaniu, ba, w jednym słowie nawet — potrafi być nieokrzesany i afektowany zarazem. Wszędzie napuszone deklamacje, klecone niezdarnie i w niezgodzie z gramatyką, pretensjonalność cechująca pisma owej epoki w naszym kraju. Doprawdy, nie jest to utwór, który można by dać dzisiejszym czytelnikom: są wymagający i zbyt zde gustowani do tego rodzaju dziwolągów. Całe szczęście, że opamiętałem się dość wcześnie, na samym początku tej niefortunnej roboty — umygam od niej ręce. Ale kiedyś zamykał rękopis, aby odłożyć go na miejsce, zrobiło mi się żal, że taka piękna opowieść ma pozostać nieznana na zawsze. Bo jednak historia ta, choć może inaczej osądzą ją czytelnicy, mnie wydała się piękna, bardzo piękna. „Czyżby — pomyślałem — nie dało się zaczerpnąć z tego rękopisu samych tylko faktów i opowiedzieć je na nowo?” A ponieważ nie przyszedł mi na myśl żaden argument przeciwko temu, natychmiast powziąłem postanowienie. Oto jest geneza tej książki; wyłożyłem ją z prostotą odpowiadającą wadze książki samej. Niektóre jednak z opisanych w naszym manuskrypcie wydarzeń i obyczajów wydały nam się czymś tak nowym, tak dziwnym (że nie użyję silniejszego określenia), że zanim daliśmy im wiarę, postanowiliśmy poszukać innych jeszcze świadectw. Zaczęliśmy szperać w pamiętnikach i dokumentach tej epoki, chcąc wy badać, czy rzeczywiście takim trybem toczył się wówczas świat. Rezultaty tych poszukiwań rozproszyły wszystkie nasze wątpliwości: na każdym kroku napotykał się podobne lub jaskrawsze jeszcze fakty. Również, co wydało nam się najbardziej prze-

konywające, natknęliśmy się na szereg postaci, o których wzmianki nigdzie poza naszym manuskrypcem nigdyśmy przedtem nie spotkali i których rzeczywiste istnienie podawaliśmy wobec tego w wątpliwość. We właściwych miejscach powołały się na niektóre spośród tych świadectw gwoli potwierdzenia prawdziwości faktów, zbyt dziwnych, by czytelnik łatwo dał im wiarę.

Ale odrzucając formę nadaną opowieści przez jej autora, jako zbyt nieznośną, czymżeśmy ją zastąpili? Oto dochodzimy do sedna sprawy.

Ktokolwiek nieproszony bierze się do przerabiania cudzego utworu, musi być gotów zdać ściśle sprawę z tego, co uczyni; w pewnym sensie zaciąga zobowiązanie, jest to ogólnie przyjęta zasada i nie zamierzamy bynajmniej z niej się wyłamywać. A nawet, podporządkowując się jej dobrowolnie i w całej rozciągłości, postanowiliśmy uzasadnić szczegółowo przyjęty przez nas sposób pisania tej książki. W czasie jej tworzenia staraliśmy się odgadywać wszelkie możliwe zarzuty i zawczasu je odpierać. Nie było to bardzo trudne zadanie; w imię prawdy winniśmy tu stwierdzić, że nie przychodził nam na myśl ani jeden taki zarzut, któremu nie towarzyszyłby argument przeciwny, może nie rozstrzygający zagadnienia, ale zmieniający jego istotę. Nieraz też próbowaliśmy ustawiać dwa zarzuty twarzą w twarz i pozwalaliśmy im stoczyć ze sobą walkę. I cóż? Rozpatrzone do głębi, roztrząsane dokładnie, okazywały się wbrew pozornym przeciwnościom jednakiej w gruncie rzeczy natury: wpływały zazwyczaj z lekceważenia zarówno faktów, jak i zasad, na których winniśmy opierać swoje sądy. Stwierdziwszy to, ustawialiśmy, ku ich wielkiemu zdziwieniu, nasze zarzuty parami i wspólnie wyprawiali, dokąd oczy poniosą.

Jak świat światem nie było chyba pisarza, który by tak skrupulatnie dowodził swojej słuszności. Ale cóż? Kiedy przyszło do zgromadzenia wszystkich tych zarzutów i odpowiedzi, aby zaprowadzić w nich pewien ład — litości! Toż wyszła z nich cała książka. Co widząc, odrzuciliśmy pierwotny zamiar z dwóch powodów, które czytelnikowi również zapewne wydadzą się słuszne: po pierwsze, że książka napisana celem usprawiedliwienia innej książki i jej stylu mogłaby się wydać czymś zaiste śmiesznym; po drugie, że wystarczy jedna książka na raz, o ile i to nie jest zbyt wiele.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ta odnoga jeziora Como, która pomiędzy dwoma nieprzerwanymi pasmami gór skręca ku południowi, linią swego wybrzeża pełną zatoczek i przylądków powtarzając jak gdyby zarys wyniosłości i zapadlin górskich, zwięża się raptownie i przybiera postać rzeki, mając po prawej swej stronie rozległy płaskowyż, a szerokie, niskie wybrzeże po drugiej. Most łączący w tym miejscu oba brzegi jaśniej jeszcze uzmysławia widzowi tę przemianę i wyznacza dokładnie miejsce, w którym kończy się jezioro, a zaczyna rzeka Adda; w dalszym zresztą swoim biegu, tam gdzie brzegi oddalają się od siebie, zaś wody rozlewają szeroko, tworząc nowe zatoki i nowe przylądki, przybiera ona znów miano jeziora. Wybrzeże, utworzone z osadów naniesionych przez trzy potężne potoki, spływa od podnóża dwóch wznoszących się obok siebie gór; jedna z nich to San Martino, drugą zwą w narzeczu lombardzkim Resegone z powodu jej zębatego grzbietu, w istocie przypominającego piłę. Toteż każdy, kto ją zechce zobaczyć na wprost siebie, jak na przykład z północnych murów Mediolanu, zauważy ją i łatwo odróżni w rozległym łańcuchu gór mniej znanych z nazwy i o mniej wyrazistych kształtach.

Brzeg wznosi się tu początkowo w postaci łagodnego, długiego zbocza, dalej załamuje się tworząc wzgórki i dolinki, stromizny i tarasy, zależnie od szkieletu obu gór i działalności wód górskich. W bezpośredniej bliskości jeziora, gdzie brzeg przecinają głębokie jary potoków, nie ma nic prócz żwiru i kamieni; wyżej ciągną się pola i winnice, usiane gdziegdzie willami i zagrodami wieśniaków, jeszcze dalej pną się na zbocza gór gaje i kępy drzew.

Lecco, największe w tych stronach osiedle ludzkie, od którego całe terytorium nosi swą nazwę, leży nie opodal mostu, tuż nad jeziorem, a w czasie przyboru wód znajduje się nawet częściowo w jego obrębie. Dziś jest to duża osada przekształcająca się stopniowo w miasto. W czasach, kiedy zaszły wydarzenia, jakie zamierzamy tu opowiedzieć, osiedle, spore już wtedy, posiadało również fortecę, a co za tym idzie, miało zaszczyt goszczenia jej komendanta oraz przywilej posiadania stałej załogi hiszpańskich żołnierzy. Wojacy ci uczyli miejscowe dziewczęta i niewiasty skromności, od czasu do czasu poklepując łaskawie po ramieniu któregoś z ich mężów czy ojców, zaś pod koniec lata skrupulatnie odwiedzali winnice, by przerzedzić nieco grona i ulżyć przez to wieśniakom w trudach winobrania. Cała ta okolica pokryta była — i jest dotychczas — splątana siecią dróg, drożynek i ścieżek biegnących od jednej zagrody do drugiej, od zbroczy ku wodzie, z pagórka na pagórek. Jedne gładkie, inne strome i uciążliwe — to gubią się w obramieniu wysokich murów, skąd, podniósłszy głowę, dojrzysz zaledwie niebo i gdziegdzie szczyt górski, to wybiegają na otwarte tarasy, skąd widok jest rozległy, urozmaicony i pełen wciąż nowych uroków. Zależnie w jaką stronę tej ogromnej kolistej sceny zwrócisz oczy, nikną jedne, a wyłaniają się inne fragmenty. To tu, to tam przeblyskują skrawki jeziora; tu znów rozciąga się ogromna, lśniąca tafla wód. Z jednej strony jezioro wydaje się zamknięte górami, a raczej jak gdyby zabłąkane pomiędzy beładnie stłoczone szczyty, potem rozszerza się stopniowo; wzrok biegnie coraz dalej i dalej ku górom z rozsianymi u podnóżu wioskami i ku ich odwróconemu odbiciu w wodnym zwierciadle. Tu odnoga rzeki, tam dalej jezioro, znowu rzeka, której połyskliwe skręty kryją się wśród gór i nikną wreszcie wraz z nimi daleko, daleko na widnokręgu. A tuż obok ciebie, w miejscu, z którego oglądasz te wszystkie malownicze widoki, w którąkolwiek stronę się obrócisz, ileż piękna! Góra, na której zboczu się znajdujesz, wznosi nad twoją głową strome urwiska, poszarpane turnie, ostro zarysowane na tle nieba, a zmieniające się za każdym twoim krokiem; to, co wydawało się jednolitym górskim grzbietem, otwiera się niespodzianie przed twymi oczyma i okazuje się całym szeregiem grzbietów. Z wysoka, spod szczytu, dostrzeżasz nagle ten sam widok, który

dopiero co porzuciłeś na dole, na wybrzeżu; pogodny, swojski urok tych zboczy łagodzi dzikość skalistych turni, podnosząc zarazem, jeszcze ich wspaniałe piękno.

Jedną z takich drózek powracał właśnie ku domowi ze spokojnej przechadzki pod wieczór dnia listopada roku don Abbondio, proboszcz jednej z wyżej wspomnianych wiosek. Nazwy wioski ani też nazwiska księdza w rękopisie nie znajdujemy ani w tym miejscu, ani gdzie indziej. Proboszcz odmawiał półgłosem swoje modlitwy, od czasu do czasu, pomiędzy dwoma psalmami, zamykając brewiarz i zostawiając wewnątrz, dla odszukania miejsca, wskazujący palec; rękę z brewiarzem zakładał za plecy splatając ją z drugą i wędrował dalej dróżką, z pochyloną głową, końcem stopy odrzucając na bok leżące na drodze kamyki. Chwilami podnosił głowę, toczył dokoła leniwym spojrzeniem i zatrzymywał je na jednym, ze szczytów, gdzie słońce, które przed chwilą zapadło za przeciwległą górę, kładło jeszcze gdzieś na strzelistych turniach szerokie, poszarpane płyty purpury.

Otworzywszy ponownie brewiarz i odmówiwszy następną modlitwę ksiądz znalazł się na zakręcie dróżki, w miejscu, gdzie zwykł był przystawać na chwilę i rozglądać się dokoła; tak też uczynił i tym razem.

Za zakrętem droga biegła prosto na przestrzeni jakich sześćdziesięciu kroków, następnie rozwidła się na kształt litery Y. Ścieżka na prawo pięła się ku górze i prowadziła na plebanie; „lewa” schodziła w dolinę aż do potoku. Po zewnętrznej jej stronie ciągnął się niski murek sięgający” przechodniom do pasa. Wewnętrzne mury obu drózek, zamiast łączyć się zwyczajnie u zbiegu, zakończone były kapliczką z wymalowanymi na niej długimi, falującymi, ostro zakończonymi językami, które w intencji malarza, jak również w oczach okolicznych wieśniaków, wyobrażały płomienie. Pośród owych płomieni widniały jeszcze inne, niemożliwe do opisanego figury, mające wyobrazić czyścicowe dusze. Zarówno dusze, jak i płomienie wymalowane były ceglata farbą na szarawym, miejscami obdrapanym, tle.

Minąwszy zakręt, proboszcz rzucił jak zwykle okiem na kapliczkę i ujrzał widok równie niespodziewany, jak niepożądany. U zbiegu drózek zobaczył mianowicie dwóch mężczyzn. Jeden z nich siedział okrakiem na niskim mur

ku z jedną nogą zwieszoną na zewnątrz, drugą od strony drogi. Jego towarzysz stał naprzeciw niego, wsparty plecami o mur, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Ich ubiór, postawa i to wszystko, co dawało się dostrzec z odległości, w jakiej znajdował się proboszcz, nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do kondycji społecznej tych ludzi. Obaj mieli na głowach zielone siatki zwisające na lewe ramię i zakończone sporym chwastem. Z siatek tych sterczały im nad czołem groźne „grzywy”, a długie wąsy zakręcone były zawadiacko na końcach. U lśniących skórzanych pasów mieli po dwa pistolety, a na piersi zawieszone na kształt naszyjników niewielkie rogi z prochem. Z kieszeni szerokich bufiastych pludrów widniała u obu rękojeść sztyletu, u boku zaś ogromna garda szpady, spleciona w cyfrę z mosiężnych wężyków, wyczyszczona i lśniąca. Wystarczyło jednego rzutu oka, by rozpoznać w nich osobników znanych pod nazwą bravi.

Gatunek ten, po którym dziś nie ma już śladu, był wówczas w Lombardii od dawna w pełnym rozkwicie. Dla tych, którzy nie wiedzą, co to takiego — oto parę autentycznych tekstów dających pojęcie o instytucji bravich, o wysiłkach, jakie podejmowano celem jej wyłknięcia, oraz o niepokonanej jej żywotności.

Już dnia kwietnia roku Jego Wysokość Jaśnie Oświecony don Carlos d'Aragona, książę na Castelvetro, diuk Terranuova, margrabia d'Avola, hrabia Burgeto, wielki admirał i konetabl Sycylii, gubernator Mediolanu, wódz naczelny Jego Katolickiej Królewskiej Mości w Italii, „szczegółowo powiadomiony o srogiej nędzy, w jakiej żyło i żyje miasto Mediolan z racji bravich oraz włóczęgów”, wydał przeciwko nim dekret, w którym „oznajmia i wiadomym czyni, iż dekret wymieniony dotyczy wszelkich bram tudzież włóczęgów, którzy czy to obcy, czyli w księstwie urodzeni, do nijakiego nie przynależą rzemiosła lub przynależąc takowym się nie trudnią... lecz oddawszy się w opiekę jakowemuś szlachcicowi, oficerowi bądź też kupcowi, z żołdem alibo bez, zaliczeni są w jego poczet, rzekomo gwoli dostojęństwu, a prawdziwie ku czynieniu gwałtów...” Tym wszystkim dekret ów nakazywał opuścić granice księstwa w terminie sześciodniowym, grożąc opornym galerami, oraz dawał wszelkim organom sprawiedliwości niezwykle rozległą,

a bliżej nie określoną władzę, mającą umożliwić wykonanie zarządzenia. Mimo to już w następnym roku, dnia kwietnia, wyżej wymieniony pan, zauważywszy, że „...Miasto owo pełne jest nadal osób, zwanych bravi... które to osoby żyją, jak ongi żyły, i ani nie zmieniły swego obyczaj, ani ich liczba bynajmniej nie uległa zmniejszeniu...” — wydał drugi dekret, ostrzejszy i bardziej szczegółowy, w którym między innymi obwieszcza: „Ktokolwiek, czy to mieszkaniec tego miasta, czy obcy przybysz, byłby przez dwóch świadków wskazany jako ogólnie poczytywany za bravo i takie nosiłby miano, chociażby o niejkiej zbrodni przezeń popełnionej nie było wiadomo... z racji, w braku innych poszlak, li tylko reputacji swojej, może być przez wymienionych sędziów lub poszczególnego skazan tytułem śledztwa na powrót i męki... zaś w braku przyznania się do winy może być także posłany na galery na lat trzy, jeśli — jak wyżej wspomniano — poczytywan jest powszechnie za bravo...”

Wszystko to, jak również wiele innych szczegółów, których tu nie przytaczamy, wypływało z przyczyny, że „...Jego Ekscelencji wolą jest absolutne od wszystkich niniejszemu dekretowi posłuszeństwo”.

Słyszac te mocne i pewne siebie słowa tak wielkiego pana oraz towarzyszące im srogie zarządzenia, chciałoby się wierzyć, że sam ich ton wystarczy do unicestwienia wszystkich bravi raz na zawsze. Cóż, kiedy świadectwo innego wielkiego pana, niemniej posiadającego tytułów, przekonywa nas, że było wprost przeciwnie. Jest to ni mniej ni więcej tylko Jaśnie Oświecony don Juan Fernandez de Velasco, konetabl Kastylii, szambelan Jego Królewskiej Mości, książę na Frias, hrabia Haro i Castelnovo, pan włości Velasco tudzież włości Siedmiorga Infantów, gubernator Mediolanu etc. Dnia czerwca roku równie jak jego poprzednik szczegółowo powiadomiony o tym, „...ilu szkód i nieszczęść są przyczyną... bravi tudzież włóczędzy i jak dalece stoją oni dobru powszechnemu na zawadzie, ujmę przynosząc sprawiedliwości...”, obwieszcza im ponownie, że w terminie sześciodniowym mają opuścić terytorium mediolańskie, powtarzając przy tym z niewielkimi zmianami wszystkie groźne ostrzeżenia swego poprzednika. A dalej: dnia maja roku „...powiadomiony ku wielkiemu swemu niezadowoleniu, iż... za

równie w mieście, jak na całym obszarze księstwa, liczba takowych (bravich i włóczęgów) nieustannie wzrasta, iż dniem i nocą słyhać wciąż o zasadzkach, ranach zdradziecko zadanych, zabójstwach, rabunkach tudzież rozlicznych innych zbrodniczych czynach, których wyżej nazwani bravi pod osłoną swoich panów i protektorów dokonywują...”

nakazuje ponownie te same środki, zwiększając tylko dawki, jak to zazwyczaj bywa przy uporczywych chorobach. „Każdy tedy — brzmi zakończenie dekretu — winien strzec się przekroczenia w by najmniejszej mierze zarządzeń niniejszego dekretu, by zaś miast wielkoduszności Jego Ekscelencji nie doświadczył na sobie gniewu Jego tudzież srogości prawa... albowiem Jego Ekscelencja postanawia i wszem wobec wiadomym czyni, jako jest to ostateczne i nieodwołalne ostrzeżenie...”

Nie był jednak widocznie tego samego mniemania Jaśnie Oświecony don Pedro Enriquez de Acevedo, hrabia Fuentes, wódz naczelny i gubernator Mediolanu. Nie był on tego zdania, a to ze zrozumiałych powodów; albowiem „...szczegółowo powiadomiony o mizeryach, jakich doświadcza miasto oraz całe terytorium Mediolanu z przyczyn wielkiej mnogości bravich... postanawia wykorzenić doszczętnie ów chwast tak szkodliwy” i wydaje dnia grudnia roku dekret pełen równie groźnych jak tamte zapowiedzi, z zaznaczeniem, „jako pod grozą najcięższych kar, bez żadnej zgoła nadziei odpuszczenia, winny być powyższe zarządzenia przestrzegane”. Należy jednak wnosić, że nie poprowadził tej kampanii z takim zasobem dobrej woli, jaki zwykł był wkładać w nawiązywanie intryg i podjudzanie przeciw swemu potężnemu wrogowi, Henrykowi IV; historia świadczy bowiem, że potrafił uzbroić przeciwko temu królowi księcia Sabaudii, czym przyprawił go o utratę niejednego miasta; że zdołał wciągnąć do spisku księcia de Biron i przyprawił go o utratę głowy; natomiast co się tyczy „owego chwastu tak niebezpiecznego”, czyli bravich, nie ulega wątpliwości, że 'pienił on się nadal jeszcze w dniu września roku. Tego bowiem dnia Jaśnie Oświecony don Juan de Mendoza, margrabia Hynojosa, pan na etc, gubernator eta, powziął poważny zamiar wytępienia go. W tym też zamiarze posłał do Pandolfa i Marca Tullia Malatestów, drukarzy rządowych, ten sam co zawsze dekret, nieco popra

wiony i uzupełniony, do ponownego wydrukowania gwoli wytępienia bravich. Oni jednak żyli i prosperowali mimo wszystko, po to chyba, aby otrzymać w dniu grudnia roku te same i jak zwykle wzmocnione ciosy z ręki Jego Wysokości don Gomeza Suarez de Figueroa, księcia Feria eta, gubernatora etc. A że nie wyginęli i od tego ciosu, Jego Wysokość don Gonzalo Fernandez de Cordoba, na czas władzy którego przypadła fatalna przechadzka don Abbondia, zmuszony był uciec się do ponownego opublikowania nieśmiertelnego dekretu przeciwko bravim, co też uczynił dnia . października roku, czyli na rok, miesiąc i dwa dni przed opisanym tu wydarzeniem.

Nie był to zresztą dekret ostatni; wydaje nam się jednak, że o dalsze możemy się nie troszczyć, skoro wykraczają poza okres, w jakim dzieje się nasza opowieść. Wspomnijmy tylko jeszcze dekret z lutego roku, w którym Jego Wysokość książę Feria będąc po raz drugi gubernatorem zauważa, że „...najstraszliwsze zbrodnie przez osoby zwane bravi popełniane bywają...” Wystarcza to, by nas upewnić, że w czasie, z którym mamy tu do czynienia, bravi istnieli w dalszym ciągu.

Że ci dwaj przy kapliczce czekają na kogoś, było aż nadto widoczne. Ale co zaskoczyło don Abbondia w sposób nader przykry, to odkrycie, że tym, na kogo czekają, jest on sam. Z chwilą jego pojawienia się na drodze tamci popatrzeni na siebie wzajem i równocześnie unieśli głowy, jak gdyby mówiąc: „Oto on.” Ten, który siedział okrakiem, podniósł się przekładając nogę na stronę drogi; drugi oderwał się od muru i obaj ruszyli nadchodząc naprzeciw. On zaś, trzymając wciąż przed sobą otwarty brewiarz, pogrążony niby w czytaniu, rzucał przed siebie ukradkowe spojrzenia, śledząc ruchy nieznanym.

Zobaczył, że idą mu na spotkanie, i w głowie zawirował mu rój niespokojnych myśli. Zadał sobie pytanie, czy na przestrzeni dzielącej go od groźnych bravi nie ma jakiej ścieżynki odchodzącej od drogi w prawo czy w lewo, dokądkolwiek; ale uświadomił sobie natychmiast, że nie. Przemknął szybko myślą własne uczynki, usiłując przypomnieć sobie, czy nie ma czegoś na sumieniu w stosunku do kogoś możnego a mściwego, ale nawet w tak wielkim zamęcie myśli widział, że i pod tym względem może być spokojny. A przecież bravi zbliżali się, bacznie się w niego

Wpatrując... Wsunął dwa palce pod kołnierz, jakby go coś uwierało, przekręcając przy tym głowę tak, że aż wykrzywił usta, i spoglądając kącikiem oka do tyłu, czy nikt nie nadchodzi; ale nie dojrzał nikogo. Poprzez murek ogarnął spojrzeniem pola — nikogo. Rzucił nieśmiało okiem przed siebie — nikogo i tam także oprócz tych dwóch. Co robić? Zawrócić? Na to było za późno; bowiem uciekać byłoby równoznaczne z wezwaniem do pogoni, jeśli nie do czegoś gorszego. Nie mogąc zatem zejść z drogi niebezpieczeństwu ruszył mu naprzeciw, gdyż ta chwila niepewności była tak przykra, że za wszelką cenę pragnął ją skrócić. Przyśpieszył kroku odmawiając modlitwę głośniejszą nieco niż zwykle i siląc się przywołać na twarz wyraz spokoju i pogody; próbował nawet się uśmiechnąć. Znalazłszy się twarzą w twarz z tymi dwoma powiedział sobie w myśli: „Stało się”, i stanął w miejscu.

— Mości proboszczu — odezwał się jeden z nich patrząc uporczywie w oczy don Abbondia.

— Co waćpan rozkaże? — odpowiedział ten skwapliwie, odrywając wzrok od brewiarza, który leżał otwarty na jego rękach niby na pulpicie.

— Ksiądz zamierza pono — rzekł drugi gniewnym, ostrym tonem, jak gdyby gromił swego podwładnego, schwytawszy go na jakimś łajdactwie — ksiądz zamierza pono udzielić jutro ślubu Renzowi Tramaglino i Łucji Mondella?

— To jest... — bąknął drżącym głosem don Abbondio — jakby tu rzec... Waćpanowie znają przecie świat i wiedzą, jak to bywa... biedny proboszcz nic tu nie ma do gadania... Zmówią się sami, potem do nas jak w dym, jak do bankiera po pieniądze... A my? Cóż, naszą rzeczą jest służyć bliźnim...

— Otóż — powiedział bravo władczy i uroczystym tonem, mimo że nachylony do ucha księdza. — tego ślubu nie będzie. Ani jutro, ani nigdy.

— Ależ, mości panowie — zaczął proboszcz tonem łagodnej perswazji, jakim przemawia się do zapalczywych osób, aby je przywieść do rozsądku — raccież wejść w moje położenie. Alboż w mojej to mocy? Toż pojmujecie sami, waćpanowie, że co do mnie, to mnie to ni ziębi, ni grzeje...

— No, no — przerwał mu tamten — jeśli by tu o gadanie jeno chodziło, wnet zagnałbyś nas ksiądz w kozi róg.

Nam nic do tego ani chcemy o tym więcej słuchać. Człek uprzedzony... pojmuje ksiądz?

— Ależ, mości panowie, jesteście przecie ludzie rozumni, sprawiedliwi...

— Tak, tak — wtrącił się drugi, który nie odzywał się dotychczas. — Ślubu nie będzie, bo... — tu zaklął brzydko — bo ten, co by go dał, to i pożałować tego nie zdąży.

Tu nastąpiło nowe przekleństwo.

— Cicho, sza — odezwał się znów pierwszy. — Proboszcz jegomość jest człek doświadczony, my także dobre chłopcy, krzywdy niczyjej nie chcemy, byle ksiądz miał rozum. Księżę proboszczu, nasz pan, jaśnie wielmożny don, Rodrigo, wielce jegomości szanuje.

Dźwięk tego imienia był dla don Abbondia niby błyskawica, która na moment przerywa ciemność burzliwej nocy, oświetla wszystko dokoła i gaśnie pozostawiając po sobie tym większą grozę. Odruchowo skłonił się głęboko i powiedział: . — Gdybyście mi, waćpanowie, wskazać zechcieli...

— Jakże! Uczyć proboszcza bieglego w łacinie — przerwał bravo z drwiącym i okrutnym uśmiechem. — To już jegomości sprawa. A grunt to ani pary z gęby o tej radzie, cośmy to ją księdzu dla jego dobra dali. Inaczej... ehm... na jedno by wyszło, co gdyby ksiądz dał ten tam ślub. No a cóż mamy oznajmić od jegomości jaśnie wielmożnemu don Rodrigowi?

— Moje pokorne służby...

— Jaśniej!

— Gotów... zawsze jestem gotów okazać posłuszeństwo...

Mówiąc te słowa ksiądz sam nie wiedział dobrze, czy to obietnica, czy tylko wyraz uszanowania. Bravi zrozumieli je lub udali, że rozumieją w poważniejszym ich sensie.

— Doskonale. Dobrej nocy życzym jegomości — powiedział jeden z nich zabierając się wraz z towarzyszem do odejścia.

Don Abbondio, choć chwilę przedtem dałby był nie wiem co, żeby tylko uniknąć spotkania, teraz rad byłby przedłużyć rozmowę, a raczej pertraktacje.

— Mości panowie... — zaczął, obu rękami zamykając brewiarz. Ale oni najwidoczniej nie chcąc słyszeć więcej zaczęli śpiewać piosenkę zbyt nieprzystojną, by ją tu przy

taczać, i ruszyli przed siebie drogą, którą przed chwilą nadszedł proboszcz. Nieszczęsny don Abbondio otworzył usta i stał tak długą chwilę jak zaczarowany. Wreszcie ruszył tą z dwu drożynek, która wiodła ku jego domowi, z trudnością stawiając kroki, jakby miał nogi zdrętwiałe. Co się działo w jego duszy, zrozumiecie łatwiej usłyszawszy coś niecoś o jego charakterze oraz o czasach, w jakich żyć było mu sądzone.

Don Abbondio, jak to już czytelnik mógł łatwo zauważyć, nie przyniósł sobie na świat serca lwa. Jednak już w dziecięcych latach rozumiał, jak ciężko jest żyć stworzeniu nie obdarzonemu kłami i pazurami, zwłaszcza jeżeli nie czuje ono skłonności do tego, by stać się żerem innych. Żadna władza legalna nie dawała najmniejszej ochrony spokojnym, nieszkodliwym ludziom, którzy nie mają czym wzbudzać w bliźnich trwogi. Nie znaczy to, żeby nie było ustaw przeciwko gwałcicielom prawa oraz przewidzianych dla nich kar. Przepisów prawnych było zatrzęsienie; przestępstwa były wyliczone i posegregowane z drobiazgową dokładnością; kary — nieprawdopodobnie wysokie i jeszcze podlegające zwiększeniu w każdym niemal wypadku wedle uznania samego prawodawcy czy, któregoś spośród setek podwładnych mu wykonawców prawa. Procedura tak pomyślana, by uwolnić sędziego od wszelkich okoliczności mogących stanowić przeszkodę w wydaniu skazującego wyroku; przytaczane tu dekrety przeciwko bravim są tego drobnym, lecz wiernym przykładem. Mimo to wszystko — a raczej w dużej mierze dzięki temu wszystkiemu — dekrety publikowane na nowo i wzmacniane przez wszystkie kolejne rządy świadczyły jedynie o całkowitej bezsilności ich autorów. A jeżeli odnosiły jakiś skutek, to chyba ten, że dodawały nowe udręki do tych, jakich doznawała spokojna i bezbronna ludność ze strony owych wicherzycieli, że wzmagaly ich zuchwalstwo i przebiegłość. Mieli zapewnioną bezkarność, a jej głęboko tkwiących korzeni dekrety rządowe nawet nie dotykały, nie mówiąc już o ich wyrwaniu. Korzenie te — to prawo azylu, to przywileje pewnych klas, częściowo uznane prawnie, częściowo tolerowane w zawistnym milczeniu. Czasem podnosiły się jakieś bezpłodne protesty, ale owe klasy wytrwale i zazdrośnie broniły swych przywilejów. Rzecz rozumiała, że ta bezkarność, przeciw

której każdy nowy dekret stosował groźby i zniewagi, ale jej nie unicestwiał, musiała wzmagać się po każdej takiej groźbie i każdej zniewadze. I tak właśnie się działo; ogłoszenie nowego dekretu, mającego przynieść zagładę zbrodniczym żywiołom, pobudzało je niezmiennie do skupiania sił i szukania nowych możliwości czynienia tego wszystkiego, czego dekrety wzbraniały. Natomiast wszystkie te zakazy utrudniały w nieznośny sposób życie spokojnej

ludności, nie mającej ani własnych środków obrony, ani potężnych protektorów; władze bowiem, chcąc ułatwić sobie zapobieganie przestępstwom oraz karanie winnych, miały „na oku” każdego poszczególnego człowieka i krępowały jego ruchy, tak jak się żywnie spodobало któremukolwiek z podrzędnych wykonawców prawa. Z drugiej strony — wystarczyło przed popełnieniem przestępstwa zabezpieczyć sobie zawczasu schronienie w jakimś klasztorze lub pałacu, do którego ręka sprawiedliwości nie odważyłaby się nigdy sięgnąć. Wystarczyło nawet nosić liberię jakiegoś możnego domu, ponieważ zarówno pycha, jak i interes rodu nakazywały panom chronić swego sługę przed srogością prawa, dając mu zupełną swobodę działania i pozwalając drwić sobie z wszelkich dekretów. Spośród tych, którzy mieli czuwać nad wykonaniem przepisów, Jedni z racji swego urodzenia zaliczali się do klasy uprzywilejowanej, inni byli klientami możnych rodów, uzależnionymi od ich łaski; zarówno jednym, jak drugim wychowanie, interes, przyzwyczajenie czy instynkt naśladownictwa zaszczepiły poglądy tej klasy i nic nie zmusiłoby ich do obrażenia możnych tego świata z powodu świstka papieru przybitego gdzieś na rogu ulicy. A co się tyczy niżej postawionych, bezpośrednich wykonawców prawa, to choćby nawet byli mężni jak herosy, posłuszni jak mnisi i gotowi do ofiar jak męczennicy, nie zdolaliby spełnić swego zadania, jako że byli w znacznie mniejszej liczbie od tych, których mieli utrzymywać w ryzach. W dodatku zawsze groziło im, że ci, którzy w zasadzie — można powiedzieć: w teorii — stali na ich czele, w opresji pozostawią ich własnemu losowi. Wreszcie, rekrutowali się oni z najgorszych szumowin swojej epoki, ich zajęcie było otoczone powszechną pogardą, nawet ze strony tych, którzy powinni by drzeć przed nimi; ich nazwa — zbir — stanowiła obelgę. Trudno się zatem dziwić, że zamiast

ryzykować własną skórę i podejmować beznadziejne wysiłki, woleli oni sprzedawać możnym tego świata swoją bezczynność i posłuszeństwo, zaś władzy swej i siły, którą bądź co bądź byli obdarzeni, używali jedynie tam, gdzie nie przedstawiało to niebezpieczeństwa: do gnębienia i trapienia ludzi spokojnych i bezbronných. Człowiek, który pragnie obrażać i który w każdej chwili obawia się obrazy ze strony innych, potrzebuje, rzecz prosta, towarzyszy i sojuszników. Stąd wypływała niezmiernie w owych czasach silna tendencja do zrzeszania się, tworzenia coraz to nowych klas i do wzmagania wszelkimi sposobami potęgi własnej klasy. Kler strzegł swojej niezawisłości i starał się ją rozszerzać, szlachta trzymała się swych przywilejów, wojsko broniło swej samowoli. Kupcy i rzemieślnicy organizowali się w cechy i bractwa, prawnicy tworzyli osobne zrzeszenie, lekarze — własną korporację. Każda z tych małych oligarchii posiadała odrębny rodzaj wpływów i władzy; w każdej poszczególny członek starał się wykorzystywać dla siebie ową wspólną siłę w miarę własnej zręczności oraz powagi, jakiej zażywał. Uczciwsi ograniczali owe korzyści do samoobrony jedynie; bardziej przebiegli i wręcz zbrodniczy posługiwali się nimi w różnych niecznych zamysłach, do których spełnienia ich osobiste środki nie mogłyby wystarczyć, a także zapewniali sobie tą drogą bezkarność. Siły tych różnorodnych stowarzyszeń były, rzecz prosta, bardzo nierówne; szczególnie na wsi bogaty, na wszystko zdecydowany szlachcic, mający na swe rozkazy zgają brawich, a także ludność swoich włości, z dawną przywykłą na zasadzie tradycji, interesu czy po prostu z musu uważać się za prywatnych żołnierzy swego pana — taki szlachcic stanowił potęgę, z którą prawie nikt z innej frakcji nie mógł się mierzyć. Nasz Abbondio, nie szlachcic, nie bogaty i zgoła nie odważny, na długo przed osiągnięciem dojrzałego wieku pojął, że jest w tym społeczeństwie niby garnek gliniany zmuszony podróżować w kompanii wielu garnków żelaznych. Toteż łatwo uległ woli rodziców, którzy umyślili sobie zrobić z niego księdza. Prawdę mówiąc, nie zastanawiał się on wiele nad obowiązkami i wzniosłymi celami służby, jakiej się poświęcić zamierzał; zapewnić sobie życie w jakim takim dostatku i wznieść się do potężnej

i szanowanej klasy — te dwa względy wydawały mu się aż nadto wystarczające dla dokonania tego wyboru. Ale że każda, nawet najpotężniejsza klasa społeczna tylko do pewnych granic chroni i wspomaga swych członków, każdy z nich powinien także myśleć sam o sobie. Don Abbondio, całkowicie pochłonięty troską o własny spokój, nie dbał o takie korzyści, dla osiągnięcia których musiałby się bardzo natrudzić albo ponieść jakieś ryzyko. Jego system polegał przede wszystkim na unikaniu konfliktów i na ustępowaniu tam, gdzie się ich uniknąć nie dało. Zachowywał niezbrojną neutralność we wszystkich wojnach, jakie wybuchały dokoła niego: w starciach, wówczas niezmiernie częstych, pomiędzy klerem a władzami świeckimi, pomiędzy wojskiem a ludnością cywilną, pomiędzy dwoma szlachcicami, a nawet w sporach między wieśniakami, które zaczynały się od słów, a rozstrzygane były przy pomocy pięści lub noża. A jeżeli już tak się zdarzyło, że musiał koniecznie zadeklarować się po jednej lub drugiej stronie, stawał niezmiernie u boku silniejszego; zachowywał jednak i wtedy pewne ostrożności i starał się zawsze dać do zrozumienia drugiej stronie, że nie z własnej woli występuje jako jej przeciwnik. „Czemuż to ty nie potrafiłeś okazać się silniejszym? — zdawał się mówić pełnym wyrzutu spojrzeniem. — Byłbym rad iść z tobą ręką w rękę.” Tak więc, ustępując z drogi możliwym, kryjąc ich przelotne kaprysy, a poważniejszym wybrykom poddając się ulegle, zmuszając przy pomocy niskich ukłonów i radosnych pozdrowień nawet najbardziej gburowatych i wzgardliwych do uprzejmego uśmiechu przy spotkaniu, biedaczysko zdołał bez większych burz. dociągnąć do sześćdziesiątki. Nie znaczy to jednak, by don Abbondio pozbawiony był zupełnie żółci; toteż owo nieustanne ćwiczenie się w cierpliwości, wieczne przyznawanie innym racji, tyle gorzkich pigułek przełykanych w milczeniu — wszystko to wyczerpywało go tak dalece, że gdyby sobie od czasu do czasu nie pofolgował, zdrowie jego' pewnie by na tym ucierpiało. Na szczęście jednak istniały na świecie, i to w pobliżu, osoby, o których wiedział, że niezdolne są muchy ukrzywdzić; na nich mógł więc czasami wyładować swój zły humor zbyt długo powściągany, pozwolić sobie na kaprysy i pokrzyczeć trochę bez przyczyny.

Był surowym sędzią względem ludzi, którzy postępowali odmiennie od niego, wtedy jednak tylko, jeśli owe surowe sądy nie narażały go na żadne, nawet odległe, niebezpieczeństwo. Ktoś, kogo pobito, był zawsze w jego oczach co najmniej nierozważny; a już jeżeli padł ofiarą zabójstwa, na pewno była to jakaś ciemna postać. Taki, który upierał się przy swoich racjach przeciwko komuś możniejszemu i pozostawał na placu z rozbitą głową, w oczach don Abbondia zawsze czymś zawinił. Co, ostatecznie, nie jest rzeczą trudną; nigdy bowiem granica między słusznym a niesłusznym nie jest tak prosta jak cięcie mieczem i nigdy słuszość nie jest cała po jednej, wina zaś cała po drugiej stronie. Przede wszystkim jednak ostro potępiał tych spośród swoich współbraci, którzy odważali się brać stronę bezbronnych i uciśnionych przeciwko potężnym krzywdzicielom. Mawiał o nich, że kupują sobie kłopoty za gotówkę i że próbują prostować łapy jamnikom. Z całą surowością oświadczał, że jest to mieszanie się do spraw świeckich ze szkodą dla godności służby kapłańskiej. Grzmiał przeciwko takiemu postępowaniu, zawsze jednak tylko w cztery oczy albo w szczupłym i zaufanym gronie; grzmiał tym gwałtowniej, im bardziej był pewien, że o zarzuty dotyczące ich osobiście ludzie ci nie będą żywili urazy. Miał też swoją ulubioną maksymę i zazwyczaj pieczętował nią wygłaszane w tej materii przemowy, a mianowicie, że zacnym ludziom, którzy zważają na siebie i nie wtykają nosa w cudze sprawy, nie przytrafiają się żadne przykre niespodzianki.

Niechaj więc teraz pomyślą moje dwa tuziny czytelników, jakie wrażenie wyrzuci musiało na biedaku opisane powyżej spotkanie. Trwoga, jaką obudziły w nim ponure twarze i okropne słowa owych drabów, groźba ze strony wielmoży, który znany był z tego, że nie grozi nigdy na próżno, mozolnie i cierpliwie budowany przez długie lata system unikania kłopotów, który od jednego zamachu sypał się oto w gruzy, ślepy zaułek bez wyjścia, w jaki się zabląkał — wszystko to kłębiło się bezładnie w nisko zwieszanej głowie don Abbondia. „Gdybyż Renza dało się odprawić krótkim i węzłowatym «Nie»! Ale on będzie żądał wyjaśnień, a cóż mu, na miły Bóg, można odpowiedzieć? To także szalona pałka! Jagnię, zdawałoby się, dopóki nikt

go nie tyka, ale niech tylko ktoś spróbuje stanąć mu w poprzek drogi... no! W dodatku świata nie widzi poza swoją Lucją, rozmiłowany w niej jak... Ech, dzieciaki, nic inszego nie mają do roboty, amory im w głowie, małżeństwo, o nic nie dbają; ani pomyślą o tym, w jaką opresję wpędzają Bogu ducha winnego człeka. O, ja nieszczęsny! Czy to sprawiedliwe, żeby właśnie na mojej drodze stanęli ci łotrzykowie? Czegóż chcą ode mnie? Czy to mnie zachciało się zenić? Czemu nie udali się raczej do... Ot, popatrzcież tylko! Taki już mój los nieszczęsny, że to, co należało powiedzieć, zawsze o chwilę za późno zaświta mi w głowie. Gdybym był pomyślał zawczasu, gdybym podsunął im myśl, by udali się ze swoim poselstwem do..." Tu raptem spostrzegł się don Abbondio, że nie przystoi mu żałować tego, iż nie stał się doradcą i współnikiem w niegodziwej sprawie. I od razu całą swoją złość zwrócił przeciwko człowiekowi, który zniszczył jego luby spokój. Znał don Rodriga jedynie z widzenia i z famy; nie miał z nim nigdy do czynienia poza tym, że skłaniał podbródek na piersi, a kapeluszem dotykał niemal ziemi w rzadkich wypadkach spotkania dziedzica na drodze. Natomiast często zdarzało mu się bronić reputacji młodego panka wobec ludzi, którzy przeklinali jego wybryki, wzdychając przy tym, zniżając głos, a oczy wznosząc ku niebu. Don Abbondio powtarzał zawsze w takich razach, że don Rodrigo jest zacnym i godnym szacunku kawalerem. Tym razem jednak obdarzał go w myśli takimi właśnie nazwami, jakie zwykł był przerywać gwałtownym protestem, ilekroć słyszał je z ust innych osób. Pogrążony w ponurych myślach doszedł do drzwi swego domu położonego w głębi wioski i szybko wsunął w zamek klucz, który od dawna już trzymał w ręku. Otworzył, wszedł, zamknął za sobą drzwi starannie i spragniony towarzystwa zaufanego człowieka począł wołać głośno:

— Perpetua! Perpetua!

Wołając szedł w stronę saloniku, gdzie spodziewał się znaleźć Perpetuę nakrywającą stół do wieczerzy. Perpetua, jak się łatwo domyślić, była gospodynią don Abbondia. Była to wierna i przywiązana sługa, która umiała nie tylko słuchać, ale i rozkazywać w potrzebie; zносиła cierpliwie zrzęczenia i dziwactwa swego pana, ale potrafiła go też zmusić do znoszenia dziwactw własnych, wzrastających

z dnia na dzień, odkąd przekroczyła synodalny wiek lat czterdziestu. Lat tych doczekała w panieńskim stanie, odrzuciwszy, jak twierdziła, wszystkie propozycje małżeńskie, jakie jej robiono, względnie — nie znalazłszy psa kulawego, który by ją zechciał, jak mawiały jej przyjaciółki.

— Idę — odpowiedziała, stawiając na stoliku, jak co dzień, flaszkę ulubionego wina don Abbondia; ruszyła z wolna ku drzwiom, ale nim jeszcze stanęła na progu, proboszcz ukazał się, z trudem wlokąc nogi, a twarz miał tak wzburzoną i takie posepne spojrzenie, że nie trzeba było nawet doświadczonych oczu Perpetuy, by odgadnąć, że musiało mu się wydarzyć coś zupełnie niezwykłego.

— Na miłosierdzie boskie! Co się stało jegomości?

— Nic, nic — wyjąkał don Abbondio zasapany opadając na fotel.

— Jakże to: nic? Mnie to jegomość powiada? A toć jakże jegomość wygląda! Coś strasznego musiało się stać.

— Ach, Boże mój! Skoro powiadam „nic”, to na pewno albo nic, albo coś takiego, czego rzec nie mogę.

— Czego jegomość nie może powiedzieć nawet mnie? A któż się zatroszczy o jegomości zdrowie? Kto mu doradzi?

— Na Boga, przestań gadać i nic nie przygotuj, Perpetuo. Daj mi mego wina.

— I jegomość chce mi wmawiać, że to nic! — powiedziała Perpetua napełniając kielich, ale nie wypuszczając go z ręki, jakby zamierzała dać go dopiero w nagrodę za zwierzenie, które tak długo kazało na siebie czekać.

— Dajże, daj — dopominał się don Abbondio, odbierając od niej kielich nieco drżącą ręką i wychylając go jednym haustem niby lekarstwo.

— Cóż to, chce jegomość, żebyśmy musiała obcych ludzi pytać, co się przytrafiło mojemu panu? — spytała Perpetua stając przed proboszczem wsparta rękami pod boki i z podanymi naprzód łokciami. Wbiła weń uporczywe spojrzenie, jakby chciała wydrzeć mu z oczu tajemnicę.

— Na Boga! Żadnych plotek, żadnego gdakania! Tu chodzi... tu chodzi o życie!

— O życie!

— O życie.

— Jegomość przecie dobrze wie, że jak mi coś powie szczerze, w zaufaniu, to ja nigdy...

— Pocziwina! Myślałby kto...

Perpetua spostrzegła, że dotknęła fałszywej struny, i nagle zmieniła ton.

— Księżę proboszczu — powiedziała głosem wzruszonym, i wzruszającym — zawsze byłam do jegomości przywiązana; toć jeśli chcę wiedzieć, co go gnębi, to jeno z troskliwości, to po to, by dopomóc, o ile potrafię, doradzić, ulżyć...

Rzecz w tym, że don Abbondiowi było zapewne równie pilno wyjawić okropną tajemnicę, jak Perpetui — wysłuchać jego zwierzeń. Toteż coraz słabiej odpierał jej wciąż ponawiane ataki i wreszcie, odebrawszy od niej po wielokroć przysięgę, że nie piśnie nikomu ani słówka — z wielkim wahaniem, z bolesnymi westchnieniami opowiedział nieszczęsne wydarzenie. Kiedy jednak doszło do straszliwego imienia zlecniodawcy, Perpetua musiała ponowić swą przysięgę jeszcze uroczyściej niż poprzednio, po czym don Abbondio wyszeptał owo imię i osunął się bezsilnie na oparcie fotela z rozdzierającym westchnieniem, unosząc w górę ręce gestem rozkazującym i błagalnym za" razem.

— Na miłosierdzie boskie... — wyszeptał raz jeszcze.

— A to dopiero! — wykrzyknęła Perpetua. — A zbój! A zbrodzień! Człek bez Boga w sercu!

— Zamilcz! Czy chcesz mnie zniszczyć ze szczętem?

— Och, jesteśmy tu sami i nikt nas nie słyszy. Ale co jegomość teraz pocznie, biedny księżę proboszczu?

— Widzicie, ludzie — powiedział don Abbondio ze złością — jakie to dobre rady mi ona daje! Pyta mnie, co robić; tak jakby to ona wpadła w opresję, a ja miałbym ją ratować!

— Ba, tożem i ja gotowa przyrzucić moją mizerną radę; alem myślała...

— No, no, posłuchajmy.

— Mnie się tak widzi: powiadają wszyscy, jako nasz arcybiskup to człek święty, z głową, i nikogo się nie bojący, a jak potrzeba przemówić do rozumu któremu z tych wielmożnych panów i obronić przed nim proboszcza, to zawsze jest górą. To ja tak radzę: jegomość napisze do niego piękny list i wszystko w nim dokumentnie wyłoży...

— Zamilcz! Zamilczcie wreszcie! Takie to rady dajesz

mnie nieszczęsnemu! A jak dostanę, nie daj Boże, kulkę w plecy, to mi ją arcybiskup wyciągnie?

— Ech, jegomość! Kulki nie lecą przecie tak łatwo jak cukierki na weselu! Żle by to było, by zaś pies tyle razy gryzł, ile razy zaszczecka. A ja co wiem, to wiem: że kto umie zęby pokazać, kto się każe szanować, tego i uszanują. A że jegomość nigdy się nie odezwie, to i każdy lizie, za przeproszeniem, niby do...

— Zamilkniesz wreszcie?

— Milczę już, milczę. Ale tak już jest: jak ludzie widzą takiego, co to, jak go kto zaczepi, wnet gotów podwinąć...

— Dość! Nie pora teraz na głupie gadanie.

— Dość, to dość. Jegomość pomyśli sobie nocą. A nie ma znów co tak się trapić i zdrowie marnować. Trza coś przekąsić.

— Pomyślę sobie — mruknął don Abbondio. — Pewnie, że ja pomyślę, nie kto inszy. Nie chcę jeść — ciągnął podnosząc się z fotela — nic nie chcę, ni kęsa. Co inszego mam na głowie. Juścić, wiem to dobrze, że mnie, nie komu, trzeba o tym pomyśleć. Że też to mnie musiało się przytrafić!

— Niechże jegomość choć łyknie jeszcze — rzekła Perpetua napełniając kielich. — Toć jegomość wie, że mu to zawsze pomaga na żołądek.

— Ej, nie tego mi trzeba, nie tego! Nie tego!

To mówiąc zabrał świecę i wciąż pomrukując: „To ci historia... komuś takiemu jak ja... a co jutro przyniesie?“, i tym podobne lamenty, ruszył na górę do swej sypialni. Od progu odwrócił się jeszcze w stronę Perpetuy, powiedział uroczyście: „Na miłosierdzie boże“, przyłożył palec do ust na znak milczenia i zniknął. .

ROZDZIAŁ DRUGI

Legenda głosi, że księżę Kondeusz przespał spokojnie noc poprzedzając wielki dzień pod Rocroi; ale, po pierwsze, ogromnie był strudzony, po drugie, wydał przedtem wszystkie potrzebne rozkazy i ustalił dokładnie, czego mą rankiem dokonać. Don Abbondio natomiast wiedział to jedynie, że nazajutrz czeka go bój. Toteż strawił większą część nocy na pełnych niepokoju rozważaniach. Tego, by zlekceważyć groźne ostrzeżenie i ślubu udzielić — nie brał nawet wcale pod uwagę. Zwierzyć się Renzowi z tego, co się wydarzyło, i wspólnie z nim szukać wyjścia... Boże broń!... „Ani pary z gęby, bo jak nie, to... ehm...“ — powiedział przecież jeden z owych zuchów. A wspomnienie tego „ehm“. sprawiło, że don Abbondio nie tylko odrzucił myśl o przełamaniu zakazu, ale poczuł dojmujący żal, że wygadał się przed Perpetuą. Więc może uciec? Ale dokąd? A zresztą, ile niebezpieczeństw, jaka odpowiedzialność!

Za każdym odrzuconym pomysłem nieszczęśnik przewracał się z boku na bok na łóżku. Jedno wydawało mu się niewątpliwe: że należy zyskać na czasie omamiwszy Renza jakąś zmyśloną przeszkodą. Przyszło mu na myśl, że niebawem zacznie się adwent, kiedy to śluby są wzbronione. „Żeby jeno powstrzymał chłopaka przez tych parę dni, to będę miał dwa miesiące wytchnienia; a przez dwa miesiące niejedno może się wydarzyć.“

Zaczął przemyśliwać, jakich by tu użyć argumentów. A choć wszystkie wydawały mu się dość blahe, przecież pocieszał się myślą, że jego sukienka duchowna doda im znaczenia, a doświadczenie podeszłego wieku stworzy potrzebną przewagę nad młodocianym prostaczkiem. „No cóż — pomyślał proboszcz — jemu chodzi o dziewczynę, mnie zaś o własną skórę; juścić mój interes bardziej jest ważki,

a i ja sprytniejszy jestem od niego. Drogi synu, jeżeli ciebie grzbiet świerzbi, to trudno; ale ja nie myślę włączyć w tę kabałę."

Uspokoiwszy nieco umysł powyższym rozważaniem proboszcz zdołał wreszcie zmruznąć oczy. Ale cóż to był za spoczynek! Jakie sny! Zwidywali mu się bravi, don Rodrigo, Renzo, jakieś dróżki, skały, ucieczki, pościgi, krzyki i strzelanina.

Chwila przebudzenia jest dla kogoś, komu zdarzyło się nieszczęście albo kto znalazł się w ciężkim kłopotcie, zazwyczaj pełna goryczy. Umysł na pół ockniony powraca do powszednich myśli i dotychczasowego spokojnego życia; ale raptem natrętnie staje przed oczyma ów nowy stan rzeczy, bardziej jeszcze trudny do zniesienia przez kontrast z pierzchłym przed chwilą złudzeniem. Zakosztowawszy goryczy takiego przebudzenia don Abbondio przebiegł szybko myślą swoje nocne rozważania, utwierdził się w powziętych zamiarach, uporządkował je nieco i podniósłszy się z łoża jął niecierpliwie, aczkolwiek z pewnym niepokojem, oczekiwać nadejścia Renza.

Lorenzo czy też Renzo, jak go powszechnie zwano, nie dał na siebie długo czekać. Wybrał się do proboszcza tak wcześniej, jak tylko wydało mu się to możliwe bez natręctwa, gnany radosnym zapałem dwudziestoletniego młodzieńca, który w tym dniu zamierza poślubić ukochaną. W chłopięcych jeszcze latach utracił swoich bliskich; trudnił się przędzeniem jedwabiu, co było w jego rodzinie zajęciem, można by rzec, dziedzicznym. Niegdyś było to rzemiosło dość intratne; w owym czasie chyliło się już ku upadkowi, nie tak jednak dalece, żeby wykwalifikowany robotnik nie mógł w tym fachu zarobić na życie. Pracy ubywało wprawdzie z dnia na dzień, równocześnie jednak nieustająca emigracja robotników, zwabianych do sąsiednich państw nadzieją lepszych płac i rozmaitych korzyści, sprawiała, że dla tych, co pozostali na miejscu, pracy wciąż jeszcze wystarczało.

Prócz swego fachu miał jeszcze Renzo trochę ziemi, którą uprawiał bądź z pomocą innych, bądź sam w okresach, kiedy przędzalnia była nieczynna. Tak więc w porównaniu z innymi Renzo mógł uważać się za majątnego i mimo że rok zapowiadał się jeszcze cięższy od poprzedniego i głód zaczynał nie na żarty dawać się ludziom we znaki, nasz

młodzieniec, który stał się bardzo zabiegliwym, odkąd zwrócił oczy na Łucję, miał dom wystarczająco zaopatrzony i mógł się głodu nie obawiać.

Przed proboszczem stawiał się w pełnej gali, z pękiem różnobarwnych piór u kapelusza, z tkwiącym za pasem puginałem o pięknej rękojeści. Wyglądał uroczyście, ale równocześnie trochę zawadiacko, jak większość mężczyzn, nawet najspokojniejszych, w owych czasach. Niepewny i jak gdyby trochę tajemniczy wyraz, z jakim powitał go don Abbondio, stanowił jaskrawy kontrast z wesołym i rezolutnym zachowaniem młodzieńca. „Coś go widać trapi” — pomyślał Renzo i odezwał się:

— Przyszedłem, księżo proboszczu, zapytać, o jakiej porze będzie księdzu dogodnie, byśmy się stawili w kościele?

— A o jaki dzień chodzi?

— Jakże to: jaki dzień? Czy zapomniał ksiądz proboszcz, żeśmy się umówili na dzisiaj?

— Dzisiaj? — powtórzył ksiądz takim tonem, jakby pierwszy raz o tym słyszał. — Dzisiaj?... dzisiaj... musicie mieć cierpliwość, dzisiaj to nie podobna.

— Dziś nie podobna? A cóż się stało?

— Przede wszystkim, widzisz, nie czuję się dziś zdrow...

— To niedobrze; aleć na to, co ksiądz proboszcz ma do zrobienia, nie trzeba wiele czasu ani wiele fatygi...

— Ale poza tym...

— Co poza tym?

— Są przeszkody.

— Przeszkody? Jakież tu przeszkody być mogą?

— Ech, nam tylko, kapłanom, wiadomo, ile trudności jest na każdym kroku, jaka na nas spoczywa odpowiedzialność! Ja mam serce miękkie, zawsze chcę wszystko łagodzić, ułatwić, usunąć przeszkody, każdemu wygodzić nie bacząc, że wykraczam poza swoje obowiązki, a potem mam jeno wymówki albo i co gorszego.

— Na miłość boską, księżę proboszczu, niechże mnie ksiądz nie trzyma w takiej niepewności, ale powie jasno, o co idzie.

— A masz ty pojęcie, ile potrzeba przeróżnych korowodów, aby zawrzeć legalne małżeństwo?

— Chyba że wiem coś o tym — odparł Renzo, którego zaczął ogarniać gniew. — Toć mi ksiądz proboszcz dosyć głowy nasuszył o to wszystko ostatnimi czasy. Ale przecież

wszystko to już zrobione, co było do zrobienia, czy może nie?

— Wszystko, wszystko, tak się tobie zdaje. Trochę cierpliwości! Wszystko wali się na mnie, na mnie, który depczę swoje obowiązki, byle tylko ludziom troski oszczędzić!... Ale teraz... dosyć tego. Dosyć, wiem, co mówię. My, nieszczęśni proboszcze, jesteśmy niby między młotem a kowadłem... Ty się niecierpliwisz, ja ci współczuję, biedny chłopcze, a tymczasem moi przełożeni... ale sza, nie wszystko przystoi mi mówić... dość, że zawsze na nas się skrupi.

— Niechże mi ksiądz proboszcz powie na koniec jasno, co mam zrobić jeszcze, a będzie wnet zrobione.

— A wiesz ty, jakie są przeszkody kanoniczne?

— Skądże bym miał wiedzieć?

— Error, conditio, votum, cognatio, crimen, Cultus disparitas, vis, ordo, ligamen, honestas,

Si sis affinis... — rozpoczął don Abbondio rachując na rozstawionych palcach.

— Drwi sobie ksiądz ze mnie? — przerwał młodzieniec. — Co mnie obchodzą księdza latinorum?

— A widzisz? Skoro nie wiesz, uzbrój się w cierpliwość i zdaj się na takich, co wiedzą.

— Hola!...

— No, no, Renzo, nie unos się gniewem, mój miły; gotów jestem uczynić wszystko... wszystko, co w mojej mocy.

Chciałbym z duszy cię zadowolić, bom ci szczerze życzliwy. Ech, pomyśleć, jak ci było dobrze na świecie... czegoż ci było brak? A tu strzeliło ci do głowy, żeby się żenić...

— Cóż to za mowa, księżę proboszczu? — wykrzyknął Renzo równie zdumiony jak rozzłoszczony.

— Mówię i powiadam: uzbrój się w cierpliwość. Chcę dla ciebie jak najlepiej...

— Ale w końcu...

— W końcu, synu drogi, to nie moja wina. Nie ja ustanawiam prawa. Przed udzieleniem ślubu prawo nakazuje nam zbadać wszystko sumiennie, aby mieć pewność, że nie ma żadnych przeszkód.

— Czy powie mi ksiądz wreszcie, jaka tu się znalazła przeszkoda?

— Uzbrój się w cierpliwość, to się nie da tak wyłożyć w mgnieniu oka. Nie będzie tu może nic tak ważkiego, mam tę nadzieję. Ale moim obowiązkiem jest zbadać wszystko. Prawo mówi jasno: Antequam matrimonium denutiat...

— Jużem mówił księdzu, że nie chcę tej łaciny!

— Ale przecie muszę ci wyłożyć...

— Alboż ksiądz nie zrobił dawno tych jakichś badań?

— Nie wszystko, nie tak, jakem był powinien...

— Czemuż ksiądz nie zrobił tego na czas? Czemu mnie zwodził, że wszystko gotowe? Po cóż czekać...

— A! Wymawiasz mi teraz moje dobre serce? Ułatwiałem rzecz Każdą, starałem się czynić wedle twego życzenia. A tymczasem... ale dość, wiem, co mówię.

— A ja? Cóż ze mną?

— Musisz być cierpliwy jeszcze kilka dni. Synu drogi, kilka dni to przecież nie wieczność, uzbrój się w cierpliwość...

— Jak długo?

„No, jesteśmy na dobrej drodze” — pomyślał don Abbondio i rzekł bardzo łaskawie:

— Za dwa tygodnie. Będę się starał; może się da zrobić.

— Dwa tygodnie! A to co znowu? Zrobiliśmy wszystko, jak nam ksiądz kazał; umówiliśmy dzień, dzień nadchodzi, a ksiądz mi teraz powiada: dwa tygodnie! Dwa!... — wykrzyknął głośno, wściekle wymachując wzniesioną w górę pięścią i nie wiadomo jakie dodałby do tej liczby przekleństwo, gdyby don Abbondio nie przerwał mu chwyciwszy go za drugą rękę i przytrzymując ją w skwapliwym, a nieśmiałym ucisku.

— No, no, nie unoś się, na miłość boską! Zobaczę, postaram się, może za tydzień...

— A co ja powiem Lucji?

— Powiesz, żem się omylił.

— A ludzie co będą gadali?!

— Powiesz wszystkim, że to moja wina, że pomyłka, że to z pośpiechu, bom chciał dla was jak najlepiej... zrzu

cisz wszystko na mnie... Cóż mogę więcej? Tydzień jeden zaledwie.

— A po tym tygodniu nie przyjdą inne przeszkody?

— Skoro mówię...

— Dobrze więc. Będę cierpliwy przez tydzień. Ale niech ksiądz pamięta: jak tydzień minie, nie poprzestanę na żadnych obietnicach... Kłaniam się księdzu proboszczowi!

To rzekłszy wyszedł kłaniając się nie tak głęboko jak zazwyczaj i rzucając spojrzenie bardziej wymowne niż pełne szacunku.

Idąc po raz pierwszy bez radości w stronę domu narzeczonej, rozpamiętywał gniewnie rozmowę z proboszczem, a im więcej o niej myślał, tym bardziej wydawała mu się dziwna. Chłodne i jakieś niepewne zachowanie don Abbondia, jego ton niecierpliwy i niechętny, jakby z przymusem wypowiedane słowa, spojrzenie jego szarych oczu uciekające gdzieś w bok, jakby obawiało się spotkać ze słowami, które równocześnie wymawiały jego usta, to udawanie, jakoby pierwszy raz słyszał o zamierzonym małżeństwie, szczegółowo przedtem omawianym, a zwłaszcza te niejasne wzmianki o czymś, co wzbraniał się wyraźnie powiedzieć — wszystko to, razem zebrane, nastiwało Renzowi podejrzenie jakiejś tajemnicy oraz myśl, że don Abbondio usiłuje weń wmówić coś zgoła innego, niż jest w rzeczywistości. Przystanął nawet na chwilę w zamiarze zawrócenia na plebanię, przyparcia księdza do muru i wydobywania zeń wyznania, o co mu chodzi. Ale w tejże chwili zobaczył przed sobą Perpetuę wchodzącą do położonego nie opodal domu ogródka. Zawołał na nią, kiedy stanęła przy furtce, przyspieszył kroku i dogonił ją u wejścia z mocnym postanowieniem zdobycia potrzebnych mu wiadomości.

— Dzień dobry, Perpetuo; spodziewałem się, że będziemy się dzisiaj wspólnie weselili.

— Ha, wszystko w ręku Boga, mój biedny Renzo!

— Oddajcie mi przysługę; nasz świątobliwy proboszcz prawil mi tu coś, czego w żaden sposób wyrozumieć nie mogę. Wytłumaczciez mi wy, czemu to on nie może czy nie chce pożenić nas dzisiaj.

— A cóż to, alboz ja znam sekrety mego pana?

„A więc tkwi w tym jakiś sekret, tak jak mi się wy

dawało" — pomyślał Renzo i chcąc wydobyć ten sekret na światło dzienne ciągnął dalej:
— No, Perpetuo, byliście mi przecie zawsze życzliwa. Powiedzcie mi, co wiecie, dopomóżciez mi, biedakowi.
— Niedobrze urodzić się biedakiem, mój Renzo.
— Święta prawda — przytaknął utwierdzając się coraz bardziej w swoich podejrzeniach i próbując zgłębić do dna tajemnicę dodał: — Ale czyż przystoi kapłanom pomiatać biedakami?
— Słuchaj, Renzo. Nie mogę nic powiedzieć, bo... no, bo nic nie wiem. Ale możesz mi wierzyć, że mój pan nie chce krzywdzić ani ciebie, ani nikogo. To nie jego wina!
— Więc czyjaż? — zapytał Renzo na pozór niedbale, lecz z drżeniem serca, cały zamieniony w słuch.
— Toć mówię ci, że nie nie wiem... ale przecie trzeba mi bronić mego pana... serce mi się kraje, kiedy słyszę, jak się go pomawia o to, że chce czyjejs krzywdy. Biedaczek! Jeśli grzeszy, to chyba przez zbytek dobroci. Za dobry on do tego świata łajdaków, gwałtowników, ludzi, co się Boga nie boją...
„Łajdaki? Gwałtownicy? — powtórzył w myśli Renzo. — Nie o władzy kościelnej tu mowa."
— No — rzekł starając się nie okazać wzburzenia — powiedzcież mi wreszcie, kto to taki.
— Ale, chciałbyś mnie zmusić do mówienia. A ja nie mogę... nie mogę... no, bo nic nie wiem. A jak nic, nie wiem, to to samo, co gdybym przysięgała, że nie powiem. Ani powrozem słowa nie wyrwiesz mi z gardła. No, z Bogiem, darmo tu tylko czas tracimy.
To rzekłszy weszła szybko do ogrodu zamykając za sobą furtkę. Renzo pożegnał ją i odszedł powoli, nie chcąc, by zauważyła, w którą stronę się kieruje. Ale zaledwie oddalił się poza zasięg uszu zacnej niewiasty, przyspieszył kroku i wnet stanął u drzwi don Abbondia. Wszedł i udał się wprost do pokoju, w którym dopiero co zostawił był księdza. Zastał go też tam jeszcze i podbiegł doń śmiało, groźnie błyskając oczyma.
— Ech! Ech! Cóż tam znowu? — wykrzyknął don Abbondio.
— Kto jest ten niegodziwiec — zapytał Renzo tonem człowieka zdecydowanego otrzymać jasną odpowiedź —

kto jest ten niegodziwiec, który nie chce, żebym się ożenił z Lucją?
— Co? Co? Co takiego? — wybełkotał zaskoczony biedaczyna z twarzą pobladłą i niby mokry łachman zwiotczałą. Raptem, nie przestając coś mrużyć, zerwał się z krzesła i rzucił ku drzwiom. Renzo jednak widać spodziewał się tego i miał się na baczności; poskoczył do drzwi wyprzedzając proboszcza, przekręcił klucz w zamku i wsunął go do kieszeni.
— A, powie ksiądz teraz, księżu proboszczu? Wszyscy wiedzą coś o moich sprawach oprócz mnie jednego. Chcę i ja to wiedzieć, do licha! Jak on się zowie?
— Renzo, Renzo, na miłosierdzie boże, zważ, co czynisz! Pomyśl o duszy!
— Myślę o tym, co tu chcę usłyszeć, zaraz, nie zwlekając! — To mówiąc położył, może bezwiednie, dłoń na rękojęści sztyletu.
— Litości! — wykrzyknął zamierającym głosem don Abbondio.
— Chcę wiedzieć!
— Mówiłem...
— Nie, nie. Dość zawracania głowy. Mów, księżu, natychmiast i jasno.
— Chcesz mojej śmierci?
— Chcę wiedzieć i mam prawo wiedzieć.
— Ależ, jeżeli powiem, zginę. Czyż mi życie nie miłe?
— Właśnie. Mów, księżu.

Owo „właśnie” zabrzmiało tak nieubłaganie, a wygląd Renza był tak groźny, że don Abbondio ani myśleć nie mógł o oporze.

— Przyrzeknij, przysięgnij, że nigdy nie powiesz nikomu...

— Przysięgam, że popełnię jakiś czyn szalony, jeżeli zaraz, natychmiast, nie usłyszę jego imienia.

Na to ponowne zakłęcie don Abbondio zaczął jękać takim głosem i z taką twarzą, jakby w jego ustach tkwiły obcegi cyrulika.

— Don...

— Don? — powtórzył Renzo, jakby chciał pomóc nieszczęśnikowi wykrztusić resztę. I stał pochylony, z uchem zbliżonym do ust księdza, trzymając z tyłu zaciśnięte pięści.

— Don Rodrigo! — wyrzucił z siebie proboszcz, w pośpiechu polykając sylaby, jak gdyby, ostatnim błyskiem rozsądku dokonawszy wyboru pomiędzy dwoma niebezpieczeństwami, chciał pochwycić fatalne imię i wtłoczyć je z powrotem w gardło w tej samej chwili, w której zmuszony był je wypowiedzieć.

— A pies! — ryknął Renzo. — Jak on to zrobił? Co księdzu powiedział?

— Jak? Ech, jak? — powtórzył don Abbondio tonem wzgardliwym. Teraz, po spełnieniu tak wielkiej ofiary, poczuł się jak gdyby wierzycielem Renza. — Jak? Wolałbym, żeby to na ciebie padło miast na mnie, którym tu przecież nic nie zawinił. Nie miałbyś pewnie wówczas tak pstro w głowie!

Tu począł w straszliwych barwach odmalowywać fatalne spotkanie. A czując, jak wzmaga się w nim z każdą chwilą oburzenie przytłumione uprzednio strachem, widząc zarazem, jak Renzo, zły i zmieszany, stoi bez ruchu z opuszczoną na piersi głową, zagrział potężnie:

— Pięknieś się spisał! Oddałeś mi nie lada przysługę! Tak potraktować zacnego człowieka, swego proboszcza! W jego własnym domu! W poświęconym miejscu! Wspaniały czyn! Wydrzeć mi podstępnie wyznanie mojego nieszczęścia... twojego nieszczęścia! To, com przed tobą ukrywał z rozwagi, dla twego dobra! A teraz wiesz już, coś chciał. Rad bym też wiedzieć, co mi chciałeś zrobić? Ale, na miły Bóg! Nie czas teraz na facecje. I nie w tym rzecz, kto tu ma słuszność, a kto nie. Tu chodzi o to, kto ma siłę. A kiedym ci dziś rano życzliwie" radził, tyś się wściekł zaraz. Miałem rozum za nas ob.u. Ale teraz? Co poczniemy? Otwórzże przynajmniej!. Oddaj mi klucz!

— Być może zbłądziłem — odrzekł Renzo łagodnie, ale w głosie jego dawało się wyczuć wściekłość na odkrytego wroga — być może zbłądziłem; lecz niechże ksiądz z ręką na sercu powie, co by w moim wypadku...

To mówiąc wyjął klucz z kieszeni i ruszył, by otworzyć drzwi. Don Abbondio sunął za nim i kiedy Renzo przekręcił klucz w zamku, ksiądz stanął przy nim z twarzą ponurą i pełną zgrzyoty, podniósł w górę trzy palce prawej ręki i jakby mu chciał pomóc ze swej strony, powiedział:

— Przysięgnij chociaż...

— Być może zbłądziłem, proszę o wybaczenie — powiedział Renzo i otwierał drzwi, aby wyjść.

— Przysięgnij — powtórzył don Abbondio chwytając go za ramię dygocącą ręką.

— Być może zblądziłem — powtórzył Renzo, gwałtownie uwalniając ramię z uścisku, i wybiegł, przerywając ten dyskurs, który, na podobieństwo dyskusji literackich, filozoficznych i innych, mógłby trwać przez wieki, jako że obie strony powtarzały tylko uparcie własne argumenty.

— Perpetua! Perpetua! — zaczął wołać don Abbondio po bezowocnych próbach zatrzymania zbiega. Perpetua jednak nie dawała odpowiedzi, a biedny don Abbondio nie wiedział już wcale, co o tym myśleć.

Zdarza się nieraz, i to dostojniejszym niż don Abbondio osobistościom, tak zaplątać się w jakieś kłopoty, w taką wpaść rozterkę, że najlepsze wyjście, jakie widzą — to położyć się do łóżka z gorączką. Ale don Abbondio nie musiał nawet uciekać się do tego wybiegu — wszedł mu on sam w ręce. Trwoga dnia poprzedniego przeżyta, bezsenna, pełna niepokoju noc, wstrząs, jakiego doznał przed chwilą, posępne przewidywania na przyszłość — wszystko to nie pozostało bez wpływu na jego zdrowie. Siedząc w swoim fotelu, udręczony i oszołomiony, czuł jakieś przenikające do szpiku kości dreszcze; ciężko wdychając spoglądał na swoje paznokcie i raz po raz nawoływał drżącym z irytacji głosem: — Perpetua!

Przyszła nareszcie, niosąc pod pachą ogromną głowę kapusty, z beczelnie spokojną twarzą, jakby nic się nie stało. Oszczędzę czytelnikowi tych wszystkich lamentów, skarg, żalów, oskarżeń i obrony, tych wszystkich: „Ty jedna mogłaś się wygadać”, i „Nic nie mówiłam”, wszystkich ciągnących się bez końca rozhovorów. Wystarczy, jeśli powiemy, że don Abbondio rozkazywał Perpetui zarygłować starannie drzwi i nie otwierać pod żadnym pozorem, a gdyby ktoś zapukał, odpowiedzieć przez okno, że proboszcz leży w łóżku z gorączką. Następnie powłókł się na górę powtarzając co trzeci stopień schodów: „A to mi dogodzili!” Po czym położył się rzeczywiście do łóżka, gdzie go też na razie zostawimy.

Renzo tymczasem szedł wielkimi krokami ku domowi;

nie miał żadnego planu działania, ale czuł przemożną chęć uczynienia czegoś niezwykłego a straszliwego. Wszelcy krzywdziciele i podżegacze, wszyscy ci, którzy w taki czy inny sposób wyrządzają "ludziom zło, dźwigają na sobie dwojaki ciężar: nie tylko krzywd, których są sprawcami, ale i winy za zdeprawowanie tych skrzywdzonych. Renzo był młodzieńcem spokojnym i bynajmniej nie skorym do rozlewu krwi; był szczery i wrogi wszelkim intrygom, a przecież w tej chwili serce jego biło pragnieniem mordu, a umysł knuł podstęp i zdradę. Pragnął biec do domu don Rodriga, chwycić go za gardło i... ale przypomniał sobie, że dom ten był niemal fortecą z silną załogą braviach, zarówno z wnętrza, jak i z zewnątrz strzeżoną; fortecą, do której jedynie przyjaciele jej pana i dobrze znana służba mogli wejść bez dokładnych od stóp do głów oględzin. Nieznany rzemieślnik nie zdołałby na pewno tam się dostać bez skrupulatnego zbadania jego osoby, a cóż dopiero on, zapewne znany tam, niestety, aż nadto dobrze. Snuł więc tylko mściwe plany, jak to uzbrojony w strzelbę zaczai się gdzieś za płotem i będzie czekał w nadziei, że kiedyś wreszcie tamten pojawi się samotnie na drodze. Z okrutną lubością pogrązał się w marzeniu; widział siebie, jak słysząc kroki — jego kroki — ostrożnie wysuwa głowę, rozpoznaje wroga, unosi strzelbę, mierzy i daje ognia; jak niegodziwiec pada ugodzony, drgając w przedśmiertnych konwulsjach. Widział, jak sam zrywa się, rzuca tamtemu przekleństwo i rusza drogą ku granicy, za którą będzie bezpieczny.

„A Lucja?” Zaledwie to imię przemknęło błyskawicą poprzez mroki morderczych marzeń, lepsze myśli, jakie zazwyczaj wypełniały umysł Renza, tłumnie powróciły. Wspomniał na ostatnie prośby i przestrogi swych rodziców, wspominał na Boga, Matkę Boską i świętych, pomyślał o tym, ile razy czyste sumienie było mu pociechą w ciężkich chwilach i jakiej zawsze doznawał odrazy słysząc opowieści o morderstwach.. Otrząsnął się ze swych krwawych rojeń z przerażeniem, skrucną i z ogromną ulgą na myśl, że przecież popełnił ten czyn jedynie w wyobraźni.

W ślad za wspomnieniem Lucji, ileż innych nadciągnęło myśli! Ileż nadziei, ile obietnic, przyszłość upragniona, która zdawała się tak pewna, dzień z takim oczekiwany utęsknieniem! W jaki sposób, jakimi słowy ma jej oznaj

mić złą nowinę? I co przedsięwziąć? W jaki sposób uczynić ją swoją żoną wbrew woli niegodziwego wielmoży? Wraz z tymi myślami zakradło się do jego duszy coś — nie podejrzenie może, ale jakiś dręczący cień. Przyczyną postępków don Rodriga mogła być jedynie brutalna żądza, jaką żywił względem Lucji. A ona? O tym, żeby miała mu dać jakąkolwiek nadzieję, żeby ośmielała czymś ową namiętność, Renzo nawet pomyśleć nie był w stanie. Ale czy o niej wiedziała? Czy było możliwe, aby don Rodrigo żywił taką haniebną żądzą, a ona wcale tego nie spostrzegła? A on — czy nadałby sprawie podobny obrót, nie spróbowałszy najpierw innych, łatwiejszych dróg? A Lucja nie przyznała się nigdy ani słówkiem! Jemu, swemu przysłemu mężowi!

Pogrążony w podobnych myślach Renzo minął swój dom położony pośrodku wsi i skierował się na krańce osiedla, ku domowi Lucji. Pomiędzy domkiem tym a drogą leżał niewielki dziedziniec otoczony murkiem. Wszedłszy nań Renzo usłyszał zmieszany szmer głosów dochodzący z górnej izby i domyślił się, że to rozmaite kuby i przyjaciółki mające stanowić weselny orszak Lucji. Nie miał ochoty pokazywać się temu zgromadzeniu przygnębiony fatalną wieścią. A właśnie pojawiła się na dziedzińcu mała dziewczynka i podbiegła do niego wołając wesoło:

— Pan młody! Pan młody!

— Cicho, Bettino, cicho — powiedział Renzo. — Chodź no tu do mnie. Pójdź na górę, odwołaj Łucję na bok i szepnij jej do ucha, ale tak, żeby nikt tego nie słyszał, nikt nic nie spostrzegł... szepnij jej, że muszę z nią pomówić, że czekam na nią w izbie na dole, niech przyjdzie nie zwlekając.

Dziecko pobiegło śpiesznie na górę, dumne i uszczęśliwione z potajemnego zlecenia. Lucja wyszła była właśnie z matczynych rąk w weselnym stroju. Towarzyszki cisnęły się dokoła niej, każda chciała obejrzeć pannę młodą, ona zaś broniła się z tą właściwą wieśniaczkom, nieco wojowniczą skromnością i zasłaniała zgiętym ramieniem schyloną twarz, marszcząc piękne czarne brwi, podczas gdy usta jej rozchylały się w uśmiechu. Bujne czarne włosy, rozdzielone nad czołem wąziutką białą linią, ułożone były w tyle głowy w misterne sploty i przytrzymane długimi srebrnymi szpilami, tworzącymi dokoła głowy niby pro

myki aureoli; tak po dziś dzień czeszą się wieśniaczki w okolicach Mediolanu. Szyję Lucji otaczał sznur granatów nawleczonych na przemiany z paciorkami ze złotego filigranu; na sobie miała brokatowy, tkany w kwieciste wzory stanik o bufiastych, przedzielonych barwnymi wstążkami rękawach i krótką, drobno fałdowaną spódnicę z grubego jedwabiu; na nogach czerwone pończochy i haftowane, również jedwabne, cizemki.

Nie tylko uroczysty, weselny strój, ale i rozliczne wzruszenia malujące się na twarzy Lucji podnosiły jej pełen skromności urok. Na twarzy jej widniała radość przymglona leciutkim niepokojem, jak gdyby cieniem smutku, jaki często można dojrzeć w rysach oblubienic i który, nie umniejszając ich urody, wyciska na niej pewne szczególne piętno.

Mała Bettina przecisnęła się przez tłum ku Lucji i nieznacznie, do ucha, powtórzyła jej zlecenie.

— Schodzę na chwilę i wnet wracam — powiedziała Lucja zgromadzonym niewiastom i zbiegła w pośpiechu na dół.

— Co się stało? — wykrzyknęła spojrzawszy w zmienioną twarz trawionego niepokojem Renza, ogarnięta nagłym przeczuciem czegoś złego.

— Lucjo — odezwał się Renzo — na dziś wszystko przepadło i Bogu jednemu wiadomo, kiedy będziemy mogli zostać mężem i żoną.

— Jak to? — spytała zaskoczona.

Renzo opowiedział jej pokrótce wydarzenia tego ranka. Słuchała pełna niepokojem, a kiedy padło imię don Rodriga, wykrzyknęła, drżąc, z zarumienioną nagle twarzą:

— Ach! Więc aż do tego doszło!

— Więc wiedziałaś o tym? — zapytał Renzo.
— Niestety! Ale żeby aż do tego doszło... — Co wiedziałaś?
— Nie każ mi teraz mówić, bo się popłaczę. Pójdę, zawołam matkę i odprawię tamte niewiasty. Trzeba nam zostać samym!
— Nic mi nie mówiłaś — wyszeptał Renzo, kiedy odchodziła.
Odwróciła się nie zatrzymując i powiedziała tylko:
— Ach, Renzo!
Renzo zrozumiał, co miało znaczyć jego imię wypowie

dziane przez nią w takiej chwili i takim tonem: „Czy możesz wątpić, że jeśli milczałam, to miałam po temu ważne i słuszne przyczyny?”

Tymczasem poczciwa Agnese (takie imię nosiła matka Lucji), którą szeptły małej Bettiny, a potem zniknięcie córki zaniepokoiły i zaciekały zarazem, zeszła w ślad za nią, chcąc dowiedzieć się, co zaszło. Dziewczyna zostawiła ją z Renzem, wróciła na górę i opanowując w miarę możliwości głos i wyraz twarzy oznajmiła zebrany niewiastom:

— Ksiądz proboszcz zachorował, nic dzisiaj nie będzie. Po czym pożegnała je spiesznie i zeszła ponownie na dół.

Niewiasty rozeszły się, żądne opowiedzenia innym, co zaszło. Dwie czy trzy pośpieszyły pod drzwi plebanii, aby sprawdzić, czy proboszcz naprawdę jest chory.

— Ma straszną gorączkę — oznajmiła przez okno Perpetua.

Smutna wieść rozeszła się natychmiast, tłumiąc podejrzenia, które zaczynały już kiełkować w umysłach i jawić się w rozmowach, niedopowiedziane i tajemnicze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lucja weszła do dolnej izby w chwili, gdy Renzo ogromnie zatroskany opowiadał rzecz całą jej matce, która z niemięjszą troską go słuchała. Oboje odwrócili się ku wchodzącej, jako do tej, która więcej od nich wiedziała o całej sprawie i od której spodziewali się jakiegoś, bolesnego zapewne, wyjaśnienia. Poprzez troskę i miłość, jaką oboje w różny sposób, lecz w równym stopniu odczuwali, przebijał żal — również dwojakiej natury — że coś, i to coś tak poważnego, przed nimi ukrywała. Agnese, choć pilno jej było usłyszeć, co córka jej powie, nie mogła się powstrzymać od uczynienia jej wymówki:

— Żeby też rodzonej matce nie zwierzyć takiej rzeczy!

— Teraz wszystko wam opowiem — powiedziała Lucja ocierając fartuchem oczy.

— Mówże, mów! Opowiadaj! — wykrzyknęli równocześnie matka i narzeczony.

— Matko Najświętsza! — zawołała Lucja. — Któż by uwierzył, że aż do tego dojść może!

I opowiedziała głosem przerywanym łkaniem, jak to wracając parę dni przedtem z przedzenia pozostała nieco w tyle za towarzyszkami; wtedy właśnie spotkała na drodze don Rodriga z jakimś drugim panem. Don Rodrigo zagadał coś do niej niezbyt przystojnie i próbował ją zatrzymać; ona nie odpowiedziała mu wcale, przyspieszyła kroku i dogoniła

towarzyski. Ale oddalając się słyszała, jak ten drugi śmiał się głośno, zaś don Rodrigo powiedział: „Zalóżmy się.” Na drugi dzień czekał znów na drodze, ale ona szła z całą gromadką towarzyszek i oczy trzymała spuszczone. Słyszała, jak tamten drugi pan śmiał się szyderczo, a don Rodrigo mówił: „Zobaczymy jeszcze.”

— Bóg łaskaw — ciągnęła Lucja — że to był ostatni dzień przedzenia. Zaraz też powiedziałam...

— Komu powiedziałaś? — przerwała jej Agnese, z wzdorliwą niechęcią oczekując nazwiska owego wybranego powiernika.

— Ojcu Cristoforo na spowiedzi, matko — powiedziała Lucja łagodnie i przepraszając. — Wyznałam mu wszystko, kiedyśmy były razem w klasztornej kościółku. Pamiętasz, matko, jakem tego dnia marudziła, to i owo jeszcze wciąż miałam do roboty; zwłóczyłam tak, bom czekała, aż będą szli do kościoła ludzie z naszej wsi; chciałam pójść razem, od tamtego spotkania straszno mi się zdawało na pustej drodze...

Na dźwięk powszechnie szanowanego imienia ojca Cristoforo rozwiła się uraza Agnese.

— Dobrześ zrobiła — pochwaliła — tylko czemuś nie rzekła nic matce?

Lucja miała po temu dwojaki powód: nie chciała zasmucać i przerażać matki czymś, na co przecież nie mogła ona nic poradzić, to jedno; po drugie, bała się, by nie rozniosło się z ust do ust to przykre zdarzenie, które powinno było pozostać w ukryciu. Lucja łudziła się, że rychły ślub położy koniec temu obmierzłemu prześladowaniu.

Mając takie dwa powody przyznała się jednak tylko do pierwszego.

— A tobie — ciągnęła, zwracając się do Renza takim tonem, jakim przemawia się do przyjaciela pragnąc przekonać go, że nie ma słuszności — a tobie, czyż powinnam była mówić o tym? Dość zmartwienia, żeś się teraz dowiedział.

— A ojciec co ci rzekł? — dopytywała się Agnese.

— Doradzał mi przyspieszyć ślub, ile się tylko da, a do tej pory zamknąć się w domu. Kazał modlić się całym sercem i mówił, że jak tamtemu zejść z oczu, to, da Bóg, może i z myśli... Wtedy to przymusiłam się — zwróciła się znów do Renza, nie podnosząc nań jednak oczu i cała sploniona — wtedy to, jak jaka bezwstydnica, prosiłam cię, byś się ze wszystkim pośpieszył i poślubił mnie prędzej, niżemy to dawniej uradzali... Bóg wie, coś sobie o mnie wówczas pomyślał... Ale ja wiedziałam, że słusznie czynię i za dobrą radą... no i pewna byłam... I gdzieżbym ja się owego ranka spodziewała... — dalsze słowa utonęły w gwałtownym wybuchu płaczu.

— A łajdak, przeklętnik; morderca! — wykrzykiwał

Renzo, tam i na powrót przebiegając izbę z zaciśniętą na rękojeści sztyletu dłonią.

— A cóż za zgryzota, niech Pan Bóg broni! — lamentowała Agnese.

Młodzieniec zatrzymał się nagle przed splakaną Lucją i, patrząc na nią czule i gniewnie zarazem, powiedział:

— To już ostatnia sprawka tego łotra!

— Ach, nie, Renzo, nie, na miłość boską! — wykrzyknęła Lucja. — Me! Toć i dla nas, biedaków, jest Bóg na niebie. Ale jakże miałby się nad nami zlitować, jeśli i sami będziemy czynili źle? — Nie, nie, niechże Bóg broni — powtarzała Agnese.

— Renzo — odezwała się Lucja spokojniej nieco, z przeblyskiem nadziei w głosie — masz przecie fach, a i ja pracować potrafię. Pójdźmy stąd gdzieś tak daleko, żeby ten człowiek nie słyszał o nas nigdy więcej.

— Ach, Lucjo, i co z tego? Toć nie jesteśmy jeszcze mężem i żoną. A czy proboszcz zaświadczy o nas, żeśmy wolnego stanu oboje? Taki jak on!... Gdybyśmy byli poślubieni, ach, wówczas...

Lucja znowu zaczęła płakać; i siedzieli tak wszyscy troje w posępnym milczeniu, jakże nie licującym z ich weselnymi strojami.

— Posłuchajcie no, moje dzieci — odezwała się po chwili Agnese. — Zaufajcie mi, toć przyszłam na ten świat dawniej od was i znam go niegorzej. Nie ma o co tak się znów lękać i trapić; nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nam, prostaczkom, wszystko się zdaje zawikłane; grunt to odszukać koniec nitki, to i kłębek wnet się rozplącze. Bywa tak, że mądra rada, jedno słówko uczonego człeka... wiem ci ja dobrze, co mówię. Posłuchaj mnie, Renzo; idź do Lecco, odzyskaj tam doktora Azzecagarbugli i wszystko mu opowiedz... jeno go tak nie nazwij, niech Pan Bóg broni! To takie przezwisko, a trzeba do niego mówić: „Panie doktorze...”, jakże mu tam? Nie mogę spamiętać, jak on się naprawdę nazywa, wszyscy jeno tak na niego mówią... No, co tam, pytaj się o tego doktora, któren jest długi, suchy, włochaty, nos ma czerwony i brodawkę na policzku.

— Znam go z widzenia — powiedział Renzo.

— To i dobrze — ciągnęła Agnese. — To ci jest człek z głową! Widziałam ja niejednego, co gorzej się zaplątał

niżli kurczę w konopiach i ani wiedział, w którą stronę głowę obrócić, a jak pogadał godzinę w cztery oczy z doktorem Azzecagarbugli (tylko go tak aby nie nazwij, dobrze pamiętaj), to dobrze widziałam, śmiał się jeno ze swoich zmartwień. Weźże te cztery kapłony; biedaczyska, miałam im łebki ukręcić na niedzielę, na weselisko. Zanieś je; do panów z pustymi rękami nie przystoi chodzić. Opowiedz wszystko, co się tu wydarzyło, a zobaczysz, wnet ci doradzi, takie ci rzeczy wymyśli, co nam by do głowy nie przyszły, choćbyśmy cały rok rozmyślali.

Rada spodobała się Renzowi, a Lucja również ją pochwaliła. Stara Agnese, dumna z siebie, wyciągnęła z kojca nieszczęsne kapłony, zebrała razem ich osiem nóżek, obwiązała je sznurkiem i, niby wiązanek kwiatów, wręczyła Renzowi.

Młodzieniec, pożegnawszy kobiety słowami otuchy i takimiż słowami przez nie pożegnany, wymknął się z domu przez sad chcąc uniknąć spotkania z wiejską dzieciarnią, która ilekroć się ukazał, biegła za nim wołając:

— Pan młody! Pan młody!

Idąc wąskimi drózkami poprzez pola rozmyślał o swoim nieszczęściu i o tym, co powinien powiedzieć doktorowi Azzecagarbugli. Jak się czuły nieszczęsne ptaki niesione głową na dół za skrępowane nóżki przez człowieka miotanego najsprzeczniejnymi uczuciami i który dawał im wyraz w gwałtownej gestykulacji — niech sobie czytelnicy sami dopowiedzą. Renzo to gniewnie wyciągał przed siebie dłonie, to wyrzucał w górę ramiona gestem rozpaczony, to potrząsał groźnie zaciśniętymi pięściami; a każdy z tych gestów przyprawiał o bolesny wstrząs cztery zwieszane łebki. Udęczone ptaki usiłowały dziobać się nawzajem, jak to się często zdarza pomiędzy towarzyszami niedoli.

Znalazłszy się w miasteczku, zapytał o mieszkanie doktora. Wskazano mu je i niebawem stanął u drzwi. Ale jak to bywa z prostaczkami, kiedy znaleźć się mają przed obliczem uczonego pana, zapomniał doszczętnie całej przemowy, jaką sobie w drodze obmyślił. Na szczęście spojrzął na kapłony i widok ich podniósł go trochę na duchu.

"Wszedł do kuchni i zapytał służącej, czy mógłby pomówić z panem doktorem. Popatrzyła na kapłony i, nawykła widać do podobnych darów, ujęła je bez wahania w rękę.

Renzo jednak nie puścił i ciągnął ptaki w swoją stronę, chcąc, by doktor zobaczył, że nie przyszedł z pustymi rękami.
— Zostawcie to i wchodźcie — powiedziała kobieta.

W tej samej chwili ukazał się w drzwiach doktor i Renzo skłonił się mu głęboko. Doktor powitał go dobronudsznym: „Pójdź, synu”, i wprowadził go do swego gabinetu. Był to obszerny pokój; trzy jego ściany zawieszono były wizerunkami dwunastu cesarzy rzymskich, czwartą zajmowała ogromna szafa wypełniona starymi, zakurzonymi książkami. Pośrodku stół zarzucony przeróżnymi dokumentami, suplikami i dekretami, dokoła niego trzy czy cztery krzesła i jeden fotel z poręczami. Jego wysokie kwadratowe oparcie zakończone było rzeźbionymi w drzewie narożnikami, sterczącymi na kształt rogów, i obite skórą bydlęcą przy pomocy potężnych ćwieków. Kilku z nich brak było od dawna, tak że obicie odstawało i zwijało się tu i ówdzie. Doktor miał na sobie domowy ubiór, czyli po prostu starą, zniszczoną togę, która wiele lat przedtem służyła mu do uroczystych wystąpień, kiedy w jakiejś szczególnie ważnej sprawie udawał się do Mediolanu.

Zamknął drzwi i zwrócił się do Renza z zachęcającymi słowami:

— Opowiedz mi, synu, swoją sprawę.

— Chciałbym coś panu doktorowi powiedzieć w zaufaniu.

— Oto jestem — odparł doktor. — Mów, młodzieńcze. Zasiadł w fotelu; Renzo stał przed nim przy stole, w jednej ręce trzymając kapelusz, drugą w zakłopotaniu obracając go w kółko.

— Chciałbym usłyszeć od pana doktora... od uczonego pana... — zaczął.

— Powiedz zwyczajnie, jak było — przerwał mu doktor.

— Proszę o wybaczenie. My, biedacy, nie nauczeni jesteśmy składnie mówić. Właśnie chciałbym wiedzieć...

— Co za ludzie! Wszyscyście jednacy. Zamiast gadać prosto, co i jak, umiecie tylko pytać; wszystkimście sobie zawczasu w głowie ułożyli!

— Proszę o wybaczenie, panie doktorze. Chciałbym oto wiedzieć, czy jest jakaś kara za to, jeśli się grozi księdzu wzbraniając mu udzielić komuś ślubu?

— Rozumiem — mruknął do siebie doktor, jakkolwiek w rzeczywistości nic nie rozumiał. — Rozumiem.

I natychmiast spoważniał, ale była to powaga współczująca i pełna życzliwego zatroskania. Zaciśnął mocno wargi wydając jakiś dźwięk nieartykułowany. Uczucie, jakie ten dźwięk miał wyrażać, wyjaśniły pierwsze słowa, które po nim nastąpiły:

— Poważny casus, mój synu, i niełatwy. Dobrześ uczynił przychodząc z tym do mnie. O takich sprawach jest mowa w setce bodaj dekretów, między innymi w tym, który ogłosił w ubiegłym roku obecny nasz gubernator. Zaraz to sobie obejrzysz na własne oczy, czarno na białym.

To mówiąc podniósł się z fotela i począł szperać obu rękami w bezładnym stosie papierów, przegarniając je i mieszając niby ziarno w korcu.

— Gdzież się to podziało? Wyłaźże, wyłaź! Tyle wszystkiego trzeba mieć pod ręką! Musi tu gdzieś być, to ważny dekret. A, jest, jest!

Wyciągnął rulon, rozwinął, spojrzął na datę i wyraz powagi na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

— Piętnasty października roku! — wykrzyknął. — Oczywiście. Z ubiegłego roku, jak mówiłem. Świeży dekret, takich najbardziej się boją. Potrafisz czytać, synu?

— Trochę, panie doktorze.

— Dobrze! Podążaj za mną wzrokiem, sam zobaczysz.

Począł czytać trzymając dekret szeroko rozpostarty w powietrzu, to mamrocząc szybko i niewyraźnie, to zwalniając i wypowiadając z naciskiem, podkreślając tonem ważność słów:

— „Mimo iż dekret z rozkazu Jego Wysokości Księcia Feria dnia grudnia roku ogłoszony, zaś przez Jaśnie Oświeconego Pana, don Gonzalo Fernandez da Cordoba etc. zatwierdzony, nakłada jak najsurowsze kary na winnych

wszelakich aktów gwałtu, samowoli tudzież wymuszeń, których to zbrodni poniektórzy przeciwko najwinniejszym poddanym J. K. Mości się dopuszczają, wiadomo nam, jako wyżej wymienione występki, miast niknąć, nieustannie na sile przybierają. Przeto. Jego Ekscelecja — i tak dalej, i tak dalej — wysłuchawszy opinii Senatu jako też Zgromadzenia — i tak dalej — postanawia i wszem wobec wiadomym czyni, co następuje:
Poczynając od aktów samowoli, których jak doświadczenie wykazuje, tak w miastach, jako i w pomniejszych osiedlach — słyszysz? — księstwa wielu się dopuszcza,

oprymując bezbronnych mieszkańców na wszelkie sposoby, jako to: wymuszanie aktów kupna, dzierżawy... — i tak dalej... gdzież to? Acha, słuchaj! — ...wymuszenie lub wzbronienie zawarcia małżeństwa...— No?

— To jakby właśnie moja sprawa — rzekł Renzo.

— Słuchaj, słuchaj tylko dalej. Popatrzmyż, jaka grozi kara... — „...wymuszenie świadczenia lub nieświadczenia, wypędzenie kogoś z miejsca, w którym zamieszkiwał... — i tak dalej — ...przymuszenie siłą do płacenia należności, grożenie wierzycielom, przymuszanie do korzystania z młyna... — To wszystko nas nie dotyczy. A, tu go mamy! — ...aby kapłan nie dopełnił tego, co mu jego urząd nakazuje, lub czynił to, co z jego urzędem nie licuje...” — Eh!

— Wygląda mi na to, jakby ten dekret dla mnie akuratnie obmyślono.

— Eh, nieprawdaż? Słuchaj dalej: — „...tudzież inne tym podobne bezprawia, czy to pochodzące od feudałów, szlachty czy stanu średniego i pospółstwa. — Nikt się nie wymiga: spotykają się wszyscy, niby w Dolinie Józafata... Słuchaj teraz o karach. — Jakkolwiek te i wszystkie podobne przestępstwa z dawna są zabronione, niemniej, w zamiarze bardziej skutecznego ich wytępienia, Jego Ekscelecja niniejszym dekretem nakazuje, iżby na winnych w jakiegokolwiek mierze wyżej wymienionych przestępstw nakładane były przez wszystkich sędziów ordynaryjnych Państwa srogie kary, tak pieniężne jako też i cielesne nie wyłączając wygnania lub galer, aż do kary śmierci... — Bagatela! — ...wedle uznania Jego Ekscelecji lub Senatu, stosownie do natury przestępstwa, do osoby i okoliczności. Postanowienia powyższe są nieodwołalne i wszelkimi rygorami opatrzone.” — No, dość tu tego dobrego, co? A popatrz jeszcze na podpisy: „Gonzalo Fernandez da Cordoba”, . niżej: „Platonus”, a tu jeszcze: „Vidit Ferrer”. Nie brak niczego.

Podczas gdy doktor czytał, Renzo mozolnie podążał za nim wzrokiem i myślą, usiłując pojąć dokładnie sens tych czcigodnych, a zawikłanych zdań, od których spodziewał się dla siebie pomocy. Doktor ze zdumieniem spoglądał na swego nowego klienta, który wydawał się znacznie bar

dziej zainteresowany niż przygnębiony treścią dekretu. „Szczywane być musi” — powiedział sobie w duchu, a głośno rzekł:

— No, no, kazałeś sobie, widzę, ostrzyc grzywę. Chwalebna ostrożność, ale skoroś zamierzył mnie się oddać w opiekę, można było obejść się bez tego. Rzecz jest poważna, prawda; ale też ani wiesz, czego potrafisz dokazać, kiedy trzeba. Aby zrozumieć sens tej przemowy doktora, należy pamiętać, że w owych czasach bravi i im podobni zawadiacy nosili ustalonym zwyczajem długie grzywy włosów nad czołem, a w potrzebie zapuszczali je na twarz niby przyłbicę. Było to

bardzo przydatne w czasie wszelkiego rodzaju napaści, kiedy nie chcieli być poznani, i w rozmaitych innych okazjach wymagających zarówno siły, jak chytryści. Obyczaj ten również znalazł odbicie w dekretach.

„Jego Eksceleńcja (margrabia Hynojosa) ogłasza, iż kto by nosił włosy tak długie, iżby zakrywały czoło aż po brwi, lub też warkocze, zarówno przed, jak i za uszema, podlega karze pieniężnej skudów, a jeśliby zapłacić nie był w stanie — karze galery na lat trzy; a to za pierwszym razem, zaś w razie ponownego zawinienia, oprócz wyżej wymienionych, jeszcze cięższej, tak piętę, jak i cieleśnie może być ukarany wedle uznania Jego Eksceleńcji.

Natomiast Jego Eksceleńcja zezwolić raczy w przypadkach łysiny tudzież innych usprawiedliwionych przyczyn, jak to: szpecące znamię lub blizna, na noszenie włosów dostatecznej dla ukrycia takowych mankamentów długości, byle nie większej; przestrzega się przed przekroczeniem granic oczywistej potrzeby, aby zaś sprawca nie doznał tej kary, jakiej wszelacy fałszerze podlegają.

Jego Eksceleńcja nakazuje golarzom pod karą stu skudów lub trzech uderzeń powrozem publicznie wymierzonych, albo sroźszej, wedle uznania wyżej wymienionego, kary, aby strzyżonym przez się osobom nie pozostawiali nijakich harcapów, grzyw czy kosmyków, jako też włosów dłuższych, niżli obyczaj każe, tak z przodu, jako i z boków za uszema, ale żeby wszystkie włosy były równe, wyjąwszy dotkniętych łysiną lub wyżej wymienionymi defektami.”

„Grzywa” była zatem jak gdyby częściązbrojenia,

znakiem rozpoznawczym wszelkich junaków i zabijaków, tak że byli oni nawet powszechnie zwani „grzywaczami”. Nazwa ta zachowała się po dziś dzień w tamtejszym dialekcie, choć w znacznie złagodzonej formie. Spośród naszych mediolańskich czytelników nie znalazłby się może ani jeden, który by nie pamiętał, jak to w dziecięcych latach rodzice, nauczyciel, któryś z przyjaciół domu czy też służby nie odzywał się o nim: „mały grzywacz, grzywaczek.”

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Renzo — jestem człek spokojny i jak żyję, grzywy nie nosiłem.

— Nic nie zdziałamy — rzekł na to doktor kręcąc głową z uśmiechem przebiegłym i zarazem trochę niecierpliwym — nic nie zdziałamy, jeśli mi, synu, nie zaufasz. Kto opowiada kłamstwa doktorowi, jest głupcem, który powie prawdę sędziemu. Swemu obrońcy wypada rzecz wszystko szczerze i jasno, a jak sprawę rozwikłać, to już nasza w tym głowa. Chcesz, abym ci dopomógł — gadaj wszystko od A do Z, z sercem na dłoni, jak na spowiedzi. Musisz mi powiedzieć, na czyj rozkaz to uczyniłeś; sądzę, że jest to znaczna jakaś osoba. W takim razie trzeba, abym się do niej udał i postarał jakoś porozumieć. Nie powiem, bądź spokojny, żeś to ty mi wyznał, że przez niego byłeś wysłany. Zaufaj mi. Rzeknę mu tylko, że przychodzę go błagać o ratunek dla nieszczęśliwego, fałszywie oskarżonego młodzieńca. Naradzę się z nim i wspólnie przedsięwziemy środki, by rzecz załatwić pomyślnie. Rozumiesz, synu: ratując siebie, ocali i ciebie zarazem. Jeśli zaś ten wybryk był twoim własnym konceptem, cóż — nie uchylam się także: niejednego z gorszej wydobyłem opresji... o ile tylko nie obraziłeś kogoś znakomitego, powiedzmy sobie, gotów jestem cię z tego wykaraskać — z pewnymi kosztami, powiedzmy sobie. Wyznasz mi przede wszystkim, kto jest ten, jak się to mówi, poszkodowany. Stosownie do kondycji i natury tej osoby obaczmy, czy korzystniej nam będzie ugłaskać go, czy raczej poszukać sposobu, by wpaść nań z góry i potraktować jego samego jako przestępcę, jednym słowem, wpuścić mu, jak się to mówi, pchłę w ucho. Bo trzeba ci wiedzieć, jak to jest z tymi dekretami: byle się z nimi obchodzić, jak należy, a wyrozumieć je chytrze — nikt nie jest całkowicie winien, nikt także niewinny. Co się tyczy księdza, jeśli ma

zdrowy rozum, będzie siedział cicho. Jeśli uparty, są i na takich sposoby. Z każdego kłopotu jest zawsze jakoweś wyjście, ale na to, by je znaleźć, potrzeba człowieka z głową. Twój casus jest poważny; poważny, mówię ci, poważny. Dekret mówi jasno; a jeśli przyjdzie ci się mierzyć ze sprawiedliwością, tak oko w oko, tedy marny twój los. Mówię do ciebie jak przyjaciel. Za wybryki musi się płacić. Chcesz wyjść z tego cało — dwóch rzeczy tu potrzeba: pieniędzy i szczerości. Zaufać temu, kto ci jest zyczliwy, być mu posłusznym, czynić wszystko, co ci zaleci.

Podczas gdy doktor gwałtownie wyrzucał z siebie te słowa, Renzo wpatrywał się w niego z wyteżoną uwagą i podziwem, z jakim wiejski prostaczek przygląda się na rynku kuglarzowi, który połyka pakuły, a wyciąga z gardła wstążkę — i ciągnie ją, i ciągnie bez końca. Ale kiedy pojął wreszcie, o czym właściwie mówi doktor i jak zupełnie opacznie rzecz całą zrozumiał, przerwał mu, jak gdyby przecinał ową ciągnącą się od ust jego wstęgę.

— Och, panie doktorze, jakeście mnie to pojęli? Wszystko na wywrót. Ja tam nikomu nie groziłem, ani mi w głowie takie rzeczy. Możecie, panie, zapytać wszystkich w naszej gminie, każdy wam powie, żem nigdy w życiu nie zadarł z prawem. To mnie zrobił takie łajdactwo ktoś inny. Po to przychodzę do pana doktora, by się dowiedzieć, jak się tej sprawiedliwości mam dla siebie domagać. I bardzo rad z tego dekretu, coście mi go, panie, pokazali.

— Tam do diabła! — wykrzyknął doktor otwierając szeroko oczy. — A cóż to znów za pasztec? Wszyscyście jednacy. Nie potraficie opowiedzieć po ludzku sprawy?

— Proszę o wybaczenie. Nie daliście mi, panie, dojść do słowa. Wnet opowiem wszystko po porządku. Trzeba wam wiedzieć, panie doktorze, jako dziś właśnie — tu głos Renza zadrzał nieco — miałem się żenić z jedną dziewczyną, z którąśmy się jeszcze latem zmówili. Dzisiejszy dzień był z dawna postanowiony z księdzem proboszczem i wszystko było gotowe? No i właśnie dziś ksiądz zaczyna mi coś mydlić oczy... no, nie chcę nudzić pana doktora, dość, żem go nakłonił, by mi powiedział wszystko, jak należy... no i powiedział, jako ma wzbronione pod karą śmierci dać nam ten ślub; to ten przeklętnik don Rodrigo...

— Co, co? — przerwał mu doktor gwałtownie, marszcząc

czoło i czerwony nos i wykrzywiając gniewnie usta. — Co mi tu jakowymiś bredniami głowę suszysz? Tak możecie sobie gadać między sobą, nie miarkując języka. Ale żeby z takimi gadkami nachodzić zacnych ludzi! Idźże, idź... sam nie wiesz, co gadasz. Z niedorostkami się nie zadaję. Nie chcę słuchać próżnej gadaniny... — Przysięgam...

— Toć mówię, idź sobie. Na co mi twoje przysięgi? Nic mi po nich, umygam od tego ręce — to mówiąc doktor zacierał ręce, jak gdyby je rzeczywiście umywał. — Naucz się gadać do rzeczy. Nie przystoi zawracać tak głowy poważnym ludziom.

— Ależ proszę posłuchać, proszę mnie wysłuchać — na próżno bezradnie powtarzał Renzo.

Doktor nie przestając krzycheć popychał go obu rękami ku wyjściu. Dosięgnąwszy wreszcie drzwi otworzył je wołając głośno do służącej:

— Oddać natychmiast temu człowiekowi to, co przyniósł — rozkazał. — Nic od niego nie chcę, nic a nic.

Nigdy jeszcze, odkąd służyła w tym domu, niewiasta ta nie miała do spełnienia podobnego rozkazu. Ale wypowiedziany był z taką stanowczością, że nie wahała się ani chwili. Wzięła cztery nieszczęsne ptaki i wręczyła je Renzowi z wyrazem politowania, zdającym się mówić: „Aleś ty musiał nabroić.” Renzo próbował się wymawiać, ale doktor był nieugięty; tak więc młodzieniec, zdumiony i rozgniewany jak nigdy w życiu, zabrał wzgardzone ofiary i ruszył do swej wsi, by zdać sprawę kobietom z pięknych rezultatów swej wyprawy.

W czasie jego nieobecności matka i córka, z żalem zdjawszy weselne stroje i przywdziawszy codzienne suknie, nadal radziły nad swoim położeniem, Lucja płacząc, Agnese ciężko wdychając. Matka mówiła o tym, jak wiele nadziei przywiązuje do rad uczonego doktora. Córka rzekła na to, że pomocy trzeba szukać wszędzie, gdzie tylko możliwe; że ojciec Cristoforo jest nie tylko człowiekiem dobrej rady, ale że potrafi również działać, kiedy chodzi o ratowanie biednych ludzi; że zatem byłoby dobrze móc powiadomić go o tym, co zaszło.

— Pewnie że tak — przytakiwała Agnese i wspólnie poczęły się zastanawiać, jakby to zrobić, ponieważ iść tego dnia do odległego około dwóch mil klasztoru nie miały

odwagi. Zapewne też nikt rozsądny nie doradzałby im tego.

Ale właśnie kiedy to rozważały, dało się słyszeć pukanie i ciche, lecz wyraźne słowa zza drzwi:

— Deo gratias.

Lucja domyślając się, kto to być może, pośpieszyła otworzyć; z przyjaznym skinieniem głowy wszedł do izby kwestarzkapucyn z przewieszoną przez lewe ramię sakwę, przyciskając do piersi obu rękami jej obwiązany sznurem otwór.

— O, brat Galdino! — powitały go obie niewiasty.

— Pan niechaj będzie z wami — odezwał się braciszek. — Przychodzę prosić o orzechy.

— Idź, przynieś orzechy dla ojców — powiedziała Agnese do córki. Lucja podeszła do drzwi, ale znalazłszy się za plecami brata Galdino przystanąła i położyła palec na ustach, rzucając matce spojrzenie wyraźnie proszące o zachowanie sekretu; spojrzenie czułe, błagalne, ale i stanowcze zarazem.

Kwestarz popatrzył spod oka na Agnese i zagadnął:

— A cóż ślub? Miał być przecie dzisiaj... a we wsi jakieś zamieszanie, jakby się coś nowego przydarzyło. Cóż to takiego?

— Ksiądz proboszcz zachorzał, trzeba było odłożyć — wyjaśniła spieszenie. Gdyby nie znak Lucji, pewnie inną dałaby kwestarzowi odpowiedź. — Jak tam idzie kwesta? — zapytała chcąc zmienić temat.

— Nieszczególnie, zacna kobieto, nieszczególnie. To i wszystko, com uzbierał — braciszek zdjął sakwę z ramienia i potrząsnął nią. — Wszystko, com uzbierał. A i po ten bogaty plon do dziesięciorga drzwi musiałem kołatać.

— Ba, rok za rokiem coraz głodniejszy, bracie Galdino. A jak człek musi sobie skąpić chleba, to i z czym innym trzeba mu garść zaciskać.

— A jakż się sposób na to, by zaś powróciły dobre czasy, niewiasto? Jeno jałmużna. Słyszeliście o onym cudzie z orzechami w naszym klasztorze w Romanii przed laty?

— Nie słyszałam. Opowiedcież mi, proszę.

— Musicie wiedzieć, że w owym klasztorze był pewien mnich, istny święty. Zwał się ojciec Macario. Raz, zimą to

było, szedł ci on drożyną przez pole jednego naszego dobrodzieja, poczciwego człeka. Ojciec Macario widzi onego dobrodzieja, jak stoi podle wielkiego orzechowego drzewa, a z nim czterech wieśniaków z motykami w ręku i sposobią się do kopania wokół drzewa, by korzenie jego na światło wydobyć. „Co też czynicie z tym biednym drzewem?” — pyta ojciec Macario. „Eh, ojcze, od lat nie chce mi ono rodzić orzechów. To i zrąbię je na opał.” — „Ostawcie je w spokoju, — powiada ojciec — bo to wam powiadam, że tego roku więcej ono urodzi orzechów, aniżeli ma liści.” Ów człowiek znał dobrze tego, co mu te słowa powiedział, zaraz też kazał swoim sługom z powrotem ziemię na korzenie narzucić. A do ojca, który szedł dalej w swoją drogę, tak rzecze: „Ojcze Macario, połowa zbioru dla klasztoru będzie.”

Rozniosło się po okolicy o tej przepowiedni i zewsząd schodzili się ludzie oglądać ono drzewo. I patrzcie — na wiosnę kwiecica zatrząsienie, a przyszedł czas, to i orzechów także zatrząsienie. Jeno nasz dobrodziej nie doznał tej pociechy, by ów plon zebrać, albowiem jeszcze przed zbiorami udał się tam, gdzie go czekała nagroda za jego poczciwe życie. Ale cud był tym większy, jak to wnet usłyszycie. Ten poczciwy człek zostawił syna, zgoła innego pokroju. Otóż kiedy

nadszedł czas zbioru, kwestarz wyruszył zebrać tę połowę klasztorowi należną. Tamten zaś udał zdziwionego i powiada zuchwale, jako nigdy nie słyszał, by kapucyni orzechy robić potrafili. No i wiecie, co się stało? Dnia pewnego ów zuchwalec sprosił kilku swoich druhów; wśród hulanki opowiedział im o orzechu i śmiał się głośno z kapucynów. Kompanom zachciało się obejrzeć ów ogromny stos orzechów. Gospodarz wiezie ich tedy do śpichrza, no i słuchajcie: otwiera drzwi, idzie do kąta, gdzie był ów stos usypany, „Spojrzyjcie” — rzecze i sam patrzy. I cóż widzi? Piękny stos suchych liści orzechowych. Byłże to piękny przykład! Klasztor zaś miał stracić — zyskał jeszcze; bowiem po takim wydarzeniu kwestarz tak wiele zbierał darów, że pewien dobrodziej, zdjęty litością nad onym utrudzonym braciszkiem, ofiarował klasztorowi osła, aby mógł dźwigać orzechy do domu. I tyle oleju wytłoczono, że cała okoliczna biedota przychodziła brać go sobie, ile trzeba. Bowiem jesteśmy

jako morze, co zewsząd wody w siebie wchłania i wszystkim rzekom w zamian ich używa.

Właśnie ukazała się Lucja z fartuchem tak pełnym orzechów, że zaledwie mogła utrzymać jego rogi w obu wyciągniętych rękach. Gdy brat Galdino ściągnąwszy sakwę z pleców rozwiązywał ją na przyjęcie tak hojnego daru, matka rzuciła Lucji zdziwione i surowe spojrzenie, ganiąc ją za podobną rozrzutność. Ale Lucja odpowiedziała niemniej wymownym spojrzeniem oznaczającym: „Zaraz się wytłumaczę.” Brat Galdino wybuchnął istnym potokiem pochwał, błogosławieństw, obietnic, podziękowań, po czym, zarzuciwszy ponownie sakwę na plecy, skierował się ku drzwiom. Lucja zatrzymała go jednak:

— Proszę was o przysługę, bracie Galdino. Zechciejcie rzec ojcemu Cristoforo, że koniecznie trzeba mi z nim pomówić.

Niechajże uczyni mi tę łaskę i odwiedzi nas, biedaczki, jak najprędzej, bowiem nie możemy pójść do kościoła.

— Tyle jeno? Godzina minie, a już ojciec Cristoforo będzie powiadomiony o waszym życzeniu.

— Ufam wam.

— Bądźcie spokojne.

To rzekłszy odszedł, nieco bardziej pochylony, ale weselszy aniżeli wtedy, kiedy przyszedł.

Z tego, że uboga dziewczyna tak bez ceremonii wzywała do siebie ojca Cristoforo, kwestarz zaś bez zdziwienia przyjął jej zlecenie nie robiąc trudności, nie należy wnosić, jakoby ów Cristoforo był sobie zwykłym mnichem, jakich wielu, czy zgoła jakimś popychadłem. Był, przeciwnie, człowiekiem wielce poważanym zarówno wśród swoich, jak w całej okolicy. Ale taki był już obyczaj kapucynów, że nic nie zdawało im się nazbyt niskie i nic nazbyt wysokie. Służyć małuczkim, a przyjmować usługi możnych, wchodzić do pałaców i do lepierek z tym samym wyrazem pokory i godności zarazem, być w tym samym domu raz osobą podrzędną i lekceważoną, kiedy indziej zaś doradcą, bez którego żadna decyzja nie mogła być powzięta; prosić wszędzie o jałmużnę i dawać ją każdemu, kto o nią poprosi w klasztorze — do tego wszystkiego musiał przywyknąć każdy kapucyn. Idąc drogą, mógł równie łatwo natknąć się na księcia całującego ze czcią koniec jego zakonnego sznura, jak i na bandę rozswawolonych

Wyrostków, którzy udając, że biją się między sobą, obrzucali błotem jego brodę. Słowo „braciszek” wymawiano w owym czasie już to z największym szacunkiem, już to z bezbrzeżną pogardą, kapucyni zaś bardziej może od innych zakonów byli przedmiotem krańcowo różniących się uczuć i równie krańcowo rozmaitej zaznawali doli. Nic nie

posiadając, strojem różniąc się od otoczenia bardziej jeszcze niż pozostałe zakony, otwarciej niż inni ćwicząc się w pokorze, budzili w jednych tym głębszą cześć, w innych tym zajadliwszą wżgardę, zależnie od charakteru i sposobu myślenia otaczających ludzi.

Zaledwie brat Galdino poszedł, Agnese wykrzyknęła ze zgrozą:

— Tyle orzechów! I to w takim roku!

— Przebac mi, matko — odparła Lucja. — Pomyślałam, że jeśli damy taką skąpą jałmużnę jak inni, brat Galdino będzie musiał chodzić jeszcze, Bóg wie jak długo, zanim jego sakwa będzie pełna. Bóg wie także, kiedy byłby z powrotem w klasztorze; a co by się jeszcze nagawędził i nasłuchał gawęd po drodze, to i nie wiadomo, czy by mu zostało w pamięci...

— Toś mądrze pomyślała. A i miłosierdzie musi przecie przynieść owoce — odrzekła Agnese, która mimo pewnych wad była bardzo poczciwą kobietą, a już za swoją Lucję, jedyną radość swych oczu, gotowa była, jak to mówią, w ogień się rzucić.

Niebawem powrócił Renzo; ukazał się z twarzą gniewną i zasmuconą i cisnął na stół kapłony. Było to już ostatnie dnia tego przykre przeżycie nieszczęsnych stworzeń.

— Dobracie mi dali radę, nie ma co — zwrócił się do Agnese. — Do zacnego czelkaście mnie posłali, co biedakom chętnie dopomaga!

I opowiedział całą swoją rozmowę z doktorem. Niewiasta zaskoczona tak niepomysłnym rezultatem wyprawy próbowała tłumaczyć, że rada nie była zła, tylko Renzo nie umiał wziąć się do rzeczy, jak należało. Lucja przerwała wywody matki mówiąc, że spodziewa się znaleźć lepszą pomoc. Renzo przyjął to nieufnie, jak często bywa z ludźmi, których prześladuje zły los.

— Ale jeśli ojciec — powiedział — nie znajdzie dla nas ratunku, poszukam go sam i znajdę, taki czy inny!

Kobiety starały się nakłonić go do spokoju, cierpliwości, rozważni.

— Jutro — powiedziała Lucja — ojciec Cristoforo przyjdzie tu na pewno. Zobaczysz, już on obmyśli coś takiego, o czym nam, biedakom, ani się nie marzy.

— Spodziewam się — odparł Renzo. — Ale choćby i nie, potrafię znaleźć dla siebie sprawiedliwość.

Na podobnych rozmowach upłynął schyłek dnia i zaczęło się ściemniać.

— Dobrej nocy — smutnie odezwała się Lucja do Renza, który nie mógł się zdecydować na odejście.

— Dobrej nocy — odpowiedział jeszcze smutniejszym tonem.

— Dopomoże nam któryś ze świętych pańskich — dodała Lucja. — Bądź jeno rozważny i cierpliwy.

Matka dorzuciła także ze swej strony podobne przestrogi. Młodzieniec odszedł z burzą w sercu, powtarzając raz po raz dziwaczne słowa: „Jest przecież w końcu sprawiedliwość na świecie.” Dowodzi to, jak dalece człowiek przywalony cierpieniem sam nie wie, co mówi.

Słońce nie wyjrzało jeszcze całkowicie spoza widnokregu, kiedy ojciec Cristoforo wyruszył ze swego klasztoru w Pescarenico zdążając w stronę domku, w którym go oczekiwano. Pescarenico jest małą wioską na lewym brzegu Addy, a raczej jeziora, niezbyt daleko od mostu: ot, grupka chat zamieszkałych przeważnie przez rybaków, zdobna w rozwieszane do suszenia sieci i więcierze. Klasztor leżał (mury jego stoją po dziś dzień) poza obrębem wioski, u wejścia do niej, obok drogi wiodącej z Lecco do Bergamo.

Niebo było czyste i w miarę jak wznosiło się ukryte jeszcze za górą słońce, światło jego schodziło coraz niżej z przeciwległych szczytów i rozlewało się szybko, obejmując stopniowo dolinę. Jesienny wietrzyk odrywał z gałęzi morw zeschnięte liście i niósł je chwilę, pozwalając im opaść w odległości paru kroków od macierzystego drzewa. Po obu stronach drogi, w winnicach, rozpięte łoży mieniły się rozmaitymi odcieniami czerwieniejących liści. Świeżo zorana, brunatna ziemia odcinała się ostro od białawych, błyszczących rosą ściernisk. Wesoły to był krajobraz, ale ilekroć pojawiała się na jego tle postać ludzka, widok jej napełniał smutkiem wzrok i myśl patrzącego. Raz po raz spotykało się żebraków, wychudłych i obdartych, takich, którzy zestarzeni się w swym procederze, i takich, których smutna konieczność popchnęła ostatnio do wyciągania ręki. W milczeniu mijali oni ojca Cristoforo spoglądając ku niemu żałośnie i choć nie mogli spodziewać się od niego jałmużny, gdyż kapucyni pieniędzy nawet do ręki nie brali, przecież kłaniali mu się w podzięce za to, czym ich klasztor już wspomógł, lub za to, co dopiero spodziewali się tam dostać.

Widok nielicznych pracujących na polach ludzi miał w sobie bodaj jeszcze coś boleśniejszego od widoku żebraków. Jedni szli rzucając siewne ziarno — rzadko, oszczędnie, jakby z przymusem, jak ktoś, kto ryzykuje rzecz zbyt cenną. Inni z wysiłkiem Wbijali w ziemię rydel, odrzucając skiby powoli i niechętnie. Wychudzona dziewczynka ciągnęła na postronku równie chudą krowinę, patrząc w ziemię i raz po raz schylając się szybko, aby podkraść zwierzęciu jakieś ziele, które w czas głodowy nauczyli się jeść i ludzie. Podobne widoki z każdą chwilą wzmagaly smutek zakonnika, który kroczył zatroskany, z przykrym przeczuciem jakiegoś nieszczęścia.

Czemuż to tak bardzo troszczył się on o Lucję? Dlaczego na pierwsze jej wezwanie ruszył skwapliwie w drogę, niczym na rozkaz ojca prowincjała? Kimże był ten ojciec Cristoforo? Trzeba nam na te wszystkie pytania dać odpowiedź. Ojciec Cristoforo z był mężczyzną bliższym już sześćdziesiątki aniżeli pięćdziesiątki. Jego łysa głowa, okolona tylko, zgodnie z regułą kapucyńską, wąskim wianuszkciem włosów, unosiła się, bywało, ruchem zdradzającym pewną przyrodzoną wyniosłość i jakiś jak gdyby niepokój. Zaraz jednak pochylała się znowu pod nakazem pokory. Długa biała broda, zakrywająca policzki i podbródek, tym silniej uwydatniała śmiało wyrzeźbione zarysy górnej części twarzy, którym . długotrwała asceza dodała powagi, nie odbierając wyrazistości. Głęboko osadzone oczy spuszczone były zazwyczaj ku ziemi, czasem jednak rzucały nagle, niespodziewane błyskawice, niby dwa narowiste konie prowadzone ręką woźnicy, o której wiedzą z doświadczenia, że twarda jest i niepokonana, a przecież usiłują czasem stanąć dęba, płacąc natychmiast za tę próbę bolesnym szarpnięciem wędzidla.

Ojciec Cristoforo nie zawsze był taki; nie zawsze też zwał się Cristoforo. Na chrzcie dano mu imię Lodovico. Był synem kupca z (wszystkie te gwiazdki są przejawem ostrożności naszego anonima), który w ostatnich swych latach uznawszy, że dosyć zgromadził już bogactw, porzucił handel i wraz z synem jedynakiem zaczął żyć iście po pańsku. A im więcej płał się w próżniactwie, tym mocniej wstydział się tego okresu swego życia, który zużył był na robienie czegoś na tym świecie. Stało się to

u niego istną manią: głowił się nieustannie, jakby tu dopiąć tego, by ludzie zapomnieli o jego kupieckiej przeszłości.. Sam pragnąłby zapomnieć o niej także. Cóż, kiedy sklep, bele sukna, księgi handlowe i łokieć wciąż na nowo jawiły się w jego pamięci — niby duch Banka Makbetowi — w czasie uczt, wśród pochlebnych uśmiechów darmożjadów. Nie podobna opisać, ile starania kładli ci wszyscy biedacy w wystrzeganie się każdego słówka, które mogłoby się wydać przytykiem do dawnej kondycji społecznej pana domu. Pewnego dnia na przykład uczta miała się już ku końcowi i wesołość biesiadników dosięgła szczytu; trudno orzec, kto bardziej był rad z siebie: czy goście gorliwie opróżniający stoły, czy gospodarz, który je tak obficie zastawił. Podochocony pan domu począł z łaskawą wyższością podrwiwać sobie z jednego ze swych gości, niezrównanego obżartucha, ten zaś odezwał się bez cienia złośliwej intencji, ot, tak, z dziecięcą naiwnością, dla podtrzymania żartu: „Nie słyszę, nie słyszę, kupieckie mam ucho.” Zaledwie wymknęło mu się z ust to fatalne słowo, sam poczuł, jak niewłaściwie ono zabrzmiało. Spojrzał niepewnie w nagle spochmurniałe oblicze gospodarza. Obaj usiłowali przywołać na twarze wyraz, który gościł na nich przed chwilą, było to jednak niemożliwe. Pozostali goście gorączkowo szukali sposobu zażegnania skandalu, namyślali się, co by tu powiedzieć, ale namyślając się trwali w milczeniu i w ciszy tej skandal jakby coraz silniej rozbrzmiewał. Każdy starał się uniknąć spojrzenia w oczy pozostałym. Każdy czuł, że inni także opanowani są tą samą myślą i tak samo pragną ją ukryć. Dnia tego nie powróciła już wesołość, a nierozważny — słuszniej będzie powiedzieć: niefortunny — gość nie został nigdy więcej zaproszony.

Tak to ojciec Lodovica przeżył ostatnie swe lata w nieustannej udręce, wciąż bojąc się, by ktoś z niego nie zadrwił, i nie myśląc zgoła o tym, że sprzedawanie nie jest bynajmniej czymś śmieszniejszym aniżeli kupowanie i że ostatecznie ten fach, którego tak bardzo teraz się wstydził, uprawiał otwarcie przez wiele lat, nie odczuwając żadnych skrupułów. Synowi zapewnił edukację szlachcica w takich granicach, w jakich zezwalało mu na to prawo i obyczaj. Dał mu nauczycieli, zarówno mistrzów

słowa, jak i sztuk rycerskich. W końcu umarł, pozostawiając syna bogatego i niedojrzałego.

Lodovico nasiąkał od dzieciństwa pańskim obyczajem. Pochlebcy, wśród których się wychował, traktowali go z wielkim szacunkiem i przyzwyczaili go do tego. Ale kiedy próbował zbliżyć się do najświetniejszej młodzieży rodzinnego miasta, spotkał się tam z odmiennym zgoła przyjęciem. Rychło zrozumiał, że aby dostać się, jak tego pragnął, do ich towarzystwa, musiałby przejść ciężką szkołę cierpliwości i pokory; stać zawsze nieco niżej od innych i raz po raz przełykać jakąś gorzką pigułkę. Taki sposób życia nie był zgodny ani z charakterem Lodovica, ani z wychowaniem, jakie otrzymał, toteż odsunął się urażony. Odtąd trzymał się od złotych młodzieńców z daleka, ale w duszy czuł gorycz. Wciąż bowiem wydawało mu się, że to właśnie oni powinni być jego towarzyszami. Pragnąłby tylko, żeby okazali się bardziej przystępni.

Tak to, czując równocześnie pociąg do nich i urazę, nie mogąc ani obcować z nimi jako przyjaciel, ani też wyrzec się wszelkiego z nimi zetknięcia, zaczął rywalizować z nimi w zbytku i rozrzutności, zdobywając sobie w ten sposób wrogów, budząc zawiść i narażając się na drwiny. Z biegiem czasu jednak charakter jego, prawy i gwałtowny zarazem, zawiódł go w inne, poważniejsze szranki; żywił on wrodzoną i szczerą nienawiść do wszelkiej krzywdy i ucisku, a nienawiść wzmagająca się w nim jeszcze, w miarę jak przekonywał się, że krzywdzicielami są najczęściej ci sami ludzie, do których z dawna czuł urazę. Idąc za głosem tych różnorodnych swoich popędów, czy to dla pobudzenia jednych, czy dla poskromienia drugich, stawał chętnie w obronie słabych i uciśnionych, gromił wyzyskiwaczy, pośredniczył w sporach, ściągając przez to kłopoty na własną głowę. Stopniowo stał się powszechnie znany jako opiekun krzywdzonych i mściciel wszelkiej niegodziwości. Uciążliwe to było zadanie i łatwo możecie sobie wyobrazić, że Lodovico wielu miał wrogów, wiele trosk i obowiązków. Oprócz kampanii, jakie prowadzić musiał dokoła, dręczyły go ciągle wewnętrzne rozterki. Gdyż aby przeprowadzić swoją wolę, zwłaszcza wobec tych, którzy stali wyżej od niego, zmuszony był nieraz sam uciekać się zarówno do krętactw, jak i do użycia siły, przeciwko czemu buntowało się jego sumienie. Musiał

otoczyć się sporą liczbą zabijaków; przy tym, tak gwoli własnego bezpieczeństwa, jak i dla zapewnienia sobie skutecznej pomocy w swych poczynaniach, wybierał do swej drużyny ludzi na wszystko gotowych, a co za tym idzie, najgorszych łotrów. Jednym słowem — umiłowanie sprawiedliwości zmuszało go do życia pośród łajdaków. Nieraz też opuszczała go odwaga, czy to po jakimś pożałowania godnym zwycięstwie, czy w obliczu grożącego niebezpieczeństwa, czy kiedy nieustanna konieczność ochrony i towarzystwo bravich nadmiernie mu obrzydło, czy wreszcie, kiedy w oczy zajrzała mu troska o przyszłość, jako że mienie jego topniało szybko, uszczuplane przez czyny miłosierne i awanturnicze wybryki. W takich chwilach niejednokrotnie przelatywała mu przez głowę myśl wstąpienia do klasztoru; w owych czasach było to najczęściej stosowane wyjście z wszelkiego rodzaju kłopotów. Lecz to, co pozostałoby może do końca jego dni przelotną tylko zachcianką, dzięki pewnemu wydarzeniu, najpoważniejszemu w dotychczasowym życiu Lodovica, stało się niezłomnym postanowieniem.

Pewnego dnia szedł ulicą swego rodzinnego miasta; za nim postępowali dwaj bravi, a u jego boku niejaki Cristoforo, niegdyś sprzedawca w sklepie, a po jego zamknięciu zarządzający domem swego pana. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, ogromnie przywiązany do Lodovica, którego znał od urodzenia, a który teraz, hojnie opłacając jego usługi i obdarzając jeszcze ponadto, umożliwiał mu dostatnie życie i utrzymanie licznej rodziny.

Idąc tedy ulicą, Lodovico ujrzał nagle przed sobą pewnego bogacza, powszechnie znanego pyszałka i krzywdziela ubogich. Nigdy dotychczas nie zamienił z nim ani słowa, mimo to wiedział, że tamten jest jego śmiertelnym wrogiem, i odpłacał mu podobnym uczuciem; jest to bowiem jeden z przywilejów tego świata, że na to, by nienawidzić i być nienawidzonym, nie trzeba wcale znać swego wroga.

Człowiek ów, za którym postępowali czterech bravich, zbliżał się wyprostowany, dumnym krokiem, z głową wzniesioną wysoko, krzywiąc usta wyrazem pychy i pogardy. Obaj szli od strony muru, ale Lodovico, zważając to dobrze, miał mur po swej prawej stronie. Powszechnie przyjęty obyczaj dawał mu więc prawo (gdzież bowiem prawo nie zdoła wetknąć swoich trzech groszy?) trzymać

się strony muru i nie ustępować z drogi nikomu; w owym czasie wiele sobie z tego robiono. Tamten jednak był mniemania, że prawo to przysługuje jemu, jako szlachcicowi, i że Lodovico powinien zejść na środek ulicy, co zresztą również było prawem zwyczajowym. Był to więc często spotykany wypadek, kiedy zderzają się ze sobą dwa sprzeczne prawa, bez żadnej podstawy do orzeczenia, które z nich jest słuszne; jest to doskonała sposobność do rozpętania wojny, o ile jeden uparciuch natknie się na drugiego osobnika tego samego pokroju.

Ci dwaj kroczyli naprzeciw siebie — tak mocno przywarci do muru, jakby byli dwiema wędrującymi płaskorzeźbami. Kiedy spotkali się twarzą w twarz, ów zmierzył Lodovica od stóp do głów wyniosłym spojrzeniem i powiedział, władczo marszcząc brwi, odpowiednim do wyrazu twarzy głosem:

— Dać drogę.

— Dajcie wy drogę, panie — odparł Lodovico. — Prawa strona do mnie należy.

— Z takimi jak asan zawsze należy do mnie.

— Pewnie, gdyby zuchwałstwo takich jak asan było dla takich jak ja prawem.

Bravi obu młodych ludzi stanęli, każdy za swoim panem, spoglądając spode łba na przeciwników, z dłońmi na rękojeści szpady, gotowi do bitki. Przechodnie przystawali, z dala obserwując zajście; obecność widzów podniecała tym bardziej obu przeciwników.

— Na środek, hołyszku, albo wnet cię nauczę, jak masz gadać ze szlachcicem.

— Kłamiesz asan, nie jestem hołyszem.

— Sam kłamiesz, o kłamstwo mnie pomawiając. — Była to odpowiedź nakazana rycerskim obyczajem. — Gdybyś był, jak ja, szlachcicem, przekonałbym cię ze szpadą i kapą w rękę, że kłamcą jesteś ty.

— Dobra racja, by wymigać się od poparcia obraźliwych słów czynem.

— Zepchnąć mi w błoto tego łajdaka — rzekł szlachcic odwracając się ku swoim.

— Obaczym — odparł Lodovico, szybko cofając się o krok i ujmując szpadę.

— Zuchwalcze! — krzyknął tamten wyciągając swoją. — Połamię ją, kiedy ją twoja krew splugawi!

Skoczyli ku sobie, a słudzy obu rzucili się bronić swoich panów. Walka była nierówna tak z powodu niejednakowej liczby bravich, jak i dlatego, że Lodovico starał się raczej odpierać ciosy i rozbroić, nie zaś zabić przeciwnika, tamten natomiast chciał jego śmierci za wszelką cenę. Już Lodovico ugodził w ramię sztylet jednego z bravich i policzek miał lekko draśnięty, już główny przeciwnik gotował się do ostatecznego ciosu; widząc swego pana w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Cristoforo rzucił się z pugią ku jego obronie. Szlachcic, cały swój gniew zwracając ku nowemu przeciwnikowi, przeszył go szpadą na wskroś. Na ten widok Lodovico stracił panowanie nad sobą i wbił szpadę w brzuch wroga, który padł śmiertelnie raniony niemal w tej samej, co nieszczęsny Cristoforo, chwili. Widząc taki koniec walki, bravi szlachcica rzucili się do ucieczki. Ci, którzy towarzyszyli Lodovicowi, również mocno poturbowani, nic już nie mając do roboty, a nie chcąc mieć do czynienia z rosnącym tłumem widzów, ulotnili się w przeciwną stronę. Lodovico pozostał w tym tłumie sam, mając za jedynych, posępnych towarzyszy dwie nieruchome postacie u swoich stóp.

— Jak to się stało?

— Jeden?

— Nie, dwóch.

— Ale mu kałdun przedziurawił!

— Kogo zabito?

— Tego pyszałka!

— Och, Matko Święta, takie jatki!

— Kto szuka, znajdzie...

— Oberwał jeden za wszystkich.

— Już on swoje skończył...

— Ale go dźgnął...

— Nie o byle co im poszło!

— A ten drugi nieszczęśnik... Na miłosierdzie boże, co za widok!

— A toż ratujcie!

— Już on ma dość także... Widzicie, ludzie, jaki pokiereszowany... gdzie spojrzeć, krwawi...

— Toć uchodźcie, panie, nie dajcie się wziąć!...

Te ostatnie słowa, częściej od innych dające się słyszeć w zmieszonym zgiełku głosów, wyrażały powszechny sąd o rzeczy; a w ślad za radą przysłała i pomoc. Bójka miała

miejsce tuż obok kościoła kapucynów; stanowił on azyl, którego pogwałcić nie ośmielały się straża miejskie i cała ta plątanina ludzi i rzeczy, zwana służbą sprawiedliwości. Tam też tłum pociągnął na pół przytomnego i rannego zabójcę; oddał go w ręce mnichów, polecając go ich opiece tymi słowami:

— To zacny człek, zabił niegodziwego pyszałka. Bronił swego życia, tamten zanadto nadeptywał mu na palce.

Nigdy, aż do tego dnia, Lodovico nie przelał krwi człowieka. I chociaż zabójstwa były w owych czasach rzeczą tak powszednią, że wszystkie uszy musiały przywyknąć do słuchania o nich, a oczy — do krwawych widoków, przecież wrażenie, jakiego doznał na widok tych dwóch zabitych — jednego, który zginął w jego obronie, i drugiego, który padł z jego ręki, było dlań nowe i wstrząsające. Zbudziły się w nim zupełnie nie znane mu dotychczas uczucia. Ten osuwający się na ziemię wróg, ta twarz, z której w jednej chwili znikła wściekłość i groźba, ustępując miejsca uroczystemu spokojowi śmierci — dokonały przewrotu w duszy zabójcy. Wepchnięty do klasztoru, nie zdawał sobie sprawy ani z tego, gdzie się znajduje, ani co się dokoła niego dzieje. Przytomność odzyskał na łóżku w infirmerii. Przy nim krzątał się bratchirurg — kapucyni miewali zazwyczaj chirurga w każdym klasztorze — opatrując szarpkami i bandażując dwie rany, jakie w starciu otrzymał. Inny mnich, którego specjalną funkcją było odwiedzanie konających i który często zmuszony był pełnić swoje obowiązki na ulicach miasta, podążył natychmiast na miejsce walki. Wrócił wkrótce i wszedłszy do infirmerii zbliżył się do łóżka, na którym leżał Lodovico.

— Pociesz się, synu — powiedział mu — bowiem śmierć miał dobrą. Za moim pośrednictwem prosi cię o przebaczenie i swoje również ci przesyła.

Słowa te do reszty powróciły nieszczęśliwemu Lodovicowi przytomność, a z nią odżyły w jego pamięci i przybrały na sile zawile i niejasne uczucia sprzed chwili: żal za przyjacielem, lęk i wyrzuty sumienia z powodu śmiertelnego ciosu, jaki zadała własna jego ręka, dojmująca litość dla człowieka, którego zabił.

— A ten drugi? — z niepokojem zapytał mnicha.

— Drugi wyzionął ducha, zanim przybyłem. Tymczasem otoczenie klasztoru i wszystkie wiodące doń

wejścia roily się od ciekawych. Niebawem jednak zjawiała się straż miejska, rozpędziła tłum i zaciągnęła warty w pewnej odległości od wrót, tak by nikt nie mógł wejść lub wyjść nie zauważony. Przybył też brat zabitego z dwoma kuzynami i starym wujem, wszyscy od stóp do głów uzbrojeni, mając ze sobą spory oddział bravich. Poczęli krążyć w sąsiedztwie klasztoru, groźnie i wzgardliwie spoglądając na gromadki ludzi, na których twarzach jasno wypisane były słowa: „dobrze mu tak”, choć nikt nie odważył się wypowiedzieć ich głośno.

Zaledwie Lodovico zdołał zebrać nieco myśli, wezwał do siebie jednego z braci spowiedników i prosił go, aby udał się w jego imieniu do żony Cristofora z prośbą o przebaczenie za nieszczęście, jakiego stał się mimowolną przyczyną, i aby jej równocześnie oznajmił, że całą rodzinę zabitego on, Lodovico, bierze pod swoją opiekę. Rozmyślając nad własnym swym losem poczuł silniej niż kiedykolwiek owo pragnienie zostania mnichem, które już dawniej przelotnie pojawiło się w jego duszy. Wydało mu się, że sam Bóg postawił go na tej drodze i dał mu wyraźny znak swej woli, wskazując mu w złej przygodzie klasztor jako schronienie. Natychmiast też powziął decyzję. Wezwał gwardiana i oznajmił mu swoje pragnienie. Odpowiedziano mu, że należy strzec się zbyt nagłych postanowień; jeżeli jednak w swym pragnieniu wytrwa, nie będzie mu odmówione. Wówczas Lodovico sprowadził z kolei notariusza i podyktował mu akt darowizny wszystkiego, co mu pozostało — a była to jeszcze niemała fortuna — rodzinie Cristofora: pewną sumę wdowie jako odszkodowanie, resztę ośmiorgu pozostawionym przez zmarłego dzieciom.

Postanowienie Lodovica przyniosło wielką ulgę jego gospodarzom, którzy z jego przyczyny znaleźli się w niemałym kłopotcie. Odesłać go z klasztoru, wydać w ręce sprawiedliwości, właściwie na pastwę mściwych wrogów — tego nawet pod rozważę brać nie było można. Oznaczałoby to rezygnację z przywileju, obniżenie powagi klasztoru w opinii ludzkiej, potępienie ze strony wszystkich kapucynów całego świata za to, że dopuszczono do pogwałcenia powszechnie

uznanego prawa; oznaczałoby zatarg z wyższymi kościelnymi władzami stojącymi, we własnym pojęciu, na straży tego prawa.

Z drugiej strony rodzina zabitego, potężna sama przez

się i wysoko skoligacona, uparła się żądać pomsty i każdego, kto by tę pomstę utrudniał, gotowa była uznać za wroga. Czy krewni boleli tak bardzo nad tym zabójstwem, o tym milczy historia. Nie wiadomo nawet, czy choć jedna łza została z tego powodu w rodzinie wylana. Wiadomo natomiast, że wszyscy krewni pałali żądzą dostania zabójcy w swoje szpony, żywego lub martwego. Przywdzianie przez niego kapucyńskiego habitu rozwiązywało wszystkie trudności. Równało się to uczynieniu publicznej pokuty, przyznaniu się do winy i wycofaniu ze szranków; było to, jednym słowem, złożenie przez przeciwnika broni.

Krewni zabitego mogli uwierzyć i głosić do woli publicznie, że zabójca został mnichem z rozpaczy i trwogi. Bądź co bądź doprowadzić człowieka do tego, by wyrzekł się mienia, ogolił głowę, chodził boso, spał na sienniku i żył z jałmużny — taka ciężka pokuta 'mogła zaspokoić największą pychę.

Ojciec gwardian udał się do brata zmarłego i po tysiącnych zapewnieniach szacunku, jaki żywił dla tak znakomitego domu, powiadomił go z umiarkowaną pokorą o żalu, jaki odczuwa Lodovico, i o jego postanowieniu, dając do zrozumienia, że czcigodna rodzina powinna powitać tę decyzję z całkowitym zadowoleniem. Po czym dodał ze słodyczą i w nader kunsztownej formie, że postanowienie to jest nieodwołalne, czy się podoba, czy też nie. Szlachcic wpadł w istną furję; kapucyn czekał cierpliwie, aż gospodarz się wykrzyczy, od czasu do czasu wtrącając parę słów o „aż nadto słusznej boleści”. Tamten oświadczył, że rodzina zabitego potrafi, jeśli tylko zechce, uzyskać należną satysfakcję w każdym wypadku, kapucyn zaś, cokolwiek

o tym myślał, nie zaprzeczył jego słowom. Na koniec gospodarz wyraził jeszcze życzenie, a nawet postawił to za warunek, aby zabójca jego brata opuścił niezwłocznie miasto. Gwardian, który już wcześniej postanowił to samo, odpowiedział, że tak się stanie, pozwalając swemu rozmówcy uznać to, jeśli zechce, za dowód uległości; na tym zakończono rozmowę. Rodzina była rada, że wyszła z całej sprawy z honorem; mnisi — że ocalili i człowieka, i swoje" zagrożone przywileje, nie przysparzając sobie wroga; zadowoleni byli miłośnicy spraw honorowych widząc tak przykładne zakończenie zatargu. Lud cieszył się, że człowiek przezeń kochany jest poza niebezpieczeństwem,

a zarazem podziwiał piękny przykład nawrócenia. Ale największą radość — radość wśród cierpienia — odczuwał nasz Lodovico na myśl, że rozpoczyna żywot pokuty i służby bliźnim, który wprawdzie nie mógł naprawić nieszczęścia, ale mógł je przynajmniej okupić, stępując ostrze dręczących go wyrzutów sumienia.

Początkowo przykra mu była świadomość, że decyzję jego przypisują ludzie tchórzostwu, ale pocieszył się myślą, że to niesłuszne posądzenie jest częścią jego kary i jednym więcej sposobem ekspiacji. Tak więc w trzydziestym roku życia przywdział wór pokutny. A że obyczaj nakazywał mu porzucić własne imię i przybrać inne, wziął sobie takie, które w każdej chwili życia miało mu przypominać, za co pokutuje: nazwał się bratem Cristoforo.

Natychmiast po uroczystej ceremonii przywdziania habitu gwardian oznajmił mu, że nowicjat odbyć ma w***, o sześćdziesiąt mil odległym, i że wyruszy tam nazajutrz. Nowy brat skłonił się nisko i poprosił o jedną łaskę.

— Pozwólcie mi, ojczy — powiedział — zanim opuszczę to miasto, w którym przelałem krew człowieka i pozostawiam rodzinę tak okrutnie skrzywdzoną, dać jej to przynajmniej zadośćuczynienie, że okażę, jak bardzo boleję nad tym, co się stało; że poproszę brata zmarłego o przebaczenie i złagodzę, jeśli Bóg zechce pobłogosławić mojej intencji, słuszny jego gniew.

Gwardian pomyślał, że taki postępek nie tylko byłby sam przez się chwalebny, ale dopomógłby przywrócić zgodę pomiędzy możną rodziną a klasztorem. Niezwłocznie też udał się do imię brata, aby przedłożyć mu prośbę brata Cristoforo.

Szlachcic zdumiał się na tak nieoczekiwaną propozycję; wspomnienie obrazy zawrzało w nim z nową siłą, a równocześnie doznał uczucia zadowolenia.

— Niech przyjdzie jutro — rzekł po chwilowym namyśle i oznaczył godzinę.

Gwardian poszedł zanieść nowicjuszowi upragnioną zgodę.

Szlachcic pomyślał, że im uroczyściej i głośniej odbędzie się ta ceremonia, tym bardziej wzrośnie jego znaczenie w rodzinie i w mieście. Będzie to też (że użyję tu nowoczesnego, wytwornego określenia) piękna karta w historii rodu. Kazał natychmiast powiadomić wszystkich krew

nych, iż prosi, aby nazajutrz w południe raczyli przybyć wszyscy do jego domu i wspólnie wysłuchać kajania się zabójcy.

O oznaczonej porze pałac zaroił się szlachtą wszelkiego wieku i obojga płci. W oczach mieniło się od strojnych delii, dumnie sterczących piór, błyszczących szpad zwisających u boku; dostojnie falowały nakrochmalone, marszczone kryzy, szeleściły pokryte sztywnymi haftami szaty. W sieniach, na dziedzińcu i ulicy mrowił się tłum służby, paziów, bravich i po prostu gapiów. Brat Cristoforo widząc tę niezwykłą krzątanicę natychmiast odgadł jej znaczenie i poczuł dojmującą przykrość. Ale zaraz powiedział sobie: „Słuszne to. Zabiłem publicznie, w obecności tylu jego wrogów. Jaki był czyn, takie musi być i zadośćuczynienie.”

Z oczyma spuszczoneymi, mając towarzysza u swego boku, wszedł w bramę pałacu, minął dziedziniec, gdzie cizba ludzka przypatrywała mu się z natarczywą ciekawością, przeszedł schody i znowu ujrzał się pośród tłumu, ale tłum panów, którzy się przed nim rozstępowali; odprowadzany setką spojrzeń znalazł się przed obliczem pana tego domu. W otoczeniu najbliższych krewnych stał on pośrodku sali wyprostowany, wzrok mając wbity w ziemię, ale dumnie wzniesiony podbródek; lewą rękę trzymał na gardzie szpady, prawą zaciskał na piersi kołnierz delii.

Bywa czasem w twarzy i ruchach człowieka tyle wyrazu, takie, można by rzec, promieniowanie ducha, że cały tłum patrzących musi o nim wydać sąd zgodny i jedyny. Twarz i zachowanie brata Cristoforo mówiły jasno, że tym, co kazało mu przywdziać habit i przywiodło do tego domu, w którym miał się upokorzyć, nie był żaden ludzki strach; wszyscy obecni ujrzeli go w innym świetle. On zaś, widząc przed sobą tego, którego obraził, przyspieszył kroku, ukląkł przed nim, skrzyżował na piersi ramiona i chyląc nisko ogoloną głowę rzekł:

— Jam jest zabójcą waszego brata, panie. Bóg widzi, że chętnie oddałbym własną krew, by mu wrócić życie. Nie mogąc jednak nic krom późnej i na nic nie przydatnej prośby o odpuszczenie, zaklinam was, panie, byście ją w imię boże przyjęli.

Wszystkie oczy wpatrzony były w nowicjusza i w tego,

do kogo przemawiał. Wszystkie uszy słuchały w napięciu. Gdy brat Cristoforo umilkł, przez całą salę przeszedł szmer współczucia i szacunku. Szlachcicem, który z trudem zmusił się być do łaskawej postawy i do spokoju, słowa te wstrząsnęły do głębi. Pochylił się ku klęczącemu.

— Powstańcie — powiedział rwącym się głosem — znie waga... tak jest, w istocie... przecież sukienka, którą nosicie... i nie tylko przez to... lecz dla was. Wstańcież, ojcze... mój brat, nie mogę negocjować, był kawalerem... był człowiekiem nieco porywczym... zbyt żywym. Co się dzieje, dzieje się za wolą bożą; dość o tym... ale, ojcze, nie przystoi wam ta pozycja... — i, ująwszy mnicha pod ramiona, podniósł go na nogi.

Brat Cristoforo stojąc, ale nie unosząc głowy, zapytał:

— Mogę więc mieć nadzieję waszego, panie, przebaczenia? A jeśli od was je otrzymam, któż inny mógłby mi go odmówić? Ach, gdybym mógł usłyszeć z ust waszych, panie, to słowo: „Przebaczam!”

— Przebaczenie?—odparł gospodarz. — Nie potrzebujecie go już, ojcze. Skoro go jednak pożąacie, przebaczam wam z całego serca, ja i wszyscy...

— Wszyscy! Wszyscy! — zakrzyknęli jednym głosem zgromadzeni.

Twarz mnicha rozjaśniła się radosną wdzięcznością, przez którą przebijał zresztą wyraz głębokiej pokory i żalu za czyn, którego ludzkie przebaczenie nie mogło naprawić. Szlachcic poruszony tym widokiem i podniosłym nastrojem obecnych otoczył ramionami szyję mnicha, dając mu i otrzymując od niego pocałunek pojednania.

— Brawo! Brawo! — rozległy się dokoła okrzyki. Wszyscy poruszyli się i ciasno otoczyli brata Cristoforo.

Równocześnie pojawiła się służba, wnosząc napoje. Gospodarz przysunął się do Cristofora, który gestami dawał do poznania, że pragnie już odejść, i rzekł:

— Ojcze, zechciejcie pokosztować czegoś. Dajcie mi ten dowód przyjaźni.

I zaczął go częstować przed innymi; mnich wzbraniał się jednak.

— Te rzeczy — mówił — już nie dla mnie. Ale niech Bóg broni, bym miał odmówić waszego, panie, daru... Czekajcie mnie podróż; kaźcie, panie, podać mi chleba, abym mógł

powiedzieć, że korzystałem z waszej gościnności, że pożywałem chleb wasz na dowód, żeście mi wybaczyli.

Wzruszony szlachcic wydał natychmiast odpowiednie rozkazy; zaraz też zjawił się pokojowiec w galowej liberii z bochenkiem chleba na srebrnej tacy i skłonił się przed kapucynem. Ten wziął chleb, podziękował, włożył go do swej sakwy i poprosił o pozwolenie odejścia. Uściskawszy raz jeszcze pana domu oraz tych wszystkich, którzy stali bliżej i zdołali się do niego docisnąć, z trudem wy dostał się z sali. W sieniach zmuszony był wywalczyć sobie przejście przez tłum służby i bravich, wszyscy bowiem chcieli całować kraj jego habitu, sznur i kaptur zakonny. Wreszcie znalazł się na ulicy, niesiony jak tryumfator przez tłum ludu, który towarzyszył mu aż do bramy miejskiej. Stamtąd rozpoczął swoją pieszą wędrówkę do miejsca, w którym odbywać miał nowicjat.

Tak to brat zabitego i wszyscy jego krewniacy, którzy spodziewali się upajać dnia tego ponurym tryumfem swej pychy, zaznali na to miejsce spokojnej radości odpuszczenia i dobrej woli. Całe towarzystwo pozostało jeszcze czas pewien w domu krewnego, odnosząc się do siebie wzajem niezwykle życzliwie i serdecznie, prowadząc rozmowy, jakich się nikt, idąc tam, nie spodziewał. Nie rozprawiano o krwawych sporach, pomszczonych zniewagach, ale chwalono postępek nowicjusza, sławiono zgodę i wzajemną życzliwość. Ten, kto miał już na końcu języka opowieść — pięćdziesiąt razy przez wszystkich słyszaną — o tym, jak jego ojciec, hrabia Muzio, potrafił w jakimś słynnym sporze osadzić na miejscu margrabiego Stanisłao, powszechnie znanego samochwała — zamiast tego sławił pokorę i zadziwiającą cierpliwość pewnego brata Simone, zmarłego przed kilku laty. Gospodarz, zupełnie wytrącony z równowagi, długo jeszcze po rozejściu się gości ze zdumieniem przebiegał myślą to wszystko, co tego dnia usłyszał i co sam mówił.

— Diabeł z tego mnicha — mrucał przez zęby (czujemy się w obowiązku przytoczyć tu bez zmiany jego słowa). —

Diabeł z tego mnicha! Gdyby tak klęczał jeszcze chwilę dłużej, sam zacząłbym go przepraszać za to, że mi brata ubił... Od tego dnia — czytamy to wyraźnie w naszym rękopisie — szlachcic ten nie był już takim pasjonatem i łatwiej z nim było dojść do ładu.

Tymczasem ojciec Cristoforo wędrował, czując w sobie radość, jakiej nie zaznał ani przez chwilę od owego tragicznego dnia, którego odkupieniu poświęcić miał całą resztę swego życia. Zachowywał milczenie, jakie reguła nakazywała nowicjuszom, nawet tego nie spostrzegając, tak dalece pogrążony był w rozmyślaniu o trudach, wyrzeczeniach i upokorzeniach, jakie pragnął przecierpieć dla odpokutowania swego grzechu. W porze przeznaczonej na posiłek zatrzymał się w domostwie jednego z dobrodziejów klasztoru i z przedziwną radością w duszy zjadł swój chleb pojednania, zachowując w sakwie mały jego kawałek na wieczną rzeczy pamiątkę.

Nie mamy tu zamiaru opowiadać o jego życiu zakonnym. Wystarczy wspomnieć, że wypełniając sumiennie i zawsze chętnie obowiązki, jakie nań nakładano, to jest kaznodziejstwo i asystowanie konającym, nie zaniedbywał też nigdy dwóch innych, które sam sobie narzucił: godzenia sporów i bronienia uciśnionych. Grały tu pewną rolę, choć sam Cristoforo nie zdawał sobie z tego sprawy, dawne jego przyzwyczajenia i ostatnie ślady wojowniczego ducha, którego pokora i umartwienia nie zdołały całkowicie zeń wyplenić. Mowa jego była zazwyczaj pokorna i stateczna; ilekroć jednak wypadło stanąć w obronie prawdy i sprawiedliwości, budziła się w nim dawna gwałtowność, co w połączeniu z pewną uroczystą emfazą, będącą nawykiem kaznodziejstwa, nadawało mowie ojca Cristoforo szczególną siłę. Jego wygląd i zachowanie nosiły piętno zaciętych i długotrwałych walk, „toczonych pomiędzy zapalczym, skorym do gniewu i uraz usposobieniem a niezłomną wolą, przeważnie zwycięską, zawsze zaś czujną, zawsze posłuszną wyższym nakazom. Jeden z jego współbraci i bliski, dobrze go znający przyjaciel przyrównał go kiedyś do pewnych słów, zbyt ostrych w swym właściwym brzmieniu, a wymawianych często przez wykształconych nawet, ale popędliwych ludzi, niewyraźnie, w niedbałym skrócie; przecież nawet w tej kalekiej postaci zachowują owe słowa coś ze swej pierwotnej energii.

Gdyby jakaś nie znana mu, uboga dziewczyna, znalazłszy się w położeniu Lucji, zwróciła się o ratunek do ojca Cristoforo, niewątpliwie pospieszyłby na jej wezwanie. Z tym większą skwapliwością wyruszył w drogę, skoro chodziło o Lucję, którą znał i której urok niewinności go zachwy

cał, a niebezpieczeństwo, jakie jej zagrażało; już przedtem napełniało go troską. Haniebne zakusy, jakich stała się przedmiotem, budziły w nim święte oburzenie. Przy tym pamiętał radę, jakiej poprzednio jej udzielił: żeby była spokojna i nic nie mówiła nikomu; teraz obawiał się, czy rada ta nie okazała się zgubną w skutkach; Toteż oprócz zwykłej gotowości pomagania bliźnim odczuwał dręczący niepokój, do jakiego tylko dobrzy ludzie są zdolni. Podczas kiedy opowiadaliśmy tu dzieje ojca Cristoforo, on sam doszedł do celu i ukazał się w drzwiach. Obie kobiety zerwały się na jego widok od furkoczących kołowrotek, wypuściły z ręki motowidła i zawołały obie równocześnie: — O ojciec Cristoforo! Niech ojca Bóg błogosławi!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ojciec Cristoforo zatrzymał się na progu. Pierwsze zaraz spojrzenie na obie kobiety powiedziało mu, że jego obawy nie były płonne.

— A więc? — odezwał się tonem, który zdawał się wybiegać złym wieściom naprzeciw; uniósł przy tym brodę ku górze, lekko odchylając do tyłu głowę i patrząc pytającym wzrokiem.

Odpowiedział mu wybuch płaczu Lucji. Matka zaczęła bąkać jakieś usprawiedliwienia, że ośmieliły się... ale mnich wszedł do izby, usiadł na niskim trójnogu i uciął krótko te przeproszenia mówiąc do Lucji:

— Uspokój się, biedna córko moja. A wy — zwrócił się do Agnese — opowiedzcie mi wszystko po porządku.

Pocziwa niewiasta rozpoczęła, jak umiała, ponurą opowieść; słuchając jej kapucyn mienił się na twarzy, to wznosił oczy ku niebu, to znów tupał gniewnie nogą. Kiedy Agnese zamilkła, ukrył twarz w rękach i wykrzyknął: — Święty Boże! Jak długo jeszcze... Urwał i, nie kończąc zdania, zwrócił się do kobiet.

— Biedaczki — rzekł. — Bóg was doświadczył. Biedna Lucja!

— Ojciec nas nie opuści? — zapytała szlochając dziewczyna.

— Opuścić was! — powiedział. — Jakimże czołem mógłbym prosić Boga o łaskę dla siebie, gdybym was opuścił? W takim położeniu! Was, które On mi powierzył! Nie traćcie otuchy. On wam dopomoże. On widzi wszystko; może posłużyć się tak marnym jak ja człowiekiem, aby pognębić takiego... ale teraz pomyślmy, co nam czynić wypada. To rzekłszy podparł twarz dłonią, a łokieć kolanem, drugą ręką ścisnąwszy podbródek ruchem znamionującym na

pięć myśli. Ale im głębiej się zastanawiał, tym jaśniej uprzytamniał sobie, jak dalece zawila i groźna była ta sprawa i jak nieliczne, wątpliwe i niebezpieczne środki ratunku. „Zawstydzić don Abbondia, ukazać mu, jak bardzo sprzeniewierzył się swoim „obowiązkom? Zarówno wstyd jak obowiązek nic dla niego nie znaczą, kiedy się boi. A więc nastraszyć go? Jakież mam sposob wzbudzenia w nim trwogi większej niż ta, jaką odczuwa na myśl o kuli w plecy? Powiadomić o wszystkim arcybiskupa, powołać się na jego władzę? To długo potrwa. Cóż zatem? A nawet gdyby ta biedna dziewczyna była zaślubiona, czy byłoby to hamulcem dla tego człowieka? Któż zdoła przewidzieć, do czego on jest zdolny? Oprzeć mu się siłą? Ach, gdybym zdołał — rozmyślał zgnębiony — uzyskać pomoc moich braci tutejszych i tych w Mediolanie! Ale to nie jest zwykła sprawa; nie stanęliby przy mnie. Ten człowiek mieni się przyjacielem klasztoru, protektorem kapucynów. Małoż to razy jego bravi u nas się chronili! Byłbym sam jeden. Okrzyczano by mnie niespokojnym duchem, warchołem, zawadiaką. A co gorsza, mógłbym nierozważnym jakimś krokiem pogorszyć jeszcze położenie tej biedaczki.”

Rozważywszy wszystkie za i przeciw każdej z tych możliwości, kapucyn doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie stawić czoło samemu don Rodrigowi, spróbować odwieść go od jego niecznych zamysłów albo prośbą, albo groźbą kary na tamtym, a może i na tym świecie. W najgorszym razie zdoła może tą drogą dowiedzieć się, jak dalece ten człowiek chce się upierać przy swojej niegodziwości, odkryje jego zamiary i wyciągnie stąd wskazówki do dalszego działania.

Podczas gdy kapticy trwał tak w rozmyślaniach, Renzo, z przyczyn, które każdy łatwo odgadnie, nie mogąc wytrzymać z dala od tego domu, ukazał się we drzwiach. Ale widząc pogrążonego w myślach mnicha i kobiety na migi nakazujące ciszę, zatrzymał się u progu w milczeniu. W końcu brat Cristoforo podniósł głowę chcąc oznajmić kobietom swoje plany, spostrzegł młodzieńca i powitał go z serdeczną życzliwością, spotęgowaną jeszcze przez współczucie.

— Czy powiedziano już ojcu? — zapytał Renzo głosem nabrzmiałym niepokojem.

— Niestety. Dlatego tu przyszedł.

— I co ojciec mówi o tyra łajdaku?

— A cóż o nim rzec mogę? Nie ma go tutaj, nie wysłucha. Na cóż się zdadzą moje słowa? Tobie, Renzo, mówię natomiast: zaufaj Bogu, a Bóg cię nie opuści.

— Błogosławione słowa ojca! — wykrzyknął młodzieniec. — Ojciec nie z tych, co każdą winę zrzucają na biedaków! Ale ksiądz proboszcz, ale ten doktor od zatraconych spraw...

— Nie zaczynaj znów tego, Co na nic się nie zda, a jeno ciebie na darmo rozjątrza. Jestem tylko ubogim braciszkiem, ale com rzekł tym niewiastom, to i tobie powtarzam: co w mojej mocy leży, w tym wam dopomogę.

— Ach, ojciec nie jest taki, jak ci wszyscy moi rzekomi przyjaciele!, Łgarze! Kto wierzyłby w to wszystko, co mi kładli w głowę w szczęśliwych czasach! Ha, ha! Radzi by krwi dla mnie utoczyć! Broniliby mnie przeciw samemu diabłu! Miałbym wroga? Toć starczyłoby rzec im słówko: wnet już by chleb jeść przestał! A dziś? Żeby ojciec słyszał, jak się odzegnują...

Spojrząwszy w twarz mnicha zrozumiał nagle, że powiedział coś, co raczej przemilczeć należało. Próbował się wycofać, ale zamiast tego zaplątał się jeszcze gorzej:

— To jest... chciałem rzec... nie myślałem, by... chciałem oto...

— Cóż takiego rzec chciałeś? Hę? Czyżbyś zaczął psuć moje plany, zanim jeszcze mogłem w czyn je wprowadzić? To i lepiej, że ci się zawczasu otwarły oczy. Jakże to? Próbowałeś zbierać przyjaciół? I jakich?! Takich, co gdyby nawet chcieli, nie zdołaliby ci pomóc. Czyż chciał utracić tego jedyne, który dopomóc chce i zdoła? Nie wiesz li o tym, że Bóg jest przyjacielem skrzywdzonych, którzy Mu ufają? Nie wiesz, że słaby nic nie zyska na tym, jeśli wysunie pazury? A gdyby nawet...

Tu uchwycił mocno ramię Renza. Na twarzy jego odmalował się obok dostojnej powagi wyraz głębokiej skruchy. Wzrok opuścił ku ziemi i powiedział z wolna głosem, który jakby wydobywał się spod ziemi:

— A gdyby nawet... Straszliwy byłby to tryumf... Renzo! Czy zechcesz mi zaufać? Co mówię? Mnie? Nędznemu człeczynie, pokornemu braciszкови?... Czy chcesz zaufać Bogu?

— O, tak — rzekł Renzo. — Ten ci jest Panem naprawdę!

— Dobrze więc. Przyrzeknij mi, że nie obrazisz, nie zaczepisz nikogo, że pozwolisz mi się poprowadzić.

— Przyrzekam.

Lucja odetchnęła głęboko, jakby wielki jakiś ciężar spadł jej z piersi, a Agnese powiedziała:

— Doskonale, synu.

— Posłuchajcie, dzieci — podjął brat Cristoforo. — Pójdę dzisiaj pomówić z tym człowiekiem. Może Bóg, zapuka do jego serca i da siłę moim słowom. A jeśli nie, wskaże mi pewnie inną jakąś drogę. Wy tymczasem zostańcie tutaj cicho i cierpliwie, nie pokazujcie się wiele, unikajcie pogwarek z ludźmi. Dziś wieczór, najdalej jutro rano, oczekujcie mnie tu znowu.

To rzekłszy odszedł nie słuchając podziękowań i błogosławieństw i wrócił do klasztoru. Przybył tam w sam czas, by odśpiewać sekstę, po czym zjadł śniadanie i wyruszył znowu, udając się do jaskini bestii, którą próbować miał ugłaskać.

Zamczysko don Rodriga stało na kształt samotnej skały na szczycie jednego z pagórków wznoszących się w pobliżu jeziora. Do tego określenia nasz anonim dodaje tylko, że miejsce to (na dobrą sprawę byłoby lepiej, gdyby wyjawiał po prostu jego nazwę) leżało powyżej rodzinnej wioski dwojga młodych, odległe od niej może o trzy mile, a od klasztoru o cztery. U podnóża pagórka, ku południowi, czyli w kierunku jeziora, widniała grupka chat zamieszkałych przez wieśniaków, poddanych don Rodriga; była to jak gdyby mała stolica jego państewka. Dość było przejść tamtędy, by nie mieć żadnych wątpliwości co do obyczajów panujących w tej wiosce i warunków, w jakich żyli jej mieszkańcy. Rzuciwszy okiem do wnętrza niskich izb, o drzwiach przeważnie otwartych, dostrzeżono się wszędzie porozwieszane na ścianach strzelby, trąby, motyki, grabie, słomiane kapelusze, siatki, rogi do prochu — wszystko pomieszane. Ludzie, którzy się tam kręcili, byli na ogół krępi, ciemni, z wielką, zmierzwioną, ujętą w siatkę grzywą na głowie. Widziało się starców, których wojowniczy wygląd sprawiał wrażenie, że wciąż jeszcze byli gotowi na byle jaką zaczepkę wyszczerzyć bezżębne już dziąsła. Kobiety miały twarze niemal męskie i muskularne ramiona, którymi na pewno umiały się niezłe posłużyć w bójce, ilekroć nie starczyło im samych języków.

Nawet dzieci bawiące się na drodze miały w ruchach i zachowaniu coś bezczelnego i zaczepnego.

Brat Cristoforo minął wioskę i stromą, ślimakowato wijącą się drogą dostał się na mały plac przed zamkiem. Brama była zamknięta na znak, że pan tego domu ucztuje i nie chce, by mu przeszkadzano. Nieliczne i wąskie okna od strony drogi miały zmurszałe i obluźnione ramy, ale opatrzone były za to mocnymi kratami. Okna parteru umieszczone były tak wysoko, że chcąc ich dosięgnąć musiałby człowiek stanąć na ramionach drugiego. Cisza panowała tam niezmacona, tak że przechodzień mógłby wziąć zamek za opuszczoną siedzibę, gdyby cztery postacie — dwie żywe i dwie martwe — symetrycznie rozmieszczone na zewnątrz bramy, nie świadczyły, że jest inaczej. Na obu połowach wrót przybite były dwa ogromne sępy z rozpostartymi skrzydłami i zwisającymi w dół głowami; jeden wyleniały i mocno dotknięty zębem czasu, drugi jeszcze świeży i w pełnym upierzeniu. Poniżej, na dwóch ławkach po obu stronach bramy siedziało w niedbalej postawie dwóch brawich, trzymając straż w oczekiwaniu chwili, kiedy zostaną wezwani do uraczenia się resztkami z pańskiego stołu.

Mnich przystanął, gotując się do cierpliwego czekania. Ale jeden z brawich podniósł się z ławy mówiąc:

— Raczcież wejść dalej, ojcze. Tutaj nie daje się czekać kapucynom; jesteśmy przecie klasztorowi życzliwi. A ja sam niejedną raz tam zajrzałem, kiedy na zewnątrz powietrze było dla mnie niezdrowe. Gdyby ojcowie zamknęli mi wtedy drzwi przed nosem, marny byłby mój los.

To rzekłszy uderzył dwukrotnie młotkiem w bramę. Na dźwięk ten odpowiedziało z wnętrza groźne ujadanie i hałaśliwy jazgot szczeniaków, a w chwilę potem nadszedł stary odźwierny zrzędząc mrukliwie. Kiedy jednak zobaczył przybyłego, zgiął się w głębokim ukłonie, krzykiem i machaniem rąk uciszył psy, wprowadził gościa na wąski podwórzec i zamknął na powrót bramę. Następnie, wiodąc go do sali i przyglądając mu się z podziwem, spytał niepewnie:

— Czy ojciec nie jest... ojcem Cristoforo z Pescarenico?

— Jam jest.

— Ojciec... tutaj?

— Jak widzicie, pocziwy człeczce.

— Chyba jakiś dobry uczynek tu ojca sprowadza... Wszędzie — ciągnął mamrocząc przez zęby — wszędzie widać można dobrze czynić!...

Minąwszy dwie czy trzy ciemne sale stanęli u drzwi tej, w której ucztowano. Dochodził stamtąd głośny hałas, szcęk widelców, noży, kieliszków i talerzy, a zwłaszcza zgiełk pomieszanych, donośnych głosów, z których każdy usiłował przekrzyknąć pozostałe. Mnich chciał się wycofać, ale podczas gdy spierał się ze starym sługą tłumacząc mu, że chce doczekać się końca uczyty w jakimś ustronnym kącie zamku, drzwi otworzyły się nagle. Niejaki hrabia Attilio, siedzący na wprost wejścia (był to ów krewniak don Rodriga, o którym była już uprzednio wzmianka, chociaż bez imienia), spostrzegłszy wygoloną głowę i zakonną suknię, widząc też skromne wycofywanie się mnicha począł wołać głośno:

— Hej, tam, nie uciekajcie nam, ojcze wielebny! Prosim tutaj!

Don Rodrigo, nie domyślając się przyczyny tych odwiedzin, doznał jednak jakiegoś niejasnego przeczucia, które ostrzegało go przed gościem. Ale skoro ten paliwoda Attilio tak się zachował, nie wypadło mu pozostać w tyle, rzekł więc:

— Proszę wejść, ojcze, proszę.

Mnich zbliżył się, ukłonem witając gospodarza i odpowiadając gestami obu rąk na powitania obecnych.

Myśląc o człowieku uczciwym, stojącym oko w oko z niegodziwcem, ludzie (nie wszyscy, oczywiście) lubią go sobie wyobrażać z wzniesionym czołem, pewnym siebie spojrzeniem, w dumnej postawie, przemawiającego płynnie i śmiało. W rzeczywistości jednak na przyjęcie takiej postawy musi się złożyć wiele rozmaitych okoliczności, które w rzadkich tylko wypadkach zachodzą wszystkie naraz. Nie dziwcie się zatem, że brat Cristoforo, mając czyste sumienie i silne przeświadczenie o słuszności sprawy, której przyszedł bronić, odczuwając przy tym względem don Rodriga mieszaninę odrazy i litości, przeciw w pokornej i nieśmiałej postawie zjawił się przed obliczem tegoż don Rodriga widząc go u szczytu stołu w jego własnym domu, ba — we własnym królestwie, otoczonego przyjaciółmi, hołdami, wszelkimi oznakami potęgi, z wyrazem twarzy takim, że przybyłemu słowa zamierały na ustach. Nawet

słowa prośby; a cóż dopiero mówić o udzielaniu rad, o napomnieniach, o gromieniu...

Po prawej ręce gospodarza siedział hrabia Attilio, jego kuzyn i — czyż trzeba dodawać — towarzysz hulanki i wszelkich wybryków, przybyły do niego z Mediolanu na kilkudniową wilegiaturę. Po lewej — z drugiej strony stołu — zasiadał w postawie pełnej szacunku dla gospodarza, ale z wyrazem pewności siebie i samochwalstwa, imć podesta, ten sam, który w zasadzie winien byłby wymierzyć sprawiedliwość Renzowi Tramaglino, a don Rodrigowi przytrzeć rogów. Miejsce naprzeciw podesty zajmował, całą swoją postacią wyrażając najczystszy, najgłębszy, niczym nie zmacony szacunek, nasz doktor Azzeccagarbugli w czarnym płaszczu i z nosem bardziej jeszcze niż zazwyczaj purpurowym. Wreszcie naprzeciw obu kuzynów siedziało dwóch ostatnich gości, o których tyle tylko wiadomo, że jedli, kiwali uprzejmie głowami, uśmiechali się i potakiwali każdemu słowu, które jeden z biesiadników wypowiedział, a żaden inny mu nie zaprzeczył.

— Krzesło dla ojca — rozkazał don Rodrigo. Natychmiast lokaj podał krzesło i brat Cristoforo usiadł, usprawiedliwiając się przed gospodarzem z przybycia tak nie w porę.

— Pragnąłbym pomówić w cztery oczy, za łaskawym zezwoleniem, w nader poważnej materii — dodał ciszej, nachylając się do ucha don Rodriga.

— Dobrze, dobrze, pomówimy — odpowiedział tamten. — Ale najpierw niechże tu podadzą ojcu coś do picia.

Mnich próbował się wymawiać, ale don Rodrigo podnosząc głos pośród rozbrzmiewającego na nowo gwaru wykrzyknął:

— Nie, na honor, tego. mi ojciec nie uczyni! Nie będzie powiedziane, że kiedykolwiek kapucyn wyszedł z tego domu nie skosztowawszy mego wina, a natrętny wierzyciel — kijów z mego lasu!

Słowa te wywołały ogólny śmiech, przerywając na chwilę gorący jakiś spór pomiędzy biesiadnikami. Służący wniósł na tacy flaszkę wina wraz z wysmukłym kielichem i postawił je przed gościem. Ów nie chcąc dłużej opierać się tak usilnemu zaproszeniu ze strony człowieka, którego życzliwości bardzo w tej chwili potrzebował, nalał sobie wina i zaczął sączyć je powoli.

— Na nic się nie zda powoływać na Tassa, czcigodny panie podesto! Jest on zgoła przeciwnego niżli waćpan mniemania — zaczął znów wrzeszczeć don Attilio. — Ów mąż uczony, ów mąż wielki, co w małym palcu miał wszelki rycerski obyczaj, kazał przecie wysłańcowi Arganta, zanim tenże wyzwał chrześcijańskich rycerzy, prosić o zezwolenie pobożnego Gotfryda...

— Toż to — niemniej krzykliwie zareplikował podesta — jest jeno jeden więcej poetycki ornament, skoro poseł jest z natury swej nietykalny, wedle prawa narodów — *jure gentium*; nie szukając nawet tak daleko, mówi przecie przysłowie: „Poseł winy nie ponosi.” A przysłowia, panie hrabio, są mądrością ludzkiego rodzaju. Skoro zaś poseł nie rzekł nic od siebie, jeno wręczył wyzwanie na piśmie...

— A czyż waćpan nie pojmujesz, że ów wysłannik był zuchwałym osłem bez żadnej zgoła ogłady?

— Za pozwoleniem waćpanów — wtrącił się don Rodrigo nie chcąc dopuścić, by kłótnia zaszła zbyt daleko — oddajmy spór pod sąd ojca Cristoforo i zgódźmy się na to, co on orzeknie.

— Przednio, doskonale — rzekł hrabia Attilio, któremu myśl poddania sprawy honorowej pod sąd kapucyna wydała się niezwykle dworna; natomiast podesta, bardziej zajadły i głębiej biorący ów spór do serca, z trudem panował nad sobą, a wyraz jego twarzy jasno mówił: „dziecinada”.

— Ależ, z tego, co tu usłyszałem, wnoszę, że nie są to sprawy, na których bym się rozumiał — bronił się kapucyn.

— Zwykle wymówki, zwykła skromność wielebnych ojców — odparł don Rodrigo. — Nie uda się ojcu wymigać. No, śmiało, toć wiadomo nam, że ojciec nie urodził się w zakonnym kapturze i znał świat w swoim czasie. Otóż rzecz jest taka...

— To było tak... — przerwał krzykliwie don Attilio.

— Pozwólże mówić mnie, jako z boku patrzącemu — ciągnął don Rodrigo. — Sprawa jest taka: pewien hiszpański kawaler posyła wyzwanie mediolańczykowi; posłaniec, nie zastawszy wyzwanego w domu, powierza pismo jego bratu. Ów brat odczytuje wyzwanie i jako odpowiedź łoi kijem wysłańca. Otóż chodzi o to...

— Dobrze pomyślane, dobrze wykonane! — wrzasnął don Attilio. — To było istne natchnienie...

— ...szatana — dokończył podesta. — Obić posła! Osobę świętą! Chyba przyzna ojciec, że nierycerski to postępek.

— Owszem, mości panie, zgoła rycerski! — krzyczał hrabia. — Pozwól to sobie powiedzieć, że wiem, co szlachcicowi przystoi. Gdyby to poszło na pięści, ha — to rzecz inna. Ale kij nie kała niczyjej ręki. Pojąć nie mogę, czemu tak się waćpan troszczysz o plecy byle obwiesia!

— Któż tu mówi o plecach, mości hrabio? Przypisujesz mi wasza miłość myśli, jakie mi ani w głowie nie powstały.

O funkcji mówiłem, nie o plecach. Prawo narodów przede wszystkim! Niechże mi wasza miłość odpowie, jeśli łaska, czy fećjałowice, których starożytni Rzymianie posyłali do innych ludów z wypowiedzeniem wojny, pytali kogo, zali im

wolno poselstwa dopełnić? A może wskaże mi hrabia takiego pisarza, który wspomina o tym, by jakikolwiek fecjał został kiedy wygrzmocony kijem?

— A co mnie obchodzą jakowis oficjali starożytnych Rzymian? Może byli oni i niegłupi, przecie w tej materii byli daleko, daleko za nami. Za to wedle nowożytnego rycerskiego obyczaju, któren jest jedyny prawdziwy i słuszny, powiadam i obstaję przy tym: posłaniec, jeśli ma czelność wręczyć szlachcicowi wyzwanie nie otrzymawszy odeń zezwolenia, jest zuchwalcem po stokroć tykalnym, po stokroć bijalnym...

— Proszę p rozważenie takiego sylogizmu...

— Nie! Nie i nie!

— A toć posłuchajże, mości hrabio, posłuchajże: napadać na bezbronnego jest czynem zdradzieckim; atqui wysłannik de quo znajdował się bez broni; ergo...

— Powoli, powoli, mości podesto!

— Co powoli?

— Powoli, mówię. Cóż mi to waćpan prawisz? Czyn

zdradziecki to pchnięcie szpadą od tyłu albo strzał w plecy; a nawet i to w poniektórych wypadkach... ale wracajmy do rzeczy. Zgadzam się, iż gdyby to o inną szło osobę, można by taką rzecz mienić czynem zdradzieckim; ale dać parę kijów hołyszowi! To by dopiero pięknie było, gdyby tak trzeba było go ostrzegać: „Uwaga! Zamierzam wyłoić asana!”, jak mówi się szlachcicowi: „Dobrywaj szpady!” No a waćpan, czeigodny mości doktorze, miast uśmiechać się drwiąco i na migi pokazywać, że moje mniemanie podzielasz, czemu nie podeprzesz moich wywodów swoją niezgorszą kołatką, aby pojmóc mi perswadować temu panu?

— Ja — odpowiedział doktor zmieszany — z rozkoszą się tej uczonej dyspućie przysłuchuję; wdzięczny jestem szczęśliwemu przypadkowi, który tak piękną batalię umysłów wywołał. Wreszcie nic przystoi mi tu wypowiadać swego mniemania, skoro jego wielmożność raczył już powołać sędziego — tego oto wielebnego ojca.

— To prawda — odezwał się don Rodrigo. — Ale jakże chcecie, by sędzia przemówił, skoro wojujące strony ani na moment zamilknąć nie chcą?

— Już jestem niemy — powiedział don Attilio.

Podesta zacisnął wargi i unióśł dłoń do góry gestem poddania.

— Ach, niechaj niebu będą dzięki! Na was kolej, ojczcie! — rzekł don Rodrigo z nieco drwiącą powagą.

— Za pozwoleniem, nie rozumiem się na tym, jakom rzekł już przedtem — odparł brat Cristoforo oddając swój kielich pachołkowi.

— Mizerna wymówka! — zawołali obaj kuzyni. — Czekamy wyroku!

— Skoro już koniecznie — podjął mnich — to rzekę: wedle mego skromnego mniemania, nie powinno być ani wyzwań, ani posłańców, ani kijów!

Biesiadnicy spojrzeli na siebie wzajem, osłupieni.

— No, toś już ojciec przeholował — odezwał się hrabia Attilio. — Wybaczycie ojciec, ale to już za wiele. Widać w samej rzeczy, że ojciec nie zna świata.

— On? — rzekł don Rodrigo. — Alboż muszę ci to przypominać, kuzynie? Zna on świat równie dobrze jak ty. Nieprawdaż, ojczcie? Zali ojciec nie miał takóž pewnych sprawek na sumieniu?

Przemilczawszy to uprzejme zapytanie mnich powiedział sobie w duchu: „Teraz zabiorę się do ciebie. Przecie nie wolno ci zapomnieć, braciszku, żeś nie przyszedł tu dla siebie i to, co ciebie jeno dotyczy, nie ma tu znaczenia.”

— Może być — odparł kuzyn. — Ale ojciec... jakże ojcu na imię?

— Ojciec Cristoforo — odpowiedziało kilku biesiadników.

— A zatem, ojciec Cristoforo, ojciec przewielebny, z takimi maksymami chciałby chyba ojciec świat wyrzucić do góry nogami. Bez wyzwania! Bez kijów! A cóż by się stało z honorem? Bezkarność dla wszelkiego łajdactwa! Szczęśliwie, zaiste, że to nigdy nastąpić nie może!

— Dalej, doktorze! — wykrzyknął don Rodrigo rad ożywić dysputę i rozszerzyć ją na resztę obecnych. — Dalej! Toć przecie jesteś waćpan mężczyzną, mimo że zwykłeś każdemu przyznawać rację. Obaczmyż, jak też waćpan dokażesz tego, by przyznać rację bratu Cristoforo.

— W istocie — rzekł doktor z uniesionym w górę widelcem zwracając się do mnicha — w istocie pojąć nie mogę, że ojciec Cristoforo, doskonały sługa boży i mąż światowy w jednej osobie, nie zastanowił się, iż jego maksyma, słuszna, piękna i powagi pełna, póki na papierze, przecież funta kłaków niewarta, nie obrażając nikogo, w dyspacie między szlachetnie urodzonymi. Ale ojciec wie lepiej, ode mnie, jako każda rzecz dobra jest na przynależnym jej miejscu; mniemam zatem, że sobie z nas jeno zażartował, by się tym sposobem wymigać od wydania wyroku.

Cóż można było odpowiedzieć na te wywody zrodzone z mądrości tak odwiecznej, a zawsze świeżej? Nic. Tak też uczynił nasz kapucyn.

Lecz don Rodrigo, chcąc przeciąć dyskusję na jeden temat, rozpętał za to inną.

— Ale, ale — powiedział. — Słyszałem, jakoby w Mediolanie mówiło się o układach.

Jak czytelnikowi wiadomo, w roku tym wrzała walka o sukcesję księstwa Mantui. Po śmierci Vincenza Gonzagi, który nie pozostawił legalnego potomstwa, Mantuą zawładnął, jako najbliższy krewny, książę Nevers. Ludwik XIII, a raczej kardynał Richelieu, popierał tego księcia jako swego stronnika i naturalizowanego Francuza.

Filip IV, a właściwie hrabia Olivares, powszechnie zwany „hrabiąksięciem”, z tych samych powodów nie życzył sobie księcia Nevers w Mantui i wypowiedział mu wojnę. A ponieważ księstwo to stanowiło lenno cesarskie, obie strony prośbą i groźbą starały się wymóc na cesarzu Ferdynandzie II — jedna, aby nadał nowemu księstwu inwestyturę, druga, aby inwestytury odmówił oraz dopomógł wypędzić księcia z państwa.

— Nie trudno mi uwierzyć — powiedział hrabia Attilio — że sprawy mogą się ułożyć. Mam po temu pewne dane...

— Nie wierz temu, mości hrabio, nie wierz temu — przerwał podesta. — Wiem ja coś o tym, choć siedzę w moim kącie; pan kasztelan hiszpański, który raczy darzyć mnie swoją przyjaźnią, a będąc synem ulubieńca hrabięksięcia wie dobrze, co się święci...

— A ja powiadam waćpanu, że nie ma i dnia w Mediolanie, żebym nie gadał z ważniejszymi odeń personami. Wiem z pewnego źródła: papież, któremu na pokoju wielce zależy, przedłożył propozycje...

— I tak właśnie być powinno. Jego świątobliwość spełnia swój obowiązek. Rzeczą papieża jest zawsze dążyć do zgody pomiędzy chrześcijańskimi książętami. Ale hrabięksiężę ma swoją własną politykę i...

— Eh, wiesz waćpan, co sobie o tym myśli cesarz? Zdaje się waćpanu, że na Mantui świat się kończy? Ma cesarz wiele innych rzeczy do myślenia... czy masz waćpan, na przykład, pojęcie, jak dalece może dziś cesarz ufać temu swojemu księciu Valdistiano czy Vallistai, czy jak go tam zwą, lub czy...

— Prawdziwe jego nazwisko w niemieckim języku — przerwał znowu podesta — jest Vagliensteino; nierazem słyszał, jak nasz kasztelan hiszpański tak to wymawiał. Otóż, choćby nie wiem jak chciał...

— Mnie chcesz waćpan uczyć? — przerwał hrabia. Ale don Rodrigo rzucił mu spojrzenie mówiące jasno, by wreszcie, na miły Bóg, przestał się kłócić. Hrabia zamilkł, podesta zaś, niby statek uwolniony z mielizny, wypłynął pod pełnymi żaglami na fale swej elokwencji.

— O Vagliensteina nie troskam się zbytnio; hrabiaksiążę ma oko na wszystko i gdyby Vagliensteinowi przyszła chętka pobrykać, potrafi go ukrocić bądź łagodnością, bądź srogością. Ma oko na wszystko, powtarzam, i ręce ma długie; a skoro zechciał wbić ćwiek tak, a nie inaczej, skoro umyślił sobie jako mądry polityk, którym jest bez wątpienia, że książę di Nivers nie ma w Mantui zapuścić korzeni, to ich książę di Nivers nie zapuści; zaś wielebny kardynał di Riciliu próżno będzie się starał robić w wodzie dołki. Śmiech mnie bierze, kiedy wspomnę tego pocziwca, pana kardynała: nastawiać rogi na takiego męża jak nasz hrabiaksiążę, na Olivaresa! Jak mi Bóg miły, chciałbym urodzić się na nowo za dwieście lat i usłyszeć, jak też potomni osądzą zachciankę tak zuchwałą! Sama zawiść — to jeszcze mało. Tutaj potrzeba tęgiej głowy, a drugiej takiej głowy jak hrabiegoksięcia nie znajdziesz na świecie... — ciągnął podesta, wciąż mając wiatr od rufy i sam dziwiąc się nieco, że żadnych raf na swoim szlaku nie spotyka. — Hrabiaksiążę, moi panowie, to szczwany lis (mówię to z należyтым respektem), który każdemu trop zmylić potrafi; patrzy niby to na prawo — bądźcie spokojni, na pewno w lewą stronę da nura. Nie znajdziecie takiego, kto by mógł się poszczycić, że przejrzał jego zamysły. Nawet ci, co je wykonują, ci, co piszą pod jego dyktando, także nic nie pojmują. Wiem ci ja dobrze, co mówię; ten zacny nasz kasztelan zaszczyca mnie, jak wiecie, pewną konfidencją. Hrabiaksiążę, ba, ten dobrze wie, co się warzy w garnkach wszystkich dworów. Zaledwie ci wielcy politycy (a są sprytni pośród nich, nie mogą negocjować) coś obmyślą, już hrabiaksiążę odgadnie wszystko od A do Z przy pomocy tej swojej głowy, tych swoich krętych ścieżek, tych nici, co je wszędy tajemnie poprzeciąga... Kardynał Riciliu, biedaczysko, miota się tu, węszy tam, poci się, głowę sobie łamie... i co mu z tego? Gdzie mu się uda minę podkopać, tam wnet natknie się na kontrminę, którą hrabiaksiążę zdążył już podłożyć...

Niebu tylko wiadomo, kiedy nareszcie podesta zawinąłby do portu; ale don Rodrigo, widząc, jak kuzyn wykrzywia twarz w przeróżnych grymasach, odwrócił się jakby pod wpływem nagłego natchnienia do lokaja i kazał mu przynieść pewną wiadomą mu flaszkę.

— Imć podesto i zacni panowie — powiedział — wznoszę kielich na cześć hrabiegoksięcia; oszczędźcie, zali to wino godne jest osoby.

Podesta odpowiedział ukłonem wyrażającym uczucie głębokiej wdzięczności. Cokolwiek bowiem mówiło się albo czyniło na cześć hrabiegoksięcia, zwykł był przyjmować jako należne po części jemu samemu.

— Tysiąc lat niechaj żyje don Gasparo Guzman, hrabia Olivares, książę san Lucar, wielki privato wielkiego króla Filipa, pana naszego! — wykrzyknął wznosząc kielich w górę.

Privato, nie wszyscy to wiedzą, był to często w owym czasie używany termin oznaczający faworyta panującej osoby.

— Tysiąc lat! — zakrzyknęli wszyscy w odpowiedzi.

— Należcie ojcu — rzekł don Rodrigo.

— Proszę o wybaczenie — odpowiedział mnich. — Postąpiłem już wbrew regule i doprawdy...

— Jak to? — zawołał don Rodrigo. — Toast na cześć hrabiegoksięcia! Chciałżeby ojciec dać nam do poznania, jakoby trzymał z Nawarczykami?

Tak nazywano pogardliwie Francuzów od książąt Nawarry, którzy w osobie Henryka IV objęli wówczas nad nimi panowanie.

Na takie dictum wypić należało koniecznie. Wszyscy biesiadnicy poczęli wydawać okrzyki i chwalić wino. Wszyscy z wyjątkiem doktora, którego wzniesiona głowa, wytrzeszczone oczy i zaciśnięte usta mówiły więcej, niż zdołałyby wyrazić słowa.

— Cóż waćpan o tym powiesz, doktorze? — zagadnął don Rodrigo.

Wyciągnąwszy z kielicha swój nochał, bardziej niż wino purpurowy i lśniący, doktor przemówił uroczyście, z naciskiem rozdzielając sylaby:

— Mówię, orzekam tudzież wyrokuję, jako jest to Olivares pośród win; censui, et in eam ivi sententiam, jako równego temu likworu nie znajdziesz w żadnej z dwudziestu dwóch krain pod berłem najjaśniejszego naszego pana, którego oby Bóg chronił, pozostających. Oświadczam ponadto, jako uczyt jasnie wielmożnego don Rodriga prze

wyszają słynne uczyt Heliogabala, zaś głód wypędzony jest na wieczne czasy z tego zaniku, którym wspaniałość władza niepodzielnie!

— Dobrze mówi! Znakomicie! — wołali jednym głosem biesiadnicy.

Ale słowo „głód”, przypadkiem przez doktora rzucone, zwróciło raptem wszystkie umysły w tym jednym, posępnym kierunku i wszyscy zaczęli mówić o klęsce' głodu. W tej materii wszyscy, w zasadzie, byli zgodni. Mimo to zgłęb powstał jeszcze większy, niż gdyby zdania były rozbieżne. Mówili wszyscy naraz.

— Głodu nie ma — ktoś stwierdził. — To jeno hurtownicy.

— I piekarze! — zawołał ktoś drugi. — Chowają zboże. Powywieszać ich!

— Pewnie! Powywieszać bez miłosierdzia!

— Wytoczyć ciężkie procesy! — krzyczał podesta.

— Jakie tam procesy! — przekrzykiwał go hrabia Attilio. — Bez sądu! Wziąć trzech czy czterech, pięciu czy sześciu takich, o których wiadomo, że najbogatsi i najchytrzejsi, i powiesić!

— Przykładu trzeba, przykładu! Bez przykładu nic się nie działa.

— Powiesić! Powiesić! Wnet się zboże zewsząd posypie! Ktokolwiek przechodząc przez plac targowy natknął się kiedy na zespół muzykantów w chwili, kiedy między jednym a drugim kawałkiem stroją instrumenty i każdy stara się wydobyć ze swego głos najdonośniejszy, aby go mógł dosłyszeć w otaczającym hałasie, ten może zdoła sobie wyobrazić, jaką harmonię tworzyły poszczególne głosy w tej, jeśli godzi się ją tak nazwać, rozmowie. Głośne pochwały takiego czy innego wina mieszały się z opiniami sądowogospodarczymi, tak że najdonośniej i najczęściej rozbrzmiewały w powszechnym zgłębku dwa wyrazy: „ambrozja” i „powiesić”.

Don Rodrigo raz po raz rzucał okiem na jedyne spośród obecnych, który trwał w milczeniu. Widział go wciąż nieporuszonego, nie przejawiającego zniecierpliwienia czy pośpiechu, nie usiłującego wcale przypominać, że czeka; było jednak coś w jego wyglądzie, co mówiło jasno, że człowiek ten nie odejdzie, dopóki nie zostanie wysłuchany. Gospodarz bardzo byłby raz pozbyć się go i uniknąć roz

mowy. Ale odprawić kapucyna, nie udzieliwszy mu posłuchania, byłoby sprzeczne z jego polityką. Skoro zaś nie było możliwe uniknąć tej nieprzyjemności, postanowił stawić jej czoło natychmiast i jak najprędzej mieć to już za sobą.

Wstał więc od stołu, a w ślad za nim cała zaczerwieniona od picia kompania, nie zaprzestając zresztą swych wrzasków. Przeprosił gości i zbliżył się uprzejmie do mnicha, który podniósł się był wraz z innymi.
— Jestem na rozkazy ojca — powiedział i poprowadził go do drugiej sali.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— W czym mogę ojcu być przydatny? — przemówił don Rodrigo zatrzymując się na środku sali. Tak brzmiały słowa; ale ton, jakim były wypowiedziane, mówił jasno: „Bacz, przed kim stoisz, licz się ze słowami, a nade wszystko — spiesz się.”

Nie było pewniejszego i szybszego sposobu na dodanie odwagi naszemu bratu Cristoforo niż aroganckie potraktowanie jego osoby. On, który idąc za panem domu szukał niepewnie w myśli właściwych słów i przesuwał w palcach paciorki zawieszzonego u pasa różańca, jakby w którymś z nich spodziewał się znaleźć natchnienie do trudnej rozmowy, teraz, po odezwaniu się don Rodriga, poczuł, że na usta ciśnie mu się więcej słów, niżby należało. Ale równocześnie pomyślał, że nie wolno mu psuć własnej — a raczej, co ważniejsza, cudzej sprawy; powstrzymał się więc od wypowiedzenia zdań, które mu się nasuwały, i przemówił z umiarkowaną pokorą:

— Przychodzę prosić o pewną łaskę, a raczej o akt sprawiedliwości. Nieuczciwi ludzie posłużyli się imieniem waszej wielmożności dla nastraszenia pewnego biednego proboszcza, wzbraniając mu spełnienia jego obowiązku i wyrządzając ciężką krzywdę dwojgu Bogu ducha winnym ludziom. Jednego słowa waszej wielmożności starczy, by poskromić onych zuchwalców, przywrócić prawu jego moc, zaś tym dwojgu skrzywdzonym — spokój i radość. Wasza wielmożność może to uczynić; a zatem sumienie i honor...

— O moim sumieniu będzie mi ojciec prawil, kiedy przyjdę spowiadać się u niego. Co zaś się tyczy mego honoru, stróżem jego jestem ja i nikt inny. A ktokolwiek rościłby sobie prawo do troszczenia się oń wraz ze mną, poczytałbym go za zuchwalca, a jego zakusy za zniewagę.

Słowa te ostrzegły brata Cristoloro, że jego rozmówca umyślnie przekręca sens tego, co słyszy, i że chce doprowadzić do kłótni, by w ten sposób nie dać mu dojść do sedna sprawy; przywołał więc cały zasób cierpliwości, na jaki było go stać, postanawiając ścierpieć wszystko, cokolwiek tamtemu spodobałoby się powiedzieć, i rzekł tonem pełnym uległości:

— Jeśli uraziłem czymś waszą wielmożność, stało się to bez wątpienia wbrew mojej intencji. Proszę zgromić mnie i pouczyć, skoro nie umiem mówić tak, jak mi przystoi, ale błagam, niechaj wasza wielmożność raczy mnie wysłuchać. Zaklinam na miłość Boga, tego Boga, przed którego obliczem wszyscy kiedyś stanąć musimy... — to mówiąc ujął w palce i podsunął przed oczy swego gniewnego interlokutora małą, rzeźbioną w drzewie czaszkę, zawieszoną na końcu różańca — aby wasza wielmożność nie upierał się przy odmowie tego czynu sprawiedliwego, tak wszakże łatwego do spełnienia, a tak słusznie onym biedakom należnego. Pamiętajmy, iż oczy Boga są na nich zwrócone, a jęki ich i westchnienia słyszane są w niebiesiech. Niewinność posiada moc, która...

— Ech, ojciec — przerwał gwałtownie don Rodrigo — szacunek, jaki wobec waszej sukienki odczuwam, jest niemały; ale jeśli coś może sprawić, bym o nim zapomniał, to chyba widok onej sukienki na kimś, kto odważa się szpiegować mnie w moim własnym domu!

Słowa te wywołały płomień na twarzy kapucyna. Przełknął je jednak, niby bardzo gorzkie lekarstwo, i podjął:

— Wasza wielmożność sam nie wierzy, bym zasługiwał na takie słowa. Nie wątpię, iż w głębi serca czuje wasza wielmożność, że to, co czynię, nie jest nikczemne ani pogardy godne. Proszę mnie wysłuchać, don Rodrigo. Oby nigdy nie nadszedł dzień, w którym musiałbyś wasza wielmożność żałować, żeś nie zechciał mnie wysłuchać... Nie dozwólcie, panie, by wasza pycha... i jaka pycha, don Rodrigo!... wobec ludzi... i wobec Boga... wasza wielmożność potężny jest na tym padole, a przecież...

— Wie ojciec — przerwał don Rodrigo gniewnie, jakkolwiek w głosie jego brzmiało coś jakby strach — wie ojciec, że jeśli kiedy przychodzi mi zachcianka posłuchać kazania, potrafię pójść do kościoła jak każdy... Ale w do

mu! Och.— ciągnął z wymuszonym uśmiechem wzgardy — ojciec bierze mnie za możniejszego, niż jestem w istocie... Kaznodzieja domowy! Toć trzymają ich jedynie książęta...

— Bóg żąda od książąt zdania rachunku z tych słów Jego, które docierają do ich pałaców; On też żąda od możnych miłosierdzia, posyłając do nich swego sługę, nędznego może i niegodnego, ale przecież sługę bożego, aby prosił za niewinną dziewczyną...

— Z tego wszystkiego, ojciec — przerwał znów don Rodrigo, robiąc ruch, jakby chciał odejść — nie mogę wyrozumieć, do czego w samej rzeczy ojciec zmierza. Jedno widzę jasno, że jakowaś dzierlatka wielce mu leży na sercu. Niechże więc ojciec idzie ze swymi zwierzeniami, dokąd mu się żywnie podoba, ale nie zabiera swymi bredniami czasu szlachcicowi...

Widząc ruch don Rodriga, nasz zakonnik zastąpił mu drogę stanowczo, choć w pozie pełnej szacunku. Wznosząc ręce, zarazem błagalnie i rozkazująco, powiedział:

— Leży mi ona na sercu, to prawda. Nie więcej przecie aniżeli wasza wielmożność. O dwie te dusze, zarówno jedną, jak drugą, troszczę się bardziej niżli o krew własną. Don Rodrigo! Nic więcej dla waszej wielmożności nie mogę uczynić, jeno modlić się, ale to czynić będę z całego serca. Proszę mi nie odmówić! Proszę uwolnić tę biedną dziewczynę od trwogi i rozpacz! Jedno słowo waszej wielmożności mogłoby zdziałać wszystko!

— A więc — rzekł don Rodrigo — skoro ojciec sądzi, iż los tej osoby w moim jest ręku tudzież skoro ta osoba tak dalece ojca obchodzi...

— A więc? — zapytał ojciec Cristoforo niespokojnie, ponieważ wygląd i ton głosu don Rodriga nie dopuszczały doń nadziei, chociaż jego słowa zdawały się ją przynosić.

— A więc niech jej ojciec doradzi, aby powierzyła się mojej opiece. Niczego jej tu nie zbraknie, nikt też nie ośmieli się jej, pod opieką rycerza będącej, napastować.

Na tę propozycję oburzenie mnicha, dotychczas siłą powściąganę, wybuchło całą mocą. Wszelkie postanowienia, że będzie oględny i cierpliwy, "rozwiały się jak dym. Dawny, tkwiący w nim człowiek stanął u boku nowego; w takich chwilach brat Cristoforo wystarczał doprawdy za dwóch.

— Wasza opieka! — wykrzyknął cofając się dwa kroki w tył i stając w bojowej postawie z prawą stopą wysuniętą, prawą ręką wspartą na biodrze, lewą zaś oskarżającym gestem wyciągając ku Rodrigowi. Rozpłomienione oczy utkwił w jego twarzy. — Wasza opieka! Dobrze, żeście to wyrzekli, tę waszą niecną propozycję! Przepelniliście miarę: już się was teraz nie lękam!

— Jak mówisz do mnie, klecho!

— Tak jak się mówi do tego, kogo Bóg opuścił i kto nikogo przerazić już nie jest zdolny! Wasza opieka! Wiedziałem ja i pierwaj, że to dziewczę pod boską znajduje się opieką; ale wyście mi to teraz ukazali tak wyraźnie, iż nie waham się już mówić do was o tym. O Lucji mówię. Popatrzcież, wymawiam to imię z czołem podniesionym, patrząc wam prosto w oczy!

— Co! W moim domu...

— Żal mi tego domu. Klątwa nad nim zawisła... Ujrzycie sami, czy sprawiedliwość boska kamień na kamieniu tu zostawi, czy się ulęknie waszych kilku zbirów. Czyście sądzili, że po to Bóg stworzył istotę na swój obraz i podobieństwo, byście mieli z dręczenia jej uciechę? Czyście sądzili, że Bóg nie potrafi jej obronić? Wzgardziliście Jego przestroga. Sam na siebie wydaliście wyrok. Serce Faraona równie było, jak wasze, stwardniałe, przecież Bóg potrafił je skruszyć. Lucja bezpieczna jest przed wami: ja wam to mówię, mizerny braciszek. A co do was, słuchajcie dobrze, co wam przyrzekam, nadejdzie dzień...

Aż do tej chwili don Rodrigo trwał w oszołomieniu będącym mieszaniną zdumienia i wściekłości, nie znajdując słów. Ale kiedy usłyszał początek przepowiedni, do wściekłości dołączyła się jakaś niejasna, tajemna trwoga. Uchwycił ową groźnie wyciągniętą dłoń i krzyknął głośno, chcąc zagłuszyć złowróbnego proroka:

— Wynos mi się stąd natychmiast, niktzemny zuchwalcze, tchórzku zakapturzony!

Słowa te, tak jasne, uspokoiły momentalnie ojca Cristoforo. Wymyślił i obelgi od tak dawna i tak nierozważnie zrosły się w jego umyśle z pojęciem cierpliwości i milczenia, że na krzyki don Rodriga gniew i zapal mnicha opadł, ustępując niezłomnej woli wysłuchania w spokoju wszystkiego, cokolwiek Rodrigowi spodoba się jeszcze dodać. Po

tem łagodnie wysunawszy dłoń z uchwytu szlachcica pochylił głowę i znieruchomiał niby drzewo, które po opadnięciu podmuchu gwałtownej nawałnicy prostuje swe gałęzie i przyjmuje grad, jaki niebo mu zsyła.

— Ty gburze nieokrzesany — ciągnął don Rodrigo — na co się ze mną ważysz? Podziękuj tej salopie, co twój grzbiet łajdacki okrywa i broni cię od takiego pogłaskania, jakim się podobnych tobie uczy przystojnej mowy. Tym razem wynosisz się na własnych nogach. Ale obaczmy jeszcze!

To mówiąc ukazał wżgardliwym, rozkazującym gestem drzwi na wprost tych, którymi weszli byli do sali. Ojciec Cristoforo pochylił głowę i wyszedł pozostawiając don Rodriga przemierzającego plac boju wściekłymi krokami. Zamknawszy drzwi za sobą, mnich zobaczył w sąsiedniej izbie przemykającego się chyłkiem, pod samą ścianą, człowieka, który najwidoczniej nie chciał być dostrzeżony z sali, gdzie toczyła się rozmowa. Poznał w nim starego sługę, który przyjął go był przy bramie. Przebywał on w tym domu około czterdziestu lat, czyli dłużej niż od urodzenia don Rodriga. Wstąpił niegdyś na służbę do jego ojca, który był człowiekiem zgoła innego niż syn pokroju. Po śmierci starego pana młody rozpędził całą służbę i zebrał sobie nową; zatrzymał przecież tego jednego, po części ze względu na jego podeszły wiek, po części dlatego, że choć stary krańcowo różnił się od swego pana zasadami życiowymi i pojęciami o dobrych obyczajach, defekt ten równoważyły dwie zalety: wysokie mniemanie o godności domu, w którym służył, oraz niedościgną biegłość w kwestiach ceremoniału dworskiego, którego najstarsze tradycje i najdrobniejsze szczegóły znał lepiej niż ktokolwiek inny. W obecności pana biedny starowina nie pozwoliłby sobie nigdy objawić nawet mrugnięciem, nie mówiąc już o słowach, jak dalece potępiał to, na co od rana do nocy zmuszony był patrzeć; co najwyżej mruczał przez zęby i wydawał okrzyki zgrozy wobec swoich kolegów-łokajów. Tamci zaś śmieli się z niego i często podjudzali go umyślnie dla większej uciechy, tak że staruszek folgował sobie bardziej, niżby powinien, i piał hymny na cześć dawnych dobrych czasów tego domu. Sądy jego docierały do uszu pana w postaci wesołych anegdotek opowiadanych przez resztę domowników, tak że don Rodrigo bawił się nimi,

nie żywiąc do starego urazy. Za to w dni uroczystych przyjąć staruszek stawał się osobą poważaną, o wielkim znaczeniu.

Ojciec Cristoforo spojrział na niego przechodząc, skinął mu głową i poszedł dalej. Ale starowina przysunął się z tajemniczym wyrazem twarzy, położył palec na ustach, po czym tym samym palcem wskazał kapucynowi wejście do ciemnego korytarzyka.

— Wszystko słyszałem, ojcze — odezwał się szeptem, kiedy znaleźli się obaj w owym zakamarku — i muszę z ojcem pomówić.

— Mówcież tedy nie zwlekając, pocziwy człeczce.

— Nie tu. Gdyby tak mój pan usłyszał! Wiem ci ja różne rzeczy. Przyjdę jutro do klasztoru.

— Są jakieś zamysły?

— Coś jest na pewno w powietrzu; jużem ja to wypenetrował. Będę zważał pilnie i tak myślę, że wszystko wyniucham. Może ojciec zdać się na mnie... widzę ja tu i słyszę niemało... piekielne to sprawy. W takim domu służyć mi przyszło! Duszę własną chcę przecie ratować!

— I pobłogosławi wam Pan! — mówiąc te słowa mnich położył rękę na głowie pocziwca, który choć o tyle starszy, stał przed nim kornie pochylony niby syn przed ojcem. — Bóg wam to nagrodzi. Nie omieszkajcie jeno przyjść jutro.

— Przyjdę — odpowiedział stary. — Ale ojciec niech stąd co rychlej odejdzie i, na miłosierdzie boskie, nie zdradzi mojego imienia...

Mówiąc to rozejrzał się trwożnie dokoła i wyszedł drugą stroną korytarza do salki łączącej się z podwórcem.

Przekonawszy się, że droga jest wolna, skinął na mnicha, którego twarz wyrażała odpowiedź na prośbę starca jaśniej niż najsolenniejsze, głosem wypowiedziane, zapewnienia. Milcząc stary ukazał ręką wyjście i gość odszedł, również w milczeniu.

Człowiek ten podsłuchiwał pod drzwiami swego pana. Czy dobrze uczynił? I czy słusznie chwalił go za to brat Cristoforo? Według ogólnie przyjętych i przez nikogo nie kwestionowanych zasad — rzecz to bardzo brzydka. Czy jednak nie był to zupełnie wyjątkowy wypadek? Lecz czy mogą istnieć wyjątki od ogólnie przyjętych i przez nikogo nie kwestionowanych zasad? Są to pytania wielkiej wagi,

ale niechże je sobie czytelnik sam rozstrzygnie, jeśli ma po temu ochotę. Są do nas nie należy: naszą rzeczą jest wiernie powtórzyć fakty.

Znalazłszy się za bramą tej ponurej siedziby brat Cristoforo odetchnął z ulgą i ruszył śpiesznie w dół zbocza; twarz mu pałała i czuł się, łatwo to sobie wyobrazić, do głębi wstrząśnięty zarówno tym, co usłyszał, jak i tym, co sam powiedział. Ale niespodziewane wynurzenia starego sługi dodały mu jednak sporo otuchy; wydało mu się to widomym znakiem opieki niebios. „Oto nić — pomyślał brat Cristoforo — którą Opatrzność daje mi do ręki. I to w tym samym domu. I nawet bez żadnego z mej strony starania, bo ani w głowie nie powstałoby mi tam jej szukać!”

Tak rozmyślając podniósł wzrok ku zachodniej stronie nieba, popatrzył na słońce, które stoczyło się już nisko i' niemal dotykało wierzchołka góry; pomyślał, że dnia pozostało już niewiele, więc choć czuł w kościach rozliczne trudy, przyśpieszył kroku, by zdążyć jeszcze zdać swoim protegowanym sprawę z ostatnich wydarzeń i przed zapadnięciem nocy wrócić do klasztoru. Było to bowiem jedno z najsurowiej przestrzeganych prawideł kapucyńskiej reguły.

W tym samym czasie w domku Lucji omawiano i roztrząsano plany, o których wypada powiadomić naszych czytelników. Po odejściu mnicha troje pozostałych trwało czas jakiś w milczeniu; Lucja smutno krzątała się około przygotowania posiłku; Renzo wciąż zbierał się do odejścia, nie mogąc znieść widoku jej przygnębienia, ale nie mogąc też zdecydować się na rozstanie; Agnese pochłonięta była na pozór swym kołowrotkiem, w rzeczywistości jednak zajęta była obmyśleniem pewnego projektu, a kiedy wydał się jej całkowicie dojrzały, przerwała ogólne milczenie tymi słowami:

— Słuchajcie, dzieci. Byle starczyło wam odwagi i sprytu, byleście zaufali waszej matce (na to słowo „waszej” Lucja drgnęła gwałtownie), to myślę, że uda mi się wydobyć was z tej biedy, kto wie, czy nie lepiej i nie prędzej od ojca Cristoforo, choć to nie byle jaki człek...

Lucja wpatrzyła się w matkę; w spojrzeniu jej więcej się malowało zdumienia niż wiary w spełnienie tak pięknej obietnicy.

A Renzo rzekł śpiesznie:

— Odwagi? Sprytu? Mówcież, mówcie prędko, co możemy uczynić.

— Czyliż nieprawda — ciągnęła Agnese — że gdybyście byli poślubieni, to byłoby już trochę lepiej? I że na wszystko inne łatwiej już byłoby znaleźć lekarstwo?

— No, chyba — przytaknął Renzo. — Gdybyśmy byli poślubieni! Toć wszędzie na świecie można żyć. Toć o dwa kroki stąd, za bergamską granicą, każdego, co umie prząść jedwab, przyjmą z otwartymi ramionami. Wiadomo wam przecie, ile razy mój krewniak Bortolo namawiał mnie, bym przy nim tam osiadł. Powiadał, że będę tam bogaczem, takim jak on sam. Żem nigdy go nie posłuchał, to jeno dlatego, że, co tu gadać, serce tutaj mnie ciągnęło. Gdybyśmy byli poślubieni... toż wywędrowalibyśmy wszyscy pospołu, zagospodarowali się tam i żyli sobie spokojnie, z dala od pazurów tego zbója, z dala od pokusy popelnienia jakowegoś szaleństwa... Czyż nie, Lucjo?

— Pewnie — odparła. — Ale jak...

— Tak, jako wam rzekłam — przerwała jej matka. — Potrzeba jeno odwagi i sprytu. Byleby ich nie zbrakło, rzecz jest łatwa.

— Łatwa! — powtórzyło jednocześnie tych dwoje, dla których rzecz ta stała się tak niepojęcie i boleśnie trudna.

— Łatwa, trzeba jeno się do niej zabrać, jak należy — podjęła Agnese. — Posłuchajcież mnie uważnie, wnet wam wszystko wyłożę. Słyszałam ja od takich, co wiedzą, a i sama widziałam takie jedno wydarzenie: rzecz w tym, że przy ślubie ksiądz być musi, wiadomo. Jeno nie musi on się na ten ślub zgadzać. Dość, jeśli będzie.

— Jakoż to być może? — zapytał Renzo.

— Posłuchajcie, to i pojmiecie. Trzeba mieć dwóch świadków zręcznych i chętnych. Idzie się do proboszcza; w tym rzecz, by go zaskoczyć niespodzianie, by zaś nie zdołał umknąć. Mąż mówi: „Księżę proboszczu, oto moja żona”; zaś niewiasta: „Księżę proboszczu, oto mój mąż.” Trzeba, by ksiądz słyszał i by słyszeli świadkowie. Ot i macie ślub najprawdziwszy, jakby sam ojciec święty go wam dawał. Skoro już raz te słowa będą wyrzeczone, może sobie proboszcz krzyczeć i złościć się jak sam diabeł, na nic się to nie zda, jesteście mężem i żoną.

— Możeż to być? — wykrzyknęła Lucja.

— Jakże? — obruszyła się Agnese. — Zda wam się, jako przez te trzydzieści lat, którem przebyła na tym świecie, zanim wyście się narodzili, niczemu się nie nauczyła? Tak jest w samej rzeczy, jako wam rzekłam. A nawet miałam ci ja niegdyś przyjaciółkę, co chciała wydać się za jednego chłopca bez pozwolenia ojca i matki i w takim właśnie sposobie zdobyła, czego chciała. Proboszcz nawet coś podejrzewał i miał się na bacności; przecież tych dwoje diabłów tak sprytnie rzecz obmyśliło, że zaskoczyli go zniemacka, wyrzekli, co trzeba, i byli już mężem i żoną; choć, prawdę rzekłszy, nieboraczka pożałowała tego poniewczasie, bodaj już trzeciego dnia.

Agnese miała słuszość zarówno w tym, co tyczyło samej możliwości takiego rozwiązania, jak i związanego z tym ryzyka. Rzecz zrozumiała: do takich sposobów uciekali się ci jedynie, którzy w zwykłym trybie postępowania natrafiliby na trudności czy odmowę. Księża zatem starali się unikać takiego wymuszonego współnictwa; ilekroć udało się takiej parze zaskoczyć swego proboszcza niespodzianie, dokazywał on cudów zręczności, by, niby Proteusz, wymknąć się z rąk natrętów chcących zmusić go siłą do spełnienia kapłańskiej funkcji.

— Gdybyż to było prawdą.. Lucjo! — powiedział Renzo spoglądając na nią wyczekująco i błagalnie.

— Jak to! Gdyby było prawdą? — zawołała Agnese. — I ty także mniemasz, że głupstwa gadam? Ze skóry dla was wyłażę, a wy mi nie wierzycie? Ano, dobrze, radźcie sobie sami, jak potraficie, ja umyłam ręce.

— Ach, nie, nie opuszczajcie nas przecie — prosił Renzo. — Jeśli tak mówię, to dlatego, że mi się to nazbyt piękne wydaje. Oddaję się w wasze ręce. Toć jesteście dla mnie jako rodzona matka!

Słowa te rozwiły urazę pocziwej niewiasty; puściła też w niepamięć swoją groźbę, której zresztą zbyt poważnie nie traktowała.

— Ale, matko — odezwała się nieśmiało Lucja — co mi dziwno, to że ta rada nie przyszła na myśl ojcu Cristoforo?

— Na myśl? — powtórzyła Agnese. — Bądź spokojna, że na myśl tomu to przyszło, a jakże. Ale widać nieskładnie mu było wspominać o tym.

— Czemu? — zapytali równocześnie oboje młodzi.

— Bowiem... bowiem, jeśli już tak koniecznie chcecie wiedzieć, zakonnicy powiadają, jako nie jest to rzecz bardzo chwalebna.

— Jakże to być może? Rzecz nie bardzo chwalebna, a jeśli się uda szczęśliwie, tedy jest już przecie całkiem uczciwa — zastanawiał się Renzo.

— Cóż ja wam rzec mogę? — odparła Agnese. — Prawa obmyślają panowie, jako im się podoba; my, prostaczkowie, nie potrafimy wszystkiego wyrozumieć. A wreszcie wieleż to rzeczy... Widzicie, to jest tak, jak kiedy się bliźniego wyrznie kułakiem. Nie jest to dobrze, wiadomo; ale skoro oberwał i sam papież już ci tego kułaka nie odbierze.

— Jeśli to nie jest rzecz uczciwa — rzekła Lucja — nie powinniśmy jej uczynić.

— Skądże! — zaoponowała Agnese. — Zaliżbym ci doradzała coś przeciwnego bojaźni bożej? Gdybyś chciała stawać na przekór woli rodziców, brać sobie jakiegoś urwipołcia... Ale skoro ja, matka, jestem temu rada, skoro chodzi o tego oto pocziwego chłopaka... kto tu chce bruździć, ten jest łajdakiem i kwita. Zaś ksiądz proboszcz...

— Rzecz jasna, każdy to przyzna — wtrącił Renzo.

— Ojcu Cristoforo nie ma co o tym gadać, póki rzecz nie skończona — ciągnęła Agnese. — A skoro już się zrobi wszystko pomyślnie, jakże się tobie zdaje, co ci ojciec Cristoforo rzeknie? Rzeknie ci: „Ach, córko, na cóżeś się wazyła! Ale już się stało.” Pewnie, zakonnikowi przystoi tak mówić. Przecie, wierz mi, w głębi duszy i on rad będzie z tego.

Lucja nie wiedziała, co odpowiedzieć na te wywody, nie wydawała się jednak wcale przekonana. Renzo natomiast pełen był otuchy.

— Skoro tak, to rzecz zrobiona — powiedział.

— Powoli — rzekła Agnese. — A świadkowie? Trzeba znaleźć dwóch takich, którzy się zgodzą, zaś do czasu potrafią trzymać język za zębami. A jak przyłapać księdza proboszcza, skoro od dwóch dni zaszył się w domu niczym w norze? I jeszcze przytrzymać go, by nie uciekł? Toć on, choć z przyrodzenia ociężały, niech was jeno przed sobą zobaczy, zrobi się zwinny jak kot, umknie wam niczym diabeł od święconej wody.

— W tym to już moja głowa — rzekł Renzo uderzając w stół pięścią, aż zadźwięczały przygotowane do obiadu naczynia. I wyłożył swój pomysł, który Agnese zaaprobowwała w całości i bez zastrzeżeń.

— To kręctwo — rzekła na to Lucja. — Nie są to proste drogi. Do tej pory byliśmy uczciwi; bądźmyż tacy dalej, a Bóg nam pomoże. Tak prawil ojciec Cristoforo. Czyńmy tak, jak on radzi.

— Daj się prowadzić mędrszym od siebie — powiedziała Agnese z powagą. — Na cóż tu jeszcze czyje rady? Bóg mówi: „Pomagaj sam sobie, a ja ci pomogę.” Ojcu powiemy, kiedy będzie po wszystkim.

— Lucjo — rzekł Renzo — chciałabyś mnie teraz opuścić? Czyśmy nie czynili wszystkiego, jak na dobrych chrześcijan przystało? Czyliż nie mieliśmy być już mężem i żoną? Czyż nie nazaczył nam ksiądz dnia i godziny? Czyjaż to wina, jeśli musimy teraz pomagać sobie własną głową? Nie, nie możesz mnie opuścić! Idę i wnet wracam z odpowiedzią.

To rzekłszy pożegnał Lucję proszącym spojrzeniem, Agnese zaś porozumiewawczym i wyszedł śpiesznie.

Zmartwienia zaostrzają umysł człowieka; Renzo, który na prostej, gładkiej drodze dotychczasowego swego życia . nie miał wiele okazji do wyostrzenia swojego, teraz obmyślił fortel, jakiego nie powstydziliby się sprytny doradca prawny. Zgodnie z tym planem udał się prosto do pobliskiego domku niejakiego Tonia. Znalazł go w kuchni wspartego kolanem o krawędź kominka; jedną ręką przytrzymywał umieszczony na gorącym popiele kociołek, drugą mieszał przy pomocy zakrzywionej kopyści niewielką ilość szarawej polenty. Matka, brat i żona Tonia siedzieli dokoła stołu. Obok ojca skupiło się troje czy czworo malców, czekając z utkwionymi w kociołek oczyma, kiedy nadejdzie wymarzona chwila podziału. Nie było to jednak owo przyjemne uczucie oczekiwania, jakie daje widok posiłku temu, kto na niego pracą zasłużył; rozmiary polenty były bowiem takie, jakie nakazywał głodowy rok, nie zaś ilość i apetyty biesiadników — Każdy z nich, rzucając z ukosa na potrawę zazdrośnie czule spojrzenia, rozmyślał o tym, czy też po podziale zostanie jeszcze dokładka?

Podczas gdy Renzo wymieniał z obecnymi pozdrowienia, Atonio przełożył polentę na bukową misę, przygotowaną na

jej przyjęcie; w wielkim obłoku pary wyglądała jak maleńki księżyc. Mimo to kobiety zapytały uprzejmie Renza, czy można mu nałożyć? Jest to pytanie, jakiego wieśniak w Lombardii — a pewnie i w wielu innych krajach — nie omieszka nigdy zadać gościowi, który go zastał przy jedzeniu, choćby nawet przebyły był bogatym obzartuchem, który dopiero co powstał od stołu, a on sam miał już tylko ostatni kęs chleba.

— Dzięki — odpowiedział Renzo. — Przyszedłem tylko rzec słówko Toniowi. Może pójdziemy przekąsić co i pogadać w gospodzie miast przeszkadzać tu niewiastom, co, Tonio?

Propozycja została przyjęta tym milej, im mniej była spodziewana. Kobiety i dzieci (które w tego rodzaju materii wcześniej zaczynają rozumować) nic nie miały przeciwko temu, by od polenty odpadł jeden, i to najgroźniejszy współzawodnik. Tonio, nie pytając wiele, wyszedł czym prędzej wraz z Renzem.

Weszli niebawem do gospody; mogli tam rozmawiać swobodnie, w całkowitej samotności, jako że powszechna nędza odzwyczała wszystkich dawnych, bywalców od ucieszczania do tego przybytku rozkoszy. Kazali sobie podać, co jest, było jednak niewiele. Wychylili po lampce wina; Renzo pochylił się ku Toniowi z tajemniczą miną i powiedział:

— Jeśli chcesz oddać mi jedną niewielką przysługę, ja oddam ci dużą w zamian.

— Gadaj, a żywo! Rozkazuj! — odpowiedział Tonio dolewając wina. — Dzisiaj dla ciebie w ogień bym skoczył.
— Masz dwadzieścia pięć lirów długu u księdza proboszcza za to pole, coś od niego dzierżawił zeszłego roku?
— Ach, Renzo, Renzo, psujesz swój dobry uczynek. Cóżes mi to przypomnieć? Cała moja ochota poszła w diabły.
— Skorom o tym długu napomknął — podjął Renzo — to dlatego, że jeśli tylko zechcesz, dam ci możność zapłaty.
— Prawdę gadasz?
— Prawdę. A co, byłbyś rad?
— Rad! Do diaska! Czy byłbym rad? Już choćby dlatego, by nie słyszeć więcej tych przytyków, nie widzieć tego kiwania głową, co mi ich proboszcz nie skąpi, ile razy się na niego natknę! Cięgiem tylko: „Pamiętaj, Tonio; Tonio,

kiedyż cię obaczę w naszej sprawie?" Ba, do tego doszło, że w czasie kazania, niech jeno na mnie zwróci oczy, to aż cierpnę cały, że mi rzeknie w pełnym kościele: „Tonio, dwadzieścia pięć lirów!" Niech diabli wezmą jego dwadzieścia pięć lirów! Gdybym je zapłacił, musiałby mi on także zwrócić złoty łańcuszek mojej żony. Ile polenty mielibyśmy za niego... Ale...

— Ale, ale, jeśli chcesz mi oddać maleńką przysługę, to dwadzieścia pięć lirów czeka gotowe.

— Gadajże przecie!

— Jeno! — Renzo przyłożył palec do ust.

— Trzebaż mi to mówić? Nie znasz to mnie?

— Ksiądz proboszcz wywleka jakieś racje bez żadnego zgoła sensu, aby tylko odwlec mój ślub. Mnie znów, rzecz jasna, pilno do niego. Powiadają mi jako rzecz pewną, że dość, by dwoje narzeczonych stanęło przed nim w przytomności dwóch świadków i bym ja wyrzekł: „Oto moja żona", zaś Lucja: „Oto mój mąż", a ślub będzie już dokonany. Pojąłeś mnie?

— Chcesz, bym wam posłużył za świadka?

— W rzeczy samej.

— I zapłacisz za mnie owe dwadzieścia pięć lirów?

— Takem sobie właśnie obmyślił.

— Głupi by nie przystał.

— Potrzebny jeszcze i drugi świadek.

— Mam go. Tego przyglupka, mego brata. Gervaso uczyni wszystko, co mu każę. Zafundujesz mu coś do picia?

— Ba, i do jedzenia. Zabierzem go tutaj i będziemy się po społu weselili. Ale będziez on wiedział, co ma robić?

— Ja go pouczę. Toć wiadomo, że to źdźbło rozumu, co jemu miało przypaść, mnie się dostało.

— Jutro...

— Przednio.

— Ku wieczorowi...

— Doskonale!

— Ale — i Renzo znowu położył palec na ustach.

— Ha — odpowiedział Tonio przekrzywiając głowę na prawe ramię i wznosząc w górę lewą dłoń z miną zdającą się mówić: „Krzywdzisz mnie."

— A jak cię twoja kobieta zapyta? A zapyta przecie, bez wątpienia.

— Ba, co się tyczy łgarstw, to śmiało rzec mogę, że

jest mojej żony dłużnikiem, i to na tyle, że póki życia, nie zdołam bodaj tego rachunku wyrównać. Już ja tam coś wymyślę, by mi głowy nie suszyła.

— Jutro rano — zakończył Renzo — porozmawiamy jeszcze swobodnie, by wszystko było jasne.

Wyszli z oberży; Tonio skierował się ku domowi, namyślając się nad jakąś zgrabną bajeczką dla swoich kobiet, Renzo zaś poszedł zdać sprawę z zawartej umowy.

Tymczasem Agnese na próżno wysilała się, by przekonać córkę, która wszystkim argumentom przeciwstawiała niezmienną odpowiedź, jedno z dwojga: albo rzecz to zła, a zatem nie wolno tak postąpić, albo nie jest zła — a w takim razie czemu miałaby ją zataić przed ojcem Cristoforo?

Renzo nadszedł z miną zwycięzcy i zdał swój raport, kończąc go tryumfalnym: „Ha!” Ta jedna sylaba wyrażać miała bardzo wiele; znaczyła: „No, cóż? Zali nie jestem mężczyzną? Zali obmyśliłby kto coś lepszego? A wam zali przyszłoby to do głowy?” — oraz ze sto podobnych pytań.

Lucja potrząsała głową z powątpiewaniem. Ale dwoje zapaleńców nie zwracało na to uwagi; odnosili się do niej jak do dziecka, któremu trudno jest wytłumaczyć przyczynę jakiejś rzeczy, ale przecież uda się w końcu nakłonić je prośbą lub rozkazem do tego, czego się odeń oczekuje.

— No, dobrze, dobrze — rzekła Agnese. — Przecież jednak nie o wszystkim pomyślałeś.

— A czegoż tu brak? — zapytał Renzo.

— A Petpetua? Zapomniałeś o Perpetui. Tonia z bratem to ona wpuści. Ale was dwoje? Ma, ani chybi, nakazane strzec przed wami domu niby dojrzałej gruszy przed chłopakami.

— Jakże tedy zrobimy? — rzekł Renzo mocno zakłopotany.

— Ano, o tym jużem ja pomyślała. Pójdę z wami, a mam ci ja sposób na to, by ją przynęcić i tak jej głowę zawrócić, że ani się spostrzeże, jak się do domu wśliźnicie. Wywołam ją i tak jej zagram... obaczycie sami.

— Boże wam błogosław! — zawołał Renzo. — Zawszem powiadał, jako wy w każdej biedzie umiecie być pomocni!

— Ale wszystko to na nic się nie zda — rzekła Agnese — jeśli jej nie zdołamy tego wyperswadować; ciągiem się upiera, że to grzech.

Z kolei Renzo wysilił całą swoją elokwencję; ale Lucja nie dawała się wzruszyć.

— Nie potrafię nic odrzec na te wszystkie wasze wywody — mówiła. — Aleć to widzę jasno, że by dokonać tego, coście sobie umyślili, trzeba działać podstępem, łgarstwem i udawaniem. Ach, Renzo! Nie takeśmy zaczynali! Chcę być twoją żoną — nie potrafiła wymówić tych słów, pomyśleć o tych zamiarach bez rumieńca — chcę być twoją żoną, ale prostą drogą, z bojaźnią bożą, przed ołtarzem. Zdajmy się na Tego, który jest w górze. Nie chceszli, by On sam ukazał nam drogę, lepszą niż ta, którą my byśmy znaleźć zdołali przy pomocy tego całego oszukaństwa? I po cóż zatajać coś przed ojcem Cristoforo?

Tak ciągnął się ten spór i nie zdawał się wcale zmierzać ku końcowi, kiedy dał się słyszeć spieszny tupot sandałów i szum trzepoczącego na wietrze habitu, podobny do łopotania żagli w podmuchach burzy. Jedno i drugie zwiastowało przybycie ojca Cristoforo. Wszyscy zamilkli, tylko Agnese zdążyła jeszcze szepnąć do ucha Lucji:

— Pilnuj się jeno dobrze, byś mu nic nie zdradziła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ojciec Cristoforo przybywał w postawie dzielnego wodza, który bez własnej winy przegrał ważną bitwę, zmartwiony, lecz nie zniechęcony, pogrążony w myślach, lecz nie ogłuszony ciosem, spieszenie, lecz nie w popłochu, podąża tam, dokąd wzywa go potrzeba, by umocnić zagrożone pozycje, zebrać rozproszone wojska, wydać nowe rozkazy.

— Pokój niechaj będzie z wami — odezwał się od progu. — Po tamtym człowieku nic dobrego nie możemy się spodziewać. Tym bardziej trzeba nam nadzieję w Bogu położyć. Mam ja też znak pewien Jego opieki.

Zadne z tych trojga nie budowało wiele na przedsięwzięciu ojca Cristoforo, trudno było bowiem przypuścić, żeby ktoś tak możny wyrzekł się jakiejś zamierzonej niegodziwości nie będąc do tego zmuszonym, po prostu gwoli spełnienia prośby nie mogącego mu niczym zagrażać człowieka; taki wypadek byłby już nie rzadkością, ale czymś wręcz niesłychanym. Mimo to odczuli smutną wiadomość jako dotkliwy cios. Kobiety żałośnie zwiesiły głowy; natomiast w duszy Renza gniew silniejszy był niż przygnębienie. Słowa mnicha padły w chwili, kiedy młodzieniec i tak ponad wszelką miarę był rozgoryczony tyloma niespodzianie walącymi się nań zmartwieniami, tyloma próżnymi wysiłkami, zgasłymi nadziejami, a teraz jeszcze, na dobitkę, uporem i niechęcią Lucji.

— Chciałbym wiedzieć — wykrzyknął zgrzytając ze złości zębami i podnosząc głos, na co nigdy dotychczas nie pozwoliłby sobie w obecności ojca Cristoforo — chciałbym wiedzieć, jak ten podły pies tego dowodził, czemu to moja narzeczona nie ma być moją żoną?

— Biedny mój Renzo — odpowiedział mnich po

ważnym, współczującym głosem, patrząc nań wzrokiem pełnym miłości, ale nakazującym spokój — gdyby możni tego świata, chcąc popełnić czyn niesprawiedliwy, musieli tłumaczyć, czemu tak czynią, nie tak wyglądałby ten świat!

— Jakże to? Rzekł, że nie chce, bo nie chce, i już?

— Nie rzekł nawet tego, Renzo drogi! Już by i to coś znaczyło, gdyby choć wyznał otwarcie, że jakowąś niegodziwość zamysła.

— Ale coś przecie musiał rzec! Cóż tedy mówił ten piekielnik?

— Słyszałem jego słowa i nie potrafiłbym ich powtórzyć. Słowa złego człowieka, który obdarzony jest potęgą, nadlecia i pierzchną; taki zdolen jest wybuchnąć gniewem na myśl, że go podejrzewasz, i wnet potem dać ci poznać, jako słuszne jest twoje podejrzenie; zdolen jest znieważać krzycząc, że to jego znieważają; zionąć pogardą i zadawać pytania, straszyć i uskarżać się, być bezwstydnym i nieposzlakowanym zarazem. Nie pytaj mnie o to. Nie wypowiedział on imienia tego dziewczęcia ani też twego; ani okazał nawet, że wie o waszym istnieniu, nie rzekł nic, jakoby czegoś żądał. A przecież... przecież musiałem to pojąć, niestety, iż jego zamysły są nieodwołalne. Jedno, co pozostaje — ufać Bogu!" Wy, biedaczki, nie traćcie ducha; ty zaś, Renzo... o, wierz mi, potrafię zrozumieć, co czujesz, co się dzieje w twoim sercu. Cierpliwość! Mizerne to i gorzkie słowo dla tych, którzy nie wierzą. Ale ty! Zali nie użyjesz Bogu jednego czy dwóch dni, aż przyjdzie czas, w którym zatryumfuje sprawiedliwość? Czas jest Boga własnością. A wszakże obiecał nam go tak wiele. Zdać się na Niego, Renzo, i wiedz... wiedzcie wszyscy, iż mam już w rękę moim nić, która sprowadzi pomoc. Nie mogę rzec więcej w tej chwili. Jutro tu nie przyjdę; trzeba mi siedzieć w klasztorze cały dzień dla waszej sprawy. Ty, Renzo, postaraj się tam przyjść. A gdybyś miał jakąś przeszkodę, poślij kogo zaufanego, jakiegoś rozgarniętego chłopaczka, bym mógł przez niego dać wam wiadomość. Zmierzcha się, czas mi wracać do klasztoru. Miejcie ufność i odwagę. Z Bogiem.

To rzekłszy wyszedł spieszenie i ruszył w dół stromą, kamienistą drożyną, to biegiem, to posuwając się wielkimi susami. Obawiał się spóźnić do klasztoru, przez co nara

ziłby się na ostrą odprawę albo nawet, co gorsza, na pokutę w zamknięciu. Przeszkodziłoby mu to być nazajutrz w gotowości do wszystkiego, czego mogłaby wymagać sprawa ratowania jego protegowanych.

— Słyszeliście, co on powiadał o tej jakowejś nici, którą ma, ku naszej pomocy? — rzekła Lucja. — Trzeba mu wierzyć. To człek, który skoro obieca dziesięć...

— Ba, gdyby o to chodziło! — przerwała Agnese. — Szkoda, że nie powiadał jaśniej, trzeba było choć mnie odwołać na stronę i wyłożyć...

— Gadanie! Nic, jeno gadanie! Nadto go, ale ja mu koniec położę! — wybuchnął Renzo chodząc tam i na powrót po izbie; zarówno głos jego, jak wyraz twarzy nie pozostawiały wątpliwości co do sensu tych słów.

— Och, Renzo! — wykrzyknęła Lucja.

— Co chcesz rzec? — pytała Agnese.

— A na cóż tu gadanie? Skończę z nim. Choćby miał sto, choćby tysiąc diabłów w sobie, przecież jest i on z mięsa i kości...

— Nie, nie, na miłość boską!... — zaczęła Lucja, ale płacz nie dał jej mówić.

— Nie godzi się tak mówić, choćby żartem — rzekła Agnese.

— Żartem? — zakrzyknął Renzo stając tuż przed siedzącą niewiastą i wlepiając w nią dwoje półprzytomnych oczu. — Żartem! Obaczycie, jaki to żart!

— Och, Renzo — wyjąkała wśród łkania Lucja. — Nigdy cię takim nie widziała!

— Nie powiadaj takich rzeczy, na miły Bóg — powiedziała szybko, zniżając głos, Agnese. — Nie wiesz to, ile rąk ma on na każde zawołanie? A choćby nawet... Boże, zmiłuj się! Sprawiedliwość jest zawsze przeciwko biedakom.

— Sprawiedliwość? Sam ją wymierz! Czas już na to. Rzecz, to nie łatwa, wiem o tym. Strzeże on się dobrze, ten pies, morderca! Wie on, jak rzeczy stoją. Nic to. Jeno mocno chcieć i mieć cierpliwość... aż trafi się sposobna chwila... Tak, ja sam sprawiedliwość wymierzę: uwolnię całą okolicę. Wielu mnie będzie błogosławić! A potem — w nogi!

Zgroza, jaką napelniły Lucję te słowa, aż nadto jasne, stłumiła jej płacz i dodała sił. Odjawszy ręce od zalanej

łzami twarzy zwróciła się do Renza, mówiąc zasmuconym, ale stanowczym głosem:

— Nie dbasz już tedy o to, by mnie mieć za żonę. Przyrzekłam człowiekowi, który Boga miał w sercu... Ale taki, który by... Och, choćby był bezpieczny od kary, od pomsty, choćby nawet był królewskim synem...

— To nie! — krzyknął Renzo wzburzony. — Nie będę cię miał, ale i on cię mieć nie będzie! Ja tu ostanę bez ciebie, ale on...

— Ach, nie, nie, na miłość boską, nie mów tak, nie patrz takimi oczami! Nie mogę, nie chcę widzieć takim! — błagała Lucja szlochając i wznosząc splecione dłonie.

Agnese wykrzykiwała raz po raz imię młodzieńca, klepała go po ramionach i rękach, usiłowała go uspokoić. On stał chwilę bez ruchu, w milczeniu wpatrując się w błagalną twarz Lucji. Nagle cofnął się, spojrzawszy ponuro, wskazując Lucję wyciągniętą ręką, i krzyknął:

— Ją! Ją chce mieć! Musi szczeznąć!

— A ja cóżem ci złego uczyniła, byś mnie o śmierć przyprawiał? — krzyknęła Lucja rzucając się przed nim na kolana.

— Ty? — odpowiedział głosem, w którym brzmiał gniew, inny co prawda, ale przecież gniew. — Ty? Alboż mnie ty miłujesz? Jakże mi to okazujesz? Alboż cię nie prosiłem, nie błagałem? A ty wciąż jedno: nie i nie.

— Tak! Tak! — powiedziała Lucja śpiesznie. — Pójdę do proboszcza jutro czy zaraz, kiedy zechcesz... Bądź jeno, jaki byłeś... pójdę.

— Przrzekasz mi to? — zapytał Renzo, którego głos i twarz nagle zlagodniały.

— Przrzekam.

— Przrzekłaś, pamiętaj!

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknęła Agnese, podwójnie uradowana.

Czy miotany gniewem Renzo zdawał sobie sprawę z korzyści, jaką mogło mu przynieść przerażenie Lucji? Czy nie podniecał tego gniewu z rozmysłem, chcąc zebrać z niego plon? Nasz autor zaklina się, że nic mu o tym nie wiadomo, ja zaś sądzę, że i sam Renzo nie wiedział tego dokładnie. Faktem jest, że był bezgranicznie rozsierdzony na don Rodriga, a także, że gorąco pragnął uzyskać zgodę Lucji. A kiedy dwie silne namiętności równocześnie do

chodzą do głosu w sercu człowieka, nikt chyba, ani on sam, nie jest w stanie odróżnić jednego z tych głosów od drugiego i powiedzieć z całą pewnością, który z nich przeważa.

— Przrzekłam ci — powtórzyła Lucja tonem nieśmiałego i czulego wyrzutu. — Aleś i ty mi przrzekł nie popełnić nijakiego szaleństwa i zdać się ze wszystkim na ojca...

— Bodaj cię! Alboż nie miłość jest przyczyną, żem się wściekł? Chciałażbyś się teraz cofnąć? Zrobić ze mnie głupca?

— Nie, nie — broniła się Lucja, na nowo przerażona. — Com przrzekła, to i dotrzymam. Ale i ty pamiętać musisz, coś mi obiecał. Niech Bóg broni...

— Po cóż te ponure przewidywania, Łucjo? Bóg widzi, że nie czynimy nikomu nic złego.

— Przrzeknij mi, że to będzie już ostatnie...

— Tak będzie, jakem uczciwy chłopak.

— I dotrzymaj tym razem — dodała Agnese.

Tutaj autor manuskryptu wyznaje, że jednej rzeczy nie jest pewien: oto czy Lucja tak bardzo znów była zmartwiona, że zmuszono ją do wyrażenia zgody. I my również mamy co do tego wątpliwości.

Renzo ciągnąłby chętnie dłużej rozmowę; chciał też omówić szczegółowo, co było do zrobienia nazajutrz. Ale zapadła już ciemność i obie niewiasty życzyły mu dobrej nocy. Nie wydawało im się bowiem odpowiednie, by młody człowiek przebywał u nich o tak późnej porze.

Noc ta była zresztą dla wszystkich trojga o tyle tylko dobra, o ile mogła nią być noc następująca po dniu tak pełnym podniecenia i niepomyślnych wydarzeń, a poprzedzająca ważne i ryzykowne przedsięwzięcie. Renzo pojawił się znowu wczesnym jeszcze rankiem i jął omawiać z kobietami, a raczej z Agnese, planowaną na wieczór wyprawę, to wysuwając, to rozstrzygając przeróżne trudności, starając się przewidzieć możliwe przeszkody, i na wyścigi oboje opowiadali szczegółowo o całym owym zamachu, jak gdyby był on, już rzeczą dokonaną. Lucja przysłuchiwała się im, nie pochwalając słowami tego, czego nie potrafiła pochwalić w duszy, obiecywała jednak zrobić wszystko, co będzie w jej mocy.

— Pójdiesz do klasztoru rozmówić się z ojcem Cristo

foro, jak ci to mówił wczoraj wieczór? — zapytała Renza

Agnese.

— A jużci! Toć wiecie, jakie diabelskie ojciec ma oko! Wyczytałby mi z twarzy, niczym z książki, że coś w powietrzu wisi; a jakby mnie zaczął gnębić, a rozpytywać, nie wywinąłbym się z tego. Zresztą lepiej, bym tu na miejscu dawał baczenie. A wy raczej kogo poślijcie.

— Poślę Menica.

— Dobrze — rzekł Renzo.

I wyszedł, by jak powiedział, „dawać baczenie”.

Agnese udała się do sąsiedniego domu, aby sprowadzić Menica, rozgarniętego chłopaczka około lat dwunastu, który drogą zawiłych koligacji był dla niej czymś na kształt siostrzeńca. Poprosiła jego rodziców, by „wypożyczyli” jej chłopca na cały dzień.

— Chodzi tu o pewną przysługę — powiedziała.

Uzyskawszy zgodę, zabrała malca do swojej kuchni, nakarmiła go i poleciła pójść do Pescarenico. Miał tam pokazać się ojcu Cristoforo, który w odpowiedniej chwili odeśle go z powrotem z pewną wiadomością.

— Ojciec Cristoforo, wiesz, ten piękny starzec z białą brodą, ten, co to go nazywają świętym.

— Toć wiem — odparł Menico. — To ten, co gładzi po głowach wszystkie dzieciaki, a czasami daje nam święte obrazki.

— Właśnie, Menico. A jeśli ci rzeknie, żebyś zaczekał krzywą, to nie wałęśaj się, jeno bądź na podporządku. Pamiętaj, nie daj się chłopakom namówić na jezioro, patrzeć, jak tam ryby łowią, ani się nie zabawiaj sieciami, co się tam suszą; nie zamarudź też przy tych twoich ulubionych „kaczkach”.

Trzeba wiedzieć, że Menico był niedościgły w puszczeniu „kaczek” na wodę, wiadomo zaś, że wszyscy, wielcy czy mali, chętnie robimy rzeczy, które umiemy lepiej od innych. Nie tylko te, co prawda.

— Ba, ciotko! Nie jestem już dzieckiem.

— Dobrze więc. Miej rozum. A jak wrócisz z odpowiedzią, popatrz no tu: te dwie piękne nowe parpagliole będą twoje.

— Dajcie mi je zaraz, przecie wam wszystko jedno.

— A, nie. Przegrałbyś je. Idź, a spraw się dobrze, to może i więcej dostaniesz.

W dalszym ciągu tego długiego przedpołudnia zaszły pewne wypadki, które zwiększyły niepokój i tak już dręczący obie kobiety. Jakiś żebrak, ale nie tak wynędzniały i obdarty, jak to oni bywają zazwyczaj, przy tym mający w sobie coś dziwnie ponurego i złowróżbnego, wszedł prosząc o jałmużnę, równocześnie jednak rzucał tu i owdzie szpiegujące spojrzenia. Dano mu kawałek chleba, który wziął i odłożył ze źle skrywaną obojętnością. Ociągał się z odejściem, rozglądał się natrętnie i jakoś niepewnie zarazem, zadając przy tym najrozmaitsze pytania, na które Agnese dawała szybkie, ale wręcz sprzeczne z prawdziwym stanem rzeczy odpowiedzi. Kiedy ruszył się wreszcie do odejścia, otworzył, zamiast właściwych, drzwi wiodące na schody, rzekomo przez pomyłkę, i zdążył zapuścić tam szybkie, badawcze spojrzenie.

— Ej, tam! — zawołano za nim. — Dokąd to? Nie tędy! Cofnął się więc i skierował do drzwi, które mu wskazano, mamrocząc przeproszenia z udaną uległością i pokorą, do których z trudem układały się twarde, ponure rysy jego twarzy. Wkrótce po nim zaczęły się pojawiać raz po raz inne niezwykle postacie. Jakiego rodzaju byli to ludzie, trudno byłoby określić; jedno nie ulegało wątpliwości, że nie byli to uczciwi podróżni, za jakich chcieli uchodzić. Jeden z nich zaszedł pod pozorem zapytania o drogę; inni zwalniali kroku mijając wrota i rzucaли spojrzenia spode łba poprzez podwórze do wnętrza domku, jak gdyby chcieli je zbadać nie budząc podejrzeń. Ta niemiła procesja ustała wreszcie około południa. Agnese podnosiła się raz po raz z miejsca, wychodziła na podwórze, przystawała u wrót, rozglądała się na prawo i lewo i wracała do domu, mówiąc: „Nikogo.” Wymawiała to słowo z uczuciem ulgi i z taką samą ulgą słyszała je Lucja, choć żadna z nich nie wiedziała właściwie dlaczego. Ludzie ci pozostawili po sobie w duszach obu kobiet jakieś dziwne uczucie niepokoju, odbierając im, a zwłaszcza Lucji, zapas odwagi, jaki starała się zebrać na wieczorną wieprawę.

Czytelnik jednak powinien dowiedzieć się czegoś więcej o owych tajemniczych włóczęgach; w tym celu musimy cofnąć się o krok i powrócić do don Rodriga, którego pozostawiliśmy wczoraj samotnie w jednej z zamkowych sal po odejściu ojca Cristoforo.

Don Rodrigo, jak już było powiedziane, przemierzał krokami tam i z powrotem ową salę, z której ścian spoglądały wizerunki rodzinne wielu pokoleń. Ilekroć, doszedłszy do końca sali, zawracał, znajdował się oko w oko z jednym ze swych antenatów, srogim wojownikiem, postrachem wrogów i własnych żołnierzy, mężem o posępnym spojrzeniu, krótkich, sztywnych włosach, kręconych, długich i spiczastych wąsach, sterczących na tle policzków i ostro ściętym podbródku; sztywno wyprostowany rycerz w pancerzu, nagolennikach, naramiennikach, rękawicach — wszystko z żelaza; prawa dłoń wsparta o biodro, lewa na rękojeści szpady. Don Rodrigo patrzył na niego chodząc, a ilekroć znalazł się tuż pod nim i zawracał, widział na wprost siebie innego znów przodka, sędziego, postrach niegdyś zarówno procesujących się stron, jak i ich adwokatów. Mąż ów siedział w ogromnym fotelu obitym szkarłatnym aksamitem, spowity w fałdy czarnej togi. Wszystko na nim było czarne oprócz białego kołnierza z szerokim, nakrochmalonym żabotem oraz odrzuconej poły podbitego gronostajami płaszcza. (Był to strój przysługujący wyłącznie senatorom; nosili go oni zimą jedynie i tym tłumaczy się fakt, że nikt nigdy nie widział portretu senatora w letnim odzieniu.) Antenat ten był chudy, miał groźnie zmarszczone brwi, w ręku trzymał jakąś suplikę i zdawał się mówić: „Rozpatrzmy to.” Obok widniał wizerunek matrony, która była, dla odmiany, postrachem swojej służby. Z drugiej strony opat, przed którym drżeli podlegli mu mnisi. Wszystkie te osobistości siały za życia trwogę dokoła siebie i zdawało się, że bije ona nadal z tych płócien.

W obliczu takich obrazów przeszłości don Rodrigo tym mocniej się zżymał, palił się ze wstydu, nie mógł zaznać spokoju na myśl, że byle mnich ośmielił się przyjsć do niego i upominać go niby prorok Natan Dawida. Układał plany zemsty, porzucał je, szukał sposobu zaspokojenia zarazem swojej żądz i tego, co nazywał swoim honorem. Chwilami dźwięczały mu jeszcze w uszach pierwsze słowa nie dokończonej przepowiedni; czuł wtedy, jak przechodzą go ciarki, i był (czy uwierzycie?) niemal gotów wyrzec się jednego i drugiego zadośćuczynienia. Na koniec, czując potrzebę jakiegokolwiek działania, zawołał sługę i kazał mu wytłumaczyć go przed gośćmi, mówiąc, że zatrzymują

go pilne sprawy. Sługa wrócił po chwili meldując, że ci panowie odjechali, przekazawszy dlań wyrazy należnego szacunku.

— A hrabia Attilio? — zapytał nie zaprzestając wędrówki don Rodrigo.

— Odjechał razem z nimi, wasza wielmożność.

— Dobrze. Sześciu ludzi natychmiast! Szpada, płaszcz, kapelusz, a żywo!

Sługa odszedł skłoniwszy się głęboko. Powrócił niebawem, niosąc bogato zdobioną szpadę, którą sobie pan jego przypasał; płaszcz, który zarzucił na ramiona; kapelusz z ogromnymi piórami, który wcisnął sobie na głowę mocnym a dumnym uderzeniem, co było u niego oznaką burzliwego nastroju. Ruszył ku drzwiom, gdzie czekało nań już sześciu uzbrojonych drabów: ustawili się szpalerem, a po przejściu pana ruszyli za nim.

Wyszedł z zamku bardziej jeszcze burkliwy, zmarszczony i pyszałkowaty niż zazwyczaj i ruszył pieszo w stronę Lecco. Wieśniacy i rzemieślnicy usuwali się na jego widok, przywierali niemal do muru i stamtąd, odkrywszy głowy, witali go głębokimi ukłonami, na które wcale nie odpowiadał. Równie głęboko kłaniali się i tacy, którzy w oczach owej biedoty byli także „panami”. Nikt bowiem w okolicy nie mógłby się mierzyć z don Rodrigiem znakomitością rodu, bogactwem, stosunkami oraz ambicją wynoszenia się nad innych. „Panom” odpowiadać zwykł don Rodrigo z wyniosłą łaskawością. Jeśli natomiast spotykał hiszpańskiego kasztelana, co się tego dnia nie zdarzyło, ukłony były równie głębokie z obu stron; tutaj sprawa rozgrywała się między dwoma potentatami, z których żaden nie potrzebował ustępować drugiemu, przecież dobre obyczaje nakazywały im honorować nawzajem swe stanowiska. Chcąc poprawić sobie humor i inne, weselsze obrazy przeciwstawić wciąż powracającemu wspomnieniu mnicha, don Rodrigo udał się do pewnego domu, w którym bywało zazwyczaj bardzo gwaro. Powitano go tam z ową gorliwą i pełną uszanowania gościnnością, jaką darzy się zwykle osoby bardzo kochane albo takie, których się bardzo bać należy. Kiedy noc zapadła, powrócił do swego zamku, równocześnie prawie z hrabią Attilio. Zastawiono stół, ale don Rodrigo był przez cały czas wieczery zamyślony i małowówny.

— Kiedyż, kuzynie, uiścisz się z zakładu? — zapytał złośliwie hrabia Attilio, zaledwie uprzątnięto stół i odeszła służba.

— Nie minął jeszcze święty Marcin.

— Równie dobrze możesz zaraz zapłacić. Albowiem miną wszyscy święci z kalendarza, zanim...

— To jeszcze zobaczymy.

— Kuzynie, bawisz się w polityka. Alem ja przejrzał wszystko i tak jestem pewien wygranej, zem gotów już drugi zakład zaproponować.

— Ano, posłuchajmy.

— Że ów ojciec... Ojciec... jakże mu tam? No, ten mnich, jednym słowem, nawrócił ciebie!

— Jeszcze jeden głupi concept!

— Nawrócił cię, kuzynie. Nawrócił, powiadam. Co do mnie, raduję się tym szczerze. Pomyśl, co to za przedni będzie widok — ty, nabożnie skupiony, ze spuszczonej oczyma! I jaka chwała dla takiego mnicha! Wrócił pewnie do siebie aż nadęty z pychy. Taką rybkę nie co dzień się złowi i nie każdym niewodem. Bądź pewien, będzie cię obnosił wszędzie jako chwalebny przykład. A kiedy mu wypadnie udać się z misją w dalekie strony, rad będzie i tam głosić twoją historię. Jakbym go już słyszał. — Tu zaczął nosowym głosem, szeroko gestykułując, kaznodziejskim tonem: — Jest ci takowe miejsce na tym świecie, którego nazwę z należnym przemilczę respektem, kędy żył, bracia najmilsi, i po dziś dzień żyje, kawaler pewien wielce rozpustny, bardziej niewiastom niżli zacnym mężom przychylny, który, przywykły z każdego ziela wiązać snopek, obrócił oczy swe na...

— Dość! Dość! — przerwał mu don Rodrigo, na pół rozśmieszony, na pół rozgniewany. — Jeśli chcesz podwoić stawkę, gotów jestem i ja.

— Do diaska! Czyżbyś to ty nawrócił mnicha?

— Nie wspominaj mi o nim! A co się tyczy zakładu, święty Marcin rozstrzygnie.

Ciekawość hrabiego była do ostatnich granic podniecona. Zasypywał kuzyna pytaniami, ten jednak pozostawiał wszystkie bez odpowiedzi, odwołując się wciąż do dnia rozstrzygającego. Nie chciał zwierzać się przeciwnikowi ze swych planów, zanim zaczął wprowadzać je w czyn lub choćby ustalił ostatecznie.

Nazajutrz don Rodrigo zbudził się rano jako dawny don Rodrigo. Niejasna trwoga, jaką wlały w jego serce złowróżbne słowa: „Nadejdzie dzień”, rozwiła się wraz z nocnymi majakami. Pozostała tylko wściekłość, rozjątrzona jeszcze zawstydzeniem z powodu tej przelotnej słabości. Świeższe obrazy tryumfalnej przechadzki, ukłonów, przyjęć, poza tym złośliwe docinki kuzyna przyczyniły się немало do wskrzeszenia w nim zwykłego animuszu. Zaraz po wstaniu kazał zawołać Grisa.

„Grubsza jakowaś awantura” — pomyślał sobie posłany z tym rozkazem pacholek. Bowiem człowiek, który nosił to przezwisko, był nie kim innym jak komendantem bravich, i pan jego powierzał mu wykonanie najbardziej ryzykownych i najniegodziwszych zamysłów. Był to najpewniejszy z ludzi don Rodriga, oddany mu całą duszą, zarówno przez wdzięczność, jak i gwoli korzyści. Zdarzyło mu się kiedyś zabić człowieka w biały dzień na ludnym placu. Udał się wtedy pod opiekę don Rodriga błagając go o ratunek. Ten zaś przyodział go w liberię swego domu, osłaniając tym samym przed wszelkimi zakusami sprawiedliwości. Tak więc zabójca, zobowiązując się do popełnienia każdej zbrodni, jakiej odeń zażądata, zapewnił sobie bezkarność co do tej pierwszej, jaką popełnił. Dla don Rodriga był to nabytek nie do pogardzenia. Griso bowiem nie tylko był z całej jego drużyny bezsprzecznie najdzielniejszy, ale stanowił też żywy dowód, że jego pan może z powodzeniem przeciwstawiać się prawu. Dzięki temu wzrosła jeszcze jego potęga, zarówno w rzeczywistości, jak i w opinii ludzkiej.

— Griso! — rzekł don Rodrigo. — "W tej potrzebie okaże się, wiele jesteś wart. Zanim jutro zaświta, owa Lucja musi się znaleźć w moim domu.

— Nie będzie nigdy powiedziane, by Griso wymówił się od spełnienia rozkazu swego wielmożnego i znakomitego pana.

— Weź tylu ludzi, ilu ci trzeba, dysponuj nimi, jak ci się zda najlepiej, byleby rzecz pomyślnie była dokonana. A nade wszystko czuwaj, by ona jakiego szwanku nie poniosła.

— Wasza wielmożność, żdziebełko strachu nie zawadzi, żeby nie narobiła zbytniego wrzasku. Bez tego ani rusz.

— Strach... no, rozumiem, tego się nie da uniknąć. Ale

niech jej włos z głowy nie spadnie. A zwłaszcza, potraktować ją z całym respektem. Zrozumiano?

— Wasza wielmożność, nie da się uszczknąć kwiatka z krzaka i przynieść go waszej wielmożności, a nie tknąć go przy tym. Ale nie uczynim nic ponad to, co konieczne.

— Ty za to odpowiadasz. A... jakóż to chcesz zrobić?

— Nad tym właśnie myślę, wasza wielmożność. Mamy szczęście, że dom jest na skraju wsi. Trzeba nam miejsca pewnego, gdziebyśmy założyli kwaterę. No i jest tam właśnie nie opodal takie domostwo opuszczone i samotne, w polu... To domostwo... waszej wielmożności pewno nie wiadomo nic o tej historii; dość, że ten dom spłonął przed niewiele laty, gospodarz nie miał grosza, by go odbudować, opuścił go, a teraz nachodzą go strzygi... ale że dziś nie sobota, to mi strzygi nie straszne. To zaś chłopstwo tak pełne jest zabobonów, że nikt by" tam nosa. nie pokazał w żadną nockę tygodnia ani za wszystko złoto świata. Tedy możemy się tam zacząć bezpiecznie i z pewnością nikt nie zajrzy, by nam bruździć.

— No dobrze. A co dalej?

Griso zaczął przedstawiać swoje projekty, a don Rodrigo rozważać je; na koniec ustalili wspólnie plan doprowadzenia przedsięwzięcia do pomyślnego . końca, tak by sprawy nie pozostawili po sobie żadnych śladów, a także, by za pomocą fałszywych poszlak skierować podejrzenia W inną stronę. Obmyślili, jak zmusić do milczenia biedną Agnese, zaś Renzowi napędzić takiego strachu, by zapomniał o swej krzywdzie i nie próbował odwoływać się do sprawiedliwości czy w ogóle skarżyć się przed kimkolwiek. Jednym słowem, obmyślili wszelkie uboczne łajdactwa, niezbędne dla powodzenia lotrostwa głównego.

Nie zamierzamy tu zdawać szczegółowo sprawy z tej narady, ponieważ jak to czytelnik sam zobaczy, nie jest to konieczne do zrozumienia dalszego biegu tej historii. Zresztą i my sami będziemy radzi nie przysłuchiwać się dłużej

rozmowie tych dwóch obmierzłych łotrów. Wystarczy powiedzieć, że kiedy Griso już odchodził, aby przystąpić do działania, don Rodrigo przywołał go raz jeszcze, mówiąc:

— Posłuchaj; gdyby los tak zdarzył, że ten zuchwały dureń wpadłby wam w pazury dziś wieczór, nie byłoby źle zostawić mu zawczasu uczciwą pamiątkę na grzbiecie.

Przyczyni się to niemało do tego, by rozkaz trzymania języka za zębami, jaki jutro dostanie, uczynił na nim należyte wrażenie. Ale sami go nie szukajcie, byście nie zepsuli tego, co najważniejsze. Pojąłeś mnie?

— Wasza wielmożność może się zdać na mnie — odparł Griso z ukłonem unizonym i chępliwym zarazem, po czym odszedł.

Ranek użyty został na wywiady mające na celu dokładne rozpoznanie terenu, a owym fałszywym żebrakiem, który natrętnie wprosił się do ubożego domku, był nie kto inny jak sam Griso chcący obejrzeć i zapamiętać wnętrze mieszkania; fałszywi podróżni byli to jego podkomendni; mogli oni poprzestać na bardziej powierzchownych oględzinach, jako że mieli działać nie samodzielnie, lecz pod rozkazami swego przywódcy.

Rozejrzawszy się, nie pokazywali się więcej, by nie budzić niepotrzebnych podejrzeń.

Kiedy wszyscy powrócili do zamczyska, Griso zdał sprawę z rekonesansu i przedstawił bardziej szczegółowy plan działania, rozdzielił role, dał każdemu potrzebne instrukcje. Wszystko to nie mogło odbyć się tak po cichu, by ów stary sługa, mający oczy otwarte i nastawione uszy, nie zdołał spostrzec, że knuje się coś poważnego. Zdwoiwszy swą czujność, rozpytujac, chwytając to tu, to tam jakiś strzępek wiadomości, doszukując się sensu jakiegoś niejasnego słówka czy tajemniczo wyglądającej czynności, zdołał jakoś sklecić całkowity obraz tego, co miało być tej nocy dokonane. Niestety, zanim do tego doszedł, noc była już bliska i już mały oddziałek bravich wyruszył jako straż przednia zacząć się w zrujnowanym domu. Biedny starowina, jakkolwiek wiedział dobrze, jak ryzykowną grę podejmuje, i obawiał się, że i tak przyjdzie poniewczasie, przecież nie chciał zawieść zaufania. Wyszedł pod pozorem odetchnięcia świeżym powietrzem i ruszył śpiesznie w stronę klasztoru, by zanieść ojcu Cristoforo obiecaną wiadomość.

Wkrótce potem wyruszyli z zamku pozostali bravi, rozproszeni, by nie wyglądało na to, że idą w jednym kierunku.

Sam Griso wyruszył na końcu, pozostawiając tylko ludzi z lektyką, która miała być zaniesiona do opuszczonego domu po zapadnięciu nocy, co też zostało wykonane. Skoro wszyscy stanęli na miejscu, Griso wysłał trzech

bravich do oberży wioskowej; jeden miał trzymać się w pobliżu wejścia, dawać baczenie na to, co się będzie działo na ulicy, i zaobserwować, kiedy wszyscy mieszkańcy znikną już w swoich domach. Dwom pozostałym kazał siedzieć wewnątrz, zabawiać się i popijać zwracając baczną uwagę na wszystko i wyszpiegować, co będzie do wyszpiegowania. Sam Griso z resztą bravich pozostał w zasadzce i czekał.

Stary dreptał wciąż jeszcze drogą wiodącą do klasztoru; trzech zwiadowców zbliżało się do swojej placówki; słońce chyliło się ku zachodowi; w tym czasie Renzo zaszedł do swych niewiast i powiedział:

— Tonio i Gervaso czekają przed domem. Idę z nimi do gospody przegryźć coś niecoś, a kiedy zadzwonią na Anioł Pański, wrócimy tu po was. Odwagi, Lucjo! Jedna chwila i będzie po wszystkim!

Lucja westchnęła i powtórzyła: „Odwagi”, tonem, który przeczył temu słowu.

Kiedy Renzo i jego towarzysze stanęli u drzwi oberży, ów osobnik pełnił już tam swoją wartę. Stał oparty plecami o odrzwia, ze splecionymi na piersi ramionami, zagradzając połowę wejścia; rzucał spojrzenia to w prawo, to w lewo, łyskając drapieźnie to białkiem, to czarną tęczątką oczu. Płaski beret z karmazynowego aksamitu, na bakier nałożony, zakrywał do połowy grzywę rozdzieloną na ponurym czole, odczesaną z obu stron za uszy i zakończoną na karku dwoma spiętymi grzebieniem warkoczami. W dłoni trzymał grubą pałkę; innej broni nie było na nim widać; ale spojrzawszy mu w twarz, nawet dziecko nie miałoby wątpliwości, że ma jej sporo ukrytej pod odzieniem.

Kiedy Renzo idący na czele trójki doszedł do drzwi i zamierzał wejść, tamten, nie ruszając się z miejsca, wlepił w niego uporczywe spojrzenie. Ale młodzieniec, zdecydowany unikać wszelkich starć, jak przystało temu, kto ma do spełnienia ryzykowny i trudny czyn, udał, że tego nie spostrzega, nie powiedział nawet: „Ustąpcie mi z drogi”, ale przesunął się bokiem, po drugiej stronie drzwi, ciasnym przejściem pozostawionym przez groźną kariatydę. Obaj towarzysze, chcąc dostać się do środka, zmuszeni byli pójść jego śladem.

W izbie ujrzeli tych dwóch, których głosy słyhać było

już z zewnątrz — dwóch zuchów grających w morę na rogu stołu i wrzeszczących równocześnie, czego zresztą gra wymaga. Nalewali sobie gęsto, raz jeden, raz drugi, z ogromnej, stojącej między nimi fiaszy. Ci również przyjrzeni się badawczo przybyłym; jeden zwłaszcza znieruchomiał z uniesioną w górę dłonią o szeroko rozstawionych trzech palcach, z ustami rozwartymi, bo właśnie w tym momencie wrzasnął był: „Sześć!” Obejrawszy Renza od stóp do głów, łypnął okiem do swego kompana, a potem do tego w drzwiach, który kiwnął głową w odpowiedzi.

Zaniepokojony Renzo spojrzał niepewnie na swych gości, jak gdyby spodziewał się od nich wyjaśnienia tych dziwnych znaków. Ale z twarzy ich nie wyczytał nic oprócz dobrego apetytu. Oberżysta patrzył na niego pytająco, oczekując poleceń. Renzo skinął na niego, przeszli do sąsiedniej izby i tam kazali sobie podać wieszczkę.

— Kto to ci obcy? — zagadnął półgłosem Renzo oberżystę, kiedy ten pojawił się na nowo, niosąc gruby obrus pod pachą, a fiaszę w ręku.

— Nie znam ich — odpowiedział rozpościerając obrus.

— Jakże to? Ani jednego?

— Wiadomo wam przecie — odparł tamten, obu rękami wygładzając obrus na stole — że pierwszą regułą naszego cechu jest nie wtykać nosa w cudze sprawy. Nawet nasze niewiasty nie są ciekawe. Ładnie byśmy wyglądali, na tyle luda, co się tu przewinie! Toć tu aż się roi, chcę rzec, kiedy rok jest pomyślny. Ale przecie wrócą kiedyś dobre czasy, nie traćmy ducha! Cóż, dla nas byle goście byli zacni, to czy oni są tym, czy owym, nam nic do tego. Wnet wam tu przyniosę misę takich pulpetów, jakich pewnie nie jedliście jeszcze, odkąd żyjecie.

— Jakże możecie wiedzieć... — zaczął Renzo, ale oberżysta, który już zawrócił był do kuchni, nie zatrzymał się wcale. Podczas kiedy brał z ognia rynkę wyżej wspomnianych pulpetów, zbliżył się do niego nieznacznie ów bravo, który uprzednio tak się Rencowi przyglądał, i zapytał z cicha:

— Co to za ludzie?

— Poczciwe chłopaki z tej wioski — odpowiedział oberżysta wyjmując pulpety na miskę.

— Ale jak się zowią? Kto oni? — nalegał tamten ostrym głosem.

— Jeden zowie się Renzo — odpowiedział półgłosem oberżysta. — Zaczny chłop, stateczny; przedzie jedwab i dobrze zna swoje rzemiosło. Drugi zwie się Tonio; wesoty chłopina, dobry kompan, szkoda, że z groszem krucho: przepuściłby tu u mnie wszystko. Trzeci to półgłówek, ale jeść potrafi zdrowo, byle mu tylko dać. Za pozwoleniem... To mówiąc wykręcił się na pięcie, przemknął między kominem a swoim rozmówcą i poniósł potrawę, gdzie należało.

— Skąd możecie wiedzieć — zagadnął ujrzawszy go Renzo — czy są zacni, skoro ich nie znacie?

— Z czynów, mój drogi. Człeka poznaje się po jego czynach. Ci, którzy piją wino bez wydziwiania, płacą nie zwlekając, nie wszczynają kłótni z innymi gośćmi, a jak chcą kogo poczęstować nożem, to czekają na niego na dworze, daleko stąd, by zaś biedny oberżysta nie miał z tym kłopotów — zacni to ludzie bez wątpienia. Jeśli da się ich poznać bliżej, jak nie przymierzając my czterej się znamy, tym lepiej. Ale po licha wam rozpytywać się o to wszystko teraz, kiedyście przecie pan młody i zgoła co inszego powinniście mieć w głowie? I to mając przed sobą takie pulpety, co umarłego by wskrzesiły!

To rzekłszy zawrócił do kuchni.

Jak widać, oberżysta ten miał dwa, zgoła niejednakowe systemy zaspokajania ciekawości swych klientów. Nasz autor robi w związku z tym uwagę, że widać był on już tego rodzaju człowiekiem, co przy każdej okazji mieni się przyjacielem wszystkich zacnych ludzi na świecie, w rzeczywistości jednak darzy znacznie większą życzliwością tych, którzy słusznie czy niesłusznie uchodzą za hultajów. Szczególny to zaiste rodzaj człowieka, nieprawdaż?

Wieczera nie była zbyt wesola. Obaj zaproszeni chętnie uraczyliby się do woli, ale gospodarz tego bankietu, pochłonięty myślami o znanych czytelnikom sprawach, podrażniony i nieco zaniepokojony dziwnym zachowaniem się nieznanym, niecierpliwie czekał pory odejścia. Rozmawiali z racji owego sąsiedztwa cicho, półgębkiem jakoś, bez animuszu.

— Pięknie się to składa — wyrwał się jak Filip z konopi Gervaso — że Renzo się żeni i że mu trzeba...

Renzo spojrział na niego ze złością.

— Będiesz ty cicho, durniu — mruknął Tonio, dodając do tego epitetu szturchnięcie łokciem.

Rozmowa rwała się coraz bardziej i była coraz chłodniejsza. Renzo, mało co jedząc i pijąc, dolewał swoim świadkom gościnnie, ale z umiarem, tak aby nabrali nieco animuszu, ale nie stracili głowy. Po uprzątnięciu stołu i zapłaceniu rachunku przez tego, który najmniejszy zrobił w potrawach uszczerbek, zmuszeni byli znowu przejść obok tamtych ludzi, którzy w tym momencie odwrócili się, jak na komendę, w stronę Renza, tak samo jak w chwili jego wejścia do izby. Oddaliwszy się o parę kroków od oberży Renzo odwrócił się nagle i przekonał się, że ci dwaj, których dopiero co pozostawił w kuchni, idą teraz w ślad za nim. Zatrzymał się więc razem ze swymi towarzyszami, jak gdyby mówił: „Zobaczmyż, czego te zuchy chcą ode mnie.” Tamci, widząc, że się ich obserwuje, przystanęli również, pogadali cicho między sobą i zawrócili. Gdyby Renzo znajdował się dostatecznie blisko, by słyszeć ich rozmowę, wydałaby mu się ona nader osobliwa.

— Byłby to niemały honor, nie mówiąc już o zarobku — powiedział jeden z łotrzyków — gdybyśmy tak mogli pochwalić się na zamku, żeśmy mu mimochodem wygarbowali skórę, sami z siebie, a imć Griso nic z tym nie miał do czynienia.

— I popsuć, to, co ważniejsze — odparł drugi. — A ot, już coś zmiarkował: stanął i patrzy. Ach, gdyby to było później! Zawracajmy, żeby nie budzić podejrzeń. Popatrz no, ile ludzi nadchodzi ze wszystkich stron. A bodajby się rozleźli już po swoich kurnikach!

Nastała właśnie owa chwila zamętu i gwaru, jaką daje się zauważyć na wsi, kiedy wieczór zapada; niebawem miała ona ustąpić uroczystej ciszy nocnej. Kobiety wracały z pól z niemowlętami na plecach, starsze dzieci prowadząc za rękę i wysłuchując po drodze ich wieczornego pacierza. Szli mężczyźni niosąc na ramionach rydle i motyki. Otwierały się drzwi, ukazując gdzieniegdzie łyskające ogieńki, rozniecone dla przygotowania ubogiej wieczery. Słychać było na drodze życzenia dobrej nocy, czasem niewesołe pogwarki o marnych plonach, o głodowym roku. Ale głośniejsze rozmów rozlegały się miarowe uderzenia dzwonu, oznajmiające koniec dnia.

Widząc, że dwaj natręci zawrócili, Renzo ruszył dalej pośród gęstniejących ciemności; po drodze dawał półgłosem ostatnie wskazówki to jednemu, to drugiemu z braci. Kiedy przyszli do domku Lucji, noc już panowała zupełna. Czas, jaki upływa między pierwszym zamysłem niebezpiecznego projektu a jego wykonaniem (jak powiedział pewien nie pozbawiony bystrości barbarzyńca), podobny jest do snu pełnego majaków i trwóg. Lucja od wielu już godzin doznawała udręki takiego właśnie stanu, zaś Agnese, nawet Agnese, autorka owego projektu była zamyślona, niespokojna i z trudem znajdowała słowa mające dodać córce otuchy. Jednak w momencie przebudzenia, czyli przystąpienia do czynu, stan ducha ulega zazwyczaj gruntownej przemianie. Uprzednie trwogi i porywy odwagi pierzchają ustępując innym trwogom i innym porywom. Cały zamysł ukazuje się oczom ducha w nowej, odmienionej postaci. Coś, co pierwiej przerażało, wydaje się naraz zupełnie łatwe i proste. Natomiast jakaś przeszkoda, na którą przedtem ledwie zwróciło się uwagę, urasta do niezwykłych wprost rozmiarów. Wyobraźnia cofa się, strwożona. Członki odmawiają posłuszeństwa. Serce zamiera na myśl o danym lekkomyślnie przyrzeczeniu. Ciche pukanie Renza u drzwi nappełniło Lucję takim przerażeniem, że gotowa była w tym momencie ścierpieć raczej wszystko, nawet rozłąkę z nim na zawsze, niż wykonać postanowienie. Ale kiedy ukazał się w drzwiach mówiąc: „Oto jestem, idziemy”, kiedy wszyscy okazali swą gotowość bez najmniejszego wahania, traktując to jako rzecz postanowioną i nieodwołalną, Lucji zabrakło siły, a nawet czasu, by się opierać. Jakby pchana jakąś obcą siłą, z drżeniem ujęła ramię matki i ramię narzeczonego i poszła razem z awanturniczą gromadką. Wyszli z domu cichutko, bezszelestnym krokiem, w ciemność nocy i skręcili na dróżkę, z dala okrążającą osiedle. Byłoby im bliżej przez wieś drogą wiodącą wprost do domu don Abbondia; wybrali jednak tamtą, aby przejść niepostrzeżenie. Klucząc pomiędzy sadami, przez pola, doszli do plebanii i tam się rozdzielili. Narzeczem ukryli się za węgiel domu, Agnese obok, ale nieco bliżej wejścia, by zdążyć na czas, kiedy ukaże się Perpetua, i odciągnąć ją na stronę; Tonio z głupkowatym Gervasem, który sam nie

potrafił nic zdziałać, a bez którego nic zdziałać nie było można, podeszli śmiało do drzwi i zastukali.

— A któż tam o tej porze? — zabrzmiał głos z okna, które się w tym momencie rozwarło. Był to głos Perpetuy. — Nikt nie zachorzał, o ile mi wiadomo. Zdarzyło się komu jakie nieszczęście?

— To ja jestem — odpowiedział Tonio. — To ja i brat mamy sprawę do księdza proboszcza.

— Alboż to przyzwoita godzina? — zawołała Perpetua ze złością. — To ci natręctwo! Przyjdźcie jutro.

— Słuchajcie: przyjdę albo i nie przyjdę. Wpadło mi nieco grosza, to i chciałem zapłacić ten mały dłużek, co to wiecie. Mam ci tu dwadzieścia pięć pięknych nowiutkich berling. No, ale jak nie można, to nie. Nie trapię się o to, na co by je wydać. A jak uskładani sobie znowu, to wrócę.

— Zaczekajcież, czekajcie. Idę i wnet wracam. Ale czemuście przyszli o takiej godzinie?

— Dopierom co je dostał. I tak pomyślałem, jako wam mówię: jak prześpię z nimi noc, kto wie, czy mi się do jutra nie odmieni? No, ale skoro wam pora nie przypada do gustu, to cóż mi tam o to; jestem, a jak mnie nie chcecie, to sobie pójdę.

— Nie, nie, zaczekajcie krzynę. Wnet wracam z odpowiedzią. — To mówiąc zamknęła okno. Teraz Agnese odłączyła się od młodej pary i szepnąwszy Lucji: „Odwagi, to jedna chwilka, jak wyrwanie zęba” — podeszła do dwóch braci

stojących pod drzwiami. Zaczęła gawędzić z Toniem, tak, by Perpetui, kiedy przyjdzie otworzyć, wydało się, że przechodziła tu przypadkiem i że ją Tonio na chwilę zatrzymał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Karneades? A któż on zacz? — pomrukiwał do siebie don Abbondio w pokoju na piętrze, wygodnie zagłębiony w fotelu, z otwartą książeczką przed sobą, kiedy weszła Perpetua przynosząc mu wiadome zlecenie, — Karneades! Wydaje mi się, że kiedyś czytał czy słyszał to imię... musiał to być jakiś uczony czy pisarz starożytnych czasów: imię na to mi coś wygląda; ale któż to był, u licha?

Nie przewidywał, biedaczysko, burzy, jaka zebrała się nad jego głową!

Trzeba wiedzieć, że don Abbondio lubił codziennie pobawić się nieco lekturą; proboszcz sąsiedniej parafii, który posiadał niewielką biblioteczkę, pożyczał mu książki, jedną po drugiej, jaka mu wpadła w rękę. Ta, nad którą w danej chwili medytował don Abbondio, wracający do zdrowia po gorączce, o jaką przyprawił go strach (nawiasem mówiąc, co się tyczy gorączki, był już znacznie zdrowszy, niż dawał to po sobie poznać), książka ta, zatem, był to panegiryk ku czci świętego Karola, napisany stylem niesłychanie napuszonym, a odczytywany ku wielkiej admiracji słuchaczy w katedrze mediolańskiej dwa lata przedtem. Przyrównywano tam owego świętego, ze względu na jego zamiłowanie do badań naukowych, do Archimedesza; nie przysporzyło to don Abbondio żadnego kłopotu, Archimedes bowiem dokonał tylu ciekawych rzeczy i tyle o nim powiedziano, że nie trzeba zbyt rozległego wykształcenia, by o nim cośkolwiek słyszeć. Ale po Archimedesie autor sięgnął w swoich porównaniach do Karneadesa i tu czytający utknął na dobre. Właśnie w tym

momencie nadeszła Perpetua z wiadomością, że przyszedł Tonio.

— O tej porze? — zapytał, rzecz zrozumiała, don Abbondio.

— Cóż jegomość chce? Nie mają oni żadnej oglady. Ale jak go się nie uchwyci w locie...

— Pewnie; jeśli go teraz nie uchwycę, kto wie, kiedy mi to się uda... Ale, ale... czyś zupełnie pewna, że to on?

— Tam do diabła — rzekła Perpetua i zeszła na dół. Otworzyła drzwi mówiąc: — No, gdzieżeście?

Tonio ukazał się, a razem z nim Agnese, witając Perpetuę po imieniu.

— Dobry wieczór, Agnese — odpowiedziała Perpetua — skądże to o tej porze?

— Wracam z... — tu Agnese wymieniła sąsiednią wioskę — i żebyście wiedzieli, że się tam zasiedziała właśnie z waszej przyczyny.

— A to czemu? — spytała Perpetua, a zwracając się do obu braci dodała: — Wejdźcie, wnet idę za wami.

— A dlatego — rzekła Agnese — że jedna niewiasta, z tych, co to mało wiedzą, a dużo gadają... czy uwierzycie? spierała się, żeście wy dlatego nie wydali się ani za Beppa Suolavecchia, ani za Anselma Lunghigna, że was żaden z nich nie chciał. A ja znów powiadani, że to wyście im odmówili, tak jednemu, jak drugiemu...

— Bo i pewnie! Och, kłamczucha! Och, jak to źle! Co to za jedna?

— Nie pytajcie. Nie chcę źle mówić o nikim.

— Gadajcież. Musicie mi to rzec. Och, kłamczucha!

— Dość o tym... ale ani pojmiecie, jak mi to było niemiło, że nie znała całej prawdy i nie mogła zamknąć jej gęby!

— Popatrzcież tylko, żeby tak nałgać! — wybuchnęła na nowo Perpetua. Po czym dodała szybko: — Co się tyczy Beppa, to każdemu wiadomo i wszyscy sami widzieli... Ej, Tonio, a idźcież na górę, wnet wracam!

Tonio odpowiedział ze środka, że idą, i Perpetua podjęła swoją namiętą przemowę.

Naprzeciw wejścia do domu don Abbondia odchodziła pomiędzy dwoma domami boczna uliczka, dalej, poza nimi, skręcająca w pole. Agnese weszła tam, jakby szukając bardziej ustronnego miejsca, gdzie mogłyby rozmawiać

swobodniej. Perpetua za nią, a kiedy znalazły się poza zakrętem, skąd nie mogły już widzieć, co się dzieje przy drzwiach, Agnese zakaszła głośno. Był to umówiony znak. Słyszając go Renzo przycisnął ramię Lucji dla dodania jej odwagi i oboje posunęli się cichutko, na palcach, pod samym murem, do drzwi. Uchylili je ostrożnie, powolutku i, pochyleni nisko, wśliznęli się do sieni, gdzie czekali obaj bracia. Renzo przymknął drzwi bezszelestnie i wszyscy czworo weszli na schody, nie robiąc nawet tyle hałasu, ile go robi zazwyczaj krok jednego człowieka. . Kiedy stanęli na górnym podeście, bracia podeszli do drzwi obok schodów, narzeczem zaś stanęli tuż przy ścianie.

— Deo gratias — odezwał się głośno Tonio.

— Tonio? Wchodźże — odpowiedział głos z wnętrza pokoju. Wezwany uchylił drzwi na tyle tylko, by mógł się wśliznąć on sam, a brat jego w ślad za nim. Smuga światła, która nagle ukazała się w szparze i padła na ciemną podłogę podestu, przyprawiła Lucję o dreszcz przerażenia, jak gdyby już ich odkryto. Bracia weszli do pokoju i Tonio stanął na wprost drzwi, narzeczeni zaś pozostali w ciemności, nieruchomo, wstrzymując oddech i nasłuchując; panowała cisza, najsilniej rozlegało się w niej bicie biednego serca Lucji.

Don Abbondio siedział, jak już było wspomniane, w starym fotelu, przy nikłym świetle małego kaganka, otulony w starą opończę i w równie starej szlafmocy, szczelnie obejmującej jego twarz. Dwa kosmyki włosów wymykające się spod szlafmocy, dwoje gęstych brwi, dwa sumiaste wąsy i ostra bródka, wszystko to siwe, wyglądało na tle ciemnej, pomarszczonej twarzy jak ośnieżone zarośla sterczące z rozpadliny skalnej w poświacie księżyca.

— Ach! Ach! — odezwał się na powitanie, zdejmując okulary i składając je na książce.

— Ksiądz proboszcz powie mi pewnie, że późno przyszedł — rzekł Tonio i uklonił się przy tym nisko, a w ślad za nim, tylko bardziej niezdarne, uczynił to Gervaso.

— Pewnie że późno. Późno pod każdym względem. Nie wiecie to, że mój chory?

— O, przykre to wielce!

— Musieliście słyszeć o tym.. Chory jestem i nie wiem zgoła, kiedy będę mógł się pokazać. Ale po cóżeś przyprowadził ze sobą tego... tego chłopca?

— Tak jeno, dla kompanii, księżu proboszczu.

— No, dobrze. Cóż więc?

— Mam tu dwadzieścia pięć nowiutkich berling ze świętym Ambrozym na koniu — rzekł Tonio wyciągając z kieszeni zawiniątko.

— Popatrzmyż — odpowiedział don Abbondio.

Nałożył okulary, wziął zawiniątko, rozwinął je, wyjął monety, przeliczył, obrócił tam i na powrót, nie znalazł w nich żadnego defektu.

— To teraz, księże proboszczu, dostanę łańcuszek mojej Tekli.

— Słusznie — powiedział don Abbondio. Zbliżył się do szafy, wydobyl z kieszeni klucz, rozejrzał się dokoła, jak gdyby wzrokiem oddalał od siebie widzów, otworzył połowę drzwi, zastawiając otwór swoją osobą, wsunął do wnętrza głowę, aby widzieć, i jedną rękę, by wyjąć łańcuszek; wydobyl go i po zamknięciu szafy wręczył Toniovi mówiąc:

— W porządku?

— Jeszcze — rzekł Tonio — raczy ksiądz proboszcz położyć trochę czarnego na białym.

— Patrzcie no! — mruknął don Abbondio. — Jaki to szczywany. Jakież się ten świat zrobił podejrzliwy! Nie ufasz to mi?

— Gdzie tam, księże proboszczu, jakżebym nie ufał? Ksiądz proboszcz krzywdzi mnie. Ale skoro moje imię stoi tam wypisane w książce pomiędzy dłużnikami, no to... jak już się raz ksiądz proboszcz potrudził pisząc, niechże teraz... bo to, powiadają, od życia do śmierci...

— No, dobrze, dobrze — przerwał don Abbondio. Mruczając gniewnie wyciągnął szufladę stolika, wydobyl papier, pióro i kałamarz i zabrał się do pisania, powtarzając głośno słowa, w miarę" jak ukazywały się spod pióra. Tymczasem Tonio, a na dany przez niego znak i Gervaso ustawili się tuż przed stolikiem tak, by zasłonić drzwi przed wzrokiem piszącego. Przeszłpowali przy tym hałaśliwie z nogi na nogę, niby to z niecierpliwości, naprawdę zaś, aby dać znak stojącym za drzwiami, że mogą wejść, i by równocześnie zagłuszyć odgłos ich stąpania. Don Abbondio, pogrążony w pisaniu, nie zwracał na nic uwagi.

Słyszając przytupywanie dwóch par nóg, Renzo ujął ramię Lucji, przycisnął je dla dodania dziewczynie odwagi i pociągnął ją za sobą, drżąc tak, że o własnych siłach nie

byłaby zdolna uczynić kroku. Weszli powolutku na palcach, wstrzymując oddech, i ukryli się za plecami braci. Tymczasem don Abbondio skończył pisanie i odczytał uważnie, nie podnosząc oczu znad papieru. Złożył go we czworo i jedną ręką zdejmując okulary, drugą podał papier Toniovi ze słowami: „No, kontent jesteś nareszcie?” Podniósł przy tym głowę; Tonio wyciągnął rękę i odsunął się przy tym na bok w jedną stronę, Gervaso zaś, na jego skinienie, w przeciwną. Pośrodku, niby na scenie po rozsunięciu kurtyny, ukazali się Renzo i Lucja. Don Abbondio spojrział, zrozumiał, przeraził się, zdumiał, wpadł w złość, pomyślał i powziął decyzję — wszystko to w czasie, jakiego potrzebował Renzo do wypowiedzenia słów:

— Księże proboszczu, w przytomności tych świadków powiadam: „Oto moja żona.”

Nie zdążył jeszcze ust zamknąć, kiedy don Abbondio rzucił papier, uchwycił lewą ręką kaganek i uniósł go w górę; prawą szarpnął gwałtownie ku sobie kobierzec ze stołu, zrzucając na ziemię książkę, papier, kałamarz i naczynie z piaskiem; roztrącając stół i fotel rzucił się ku Lucji. Zaledwie biedaczka zdążyła powiedzieć swoim słodkim, a teraz drżącym głosem: „Oto jest...”, kiedy don Abbondio zarzucił jej brutalnie kobierzec na głowę i twarz, aby przeszkodzić w wypowiedzeniu formułki do końca. Upuściwszy kaganek, omotał dziewczynę w dywan obu rękami, tak że niemal zaczęła się dusić, równocześnie zaś wołał ile tchu w piersiach:

— Perpetua! Perpetua! Zdrada! Na pomoc!

Dogasający na podłodze kaganek rzucał słabe, migotliwe światelko na Lucję, która na poły zduszona, nie usiłowała już nawet się uwolnić; stała niby gliniany szkiełko posągu spowity przez rzeźbiarza w mokrą płachtę. Kiedy światelko zagasło zupełnie, don Abbondio porzucił swoją ofiarę i po omacku szukał przejścia do sąsiedniego pokoju. Znalazłszy drzwi wpadł tam i zamknął się nie przestając krzyżeć:

— Perpetua! Zdrada! Ratunku! Precz z tego domu! Precz z tego domu!

W pierwszym pokoju panował nieopisany zamęt. Renzo, usiłując zatrzymać proboszcza, wymachiwał rękami w ciemności niby w „ślepej babce”; dotarł do zamkniętych drzwi i począł się do nich dobijać, wołając:

— Proszę otworzyć! I nie krzyczeć!

Lucja słabym głosem nawoływała Renza błagając go:

— Chodźmy, chodźmy stąd, na miłość boską! — Tonio na czworakach czołgał się po podłodze szukając swego kwitu. Gervaso krzychał i rzucał się jak opętany szukając wyjścia na schody, by uciec.

Pośród całego tego zamętu zatrzymajmy się na jedną chwilkę i zastanówmy: otóż Renzo awanturujący się po nocy w cudzym domu, do którego wdarł się podstępem, i trzymający w oblężeniu gospodarza, ma wszelkie pozory napastnika; don Abbondio, zaskoczony przy spokojnym zajęciu, nastraszonego i zmuszonego do ucieczki, wydaje się ofiarą. W rzeczywistości jednak on to właśnie był tym, który skrzywdził. Tak to jest na świecie... przepraszam, chciałem powiedzieć: tak było w wieku siedemnastym.

Oblężony, widząc, że nieprzyjaciel nie zdradza zamiaru wycofania się, otworzył okno wychodzące na plac kościelny i zaczął wołać:

— Ratunku! Na pomoc!

Była piękna noc księżycowa; cień kościoła i obok niego podłużny, zwężony cień dzwonnicy kładły się czarne i ostro zarysowane na jasnym tle porośniętego trawą placu. Można było dostrzec każdy przedmiot niemal tak wyraźnie jak w dzień. Ale nigdzie jak okiem sięgnąć nie było widać żywego ducha.

Do bocznej ściany kościoła, właśnie od strony plebanii, przylegała nędzna, mała chatynka, w której sypiał zakrystian. Niezwykły hałas zbudził go; jednym skokiem zerwał się z łóżka, otworzył zasłonięte okiennicą okienko, wysunął na zewnątrz zaspianą głowę i zapytał:

— Co tam?

— Lećcie tu, Ambrogio! Na pomoc! Ludzie w domu! — krzychał don Abbondio.

— Już lecę! — odkrzyknął. Cofnął głowę do środka, zamknął okiennicę i — mimo że zaspiany i bardzo przerażony — natychmiast wpadł na pomysł dania pomocy skuteczniejszej niż ta, jakiej od niego oczekiwano, a nie narażającej go na niebezpieczeństwo. Chwycił leżące na łóżku spodnie, wsadził je pod pachę niby odświętny kapelusz, jednym susem przebieł drewniane schodki, pomknął ku dzwonnicy, chwycił za sznur większego z dwóch znajdujących się tam dzwonów i zaczął dzwonić na trwogę.

— Bam, bam, bam, bam.

Wieśniacy zrywają się ze snu, siadają na łóżkach. Młodzież śpiąca po stodołach nastawia uszu, wstaje. Co to? Co to? Dzwon na trwogę? Pożar? Złodzieje? Bandyci? Większość kobiet namawia, ba, wręcz błaga mężów, żeby się nie ruszali; niech tam idą sobie inni. Niektórzy wstają, podchodzą do okien. Co tchórzliwsi, ulegając rzekomo prośbom żon, wracają do łóżek. Co ciekawsi i odważniejsi chwytają widły i strzelby i biegną w stronę, skąd słychać krzyki; reszta poprzestaje na gapieniu się.

Ale zanim ktokolwiek jeszcze stanął w gotowości bojowej, zanim jeszcze ludzie zdążyli się zupełnie rozbudzić, zgiełk dotarł do uszu tych osób, które czuwały, całkowicie ubrane, niedaleko: do bravich z jednej strony, do Perpetuy i Agnese z drugiej. Powiemy najpierw pokrótce, co robili ci pierwsi od chwili, kiedyśmy ich pozostawili — część w opuszczonej zagrodzie, a część w oberży. Otóż ci trzej widząc, że wszystkie domy są już pozamykane, a ulica opustoszała, wyszli w pośpiechu, jakby raptem spostrzegli się, że jest późno; mówili, że muszą czym prędzej wracać do domu, w rzeczywistości zaś obeszlili dokoła wieś, by sprawdzić, czy wszyscy" są już u siebie, i istotnie nie spotkali ani żywej duszy, nie usłyszeli najmniejszego szmeru. Przeszli też powolutku obok naszego biednego domku; był

najcichszy ze wszystkich, jako że nie było w nim nikogo. Udali się potem szybko na punkt zborny i zdali sprawę imć Grisowi, który zaraz nałożył kaptur na głowę, na grzbiet zaś ceratową, naszywaną muszelkami opończę; w rękę wziął kij pielgrzymi i rzekłszy: „Idźmy, jak bravim przystało, cicho, i uważać na rozkazy” — ruszył pierwszy, a reszta za nim.

Po chwili stanęli przed domkiem, doszedłszy do niego od strony przeciwnej niż ta, w którą udała się nasza gromadka, wyruszając na swą ryzykowną wyprawę. Griso zatrzymał swoich ludzi nie opodal domu i sam poszedł na zwiady, a widząc, że wszystko jest ciche i wyludnione, skinął na dwóch spośród łotrzyków, kazał im przeleźć ostrożnie przez otaczający podwórko mur i ukryć się w kącie za rozłożystym figowcem, na który zwrócił uwagę już rano. Następnie zastukał lekko, zamierzając podać się za zbłąkanego pielgrzyma i prosić o przytułek do rana. Nikt nie odpowiedział. Griso zastukał ponownie, trochę mocniej:

ani szmeru. Zawrócił więc po trzeciego bravo i kazał mu oderwać zamek, by mieć otwartą drogę do wnętrza i łatwy odwrót. Wszystko to zostało wykonane z wielką ostrożnością i całkowitym powodzeniem. Następnie Griso zawołał resztę swoich ludzi, kazał im wejść za sobą i ukryć się obok towarzyszy. Dwóch postawił na straży przy wrotach od wewnętrznej strony, a sam podszedł do drzwi domu. Zapukał, czekał; mógłby tak czekać długo. Ostrożnie nacisnął klamkę; z wnętrza nikt nie zapytał: „Kto tam?”, nie słyhać nikogo. Głódziej iść nie mogło; naprzód więc; cichym syknięciem zwołał tych zza drzewa, razem z nimi wszedł do dolnej izby, gdzie tegoż ranka tak niegodziwie wyżebrał kawałek chleba. Wydobył hubkę, krzesiwo, krzemień i pakuły, zapalił małą latarkę i wszedł do drugiej izby w głębi domu, chcąc się upewnić, czy i tam nie ma nikogo; ale izba była pusta. Zawrócił, podszedł do drzwi wiodących na schody, zajrzał, nasłuchiwał chwilę: cisza i pustka. Zostawiwszy dwóch na straży w dolnej izbie, skinął na Grignapoca. Był to bravo rodem z terytorium Bergamo: on jeden miał się w czasie całej tej wyprawy odzywać — grozić, rozkazywać, uspokajać; dialekt jego miał bowiem wpoić w Agnese przekonanie, że napaść ta z tamtych stron pochodzi. Z nim więc u boku, a dwoma innymi z tyłu, Griso wstępował pomalutku na schody, przeklinając w duchu każdy skrzypiący stopień, każde głośniejsze stąpienie „tych hultajów”. W końcu jednak stanął u szczytu schodów. Tu kryje się zwierzyna! Leciuteńko popchnął drzwi do pierwszej izby. Ustąpiły tworząc wąską szparę. Przyłożył do niej oko: ciemno. Przyłożył ucho usiłując pochwycić szmer oddechu, chrapanie czy westchnienie: nic, cisza. Naprzód więc; wysunął latarnię przed siebie, tak by widzieć pozostając w cieniu, uchylił szerzej drzwi, zobaczył łóżko. Zbliżył się: łóżko było zaścielone porządnie, gładko, poduszka przykryta kapą. Wzruszył ramionami, obejrzał się na towarzyszy, wskazując im na migi, że idzie zajrzeć do drugiej izby i żeby tam za nim po cichu poszli. Wszedł zachowując te same środki ostrożności i znalazł to samo. „A cóż, u diaska? — powiedział sobie. — Czyżby jakiś podły zdrajca zabawił się tu w szpiega?” Z mniejszą już ostrożnością poczuli się wszyscy rozglądać, przeszukując każdy kąt, przewracając cały dom do góry nogami. Pod

czas gdy byli tym zajęci, ci dwaj, których pozostawiono na straży u bramy, usłyszeli naraz głośny tupot szybko zbliżających się kroków; przypuszczając, że ktokolwiek by to był, przejdzie mimo, wartownicy stali cicho, na wszelki wypadek mieli się jednak na baczności. Tupot zatrzymał się u wejścia; to Menico nadbiegł pędem, niosąc polecenie od

ojca Cristoforo, by kobiety uciekały, na miłość boską, czym prędzej z domu i schroniły się w klasztorze, gdyż... ale to „gdyż” dopowiedzą sobie czytelnicy sami. Menico ujął rygiel, by nim zakołatać, i poczuł, że gwoździe są wyrwane, a rygiel zabrzączał, obluźniony. „A cóż to znowu?” — pomyślał i ze strachem popchnął wrota. Otworzyły się. Ostrożnie zrobił krok naprzód. Raptem poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona i dwa przyciszone głosy, jeden z prawej, drugi z lewej strony, odezwały się groźnie: „Milcz albo śmierć!” On jednak wrzasnął przeraźliwie; jeden z łotrów zamknął mu usta ręką, drugi wyciągnął nóż i pogroził mu nim. Chłopaczek zaczął drzeć jak listek i nie próbował już nawet krzyknąć. Ale w tej samej chwili zamiast głosu Menica i w innym zgoła tonie dał się słyszeć pierwszy donośny dźwięk dzwonu, a w ślad za nim zabrzmiała cała burza dalszych dźwięków. „Kto zbroił, ten sobie uroił” — jak mówi mediolańskie przysłowie. Obu hultajom wydało się naraz, że w głosie dzwonu słyszą swoje imiona, nazwiska i przezwiska. Uwolnili ramiona Menica, cofając w strachu swoje, otwarli ręce i gęby popatrzeni na siebie wzajem i rzucili się ku domowi, gdzie znajdowały się ich główne siły. Menico wziął nogi za pas i pomknął drogą w kierunku dzwonnicy, gdzie, bądź co bądź, ktoś musiał być.

Na łotrzykach, plądrujących dom, złowróżbny dźwięk dzwonu uczynił podobne wrażenie. Zrobił się zamęt, jedni wpadali na drugich, odpychali się wzajemnie, szukając gorączkowo najkrótszej drogi do wyjścia. Byli to wszystko ludzie wypróbowani, nawykli do nadstawiania karku; stracili jednak głowę w obliczu niebezpieczeństwa tak bardzo nieokreślonego, które spadało na nich tak raptownie, zanim mogli dostrzec jego zbliżenie się. Potrzeba było całego autorytetu Grisa, by jako tako utrzymać ich w karbach i by rejterada nie stała się bezładną ucieczką. Jak pies stróżujący przy trzodzie świń ugania to tu, to tam, zapędzając do gromady każdą, która się odłączy, to chwyci

którąś za ucho i pociągnie ją do szeregu, to trąci którąś pyskiem, to szczekaniem zmusi inną, by wróciła do stada, tak nasz Griso chwycił za czub jednego, który już był na progu, i szarpnął go do tyłu, drugiego zagarnął łaską pielgrzymią, krzyknął na innych rzucających się bezładnie to tu, to tam, sami nie wiedząc dokąd; w końcu zdołał zgromadzić wszystkich na podwórku.

— Żywo, żywo! Pistolety w rękę, noże na podorędziu, wszyscy kupą, jak należy! Co nam kto zrobi, głupcy, jak będziemy się trzymać razem! A jak się rozproszymy, każdy z osobna, to nawet chłopstwo da nam radę. Wstyd! Marsz za mną, wszyscy razem!

Po tej krótkiej przemowie stanął na czele i wyszedł pierwszy. Domek, jak już było powiedziane, stał na skraju wsi.

Griso skierował się na drogę wiodącą na zewnątrz i wszyscy ruszyli za nim w zupełnym porządku.

Pozwólmy im iść i wróćmy do Agnese i Perpetuy, które pozostawiliśmy w głębi małej uliczki. Agnese postarała się odciągnąć swą towarzyszkę tak daleko od domu don Abbondia, jak tylko było to możliwe. Z początku wszystko szło dobrze. Ale raptem gospodyni przypomniała sobie pozostawione otworem drzwi i chciała natychmiast wracać. Nie było rady: Agnese, nie chcąc budzić podejrzeń, musiała zawrócić także i iść za Perpetuą starając się przecieżyć zatrzymać ją na chwilę, ilekroć wyczuwała u niej odpowiedni stopień przejęcia się własną opowieścią o wszystkich niedoszłych związkach małżeńskich. Agnese słuchała pozornie z wielką uwagą; od czasu do czasu na dowód zainteresowania i w celu podtrzymania tej paplaniny wtrącała coś w rodzaju: „Pewnie, pewnie... No, tak, teraz pojmuję... dobrze, to jasne... I co dalej? A on co? A wy?” W rzeczywistości jednak zaprzętały ją zupełnie inne myśli: „Czy wyszli już? Czy są jeszcze na plebanii? Jacyż głupcy z nas trojga, żeśmy też nie umówili jakiego znaku, co by mnie powiadomił, że już po wszystkim! Aleśmy pokpili sprawę! No cóż, stało się. Jedno, co pozostaje, to przytrzymać ją tu, jak długo się da. W najgorszym razie stracimy trochę czasu.”

Tak więc gawędząc, to idąc, to przystając, znowu znalazły się w pobliżu domu don Abbondia, nie mogły go jednak z tego miejsca zobaczyć, krył go bowiem zakręt. Perpetua doszła właśnie do ważnego jakiegoś momentu swego opo

wiadania i przejęta nim dała się bez sprzeciwu zatrzymać, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nagle w ogromną ciszę nocy wdarł się dolatujący z góry, spotęgowany nieruchomością powietrza, pierwszy rozpaczliwy krzyk don Abbondia:

— Na pomoc! Na pomoc!

— Na miłosierdzie boskie! Co się dzieje? — krzyknęła Perpetua i rzuciła się pędem ku domowi.

— Co to? Co to? — pytała Agnese chwytając ją za spódnicę.

— Na miłosierdzie boskie! Nie słyszycie? — wołała tamta usiłując się uwolnić.

— Co to? Co to? — nie przestawała jąkać Agnese, przytrzymując ją z kolei za ramię.

— Babo z piekła rodem! — wrzasnęła Perpetua; odepchnęła Agnese i zdołała się oswobodzić. Puściła się biegiem.

W tej samej chwili rozległ się z daleka nagły, jeszcze ostrzejszy i przeraźliwszy krzyk Menica.

— Boże, zmiłuj się! — zawołała teraz i Agnese i popędziła za tamtą. Ale nie przebiegły jeszcze nawet paru kroków, kiedy zabrzmiał dzwon — jedno, drugie, trzecie uderzenie i dalej, i dalej... Dźwięki te podziałyby na nie jak ostroga, gdyby obie kobiety potrzebowały ostrogi. Perpetua dopadła domu prędzej niż jej towarzyszka; już miała popchnąć drzwi, kiedy one same rozwarły się szeroko, a w progu ukazali się: Tonio, Gervaso, Renzo i Lucja — bo wreszcie udało im się trafić do schodów; zbiegli z nich w wielkim pośpiechu, a słysząc to przerażające dzwonienie jeszcze gwałtowniej rzucili się do ucieczki.

— Co to? Co to? — pytała zdyszana Perpetua obu braci, ale oni odepchnęli ją i pędzili dalej. — A wy? Co tu robicie?

— krzyknęła do młodej pary, kiedy ją 'rozpoznała. Ale i ci także wybiegli bez odpowiedzi. Perpetua, śpiesząc tam, gdzie była najpotrzebniejsza, nie pytała więcej; dopadła schodów i pobiegła, jak potrafiła w tej ciemności, na górę.

Narzeczem — wciąż jeszcze tylko narzeczem — zderzyli się niemal z Agnese, która nadbiegła właśnie, zadyszana.

— Ach, tu jesteście! — powiedziała, z trudem dobywając głosu. — Jakże poszło? Co znaczy to dzwonienie? Zdało mi się też, że słyszała...

— Do domu, do domu — rzekł Renzo. — Zanim się ludzie zbiegną.

Ruszyli szybko, ale właśnie nadbiegł Menico; poznał ich, zatrzymał i cały jeszcze drżący wyjąkał osłabłym głosem:

— Dokąd idziecie? Wracajcie, wracajcie! Tamtędy, do klasztoru!

— Czyś ty... — zaczęła Agnese.

— A cóż tam nowego? — zapytał Renzo. Lucja milczała, zupełnie oszołomiona i drżąca.

— Diabły są w waszym domu — rzekł Menico dysząc ciężko. — Widziałem ich; chcieli mnie zabić... mówił ojciec Cristoforo... macie tam iść zaraz i Renzo także... a potem sam widziałem... łaska boska, że was tu jeszcze zdybał... opowiem wam wszystko, jeno idźmy stąd.

Renzo, ze wszystkich najprzycieńszy, pomyślał, że tu czy tam, ale iść trzeba nie zwlekając, bo lada chwila zbiegną się ludzie; i że najrozsądniej będzie zrobić tak, jak radzi Menico, ba, nie tylko radzi, ale wręcz zmusza całą siłą swego przerażenia". Później, już w drodze, kiedy znajdują się poza niebezpieczeństwem, będzie czas wydobyć z chłopca bardziej szczegółową relację.

— Ruszaj naprzód — powiedział mu. A do kobiet: — Idziemy z nim.

Zawrócili w kierunku kościoła, szybko przeszli plac, gdzie szczególnym zrządzeniem niebios nie było jeszcze żywej duszy, i zapuścili się w wąską uliczkę pomiędzy kościołem a domem don Abbondia. Następnie przeszli przez pierwszą napotkaną dziurę w płocie i dalej w pola.

Nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków, kiedy ludzie zaczęli gromadzić się na placu i tłum ich z każdą chwilą się rozrastał. Spoglądali jedni na drugich, każdy miał na ustach pytanie, nikt żadnej odpowiedzi. Ci, którzy przyszli

pierwsi, pobiegli do drzwi kościoła: były zamknięte. Pobiegli więc do dzwonnicy i ktoś, przyłożywszy usta do wąskiego niby strzelnica okienka, wrzasnął do wnętrza:

— Ki diabeł?

Ambrogio słysząc znajomy głos puścił sznur dzwonu, a kiedy panujący gwar upewnił go, że zgromadziło się dużo ludzi, odrzyknął:

— Już otwieram!

Spiesznie wydobyl przyniesiony pod pachą klucz, przeszedł przez kościół do drzwi i otworzył je.

— Cóż to za hałasy? Co się dzieje? Gdzie? Kto?

— Jak to co — rzekł Ambrogio, jedną ręką przytrzymując skrzydło drzwi, a w drugiej dzierżąc swój klucz. — Jak to? Nie wiecie? Wdarli się do domu księdza proboszcza. Odwagi, dzieci, na pomoc! — Wszyscy zwrócili się ku owemu domowi, zbliżyli się gromadą, patrząc i nasłuchując pilnie: spokój zupełny. Niektórzy pobiegli dokoła, do drzwi wejściowych; były zamknięte i nie nosiły żadnych śladów włamania. Spojrzeli w górę: ani jednego otwartego okna, ani najlżejszego dźwięku.

— Kto jest w środku? Ohe! Ohe! Księżę proboszczu! Księżę proboszczu!

Don Abbondio, przekonawszy się o ucieczce napastników, zamknął okno i wycofał się w głąb mieszkania; teraz zaś gderał przyciszonym głosem na Perpetuę, wyrzucając jej, że go zostawiła w takim niebezpieczeństwie samego. Ale kiedy usłyszał, jak ludzie nawołują go po imieniu, uznał za konieczne pokazać się znowu w oknie. Ujrawszy zaś tę ogromną rzeszę, która przybyła mu na ratunek, zawstydził się, że zwołał tylu ludzi.

— Co to było? Co księdzu uczyniono? Kto oni? Gdzie są? — rozległo się pięćdziesiąt głosów naraz.

— Nie ma już nikogo; dziękuję wam, wracajcie do domów.

— Ale co to było? Dokąd się udali? Co się przydarzyło?

— Żli ludzie; ludzie, co chodzą po nocy. Ale uciekli, i wy wracajcie do domu. Nic już nie ma; dzięki za wasze dobre serca, dzieci.

To rzekłszy cofnął się i zamknął okno. Ludzie zaczęli się rozchodzić; jedni wyrzekali, drudzy wyśmiewali się, trzeci, klnąc, wruszali ramionami.

Ale oto nadbiegł ktoś, tak zadyszany, że z trudem dobywał głosu. Mieszkał on naprzeciw domku naszych znajomych niewiast. Słyszając jakieś hałasy, podszedł do okna i widział na podwórzu sąsiadek miotających się w pośpiechu bravich w chwili, kiedy Griso usiłował ująć ich w karby. Złapawszy oddech człowiek ów zaczął krzyczeć:

— Ludzie, co tu robicie? Nie tu jest diabeł, ale na końcu wsi, w domu Agnese Mondelli! Uzbrowieni ludzie wdarli się do domu, gotują się zamordować jakiegoś pielgrzyma... Kto ich wie, co za diabeł?

— Co? Co? Co? — Zaczęła się bezładna, krzykliwa na

rada. — Trzeba iść... trzeba zobaczyć... Ilu ich? A nas ilu? Kto oni? Sołtys! Gdzie sołtys?

— Tu jestem — odezwał się z tłumu głos sołtysa. — Tu jestem. Musicie mi pomóc. Musicie być posłuszni. Żywo! Gdzie zakrystian? Do dzwonu! Do dzwonu! Jeden niech gna do Lecco, sprowadzi pomoc. Chodźcie tu wszyscy...

Ludzie zaczęli przepychać się, roztrącać, gdzieś tam wywiązywały się bójki. Wśród tego zamętu nadbiegł pędem drugi człowiek, który widział złoczyńców uciekających.

— Lećcie, ludzie! — krzyknął. — Złodzieje czy bandyci uprowadzają pielgrzyma! Są już za wsią! Ścigać ich, gonić! Słyszając tę nowinę wszyscy rzucili się hurmem, nie czekając na niczyje rozkazy, z wielkim tumultem pędzili ulicą. A w miarę jak się ta armia posuwała naprzód, jedni, idący w straży przedniej, zwalniali kroku, dawali się wyprzedzić i po chwili znajdowali się w głębi tłumu; inni, będący początkowo na szarym końcu, wysuwali się na czoło. Wkrótce ten bezładny rój ludzki dotarł do celu swej drogi i ujrzał świeże i wyraźne ślady najścia: rozwarte wrota, wyłamany zamek; sami jednak napastnicy znikli. Ludzie weszli w podwórze, zbliżyli się do drzwi wejściowych: otwarte, zamek również popsuty. Zaczęto wołać:

— Agnese! Lucja! Pielgrzymie! Gdzież ten pielgrzym? Przyśnił się chyba Stefanowi! Nie, nie, widział go przecie i Carlandrea... Ohe, pielgrzymie! Agnese! Lucja!

Zadnej odpowiedzi.

— Urowadzili je! Porwali!

Niektórzy głośno wzywali do ścigania złoczyńców. Wołali, że to niegodziwość, że na całą wieś padłaby hańba, gdyby pierwszy lepszy łotr mógł porywać z domów kobiety niczym kania kurczęta z pustego gumna. Nastąpiła ponowna, równie zgiełkliwa narada. Ale jakiś głos krzyknął (nigdy nie dowiedziano się na pewno, kto to był taki), że Agnese i Lucja schroniły się szczęśliwie w innym domu. Wieść rozniosła się błyskawicznie, zyskując powszechną wiarę. O pościgu nie było więcej mowy i ludzie poczęli się rozpraszać wracając do swoich domów. Słychać było przyciszone rozmowy, tupot nóg, stukanie do drzwi, zgrzyt odsuwanych rygli; w otwieranych drzwiach migwały i nikły światelka kaganków; kobiece głosy rzucały z okien zapytania, odpowiadano im ze dworu. Wkrótce ulicę za

legła cisza, gawędy przeniosły się do domów i zamierały zwolna wśród poziewania, aby rozpocząć się znowu nazajutrz.

Co się tyczy faktów, nie zaszło nic nowego; to jedno chyba, że kiedy sołtys stojąc nazajutrz rano na swoim polu, z podbródkiem wspartym na dłoni, łokciem na trzonku wbitego w ziemię rydla, a stopą na jego ostrzu, rozmyślał nad zagadką ubiegłej nocy i nad trudnym zagadnieniem, co zamierza uczynić i co by mu uczynić wypadało, ujrzał nadchodzących dwóch ludzi o dość zawadiackim wyglądem, kudłatych niby królowie Franków z pierwszej ich dynastii. Przypominali oni do złudzenia tych dwóch, którzy pięć dni przedtem zaczęli don Abbondia, o ile w ogóle nie byli to ci sami. Ci, w każdym razie, w jeszcze mniej ceremonialny sposób dali do zrozumienia sołtysowi, by nie ważył się składać u podesty doniesienia o zaszłych ostatnio wypadkach ani też wyjawić prawdy w razie, gdyby go pytano; by sam trzymał język za zębami i nie tolerował gadania na ten temat we wsi, jeżeli miła mu jest nadzieja, że umrze własną śmiercią.

Nasi uciekinierzy szli początkowo dobrym krokiem, w milczeniu; raz po raz któreś z nich oglądało się za siebie, by przekonać się, czy nikt ich nie ściga. Wszyscy czuli się wyczerpani trudami ucieczki, obawą, dręczącym stanem niepewności, w jakim się znajdowali, żalem z powodu odniesionej porażki, wreszcie przewidywaniem nowych, nieznanych niebezpieczeństw. Przygnębienie ich wzmagił jeszcze ścigający ich nieustannie głos dzwonu, który choć przytępiony i cichszy wskutek oddalenia, wydawał im się tym bardziej ponury i złowróżbny.

Dzwonienie wreszcie ustało. Wówczas uciekinierzy, widząc dokoła siebie puste, nie zaludnione pola i ani żywej duszy, zwolnili kroku. Ochłonawszy nieco ze zmęczenia, Agnese pierwsza przerwała ciszę rozpytując Renza, jak się wszystko odbyło, Menicą zaś, co to za diabli naszli jej dom. Renzo zwięźle opowiedział swoją niewesołą historię, po czym wszyscy troje zwrócili się do chłopca; ten powtórzył dokładnie zlecenie kapucyna i opowiedział wszystko, co sam widział i odczuł na własnej skórze, a co, niestety, potwierdzało w zupełności ostrzeżenie ojca Cristoforo. Słuchacze zrozumieli z tej opowieści więcej, niż Menico mógł im powiedzieć. Odkrycie przejęło ich dreszczem;

wszyscy troje zatrzymali się nagle i spojrzeli na siebie wzajem pełni przerażenia. Równoczesnym, wspólnym odruchem położyli dłonie na głowie i ramionach chłopca, jak gdyby w milczącej podziękę za to, że był dla nich tej nocy niby anioł stróż; pieszczotą tą wyrażali mu współczucie z powodu trwogi, jaką przeżył, i niebezpieczeństwa, na jakie się naraził dla ich ocalenia, i prosili go o przebaczenie.

— Wracaj teraz do domu, niech się twoi nie trapią dłużej o ciebie — powiedziała Agnese, a pamiętając o obiecanych dwóch parpagliolach wydobyla z kieszeni cztery i wręczyła mu je ze słowami: — No, dość będzie tymczasem; prosz Pana Boga, żebyśmy się prędko znowu spotkali. A wtedy...

Renzo dał mu ze swej strony nowiutką berlingę i przykazał, żeby nic nikomu nie mówił o poleceniu, jakie mu dał kapucyn. Lucja pogłaskała go raz jeszcze i pożegnała bardzo smutno. Chłopaczek pozdrowił ich wszystkich, również ogromnie wzruszony, po czym zawrócił, a oni poszli dalej, pogrążeni w myślach. Kobiety przodem, Renzo za nimi niby straż. Lucja szła, przyciskając silnie ramię matczyne i łagodnie, a zręcznie odsuwała pomoc, jaką jej młodzieniec w tej męczącej wędrówce po wyboistych bezdrożach ofiarowywał. Nawet w obecnej swej udręce czuła zawstydzienie na myśl o tym, jak to przebywała z Renzem sam na sam w poufalej zażyłości, kiedy spodziewała się zostać niebawem jego żoną. Teraz, kiedy piękny sen rozwił się w tak bolesny sposób, żałowała, że posunęła się może za daleko. Mając tyle innych powodów do obaw, drżała też przez wstydlivość, bynajmniej nie ze smutnej świadomości grzechu zrodzoną, nieświadomą siebie, jak trwoga dziecka, które drży, kiedy się znajdzie w ciemności, choć samo nie wie dlaczego.

— A dom? — odezwała się nagle Agnese. Ale choć pytanie to nie było wcale łahe, nikt na nie nic nie odpowiedział, ponieważ nikt nie mógł dać odpowiedzi pocieszającej. Szli więc dalej w milczeniu, aż póki nie stanęli na placyku przed klasztornym kościołem.

Renzo podszedł do drzwi i pechnął je silnie. Drzwi uchyliły się; do wnętrza zajrzał księzyc oświetlając bladą twarz i srebrzystą brodę ojca Cristoforo, który stał tam w pełnym napięciu oczekiwaniu.

— Bogu niech będą dzięki — powiedział widząc, że nie brak nikogo, i skinął na nich, by weszli. Obok niego stał świecki zakrystian, którego ojciec Cristoforo nakłonił prosbą i perswazją, aby czuwał z nim razem, drzwi zostawił nie zamknięte i czekał nadejścia nieszczęśliwych ofiar prześladowania. Potrzeba było takiego autorytetu, jakim cieszył się ojciec Cristoforo, i famy świętości, jaka go otaczała, by uzyskać zgodę świeckiego braciszka na rzecz tak niedogodną, niebezpieczną i sprzeciwiającą się regule.

Kiedy weszli, ojciec Cristoforo powolutku, ostrożnie zamknął drzwi. Było to więcej, niż mógł znieść zakrystian. Odwoławszy ojca na stronę, zaczął szeptać mu do ucha:

— Ależ, ojcze, ojcze! Nocą... w kościele... z niewiastami... zamykać... reguła... ależ, ojcze!

A podczas kiedy z trudem wyrzucał z siebie te słowa, trzęsąc przy tym rozpaczliwie głową, ojciec Cristoforo myślał sobie: „No, no, patrzcie tylko; gdyby to był jakiś ścigany zbrodzień, brat Fazio nie robiłby mu ani źdźbła trudności; a tę niebogę, która uciekła z pazurów wilka...”

— Omnia munda mundis — rzekł odwracając się raptownie do brata Fazio i nie bacząc na to, że ów nie rozumie łaciny. Ale właśnie to zapomnienie wywarło pożądaný efekt. Gdyby mnich próbował przekonać go przytaczając rozumowe argumenty, bratu Fazio nie zabrakłoby też racji, które by im mógł przeciwstawić; niebu też wiadomo, kiedy i jak skończyłaby się ta dysputa. Ale słysząc te poważnie brzmiące, a niezrozumiałe słowa, wypowiedziane tak stanowczo, pomyślał, że muszą one zawierać rozstrzygnięcie wszystkich jego wątpliwości. Nagle uspokojony, rzekł:

— Dosyć; ojciec rozumie się na tym lepiej ode mnie.

— Zaufaj mi, bracie — odpowiedział ojciec Cristoforo i w mdłym świetle lampki płonącej przed ołtarzem zbliżył się do czekających w niepewności uciekinierów mówiąc im: — Podziękujcie Panu, dzieci, który uchronił was przed wielkim niebezpieczeństwem. Może w tej właśnie, chwili... — tu jął wyjaśniać im, co oznaczało zlecenie, jakie dał chłopcu, nie mając zgoła pojęcia, że oni wiedzą o tym więcej od niego; przypuszczał bowiem, że Menico zastał ich siedzących spokojnie w domu, zanim naszli go złoczyń

cy. Nikt nie wyprowadził go z błędu, nawet Lucja, chociaż sumienie wyrzucało jej to niegodne oszukiwanie takiego człowieka. Ale była to już taka noc kręctw i podstępów.

— Teraz, dzieci, sami widzicie — ciągnął mnich — że ta okolica nie jest dla was bezpieczna. To wasza ojczyzna; tu przyszliście na świat; nie uczyniliście nic złego nikomu; ale taka wola boska. Próba to na was zesłana, dzieci. Znieście ją cierpliwie, z ufnością, bez nienawiści; bądźcie pewni, że nadejdzie czas, w którym będziecie się radowali z tego, co się wam teraz wydarza. Pomyślałem o tym, by znaleźć dla was schronienie na te pierwsze chwile. Niebawem, wierzę w to, będziecie mogli powrócić bezpiecznie do domu. W każdym bądź razie Bóg wam dopomoże i tak uczyni, jak będzie dla was lepiej. Ja zaś usilnie będę się starał nie stać się niegodnym tej łaski, jaką mi uczynił wybierając mnie za narzędzie opieki swojej nad wami, udręczonymi Jego dziećmi. Wy — ciągnął, zwracając się do kobiet — możecie udać się do . Będziecie tam dostatecznie oddalone od wszelkiego niebezpieczeństwa, a przecież nie tak bardzo daleko od domu. Odszukajcie tam nasz klasztor, poproście ojca gwardiana i oddajcie mu ten oto list. Będzie on dla was drugim bratem Cristoforo. Ty zaś, mój Renzo, musisz także schronić się gdzieś na razie przed cudzą i twoją własną złością. Zanieś ten oto list ojcu Bonawenturze z Lodi w naszym klasztorze przy Wschodniej Bramie w Mediolanie. Będzie ci on ojcem, pokieruje tobą, wyszuka ci pracę do czasu, kiedy będziesz mógł wrócić i żyć tutaj spokojnie. Idźcie na brzeg jeziora, tam, gdzie uchodzi doń Bione (jest to potok przepływający nie opodal Pescarenico), tam ujrzycie uwiązaną barkę. Powiecie: „Potrzebujemy łodzi.” Zapytają dla kogo. Odpowiedzcie: „Dla świętego Franciszka.” Przewoźnik przyjmie was i przewiezie na drugi brzeg; znajdziecie tam wózek, który zawiezie was wprost do ***
Kto by się dziwił, jakim sposobem brat Cristoforo miał tak na zaważanie wszystkie te środki transportu do dyspozycji, dałby dowód, że nie ma pojęcia o tym, jaką władzę nad ludźmi posiadać mógł kapucyn uważany powszechnie za świętego.

Należało jeszcze pomyśleć o opiece nad obu domami. Klucze wręczone zostały mnichowi, on zaś podjął się przekazać je osobom wskazanym przez Renza i Agnese. Wy

dobytą swą z kieszeni Agnese westchnęła ciężko na myśl, że dom jej został otwarty i splądrowany przez diabła i że może niewiele pozostało tam do pilnowania.

— Zanim wyruszyacie — powiedział kapucyn. — pomódlmy się wspólnie do Boga, iżby był z wami tak w tej podróży jak i zawsze; a nade wszystko, by dał wam siłę, dał chęć pogodzenia się z Jego wolą.

To rzekłszy ukląkł na środku kościoła i wszyscy pozostali uczynili to samo. Jakiś czas modlili się w milczeniu, po chwili mnich przemówił cicho, lecz wyraźnie w te słowa:

— I prosimy Cię także o zmiłowanie nad tym nieszczęsnym, który nas do tego stanu przywiódł. Bylibyśmy niegodni Twego miłosierdzia, gdybyśmy nie modlili się także i za niego, z głębi serc naszych. Jakże bowiem ogromnie mu tego potrzeba! My mamy w naszym strapieniu tę pociechę, że kroczymy drogą, na której Tyś nas postawił. Możemy ofiarować Ci nasze krzywdy, a obróćą się nam na korzyść. Lecz on!... jest nieprzyjacielem Twoim. O, nieszczęsny! Z Tobą chce się mierzyć. Miej litość nad nim, Panie, dotknij jego serca, uczyn go Twoim przyjacielem, ześlij mu wszelkie dobro, jakiego jeno dla nas samych pragniemy!

Podniósłszy się z klęczek powiedział śpiesznie:

— W drogę teraz, dzieci. Nie ma czasu do stracenia. Bóg niechaj was strzeże, a anioł Jego niech wam towarzyszy. — A kiedy odchodzili przejęci takim wzruszeniem, które nie pozwala znaleźć słów, ale przejawia się i bez ich udziału, zakonnik dodał drżącym głosem: — Mówi mi serce, że się znów niebawem ujrzemy.

Zapewne, serce, jeśli go tylko słuchać, ma zawsze coś do powiedzenia o tym, co przyszłość przyniesie. Ale cóż wie serce? Zaledwie cząstkę tego, co już się dokonało.

Nie czekając odpowiedzi brat Cristoforo skierował się ku zakrystii; podróżnicy wyszli z kościoła, a brat Fazio zamknął za nimi drzwi żegnając ich także z widocznym wzruszeniem.

Ruszyli w stronę jeziora, do miejsca, które im wskazano. Zastali łódź gotową do drogi i wsiedli wymieniwszy umówione hasło. Przewoźnik odepchnął się od brzegu, po czym ujawszy oba wiosła wypłynął na jezioro, kierując się ku przeciwległemu brzegowi. Nie czuło się najbliższego

podmuchu wiatru; jezioro rozciągało się gładkie i spokojne i wydawałoby się zupełnie nieruchome, gdyby nie leciutkie drżenie poświaty księżyca przegładającego się w wodzie z wysokiego nieba.. Słysząc było przytłumiony, powolny plusk wody na kamykach wybrzeża, daleki chlupot nurtu rozbijającego się o filary mostu i miarowe uderzenia krających błękitną tafłę jeziora wiosł, które wynurzały się z wody z szumem i zaraz cicho się w niej zagłębiały. Powstające po obu stronach łodzi fale łączyły się za rufą w długą, grzebieniastą, ciągnącą się od brzegu smugę. Pograżeni w milczeniu podróżni, obróciwszy wstecz głowy, spoglądali na góry, na oświetlony księżycem i pocięty gdzieś tam smugami cienia krajobraz. Dostrzegali wioski, poszczególne domy i szałas; zamek don Rodriga wznoszący swoją spłaszczoną basztę ponad skupionymi na stoku wzgórze domkami zdawał się jakąś dziką bestią czającą się nad uśpioną wioską i knującą w ciemnościach zbrodnicze jakieś zamysły.

Lucja spojrzała nań i zadrżała. Powiodła wzrokiem wzdłuż stoku wzgórze, aż ku swojej wiosce; wpatrzywszy się w nią, dostrzegła na skraju swój domek, bujną koronę figowca widniejącą nad ogrodzeniem, nawet okno swojej izdebki. Siedząc w tyle łodzi złożyła ramię na burcie, a głowę na ramieniu, niby do snu, i cicho zapłakała.

Żegnajcie, góry o bystrych strumieniach, wystrzelające ku niebu! Poszarpane szczyty, tak dobrze znajome tym, którzy pośród was wzrosli, tak mocno wyrzyte w ich pamięci, niby twarze najbliższych osób; potoki, których szum brzmi w uszach jak swojskie, znane głosy; domki rozsiane na stokach, bielejące tam na kształt pasących się stadkami owiec — żegnajcie! Jakże ciężki jest każdy krok dla kogoś, kto wyrósł pośród was, a teraz was porzuca! W oczach tego, kto odchodzi z własnej woli, znęcony nadzieją, że gdzie indziej zdobędzie fortunę, sny o bogactwie tracą w tym momencie cały swój blask; dziwi się sam sobie, że zdobył się na taką decyzję; zawróciłby, gdyby nie powstrzymała go myśl, że wróci tu kiedyś bogaczem. Im dalej zapuszcza się na równinę, z tym większą niechęcią odwracają się jego oczy od nużącej, jednostajnej płaszczyzny. Powietrze zdaje mu się tu ciężkie i martwe; smutny i roztargniony wchodzi do rojnych miast; domy ciasno stłoczone, ulice przechodzące wciąż w inne, nowe

ulice odbierają mu oddech. W obliczu wspaniałych budowli, które podziwiają cudzoziemcy, rozmyśla z niespokojną tęsknotą o jakimś kawałku pola w swojej wsi,

o jakimś domku, który z dawna sobie upatrzył i który kupi, kiedy wróci bogaty do swych ojczystych gór.

A cóż dopiero tacy, którzy nigdy nie odbiegali od tych gór, nawet w przelotnym pragnieniu, którzy z miejscem tym wiązali wszelkie plany na przyszłość, a oto wroga siła ich wypędza! Odrywa od drogich spraw i przyzwyczajzeń, rujnuje najdroższe nadzieje, gna ich z dala od tych gór, każe szukać ludzi obcych, których poznać nigdy nie pragnęli, a chwili powrotu nawet w wyobraźni oznaczyć sobie niesposób. Żegnaj więc, domku rodzinny, gdzie siedząc pogrążona w cichej zadumie Lucja uczyła się odróżniać wśród odgłosu wielu kroków te jedyne, których oczekiwała z uczuciem tajemnej, a słodkiej obawy! Żegnaj, domu, obcy jeszcze, na który przechodząc rzucała ukradkowe spojrzenia z rumieńcem na twarzy; w którym spodziewała się pędzić spokojny, nie zmacony niczym żywot żony. Żegnaj, kościele, w którym tylekroć odnajdywała pogodę ducha, pieśniami chwając Boga; gdzie przyrzeczony jej był ów obrzęd, za którego sprawą tajemne westchnienia jej serca miały otrzymać uroczyste błogosławieństwo, a miłość — stać się uświęconym obowiązkiem. Żegnajcie! Ale Ten, który dotychczas zsyłał na was radość, jest wszędzie; i jeśli zamąca pogodę swych dzieci, to po to jedynie, by zgotować im szczęście inne, pewniejsze i większe.

Tego rodzaju, „jeżeli nie takie właśnie, były myśli Lucji

i niezbyt od nich odległe myśli pozostałych dwojga wędrowców; kiedy łódź przybliżała ich z każdą chwilą ku prawemu brzegowi rzeki Addy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Łódź uderzyła o brzeg; Lucja drgnęła i, otarłszy ukradkiem zapłakane oczy, podniosła głowę, jak gdyby się właśnie zbudziła ze snu. Renzo wyskoczył pierwszy i pomógł wsiąść. Agnese, która z kolei podała rękę córce; wszyscy troje ze smutkiem dziękowali przewoźnikowi.

— Za co? — odpowiedział. — Po to żyjemy, byśmy jedni drugim pomagali.

I szybko, z taką odrazą, jakby namawiano go do kradzieży, cofnął rękę, w którą Renzo chciał wsunąć część pieniędzy, jakie miał ze sobą; zabrał je z domu wieczorem, zamierzając hojnie wynagrodzić don Abbondia po spełnieniu przezeń, chociaż wbrew woli, tego, co do niego należało. Wózek czekał gotowy. Woźnica powitał swoich pasażerów, pomógł im wsiąść, krzyknął na muła, machnął batem — i w drogę. Nasz autor nie opisuje tej nocnej jazdy i przemilcza nazwę miejscowości, do której ojciec Cristoforo skierował obie niewiasty; zaznacza nawet z naciskiem, że nazwy tej wyjawiać nie chce. Dalszy ciąg opowieści wyjaśnia przyczynę tej powściągliwości. Bowiem przygody Lucji podczas pobytu w tym mieście splątane są z pewną ponurą intrygą, nawiązaną przez osobę należącą do bardzo, jak się zdaje, możej i wpływowej za czasów naszego autora rodziny. Chcąc uczynić zrozumiałym pewien przedziwny postępek tej osoby, autor zmuszony był opowiedzieć w skrócie jej poprzednie dzieje; a w jakim świetle ukazuje się tam owa rodzina, przekona się każdy, kto to zechce przeczytać.

Ale to, co nasz biedny autor usiłował ostrożnie przed nami ukryć, zdołaliśmy przecież, zadawszy sobie nieco trudu, odszukać gdzie indziej. Pewien mediolański histo

ryk wspomina o tej właśnie osobie, nie wymieniając, co prawda, ani jej nazwiska, ani nazwy miejscowości; mówi jednak, że było to starożytne i szacowne osiedle, któremu dla uznania go za miasto jedynie nazwy brakowało; gdzie indziej wspomina, że płynie tam Lambro; w innym znów miejscu, że jest to siedziba arcybiskupa. Z zestawienia tych wzmianek wnioskujemy niechybnie, że chodzi tu o Monzę. W obszernym skarbcu uczonych indukcji znaleźć można zapewne wywody bardziej subtelne, ale nie jestem przekonany, czy także i pewniejsze. Moglibyśmy również, i to na dość pewnych podstawach, wymienić tu nazwisko owej rodziny; ale choć wygasła ona już od dawna, wydaje nam się słuszniejsze, by nazwisko to nie wymknęło się spod pióra, zarówno dlatego; by nie kalać pamięci zmarłych, jak i w celu pozostawienia uczonym szperaczom jednego więcej przedmiotu do badań.

Nasi podróżni przybyli więc do Monzy wkrótce po wschodzie słońca. Woźnica zajechał do oberży i jako bywalec w tych stronach, i znajomy oberżysty zażądał osobnej izby i zaprowadził do niej swoich pasażerów. Dziękując mu Renzo próbował skłonić go do przyjęcia pieniędzy; on jednak, tak samo jak właściciel łodzi, liczył na inną nagrodę, odległą może, ale obfitszą. Cofnął czym prędzej ręce i wrócił do swego muła tak śpiesznie, jakby uciekał.

Po takim, jaki to opisaliśmy, wieczorze i po nocy spędzonej, jak łatwo sobie wyobrazić, na niespokojnych rozmyśleniach i w ciągłej obawie jakiegoś niepożądanego spotkania, w dodatku wśród podmuchów zimnego wiatru późnej jesieni, na rozklekotanym wózku, którego wstrząsy budziły brutalnie każdego, kto choć na chwilę zdołał przymknąć powieki — podróżni nasi zaledwie mogli uwierzyć, że oto siedzą na solidnej, mocno stojącej ławie i bądź co bądź w izbie. Zjedli śniadanie takie, na jakie pozwalały ciężkie czasy, szczupłe w obliczu niepewnej przyszłości zasoby i wreszcie nieszczęśliwe apetyty. Wszystkim trojgu stanęła przed oczyma uczta weselna, której się jeszcze dwa

dni przedtem spodziewali, i wszystkim trojgu wyrwało się ciężkie westchnienie. Renzo chciałby zatrzymać się chociażby na jeden dzień, zobaczyć swoje towarzyszkę gdzieś już zainstalowaną i dopomóc im w tym czy owym. Ale one, pamiętając, że ojciec Cristoforo polecił im wyprawić go jak najprędzej w dalszą drogę, jęły przytaczać oprócz tego rozkazu wszelkie możliwe racje: a to, że ludzie zaczną gadać, a to, że rozstanie, im później, tym będzie boleśniesz i że wkrótce będzie przecież mógł przyjść opowiedzieć im o sobie i usłyszeć od nich nowiny. Na koniec zdecydował się ruszyć w drogę. Umówiono, jak się dało, spotkanie w możliwie najbliższym czasie; Lucja nie kryła łez, a i Renzo z trudem powstrzymywał się od płaczu. Mocno ucisnął dłoń Agnese, powiedział głucho: „Do widzenia” — i poszedł. Obie kobiety czułyby się bardzo bezradne, gdyby nie poczciwy woźnica, który miał poleczone odprowadzić je do klasztoru kapucynów i udzielić wszelkiej pomocy, jakiej mogłyby potrzebować. Wyruszyli więc razem w kierunku klasztoru położonego, jak wiadomo, w niewielkiej odległości od Monzy. Kiedy stanęli u wrót, woźnica pociągnął za sznur dzwonka i poprosiło wezwanie ojca gwardiana; ten zjawił się niebawem i zaraz na progu otworzył list.

— O, brat Cristoforo! — powiedział widząc znajome pismo. Ton głosu i wyraz twarzy wskazywały jasno, że wypowiada imię bliskiego przyjaciela. Widocznie nasz dobry Cristoforo polecał w owym liście obie niewiasty bardzo gorąco i w wymownych słowach opowiedział ich dzieje, gwardian bowiem czytałgo z objawami zdumienia i oburzenia; raz po raz podnosząc oczy znad listu wpatrywał sięw przybyłe z wyrazem zainteresowania i litości. Skończywszy czytanie trwałchwilew zamyśleniu, po czym rzekł:

— Nikt, tylko signora; jeśli signora zechce wziąć to na siebie...

Następnie, odwoławszy Agnese na stronę, na płacyk przed klasztorem, zaczął zadawać jej rozmaite pytania, na które ona wyczerpująco mu odpowiadała; a kiedy wrócili do oczekującej Lucji, rzekł do nich obu:

— Postaram się, moje drogie. Tuszę, że uda mi się znaleźć dla was schronienie, bardziej niż bezpieczne, bardziej

niż zacne, do czasu, kiedy Bóg lepiej was wspomůže. Czy chcecie pójść ze mną?

Wyraziły zgodę pełnym szacunku ukłonem, zakonnik zaś podjął:

— Dobrze więc. Zaprowadzę was do klasztoru signory. Ale idźcie o parę kroków za mną, bo ludzie cieszą się, kiedy mogą źle mówić o drugich; Bóg wie, ile byłoby gadania, gdyby widzieli na ulicy ojca gwardiana z piękną dziewczyną... z niewiastami, chciałem rzec.

To mówiąc ruszył naprzód. Lucja zaczerwieniła się, woźnica popatrzył na Agnese i uśmiechnął się, a i ona nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wszyscy troje ruszyli z miejsca, kiedy zakonnik trochę się oddalił, i szli za nim w odległości dziesięciu kroków. Idąc kobiety zadały swemu towarzyszowi pytanie, na które nie ośmieliły się wobec ojca gwardiana, a mianowicie, kim była owa signora.

— Signora — odpowiedział — jest mniszką. Ale to nie taka sobie zwykła mniszka jak inne. Nie to, żeby była opatką czy przeoryszą. A nawet, jak powiadają, jest jedną z najmłodszych w klasztorze. Ale pochodzi, jak się to mówi, prosto od Adama. Jej rodzina z dawien dawna była bardzo można; wywodzi się z Hiszpanii i należy do tych, co rządzą. Nazywają ją wszyscy signora, na znak, że to wielka pani. W całej okolicy tak ją nazywają i powiadają, że w tym klasztorze nigdy nie mieli tak znakomitej osoby. A jej krewni wiele znaczą tam, w Mediolanie; są z tych, co to zawsze mają rację. A w Monzy jeszcze bardziej, jako że jej ojciec, choć go tu nie ma, jest najpierwszym panem w okolicy. Toteż ona rządzi klasztorem, jak jej się podoba. Ludzie, nie tylko z klasztoru, wielce ją szanują. Jak ona już coś weźmie na siebie, wszystkiemu da radę; niechby tylko ten dobry mnich zdołał was oddać w jej ręce, niechby was przyjęła, to powiadam wam, będziecie bezpieczne niczym na ołtarzu.

Zbliżyli się do bramy miejskiej, obok której wznosiła się w owych czasach starożytna, na pół zrujnowana wieża i resztki zamczyska, także w ruinie; niektórzy z moich czytelników mogą je jeszcze pamiętać; gwardian zatrzymał się i obejrzał, czy tamci nadchodzą. Przeszedłszy bramę skierował się ku klasztorowi, a kiedy stanął u furty, zatrzymał się znowu, czekając na zbliżającą się gromadkę. Poprosił woźnicę, by przyszedł do niego za parę godzin

po odpowiedź, co tamten obiecał i pożegnał obie kobiety, wysłuchawszy mnóstwa podziękowań i poleceń dla ojca Cristoforo.

Gwardian wprowadził matkę i córkę na pierwszy dziedziniec, a stamtąd do izby klasztornej gospodyni, sam zaś poszedł zanieść swoją prośbę. Wrócił po niedługim czasie bardzo zadowolony i powiedział, żeby poszły za nim. A był już najwyższy czas, bo zarówno córka, jak matka zupełnie już nie mogły obronić się przeciwko natarczywym wypytowaniom wścibskiej gospodyni.

Przechodząc przez drugi z kolei dziedziniec gwardian udzielał towarzyszkom wskazówek, jak mają się zachować w obecności signory.

— Jest wam życzliwa — powiedział — a może wam wyświadczy wiele dobrego, jeśli tylko zechce. Bądźcie pokorne i pełne szacunku, odpowiadajcie szczerze na wszelkie pytania, jakie wam zechce zadać, a nie pytane — milczcie i zdajcie się na mnie.

Weszli do parterowej izby, z której wchodziło się do rozmównicy. Zanim przestąpili próg, gwardian rzekł zniżonym głosem, wskazując na drzwi: „To tu”, jakby chciał przypomnieć im te wszystkie pouczenia. Znalazłszy się w rozmównicy, Lucja, która nigdy w życiu nie widziała klasztoru, rozejrzała się dokoła szukając wzrokiem owej signory, przed którą miała złożyć ukłon — i nie dostrzegając nikogo przystanąła niepewnie. Ale widząc, że mnich i matka kierują się w kąt pokoju, spojrzała w tę stronę i zobaczyła okienko dziwnego kształtu, opatrzone podwójnym, mocnym

żelaznym okratowaniem, przy czym jedna krata od drugiej była o dłoń odległa, za okienkiem zaś stojącą zakonnice. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat i robiła na pierwszy rzut oka wrażenie wielkiej piękności, ale piękności przybitej, przekwitłej, można by rzec: zrezygnowanej. Czarny welon, sztywno naciągnięty poziomo nad czołem, opadał na boki odstając daleko od twarzy. Poniżej welonu obejmowała głowę bielutka płócienna opaska, do połowy zakrywając czoło białe równie jak ona, choć odmienną białością. Druga opaska sztywno sfałdowana okalała twarz, łącząc się pod brodą z białą chustą, spływającą na piersi i zakrywającą górną część czarnego habitu. Ale czoło to marszczyło się często, jakby pod wpływem bolesnego skurczu, a czarne brwi nagłym ru

chem zbliżały się ku sobie. Oczy, również bardzo czarne, wpijały się w twarze ludzi badawczo i dumnie, to znów opuszczały się śpiesznie ku dołowi, jakby w poszukiwaniu kryjówki. Bystry obserwator mógłby w nich dostrzec czasami jakby prośbę o miłość, o zrozumienie, o litość; kiedy indziej mógłby tam odkryć nagle głęboko zakorzoną, siłą powściąganą nienawiść, coś okrutnego i groźnego. A czasem, kiedy trwały w bezruchu, jakby niewidzące, zdawały się wyrażać to wgardliwy wstręt, to usilną pracę jakiejś tajemnej myśli, mocno wrosłej w duszę i mającej nad nią władzę silniejszą od wszelkich zewnętrznych okoliczności.

Bardzo blade policzki miały łagodny i wdzięczny zarys, nosiły jednak ślady długotrwałego wyczerpania i umartwień. Wargi, chociaż ledwo zabarwione wyblakłym, różowym odcieniem, odcinały się przecież ostro od tej niezwykle błości; poruszenia ich były, podobnie jak ruchy oczu, nagle, żywe, pełne wyrazu i jakiejś tajemnicze. Wyniosła piękność postaci gubiła się jakby w pewnym zaniedbaniu albo objawiała się zniekształcona w jej ruchach nagłych, bezładnych, zbyt gwałtownych u kobiety, a cóż dopiero u mniszki. Nawet w samym jej ubiorze było coś sztucznego, a może niedbałego, co zdradzało, że była dziwną jakąś zakonnice. Habit obcisnięty był w talii ze zgoła świecką starannością, a spod przepaski wysuwało się na skroni pasemko czarnych włosów, co świadczyło albo o niedbalstwie, albo o całkowitym zlekceważeniu reguły, która nakazywała noszenie włosów zupełnie krótkich od chwili, kiedy zostały obcięte przy uroczystym obrzędzie obłóczyn.

Wszystko to jednak nie zwróciło uwagi przybyłych kobiet, nie nawykłych do dostrzegania różnic pomiędzy jedną mniszką a drugą; a ojciec gwardian nie pierwszy raz widział signorę i dawno przyzwyczał się, tak samo jak inni, do owych dziwnych cech jej postaci i jej sposobu bycia.

W tej chwili stała ona, jak już wspomnieliśmy, po drugiej stronie okienka, z dłonią leniwie wspartą o kratę, wplatając w nią białe swe palce, wpatrzona w zbliżającą się nieśmiało Lucję.

— Wielebna matko, dostojna pani — przemówił ojciec gwardian chyląc głowę i kładąc rękę na piersi — oto ta

nieszczęśliwa dziewczeczka, dla której pozwoliliście mi spodziewać się waszej bezcennej opieki; a oto jej matka.

Obie kobiety kłaniały się głęboko, raz po raz. Signora skinieniem dłoni dała im znak, że dosyć, i powiedziała zwracając się do zakonnika:

— Wielkie to dla mnie szczęście móc oddać przysługę naszym dobrym przyjaciołom, ojcom kapucynom.

Opowiedzcież mi jednak, ojcze, dokładniej nieco dzieje tej dziewczeczki, iżbym wiedziała, co mogę dla niej uczynić.

Lucja zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— Trzeba wam, wiedzieć, wielebna matko — zaczęła Agnese, ale gwardian surowym spojrzeniem zamknął jej usta i rzekł:

— To dziewczę, dostojna pani, polecił mojej opiece, jakem już wspomniał, jeden z moich współbraci. Zmuszona była ona po kryjomu uciekać ze swojej wioski, by uniknąć groźnego niebezpieczeństwa; potrzebuje też na czas jakiś schronienia, w którym mogłaby żyć nieznana i w którym nikt nie ośmieliłby się jej prześladować, nawet gdyby...

— Jakież to niebezpieczeństwo? — przerwała mu signora. — Przez litość, ojczy, nie przemawiajcież do mnie tak zagadkowo. Wiadomo wam przecież, że my, mniszki, lubimy szczegółowe opowieści.

— Niebezpieczeństwo to jest tego rodzaju — rzekł gwardian — że do czystych uszu wielebnej matki jeno lekkie o nim napomnienie dotrzeć może...

— Och, zapewne — rzekła szybko signora z lekkim rumieńcem. Byłaż to wstydlivość? Kto dostrzegłby przelotny wyraz pogardy, jaki towarzyszył temu rumieńcowi, musiałby mieć co do tego wątpliwości. Zwłaszcza gdyby ów rumieniec porównał z tym, jaki raz po raz rozlewał się na policzkach Lucji.

— Dość powiedzieć — mówił dalej gwardian — że pewien kawaler możny i pyszny... nie wszyscy bowiem wielcy tego świata używają darów Boga na Jego chwałę

i bliźnim na użytek, jak wy, dostojna pani; pewien tedy pełen pychy kawaler prześladował to oto dziewczę od dłuższego już czasu niegodnymi pochlebstwami, a widząc, że na nic się nie zdadzą, miał czoło nastawiać na nią otwartą przemocą, tak, że nieboraczka zmuszona była uciekać z własnego domu.

— Zbliżyć się, dziewczę — powiedziała signora, dając

Lucji znak dłonią. — Wiem ja dobrze; że przez usta ojca gwardiana sama jeno prawda przemawia; wszakże nikt nie może znać tej sprawy lepiej niżli ty sama. Ty nam musisz powiedzieć, zali naprawdę jest ów kawaler takim obmierzłym prześladowcą?

Jeśli chodzi o zbliżenie się do okienka, Lucja posłuchała rozkazu natychmiast. Inaczej było jednak z rozkazem odpowiadania. Podobne pytanie, nawet gdyby je zadała osoba równego jej stanu, wprawiloby ją w niemałe zakłopotanie. Wypowiedziane przez wielką panią, i to tonem, w którym brzmiała jak gdyby złośliwa nieufność, pytanie to zupełnie odebrało dziewczynie odwagę.

— Signora... matko wielebna... — wyjąkała i zdawała się nie mieć nic ponad to do powiedzenia.

Agnese więc, jako ta, która niewątpliwie najlepiej, po Lucji, znała całą sprawę, uznała, że powinna przyjść córce z pomocą.

— Wielebna signoro — powiedziała. — Mogę zaświadczyć, że ta oto moja córka zgoła znieść nie mogła owego kawalera, niczym diabeł wody święconej... chciałam rzec, że diabeł, to on właśnie... Wybaczone mi, signora, jeśli nie potrafię mówić, jak przystoi, jesteście uczciwi ludzie. Rzecz jest taka, że ta biedna dziewczyna była z dawną zmówiona z pewnym chłopcem równego nam stanu, bogobojnym i statecznym. I gdyby ksiądz proboszcz był człowiekiem, jak się należy... wiem, że nie powinnam tak mówić o duchownej osobie, ale i ojciec Cristoforo, ojca gwardiana przyjaciel, jest duchowną osobą, a jest litościwym człowiekiem i gdyby był tu teraz, mógłby zaświadczyć...

— Wielce skora jesteście do mówienia, kiedy was nie pytają — przerwała signora z tak gniewnym i wyniosłym wyrazem twarzy, że była w tej chwili niemal brzydka. — Zamilknijcież wreszcie. Wiem ja dobrze, że rodzice zawsze mają w pogotowiu odpowiedź w imieniu swoich dzieci!

Zgromiona w ten sposób Agnese rzuciła Lucji spojrzenie zdające się mówić: „Widzisz, co mnie spotyka za to, że ty słowa nie umiesz wydobyć.” Gwardian również ze swej strony dawał dziewczynie znaki głową i oczyma, żeby odważyła się mówić i nie zostawiała biednej matki bez pomocy.

— Wielebna signoro — przemówiła wreszcie Lucja —

to, co powiada moja matka, to najczystsza prawda. Ten chłopak, który chciał się ze mną żenić... z własnej i nieprzymuszonej woli chciałam go za męża. Wybaczcie mi, signora, może mówię jak bezwstydnica, ale nie chcę, by kto źle myślał o mojej matce. A co się tyczy owego kawalera (Boże mu odpuść!), to wolejby umarła, niżbym się miała dostać w jego ręce. I jeśli zlitujecie się nad nami, signora, i dacie nam schronienie, skoro na to nam przyszło, że musimy o nie prosić — ale niechże się stanie zadość woli bożej — to bądźcie pewni, że nikt nigdy goręcej się za was nie modlił, niżli my nieszczęśliwe niewiasty czynić to będziemy.

— Tobie wierzę — powiedziała signora łagodniejszym głosem. — Ale rada bym pomówić z tobą w cztery oczy. Nie, żebym potrzebowała dalszych jeszcze wyjaśnień czy innych racji dla spełnienia prośby ojca gwardiana — dodała szybko, zwracając się ku niemu z wyszukaną uprzejmością. — Zresztą, o tym jużem pomyślała i oto co mi się wydaje na razie najlepsze: gospodyni klasztorna dopiero co wydała za mąż swoją najmłodszą córkę; możecie tedy zająć izbę przez nią opróżnioną i zastąpić ją w tych niewielu obowiązkach, jakie tu pełniła. Co prawda... — tu skinęła na gwardiana, a kiedy przysunął się do kraty, powiedziała przyciszonym głosem: — Co prawda, mając na względzie ciężki rok, nie zamierzano przyjmować nikogo na miejsce tamtej dziewczyny. Ale pomówię o tym z matką przełożoną, a moje słowo... zwłaszcza dla oddania przysługi ojcu gwardianowi... ostatecznie, rzecz jest, jakby załatwiona. Gwardian zaczął dziękować, ale signora przerwała mu:

— Na cóż te ceremonie; toć i ja w potrzebie umiałabym wyciągnąć korzyść z przyjaźni ojców kapucynów. Bo wreszcie — dodała z uśmiechem, przez który przebijało coś, jak gdyby ironia i gorycz — czyż nie jesteśmy braćmi i siostrami?

To rzekłszy zawołała jedną z konwerek (dwie spośród nich były, gwoli specjalnemu wyróżnieniu, przydzielone do osobistej posługi signory) i kazała jej powiadomić o wszystkim matkę przełożoną oraz zarządzić, co potrzeba, wspólnie z gospodynią i Agnese. Po czym odprawiła tę ostatnią, pożegnała ojca gwardiana, Lucję zaś zatrzymała. Gwardian towarzyszył Agnese do furty, udzielając jej

dalszych rad i wskazówek, i poszedł pisać odpowiedź na list swego przyjaciela Cristoforo.

„Nie byle jaki rozum ma ta signora — rozmyślał po drodze. — Niepospolita, w rzeczy samej! A przecież, jeśli ktoś potrafi przemówić do niej, jak należy, nakłoni ją łatwo do tego, czego chce. Mój CrXstoforo ani się spodziewa, że mu tak rychło i pomyślnie załatwił jego sprawę. Pocziwiec! Nie ma na niego rady; zawsze musi sobie coś ściągać na kark. Ale robi to z dobroci serca. Miał szczęście tym razem, że trafił na przyjaciela, co bez wielkiego szumu i hałasu, bez długich korowodów doprowadził rzecz całą w mgnieniu oka do bezpiecznego portu. Rad będzie pocziwy Cristoforo i przekona się, że i my tutaj możemy się na coś przydać.”

Signora, która w obecności znajdującego świat i ludzi kapucyna kontrolowała swoje słowa i gesty, zostawszy sam na sam z niedoświadczoną młodą wieśniaczką, nie myślała już tak dalece o powściągliwości. Mówiła rzeczy dziwne i z każdą chwilą dziwniejsze. Tak że, zamiast przytaczać tutaj te zwierzenia, wydaje nam się właściwsze opowiedzieć pokrótce poprzednie dzieje tej nieszczęśliwej istoty, a przynajmniej tyle z nich, by wyjaśnić jej zachowanie, tak niezwykle i tajemnicze, a także, by ukazać pobudki późniejszego jej postępowania.

Była ona najmłodszą córką księcia, możnego szlachcica mediolańskiego, jednego z najbogatszych w mieście. Miał on jednak tak wygórowane pojęcie o znaczeniu swego tytułu, że własne zasoby wydawały mu się zaledwie wystarczające, jeżeli nie zbyt szczupłe, na utrzymanie należytego splendoru. Toteż wszystkie jego wysiłki zmierzały ku temu, by tę fortunę zachować w całości, skupioną wieczyście w jednym ręku, jeśli tylko będzie to w jego mocy. Ile miał dzieci, historia nie mówi tego wyraźnie; wiadomo tylko, że całe młodsze potomstwo obojga płci przeznaczył z góry do klasztoru, aby zachować nieuszczerploną fortunę dla pierworodnego. Tego znów zadaniem było przedłużyć istnienie

rodu, czyli płodzić dzieci po to, by z kolei dręczyć je i siebie samego w podobny sposób. Tak więc kiedy znana nam, nieszczęśliwa istota znajdowała się jeszcze w łonie matki, przyszły jej los był już nieodwołalnie postanowiony. Jedyne, co pozostawało niewiadome, to czy będzie ona mnichem, czy mniszką; a i to nie zależało

od jej zgody, ale od samego tylko jej istnienia. Kiedy przyszła na świat, księżojciec, chcąc dać jej imię, które zawczasu nasuwałoby myśl o klasztorze, a przy tym należałoby do jakiejś wysoko urodzonej świętej, nazwał ją Gertrudą. Lalki ubrane w habity były pierwszymi zabawkami, jakie dawano jej do rąk; następnie przyszły obrazki przedstawiające święte mniszki. Podarunkom tym towarzyszyły niezmiennie przestrogi, aby je szanowała, jako rzeczy bardzo cenne, oraz pytanie zadawane tonem raczej twierdzącym: „Piękne, co?” Ilekroć książe, księżna lub młode książątko (jedyne spośród męskich potomków, jaki chował się w domu rodzicielskim) chcieli pochwalić kwitnący wygląd maleńkiej, nie znajdowali, zdawało się, odpowiedniejszego sposobu wyrażenia swego zadowolenia niż słowa: „Jaka śliczna mała przeorysza!” Nikt nie powiedział jej nigdy wyraźnie: „Masz zostać mniszką.” Ale myśl ta przewijała się, wtrącana mimochodem, przez każdą rozmowę dotyczącą przyszłych losów dziewczynki. Jeżeli czasem mała Gertruda zachowała się w arogancki czy zbyt władczy sposób, do czego zresztą popychały ją wrodzone jej skłonności, mówiono jej:

— Jesteś małą dziewczynką; nie przystoi ci takie zachowanie. Kiedy zostaniesz matką przeoryszą, będziesz rządziła, jak ci się żywnie spodoba.

Czasem znowu książe strofował ją, powściągając zbyt swobodne, swawolne maniery, które przybierała równie łatwo. — Ej, ej — mówił — nie jest to zachowanie godne twego stanu; jeśli chcesz, by ci w przyszłości okazywano należny szacunek, ucz się zawczasu panować nad sobą: pamiętaj, że w każdej rzeczy masz być pierwszą w całym klasztorze. Wszędzie bowiem, dokąd człowiek idzie, niesie z sobą krew, która w żyłach jego płynie.

Wszelkie tego rodzaju przemowy zaszczyptały w umyśle dziecka świadomość, że zostanie kiedyś mniszką. Ale te, które słyszała z ust ojca, wywierały na niej silniejsze wrażenie niż wszystkie inne razem wzięte. Zwykły sposób bycia księcia był władczy i surowy; ilekroć wchodziła w grę przyszłość dzieci, zarówno z jego twarzy, jak z każdego słowa przebijało niezłomne postanowienie, posępna tyrania budząca w dzieciach uczucie, że taki jest nieubłagany wyrok losu.

Kiedy miała lat sześć, Gertrudina umieszczona została dla edukacji, a zwłaszcza dla obudzenia w niej tego powołania, które jej narzucono, w tym samym klasztorze, w którym widzieliśmy ją obecnie. Wybór tego miejsca nie był bynajmniej przypadkowy. Poczciwy woźnica powiedział naszym znajomym kobietom, że ojciec signory był najpierwszym panem w Monzy. Zestawiając to świadectwo z innymi wskazówkami, jakie się niechcący wymknęły naszemu anonimowi, możemy twierdzić, że był to w istocie najpotężniejszy magnat w tych stronach. W każdym razie zażywał tam ogromnej powagi, sądził więc, że jego córka większymi tu niż gdziekolwiek indziej będzie otoczona względami, mającymi ją skłonić do obrania tego właśnie klasztoru na wieczystą siedzibę. Nie mylił się; opatka i niektóre inne przedsiębiorcze mniszki, które jak się to mówi, rej wodziły w klasztorze, były zachwycone, że daje im się jak gdyby ręką miętą możnej protekcji, bardzo użytecznej w wielu okolicznościach, a zawsze niezmiernie zaszczytnej. Przyjęły propozycję z oznakami wdzięczności, wymownymi, lecz nie przekraczającymi właściwej miary. W całej pełni

podzielały przebijającą mgliście poprzez słowa księcia intencję umieszczenia tam córki na stałe; zamiar ten bowiem szedł całkowicie po linii ich własnych zamiarów. Od pierwszej chwili pobytu Gertrudy w klasztorze nie nazywano jej inaczej jak signorą, jak gdyby to było jej imię; wyznaczano jej specjalne, szaczone miejsce przy stole i w sypialni; jej zachowanie podawano innym za wzór; obsypywano ją łakociami i pieszczono bez miary, z tą poufałością zaprawioną uszanowaniem, jaka zazwyczaj podoba się dzieciom, zwłaszcza gdy widzą, że osoby, od których ona pochodzi, traktują inne dzieci raczej z góry.

Nie znaczy to, że wszystkie mniszki należały do tego spisku, którego celem było usidlenie nieszczęsnego dziecka. Było wśród nich wiele prosto dusznych i dalekich od wszelkich intryg i sama myśl o tym, że można poświęcić własną córkę dla jakichś materialnych korzyści, obudziłaby w nich odrazę. Ale wszystkie były pochłonięte swymi obowiązkami i nawet nie dostrzegały owych niegodnych zabiegów albo nie umiały wyłuskać z nich tego, co było złe; może też nie czuły się powołane do wydawania sądu, a wreszcie milczały, by nie wywoływać niepotrzeb

nego skandalu. Niektóre pamiętając, jak podobnymi sztuczkami doprowadzono je niegdyś do decyzji, której żałowały poniewczasie, czuły litość nad biednym niewiniątkiem i dawały jej wyraz czułą, a melancholijną pieszczotą; dziewczynka jednak daleka była od podejrzwania, że kryje się w tym jakaś tajemnica. Tak więc toczyły się te sprawy i toczyłyby się może aż do końca, gdyby Gertrudina była jedyną dziewczynką w klasztorze; ale niektóre spośród jej towarzyszek wiedziały dobrze, że przeznaczono je do małżeństwa. Gertrudina, w którą wpajano stale świadomość, że jest czymś lepszym od innych, roztaczała przed ich oczyma wspaniałe obrazy przyszłości, kiedy będzie władczynią klasztoru, i za wszelką cenę pragnęła stać się dla nich przedmiotem zazdrości. Widziała jednak, zdumiona tym i dotknięta, że towarzyszki nie zazdroszczą jej ani trochę. Majestatycznym, ale ciasnym i zimnym obrazom, jakie nasuwała im myśl o władzy zwierzchniej nad klasztorem, przeciwstawiały mieniące się, błyszczące wizje uczt weselnych, zabaw, wesołych rozmów, festynów, jak się wówczas mówiło, letnich podróży, strojów, karet. Obrazy te wywoływały w umyśle dziewczynki taki szum i zamęt, jaki powstałby, gdyby przed otworem ula postawiono kosz świeżo zerwanych różnobarwnych kwiatów. Zarówno rodzice, jak wychowawczynie pielęgowali w niej i podsycali stale wrodzoną próżność i pychę, starając się, by zasmakowała w klasztornym życiu. Kiedy jednak próżność tę podsycać zaczęły obrazy znacznie lepiej się do tego nadające, dziewczynka pogrążyła się w nie z daleko większym i szczerzym zapalem. Nie chcąc dać się przewyższyć koleżankom, a także, by zadośćuczynić swej nowej namiętności, mówiła, że w końcu nikt nie ma prawa nałożyć jej welonu bez jej zgody; że i ona może wyjść za mąż, mieszkać w pałacu i zażywać światowych uciech, tak samo jak one, a nawet lepiej; że mogłaby to zrobić, gdyby chciała; że zechce na pewno, a nawet już chce; i rzeczywiście chciała. Myśl, że jej zgodą jest warunkiem koniecznym, dotychczas ukryta gdzieś w ciemnym zakątku jej świadomości, objawiła się nagle, rozrosła, nabrała siły i znaczenia. Raz po raz dziewczynka przywoływała ją na pomoc, by móc cieszyć się spokojnie ponętymi wizjami przyszłości. Spoza tej myśli jednak wyłaniała się zawsze i neodmiennie myśl inna: zgody owej należało odmówić

księciuojcu, który uważał tę sprawę — albo udawał, że uważa — za załatwioną. Świadomość ta sprawiała, że dziewczynka zgoła nie czuła w duszy tej pewności siebie, jaką wypowiadała słowami. Porównując swój los z losem

koleżanek, takich spokojnych o własną przyszłość, czuła dojmującą zazdrość, jaką poprzednio sama spodziewała się w nich rozbudzić. Zazdroszcząc, zaczynała ich nienawidzić i nienawisć ta wybuchała raz po raz w zniewagach, opryskliwości, złośliwych wybrykach. Chwilami przytłumiała ją wspólność upodobań i nadziei, wytwarzając przelotną i powierzchowną zażyłość. Chwilami znów, poszukując czegoś realnego i już teraz istniejącego, czym mogłaby się cieszyć, zaczynała przechwalać się przywilejami i względami, jakimi była otoczona, i dawała towarzyszkom odczuć swoją wyższość. To znów, nie mogąc znieść osamotnienia, w jakim musiała przeżywać swoje obawy i nadzieje, zaczynała szukać przymilnie towarzystwa koleżanek, błagając je niemal o życzliwość, o rady, o dddanie jej otuchy. Wśród takich to pożałowania godnych rozterek i walk staczanych z sobą samą i z otoczeniem minęło jej dzieciństwo i dziewczątko weszło w ów wiek krytyczny, kiedy to duszę zdaje się obejmować jakaś siła tajemna, która rozbudza i upiększa wszelkie drzemiące w niej skłonności i idee, dodaje im mocy, czasami zaś przekształca je, nadając im bieg nowy i nieprzewidywany. Dawniej w marzeniach Gertrudy o przyszłości najbardziej pociągały ją zewnętrzne splendory; obecnie zaczęła zabarwiać je jakaś miękkość i czułość, dawniej mglista i ledwie dostrzegalna, teraz przybierająca na sile i coraz wyraźniej zajmująca pierwsze miejsce w jej dziewczęcych rojeniach. Stworzyła sobie w najtajniejszym zakątku duszy niby jakieś uroczne schronienie, dokąd uciekała od otaczającej rzeczywistości, umieszczała tam rozmaite postacie stworzone z mglistych wspomnień dziecińczych, z nielicznych strzępków wiadomości o świecie, jakie pochwyliła z opowiadań koleżanek. Prowadziła z tymi osobami długie rozmowy, przemawiała do nich i odpowiadała sobie w ich imieniu; wydawała rozkazy i przyjmowała wszelkiego rodzaju hołdy. Od czasu do czasu wkradły się jakieś myśli religijne zamacając owe świetne, ale męczące uroczystości. Tylko że religia taka, jaką biedaczce wpojono i jaką ona przyjęła, nie przeciwstawiała się bynajmniej pysze, a nawet uświęcała

ją ukazując w niej drogę do osiągnięcia szczęścia na tej ziemi. Wyzuta w ten sposób ze swej istotnej treści, religia nie była, już religią, lecz jedynie jej zewnętrzną powłoką. W chwilach kiedy to widmo religii wysuwało się na pierwszy plan i przybierało w jej wyobraźni olbrzymie rozmiary, nieszczęśliwa Gertruda, opanowana niejasną trwogą i równie niejasnym pojęciem obowiązku, sądziła, że jej odraza do życia zakonnego i opór wobec woli starszych w kwestii wyboru przyszłego stanu to grzech ciężki i całą duszą przyrzekała go odpokutować, zamykając się dobrowolnie w klasztorze.

Istniało prawo wzbraniające przyjęcia młodej dziewczyny do klasztoru bez odbycia rozmowy z duchownym, noszącym tytuł wikariusza zakonnicy, albo innym, wyznaczonym do tej funkcji; miała to być rękojmia, że dziewczyna idzie do klasztoru z własnej woli. Rozmowa taka nie mogła mieć miejsca wcześniej niż po upływie roku od czasu wyrażenia przez kandydatkę odpowiedniego życzenia wobec tego samego duchownego oraz złożenia pisemnej prośby.

Zakonnice, które wzięły na siebie pożałowania godne zadanie nakłonienia Gertrudy, aby się związała przyrzeczeniem możliwie najmniej zdając sobie sprawę z tego, co czyni, skorzystały z jakiejś szczególnie odpowiedniej chwili i podsunęły jej do przepisania i podpisania taką suplikę. Chcąc ją do tego nakłonić, nie przestawały wmawiać w nią i powtarzać bez końca, że jest to jedynie czcza formalność, która może się stać obowiązująca dopiero (była to zresztą prawda) w połączeniu z dalszymi jej postępami, a te przecież od jej tylko woli będą zależały. Z tym wszystkim Gertruda zaczęła żałować podpisania supliki, nim jeszcze zdążyła ona dotrzeć do miejsca swego przeznaczenia. Potem znów poczuła skruczę z powodu owego żalu i tak spędzała dni i miesiące targana sprzecznymi uczuciami. Przez długi czas ukrywała swój uczynek przed koleżankami, czy to z obawy, by jej dobre postanowienie nie spotkało się z krytyką, czy też ze wstydu, czując, że popełniła głupstwo. W końcu jednak zwyciężyła chęć zwierzenia się, spytania o radę, zacerpięcia otuchy.

Było w tej dziedzinie drugie jeszcze prawo, mianowicie, że przed tą rozmową na temat powołania kandydatka musi spędzić co najmniej miesiąc poza klasztorem, w którym się wychowała. Rok upłynął właśnie od czasu złożenia sup

liki; oznajmiono Gertrudzie, że wkrótce zostanie zabrana z klasztoru do domu rodzicielskiego, gdzie spędzić ma miesiąc i poczynić przygotowania do ostatecznego kroku, który w gruncie rzeczy zaczęła już stawiać. Książe i jego rodzina uważali sprawę za pewną, niemal całkowicie dokonaną; dziewczyna jednak myślała o tym zupełnie inaczej: zamiast przygotowywać się do dalszych kroków, łamała sobie głowę nad sposobem wycofania się z tego pierwszego. W udęcie swej postanowiła wreszcie zwierzyć się jednej z towarzyszek, szczerzej, rezolutnej dziewczynie, gotowej zawsze do udzielania śmiałych rad. Ta namówiła Gertrudę, aby listownie powiadomiła ojca o swojej nowej decyzji, skoro nie miała dość odwagi, by mu twarzą w twarz śmiało powiedzieć: „Nie chcę.” A jako że bezinteresowne rady są na tym świecie rzeczą nader rzadką, Gertruda musiała zapłacić za ową radę wysłuchaniem mnóstwa drwin na temat jej tchórzostwa. List został ułożony przy udziale czterech czy pięciu najbardziej zaufanych koleżanek, napisany w wielkiej tajemnicy i wysłany przy pomocy bardzo zawitych podstępów. Od tej chwili Gertruda trwała w szalonym niepokoju, czekając na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła. Natomiast w kilka dni po wysłaniu listu matka przełożona wezwała dziewczynę do swojej celi i tam w słowach dość tajemniczych, tonem zdradzającym współczucie i niesmak zarazem, dała jej do poznania, że książe jest na nią ogromnie zagniewany z powodu wielkiego błędu, jaki popełniła; że jednak, o ile będzie się sprawowała bez zarzutu, może mieć nadzieję, że wina będzie jej darowana. Gertruda zrozumiała i nie odważyła się o nic więcej zapytać. Nadszedł wreszcie ów dzień, oczekiwany z trwogą i upragnieniem. Gertruda wiedziała, że przyjdzie jej stoczyć walkę, mimo to jednak sam fakt wyjścia z klasztoru, w którego murach zamknięta była od ośmiu lat, przebywania karetą ogromnych, otwartych przestrzeni, ujrzenia znowu miasta i domu — mieścił w sobie mnóstwo nowych, radosnych wrażeń. Co się tyczy spodziewanej walki, biedaczka powzięła już przy współudziale zaufanych koleżanek pewne projekty, naszkicowała, jakby się dziś powiedziało, pewien ogólny plan. „Albo zechcą mnie zmusić — myślała — a w takim razie będę nieugięta; będę pokorna, pełna szacunku, ale się nie zgodzę. Chodzi wszakże tylko o to, żebym nie powiedziała

znowu: «Tak»; a tego ja nie powiem. Albo też będą chcieli mnie podejść dobrocią, w takim razie będę także dobra: będę płakała, prosiła, postaram się wzbudzić w nich litość; ostatecznie nie żądam przecież niczego więcej prócz tego, by mnie nie oddali na ofiarę.”

Jednak, jak to często bywa z podobnymi przewidywaniami, nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Dni mijały, a nikt nie wspominał słowem ani o suplice, ani o próbie jej odwołania; nikt też nie próbował nakłaniać Gertrudy do czegokolwiek prośbą czy groźbą. Rodzice byli poważni, smutni, milczący, nie wyjaśniając wcale dlaczego. Widać było jednak, że patrzą na nią jak na niegodną winowajczynię; zdawałoby się, że zawisła nad nią jakaś tajemnicza klątwa, usuwając ją poza obręb rodziny, włączając ją do rodzinnego koła wtedy jedynie, kiedy chciano jej dać odczuć zależność, jakiej podlegała. Bardzo rzadko, o określonych godzinach, dopuszczana była do towarzystwa rodziców i starszego brata. Pomiędzy tymi trojgiem zdawała się panować wielka zażyłość; widząc to Gertruda tym boleśniej odczuwała osamotnienie, na jakie ją skazywano. Nikt się do niej nie odzywał; a ilekroć odważyła się wtrącić nieśmiało jakieś słówko bez widocznej konieczności, albo nie zwracano na to wcale uwagi, albo odpowiadano roztargnionym, wzgardliwym czy surowym spojrzeniem. A kiedy nie mogła już znieść tego bolesnego, upokarzającego odosobnienia, kiedy starała się wytworzyć jakieś pozory zażyłości, kiedy błagała o odrobinę uczucia — natychmiast powracano, nie wprost i otwarcie, ale w sposób dostatecznie jasny, do sprawy jej „wyboru”. Dawano jej do zrozumienia, że była to jedyna droga do odzyskania przywiązania rodziny. A Gertruda, która owego przywiązania za taką cenę nie chciała, cofała się, zamykała w sobie, wyrzekała się tych mizernych objawów zyczliwości, których tak bardzo pragnęła, dobrowolnie wracała na swoje miejsce wyklętej córki. A co więcej, pozostawała na nim z wszelkimi pozorami winy.

Ten stan rzeczy stanowił bolesny kontrast z owymi promiennymi wizjami, jakie Gertruda przywykła przed sobą roztaczać i roztaczała nadal w skrytości ducha. Miała niegdyś nadzieję, że w zbytkownym, pełnym gości domu rodzicielskim urzeczywistnią się chociażby w małej części wyśnione przez nią obrazy; ale spotkał ją całkowity za

wód. Znalazła tu równie ścisłą i surową klauzurę, jakiej podlegała w klasztorze. O jakichkolwiek spacerach mowy nawet nie było; do położonego tuż obok kościoła wiódł z domu kryty krużganek, tak że nawet ta jedyna potrzeba wychodzenia na świat boży — tu nie istniała. Towarzystwo było jeszcze mniej liczne aniżeli w klasztorze, a bardziej ponure i monotonne. Z chwilą, kiedy oznajmiono jakąkolwiek wizytę, Gertruda musiała odchodzić na najwyższe piętro domu i zamykać się w pokoju w towarzystwie starych niewiast służebnych. Tam też jadała, ilekroć byli w domu goście. Służba wiernie naśladowała przykład państwa w sposobie mówienia i zachowania. Gertruda, którą wrodzone jej usposobienie skłaniało do traktowania służby z wielkopańską dobroduszością i którą w obecnym jej położeniu uszczęśliwiłby każdy przejaw przywiązania i życzliwości wskazującej, że ludzie ci traktują ją jak równą sobie, zniżała się niemal do żebrania o trochę uczucia i czuła się upokorzona i boleśnie dotknięta, kiedy spotykała się z jawnym lekceważeniem, zaledwie maskowanym powierzchownymi oznakami uszanowania. Nie uszło jednak jej uwagi, że jeden z paziów różnił się pod tym . względem od reszty: odnosił się do niej z szacunkiem i objawiał w stosunku do niej szczególne współczucie. Zachowanie się tego chłopca wydało się Gertrudzie najbliższe tych pięknych obrazów, jakie powstawały w jej wyobraźni, i stworzonych przez nią idealnych postaci. Stopniowo, nieznacznie zaczęło pojawiać się w zachowaniu dziewczęcia coś nowego, odmiennego; jakiś spokój inny niż dotychczas i równocześnie jakiś nowy niepokój; robiła wrażenie osoby, która odkryła w życiu coś, co ją pociąga, co pragnęłaby mieć wciąż przed oczyma, tak jednak, by inni tego nie dostrzegli. Rozciągnięto nad nią ściślejszy jeszcze nadzór; i oto pewnego ranka jedna ze służebnych zaskoczyła ją w chwili, kiedy pospiesznie składała kartkę papieru. Obyż nie była nic na niej napisała! Po krótkim szamotaniu kartka znalazła się w ręku służącej, a stamtąd przeszła wprost do rąk księcia. Trudno opisać, trudno wyobrazić sobie twogę Gertrudy, ' kiedy usłyszała zbliżające się jego kroki. Nadchodził ojciec, gniewny ojciec, a ona czuła się tak bardzo winna! Kiedy go ujrzała z marszem na czole, z fatalną kartką w ręku, pragnęłaby się znaleźć już nie w klasztorze, ale głęboko

pod ziemią. Niewiele wyrzekł słów, ale te, które powiedział, były przerażające; natychmiastowa kara Gertrudy ograniczać się miała do zamknięcia w. pokoju pod strażą tej samej służebnej, która odkryła jej winę. Był to jednak tylko początek, tymczasowy środek zapobiegawczy. Inna kara, tajemnicza, nieokreślona i tym bardziej przez to groźna, zdawała się wisieć w powietrzu.

Paź, jak było do przewidzenia, został natychmiast wypędzony. Zagrożono mu przy tym najstraszliwszymi karami w razie, gdyby kiedykolwiek odważył się pisać słówko o tym, co zaszło. Zapowiedź tę poparły dwa siarczyste policzki wymierzone mu przez księcia; uznał on bowiem za wskazane dołączyć do tej historii pamiątkę, która by odjęła chłopcu chęć chwaleń się nią kiedykolwiek.

Nietrudno było znaleźć pretekst usprawiedliwiający to nagłe zwolnienie pazia ze służby; a co się tyczy księżniczki, mówiło się, że jest niezdrowa.

Pozostawiono ją tak, z bijącym sercem, dręczoną wstydem, wyrzutami sumienia, trwogą o to, co się z nią stanie. Jako jedyne towarzystwo miała zniechęconą przez siebie służącą, świadką jej winy, przyczynę jej niedoli. Tamta ze swej strony zniechędziła Gertrudę, z której powodu była teraz skazana, nie wiedząc nawet na jak długo, na nudny żywot strażniczki więziennej, a co gorsza, do końca życia miała strzec tej niebezpiecznej tajemnicy.

Zamęt, jaki w pierwszej chwili powstał w duszy Gertrudy, uspokajał się stopniowo; ale uczucia, wówczas wzbudzone, wracały jedno po drugim, zakorzeniały się w jej umyśle, rosły i dręczyły ją do woli. Jakaż miała być ta tajemnicza kara, którą jej grozono? W rozplamionej wyobraźni niedoświadczonej dziewczyny jawiły się coraz nowe, coraz dziwniejsze możliwości. Najbardziej prawdopodobne wydawało jej się odesłanie z powrotem do klasztoru w Monzy, gdzie przebywać miała już nie jako „signorina”, ale jako pokutnica, uwięziona kto wie na jak długo i kto wie jak traktowana? Była to okropna perspektywa, a najboleśniejszy w niej wydawał się Gertrudzie ów ciężar wstydu, który miała dźwigać.

Każde zdanie, słowo, każdy przecinek nieszczęsnego listu wciąż na nowo jawiły się w jej pamięci; wyobrażała je sobie, odczytywane i roztrząsane przez zgoła nieprzewidzianego czytelnika, tak bardzo różnego od tego, dla

którego list był przeznaczony. Myślała, że może padły na niego oczy matki, brata i kto wie czyje jeszcze — i to wydawało jej się najgorsze ze wszystkiego. Często też w pamięci nieszczęśliwej uwięzionej zjawiał się obraz tego, który był pierwszą przyczyną całego skandalu. Jakże dziwne wydawało jej się wspomnienie tej osoby pośród wszystkich pozostałych, ponurych, zimnych, groźnych. A ponieważ nie umiała oddzielić jednych wspomnień od drugich ani powrócić bodaj na chwilę do swoich dawnych radości, żeby zaraz nie stanęły jej przed oczyma obecne rzeczywiste zmartwienia, które z nich wynikły, starała się coraz rzadziej dopuszczać do siebie obraz tej postaci, odpychać go i zupełnie o nim zapomnieć. Również coraz rzadziej i niechętnie przypominała sobie owe wspaniałe, radosne wizje, jakie dawniej rodziły się w jej imaginacji; nazbyt sprzeczne były z obecną rzeczywistością i z tym, czego mogła oczekiwać w przyszłości. Oprócz tych zamków na lodzie jedynym zamkiem, w którym Gertruda mogła znaleźć spokojne i nie hańbiące schronienie, był klasztor, o ile zdecydowałyby się wrócić do niego na zawsze. Taka decyzja (nie wątpiła o tym) rozwiązałaby wszystko, ułagodziła, wyrównała rachunki i w jednej chwili zmieniła jej położenie. Prawda, że przeciwko temu buntowała się w niej dotychczas myśl każda, ale teraz wiele się zmieniło; z głębi otchłani, w którą została strącona, życie honorowanej, wyróżnianej, otoczonej posłuszeństwem zakonnic, w porównaniu z tym, co jeszcze mogło ją czekać, wydało się Gertrudzie słodkie jak cukierek. Dwa były uczucia, z gruntu odmiennej natury, które przyczyniały się do złagodzenia dawnej odrazy: chwilami było to poczucie winy, skrucha i jakaś przedziwnie tkliwa pobożność; czasem znów przychodziła do głosu zraniona pycha, wciąż jątrzona postępowaniem strażniczki, która (prawdę mówiąc, często prowokowana przez Gertrudę) mściła się na niej, to strasząc ją ową oczekiwaną wciąż karą, to wyszydając niemiłosiernie jej przewinę. Czasem znów siliła się na życzliwość przybierając tony opiekuńcze, bardziej jeszcze obmierzłe niż poprzednie zniewagi. Bywały chwile, kiedy Gertrudę ogarniało przemożne pragnienie wydobycia się z jej szponów i wzniesienia tak wysoko, by ani złość, ani politowanie tej kobiety nie zdołały jej dosięgnąć; pragnienie to stawało się tak żywe i dojmujące, że wszystko, co

mogło przyczynić się do jego spełnienia, wydawało się pożądane.

Pewnego ranka, po czterech czy pięciu długich dniach zaniknięcia, Gertruda udręczona i rozzłoszczona ponad wszelką miarę jakimś nowym despektem swojej strażniczki zaszyła się w kąt pokoju i trwała tam czas jakiś z twarzą ukrytą w dłoniach przezuwając swoją wściekłość. Poczła nagle nieodpartą potrzebę ujżenia innych twarzy, słyszenia innych słów, zapragnęła, by traktowano ją inaczej. Pomyślała o ojcu, o rodzinie i dusza jej cofnęła się przed nimi strwożona. Ale oto błysnęła jej myśl, że od niej tylko zależy, aby znaleźć w nich przyjaciół; i nagle ogarnęła ją radość. W ślad za nią odczuła zmieszanie, dojmujący żal z powodu popełnionej winy, gwałtowne pragnienie ekspiacji. Wola jej nie sprzeciwiała się już niczemu; nigdy jeszcze Gertruda nie czuła się porwana takim zapalem. Podniosła się, podeszła do stolika, wzięła w rękę to samo fatalne pióro i napisała do ojca list, w którym entuzjazm łączył się z przygnębieniem, rozpacz z nadzieją. Błagała o przebaczenie i wyrażała gotowość na wszystko, czego mógłby od niej zażądać, byleby przebaczenie zostało jej udzielone.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bywają chwile, kiedy dusza człowieka, a zwłaszcza człowieka młodego, jest szczególnie podatna do spełnienia każdego czynu mającego pozory szlachetnego poświęcenia; lekka prośba, wystarczy, by w takiej chwili uzyskać wszystko, czego się chce od takiej młodej istoty, która jest niby świeżo rozkwitły kwiat poddający się miękko na swej wątłej łożyzce każdemu powiewowi wiatru, gotów darzyć swoją wonią wszystko dokoła. Takie momenty powinny by budzić w otoczeniu podziw i nieśmiałą cześć; ale często one to właśnie stają się pastwą chytrności ludzi tropiących je podstępnie i chwytających w locie okazję nałożenia więzów na wyzbytą czujności wolę. Czytając list córki książę poczuł nagle, że otwierają się przed nim drzwi wiodące do spełnienia dawnych, a niewygasłych jego zamysłów. Posłał po Gertrudę wzywając ją do siebie; czekał na nią zdecydowany kuć żelazo, póki gorące.

Gertruda ukazała się wkrótce i nie podnosząc oczu na ojcowskie oblicze rzuciła się przed nim na kolana, mając zaledwie dość siły, aby wyszeptać:

— Przebaczenia!

Ojciec skinieniem dłoni kazał jej się podnieść i odpowiedział głosem, bynajmniej nie dodającym otuchy, że przebaczenia nie dosyć jest pragnąć i prosić o nie; rzecz to zbyt łatwa, naturalny odruch tego, kto czuje się winnym i obawia się kary; na przebaczenie trzeba zasłużyć.

Cichym i drżącym głosem Gertruda spytała, co powinna uczynić. Książę (nie mam serca w takiej chwili nazwać go ojcem) nie odpowiedział wprost, ale zaczął rozwodzić się szeroko nad przestępstwem Gertrudy, a każde jego słowo zadawało jej ból niby dotknięcie otwartej rany szorstką

dłonią. Mówił, że nawet gdyby przypadkiem nosił się był kiedyś z myślą pozostawienia jej w świeckim stanie, to teraz ona sama stworzyła nieprzewidywaną do tego przeszkodę, ponieważ on, jako człowiek honoru, nie mógłby nigdy pozwolić sobie na oddanie jakiemuś zacnemu szlachcicowi córki, która takie dała o sobie świadectwo. Nieszczęśliwa słuchała go, zupełnie zdruzgotana. Widząc to książę łagodził stopniowo swoje słowa i ton głosu; mówił, że dla każdej

winy możliwe jest odkupienie i miłosierdzie, dla tej zaś, którą ona popełniła, droga odkupienia jest jasno wskazana, że w smutnym tym wypadku powinna dojrzeć ostrzeżenie, iż w życiu światowym zbyt wiele czyha na nią niebezpieczeństw...

— Ależ tak! — wykrzyknęła Gertruda przejęta trwogą, dręczona wstydem, nagle wyzbyta wszelkiego oporu.

— Ach, więc i ty to rozumiesz! — podjął skwapliwie książę. — Nie mówmy zatem więcej o tym, co było; minęło i niechaj będzie zapomniane. Wybrałaś jedyną właściwą, zgodną z honorem drogę, jaka ci pozostała.. A skoro wybrałaś ją dobrowolnie, w godny i należyty sposób, moim obowiązkiem będzie uczynić ci ją miłą i pożądaną. Do mnie należy przysporzyć ci na niej wszelkich możliwych korzyści i zaszczytów. I nie omieszkam tego uczynić.

To rzekłszy wziął ze stolika dzwonek, potrząsnął nim i rzekł do wchodzącego lokaja:

— Księżna i młody książę, natychmiast. — Po czym zwrócił się znowu do Gertrudy: — Chcę natychmiast podzielić się z nimi radością, jaka mnie spotyka. Chcę, by od tej chwili wszyscy traktowali cię tak, jak przystoi. Poznałaś we mnie surowego ojca; teraz za to poznasz kochającego cię z całego serca.

Gertruda słuchała tych słów zupełnie oszołomiona. Myślała, jak to być może, aby to jedno „tak”, które jej się wyrwało, znaczyło tak wiele. Szukała w myśli sposobu cofnięcia go, a przynajmniej ograniczenia jego treści. Ale książę zdawał się tak całkowicie pewny swego zwycięstwa, radość jego tak samolubna, a dobroliwość tak nie znosząca sprzeciwu, że Gertrudzie nie starczyło odwagi na jedno bodaj słowo, które mogłoby go w najmniejszym stopniu podrażnić.

Po niedługiej chwili nadeszli oboje wezwani, a widząc Gertrudę, spoglądali na nią zdumieni i niepewni. Ale ksią

żę zwrócił się do nich, mówiąc radosnym i serdecznym tonem i narzucając im w ten sposób ton podobny:

— Oto nasza zbłąkana owieczka; niechaj to słowo będzie ostatnim przypomnieniem smutnego zdarzenia. Radość spływa na naszą rodzinę. Gertrudzie nie trzeba już niczyich rad. Czego pragnęliśmy dla jej dobra, ona sama z własnej postanowiła woli. Zdecydowana jest, jak mi to właśnie oznajmiła...

Słyszac to, biedaczka podniosła na ojca wzrok pełen rozpacz i błagania, jakby pragnęła zatrzymać padające z jego ust słowa. On jednak mówił dalej, niewzruszony:

— ...zdecydowana jest przyoblec welon.

— Kochana! Doskonale! — zakrzyknęli jednogłośnie matka i syn, po czym oboje uściskali Gertrudę. Przyjęła te przejawy czułości ze łzami, które poczytano za łzy radości. Książę począł rozwodzić się szeroko nad tym wszystkim, co zamierza uczynić, aby zapewnić córce szczęście i zaszczyty. Mówił o przywilejach, jakie będą ją otaczały w klasztorze i poza nim; że będzie tam niby udzielna księżna, będzie reprezentowała swój ród; że jak tylko osiągnie wiek przepisany, zostanie wyniesiona do najwyższych godności, a i przedtem podlegać będzie zwierzchniej władzy jedynie z pozoru. Księżna i młody książę wciąż na nowo obsypywali ją gratulacjami i pochwałami. Gertruda przeżywała jak gdyby jakiś dziwny sen.

— Wypada nam teraz ustalić dzień, w którym udamy się z naszą prośbą do Monzy, do matki przełożonej — powiedział książę. — Jakże będzie' uradowana! Mogę was zapewnić, że cały klasztor będzie umiał ocenić zaszczyt, jaki Gertruda mu czyni. A zatem... czemu nie mielibyśmy pojechać dzisiaj? Gertruda chętnie zażyje nieco świeżego powietrza.

— Jedźmy zatem — rzekła księżna.

— Idę wydać rozkazy — dodał młody książę.

— Ale... — spróbowała nieśmiało Gertruda.

— Powoli, powoli — podjął książę. — Pozwólmy decydować Gertrudzie. Może nie czuje się dziś usposobiona, może wolałaby zaczekać z tym do jutra? Powiedz: czy chcesz, abyśmy pojechali dziś czy jutro?

— Jutro — odpowiedziała ledwo dosłyszalnie. Wydawało jej się, że zyskując na czasie czyni jednak coś dla swojej obrony.

Jutro — powtórzył książę uroczyście. — Postanowiono zostało, że pojedziemy jutro. Tymczasem odwiedzę wikariusza zakonnicy, by ustalić dzień egzaminu. To rzekłszy książę wyszedł i udał się rzeczywiście (co było niemałym z jego strony wyróżnieniem) do owego wikariusza. Ustalono, że rozmowa nastąpi za dwa dni.

Przez resztę tego dnia Gertruda nie zaznała ani chwili wytchnienia. Po tylu wzruszeniach chciałyby odpocząć, doprowadzić do ładu własne myśli, zdać sobie jasno sprawę z tego, co uczyniła i co jej teraz wypada uczynić, zrozumieć, czego właściwie chce, powstrzymać choć na chwilę obroty owej maszyny, która, raz w ruch puszczona, trwała w przerażającym pędzie. Ale nie było sposobu. Różnorodne zajęcia następowały jedno po drugim, zahaczały jedno o drugie. Natychmiast po odejściu księcia zaprowadzono ją do gotowalni księżnej, gdzie pod jej okiem została uczesana i przystrojona przez własną garderobianą księżnej. Zanim obrzęd ten dobiegł końca, podano już do stołu. Gertruda przeszła pomiędzy tłumem służby, pośród głębokich ukłonów i gratulacji z powodu powrotu do zdrowia. W sali czekało kilkoro bliższych krewnych, naprędce zaproszonych, aby wspólnie uczcić dwa radosne wydarzenia: wyzdrowienie Gertrudy i objawienie wzniosłego powołania.

Oblubienica (taką nazwę noszą młode kandydatki do zakonu i tym właśnie słowem wszyscy obecni powitali zjawienie się Gertrudy) — oblubienica tedy zmuszona była wysłuchać mnóstwa uprzejmych słów, jakie wszyscy kolejno do niej zwracali, i odpowiedzieć na nie. Czuli to dobrze, że każda odpowiedź była podkreśleniem i potwierdzeniem jej zgody. Ale jakże mogłaby odpowiedzieć inaczej? Za ledwie wstano od stołu, nadeszła godzina przejażdżki. Gertruda wsiadła do karety razem z matką i dwoma zaproszonymi na obiad wujami. Niebawem wjechali na strada Marina, która w owym czasie przecinała tereny, gdzie dziś rozciąga się ogród publiczny; zazwyczaj o tej porze pojawiali się tam w swoich karetkach wielcy państwo, zażywając przejażdżki po trudach dnia.

Wujowie w rozmowie zwracali się również i do Gertrudy, jak wypadało w tym uroczystym dla niej dniu. Jeden z nich, który zdawał się znać tak jak nikt wszystkie przejeżdżające osoby, każdą karetkę, każdą liberię i wciąż miał

coś do powiedzenia o takim to panu czy takiej pani, zwrócił się nagle do siostrzenicy ze słowami:

— Ach, spryckiarko! Odrącasz te wszystkie głupstwa jednym gestem! Mądraś ty, panienko. Zostawiasz nas, biednych świeckich ludzi, razem z naszymi kłopotami, dla siebie obierając szczęśliwe, spokojne życie. Rzec by można, że zajedziesz karetką do rajku!

Późno było, kiedy wrócili do domu. Służba spiesząc z pochodniami na ich spotkanie oznajmiła, że liczni goście czekają w salonie. Wieść zdążyła już obieć miasto, więc krewni i przyjaciele przybywali dopełnić światowej powinności.

Weszli do salonu. Oblubienica była jedynym przedmiotem zainteresowania, konwersacji, była bóstwem i ofiarą. Każdy chciał ją mieć dla siebie, każdy coś obiecywał, łakocie czy odwiedziny. Ten opowiadał o matce jakiejś tam swojej krewnej, tamten o innej matce swojej znajomej, ktoś wychwalał klimat Monzy, inny znów z lubością rozwodził się nad tym, jaką wielką figurą będzie Gertruda w klasztorze.

Ci, którzy dotychczas nie zdołali zbliżyć się do otoczonej oblubienicy, pilnie wypatrywali odpowiedniej okazji, odczuwali bowiem pewien niepokój sumienia, dopóki tego obowiązku nie dopełnili. Stopniowo towarzystwo zaczęło się przerzedzać, goście rozchodzili się z poczuciem spełnionego obowiązku — i Gertruda pozostała sama z rodzicami i bratem.

— Nareszcie — powiedział książę — doznałem tej pociechy, zem widział moją córkę tak traktowaną, jak jej się to należy. Przyznać też muszę, że i ona spisała się doskonale i dała dowód, że potrafi zająć pierwsze miejsce i godnie reprezentować rodzinę.

Wieczorzano w pośpiechu, by wcześniej udać się na spoczynek i wcześniej wstać nazajutrz.

Gertruda smutna, udręczona, a równocześnie trochę nadęta pychą po wysłuchaniu tylu komplementów, wspomniała naraz, wszystko to, co wycierpiała ostatnio od swojej więziennej strażniczki. A widząc ojca tak niezwykle łaskawie usposobionego i skłonnego spełnić wszystkie jej życzenia — poza jednym jedynym — postanowiła wykorzystać te sprzyjające okoliczności i usunąć przynajmniej jedną z rozlicznych przyczyn udręki. Wyznała więc, że

znieść nie może obecności tej kobiety, i skarżyła się gorzko na jej postępowanie.

— Jak to? — rzekł książę. — Uchybiała należnego ci szacunku? Jutro, jutro zmyję jej głowę za wszystkie czasy. Zdaj się na mnie, już ja pomogę jej zrozumieć, kim jesteś ty, a kim ona. W każdym bądź razie córka moja, z której rad jestem niezmiernie, nie będzie zmuszona widzieć w swoim otoczeniu niemiłej jej osoby.

To rzekłszy kazał zawołać inną kobietę i przydzielić ją do osobistych posług Gertrudy, która syciła się otrzymaną satysfakcją, dziwiąc się w duchu, że tak niewiele mieści w sobie słodczy, choć tak mocno była przez nią upragniona. Duszę dziewczyny wypełniała żalosna, usilnie odpychana przez nią świadomość tego, jak daleko dzień ten posunął ją na drodze do klasztoru. Myślała, że dziś do wycofania się z niej potrzeba byłoby o wiele więcej odwagi i wytrwałości niż przed kilku jeszcze dniami — a przecież nawet wtedy jej w sobie nie znalazła.

Stara kobieta, która towarzyszyła Gertrudzie do jej pokoju, służyła w domu już od wielu lat. Wyniańczyła ona młodego księcia, którego jej powierzono, zaledwie wyszedł z powijaków, i opiekowała się nim aż po wiek młodzieńczy. Na nim skupiła całą swoją miłość, swoją dumę, wszystkie nadzieje. Cieszyła się więc ogromnie z decyzji, jaka w tym dniu zapadła, jakby to jej własna fortuna od tego zawisła. Toteż Gertruda na zakończenie tego dnia tonęła wręcz w gratulacjach, życzeniach, pochwałach i radach staruszki, musiała też wysłuchać dziejów licznych swoich ciotek i ciotecznych babek, które niezmiernie były szczęśliwe w klasztorze, ponieważ pochodząc z tak znakomitego rodu doznawały tam zawsze wszelakich zaszczytów; zawsze też mogły wysunąć na zewnątrz jedną łapkę i osiągały w klasztornej rozmównicy większe sukcesy, niż niejedna wielka dama zdołała osiągnąć w swoich salonach. Stara mówiła też wiele o wizytach, jakie Gertruda będzie przyjmowała. Pewnego dnia pojawi się i brat z młodą małżonką, która niewątpliwie będzie panną z wielkiego rodu. A wtedy nie tylko klasztor, ale i cała okolica będzie poruszona. Gadatliwa niewiasta mówiła bez przerwy rozbiegając Gertrudę, mówiła ułożywszy ją w łóżku i nie przestawała mówić, choć Gertruda dawno już spała. Młodość i zmęcz

nie okazały się silniejsze od dręczących ją myśli. Sen miała niespokojny, pełen posępnych majaków, mimo to przerwał go dopiero krzykliwy głos starej służebnej, która przysłała ją obudzić, bo czas już było gotować się do drogi do Monzy. — Wstawać, czas wstawać, panienkooblubienico! Dzień już jasny, a godzina minie, zanim zdążymy z ubieraniem i czesaniem. Księżna pani już się ubiera. Kazała się zbudzić o cztery godziny wcześniej niż co dzień. Młody książę chodził już do stajen, wrócił i czeka, gotowy do drogi. Chybki jest jak zając ten nasz diabełek. Ba! Taki był już od pieluch; mogę coś o tym powiedzieć, ja, com go na rękach nosiła. A jak jest już gotowy, niedobrze kazać mu czekać, bo choć ma serce najlepsze w świecie, traci przecież cierpliwość i straszne robi piekło. Biedaczek! Trzeba nam go żałować: taką już ma naturę. No, a tym razem to nawet trudno by mu się dziwić, toć zadaje sobie tyle trudu dla pani. Biada temu, kto mu się w takiej chwili nawinie pod rękę! Nie ma względów dla nikogo okrom księcia pana.

Ale kiedyś on sam będzie księciem panem — oby jak najpóźniej, oczywiście! No, żwawo, żwawo, panienczko. Cóż mi się panienka przypatruje taka zadziwiona?

O tej godzinie powinna by panienka być już na nogach. Na tę wizję zniecierpliwionego księżątka wszystkie inne myśli od chwili obudzenia kłębiące się w głowie Gertrudy pierzchły w popłochu niby gromada wróbli na widok koni.

Dziewczyna wstała posłusznie, ubrała się szybko, pozwoliła się uczesać i zeszła do sali, gdzie czekali na nią brat i rodzice. Posadzono ją na paradnym krześle z poręczami i podano filiżankę czekolady, co w owych czasach oznaczało to samo, co u Rzymian przywdzianie męskiej togi.

Kiedy oznajmiono, że karetą czeka, książe wziął córkę na stronę i powiedział:

— Odwagi, Gertrudo. Wczoraj zachowałeś się, jak ci przystoi. Dziś wszelako powinnaś przewyższyć samą siebie.

Musisz z należyтым splendorem ukazać się w klasztorze i w miejscowości, w której sądzono ci być pierwszą osobą.

Oczekują cię... — (Zbyteczne byłoby dodawać, że poprzedniego dnia książe zawiadomił opatkę.) — ...oczekują cię tam i wszystkie oczy będą na ciebie zwrócone. Godność i swoboda. Przełożona zapyta cię, czego sobie życzysz: to zwykła formalność. Możesz jej odpowiedzieć, że prosisz o pozwolenie przywdziania habitu w tym samym klasztorze,

w którym z taką miłością cię wychowywano i gdzie tyłu doznałaś względów — to czysta prawda. Wypowiedz tych kilka słów swobodnie, by nikt nie pomawiał cię o to, że cię ich nauczono i że sama z siebie nie potrafisz wykrztusić ni słowa. Te dobre matki nie wiedzą nic o tym, co tu zaszło. Niechże to pozostanie tajemnicą, pogrzebaną w twej najbliższej rodzinie. Dlatego nie możesz na twarzy okazać przymusu czy wątpliwości, bo to wzbudziłoby niechybnie jakieś podejrzenia. Pokaż, z jakiego pochodzisz rodu; bądź układna, skromna, ale nie zapominaj, że krom twojej rodziny nie będzie tam nikogo, kto by mógł nad ciebie się wynosić.

Nie czekając odpowiedzi książe ruszył ku drzwiom. Za nim postępowała księżna, księżniczka i młody książe. Zeszli ze schodów i wsiedli do karety. Podczas jazdy rozmowa obracała się dokoła przeciwności i kłopotów życia światowego; porównywano je z życiem w klasztorze, które zwłaszcza dla młodych osób szlachetnej krwi jest jednym pasmem szczęścia. Kiedy dojeżdżano do celu, książe przypomniał córce raz jeszcze wskazówki, jakich jej był udzielił, i kilkakrotnie powtórzył formułkę odpowiedzi. Wjeżdżając do Monzy Gertruda czuła bolesny ucisk w sercu, ale wnet uwagę jej zaprzętnęła grupka nie znanych jej panów, którzy zatrzymali karetę celem wyrecytowania jakiejś mowy na jej cześć. Ruszyli w końcu dalej i stępa dojechali do klasztoru, odprowadzani ciekawymi spojrzzeniami gapiów tłumnie zewsząd nadciągających. Wreszcie karetą stanęła. Na widok tych murów i tej furty jeszcze bardziej ścisnęło się serce Gertrudy. Wsiedli z karety i przeszli poprzez tłum ludzi, z trudem utrzymywany przez służbę w należytej odległości. Wszystkie te utkwione w nią oczy zmuszały biedną Gertrudę do usilnego czuwania nad swoim wyglądem; ale bardziej od innych trzymało ją na wodzy dwoje oczu ojcowskich, od których, mimo że przejmowały ją trwogą, nie miała siły ani na chwilę odwrócić swoich. Te srogie oczy trzymały pod swoją władzą, niby za pomocą niewidzialnej uzdy, każdy ruch, każde drgnienie twarzy dziewczęcia.

Minęli pierwszy dziedziniec, weszli na drugi i ujrzeli wewnętrzne drzwi klasztoru szeroko rozwarte, wypełnione tłumem zakonnic. W pierwszym rzędzie stała opatka w otoczeniu najstarszych sióstr. Za nią tłoczyły się bez

ładnie pozostałe, niektóre wspinały się na palce. Dalej, w głębi stanęły na ławkach siostry konwerski. Niżej, gdzieś tam pomiędzy habitów, wysuwały się dziecinne twarzyczki, błyszczały zaciekawione oczy; to najodważniejsze i najzręczniejsze spośród wychowanek zdołały prześliznąć się pomiędzy tłumem mniszek i stworzyć sobie odrobinę wolnej przestrzeni, żeby także cośkolwiek zobaczyć.

Z tego zwartego tłumu rozlegały się okrzyki, ręce wznosiły się powitalnym, radosnym gestem. Przybysze zbliżyli się do drzwi i Gertruda znalazła się twarzą w twarz z matką przełożoną. Po pierwszej wymianie uprzejmości opatka zapytała Gertrudę głosem uroczystym, a równocześnie wesołym, czego by sobie życzyła w tym domu, gdzie nikt niczego odmówić jej nie potrafi.

— Jestem tu... — zaczęła Gertruda. Ale w chwili, kiedy miała wymówić słowa, nieodwołalnie decydujące o jej losie, zawahała się i umilkła z oczyma wlepionymi w tłum, który miała przed sobą. Nagle spostrzegła jedną ze swoich najbliższych towarzyszek, która spoglądała na nią z mieszaniną współczucia i złości i zdawała się mówić: „A otóż i na co przyszło naszej bohaterce!” Na ten widok; odżyły w niej wszystkie przytłumione ostatnio uczucia i powróciła częściowo dawna odwaga. Zaczęła szukać w myśli jakiegokolwiek odpowiedzi, byle nie tej, jaką jej podyktowano. Ale skoro podniosła oczy na twarz ojca, chcąc jak gdyby wypróbować swe siły, dojrzała tam wyraz posępnego niepokoju i zniecierpliwienie tak pełne groźby, że przejęta strachem powiedziała spiesźnie, jakby uciekając przed niebezpieczeństwem:

— Przybyłam tu prosić, aby wolno mi było przyoblec strój zakonny w tym samym klasztorze, gdzie mnie z taką miłością wychowano.

Przełożona odpowiedziała skwapliwie, jak bardzo żałuje, że reguła nie pozwala w takim wypadku udzielić natychmiast odpowiedzi. Decyzja należy bowiem do całego zgromadzenia sióstr, zwołanego za uprzednim zezwoleniem władz zwierzchnich. Że jednak Gertruda, która zna przecież uczucia, jakimi darzy się ją w tym domu, może być zawczasu pewna pomyślniej odpowiedzi; a wreszcie, że żadna reguła nie wzbrania jej i wszystkim siostronom dania wyrazu wielkiej radości, jaką je przedłożona prośba napędza.

Rozległ się na to zmieszany chór życzeń i powitań. Zaraz też przyniesiono wielkie patery pełne słodczy, podając je najpierw oblubienicy, następnie jej rodzicom. Podczas gdy jedne zakonnice wyrzywały sobie wzajem przyszłą siostrę, a inne zabawiały uprzejmą rozmową księżną i młodego księcia, opatka dała znak księciu, że oczekuje go w rozmównicy i prosi, aby zechciał się tam udać.

Towarzyszyły jej dwie spośród najstarszych zakonnice. Widząc wchodzącego księcia odezwała się:

— Mości książe, reguła zmusza mnie... do dopełnienia pewnej formalności... jakkolwiek w tym wypadku... wszelako obowiązek nakazuje mi to rzec: ilekroć młode dziewczę prosi o pozwolenie przywdziania habitu, przełożona, a zatem ja, jakkolwiek niegodna, obowiązana jest ostrzec rodziców, iż w razie gdyby zmuszali córkę wbrew jej woli, popadną w ekskomunikę. Książe raczy mi wybaczyć...

— Oczywiście, oczywiście, wielebna matko. Pochwalam waszą sumienność, nic słuszniejszego... Wszakże nie wątpicie, wielebna matko...

— Och, przenigdy, mości książe... mówiłam z obowiązku jedynie... a zresztą...

— Zapewne, zapewne, wielebna matko.

Po tej niedługiej wymianie słów oboje skłonili się głęboko i rozstali spiesźnie, jakby ciążyła im wzajemna obecność. Oboje przyłączyli się do swoich, jedno wewnątrz, drugie na zewnątrz klasztornej progu.

— A teraz w drogę — rzekł książe. — Niebawem Gertruda będzie mogła do woli cieszyć się towarzystwem wielebnych matek. Na razie niepokoił się już dość długo. — To rzekłszy skłonił się, rodzina poszła za jego przykładem. Wymieniono pożegnalne formuły i goście odjechali.

W drodze powrotnej Gertruda nie okazywała ochoty do rozmowy. Prerażona krokiem, jaki uczyniła, zawstydzona swym tchórzostwem, oburzona na innych i na samą siebie, obliczała ze smutkiem, jakie jej jeszcze pozostały sposobności do powiedzenia „Nie”. Niepewna siebie i zmieszana, słabo obiecywała sobie, że w tym czy tamtym wypadku okaże się silniejsza i bardziej zręczna. Równocześnie jednak nie przestawał budzić w niej trwogi mars na czołe ojca. Toteż kiedy rzuciwszy nań ukradkiem spojrzenie przekonała się, że gniew zniknął i oblicze ojcowskie

promienieje zadowoleniem, poczuła się na chwilę bardzo uradowana.

Natychmiast po powrocie trzeba się było przebrać i doprowadzić do porządku, potem obiad, kilka wizyt, przejażdżka i towarzyska konwersacja, w końcu wieczera. Zanim wstano od stołu, książę sprowadził rozmowę na nowy temat: wyboru chrzestnej matki. Tak nazywano damę, która na prośbę rodziców otaczała opieką kandydatkę na zakonnice i dotrzymywała jej towarzystwa w czasie pomiędzy złożeniem prośby a przyjęciem do klasztoru. Czas ten obracano zazwyczaj na zwiedzanie kościołów, gmachów publicznych, na przyjęcia, wycieczki do zamiejskich will i przybytków kultu: jednym słowem, na wszystko, co było godne uwagi w mieście i okolicach. Czyniono to w tym celu, by owa młoda osoba, zanim złoży nieodwołalne śluby, dobrze poznała rzeczy, których się wyrzeka.

— Trzeba będzie pomyśleć o chrzestnej matce — powiedział książę — ponieważ jutro przybędzie, tu wikariusz zakonnicy dla dopełnienia formalności egzaminu, a zaraz potem sprawa Gertrudy będzie wniesiona na kapitułę.

Mówiąc to odwrócił się ku księżnej; ona zaś, biorąc ten gest za zachętę, zaczęła:

— Może byłaby...

Książę jednak przerwał jej:

— Nie, nie, księżno. Chrzestna matka musi przede wszystkim podobać się oblubienicy. Jakkolwiek powszechny obyczaj pozostawia wybór rodzicom, nasza Gertruda okazała tak wiele stateczności i rozsądku, że zasługuje, by dla niej uczynić wyjątek. — Po czym, zwracając się do córki, powiedział takim tonem, jakby oznajmiał jej szczególną jakąś łaskę: — Każda z dam, które odwiedziły nasz dom ubiegłego wieczora, posiada zalety, jakich można sobie życzyć od chrzestnej matki młodej osoby naszego rodu. Sądzę też, że nie ma wśród nich żadnej, która nie czułaby się zaszczyconą tym wyróżnieniem. Wybieraj zatem.

Gertruda rozumiała, że dokonać tego wyboru to to samo, co wyrazić zgodę raz jeszcze. Ale propozycja uczyniona była tak uroczyście, że odmowa choćby najpokorniejsza wyglądałaby na pogardę, a już co najmniej na kaprys czy pozę.

Uczyniła zatem jeszcze i ten krok i wymieniła da,me, która owego wieczora najbardziej przypadła jej do

gustu, czyli tę, która najwięcej obsypywała ją karesami i pochwałami, traktując ją z ową poufałą serdecznością i troskliwością, jaka w pierwszych momentach znajomości stwarza złudzenie starej przyjaźni.

— Doskonały wybór — rzekł książę, który tego właśnie życzył sobie i oczekiwał. Czy był to przypadek, czy rozmyślna sztuczka — dość, że stało się właśnie tak, jak bywa, kiedy kuglarz przesuwając wam przed oczyma talię kart mówi, byście wybrali w myśli jedną z nich, a on odgadnie, która to; ale robi to w taki sposób, że widzicie naprawdę tylko jedną.

Owa dama nie odstępowała Gertrudy przez cały wieczór i zajmowała ją swoją osobą tak dalece, że teraz potrzeba byłoby dziewczęciu niemałego wysiłku, aby przypomnieć sobie którąś inną. Gorliwość ta nie była zresztą bez przyczyny, dama bowiem od dawna już zwróciła oczy na młodego księcia i umyśliła sobie uczynić go swoim zięciem. Uważała więc sprawy tego domu nieomal za swoje własne; nic też dziwnego, że troszczyła się o tę kochaną Gertradę niemniej od jej najbliższych krewnych.

Nazajutrz rano Gertruda obudziła się z myślą o mającej nastąpić wizycie egzaminatora; a kiedy zastanawiała się, czy i jak dałoby się wykorzystać tę ostatnią sposobność na to, by się wycofać, książę wezwał ją do siebie.

— Odwagi, córko — powiedział jej. — Do tej pory zachowywałaś się doskonale; dzisiaj wypada ci uwieńczyć dzieło. Wszystko, co się do tej chwili działo, działo się z twoją zgodą. Gdyby w tym czasie powstała w tobie jakaś wątpliwość, jakiś żal, jakieś dziecinne zachcianki, powinnaś być je wyjawić. Natomiast w tym punkcie, do którego rzecz doszła obecnie, nie czas już na żadne kaprysy, ów zacny człowiek, który ma tu przybyć dzisiejszego ranka, zada ci pewnie setki pytań dotyczących twego powołania: a to, czy z własnej woli idziesz do zakonu, a dlaczego, a po co — alboż ja wiem? Jeżeli zawahasz się w odpowiedzi, będzie cię wypytywał Bóg wie jak długo. Będzie to dla ciebie okropna udręka, może też się na tym nie skończyć. Po wszystkich tych publicznych wyznaniach, które już mamy za sobą, najmniejsze wahanie, jakie by u ciebie dostrzeżono, naraziłoby na szwank mój honor; kazałoby przypuszczać, że jakiś twój kaprys przelotny wziął za niezłomne postanowienie, przyspieszył bieg sprawy

czy może... alboż wiem, co jeszcze? W takim razie widziałbym się zmuszonym wybrać jedną z dwóch, jednakowo bolesnych dróg: albo dopuścić, by świat marnego nabrał o mnie mniemania, a zbyt wiele winien jestem samemu sobie, by, wolno mi było tak uczynić, albo... odkryć prawdziwą przyczynę twego postanowienia i...

Urwał widząc, że Gertruda splonęła szkarłatnym rumieńcem, że oczy nabrzmiewają jej łzami, a twarz kurczy się jak płatki kwiatu w podmuchu zwiastującego burzę wiatru; po chwili ciągnął dalej łagodnym tonem:

— No, no, wszystko od ciebie samej zależy, od twego rozsądku. Wiem, że go masz niemało, żeś nie z tych, co na końcu gotowe są zepsuć rzecz dobrze poprowadzoną. Musiałem wszakże przewidzieć wszystko, co by się mogło wydarzyć. Więcej niechże nie będzie o tym mowy. Zgodni jesteśmy przecie w tym, że temu zacnemu księdzu należy odpowiadać szczerze i tak, by nie wzbudzić w jego umyśle żadnych wątpliwości. A i ty w ten sposób szybciej będziesz to miała poza sobą.

Nie omieszkał podsunąć córce właściwych odpowiedzi na spodziewane pytania, następnie zaś podjął z zapalem niewyczerpany temat opisując wszystkie słodycze i radości, jakie czekają Gertrudę w klasztorze. Nie przestał rozwodzić się nad tym aż do chwili, kiedy lokaj oznajmił przybycie wikariusza. Księżę więc pośpiesznie przypomniał córce najważniejsze ze swoich pouczeń i pozostawił ją samą z wikariuszem, jak nakazywały przepisy.

Zacny człowiek przyszedł z ustalonym już po trosze przeświadczeniem o nieodpartym powołaniu zakonnym Gertrudy; tak bowiem oświadczył mu księżę, kiedy przyszedł zaprosić go do siebie. Wikariusz wiedział, co prawda, że nieufność jest jednym z najkonieczniejszych atrybutów stanu kapłańskiego; zasadą jego było odnosić się do podobnych oświadczeń z pewną ostrożnością. Rzadko się jednak zdarza, aby przekonanie, wyrażone władczym tonem przez znamienitą osobę, nie zabarwiło na własną modłę umysłu osoby, do której zostało zwrócone.

— Signorina — rzekł ksiądz po wymianie powitalnych formułek — przychodzę tutaj jak gdyby w roli szatana; moim zadaniem jest bowiem podać w wątpliwość to, coś w swojej suplice napisała. Winienem przedstawić twoim oczom wszelkie trudności i przeszkody i upewnić się, zaliś

je do głębi rozważyła. Pozwól zatem, signorina, zadać sobie pewne pytania.

— Proszę — odpowiedziała Gertruda.

Zacny ksiądz rozpoczął więc przesłuchanie w wymaganej regułą formie.

— Zali czujesz, córko, w sercu swoim wolną i nieprzymuszoną wolę zostania mniszką? Zali nie nakłaniano cię do tego groźbą lub pochlebstwem? Nie użyto żadnej władzy, aby przywieść cię do tego postanowienia? Mów, córko, nie zważając na nic, z całą szczerością, mówisz bowiem do kogoś, czym obowiązkiem jest poznać twoją prawdziwą wolę, iżby mógł przeciwstawić się wszelkiemu gwałtowi, jaki by ci chciano zadać.

Właściwa na takie zapytanie odpowiedź pojawiła się natychmiast z przeraźliwą jasnością w umyśle Gertrudy. Ale dać tę odpowiedź — znaczyło to zapuścić się w obszerne wyjaśnienia, wyznać, że jej grożono, opowiedzieć pewne wydarzenie... Nieszczęśliwa cofnęła się przed tą myślą strwożona, gorączkowo szukając innej odpowiedzi. Znalazła tylko jedną jedyną, mogącą uwolnić ją szybko i niezawodnie od tej tortury — odpowiedź wprost przeciwną temu, co czuła naprawdę.

— Zostaję mniszką — powiedziała opanowując zmieszanie — z mojej własnej, nieprzymuszonej woli.

— Jak dawno powstała w tobie ta myśl, moja córko? — pytał dalej zacny ksiądz.

— Zawsze ją miałam — odrzekła Gertruda i teraz, kiedy uczyniła ten pierwszy krok, łatwiej już przychodziło jej okłamywać samą siebie.

— Jaka główna, najważniejsza przyczyna skłania cię, córko, do życia zakonnego?

Pocziwiec nie domyślał się wcale, jak tragicznej struny dotyka. Gertruda uczyniła wielki wysiłek, aby wrażenie, jakie wywarły na niej te słowa, nie odbiło się na jej twarzy.

— Tą przyczyną — rzekła — jest chęć służenia Bogu i ucieczka przed niebezpieczeństwami tego świata.

— Lecz czy to nie jest jakiś uraz? Jakiś... proszę o wybaczenie... kaprys? Bywa, że przemijająca, drobna przyczyna wydaje nam się trwałą i ważną; a kiedy ustanie, zmienia się i usposobienie człowieka, i jego zamysły, a wtedy...

— Nie, nie — przerwała Gertruda gwałtownie. — Przyczyna jest taka właśnie, jak rzekłam.

Wikariusz wypytywał ją jeszcze, bardziej gwoili sumiennego wypełnienia obowiązku niż dlatego, żeby widział istotną tego potrzebę. Gertruda jednak zdecydowana była okłamywać go do końca. Groźę budziła w niej myśl, że miałyby wyznać swą słabość przed tym poważnym, dobrym księdzem, który wydawał się tak bardzo daleki od podejrzenia jej o rzecz podobną. Poza tym biedaczka zdawała sobie sprawę, że wprawdzie ksiądz mógłby przeszkodzić wstąpieniu jej do klasztoru, ale też tutaj kończyła się jego władza i jego nad nią opieka. Odszedłby, a ona zostałaby sama z księciem. I czegoś to nie musiałaby potem wycierpieć w domu, o czym dobry ksiądz nigdy by się nie dowiedział. A nawet gdyby wiedział, mimo najlepszych chęci nie mógłby nic dla niej uczynić prócz tego, że żywiłby dla niej współczucie, owo spokojne, umiarkowane współczucie, jakim zazwyczaj obdarza się uprzejmie tych, którzy sami wywołali przyczynę wyrządzonego im zła, sami dostarczyli krzywdzicielom pretekstu.

Egzaminator prędeż znużył się zadawaniem pytań niż nieszczęsna ofiara okłamywaniem go. A ponieważ odpowiedzi były całkowicie zgodne między sobą i pytający nie miał żadnego powodu wątpić o ich szczerości, zaprzestał wreszcie indagacji, wyraził Gertrudzie swoją radość i przeproszał ją poniekąd za to, że tak zwlekał z dopełnieniem swego obowiązku. Tłumaczył się, że czekał, by utwierdziła się mocniej w swojej chwalebnej intencji. Wreszcie pożegnał ją i odszedł.

Idąc przez szereg sal i kierując się ku wyjściu natknął się na księcia, który zdawał się przechodzić tam przypadkowo; ksiądz pogratulował mu chwalebne go usposobienia, w jakim znalazł jego córkę. Księżę, który do tej chwili trwał w nader przykrym niepokoju, odetchnął w głębi duszy na tę wiadomość. Zapominając o swym zwykłym dostojęństwie pobięł do Gertrudy i począł obsypywać ją pochwałami, pieszczotami i obietnicami. Czynił to z hałaśliwą wesołością oraz z czułością w dużej mierze szczera. Tak jest bowiem stworzony ten dziwoląg, zwany ludzkim sercem.

Nie będziemy towarzyszyli Gertrudzie w nieustającym kołowrocie widowisk i rozmaitych rozrywek; nie opiszemy

też dokładnie i po kolei uczuć, jakich w tym czasie doznawała: byłyby to dzieje bolesnych rozterek, nazbyt monotonne i nazbyt podobne do tego, co już tu było opowiedziane. Urok oglądanych miejsc, różnorodność otaczających przedmiotów, przyjemność, jaką mimo wszystko dawał jej ruch na otwartym powietrzu — wszystko to tym trudniejszą do zniesienia czyniło jej myśl o miejscu, do którego przyjdzie jej w końcu odbyć ostatnią przejażdżkę i pozostać tam już na zawsze. Jeszcze dotkliwsze były wrażenia, jakich doznawała w czasie zabaw i przyjęć weselnych; widok młodych oblubienic, dla których nazwa ta miała prawdziwy, bardziej ludzki sens, budził w niej strasliwą, gryzącą zazdrość.

Kiedy indziej na widok jakiejś męskiej postaci czuła, że być tak nazwaną to szczyt ludzkiego szczęścia. Przepych pałaców, wspaniałość strojów, wesoły gwar zabaw upajały ją, oszałamiały, budziły w niej takie przemożne pragnienie życia w radości i weselu, że postanawiała odwołać wszystkie przyrzeczenia, ścierpieć raczej wszystko niż wrócić do zimnych, martwych mroków klasztoru. Wszystkie jednak postanowienia rozwiewały się, kiedy zaczynała spokojniej rozważać trudności, a nawet kiedy podniosła wzrok na twarz księcia. Często też myśl, że musi się na zawsze wyrzec wszystkich światowych przyjemności, przepajała goryczą i te, jakie były dla niej dostępne. Tak człowiek chory, dręczony pragnieniem, odpycha ze wstrętem łyżkę wody, którą lekarz niechętnie pozwoli mu podać.

Tymczasem wikariusz zakonnicy wydał żądane świadectwo i w ślad za nim nadeszło pozwolenie zwołania kapituły mającej zdecydować o przyjęciu Gertrudy. Kapituła odbyła się; w tajnym głosowaniu osiągnięto, jak można się było spodziewać, wymagane dwie trzecie głosów i Gertruda została przyjęta. Wówczas już sama z siebie, znużona tą ciągnącą się bez końca udręką, poprosiła, by mogła wrócić do klasztoru jak najprędzej. Nikt, rzecz prosta, nie usiłował jej w tej gorliwości hamować. Życzeniu jej stało się zadość, z wielką pompą odwieziono ją do klasztoru i odziano w habit. Po dwunastu miesiącach nowicjatu, wypełnionych nieustannymi nawrotami żalu i rozpacz, nadszedł czas złożenia ślubów, a więc chwila ostatecznego wyboru: czy powiedzieć „Nie”, najbardziej zdumiewające, nieoczekiwane, gorszące „Nie”, jakie kiedykolwiek słysza

no, czy powtórzyć owo „Tak”, które już tylekroć przedtem wypowiedziała. Powtórzyła je i stała się mniszką na zawsze. Jedną ze szczególnych i wyłącznych właściwości religii chrześcijańskiej jest zdolność pocieszenia każdego, kto się do niej ucieka, i pokierowania nim w każdej trudnej sytuacji, w każdej rozterce.

Jeżeli tylko istnieje sposób zaradzenia złemu, chrześcijaństwo potrafi go wskazać, narzucić, daje zrozumienie i siłę do spełnienia go za wszelką cenę. Jeżeli sposobu takiego nie ma — religia przychodzi z pomocą w urzeczywistnianiu tego, co przysłowie nazywa „cnotą z konieczności”.

Uczy mądrze doprowadzać do końca to, co się lekkomyślnie przedsięwzięło. Skłania ducha ludzkiego do wewnętrznej zgody na stan, jaki mu został przemocą narzucony; uświęca zuchwałą, a nieodwołalną decyzję, uczyniła jej całej mądrości, powiedzmy nawet: całej radości, jaka zwykła towarzyszyć powołaniu. Taka to już jest droga, że skoro postawi na niej pierwszy krok człowiek czy to błądzący w labiryncie, czy strącony na dno przepaści, spostrzeże, że otwiera się przed nim droga bezpieczna i łatwa, i kroczy po niej radośnie do równie radosnego celu. Tak więc i Gertruda mogłaby się stać mniszką świątobliwą i zadowoloną z losu, bez względu na to, co ją do klasztoru przywiodło. Ona jednak, nieszczęsna, wciąż szamotała się w swym jarzmie, tym boleśniej odczuwając jego ciężar i twardość.

Nieustanne gorzkie rozpamiętywanie utraconej wolności, złorzeczenie swemu obecnemu położeniu, dręczące snucie marzeń, które nigdy nie mogły się urzeczywistnić — oto co stanowiło duchowe życie Gertrudy.

Przeżuwała wciąż na nowo swoją żalną przeszłość, odtwarzała w pamięci wszystkie okoliczności, jakie ją popchnęły tam, gdzie się obecnie znajdowała. Po raz tysięczny na próżno odwoływała w myśli to wszystko, co sprawiła czynem. Oskarżała siebie o tchórzostwo, innych o tyranie i przewrotność. Jednym słowem, żyła w nieustannej udręce.

Ubóstwiała własną urodę i oplakiwała ją gorzko, ubolewała nad swoją młodością, skażaną na niszczenie w powolnym

męczeństwie — i były chwile, kiedy zazdrościła, każdej kobiecie, jakiego bądź stanu i położenia, byle tylko miała prawo cieszyć się życiem i jego darami.

Widok tych zakonnice, które pomogły wciągnąć ją w pułapkę, był jej nienawistny. Przypominała sobie wszystkie sztuczki i podstępny, których w tym celu użyły, i odpłacała im opryskliwością, wszelkimi możliwymi despektami i gorzkimi wyrzutami. One zaś przeważnie znosiły to w milczeniu. Bo choć książę mógł tyranizować córkę chcąc popchnąć ją wbrew jej woli do klasztoru, przecież — skoro już osiągnął to, czego chciał — nie ścierpiałby, aby inni występowali przeciwko jego potomstwu. Każda więc próba buntu mogła łatwo stać się przyczyną utraty cennej protekcji, a może nawet uczynić wroga z protektora.

Zdawałoby się, że Gertruda powinna była odczuwać pewną życzliwość w stosunku do tych zakonnice, które nie brały nigdy w tych intrygach udziału i które choć nie pragnęły jej za towarzyszkę, lubiły ją teraz, kiedy nią została. Pobożne, pracowite i pogodne, stanowiły one żywy dowód, że w tych murach można nie tylko żyć, ale żyć szczęśliwie.

Te jednak były Gertrudzie z innego znów powodu nienawistne: ich wygląd nabożny i zadowolony był dla niej jak gdyby wyrzutem sumienia — potępieniem jej niepokoju, jej dziwacznych zachowań. Nie pomijała też żadnej okazji wyśmiewania ich poza plecami, nazywając je nabożniami i obłudnicami. Może nie odnosiłaby się do nich tak wrogo, gdyby wiedziała lub domyślała się, że nieliczne czarne gałki, jakie znalazły się w urnie, mające zadecydować o jej przyjęciu do klasztoru, właśnie przez nie były złożone.

Pewną pociechę znajdowała czasami — a przynajmniej tak jej się wydawało — w rządzeniu, wydawaniu rozkazów, w dwornej uprzejmości, jaką była otoczona, w wizytach spoza klasztoru, jakie przyjmowała, w spełnianiu próśb do niej kierowanych, w roztaczaniu opieki, w tytule signory. Ale cóż to była za pociecha! Serce jej niewiele czerpało stąd zadowolenia i pragnęłoby znaleźć go więcej w pociechach religijnych. One jednak dostępne są tym jedynie, którzy potrafią wyrzec się innych, świeckich radości.

Tak rozbitek, jeśli chce uchwycić się deski mogącej donieść go szczęśliwie do brzegu, musi otworzyć pięści i wypuścić wodne algi, które ślepy instynkt kazał mu zacisnąć w dłoni.

Wkrótce po złożeniu ślubów Gertruda została nauczycielką klasztornych wychowanek. Pomyślcie tylko, jak wiodło się tym dziewczętom pod takim kierownictwem! Dawne powiernice Gertrudy wszystkie opuściły już klasztor. Ona jednak zachowała żywe i nietknięte swoje gwałtowne uczucia z tego okresu i ciężar ich odczuwały na sobie w taki czy inny sposób jej wychowanki.

Ileż uświadamiała sobie, że większość ich miała żyć w tym świecie, z którego ona była na zawsze wygnana, odczuwała w stosunku do tych biedaczek nienawiść, nieomal pragnienie zemsty.

Kazała im zawczasu pokutować za przyjemności, jakich miały zaznać w przyszłości. Kto by ją słyszał w takiej chwili, z jaką wyniosłą pogardą łajała swoje uczennice za każde najdrobniejsze wykroczenie, wziąłby ją za kobietę okrutną i niegodziwą. Kiedy indziej znów ta sama nienawiść, jaką obejmowała klasztor, regułę, posłuszeństwo zakonne — wywoływała wybuchy wręcz przeciwne. W takich momentach nie tylko tolerowała hałaśliwą swawolę uczennic, ale ją sama podsyciała; mieszała się do ich zabaw, przyczyniając się do tego, że jeszcze bardziej odbiegały od obowiązującej

reguły. Wtrącała się do ich rozmów i sprowadzała je na tory, jakie nie leżały bynajmniej w intencji rozmawiających dziewczątek. Jeżeli któraś z uczennic napomknęła coś o gadulstwie matki przełożonej, nauczycielka zaraz to podchwytowała i odgrywała istną scenę z komedii. Naśladowała wyraz twarzy jednej mniszki, ruchy innej, śmiała się bez pamięci, ale śmiech nie czynił jej ani trochę weselszą, niż była przedtem. W ten sposób przeżyła kilka lat, nie mając sposobności do większych wykroczeń. Aż kiedyś, na jej nieszczęście, sposobność taka się nadarzyła. Jedno z wielu wyróżnień i przywilejów, jakimi otoczono Gertrudę, by wynagrodzić jej to, że nie może zostać przełożoną klasztoru, polegało na tym, że zajmowała osobny apartament. Tą stroną klasztor przylegał do domu zamieszkałego przez pewnego młodzieńca, wielkiego nicponia, jednego z wielu, którzy w owych czasach, mając na własnym żołdzie gromady zbirów i 'w przymierzu z innymi nicponiami, mogli w dużej mierze drwić sobie z prawa i jego wykonawców. W naszym manuskrypcie młodzieniec ten zwany jest po prostu Egidio, bez wymienienia nazwiska.

Ten to Egidio widywał czasem przez okienko, które wychodziło na dziedziniec owego klasztorowego skrzydła, przechadzając się Gertrudę. Pewnego dnia, może dla zabicia czasu, może też znęcony i podniecony niebezpieczeństwem i bezbożnością tego przedsięwzięcia, ośmielił się przemówić do niej.

Na swoje nieszczęście odpowiedziała mu.

W pierwszej chwili odczuła zadowolenie, niezbyt może dla niej samej jasne, ale żywe. W ponurej pustce jej duszy pojawiło się silne i trwałe zainteresowanie, które, można by niemal rzec, wlało w nią nowe siły żywotne. Ale zadowolenie to podobne było do owych wzmacniających napojów, jakie starożytni w swym wymyślnym okrucieństwie podawali skazańcom, aby dodać im sił do znoszenia tortur. W tym czasie dała się zauważyć ogromna zmiana w zachowaniu Gertrudy. Stała się nagle jakaś spokojniejsza, bardziej normalna, zaprzestała drwin i hałaśliwych zabaw, złągodniała i stała się serdeczna, tak że siostry cieszyły się tą szczęśliwą zmianą. Dalekie były od domyślania się prawdziwej przyczyny i nie rozumiały, że ta nowa cnota oznacza tylko jedno: iż do starych wad przyłączyła się nowa — obłuda.

Zresztą, nowe oblicze, ta, można by ją tak nazwać, zewnętrzna biel — nie była trwałą, a już co najmniej nierówna i ciągała. Niebawem powróciły dawne despekty i kaprysy, znowu słyszano się przeklinanie i drwiny z klasztornej niewoli, wypowiedane często językiem, jakiego nie słyszano nigdy w tym miejscu i z tych ust. Ale po każdym takim wybryku następowała skrucha i wiele starania o to, by został pod wpływem przypochlebnych i miłych słówek zapomniany.

Zakonnice znosiły te chimery cierpliwie, przypisując je dziwacznej i lekkomyślnej naturze signory.

Przez jakiś czas nic nie wskazywało, by któraś z sióstr żywiła jakiegokolwiek podejrzenia. Ale pewnego dnia, kiedy signora z powodu drobnego przewinienia zaczęła łąać jedną z konwerek, pastwiąc się nad nią bez końca i bardziej niż to było w jej zwyczaju, ta, pocierpiawszy chwilę w milczeniu, z zaciętymi ustami, straciła wreszcie cierpliwość i krzyknęła, że jest coś, o czym ona wie, i powie to, gdzie i kiedy będzie należało. Odtąd signora nie zaznała chwili spokoju. Ale oto któregoś ranka, wkrótce potem, na próżno czekały na ową konwerską codzienne jej obo

wiązki. Posłano po nią do jej celi, nie było jej tam jednak. Wołano ją głośno: nie odpowiadała. Szukano jej wszędzie, przetrząśnięto wszystko od strychu do piwnic — nie znaleziono. I nie wiadomo, jakie zaczęto by snuć o tym

przypuszczenia, gdyby w trakcie tych poszukiwań nie odkryto przypadkiem sporej dziury w murze warzywnego ogrodu. Wszystkie mniszki były, rzecz prosta, pewne, że konwerska tamtędy wydostała się na wolność. Rozpoczęto wielkie poszukiwania w Monzy i okolicach, a przede wszystkim w Meda, skąd zaginiona pochodziła. Pisano listy w różne strony, nigdzie jednak nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad. Może dowiedziano by się więcej, gdyby, zamiast szukać daleko, przekopano ziemię tuż obok. Dziwiono się bardzo, nikt bowiem nie byłby sądził, że owa siostrzyczka zdolna jest do czegoś podobnego. Dużo mówiło się o tym zdarzeniu i w końcu wszyscy doszli do przekonania, że dziewczyna uciekła gdzieś bardzo daleko. A kiedy jeszcze którejś z zakonnice wyrwało się, ot, tak sobie: „Z pewnością uciekła do Holandii” — zaczęto mówić i uznano niebawem za pewnik w klasztorze i poza nim, że konwerska schroniła się w Holandii.

Nie sądzimy jednak, żeby i signora podzielała to mniemanie. Nie znaczy to, że wypowiadała jakieś w tej materii wątpliwości czy też zwalczała ogólny pogląd za pomocą jakichś własnych argumentów; jeżeli nawet je miała, były to argumenty starannie ukrywane. Niechętnie brała udział w rozmowach na ten temat i najwidoczniej nie zależało jej bynajmniej na dotarciu do dna tej tajemnicy. Im mniej o tym mówiła, tym więcej rozmyślała o tej sprawie. Ileż razy w ciągu dnia obraz zaginionej ukazywał się niespodzianie oczom signory i trwał tam, nie dając się odpędzić! Ileż razy myślała, że wołałaby zobaczyć ją przed sobą żywą i rzeczywistą niż mieć ją wciąż tak wyrżytą we wspomnieniu, dzień i noc czuć obok siebie tę mglistą, przeraźliwą, nieruchomą zjawę. Ileż razy pragnęła raczej usłyszeć jej głos prawdziwy, choćby wyrażał najcięższe groźby, niż mieć wciąż w uszach urojony szept powtarzający z uporem pewne słowa, z tą niewyczerpaną wytrwałością, jaką żadna żywa istota nigdy nie mogła być obdarzona!

W chwili kiedy Lucja została przedstawiona signorze i odbyła z nią ową rozmowę, przy której przerwaliśmy tok

naszej opowieści, od opisanych wypadków upłynęło około roku.

Signora nie przestawała wypytywać dziewczyny o owe prześladowania ze strony don Rodriga, roztrząsając pewne szczegóły z taką śmiałością, że musiało się to Lucji wydać co najmniej dziwne; nigdy bowiem nie przeszło jej przez myśl, aby mniszki mogły się podobnymi sprawami tak dalece interesować. Niemniej dziwne wydawały jej się poglądy, które signora wplatała mniej lub więcej przejrzyście w swoje pytania. Rzecz by można, że drwiła sobie z tej nieprzezwykłej odrazy, jaką Lucja żywiła względem magnata; pytała, czy taki z niego potwór, że budzi w niej podobną trwogę? Zdawała się też uważać, że opór Lucji jest głupi, zrozumiała może być jedynie, jeżeli wypływa z jej miłości do Renza. Rozpytywała też dziewczynę i o to w taki sposób, że Lucja zdumiewała się i rumieniła. Signora spostrzegłszy się w końcu, że zanadto pofolgowała swemu językowi w pogoni za majakami swego mózgu, starała się wycofać i wytłumaczyć jakoś sens swojej gadaniny. Nie udawało jej się jednak zatrzeć w Lucji uczucia przykrego zdumienia i jakiejś niejasnej trwogi. Zaledwie znalazła się sam na sam z matką, zwierzyła się jej z tego; bardziej doświadczona Agnese w niewielu słowach rozwiązała wątpliwości córki i wyjaśniła jej cały sekret.

— Nie dziwuj się temu — powiedziała. — Kiedy poznasz świat tak, jak ja go znam, przekonasz się, że nic takiego dziwnego w tym nie ma. Wszyscy wielcy państwo mają tak czy owak trochę źle w głowie, jedni więcej, inni mniej. Trzeba im dać się wygadać, zwłaszcza kiedy się ich na coś potrzebuje. Trzeba udawać, że się ich słucha, tak jakby to, co mówią, było słuszne i mądre. Słyszałaś przecie, jak na mnie napadła, jakbym Bóg wie jakie głupstwo rzekła. Nic a nic sobie z tego nie robię. Wszyscy oni tacy. Ale i tak możemy Bogu dziękować, że widać przypadłaś tej signorze do gustu i że chce cię wziąć naprawdę pod opiekę. A jak pożyjesz dłużej, moja córko, i przyjdzie ci jeszcze kiedy mieć do czynienia z panami, to się nasłuchasz, ba, nasłuchasz, nasłuchasz...

Chęć zobowiązania sobie ojca gwardiana, instynkt opiekuńczy, myśl o tym, jakie wrażenie wywrze taki czyn miłosierdzia, pewna życzliwość, jaką w niej Lucja obudziła, wreszcie uczucie ulgi na myśl, że czyni coś do

brego niewinnej istocie, że pociesza i wspomaga uciśnionych — wszystko to złożyło się po trosze na to, że signora szczerze wzięła sobie do serca los obu biednych uciekinierek. Na jej prośbę i przez wzgląd na nią umieszczono przybyłe w przyległym do klasztoru mieszkaniu gospodyni i traktowano tak, jakby stanowiły część klasztornej służby. I matka, i córka ogromnie się cieszyły, że tak rychło znalazły bezpieczne i godne schronienie. Byłyby rade, gdyby mogły przebywać tam nikomu nie znane. To jednak nie było w klasztorze rzeczą łatwą; zwłaszcza że był ktoś, komu zbyt zależało na zdobyciu wiadomości o jednej z nich, i w którego duszy do dawnej żądzy dołączyła się jeszcze wściekłość, że uprzedzono i udaremniono jego zamysły. Zostawmy więc obie kobiety w ich kryjówce, a powróćmy do zamku tego człowieka; zastaniemy go tam niecierpliwie wyczekującego wiadomości o wyniku łotrowskiej wyprawy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jak sfera ogarów, która po daremnym pościgu za zającem wraca zawstydzona do swego pana opuściwszy pyski i podwinawszy ogony, tak owej pełnej zamętu nocy wracali na zamek bravi don Rodriga. On sam zaś przemierzał tam i z powrotem ciemną i nie zamieszkałą komnatę na najwyższym piętrze, której okna wychodziły na placyk przed zamkiem. Raz po raz zatrzymywał się, wyęczał słuch, spoglądał przez szpary zmurszałych okiennic, niecierpliwy, a trochę też niespokojny nie tylko o wynik ryzykownej wyprawy, ale i o dalsze możliwe jego skutki. Była to bowiem najzuchwalsza i najgrubsza awantura, do jakiej ów zacny mąż kiedykolwiek przyłożył rękę. Starał się teraz stłumić swój niepokój przypominając sobie wszystkie środki ostrożności przedsięwzięte dla zatarcia śladów, jeśli już nie dla uspienia podejrzeń. „Co się tyczy podejrzeń — myślał — drwię sobie z nich. Chciałbym widzieć takiego śmiałka, który przyszedłby aż tu przekonać się, czy jakaś dziewczka jest tutaj, czy też jej nie ma. Niechby się tu wybrał ten dureń, dobrze będzie przyjęty! Niechby przyszedł i braciszek, doskonale. A stara? Stara pójdzie niechybnie do Bergamo. Sprawiedliwość? Do diabła ze sprawiedliwością! Podesta nie jest dzieckiem ani też szaleńcem. A Mediolan? Kto by tam w Mediolanie zawracał sobie głowę tą hołotą? Kto im uwierzy? Kto w ogóle wie, że tacy żyją na świecie? Są jak ludzie zagubieni na szerokim świecie, nie mają nawet pana; ot, ludzie niczyi. Co tam, nie ma się o co trapić. Ale się zadziwi Attilio! Zobacz, czym tylko na wiatr gadał. A zresztą, gdyby nawet kiedyś wynikł z tego jakiś kłopot... alboż ja wiem? Może jakiś mój wróg chwycić się tej okazji... to i Attilio mi pomoże, toć honor całego rodu będzie tu zagrożony.”

Najczęściej jednak myśl don Rodriga zatrzymywała się na tym przedmiocie, w którym znajdował zarówno ukojenie swoich rozterek, jak zer dla swoich namiętności. Była to myśl o Lucji, o pochlebstwach i obietnicach, jakimi zamierzał

ją ugłaskać. „Będzie tak wystraszona — myślał sobie —. wśród tych łotrowskich gąb, że na sam widok bardziej ludzkiej twarzy, jak moja... do diabła, sama prosić mnie będzie o opiekę... a skoro poprosi...”

Podczas kiedy snuł te piękne plany, usłyszał głośnie stąpanie; podszedł do okna, uchylił nieco, wyrzwał: byli to jego brawi. „A lektyka? Gdzie, u diabła, jest lektyka? Trzech, pięciu, ośmiu; są wszyscy. Jest i Griso; lektyki nie ma. Do diabła! Griso odpowie mi za to!”

Weszli; Griso złożył w kącie parterowej izby swój kij pielgrzymi, kapelusz i opończę, po czym, jak mu nakazywał jego urząd, którego mu nikt w tej chwili nie zazdrościł, udał się na górę złożyć don Rodrigowi sprawozdanie.

Ów czekał już na niego u szczytu schodów, a widząc go w niepewnej i niezdarnej postawie szelmy, któremu się nie powiodło, wrzasnął:

— No? Cóż tam, mości łgarzu, mości samochwalco, mości „Zdajsięnamnie”?

— Ciężko to — odparł Griso zatrzymując się na pierwszym stopniu — ciężko to słyszeć wymówki komuś, kto pracował sumiennie, starał się spełniać swoją powinność i ryzykował nawet własną skórę.

— Czegoś dokonał? Posłuchamy, posłuchamy — rzekł don Rodrigo idąc do swojej komnaty, gdzie Griso szybko począł zdawać mu sprawę, jakie wydał rozkazy, czego dokonał, co widział, a czego nie widział, co słyszał, czego się obawiał i czemu zapobiegł.

Z jego chaotycznej relacji przebijały te wszystkie wątpliwości, całe zdumienie i oszołomienie, jakie ogarnęły jego umysł owej nocy.

— Nie ponosisz winy i sprawiłeś się dobrze — orzekł don Rodrigo. — Czyniłeś, co się dało. Ale... ale jeżeli pod tym dachem kryje się szpieg? Jeśli jest, jeśli go odkryję, a odkryjemy go niechybnie, jeśli tylko jest, już ja się z nim rozprawię! Powiadam ci, Griso, wygarbuję go jak na święto!

— I mnie, panie — rzekł Griso — przyszło także do głowy takie podejrzenie. A jeśli się to okaże prawdą, jeżeli

przychwycimy tego łajdaka, wasza wielmożność powinien oddać mi go w ręce. Łotr, który urządził mi dla swojej uciechy taką noc! Mnie wypada się z nim porachować. Ale są rzeczy, które dają mi do myślenia, że jest w tym inna jeszcze historia, tylko jej jeszcze wyrozumieć nie zdołał. Jutro, wasza wielmożność, jutro wszystko to rozgryzę.

— Nie rozpoznano was chociaż?

Griso wyraził nadzieję, że nie. Na zakończenie rozmowy don Rodrigo wydał mu na dzień następny trzy rozkazy o wszystkich tych trzech rzeczach pomyślałby niewątpliwie i sam Griso. Po pierwsze, miał posłać wczesnym rankiem do sołtysa dwóch ludzi z tym zleceniem, które jak wiemy, zostało wykonane. Następnie — dwóm innym polecić, by mieli na oku spalone domostwo, nie pozwolili nikomu waleśać się w jego pobliżu i strzegli przed ludzkim okiem pozostawionej tam lektyki aż do zapadnięcia nocy, kiedy będzie można odnieść ją z powrotem. Tymczasem bowiem lepiej było nie wszczynać żadnego ruchu, który mógłby obudzić podejrzenie. Wreszcie miał Griso iść sam i rozesłać też innych, spokojnych i z głową na karku, aby pokręcili się wśród ludzi i wypenetrowali, ile się da, co do zajść ubiegłej nocy. Po wydaniu tych wszystkich dyspozycji don Rodrigo poszedł spać polecając Grisowi uczynić to samo. Nie skąpił mu przy tym pochwał, najwidoczniej starając się go udobruchać i zatrzeć w jego pamięci epitety, jakimi go był przywitał.

Idź spać, biedny Griso, z pewnością ci się to należy. Biedaku! Przy pracy cały dzień, przy pracy połowa nocy, nie mówiąc już o ryzyku wpadnięcia w łapy chłopstwa albo zarobienia jeszcze jednej kondemnatki za raptus puellae honestae na dodatek do tych, jakie już dźwigasz na grzbiecie. I jeszcze tak cię przyjęto! Ale cóż! Ludzka wdzięczność często bywa taka. Z okoliczności tej możesz wyciągnąć naukę, że sprawiedliwość, choć często nie pojawia się od razu, nadchodzi przecież w końcu, prędzej czy później, nawet na tym padole. Idź spać tymczasem; może nadejdzie kiedyś dzień, w którym raz jeszcze otrzymasz na to dowód, i to od dzisiejszego ważniejszy.

Następnego ranka Griso już od dawna zajęty był poza domem, kiedy don Rodrigo podniósł się z łoża. Zaraz od

szukał hrabiego. Attilio, który na jego widok wykrzywił się drwiąco i wykrzyknął:

— Świętego Marcina!

— Nie wiem, co ci rzec — odparł zbliżywszy się don Rodrigo. — Przegraną zapłacę. Ale nie to gnębi mnie najwięcej. Nie mówiłem ci nic, bo, wyznaję, miałem nadzieję niemało cię zadziwić dziś rano. Ale... dość tego, teraz wszystko ci opowiem.

— Wsunął tu swoją łapkę ten braciszek, bez wątpienia — rzekł kuzyn wysłuchawszy wszystkiego z większą, niżby można oczekiwać po takim szalawile, powagą. — Ten braciszek z tą swoją obłudą, z tym swoim głupim gadaniem to według mnie szczwany lis i mąciwoda. A tyś mi nie zaufał i nie powiedział jasno, czym on ci tu głowę suszył onegdaj. Don Rodrigo powtórzył mu rozmowę.

— I starczyło ci na to cierpliwości? — wykrzyknął hrabia Attilio. — Pozwoliłeś mu odejść, tak jak przyszedł?

— Cóż chcesz? Miałem sobie tu ściągnąć na kark wszystkich kapucynów z całych Włoch?

— Nie wiem — odpowiedział hrabia Attilio — czy w takiej okazji pomyślałbym o istnieniu na świecie innych jeszcze kapucynów prócz tego zuchwałego ladaco. Ale czyżby nie było sposobu, by otrzymać od kapucyna satysfakcję nie idącą na przekór nakazom rozwagi? Trzeba jeno podwoić uprzejmości względem całego zgromadzenia, a wtedy można już bezkarnie wyłoić kijem jednego z jego członków. No, trudno; na razie udało mu się uniknąć kary dlań najwłaściwszej. Ale teraz ja go wezmę pod swoją opiekę i doznam tej pociechy, że nauczę go, jak się przemawia do takich jak my.

— Żebyś mi jeno nie zaszkodził!

— Zaufajże mi raz jeden; przysłużę ci się jako krewny i jako przyjaciel.

— Co myślisz zrobić?

— Nie wiem jeszcze. Ale że się braciszкови przysłużę, to pewne. Pomyślę nad tym i... A, toż hrabia wujaszek z Tajnej Rady może się tu niemało przydać! Drogi hrabia wujaszek! Ileż mam uciechy za każdym razem, kiedy musi się o mnie kłopotać taki mąż stanu! Pojutrze będę w Mediolanie i w taki czy inny sposób dogodzę braciszкови!

Śniadanie nie przeszkodziło im roztrząsać dalej spraw tak wielkiej wagi. Hrabia Attilio rozprawiał z całą bezstronnością; jakkolwiek zajął stanowisko, jakiego wymagała odeń przyjaźń dla kuzyna i honor wspólnego nazwiska — zgodnie z pojęciami, jakie miał w materii przyjaźni i honoru — przecież chwilami z trudem się opanowywał, żeby się nie śmiać pod wąsem z tak wspaniałego powodzenia wyprawy.

Ale don Rodrigiem, którego sprawa ta dotyczyła nierównie bliżej i który zamierzywszy dokonać po cichu wielkiego zamachu poniósł zamiast tego rozgłosną porażkę, miałyby namiętności znacznie silniejsze i znacznie dokuczliwsze gnębiły go myśli.

— Ależ to będzie gadanie wśród hołoty w całej okolicy — mówił. — Chociaż, cóż mnie to obchodzi? Co się tyczy sprawiedliwości, śmieję się z niej. Dowodów nie ma. A choćby i były, śmiałbym się także. Na wszelki wypadek kazałem ostrzec dziś rano sołtysa, by się nie ważył donieść o tym, co się zdarzyło. Nic wielkiego z tego by nie wynikło, ale nie lubię, jak dużo gadają. Już i tego za wiele, że tak został wystrychnięty na dudka.

— Dobrześ zrobił — odpowiedział hrabia Attilio. — Ten wasz podesta... uparciuch, pusty łeb, nudziarz, ale przecież człek zacny i znający swoje obowiązki. Mając z takimi ludźmi do czynienia, tym bardziej baczyć trzeba, by ich nie stawiać w trudnej sytuacji. Jeśli taki obwieś sołtys złoży doniesienie, podesta, choćby najlepsze miał chęci, musi przecież...

— Ale ty — przerwał poirytowany nieco don Rodrigo — ty psujesz moje sprawy tymi nieustannymi sprzeczkami, tym przerywaniem mu, kiedy gada, tym wyśmiewaniem się zeń przy byle sposobności. Czemuż, u diabła, nie miałby być podesta głupi i uparty, skoro jest przy tym uczciwym człowiekiem?

— Wiesz, kuzynie — powiedział spoglądając ze zdumieniem hrabia Attilio — wiesz, czego zaczynam się obawiać? Że masz trochę; stracha, skoro już nawet podesty bronisz?

— No, no, czyżeś sam nie powiadał, że trzeba się z nim liczyć?

— Powiadałem, a jakże. I kiedy idzie o rzecz poważną, sam się przekonasz, że nie dziecko. Czy wiesz, co gotów jestem dla ciebie uczynić? Otóż zamierzam' udać się we

własnej osobie w odwiedzinach do imię podesty. Będzie uradowany zaszczytem, jaki mu uczynię, ja zaś pozwolę mu gadać przez pół godziny o hrabimksięciu i o kasztelanie hiszpańskim, będę przyznawał mu we wszystkim rację, choćby nie wiem jakie gadał głupstwa. Rzucę potem mimochodem słówko o naszym hrabimwuju z Tajnej Rady, a sam wiesz, jak pięknie brzmią takie słówka w uszach imię podesty. Koniec końców, więcej on potrzebuje naszej protekcji niżli ty jego pobłażliwości. Uczynię to dla ciebie.: pójdę do niego i pozostawię go przychylniej niż kiedykolwiek usposobionego.

Wypowiedziawszy to wszystko i wiele jeszcze innych podobnych słów, hrabia Attilio wyruszył na łowy, a don Rodrigo został, z niecierpliwością wyczekując powrotu Grisa. Ów zjawił się wreszcie, kiedy zbliżała się już pora obiadu, i złożył swoją relację.

Wypadki owej nocy były tak głośne, zniknięcie zaś trojga ludzi z małej wioski stanowiło zdarzenie tak niezwykle, że poszukiwania i dociekania musiały być, rzecz prosta, gorliwe, pełne zapału i uporczywe, czy to dyktowane były troską o zaginionych, czy tylko ciekawością. Z drugiej strony zbyt wielu było ludzi, którzy coś niecoś wiedzieli, aby sprawa mogła utonąć w milczeniu. Perpetua ani na progu nie mogła się pokazać, aby nie być napastowana przez tego czy owego, by wyjawiała, kto nastraszył tak bardzo jej pana. Perpetuę zaś, która rozważywszy wszystkie okoliczności nocnej przygody zrozumiała, że została przez Agnese wystrychnięta na dudka, roznosiła taka wściekłość z powodu podobnej perfidii, że czuła konieczną potrzebę dania ujścia tej wściekłości. Nie znaczy to, by użalała się przed tym lub owym, w jaki sposób dała się wyprowadzić w pole; o tym ani pisała. Ale szpetny figiel, spleatany jej biednemu panu, nie mógł być przemilczany i puszczony płazem. Zwłaszcza że obmyślony był i wykonany przez tego, zdawałoby się, zacnego młodzieńca, tę stateczną wdowę, tę młodą nabożniśnię. Prawda, że don Abbondio przykazywał jej surowo i prosił usilnie, żeby milczała; prawda, że ona sama zapewniała go, iż rzeczy tak jasnej i samo przez się zrozumiałej nawet mówić jej nie potrzeba, przecież tak okropna tajemnica burzyła się w sercu biednej kobiety niby młode wino w starej, źle obręczami obitej baryłce, które syczy, bulgocze i jeśli na

wet nie wypycha szpuntu w powietrze, to przeciska się dokoła niego w postaci piany, sączy się pomiędzy klepkami, to tu, to tam wypuści kropelkę, tak że bez trudu można go pokosztować i osądzić, jakie też jest to wino. Gervaso, któremu nie dawała spokoju myśl, że raz przecie wie coś, czego nie wiedzą inni, któremu ten wielki strach, jaki przeżył ostatnio, wydawał się słusznym tytułem do chwały, który, ostatecznie, przyłożył był rękę do czegoś, co pachniało kryminałem,

przez co stał się we własnych oczach równy wszystkim dokoła — otóż Gervaso niemal pękał z chęci pochwalenia się tym wszystkim publicznie. Tonio poważnie obawiający się możliwości śledztwa, zeznań i procesu przykazał mu, co prawda, przykładając pięść do twarzy, żeby nie pisał nikomu ani słówka; nie było jednak w jego mocy właczać Gervasowi w gardło na powrót każde słowo. Zresztą i sam Tonio, spędziwszy część nocy w tak niezwykle sposób poza domem i wróciwszy w stanie ogromnego podniecenia, które przejawiało się nawet w jego chodzie i całej postaci i skłamało go do szczerości, nie zdołał przemilczeć przygody przed swoją żoną; ta zaś nie była przecież niemową. Najmniej ze wszystkich mówił Menico, a to dlatego, że zaledwie zdążył opowiedzieć rodzicom, dokąd i po co go wysłano, przerazili się tak okropnie tym, że syn ich przyczynił się do udaremnienia jakiegoś zamysłu don Rodriga, że wręcz nie pozwolili chłopcu dokończyć opowieści. Zapowiedzieli mu też natychmiast bardzo groźnie, żeby nie ważył się ani mrugnąć, że mu coś o tym wiadomo. Nazajutrz zaś, doszedłszy do przekonania, że mimo wszystko nie są zupełnie bezpieczni, postanowili zamknąć syna w domu i nie wypuszczać ani tego dnia, ani dni następnych. Ale cóż? Gawędząc to z tym, to z owym, chociaż za nic nie chcieliby się zdradzić, że wiedzą więcej od innych, przecież, kiedy roztrząsało się niewyjaśnioną sprawę ucieczki tamtych trojga: jak, po co i dokąd się schronili — oni sami dodali, jako rzecz powszechnie znaną, że zbiegowie udali się do Pescarenico. Tak więc jeden więcej szczegół przedostał się do publicznej wiadomości.

Wszystkie te strzępki nowin zebrano i sklecono razem dodając do nich — jak zwykle przy zeszywaniu kawałków — szeroką frędzlę; powstała z tego historia niewątpliwa i jasna, godna najbardziej nawet krytycznego umysłu.

Jedynie nocne najście bravich, wypadek zbyt głośny i poważny, by można go odsunąć na bok, a o którym właściwie nie było wiadomo nic prawie, zaciemniało całą sprawę. Po cichu wymieniało się tu imię don Rodriga; co do tego punktu wszyscy byli zgodni. Ale poza tym wszystko było niejasne i gubiło się w najrozmaitszych przypuszczeniach, Dużo mówiło się o tych dwóch zawadiakach, których widziano na drodze o zmierzchu, i o tym trzecim, stróżującym u drzwi oberży. Ale, jakież światło można by ło wykrzesać z tego suchego faktu? Wypytywano oberżystę, kto był u niego poprzedniego wieczora. Ale oberżysta, o ile można mu było wierzyć, nie przypominał sobie wcale, czy w ogóle kogokolwiek tego wieczora widział. I pilnie przyrównywał swoją oberżę do „nadmorskiego portu”.

Najwięcej jednak ze wszystkiego zbijał ludzi z tropu ów dostrzeżony przez Stefana i Carlandrea pielgrzym, którego ci zbóje chcieli zamordować i który odszedł z nimi czy też został przez nich uprowadzony. Skąd się wziął? Może była to dusza czyścowa, która zjawiała się kobietom na ratunek? A może potępiona dusza pielgrzymarozbójnika i oszusta, przyłączająca się nocą do takich, którzy trudnili się tym samym, czym on się trudnił za życia? Wreszcie mógł to być także prawdziwy pielgrzym, którego ci złoczyńcy usiłowali zamordować w. obawie, że krzykiem zbudzi całą wieś. Albo — popatrzcież tylko, czego to ludzie nie wymyślą — może był jednym ze złoczyńców, przebranym w szaty pielgrzyma. Był, jednym słowem, to tym, to owym, to jeszcze innym; tak że cały spryt i doświadczenie Grisa nie wystarczyłyby do rozwikłania tej zagadki, gdyby Griso zmuszony był ją odgadywać jedynie z ludzkich pogwarek. Tylko że, jak czytelnikom wiadomo, to właśnie, co najbardziej zaciemniało tę historię w oczach innych ludzi, dla Grisa było najzupełniej jasne. A posługując się tą zagadką jako kluczem do rozwiązania pozostałych, zebranych bądź przez niego samego, bądź przez jego podkomendnych, zdołał sklecić dla don Rodriga relację mniej więcej zrozumiałą. Udał się też do niego niezwłocznie i opowiedział o zamachu, jaki uplanowała sobie nieszczęśliwa para narzeczonych. Teraz jasne się stało, dlaczego napastnicy zastali dom pusty i co oznaczało bicie w dzwon na trwogę; nic nie wskazywało na to, że w domu znalazł się zdrajca (jak to nazywali obaj

zadni mężowie). Griso powiadomił też swego pana o ucieczce, której powody nie były trudne do odgadnięcia: strach, jakiego napędziło obojgu młodym schwytanie ich na gorącym uczynku, albo wieść o napaści na dom, która łatwo mogła dojść ich uszu z chwilą, kiedy napaść ta została odkryta, a cała wieś była w poruszeniu. Na koniec oznajmił, że tamci schronili się w Pescarenico — dalej wiadomości Grisa nie sięgały. Don Rodrigo z ulgą dowiedział się, że nikt go nie zdradził i że nie pozostały żadne ślady jego czynu. Było to jednak słabe i przelotne uczucie zadowolenia. — Uciekli razem! — wykrzyknął. — Razem! I ten szelma mnich! Ten mnich! — Słowa wydobywały się z jego gardzieli ochryple, przeciskały się między zębami wściekle gryzącymi palce. — Zapłaci mi za to ten mnich, Griso! Nie jestem sobą, jeżeli... muszę wiedzieć, muszę odnaleźć... dziś wieczór chcę wiedzieć, gdzie oni są. Nie mam spokoju... Do Pescarenico, natychmiast! Wybadać, zobaczyć, wynaleźć... Cztery dukaty zaraz i moja protekcja na zawsze. Dziś wieczór muszę wiedzieć. A ten łajdak!... Ten mnich!...

Griso wyruszył znowu na zwiady. Tegoż wieczora mógł już przynieść swemu panu żadaną wiadomość; a oto jakim sposobem:

Jedną z największych radości na tym padole jest przyjaźń; jedną zaś z największych wartości przyjaźni jest to, że człowiek ma przed kim zwierzyć się z sekretu. Rzecz w tym, że przyjaciele nie żyją parami, na kształt małżeństw. Każdy, ogółem biorąc, ma więcej niż jednego druha; tworzy to łańcuch, którego końca nikt nie potrafiłby odnaleźć. Kiedy taki przyjaciel ulży sobie zwierając sekret drugiemu, budzi w nim chęć przekazania ciężącej mu tajemnicy dalej aby z kolei i on doznał tej samej ulgi. Prosi oczywiście, by nie mówił nic nikomu; warunek, który gdyby go przyjął w ścisłym tego słowa znaczeniu, położyłby z punktu kres dalszym „ulgom”. W praktyce jednak zobowiązuje on do tego jedynie, żeby nie zdradzić sekretu nikomu prócz bliskiego i zaufanego przyjaciela, i to tylko pod wyżej przytoczonym warunkiem. Tak więc od jednego zaufanego przyjaciela do drugiego zaufanego przyjaciela krąży ów sekret po ogniach olbrzymiego łańcucha, aż wreszcie dociera do uszu tego czy tych, którzy przynigdy nie powinni go byli usłyszeć, przynajmniej

w pojęciu tego pierwszego, który puścił sekret w świat. Wędrownka ta byłaby zresztą bardzo powolna, gdyby każdy miał tylko dwóch przyjaciół: tego, który jemu powiedział, i tego, któremu on powtórzył tajemnicę. Są jednak ludzie uprzywilejowani, którzy przyjaciół liczą sobie na setki; z chwilą kiedy sekret dotrze do takiego właśnie szczęśliwca, krążenie staje się tak szybkie, że nie podobna już nadążyć jego śladem. Nasz autor nie miał też możliwości policzyć, przez ile ust przeszedł sekret, który Griso miał zlecone odkryć. Faktem jest, że ów poczciwiec, który odwoził był nasze znajome do Monzy, wracając około godziny dwudziestej trzeciej swoim wózkiem do Pescarenico, natknął się dojeżdżając do domu na swego serdecznego przyjaciela i opowiedział mu w wielkim zaufaniu o swoim dobrym uczynku i o całej reszcie. Faktem jest również, że zanim upłynęły dwie godziny, Griso mógł wrócić do zamku don Rodriga z wiadomością, że Lucja z matką schroniły się w pewnym klasztorze w Monzy, a Renzo udał się w kierunku Mediolanu.

Na wieść o tym rozstaniu don Rodrigo wpadł w łotrowską wesołość, powróciła mu też częściowo niemniej łotrowska nadzieja, że mimo wszystko uda mu się dopiąć swego.

Przez większą część nocy rozmyślał nad tym i zerwał się wczesnym rankiem z dwoma projektami: jednym — gotowym, drugim — z lekka dopiero naszkicowanym. Pierwszy dotyczył natychmiastowego posłania Grisa do Monzy celem zebrania dokładnych wiadomości o Lucji i wybadania, czy dałoby się tam coś zrobić. Zaraz też wezwał do siebie tego najwierniejszego pomocnika, wsunął mu w rękę cztery dukaty, raz jeszcze pochwalił go za zręczność, z jaką na nie zapracował, wreszcie wydał mu przygotowane uprzednio rozkazy.

— Panie... — odezwał się Griso z wahaniem.

— No? Czy nie mówiłem dość jasno?

— Gdyby wasza wielmożność raczył wysłać kogoś innego...

— Jak to?

— Wasza wielmożność, gotów jestem oddać życie na rozkaz mego pana; to moja powinność. Aleć i to wiem, że pan mój nie lubi bez potrzeby narażać życia swych poddanych.

— Cóż zatem?

— Waszej wielmożności znane są owe wyroki, które mam na karku... Tutaj jestem pod jego opieką; przynależę do drużyny; pan podesta jest przyjacielem naszego domu; zbiry miejskie szanują mnie, a i ja... lubo mi to nie przynosi zaszczytu, przecież dla świętego spokoju także okazuję im przyjaźń. W Mediolanie barwy waszej wielmożności są dobrze znane... ale w Monzy? Natomiast ja jestem tam aż nadto znany. A jak waszej wielmożności wiadomo — i nie mówię tego na wiatr — ten, kto by mnie wskazał sprawiedliwości albo przyniósł tam moją głowę, zrobiłby nie byle jaki interes: sto dukatów na stół i obietnica wypuszczenia na wolność dwóch więźniów.

— Co u diabła! — rzekł don Rodrigo. — Wyglądasz mi coś na takiego brysia, co to odważa się jeno capnąć za nogę tego, kto na próg stąpi, a i to ogląda się, czy domownicy blisko, od domu zaś na krok się nie oddali!

— Sądzę, panie, żeś dał nieraz dowody... . — No więc!

— No więc — rzekł śmiało Griso przyciśnięty w ten sposób do muru — niechaj wasza wielmożność zapomni, żeś cośkolwiek mówił. Serce lwa, nogi zajęcze. Gotów jestem wyruszyć natychmiast.

— Nie chciałem przecie, żebyś tam poszedł sam jeden. Weźże ze sobą dwóch najlepszych: Sfregiato i Tiradritto będą w sam raz. Idź śmiało, jakeś Griso. Co u diabła! Kiedy trzech takich zuchów jak wy idzie za swoimi sprawami, każdy rad ich przepuści, byle poszli sobie jak najdalej! Musiałoby zbirom w Monzy do cna obrzydnąć życie, by je chcieli postawić przeciwko stu dukatom w grze tak niepewnej! A zresztą, zresztą nie sądzą, bym był w tamtych stronach tak zgoła nieznanym, by fakt, żeś w mojej służbie, nic tam nie ważył.

Zawstydzwszy w ten sposób Grisa, pan jego dał mu obszerne i szczegółowe instrukcje. Griso zabrał obu kompanów i ruszył z wesołą i zawadiacką miną, w duszy jednak kłął Monzę, wyroki, kobiety i zachcianki wielkich panów. Szedł jak wilk, co gnany głodem, z brzuchem zapadniętym i dającymi się policzyć żebrami, porzuca swoje góry, gdzie nie ma nic prócz śniegu, i zapuszcza się ostrożnie w głąb równiny, raz ,po raz przystając z łapą zawieszoną w powietrzu, kołyszając wyleńiałym ogonem, i

Pysk unosi węsząc wiatr zdradliwy...

czy nie przyniesie mu woni człowieka lub żelaza; nastawia śpiczaste uszy, toczy krwawymi oczyma, w których widnieje żądza łupu i strach przed myśliwym. Co się zaś tyczy tego pięknego wiersza, jeśli kto ciekaw, skąd go wzięłem, mogę zdradzić, że pochodzi z pewnego nie wydanego jeszcze diabelstwa, traktującego o krucjatach i Lombardach, które zresztą przestanie wkrótce być utworem nie wydanym i narobi wiele hałasu. Pożyczyłem sobie ten wiersz, bo mi się tu nadał; a mówię skąd, ponieważ nie zwykłem stroić się w cudze piórka.

Niechże więc nikt nie posądza mnie o to, że kierowała mną chęć oznajmienia światu w ten chytry sposób, iż z autorem tego poematu jesteśmy niby dwaj bracia i że mogę szperać do woli w jego rękopisach.

Drugą sprawą, która trapiła don Rodriga, było znalezienie sposobu na to, by Renzo nie wrócił razem z Lucją i by w ogóle nie mógł więcej pokazać się w swojej wsi. W tym celu umyślił sobie rozpuścić wiadomości o wszelakich

niebezpieczeństwach, jakie tam na niego czyhają, licząc, że wieści te dotrą do uszu Renza za pośrednictwem któregoś z przyjaciół i odejmą mu całkowicie chęć powrotu. Myślał, że najpewniejszym rozwiązaniem byłoby, gdyby udało się wygnać go z granic księstwa; a do osiągnięcia tego celu, więcej niż przemoc, mógł się przydać wymiar sprawiedliwości. Można byłoby, na przykład, podbarwić nieco ów zamach na proboszcza, przedstawić go jako najście na dom, jako czyn podstępny i za pośrednictwem doktora przekonać podestę, że jest to wystarczający powód do uwięzienia Renza. Don Rodrigo miał jednak wątpliwości, czy wypada mu mieszać się w takie mizerne sprawy. Postanowił więc nie łamać sobie więcej nad tym głowy, ale zwierzyć się doktorowi Azzecagarbugli tyle, ile będzie potrzeba, aby pojął, czego sobie don Rodrigo życzy. „Dekretów najrozmaitszych jest obfitość — myślał sobie — a doktor nie jest głupi; potrafi wyszukać coś, co się tu nada, przypnie bez trudu jakąś łatkę temu chłopinie. Inaczej zmienię mu przydomek, bo okaże się, że nań nie zasługuje.” Ale (jak to często bywa na tym świecie) podczas kiedy

don Rodrigo myślał, że nikt nie potrafi przysłużyć mu się w tej sprawie tak dobrze jak sprytny doktor, ktoś inny, Renzo we własnej osobie, pracował usilnie na jego korzyść, dążąc do celu pewniejszymi i szybszymi drogami niż te, jakie doktor Azzecagarbugli zdołałby kiedykolwiek wymyślić.

Przyglądałem się nieraz, jak jeden drogi mi chłopaczek, mówiąc między nami, bardziej żywszy, niżby należało, ale zapowiadający się na zacnego w przyszłości człowieka, usiłował przed wieczorem zapędzić do klatki swoje stadko morskich świnek, w ciągu dnia biegające swobodnie po ogródku. Próbował zapędzić je wszystkie razem do legowiska; był to jednak zawsze trud daremny. Ilekroć któreś ze zwierzątek wymknęło się w prawo, a mały pastuszek biegł za nim, by je zapędzić do stada, już dwa czy trzy inne odbiegały w lewo, drepcząc na wszystkie strony. Tak że straciwszy cierpliwość, zdawał się wreszcie na ich instykt: zapędzał do środka najpierw te zwierzątka, które były najbliżej wejścia, potem chwycił resztę po jednym, po dwa, po trzy, jak się dało. W podobny sposób wypada nam rozegrać grę z naszymi bohaterami: umieściwszy bezpiecznie Lucję, podążyliśmy za don Rodrigiem, teraz z kolei i jego musimy porzucić, by udać się w ślad za Renzem, którego straciliśmy z oczu.

Po opisanym przez nas bolesnym rozstaniu Renzo wędrował z Monzy do Mediolanu w tym stanie ducha, jaki łatwo sobie każdy wyobrazi. Porzucić dom, rzemiosło i, co najgorsze ze wszystkiego, przebywać z dala od Lucji; wędrować drogą nie mając gdzie głowy skłonić; a wszystko przez tego niegodziwca! Kiedy myślał o tym, ogarniała go wściekłość i żądza zemsty; zaraz jednak przypominał sobie modlitwę, którą odmawiał wspólnie z dobrym mnichem w kościele w Pescarenico, i przychodziło opamiętanie. Gniew zrywał się jeszcze chwilami w jego duszy, ale widząc na jakimś murze święty obrazek przystawał, zdejmował kapelusz i modlił się chwilę. Tak to w ciągu swojej wędrówki zabijał w myśli don Rodriga i zaraz potem wskrzeszał go, co najmniej ze dwadzieścia razy.

Droga, którą szedł, zaryta była głęboko między dwoma wysokimi brzegami, błotnista, kamienista, głęboko przeorana koleinami, które po deszczu zmieniały się w koryta strumyków. W niżej położonych miejscach droga była tak

zalaną wodą, że można by po niej płynąć łodzią. Wydeptane ścieżyny i strome stopnie wiodące na wysoki brzeg wskazywały, że przechodnie w tych miejscach jako drogi używali pola. Renzo, wdrapawszy się taką ścieżynką na

wyżej położone grunty, ujrzał nagle przed sobą ogromny gmach katedry wznoszącej się jak gdyby nie w środku miasta, ale na pustkowiu. Stał jak wryty zapomniawszy na chwilę o wszystkich swoich nieszczęściach, wpatrując się w ten ósmy cud świata, o którym od dzieciennych lat tyle słyszał opowiadań. Ale, kiedy po chwili odwróciwszy się dojrzał na widnokręgu poszarpany łańcuch gór i odróżnił w nim wyniosły Resegone, poczuł znów, że krew się w nim burzy. Stał tak chwilę smutno patrząc w tę stronę, po czym odwrócił się i równie smutny ruszył w dalszą drogę. Kiedy tak szedł, wyłaniały się przed jego oczyma coraz to nowe dzwonnice, wieże, kopuły i dachy. Powrócił w dół, na drogę, szedł nią jeszcze czas jakiś, aż widząc, że jest już w pobliżu miasta, zbliżył się do jakiegoś przechodnia i skłoniwszy mu się zagadnął tak uprzejmie, jak tylko potrafił:

— Uczyńcie mi łaskę, panie.

— Czego sobie życzysz, pocziwy młodzieńcze?

— Czy zechcielibyście, panie, wskazać mi najkrótszą drogę do klasztoru kapucynów, tego, gdzie przebywa ojciec Bonaventura?

Człowiek, którego Renzo zaczepił, był zamieszkującym w pobliżu miasta staruszką, który tego ranka udał się w jakichś swoich sprawach do Mediolanu i wracał teraz w wielkim pośpiechu, nie załatwiwszy niczego; spieszo mu było znaleźć się z powrotem w domu i to zatrzymanie wcale nie było mu na rękę. Mimo to nie pokazując po sobie zniecierpliwienia odpowiedział bardzo uprzejmie:

— Drogi synu, klasztorów jest w tym mieście wiele. Musiałbyś mi jaśniej wyłożyć, którego z nich szukasz.

Renzo w odpowiedzi wydobyl zza pazuchy list ojca Cristoforo i pokazał go owemu panu. Ten zaś, przeczytawszy na nim słowa „Brama Wschodnia”, zwrócił list mówiąc:

— Masz szczęście, młodzieńcze. Klasztor, którego szukasz, znajduje się niedaleko stąd. Pójdź tą dróżką na lewo; dojdiesz nią w ciągu paru minut do rogu długiej, niskiej budowli: to lazaret. Idąc wzdłuż fosy, która go otacza, doj-

dziesz do Wschodniej Bramy. Wejdiesz w nią i jakie trzysta, czterysta kroków dalej ujrzysz placyk, gdzie rosną piękne wiązki: tam jest ów klasztor; nie możesz się omylić. Bóg niech będzie z tobą, pocziwy młodzieńcze. Uczyniwszy przy tych ostatnich słowach uprzejmy gest pożegnania, nieznajomy oddalił się pozostawiając Renza zdumionego i zbudowanego taką niespodziewaną uprzejmością miejskich ludzi wobec wieśniaka. Nie wiedział wcale, że nie był to dzień zwykły, ale taki, w którym delie kłaniały się kaftanom. Poszedł drogą, jaką mu wskazano, i niebawem stanął przy Wschodniej Bramie. Niechaj jednak ta nazwa nie wywoła w umyśle czytelnika tych obrazów, jakie się z nią obecnie kojarzą. Wówczas kiedy Renzo przekroczył ową bramę, ulica po drugiej jej stronie biegła prosto jedynie wzdłuż murów lazaretu, dalej zaś wiała się ściśnięta pomiędzy dwoma parkami. Samą bramę stanowiły dwa słupy i daszek nad nimi, osłaniający od deszczu skrzydła wrót; obok kuliła się chatynka stróża pobierającego rogatek. Bastiony murów stanowiły nierówną pochyłość, teren w ich sąsiedztwie pokryty był wszelkiego rodzaju odpadkami, byle gdzie rzucanymi. Ulicę, jaka ukazywała się oczom wchodzących przez tę bramę, można by przyrównać do tej, która obecnie prowadzi od Bramy Tosa. Środkiem jej szedł rów ściekowy, sięgający nieomal bramy, i dzielił ulicę na dwie wyboiste odnogi, pełne kurzu lub błota, zależnie od pory roku. W miejscu, gdzie zaczynała się i zaczyna dziś jeszcze uliczka zwana Borghetto, ściek gubił się w większym kanale. Stała tam kolumna zakończona krzyżem, znana jako kolumna Świętego Dionizego. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się ogrodzone płotami sady, wśród nich gdzieniegdzie nędzne domki, zamieszkałe przeważnie przez praczek. Renzo wszedł w bramę, minął ją nie zaczepiony wcale przez celników. Wydało mu się to dziwne, jako że od tych niewielu ludzi ze swojej wsi, którzy mogli poszczycić się tym, że byli kiedyś w Mediolanie, nasłuchał się był niemało o rewizjach i badaniach, jakim podlegali u bram miejskich przybysze ze wsi. Ulica była tak pusta, że gdyby nie daleki szum świadczący o tym, że przecież gdzieś coś się dzieje, mogłoby się zdawać, że to opuszczone przez ludzi miasto. Idąc dalej i nie wiedząc, co myśleć o tym wszystkim, Renzo dostrzegł na ziemi smugi czegoś

białego i miękkiego, podobnego do śniegu. Nie mógł to jednak być śnieg, bo ten nie układa się smugami ani też nie pada zazwyczaj o tej porze roku. Renzo schylił się, ' przyjrzał uważnie, dotknął i przekonał się, że owe białe ślady to mąka. „Wielki dostatek — pomyślał sobie — musi być w Mediolanie, jeżeli tak się tu marnuje dary boże. A mówią nam, że głód wszędzie panuje! Takie to są sposoby, żeby wiejskich ludzi utrzymać w spokoju.” Parę kroków dalej, u stóp wspomnianej kolumny, zobaczył jednak rzecz jeszcze bardziej zadziwiająca: na stopniach cokołu leżało coś jakby kamienie; ale gdyby zobaczył to coś na ladzie u piekarza, nie zawahałby się nazwać tego chlebem. Renzo nie śmiał wierzyć własnym oczom, boć przecież, u licha, nie było to odpowiednie miejsce do składania bochenków chleba. „Popatrzmyż, co to być może” — powiedział sobie. Podszedł do kolumny, schylił się i podniósł jeden taki przedmiot. Był to w istocie chleb, okrągły, bielutki, taki, jaki Renzo jadał tylko przy uroczystych ° okazjach. — Naprawdę chleb! — powiedział głośno, tak wielkie było jego zdumienie. — Tak więc go sieją w tym kraju? I to w takim roku! I nikt nie trudzi się nawet, by go podnieść, kiedy mu upadnie? Czy to kraina mlekiem i miodem płynąca? Po przebyciu pieszo dziesięciu mil w chłodnym powietrzu poranka chleb ten w połączeniu ze zdumieniem pobudził apetyt Renza. „Zabrać go? — zastanawiał się. — Ba, rzucili go tu psom na pastwę. Cóż złego, że skorzysta zeń uczciwy człowiek? Ostatecznie, jeżeli właściciel się znajdzie, to mu zapłacę.” Tak rozmyślając wpakował do kieszeni bochenek trzymany w rękę, podniósł drugi i wsadził do drugiej kieszeni; trzeci zaczął jeść zaraz. Ruszył przed siebie bardziej niż kiedykolwiek niepewny siebie i żądny rozwiązania tej zagadki. Zaledwie uszedł parę kroków, zobaczył zbliżający się od środka miasta tłum i przyjrzał się uważnie tym, którzy szli na przedzie. Byli to: mężczyzna, kobieta i zdążający za nimi nieduży chłopaczek. Wszyscy troje uginali się pod tobołami, które wydawały się zbyt ciężkie na ich siły, i wszyscy też dziwnie jakoś wyglądali. Nędzna ich odzież była ubielona mąką, tak samo jak wzburzone i roz

płomienione ich twarze. Szli nie tylko przytłoczeni ciężarem, ale jak zbici, z obolałymi kośćmi. Mężczyzna z trudem dźwigał wór, z którego przez liczne rozdarcia sypała się przy każdym wstrząśnieniu, każdym nieostrożnym kroku, mąka. Ale jeszcze nędzniejszy był wygląd kobiety: dźwigała przed sobą potworny brzuch, podtrzymując go z trudem obiema rękami niby wielki sagan o dwojgu uszach. Spod niego widniały gołe aż po kolana nogi, stąpające jakoś chwiejnie. Renzo spojrzawszy uważniej i zrozumiał, że ten ogromny brzuch to była uniesiona w górę spódnica napełniona mąką po brzegi i więcej; kobieta przytrzymywała brzegi spódnicy, a za każdym krokiem wiatr rozwiewał trochę mąki. Chłopiec przytrzymywał na głowie płaski kosz pełen bochenków chleba. Ale że nogi miał krótsze niż jego rodzice, zostawał trochę w tyle, po czym dopędzał ich wielkimi krokami; kosz tracił równowagę i raz po raz wypadał z niego jakiś bochenek.

— A wyrzuć mi jeszcze jeden, ty nicponiu— mruknęła przez zęby matka.

— Toć ich nie rzucam; same spadają, cóż poradzę? — odparł chłopiec.

— Ej, twoje szczęście, że ręce mam zajęte — gderała dalej kobieta, robiąc uwiecznionymi dłońmi takie ruchy, jakby chciała obdarzyć biedaka dobrym szturchańcem. Przy tej sposobności uleciało jej z wiatrem więcej mąki, niż jej zużyto na oba upuszczone przez dzieciaka bochenki.

— Dalej, dalej — popędzał mężczyzna. — Wrócimy tu po nie albo je podniesie kto inny. Głodowaliśmy tyle czasu; teraz kiedy nam wpadło tyle dobra, wolej byśmy się nim w spokoju cieszyli.

Od strony bramy ukazali się jacyś ludzie. Jeden z nich zbliżył się do kobiety i zapytał: — Kędyż to się idzie po tyle chleba?

— Prosto przed siebie — odpowiedziała. A zaledwie oddalili się o dziesięć kroków, dodała mrukliwie: — Ta wiejska hołota gotowa wyczyścić wszystkie piekarnie i składy, dla nas nic nie zostanie.

— Po trochu dla każdego, ty zrzędo — rzekł mąż. — Jak dostatek, to dostatek.

Z tej sceny i wszystkiego innego, co widział i słyszał dokoła, zrozumiał Renzo, że znalazł się w mieście bardzo niespokojnym i że był to dzień łupów, dzień, w którym

każdy rabował, ile tylko miał chęci i siły, płacąc za swoją zdobycz kijami. I jakkolwiek radzi byśmy przedstawić naszego biednego górala w jak najlepszym świetle, prawda historyczna zmusza nas do wyznania, że zrozumiawszy, co się dzieje, doznał w pierwszej chwili uczucia przyjemności. Miał on tak mało powodów do zadowolenia z istniejącego porządku rzeczy, że instynktownie skłaniał się ku wszystkiemu, co mogło sprowadzić jaką bądź odmianę. Poza tym, nie zaliczając się do wybitnych umysłów swojej epoki, podzielał on namiętne przekonanie ogółu: mianowicie, że winę braku chleba ponoszą hurtownicy i piekarze. Toteż skłonny był uznać słuszość każdej metody mającej na celu wydarcie im z rąk tego pożywienia, którego oni — według tegoż powszechnego mniemania — okrutnie skąpili zgłodniałym rzeszom. Mimo to jednak Renzo zdecydowany był trzymać się z dala od wszelkich rozruchów i rad był, że posłano go do kapucyna, który pomyśli o schronieniu dla niego i zaopiekuje się nim po" ojcowsku. Z tą myślą, widząc, że nadciągają nowi obładowani zdobyczą ludzie, skierował się do niedalekiego już klasztoru.

Tam gdzie dzisiaj wznosi się wspaniały pałac z wyniosłymi arkadami, był wówczas, i jeszcze do niedawna, niewielki placyk, a w głębi za nim kościół i klasztor kapucynów ocieniony czterema rozłożystymi wiązami. Cieszymy się, nie bez pewnej domieszki zazdrości, wraz z tymi spośród naszych czytelników, którzy już tego stanu rzeczy nie pamiętają. Znaczy to bowiem, że są jeszcze bardzo młodzi i nie zdążyli popełnić zbyt wiele głupstw.

Renzo poszedł wprost do furty, schował w zanadrze pozostałe pół bochenka chleba, wydobył list i trzymając go w pogotowiu pociągnął za sznur dzwonka. Otworzyło się zakratowane okienko i ukazała twarz brata furtiana pytającego, kto dzwoni.

— Człowiek ze wsi, przynoszę dla ojca Bonaventury pilny list od ojca Cristoforo.

— Dawajcie — rzekł furtian wyciągając dłoń przez kratę.

— Nie, nie — zaprotestował Renzo. — Mam oddać do własnych rąk.

— Nie ma go w klasztorze.

— Pozwólcie mi wejść, zaczekam.

— Zróbcie tak — powiedział furtian — idźcie zaczekać

w kościele, będzie to dla was z pożytkiem. Do klasztoru teraz się nie wchodzi.

To rzekłszy zamknął okienko. Renzo pozostał sam, z listem w ręku. Zrobił parę kroków w kierunku kościoła, zamierzając pójść za radą furtiana. Potem jednak pomyślał, że dobrze byłoby przyjrzeć się najpierw owym rozruchom. Przeszedł placyk i przystanął na brzegu ulicy, spoglądając ze skrzyżowanymi na piersi ramionami w lewo, ku środkowi miasta, skąd dochodził szum coraz głośniejszy. To, co się tam działo, pociągnęło go. „Pójdziemy popatrzeć” — rzekł

do siebie. Wyciągnął swój nie dojezdzony chleb i pogryzając go ruszył w tamtą stronę. A podczas kiedy tam idzie, opowiemy, jak można najzwężlej, przyczyny i początek tego zamieszania.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Był to już drugi z kolei rok nieurodzaju. W pierwszym pozostałe z poprzednich lat zapasy zapobiegały do pewnego stopnia klęsce głodu; ludność doczekała, może nie syta, ale i nie wygłodniała, jako tako, bądź co bądź, zaopatrzona, do zbiorów w roku, w którym to roku toczy się nasze opowiadanie. Ale owe zbiory z takim upragnieniem wyczekiwane okazały się jeszcze mizerniejsze niż w roku ubiegłym, częściowo z powodu szczególnie niepomyślnych warunków klimatycznych (nie tylko w księstwie mediolańskim, ale i na dalszych połaciach kraju), częściowo zaś z winy ludzi. Szkody i zniszczenia, jakie przyniosła wojna — owa piękna wojna, o której wspominaliśmy poprzednio — były takich rozmiarów, że w częściach księstwa, bardziej nią dotkniętych, znacznie więcej ziemi niż zwykle leżało odłogiem; porzucali ją wieśniacy, którzy, zamiast dobywać z niej chleb dla siebie i innych, zmuszeni byli ruszyć w świat o zebranych chlebie. Powiedziałem: więcej niż zwykle; albowiem niemożliwe do dźwignięcia ciężary, nakładane przez nigdy nie sytą chciwość, postępowanie rozmieszczonego po wsiach wojska, nawet w czasie pokoju podobne, jak stwierdzają żalose świadectwa ówczesne, do poczynań wrogich najeźdźców oraz jeszcze inne przyczyny, których nie wymieniamy, bo nie czas tu i nie miejsce po temu — od dłuższego już czasu przyczyniały się do rozrastania się tego pożałowania godnego zjawiska na całym terytorium mediolańskim. Wypadki, jakie tu opisujemy, były jedynie jak gdyby nagłym wybuchem chronicznej choroby. Nim jeszcze zakończono zbieranie nędznych plonów owego roku, już rekwizycje wojskowe i towarzyszące im zawsze marnotrawstwo uczyniły w zbiorach taką wyrwę,

że skutki braku żywności nie dały na siebie czekać, a wśród nich bolesny, ale nieunikniony i skuteczny poniekąd wynik, jakim jest drożyzna.

Ileż to razy drożyzna przekracza zwykle swoje granice, rodzi się zawsze (a przynajmniej rodziło się zawsze dotychczas — a skoro jest tak mimo wszystkich mądrych rzeczy, które w tej materii napisano, pomyśleć tylko, jak musiało być w owych czasach!), rodzi się tedy zawsze i u wielu przekonanie, że powodem drożyzny nie jest brak rzeczywisty. Ludzie zapominają, że przecież brak ten był z dawna przewidywany i z trwogą oczekiwany, ni stąd ni zowąd nabierają przekonania, że zboża jest dosyć, tylko za mało się go sprzedaje. Przekonanie to nie jest na niczym oparte; przynosi jednak chwilową ulgę, podsycając gniew i nadzieję zarazem. Hurtownicy zboża, rzeczywiści czy też wymaginowani, posiadacze ziemi wzbraniający się wyprzedzić za jednym zamachem całe swoje zboże, piekarze, którzy je kupowali — wszyscy, jednym słowem, posiadający większą czy mniejszą ilość zboża albo uchodzący za takich, co ją posiadają, ponosili w oczach ludności winę głodu i drożyzny. Stali się też oni przedmiotem powszechnych narzekań, wymysłów i nienawiści ludzi zarówno złe, jak dobrze ubranych. Wnet poczęto wymieniać z wielką pewnością siebie, gdzie znajdują się potajemne składy i śpichrze — pełne, przepełnione, nie mogące pomieścić zapasów. Wymieniano niemożliwą liczbę worków; mówiono o olbrzymich ilościach zboża wysyłanych potajemnie do obcych krajów, w których znów

przypuszczalnie krzyczało się z oburzeniem, że tamtejsze zboże idzie do Mediolanu. Domagano się od władz wydawania zarządzeń, które masom ludności wydają się zawsze — a przynajmniej wydawały się zawsze dotychczas — sprawiedliwe, proste, łatwe, zdolne wydobyć na jaw wszelkie ukryte, zamurwane czy zakopane zboże i przywrócić tym samym dobrobyt. Władze robiły zwykle cośkolwiek: ustalały maksymalne ceny na niektóre produkty, nakładały kary za odmowę sprzedaży, ogłaszały wiele tym podobnych dekrétów. Wszystkie jednak takie posunięcia, nawet najśmielsze, nie mogą zmniejszyć potrzeby jedzenia ani też wpłynąć na to, by ziemia rodziła nie w tych porach, w których rodzi. Te zaś, o których tu mowa, specjalnie może mało miały danych na to, by ściągnąć żywność z okolic, gdzie

jeszcze mogła ona być w nadmiarze. Tak więc zło nie tylko trwało, ale i rosło. Ludność zaś przypisywała ów stan rzeczy temu, że nie zastosowano dość energicznych środków, i wielkim głosem domagała się nowych, korzystniejszych i skuteczniejszych. Na swoje też nieszczęście znalazła człowieka, jakiego szukała. W nieobecności gubernatora don Gonzalo Fernandez da Cordoba, zajętego oblężeniem Casale del Monferrato, zastępował go w Mediolanie kanclerz księstwa, Antonio Ferrer, również Hiszpan. Rozumiał on — a któż by tego nie rozumiał? — że możliwość kupowania chleba po słusznej cenie jest rzeczą wielce pożądaną. Pomyślał więc — tu jednak już się mylił — że wystarczy wydać odpowiednie rozporządzenie. Ustalił więc „metę” (tą nazwą określa się w Mediolanie maksymalną cenę artykułów żywnościowych), ustalił „metę” na chleb w wysokości, jaka byłaby słuszna, gdyby zboże sprzedawano po trzydzieści trzy liry za moggio; niestety, cena jego dochodziła do osiemdziesięciu. Postąpił jak starzejąca się kobieta, której się wydaje, że odmłodnieje, jeśli sfalszuje sobie metrykę urodzenia. Bywa nieraz, że zarządzenie, znacznie od wspomnianego rozsądniejsze i sprawiedliwsze, pozostaje nie wykonane na skutek oporu niesprzyjających okoliczności. W tym jednak wypadku nad wykonaniem czuwała cała ludność, która skoro raz nareszcie jej życzenie znalazło wyraz w ustawie, nie ścierpiałaby teraz, by sobie z niej zadrwiono. Do piekarń zbiegły się natychmiast tłumy żądając chleba po urzędowej cenie. A” żądano tak stanowczo i groźnie, jak to jest możliwe wtedy jedynie, kiedy pragnienie zjednoczy się z siłą i prawem. Nie pytajcie, czy w odpowiedzi piekarze podnieśli krzyk. Musieli ciasto rozczyniać, wyrabiać, wsuwać do pieca i wyciągać z niego bez chwili wytchnienia. Lud bowiem, czując mgliście, że jest tu jakieś bezprawie, oblegał bez przerwy piekarnie, by korzystać, póki można, z darów losu. Namęczyć się, nadźwigać; zziębnąć bardziej niż zwykle i ostatecznie sprzedawać ze stratą — każdy widzi, że to żadna przyjemność. Ale z jednej strony władze chętnie nakładały kary, z drugiej tłum ludzi chciał być bezwzględnie obsłużony, i jeśli piekarz usiłował coś im tłumaczyć, zaczynali szemrać i nalegać; krzyzczeć i grozić własną swoją sprawiedliwością, która jest, jak wiadomo, jedną z najsrozszych na tym świecie. Nie

było rady ni zmiłowania; trzeba było wyrabiać ciasto, wsuwać chleb do pieca, wyciągać i sprzedawać. Ale na to, by ten stan rzeczy mógł trwać, ani rozkaz, ani nawet strach nie wystarczał. Pociągnie się jeszcze trochę, a potem już po prostu nie będzie można. Piekarze przedstawiali władzom niesprawiedliwość i nadmiar nałożonych na nich ciężarów; grozili, że wrzucą łopaty w ogień i pójdą sobie; na razie jednak ciągnęli, jak mogli, krzepiąc się nadzieją, że kiedyś wreszcie kanclerz nabierze rozumu. Ale Antonio Ferrer, który był, jakby się dziś powiedziało, człowiekiem z charakterem,

odpowiadał, że piekarze aż zanadto bogacili się dotychczas i będą się znów bogacili w przyszłości, kiedy miną ciężkie czasy. Że zresztą zobaczy się, pomyśli i kto wie, czy nie dostaną oni jakiegoś odszkodowania; tymczasem jednak muszą się przystosować.

Czy sam przekonany był o słuszności argumentów, jakimi się posługiwał, czy może, rozumiejąc niemożliwość utrzymania w mocy swojego edyktu, wołał jednak pozostawić przykrość odwołania go komu innemu? Któż dociecze teraz, co działo się w mózgu Antonia Ferrer?

Faktem jest, że stał niewzruszenie przy tym, co raz postanowił. Aż wreszcie dekurionowie (zarząd miejski złożony ze szlachty, istniejący aż do roku dziewięćdziesiątego szóstego ubiegłego stulecia) powiadomili pisemnie gubernatora, jak się rzeczy mają: niechże on znajdzie jakieś wyjście.

Don Gonzalo, po uszy tkwiący w sprawach wojennych, zrobił to, co sobie czytelnik łatwo może wyobrazić: mianował komisję powierzając jej zadanie ustalenia takiej ceny chleba, aby dała się utrzymać i aby zadowolili obie strony. Deputowani zebrali się na ową giunta, jak to się nazywało w hiszpańska w ówczesnym urzędowym języku. Po niezliczonych ukłonach, komplementach, omówieniach, wzdychaniach, chwilach milczenia, nieobowiązujących propozycjach, kluczeniach, wycofywaniach — zmuszeni w końcu do wypowiedzi, rozumiejąc, jak wysoką prowadzą grę, ale widząc też nieuniknioną konieczność takiego wyjścia, uchwalili podwyższyć cenę chleba. Piekarze odetchnęli, lud natomiast wpadł w szal.

Wieczorem, na dzień wcześniej, nim Renzo przybył do Mediolanu, ulice i place zaroily się ludźmi, którzy, tra

wieni tą samą wściekłością, opanowani tą samą myślą; gromadzili się, znajomi czy obcy sobie, na skrzyżowaniach ulic, choć nikt ich tam nie zwoływał — na pół świadomie, po prostu, jak krople spływające po pochyłości w jedno zagłębienie.

Cokolwiek kto powiedział, umacniało to przekonanie i podsycalo furię zarówno słuchających, jak mówiącego. Ale pośród wielu różnamiętnionych byli też niektórzy bardziej zimnokrwisci, obserwujący z zadowoleniem ów nurt, z każdą chwilą bardziej mętny. Starali się zmącić go jeszcze więcej przy pomocy opowieści, w jakich celują tacy spryciarze i w jakie z łatwością wierzą ludzie wyprowadzeni z równowagi. Postanowili, że nie dadzą się ustać i wyklarować tej wodzie, póki się w niej nie obłowią. Tysiące ludzi pokładło się spać tej nocy z niejasnym poczuciem, że coś należy uczynić i że coś się stanie. Jeszcze przed świtem po ulicach wałęsały się znowu gromadki rozgadanych osób: dzieci, kobiet, mężczyzn, starców, robotników, żebraków. Zatrzymywali się i gromadzili, gdzie popadło: tu panował zmieszany zgiewk wielu głosów; tani znów przemawiał jeden, a liczni słuchacze go oklaskiwali; gdzie indziej ktoś o coś pytał, zapytany zwracał się z tym samym do innych, stojących obok; ci powtarzali okrzyki, jakie z dała obiliły się o ich uszy. A wszędzie slychać było narzekania, pogroźki, okrzyki zdumienia: niewielka ilość słów była tworzywem tak obfitej mowy.

Brakowało jedynie sposobności, podniety, jakiegokolwiek hasła, na to, by słowa przerodziły się w czyn. Nie trzeba było długo czekać. Z nastaniem dnia pomocnicy piekarscy zaczęli wyłaniać się ze sklepów z koszami pełnymi chleba, aby poroznosić go jak co dzień po domach. Pierwszy z tych nieszczęśników, jaki natknął się na gromadę podnieconych ludzi, podzielał jak płonący lont rzucony na beczkę z prochem.

— Patrzcie oto, czy nie ma chleba! — zakrzyknęły setki głosów.

— Jest go dość dla tyranów, którzy pławią się w zbytku, a nas chcieliby zamorzyć głodem! — Ten, który to powiedział, podszedł do piekarczyka i, sięgając ręką do kosza, dodał: — Daj no zobaczyć.

Chłopak zaczerwienił się i zbladł zaraz potem; drżał i usiłował powiedzieć: „Pozwólcie mi odejść”, ale słowa

zamierały mu na ustach. Wyprostował ramiona, śpiesznie próbując uwolnić je z rzemieni przytrzymujących kosz na jego plecach.

— Zrzucić ten kosz! — ktoś krzyknął.

Mnóstwo rąk chwyta za kosz: już jest na ziemi. Strącają rogożę, którą jest okryty; ciepła woń rozchodzi się dokoła.

— Toć i my jesteśmy ludzie! Nam także chleb się należy! — powiedział ktoś biorąc jeden okrągły bochenek; uniósł go w górę, by go wszyscy widzieli, i zagłębił w nim zęby.

Wszystkie ręce wyciągają się do kosza, chleby migają w powietrzu; w mgnieniu oka kosz opróżniono. Ci, którym nic się nie dostało, gniewni na widok cudzej zdobyczy, a zarazem zachęceni łatwością przedsięwzięcia, ruszyli całymi gromadami na poszukiwanie innych koszy; a ile ich napotkano, tyle złupiono. Nie było nawet potrzeby napadać na roznosicieli; który z nich na swoje nieszczęście znalazł się właśnie na ulicy, widząc, co się dzieje, zdejmował czym prędzej swoje ładunki i brał nogi za pas. Mimo to jednak takich, którzy zostali o suchej gębie, była ogromna większość. A ci, którym się powiodło, także nie chcieli poprzestać na tak skromnej zdobyczy. Oni to właśnie, wmieszani pomiędzy tamtych, rzucili porywające hasło:

— Do piekarni! Do piekarni!

Przy ulicy zwanej Corsia de'Servi była — i jest tam jeszcze dotychczas — piekarnia, która po dziś dzień zachowała ówczesną swoją nazwę; po tokańsku znaczy „Pod Szczudłem”, w dialekcie zaś mediolańskim brzmi tak dziwnie, trudno do wymówienia, wręcz dziko, że głoski istniejącego alfabetu nie zdołają tego dźwięku wyrazić. Ku tej to piekarni ruszyli tłumnie ludzie. W sklepie wypytywano właśnie piekarczyka, który wrócił bez kosza, wystraszony i oszołomiony, i zająkliwie zdawał sprawę ze swojej przygody. Wtem usłyszano tupot wielu nóg i krzyki. Odgłosy te zbliżały się, wzmagaly, a niebawem ukazało się czoło nadciągającego tłumu. Ścisk, gwałt, zamieszanie: ktoś pobiegł pędem do kapitana straży; pozostali pośpiesznie zamykają sklep, sztabami umacniają drzwi. Dokoła już zaroilo się od ludzi krzyczących:

— Chleba! Chleba! Otwierać! Otwierać!

Po chwili przybywa kapitan straży z oddziałem halabardników.

— Z drogi! Z drogi, dzieci! Do domu idźcie, do domu! Miejsce dla kapitana straży! — woła on sam i wołają halabardnicy.

Tłum, niezbyt jeszcze zwarty, rozstępuje się na tyle, że przybyli mogą się przedostać gromadą, jeśli nie w szyku, do drzwi sklepu.

— Ależ, "dzieci — rozpoczął swoje kazanie kapitan — cóż tu robicie? Do domu, do domu. Gdzie bojaźń boża? Co na to powie nasz król i pan? Nie chcemy wam nic złego uczynić; ale wracajcie do domów. Jak na poczciwych ludzi przystało! Cóż, u diabła, chcecie tutaj robić, tak słóczeni? Nic dobrego, ani dla duszy, ani dla ciała. Do domu, do domu.

Ale gdyby nawet ci, którzy widzieli oblicze kaznodziei i słyszeli jego słowa, chcieli mu okazać posłuszeństwo, powiedzcie sami, w jakim sposób mogliby to uczynić popychani przez dalsze szeregi następujące im na pięty, na które z kolei napierały jeszcze dalsze? Było to jak morze; fala napierała na falę i tak aż po odległe krańce tego wciąż narastającego tłumu. Kapitanowi zaczynało brakować tchu.

— Odsuńcie ich choć trochę, niechże choć odetchnę — mówił do halabardników. — Ale nie róbcie krzywdy nikomu. Spróbujemy dostać się do środka stukając do drzwi. I trzymajcież ich z dala!

— Cofać się! Cofać! — wrzeszczeli halabardnicy rzucając się hurmem na pierwsze szeregi i odpychając je drzewcami halabard. Ludzie krzyczeli pchając się do tyłu, jak mogli, waląc plecami w piersi stojących za nimi, łokciami w brzuchy, piętami nadeptując na palce. Zrobił się taki ścisk, taka kotłowanina, że ci, którzy byli pośrodku, daliby nie wiem co za możliwość znalezienia się gdzie indziej. Za to przed drzwiami uczyniło się nieco luźniej. Kapitan stuka, wali

w drzwi, woła, by mu otworzono. Ci z wnętrza wyjrzeni oknem, zbiegają czym prędzej w dół, otwierają; kapitan wchodzi, zwołuje swoich, którzy też przeciskają się do środka jeden za drugim, podczas gdy ostatni powstrzymują halabardami napór ciżby. Kiedy wszyscy już weszli, drzwi się zamyka, zakłada łańcuch i sztaby.. Kapitan pędzi na górę, wychyla się z okna. Ach, cóż za mrowie!

— Dzieci! — krzyczy.. Wiele twarzy zwraca się ku górze. — Dzieci, idźcie do domu. Całkowite przebaczenie tym, którzy natychmiast wrócą do siebie!

— Chleba! Chleba! Otworzyć! Otworzyć! — te jedynie słowa dają się rozróżnić w ogłuszającym ryku, jaki rozlega się w odpowiedzi.

— Bądźcie rozsądni, ludzie! Zastanówcie się! Jeszcze nie za późno. Idźcież, wracajcie do siebie, póki czas. Dostaniecie chleba. Ale przecie nie w taki sposób. Hej, hola! I cóż wy tu zwojujecie? Odstąpcie od drzwi! Och! Och, toć widzę: opamiętajcie się. Baczcie, że to srogie przestępstwo. Schodzę do was. Odrzućcie te żelaza! Precz z rękami! Hańba! Wy, mediolańczycy, którzy słyniecie w całym świecie ze swojej poczciwości! Słuchajcież: byliście zawsze poczciwymi ludźmi... Ach, kanalie!

Tę nagłą zmianę tonu spowodował kamień rzucony ręką któregoś z poczciwych ludzi; trafił kapitana w czoło, w „lewy wzgórek metafizyczny”.

— Kanalia! Kanalia! — nie przestawał krzyżeć, szybko zamykając okno i cofając się w głąb. Ale choć wrzeszczał, ile miał w piersiach tchu, słowa jego, dobre i złe, rozwiewały się i ginęły w burzy dochodzących z dołu krzyków. To zaś, o czym oznajmiał światu, że widzi — był to szturm do drzwi domu przy pomocy kamieni i łomów żelaznych, jakie napastnicy zdołali gdzieś w pobliżu zdobyć. Usiłowano wyważyć drzwi, wyłamać kraty z okien: akcja ta była już nawet dość daleko posunięta.

Tymczasem właściciele piekarni i ich pomocnicy ukazali się w oknach górnych pięter zbrojni w kamienie (prawdopodobnie wyrwali na to bruk z podwórza), krzycząc do tych na dole, żeby dali spokój, i ukazując im kamienie na znak, że zamierzają nimi rzucić. Widząc jednak, że próżno tracą czas, zaczęli rzeczywiście ciskać kamieniami. Ani jeden nie padał na próżno; ścisk był taki, że jak to mówią, nawet ziarnko prosa nie dosięgłoby ziemi.

— A zbóje! A oszuści! Taki to chleb dajecie biednym ludziom? Aj! Aj! Och! Patrzcie! Patrzcie! — krzyczano z dołu. Niejeden został mocno poszkodowany, dwóch malców poniosło nawet śmierć. Wściekłość pomnożyła siły tłumu: wnet drzwi zostały wyważone, kraty w oknach wyłamane i fala ludzi runęła w progi domu. Oblężeni,

widząc, co się dzieje, schronili się na poddasze; kapitan, halabardnicy i część domowników przyczaili się tam po ciemnych kątach; reszta wymknęła się przez okienka i uciekała z dachu na dach niby koty.

Widok bogatych łupów ostudził w napastnikach zapał do krwawej pomsty. Rzucają się na skrzynie, rozdrapują chleb w mgnieniu oka. Ktoś przemyślniejszy, zamiast na chleb, rzuca się do kasy, wyrывa zamek, chwytając blaszanki z pieniędzmi, zgarnia grosiwo pełnymi garściami, ładuje kieszenie i wymyka się ze swym łupem, by wrócić jeszcze po chleb, jeśli go wystarczy. Tłum zalewa wszystkie składy, chwytając wory, taszczy je obalając na ziemię. Ktoś, ścisnąwszy worek kolanami, otwiera go i, nie chcąc dźwigać ciężaru nad siły, wyrzuca część mąki; ktoś inny wołając: „Czekaj,

czekaj", rozkłada fartuch czy chustę, nadstawia kapelusz pod ten dar boży. Ktoś biegnie do dzieży, nabiera w ręce ciasta, które wydłuża się, ciągnie, ucieka mu ze wszystkich stron; ten znów znalazł pytel od mąki i zwycięsko macha nim w powietrzu. Ludzie przepychają się tu i tam, mężczyźni, kobiety, dzieci; szturchańce, krzyki i biały pył opadający na wszystko, zewsząd się unoszący, przesłaniający wszystko mglistym obłokiem. Na dworze tłum złożony z dwóch przeciwnych nurtów, które zderzają się i mieszają nieustannie — tych, którzy chcą się wydostać ze zdobyczą, i tych, co usiłują dostać się do wnętrza.

Podczas kiedy tak plądrowano i przewracano do góry nogami tę piekarnię, żadna inna w całym mieście nie była pozostawiona w spokoju i bezpieczna. Nigdzie jednak napastnicy nie nadciągnęli w tak wielkiej liczbie, by móc na wszystko się ważyć. Gdzieś w końcu właściciele zdążyli ściągnąć sobie posiłki i zorganizować obronę; tam gdzie do obrony było ich za mało, uciekali się w pewnym sensie do układow: rozdawali chleb tym, którzy zgromadzili się pierwsi, pod warunkiem, że się rozejdą w spokoju. Ci zaś rozchodzili się rzeczywiście, nie dlatego, by ich żądania były zaspokojone, ale z powodu halabardników i straży miejskiej, która — choć od tamtej niebezpiecznej piekarni wołała się trzymać z daleka — w innych miejscach pojawiała się w sile wystarczającej do utrzymania w ryzach gromadek nie rozrosłych jeszcze w tłum. Tak więc ruch i zgiełk wzrastały wciąż tylko w tym jednym fa

talnym miejscu. Każdy bowiem, kogo świerzbiły ręce do rabunku, biegł tam, gdzie przyjaciele byli górą, a bezkarność zapewniona.

Tak się rzeczy miały, kiedy Renzo, który schrupał już był cały swój chleb, wędrował uliczkami od strony Wschodniej Bramy i zbliżał się, wcale o tym nie wiedząc, do samego centrum rozruchów. Szedł to żwawo, to powoli, jeśli tłumy tamowały ruch, a idąc rozglądał się i nasłuchiwał uważnie, chcąc wyłowić z tego zmieszanego zgiełku jakąś wyraźniejszą wskazówkę co do biegu wydarzeń. Ale przez całą drogę nie udało mu się usłyszeć nic ponad to, co tu przytaczamy:

— Teraz wreszcie wyszło na jaw — wołał ktoś — haniebne oszukaństwo tych łajdaków, co nam wmawiali brak chleba, mąki i ziarna! Teraz widzimy sami jasno jak na dłoni: nie będą nas już więcej obełgiwać! Niech żyje dostatek!
— A ja wam powiadam — mówił inny — że to wszystko na nic się zda: istna dziura w wodzie. Będzie jeszcze gorzej, jeżeli się z nimi nie rozprawimy. Cóż, że chleb będzie tani, jeżeli domieszą do niego trucizny, żeby wszyscy biedacy wyzdychali jak muchy. Nie od dziś gadają, że nas jest za dużo; mówiono tak na giuncie. Wiem to na pewno, bom sam słyszał na własne uszy od mojej kумы, co to się przyjaźni z krewniaczką kuchcika jednego z tych wielmożnych panów. Inny, przyciskając skrwawiony gałgan do potarmoszonej i rozbitej głowy, z pianą na ustach wyrzucał niemożliwe do powtórzenia słowa. Sąsiad potakiwał mu chcąc go najwidoczniej uspokoić.

— Z drogi, z drogi, panowie, jeśli łaska! Pozwólcie przejść ubogiemu ojcu rodziny, który niesie pożywienie swoim pięciorgu malcom! — prosił jękliwie człowiek uginający się pod ciężarem ogromnego wora mąki. Wszyscy starali się usunąć, by go przepuścić.

— Ja — dowodził jeszcze inny półgłosem do swego towarzysza — ja tam zmiatam stąd. Znam świat i wiem dobrze, jak to z tym bywa. Ci wszyscy gamonie, co tyle dziś robią hałasu, jutro albo pojutrze, zastrachani, przycupną cichcem w domu. Jużem ja tu widział pewne gęby i pewnych jegomościów, co tylko węszą i tropią i wszystko sobie zakonotują: kto jest i kogo niema. A jak już będzie

po wszystkim, to przyjdzie do porachunków: a na kogo padnie, ten przepadnie.

— A kto chroni piekarzy? — wołał jakiś głos tak donośnie, że przyciągnął uwagę Renza. — Namiestnik gospodarczy, ot co!

— Wszyscy oni złodzieje — wtrącił ktoś obok niego.

— Pewnie; ale on największy — odpowiedział tamten. Namiestnik gospodarczy, wybierany co roku przez gubernatora spośród sześciu kandydatów ze szlachty zaproponowanych przez Radę Dekurionów, był przewodniczącym tejże Rady oraz trybunału gospodarczego. Ten znów złożony z dwunastu członków, oczywiście ze szlachty, miał sobie powierzona między innymi kontrolę nad zaopatrzeniem miasta w żywność. Siłą rzeczy ten, kto zajmował to stanowisko, musiał być w czasach głodu i ciemnoty poczytywany za sprawcę wszelkiego zła; chyba że uczyniłby to, co właśnie uczynił Ferrer. Taka rzecz jednak ani nie leżała w kompetencjach namiestnika, ani nawet nie przyszłaby mu nigdy do głowy.

— Zbrodniarze! — wołał ktoś wielkim głosem. — Widział kto takie bezeceństwo? Powiadają teraz, że kanclerz to zidiociał starzec! Chcą go oczernić, pozbawić zaufania po to, by rządzić po swojemu! Trzeba by zbudować wielką klatkę, wpakować ich wszystkich i karmić wyką i kąkolem, jak oni nas!

— Chleb, a juźci — mamrotał inny usiłując czym prędzej wydostać się z tłumu. — Kamienie! Takie duże kamienie,, każdy funtowej wagi, a leciały z góry niczym grad! I jaki ścisk! Ani wiem, jak się do domu dowlokę!

Wszystko to, co słyszał dokoła siebie, bardziej oszołomiło, aniżeli objaśniło Renza. Popychany, potrącany, znalazł się w końcu przed splądrowaną piekarnią. Tłum już się tam znacznie przerzedził, tak że świeże ślady najścia widoczne były w całej pełni. Ściany poobtlukiwane były kamieniami i cegłami, okna i drzwi wyrwane z zawiasów.

„Nie piękna to sprawa — pomyślał Renzo. — Jeżeli zrujnują tak wszystkie piekarnie, to gdzież się będzie piekło chleb? W studni?”

Raz po raz wychodził ktoś niosąc to deskę od skrzyni, to dzieżę, to pytel, to kopyść od mieszania ciasta, to ławę, to znów kosz, a nawet księgę rachunkową — wszystko, co jeszcze dało się wynieść z tej nieszczęsnej piekarni.

— Z drogi! Z drogi! — wołali przeciskając się poprzez ciżbę i wszyscy udawali się w jednym kierunku, widocznie w jakieś umówione miejsce.

„A to co znowu za historia?” — przemyślał Renzo. Po chwili ruszył w ślad za kimś, kto z zarzuconą na plecy wiązką połupanych desek i trzasek szedł tak samo jak wszyscy ulicą, która ciągnie się wzdłuż północnej ściany katedry, a nazwę swą wzięła od schodków, które się tam do niedawna znajdowały. Zainteresowanie tym, co się dzieje, nie przeszkodziło naszemu góralowi zatrzymać się z głową zadartą i otwartymi z podziwu ustami, kiedy wspaniała budowla ukazała się raptem jego oczom. Po chwili przyspieszył kroku, by dogonić tego, którego sobie obrał za przewodnika. Skręciwszy rzucił tylko okiem na fasadę katedry, w owym czasie będącą jeszcze częściowo w surowym stanie i bardzo daleką od skończenia, i dalej podążał za tamtym, kierując się na sam środek placu. Im dalej szli, tym gęstszy stawał się tłum, wszyscy jednak rozstępowali się przed niosącym drewno człowiekiem. Ten kroczył przecinając falę tłumu, Renzo zaś trzymał się tuż za nim i dzięki temu dostał się bez trudu w sam środek. Ujrzał tam wolną od ludzi przestrzeń, a pośrodku stos zwęglonych szczątków wspomnianych wyżej narzędzi. Dokoła rozbrzmiewały oklaski, radosne przytupywania, zgiełk tysięcznych okrzyków triumfu i przeklinań.

Człowiek rzucił swoją wiązkę na stos, ktoś podniósł nie dopaloną, zarżącą się głównię i zażęgl na nowo ognisko. Dym buchnął, gęstniał przez chwilę; płomień zbudził się i zajaśniał, a wraz z nim z nową siłą zabrzmiały okrzyki:

— Niech żyje dostatek! Śmierć głodzielom! Precz z taką gospodarką! Precz z giuntą! Niech żyje chleb!

Prawdę mówiąc, niszczenie pytli i dzież, rujnowanie piekarni i przepędzanie piekarzy nie jest najlepszą drogą do pomnożenia obfitości chleba. Ale jest to jedna z tych metafizycznych subtelności, które do tłumów nie docierają. Jednakże gdy się kto styka z tym po raz pierwszy, to nawet nie będąc biegłym w metafizyce dochodzi czasem do takich właśnie wniosków, dopiero później, im więcej mówi i słyszy o tych sprawach, tym bardziej traci zdolność ich rozumienia. Renzowi słuszna myśl przyszła do głowy, zaledwie zobaczył rabunek, i powracała, jak widzimy, raz po raz. Zatrzymał to jednak przy sobie; bowiem żadna

z twarzy, na które patrzył, nie wyrażała postawy, która dałaby się zaniknąć w słowach: „Bracie, jeżeli błędę, naprowadź mnie na właściwą drogę, a będę ci wdzięczny.”

Ogień przygasł już znowu; nie widać też było nikogo, kto by przynosił nowe paliwo, i ludzie zaczęli się nudzić. Ale oto rozeszła się wieść, że na Cordusio (placyk, a raczej rozstaje niezbyt stamtąd odległe) rozpoczęto oblężenie piekarni. Częstokroć w takich razach wieść o jakimś wypadku jest dopiero przyczyną, która go wywoła. Tu razem z wieścią zbudziła się w tłumie ochota przyłączenia się także i do tego nowego przedsięwzięcia.

— Idę, a ty? Idę. To idziemy!— słyszało się zewsząd.

Tłum rozłamał się, zamienił w pochód. Renzo pozostał z tyłu i posuwał się naprzód tylko o tyle, o ile pociągał go ogólny nurt. Zastanawiał się, czy powinien wydostać się z tego zamętu, zawrócić do klasztoru i znaleźć ojca Bonaventurę, czy przyjrzeć się i temu jeszcze widowisku. Górę wzięła i tym razem ciekawość. Postanowił tylko nie pchać się w sam środek tłumu, gdzie czekać go mogło jedynie połamanie żeber, jeśli nie co gorszego jeszcze, ale trzymać się nieco na uboczu i przyglądać się z pewnej odległości. A że już właśnie trochę się dokoła niego przeredziło, wyciągnął z kieszeni swój drugi bochenek chleba i ugryzłszy kęs ruszył w ślad za ową hałaśliwą armią. Ta zaś odpłynęła już z placu i wcisnęła się w wąską i krótką uliczkę Pescheria Vecchia, a przepłynąwszy popod krzywym łukiem, wyległa na piazza de'Mercanti. Kiedy mijano niszę, która dzieli na połowę krużganek gmachu zwanego wówczas „kolegium doktorów”, niewielu było takich, którzy nie rzucili szybkiego spojrzenia na ogromny, stojący tam posąg, na posępne, groźnie zmarszczone oblicze (określenie to chyba za słabe!) don Filipa II. Choć tylko marmurowy, narzucał on patrzącym szacunek, a jego wyciągnięte ramię zdawało się mówić: „Otóż nadchodzę, hołoto.” Posąg ten już nie istnieje, a koniec jego był dość osobliwy. Mniej więcej w sto siedemdziesiąt lat po tym, co tu opisujemy, zmieniono mu pewnego dnia głowę, z ręki wyjęto berło i włożono na jego miejsce sztylet, a posągowi nadano imię Marka Brutusa. W tej nowej postaci stał sobie parę lat, aż znów pewnego ranka ludzie, którzy nie darzyli Marka Brutusa sympatią, a nawet żywili widać ku niemu

tajemną nienawiść, zarzucili na posąg pętlę z powroza, ściągnęli go w dół i pastwili się nad nim srodze, a wreszcie powlekli okaleczony bezkształtny tors po ulicach miasta, taszczyli go z oczyma wysadzonymi na wierzch z wysiłku, z wywieszonymi językami, a kiedy bardzo się zmęczyli, porzucili go nie wiadomo gdzie. Któż by mógł to przepowiedzieć Andrzejowi Biffi, kiedy ów posąg rzeźbił!

Z piazza de'Mercanti tłum wtargnął, minąwszy drugi łuk, na via de'Fustagnai i rozlał się szeroko po Cordusio. Każdy dotarłszy do placyku spoglądał przede wszystkim na piekarnię, która miała być jakoby oblężona. Ale zamiast spodziewanego widoku gromady przyjaciół w ferworze walki, ujrzano tylko gdzieniegdzie stojących w niepewności i wahaniu ludzi, w sporej od sklepu odległości, sam sklep zamknięty, w oknach zaś pełno uzbrojonych, najwidoczniej gotowych do obrony mężczyzn. Widok ten jednych zdumiał, u innych wywołał przekleństwa, u jeszcze innych śmiech. Odwracano się, by powiadomić tych, którzy nadchodzili; jedni przystawali, niepewni, drudzy chcieli zawracać, trzeci wołali: „Naprzód! Naprzód!” Powstał zamęt, tumult, jedni zatrzymywali drugich, jedni na drugich wpadali, rozbrzmiewał skłócony gwar sporów i narad. Aż nagle gdzieś z tłumu padło fatalne hasło:

— Do domu namiestnika gospodarczego! Sami uczynimy sprawiedliwość! Złupić mu dom!

Tłum przyjął ten okrzyk, jakby to było tylko przypomnienie powziętego uprzednio planu, nie zaś nowa i ryzykowna propozycja.

— Do namiestnika! Do namiestnika! — zakrzyknęli wszyscy jednym głosem. Ciżba zafalowała i poruszyła się w kierunku ulicy, gdzie stał dom wspomniany w tak fatalnej chwili.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nieszczęśliwy namiestnik odbywał w tym czasie dość niemłą sjęstę po obiedzie spożytym bez apetytu i bez świeżego chleba; humor miał kwaśny i niecierpliwie wyczekiwał końca owej burzy, jaka się nad miastem rozpętała, nie przeczuwając przecież wcale, że w tak przerażający sposób ogarnie ona i jego samego. Ktoś, wyprzedziwszy ciągnące tłumy, przybiegł pędem z wieścią o tym, co mu zagraża. Służba, którą daleki zgiełk wywabił już wcześniej na próg domu, spoglądała trwożnie wzdłuż ulicy w stronę, z której groźny szum coraz bliżej dawał się słyszeć. Zanim jeszcze wysłuchano do końca ostrzeżenia, już ukazują się pierwsze szeregi; w gorączkowym pośpiechu biegnie ktoś uprzedzić pana. Ale kiedy ten namyśla się jeszcze nad sposobem ucieczki, zjawia się drugi sługa z wiadomością, że na ucieczkę już za późno. Czasu starczy zaledwie na zamknięcie bramy. Zakładają sztabę i podpierają drzwi od wewnątrz, następnie gorączkowo zaczynają zabezpieczać okna, jak wówczas gdy niebo zaciąga się na czarno i oczekuje się lada chwila gradowej burzy. Wciąż wzmagający się ryk tłumu przewala się z góry jak grzmot, odbija się echem w pustce dziedzińca; rozbrzmiewa nim każdy zakamarek domostwa. A wśród tego zmieszanego zgiełku słyhać głucho, mocne uderzenia kamieniami o drzwi.

— Namiestnik! Tyran! Głodziciel! Dawać go! Żywego czy martwego!

Biedak krążył po pokoju poblądły, bez tchu, załamując ręce, polecając się Bogu i swoim sługom, błagając ich, by się nie dali i by znaleźli dla niego jakąś możliwość ucieczki. Ale jak? Którędy? Wszedł na poddasze i przez okienko wyrzwał ostrożnie na ulicę. Zobaczył ją pełną rozwścieczo

nych ludzi; usłyszał głosy domagające się jego śmierci. Zupełnie oszołomiony, cofnął się od okienka i udał się na poszukiwanie najpewniejszej kryjówki. Znalazłszy ją przycisnął się cichutko i nasłuchiwał pilnie, czy złowrogi szum nie przycicha czasem, czy nie uspokaja się zamęt. Ale głosy, które docierały do jego kryjówki, były coraz to groźniejsze i bardziej ogłuszające, a i ciosy w drzwi przybrały na sile. Więc nieszczęśnik, czując, że serce mało mu nie wyskoczy z piersi, rozpaczliwie przyciskał uszy rękoma. Chwilami ze strachu dosłownie wychodził z siebie: zgrzytał zębami, wykrzywił twarz w okropnym grymasie, wyrzucał przed siebie ramiona z zaciśniętymi pięściami, "jakby chciał przytrzymać nimi drzwi. Zresztą, nie wiadomo dokładnie, co robił, jako że był sam jeden; historia skazana jest tu na domysły. Całe szczęście, że do tego przywykła.

Renzo znajdował się tym razem w samym sercu napierającej fali, i to nie dlatego, że dał się jej unosić, ale że rzucił się tam z własnej woli. Na pierwsze słowa wzywające do rozlewu krwi poczuł, jak burzy się w nim krew własna. Co się tyczy rabunku i niszczenia, nie umiałby powiedzieć, czy było to złe, czy dobre w tym wypadku. Ale każda myśl o

zabójstwie budziła w nim natychmiast nieprzewyciężoną odrazę. I jakkolwiek z tą pożałowania godną biernością, która sprawia, że ludziom zapalczywym udzielają się przekonania innych, równie zapalczywych ludzi, Renzo pewien był, że namiestnik jest główną przyczyną głodu i wrogiem biedaków, przecież kiedy w pierwszym momencie tej nowej wyprawy usłyszał czyjeś rzucone obok słowa zdradzające chęć ratowania tego człowieka, natychmiast postanowił dopomóc w tym dziele. W tym też zamiarze wmieszał się w tłum i znalazł niebawem w pobliżu drzwi, które ha sto sposobów próbowano wylać. Jedni bili kamieniami w gwoździe przytrzymujące zamek, chcąc go oderwać. Inni zabierali się do rzeczy bardziej metodycznie, posługując się drągami, dłutami i młotami. Jeszcze inni kamieniami, poszczerbionymi nożami, gwoździami, kijami, a w braku czego innego nawet paznokciami drapali mury, obijali tynk, usiłovali wyrywać cegły, zrobić wylom. Kto nie mógł pomagać, krzykiem dodawał ducha innym; zarazem jednak tłocząc się dokoła pracujących gapie przeszkadzali im w robocie,

i tak już utrudnionej bezładnym współzawodnictwem. Bo, na szczęście, w złej sprawie zdarza się to samo, co nazbyt często widzimy w sprawach dobrych: że zbyt gorliwi stronnicy stają się kulą u nogi. .

Panowie z zarządu miasta, którzy pierwsi ze wszystkich otrzymali wiadomość o tym, co się dzieje, niezwłocznie posłali po pomoc do komendanta twierdzy, znanej pod nazwą fortu przy porta Giovia. Ten polecił wysłać trochę żołnierzy. Ale zanim przyszła wiadomość, zanim w ślad za nią dotarł rozkaz, zanim skrzyknięto żołnierzy, zanim przysposobili się do pójścia, zanim doszli — dom był już otoczony morzem oblegających. Oddział zatrzymał się więc tam, gdzie tłum się zaczynał, a dowodzący nim oficer nie wiedział zgoła, co począć. Widział przed sobą jedną gmatwaninę ludzi wszelkiego wieku i płci, przyglądających się oblężeniu. Na jego wezwanie, by się rozeszli i dali mu drogę, odpowiedzieli jedynie głuchym, długotrwałym pomrukiem, nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Dać ognia w tę ciżbę ludzką wydawało się oficerowi rzeczą nie tylko okrutną, ale i bardzo niebezpieczną. Pokrzywdziłby w ten sposób tych nieszkodliwych, a rozdraźniłby wielu zapalczywych i gwałtownych; zresztą, nie miał takiego rozkazu. Lepiej byłoby rozepchnąć tłum na prawo i lewo, otworzyć sobie drogę i ruszyć przeciwko tym, którzy już rozpoczęli wrogie działania; ale czy się to uda? W tym sęk. Któż mógł przewidzieć, czy żołnierze będą mogli posuwać się naprzód w szyku bojowym? A jeśli zamiast przełamać zaporę zaplącą się w ludzką ciżbę i znajdą się na jej łasce i niełasce, uprzednio ją rozdraźniwszy? Niezdecydowanie dowódcy i bezruch, w jakim trwali żołnierze, wydał się, słusznie czy niesłusznie, przejawem strachu. Ludziom stojącym bliżej wystarczyło spoglądanie po twarzach żołnierzy, wzrokiem, który mówił wyraźnie: „Gwiżdżemy na was.” Nieco dalsi nie przestawali ich prowokować pogardliwymi minami i drwiącymi okrzykami. Ci zaś, którzy stali jeszcze dalej, zdawali się nie wiedzieć nawet o obecności żołnierzy, a w każdym razie nie dbali o nią wcale. Niewzruszenie pracowali nad rozbięciem muru myśląc jedynie o tym, by jak najprędzej dzieła dokonać. Widzowie nie przestawali zachęcać ich wrzaskiem.

Wśród nich zwracał powszechną uwagę pewien okropny

staruch. Przedstawiał on w istocie niepowszedni widok. Wlepiając w ludzi szeroko otwarte, głęboko osadzone, płonące oczy, krzywiąc pomarszczoną twarz w grymas diabelskiej uciechy, z rękami wzniesionymi ponad siwą, rozkudłaną

głową, potrzasał w powietrzu młotem, powrozem i czterema sążnistymi ćwiekami, mówiąc, że te narzędzia posłużą do powieszenia namiestnika na własnych drzwiach, kiedy go już załkują.

— Ohyda! Hańba! — wykrzyknął Renzo przejęty grozą na te słowa i na widok mnóstwa twarzy, których wyraz świadczył, że ludzie ci zamysły te pochwalają. Za to z innych twarzy, choć milczących, biła ta sama, jaką odczuwał, odraza i to dodało mu odwagi. — Hańba! Czyśmy katowi pozazdrościli rzemiosła? Mamy mordować chrześcijanina? Chcecie, by Bóg dał nam chleba po takiej ohydzie? Pioruny nam ześle, nie chleb!

— A, psie! Zdrajco ojczyzny! — wrzasnął odwracając do Renza swoją twarz opętańca ktoś z blisko stojących, do którego uszu dotarły mimo zgiełku te rozumne słowa.

— Poczekaj no, poczekaj! Toć to sługa namiestnika przebrany za wieśniaka. To szpieg! Chwytać go! Trzymać! Setka głosów zaszumiała dokoła.

— Co to? Gdzie? Sługa namiestnika! Szpieg! Namiestnik w chłopskim przebraniu chciał czmychnąć! Gdzie on? Gdzie? Łapać go!

Renzo zamilkł, skurczył się, chciałby pod ziemię się zapaść. Kilku stojących obok wzięło go pomiędzy siebie, usiłując przekrzyczeć tamte wrogie, krwiożercze głosy. Ale tym, co przysłużyło mu się więcej, był donośny krzyk, który niespodzianie rozległ się w pobliżu:

— Z drogi! Z drogi! Pomoc nadchodzi! Z drogi, hej! Cóż to było? Była to długa drabina, dźwigana przez kilku ludzi, którzy zamierzali oprzeć ją o dom i tym sposobem dostać się do okna. Na szczęście pomysł ten, który mógłby znakomicie ułatwić przedsięwzięcie, sam nie był łatwy do wykonania. Ludzie niosący drabinę — po jednym na każdym jej końcu i paru po obu stronach — posuwali się naprzód z wielką trudnością, wciąż potrącani, spychani, rozdzielani przez zwarty tłum dokoła. Jeden, mając głowę wetkniętą pomiędzy szczeble, a boczne drągi oparte na ramionach, stękał, przytłoczony niby jarzmem; innego odepchnięto niechcący od drabiny, która, nagle puszczonea.

całym ciężarem opadła na pozostałych, bijąc ich dotkliwie po barkach, ramionach i bokach. Pomyślcie sami, co mówili ci, którym się to przytrafiło! Podźwignęli wnet drabinę inni, wsunęli się pod nią, oparli na ramionach wołając: „Odwagi! Idziemy!” I fatalna machina ruszyła naprzód wśród wstrząsów i skrętów. Wszystko to nastąpiło w samą porę, by wprowadzić zamieszanie pośród nieprzyjaciół Renza, który skorzystał z chwili zamętu i począł się wycofywać, najpierw powoli i nieznacznie, potem całym rozmachem łokci. Chciał znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, gdzie stanowczo klimat nie był dla niego zdrowy, i w ogóle wydobyć się, najprędzej jak się da, z tego całego tumultu, by nareszcie odszukać i doczekać się ojca Bonaventury.

Nagle jednak w oddali, gdzie tłum już się przerzedzał, powstał niezwykle jakiś ruch i rozległ się okrzyk podawany coraz dalej z ust do ust:

— Ferrer! Ferrer!

Zdumienie, radość, wściekłość, zyczliwość i nienawiść — wszystkie te różnorodne uczucia wybuchały wszędzie, dokąd tylko dotarło to imię. Jedni wykrzykiwali je głośno, drudzy chcieli zagłuszyć, zdławić te okrzyki. Ten potwierdzał wiadomość, ten przeczył, ów błogosławił, inny przeklinał.

— Ferrer tu jest!

— Nieprawda! Nieprawda!

— Tak, tak! Niech żyje Ferrer! Dał nam tani chleb!

— Nie! Nie!

— Jest tu, w karecie!

— Cóż nam do tego? Co tu ma do roboty? Nie trzeba nam tu nikogo!

— Ferrer! Niech żyje Ferrer! Przyjacieli biedoty! Przyjechał zabrać namiestnika do więzienia!

— A, nie! Sami chcemy wymierzyć sprawiedliwość! Precz stąd! Precz!

— Tak! Tak! Ferrer! Niech przyjdzie Ferrer! Namiestnika do więzienia!

I wszyscy wspinali się na palce, odwracali się w stronę, skąd nadeszła wieść o tym niespodziewanym przybyciu. Ale ponieważ wszyscy wyciągali się w górę, więc widzieli ani mniej, ani więcej, niż gdyby pozostali z piętami przy ziemi; jednakże wspinali się wytrwale.

Istotnie, od strony przeciwnej niż ta, gdzie stali żołnierze, nadjechał w karocy i zatrzymał się tam, gdzie ścisk się zaczynał, Antonio Ferrer, kanclerz. Być może, że odczuwał on wyrzuty sumienia na myśl, że przez swoją głupotę i upór stał się przyczyną rozruchów, a co najmniej dał do nich okazję; przybywał w każdym razie z zamiarem uspokojenia ich, a w najgorszym razie zapobieżenia wybrykom zbyt przerażającym i niemożliwym do naprawienia. Zjawił się, by wykorzystać w dobrym celu swą niezasłużoną popularność.

Z podobnych zamieszek zawsze korzystają ludzie, którzy, czy to powodowani własnymi rozpętanymi namiętnościami, czy fanatycznym przekonaniem, czy w zbrodniczym, na zimno obmyślonym zamiarze, czy wreszcie z nieszczęsnego upodobania do zamętu, robią wszystko, co w ich mocy, by sprawę rozjątrzyć. Nawołują i namawiają do najokrutniejszych wystąpień, rozdmuchują płomień, ilekroć zaczyna przygasać. Nigdy im nie dosyć, chcieliby, aby zamieszanie nie miało końca ni miary.

Dla przeciwwagi są jednak zawsze i tacy, którzy z niemniejszym zapałem i wytrwałością wysilają się w kierunku przeciwnym; niektórzy z nich kierują się przyjaźnią czy stronnictwością względem zagrożonych osób; wielu jednak nie powoduje się niczym innym prócz zbożnej, samorzutnej odrazy do przelewu krwi i wszelkiego okrucieństwa. Niech będą błogosławieni!

W każdej z tych dwóch przeciwnych grup, jeśli nawet uprzednie porozumienie nie miało tam miejsca, zbieżność życzeń wytwarza chwilową jednolitość akcji. Masa, tłum będący jak gdyby tworzywem zamieszek — stanowi przypadkowe zbiorowisko jednostek, które w mniejszym lub większym stopniu ciągną ku jednemu czy drugiemu krańcowi; są po części zapaleńcami, po części chytrymi lisami, po części skłaniają się ku pewnej swoiście pojętej sprawiedliwości, po części spragnieni są efektownego widowiska; gotowi do okrucieństwa i do czynów miłosierdzia, do nienawiści i uwielbienia — zależnie od tego, czy nasunie się sposobność doznania tego, czy tamtego uczucia; pragną wiedzieć, pragną wierzyć w coś potężnego, czują potrzebę wyładowania się w okrzykach, chcą kogoś oklaskiwać lub kogoś lżyć. „Niech żyje!” i „Śmierć!” — oto słowa najchętniej w takich razach wykrzykiwane. A jeśli ktoś zdoła wytłumaczyć tym

ludziom, że dany osobnik nie zasługuje na pochwiancie, nie potrzeba mu będzie wielu słów, aby przekonać ich także, że tenże osobnik powinien być niesiony w triumfie na ich ramionach. Aktorzy, widzowie, narzędzia, przeszkody — wszystko to zależne jest od tego, skąd wiatr wieje; wszystko ucicha, kiedy umilkną okrzyki, które by można powtarzać, wszystko się kończy z chwilą, gdy zbraknie podżegaczy. Jeżeli odezwą się głosy: „Idziemy!”, a inne głosy się im nie przeciwstawiają, tłum rozprasza się, ludzie wracają do domów i jeden drugiego pyta: „Co to, było?” Ale że taka masa posiada siłę potężną i może jej udzielić temu, kogo sobie upodoba, przeto przywódcy obu grup czynnych starają się wszelkimi siłami przeciągnąć ją na swoją stronę i zawładnąć nią: są to jak gdyby dwie wrogie sobie dusze walczące o to, która z nich wstąpi w olbrzymie cielsko i pobudzi je do ruchu. Prześcigają się w rzucaniu hasła zdolnych podsycać namiętności, kierować odruchami na korzyść jednej lub drugiej sprawy; gorączkowo szukają argumentów — jedni do podsycania, drudzy do uśmierzenia wzburzenia, do budzenia nadziei i siania trwogi. Szukają okrzyku, który gdy go wiele głosów podchwyci, wyraziłby, potwierdził i równocześnie stworzył decydujący głos większości na rzecz jednej czy drugiej strony.

Cała powyższa gadanina prowadzi do stwierdzenia, że w walce, jaką wiodły dwie partie o głos zgromadzonego przed domem namiestnika tłumu, pojawienie się Antonia Ferrer dało od razu ogromną przewagę partii bardziej ludzkiej, która wydawała się już zdecydowanie pogiębiona; gdyby pomoc ta przyszła choć trochę później, nie stałoby już ani sił, ani powodu do walki.

Przybyły cieszył się łaską ludu z racji owego cennika swego pomysłu, cennika tak korzystnego dla konsumentów, oraz z racji bohaterskiej nieugiętości, jaką przeciwstawiał wszelkim przeciwnym argumentom. Umysły i tak już życzliwe podbiła do reszty odwaga i ufność starca, który bez straży, bez wszelkiej pompy, ot, tak po prostu przybył, by stanąć twarzą w twarz ze wzburzonym, rozjątronym tłumem. Wspaniały efekt wywarła też podawana z ust do ust wiadomość, że przybywa po to, by zaprowadzić namiestnika do więzienia. Dzięki niej wściekłość przeciwko namiestnikowi, która nie wiadomo do czego by doprowadziła, gdyby jej przeciwstawiono opór i nie pofolgowano

w niczym — teraz, uchwyciwszy się tej nadziei zadośćuczynienia, uspokajała się stopniowo niby pies, któremu udało się pochwycić kość; zwolna dochodziły do głosu uczucia przeciwne, tkwiące w głębi większości serc. Stronnicy spokoju, lżej odetchnąwszy, jeśli dopomagać Ferrerowi na setki sposobów: stojący najbliżej podsycał wciąż na nowo zapał tłumu własnym entuzjazmem; zarazem też usiłowali torować w zwartej ciżbie drogę karecie. Dalsi wśród radosnych oklasków powtarzali i podawali dalej słowa Ferrera, a raczej te, które, wedle ich mniemania, powinien był wypowiedzieć, zagłuszając rozwścieczonych i nieprzejednanych i zwracając przeciwko nim nowy nastrój zmiennej masy ludzkiej.

— Komu się nie podoba, że wołamy: „Niech żyje Ferrer”? A co? Może hie chcesz, żeby chleb był tani? Są tacy zbóje, co nie lubią chrześcijańskiej sprawiedliwości. Tacy najgłośniej się drą, a to po to, żeby dać czmychnąć namiestnikowi. Do więzienia z nim! Niech żyje Ferrer! Miejsce dla Ferrera!

W miarę jak coraz silniej rozbrzmiewały podobne głosy, malała pewność siebie strony przeciwnej. Stopniowo ci, którzy głosili pokój, starli się z tymi, którzy wciąż jeszcze usiłowali rozwalić mur; odepchnięto ich od domu i wydarto z rąk narzędzia. Tamci dygotali jeszcze z furii, grozili, próbowali odzyskać stracone pozycje. Stronnictwo krwawe było już jednak pokonane. W okrzykach górowały teraz słowa: „Więzienie”, „Sprawiedliwość”, „Ferrer”. Po krótkim szamotaniu tamci zostali odparci, drzwi opanowali drudzy, aby bronić ich przed ponowną napaścią i umożliwić dostęp Ferrerowi. Ktoś począł wołać do obłączonych w domu (szpar już nie brakowało!), że pomoc nadchodzi i żeby namiestnik gotował się natychmiast do drogi:

— Pójdzie do więzienia... ehm, pojmujecie? — Tenże to Ferrer, co układa dekryty? — zapytał kogoś nasz Renzo, przypomniawszy sobie owo „vidit Ferrer”, które mu kiedyś wykrzyczał w ucho doktor pokazując podpis na dekrecie.

— Przecie; to kanclerz — rzekł tamten. — Zacny to człek, prawda?

— Jeszcze jaki! To on kazał sprzedawać tanio chleb. Inni nie chcieli. A teraz zamknie w więzieniu namiestnika za to, że nie był sprawiedliwy.

Rozumie się, że Renzo stanął bez wahania po strone Ferrera. Chciał iść do niego natychmiast; nie była to rzecz łatwa; jednak przy pomocy łokci i kułaków, ze swoją zwinnością górala, zdołał przepchnąć się jakoś i znalazł się w pierwszym rzędzie, tuż obok karety.

Przez ten czas kareta zagłębiła się już w tłum, teraz zaś stała w miejscu, jak to w podobnych warunkach raz po raz nieuchronnie się zdarza. Stary Ferrer ukazywał to w jednym, to w drugim oknie swoją twarz przymilną, uśmiechniętą, miłą — taką, jaką zawsze okazywał przed obliczem króla Filipa IV; tym razem zmuszony był ją zaprezentować w innych okolicznościach. Mówił coś, ale Otaczający zgiełk, szum tylu głosów, wiwaty wznoszone na jego cześć z trudem pozwalały słowom dotrzeć do najbliższych stojących ludzi. Pomagał więc sobie gestami, to przykładając do ust końce palców, by rozłożywszy ręce przesłać ten symboliczny pocałunek dziękując w ten sposób zgromadzonemu za ich życzliwość; to wyciągając dłonie za okna i powiewając nimi powoli na znak, że prosi o miejsce; to opuszczając ręce uprzejmym ruchem wyrażającym prośbę o trochę ciszy. Jeżeli udało mu się ją uzyskać, ci, którzy znajdowali się najbliższej karety, chwyтали i podawali natychmiast jego słowa:

— ...Chleb, dobrobyt... przybywam uczynić sprawiedliwość... trochę miejsca, przez litość...

Zaraz jednak, wyczerpany nieustającym hałasem, jakby dusząc się w tym gwarze mnóstwa głosów, wśród tylu migających dokoła twarzy, tylu wpatrzonych weń oczu — na krótką chwilę przechylał się do tyłu, nadymał policzki, wzdychał ciężko i mówił do siebie po cichu:

— Por mi vida, que de gente!

— Niech żyje Ferrer! Bez obawy! Wasza wielmożność jest zacnym człowiekiem. Chleba! Chleba!

— Tak, tak; chleba — odpowiadał Ferrer. — Pod dostatkiem. Obiecuję wam — i przykładając dłoń do piersi. — Trochę miejsca! — dodawał zaraz. — Jadę zabrać go do więzienia, ukarać go przykładnie, jak na to zasłużył. — Do siebie zaś mruzczał z cicha: — Si es culpable. — Po czym,

pochylając się do woźnicy, mówił śpiesznie: — Adelante, Pedro, si puedes.

Woźnica także uśmiechał się do tłoczących się ludzi z łagodnym wdziękiem, jak gdyby i on również był dostojną osobą; lekko, z niezrównaną uprzejmością pochylił bicz na obie strony, prosząc stojących na drodze, aby się choć trochę ścisnęli i rozstąpili.

— Jeśli łaska — mówił — mości panowie, trochę miejsca, choć troszeczkę; tylko tyle, żebym zdołał przejechać.

Niektórzy spośród widzów przejawiali pewną dobrą wolę, by spełnić tę prośbę.

Jedni starali się usuwać tych, którzy stłoczyli się przed kołami, przy pomocy łagodnych perswazji, poklepywania i lekkich poszturchiwań:

— No, na bok, na bok choć trochę, panowie.

Inni czynili to samo po bokach karety, aby mogła przejechać nie rozgniatając nóg kołami i nie zawadzając o twarze, co przyniosłoby szkodę nie tylko potratowanym ludziom, ale i samemu Antoniowi Ferrer.

Renzo spoglądał długą chwilę na dostojne oblicze starca, noszące pewne ślady niepokoju i znużenia, ale rozjaśnione także nadzieją wyrwania drugiego człowieka ze śmiertelnego niebezpieczeństwa; patrząc nań, Renzo porzucił myśl odejścia stamtąd, zdecydowany pomóc Ferrerowi i nie opuścić go, póki zamiary jego nie zostaną uwieńczone powodzeniem. Powziąwszy tę decyzję zabrał się wraz z innymi do torowania drogi i z pewnością nie należał do opiesziałych. Droga została niebawem otwarta.

— Jedźcie, jedźcie naprzód — zachęcano woźnicę i torowano dalszy kawałek drogi,

— Adelante, presto, con juicio — mówił także jego pan. Kareta posuwała się nieco dalej; Ferrer kłaniał się wszystkim zgromadzonemu ogólnie, wyróżniając specjalnie uprzejmym gestem i porozumiewawczym uśmiechem tych, których gorliwość zauważył. Niejeden z tych uśmiechów przypadł w udziale Renzowi, który zresztą uczciwie na nie zasłużył. Kanclerz miał z niego w tej potrzebie więcej pożytku, niż mógłby go mieć z najdzielniejszego ze swych sekretarzy. Młodemu góralowi, kiedy widział te oznaki życz

liwości, wydawało się, że zawarł z Antoniem Ferrer prawdziwą przyjaźń.

Raz ruszywszy z miejsca, karetą posuwała się dalej, to szybciej, to wolniej, chwilami przystając. Przestrzeń, jaką miała do przebycia, nie większa była niż odległość strzału. Ale czasu pochłonęła tyle, że musiałoby się to wydać długą podróżą nawet komuś, kto nie śpieszyłby się tak bardzo, jak śpieszył się Ferrer. Tłum falował przed kareta i za kareta, po prawej i lewej jej stronie, niby potężne bałwany przelewające się dokoła okrętu płynącego wśród burzy. Ale ostrzejszy, bardziej zgieklkiwy i ogłuszający niż odgłosy burzy był szum, jaki panował dokoła. Ferrer wyglądając to na jedną, to na drugą stronę, gestykulując i zachowując właściwy wyraz twarzy, usiłował pochwycić z tego jakiś sens, by przystosować do niego własne odpowiedzi. Chciałby bardzo nawiązać jakoś rozmowę z tymi swoimi stronnkami; była to jednak rzecz niełatwa, najtrudniejsza może, jaka mu się zdarzyła przez wszystkie lata jego urzędowania. Od czasu do czasu jakieś słowo czy zdanie wypowiedziane przez ludzi, obok których właśnie przejeżdżał, docierało do niego niby wybuch silniejszej racy wśród huku sztucznych ogni. On zaś, to wysiłając się na znalezienie zadowalającej odpowiedzi na te okrzyki, to rzucając na wszelki wypadek słowa, których życzliwego przyjęcia mógł być zawsze pewien lub które wydawały mu się w danej chwili konieczne, mówił również nieprzerwanie przez cały czas:

— Tak, tak, panowie; chleb, dostatek. Zabiorę go do więzienia, będzie ukarany... si es culpable. Tak, tak, wydam rozporządzenie: chleb będzie tani. Asi es... tak, to jest, chcę rzec: nasz dobry król nie chce, by jego najwierniejsi poddani cierpieli głód... x! x! Guardaos! Uwaga, nie zróbcie sobie krzywdy, panowie. Pedro, adelante, con juicio. Dostatek, tak, dostatek. Trochę miejsca, przez litość. Chleb, chleb. Do więzienia, do więzienia. Co takiego? — zapytał, kiedy ktoś rzucił się do pół ciała w okno karety, wykrzykując jakieś rady czy prośby, czy wyrazy uwielbienia. Ale ten nie zdążył nawet usłyszeć pytania, ściągnął go bowiem ktoś z powrotem, ratując go w ostatniej chwili przed zgnieceniem przez koło.

Pośród tych urywkowo rzucanych słów, pośród okrzyków pełnych zapału i innych, wrogich, które dawały się gdzieś usłyszeć, ale wnet były zagłuszane, Ferrer dotarł wreszcie do drzwi domu, zawdzięczając to w głównej mierze swym dzielnym pomocnikom.

Inni, którzy jakeśmy wspominali, wcześniej już znaleźli się u drzwi, ożywieni takimiż dobrymi intencjami, zdążyli oczyścić z tłumu trochę miejsca. Prośbą, perswazją, groźbą, szturchańcem czy kopniakiem, czując zdwojenie własnych chęci i sił, jak to zwykle bywa, kiedy upragniony koniec walki jest już bliski, zdołano rozdzielić tłum na dwie części i rozepchnąć je o tyle, by między drzwiami i zatrzymującą się na wprost nich kareta powstała niewielka wolna przestrzeń. Renzo, po części torując drogę, po części pełniąc straż przy karecie, znalazł się w jednym z tych dwu kordonów życzliwych ludzi, stanowiących równocześnie eskortę i tamę powstrzymującą napór fali ludzkiej; Przeciwwstawiając jej siłę potężnych swych ramion stał tak w miejscu, z którego mógł wszystko widzieć doskonale. Ujrawszy tę wolną od ciżby przestrzeń i drzwi wciąż jeszcze zamknięte Ferrer odetchnął z wielką ulgą. Zresztą „zamknięte” znaczy jedynie, że nie stały jeszcze otworem. Ale zawiasy ich były prawie zupełnie wyrwane z pilastrów, a popękane, poryte, na pół zrąbane skrzydła miały pośrodku szeroką wyrwę, przez którą dostrzec było można pokrzywiony, rozciągnięty, naderwany łańcuch, ledwo ledwo utrzymujący razem obie połowy drzwi. Jakiś poczciwiec przytknął twarz do owej wyrwy, głośno nawołując, by otwierano. Drugi śpiesznie otworzył drzwiczki karety. Starzec wysunął na zewnątrz głowę, podniósł się i uchwyciwszy prawą ręką ramię tego człowieka wysunął się i oparł nogę na stopniu. Ludzie tłoczący się po obu stronach wspinali się na palce, by widzieć lepiej: tysiąctwarzy, tysiąc zadartych w górę podbródków. Ciekawość i skupienie powszechnej uwagi sprawiły, że na chwilę zapadła zupełna cisza. Ferrer

zatrzymawszy się z nogą na stopniu karety potoczył wzrokiem dokoła i skłonił się obecnym, jak gdyby stał na mównicy. Lewą dłoń kładąc na sercu wykrzyknął:

— Chleb i sprawiedliwość!

Po czym, wyprostowany i uroczyście, zstąpił na ziemię pośród bijących aż do nieba owacji.

Tymczasem z wewnątrz otwarto, a raczej dokończono otwierania drzwi, odciągając łańcuch razem z jego naderwanymi ogniwoami i rozszerzając szparę tyle tylko, ile było konieczne dla wpuszczenia upragnionego gościa. — Otwórzcie porządnie, abym mógł wejść; wy zaś, dzielni moi przyjaciele, utrzymajcie tu ludzi w odległości, nie dajcie wleźć mi na głowę... na miły Bóg! Pilnujcież tego wolnego kawałka jeszcze chwilę. Ej, ej, panowie — zwrócił się teraz do tych w środku — ostrożnie z tym skrzydłem, pomóżcie mi przejść. Ach, moje żebra! Polecam waszej uwadze moje żebra... A teraz zamknijcie; ach, nie, moja toga, moja toga!

Istotnie byłaby została przytrzaśnięta drzwiami, gdyby Ferrer nie wyciągnął jej ostrożnie, tak że znikła za drzwiami wlokąc się niby ogon wpełzającego do nory węża.

Zamknawszy drzwi umocniono je od środka, ile się dało. Na zewnątrz ci, którzy samorzutnie utworzyli straż przyboczną Ferrera, pracowali nadal rękami, całym korpusem i głosem, usiłując utrzymać swobodną przestrzeń i modląc się w duszy, by Bóg natchnął Ferrera pośpiechem.

— Szybko, szybko — mówił równocześnie Ferrer po tamtej stronie drzwi do służby, która obiegała go dokoła zdyszana, witając okrzykami:

— Bogu niech będzie chwała! Ach, ekscelencjo! Och, ekscelencjo!

— Szybko, szybko — powtarzał Ferrer. — Gdzież jest ten nieszczęśliwy człowiek?

Namiestnik schodził właśnie ze schodów, na poły ciągniony, na poły niesiony przez służbę, błydy jak płótno. Kiedy ujrział swego wybawcę, odetchnął z głębi serca. Powróciło mu tężno, trochę siły wstąpiło w osłabłe nogi, a krew napłynęła do lic. Podbiegł, o ile mógł, do Ferrera ze słowami:

— Jestem w rękach Boga i waszej ekscelencji. Ale jak się stąd wydostać? Przez cały ten tłum, który domaga się mojej śmierci!

— Venga usted con migo i nabierz odwagi. Przed drzwiami czeka moja kareta. Szybko, szybko!

Wziął go za rękę i powiodł ku drzwiom nie przestając

dodawać mu odwagi. Ale równocześnie mówił sobie w duszy: „Aqui esta el busilis; Dios nos valga!

Otwarto drzwi; Ferrer wyszedł pierwszy, tamten za nim, przygarbiony, trzymając się kurczowo zbawczej togi, jak dziecko matczynej spódnicy. Ci sami, którzy wysiłkiem swoim utrzymywali wolny dostęp do drzwi, teraz utworzyli przy pomocy wzniesionych rąk i kapeluszy rodzaj zasłony, niby chmurę kryjącą przed wzrokiem tłumu namiestnika, który wsiadł pierwszy do karety i wcisnął się, skurczony, w jej kąt. Ferrer wsiadł za nim; drzwiczki zamknięto. Tłum dojrzał coś niecoś, zrozumiał, odgadł, co się dzieje. Buchnął potężny wrzask entuzjazmu i przekleństw.

Reszta drogi, jaka była do przebycia, mogłaby się zdawać najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna. Ale opinia tłumu przejawiała się ostatecznie w żądaniu, by namiestnika zamknąć w więzieniu. Czekając na powrót Ferrera, większość

tych, którzy przedtem już z zapalem powitali jego zjawienie się, pracowała usilnie nad utorowaniem i utrzymaniem jak gdyby gościńca pośród ciżby, dzięki czemu karetą mogła posuwać się tym razem znacznie szybciej. Tuż za karetą tłum uprzednio rozdzielony łączył się, mieszał, tworzył znów jedną zwartą masę.

Ferrer, ledwo zajmując miejsce, pochylił się ku namiestnikowi polecając mu, by siedział skurczony w kącie i, na miłość boską, nie pokazywał się. Było to zresztą zbędne polecenie. On sam natomiast starał się być jak najbardziej na oczach tłumu i skupiać na sobie powszechną uwagę. Przez całą drogę nie przestawał wygłaszać do tych, których mijał w tym momencie, przemówienia najbardziej jednostajnego w tempie, a rozstrzelonego pod względem treści, jakie kiedykolwiek zostało wygłoszone. Raz po raz wtrącał weń jakieś słówko hiszpańskie, śpiesznie, a cicho, kierując je do uszu swego nieszczęsnego towarzysza.

— Tak jest, mości panowie. Chleb i sprawiedliwość! Do twierdzy, do więzienia, pod moją własną strażą. Dzięki, dzięki, dzięki stokrotnie. Nie, nie, nie umknie! Por ablandarlos. To słuszne: zbada się, zobaczy. I ja pragnęwaszego dobra, mości panowie! Surowa kara, tak. Esto lo digo por su bien. Cena słuszna, cena uczciwa, a na głodzicieli

kara. Usuniecie się trochę, jeśli łaska. Tak, tak! Jestem porządnym człowiekiem, bez wątpienia, przyjacielem ludu. Będzie ukarany, tak jest. To zbrodzień, niegodziwiec. Perdona, usted. Odpokutuje, odpokutuje... si es culpable. Tak, tak, zmusimy piekarzy, by pełnili swoją powinność. Niech żyje król i dobry lud mediolański, jego najwierniejsi poddani. Będzie się miał z pyszna namiestnik. Animo, estamos ya quasi fuera.

Rzeczywiście wydostali się już z największego ścisku; niedaleko przed nimi widniała już wolna przestrzeń, co widząc Ferrer zaczął folgować nieco swoim spracowanym płucem. Niebawem zobaczył przed sobą rychło w czas przybyłe posiłki w postaci hiszpańskich żołnierzy, którzy zresztą nie okazali się zupełnie bezużyteczni, jako że pod kierunkiem i przy współudziale grupki mieszczan zdołali utrzymać jaki taki porządek w tłumie i umożliwić spokojny przejazd. Widząc zbliżającą się karetę utworzyli szpaler i sprezentowali broń przed kanclerzem, który raz jeszcze złożył ukłon na prawo i na lewo. Oficer zbliżył się do karety zginając się w ukłonie przed dostojnikiem, ten jednak zbył go gestem dłoni i słowami: „Beso a usted las manos”, które oficer zrozumiał tak, jak należało, czyli mniej więcej w sensie: „A toście mi piękną dali pomoc.” W odpowiedzi skłonił się ponownie, kurcząc ramiona. Była to zaiste odpowiednia sposobność do powiedzenia: „Cedant arma togae” ; ale Ferrer nie był w tej chwili usposobiony do przytaczania cytów, co zresztą w tym wypadku równałoby się rzucaniu słów na wiatr, jako że oficer nie rozumiał po łacinie. Pedro, przejeżdżając pomiędzy dwoma szeregami dzielnych hiszpańskich wojaków trzymających przed sobą muszkiety w pełnej szacunku pozycji, poczuł, że dawna odwaga wzbiera znów w jego piersi. Otrząsnął się z oszołomienia, wspomniął, kim jest i kogo wiezie, i pokrzykując bez większych ceremonii: „Ohe, ohe”, na ludzi, którzy tu nie stanowili już tak zwartej masy i "mogli dzięki temu być traktowani bez specjalnych względów, popędzał energicznie konie kierując je ku twierdzy.

— Levantese, levantese; estamos ya fuera — rzekł Ferrer do namiestnika. Ten zaś, uspokojony już po trosze ucichnięciem krzyków i szybszym ruchem karety, na te słowa wyprostował się, podniósł i przyszedłszy trochę do siebie zaczął obsypywać podziękowaniami swego wybawcę. Ów wyraziwszy namiestnikowi współczucie z racji

niebezpieczeństwa, jakie mu zagrażało, oraz radość z powodu szczęśliwego ocalenia, uderzył się dłonią po łycej czaszce i wykrzyknął:

— Ah! que dira da esto su excelencia, który i bez tego w marnym jest humorze z powodu tego przeklętego Casale, które nie chce się poddać! Que dira el conde duque, który marszczy się, kiedy byle listek głośniejszy od innych zaszeleści. Que dira el rey nuestro señor, boć przecież nie obejdzie się bez tego, by coś niecoś usłyszał o takiej awanturze? A czy to choć koniec? Dios lo sabe!

— Ach, co do mnie, nie chcę mieć z tym więcej do czynienia — powiedział namiestnik. — Usuwam się; składam mój urząd w ręce waszej eksceleńcji i odejdę dokonać żywota w górskiej jaskini. Zostanę pustelnikiem daleko, daleko od tych rozbastwionych ludzi!

— Usted uczyni tak, jak to będzie najwygodniejsze por el servicio de su magestad — odparł z powagą kanclerz.

— Jego królewska mość nie będzie chciał mojej śmierci! — zawołał namiestnik. — Do jaskini! Do jaskini! Z dala od tych tu...

Co wynikło w dalszym ciągu z tych jego planów, nasz autor przemilcza. Odprowadziwszy biedaka do twierdzy, nie wspomina już więcej o jego losach.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tłum, który pozostawili za sobą, zaczął się zwolna rozpraszać, odpływać na prawo i lewo, to taką, to inną ulicą. Jedni wracali do domów, by zająć się własnymi sprawami; inni oddalali się po prostu dlatego, aby odetchnąć swobodnie po tylu godzinach przebytych w ścisku; jeszcze inni zapragnęli spotkać się z przyjaciółmi i pogawędzić o niezwykłych wydarzeniach tego dnia.

To samo działo się i u przeciwnego wylotu ulicy, gdzie tłum był o tyle mniej gęsty, że oddziałek hiszpańskich żołnierzy mógł nie natrafiając na opór posunąć się aż pod dom namiestnika. Przed domem trwał jeszcze wciąż ścisł stanowiący, jeśli można się tak wyrazić, samo jądro zamieszek. Gromada łotrzyków, czując gorzki zawód z racji tak chłodnego i nieudanego zakończenia tak pięknie zapowiadającej się awantury, trochę szemrała, trochę kłęła, trochę się naradzała, czy nie dałoby się jeszcze czegoś tu przedsięwziąć. Postukiwali jakby na próbę w nieszczęsne drzwi, które tymczasem w miarę możności zabezpieczono.

Z chwilą pojawienia się oddziału wszyscy zaczęli się oddalać, jedni wprost, inni klucząc i jakby niechętnie; ostatecznie jednak znikli wszyscy, pozostawiając panami placu żołnierzy, którzy też objęli straż nad domem i ulicą. Ale wszystkie ulice dokoła usiane były gromadkami rozprawiających ludzi. Gdzie tylko przystanęły dwie lub trzy osoby, tam zaraz dołączały się trzy, cztery czy dwadzieścia dalszych. Czasem ktoś odrywał się od gromadki, gdzie indziej cała grupa przenosiła się gdzieś dalej — jak chmury po burzy raz skłębione, to znów rozpierzchłe, wciąż zmienne i wędrujące po lazurze nieba, na których widok ludzie podnoszą głowy ku górze i mówią: „To jeszcze nie koniec niepogody." A co za wieża Babel rozmów! Ten opisuje

z przejściem wypadki, na które patrzył własnymi oczyma; tamten — czego sam dokonał. Ten znów cieszy się, że wszystko dobrze się skończyło, głosi chwałę Ferrera i przepowiada ciężkie chwile, jakie czekają namiestnika. Inny jeszcze powiada szyderczo: „Nie bójcie się, nie zabiją go — wilk wilczego mięsa nie jada.” A są i tacy, co sarkają gniewnie, że nie tak poszły sprawy, jakby należało; że popełniono błąd, że to czyste szaleństwo narobić tyle hałasu po to, by w końcu dać się tak wystrychnąć na dudków.

Tymczasem słońce schyliło się już ku zachodowi i wszystko wokół poszarzało. Ludzie, zmęczeni tym dniem i znudzeni gadaniem po ciemku, wracali do swoich domów. Nasz młodzieniec, który torował drogę karecie, dopóki było potrzeba, a następnie podążał wraz z innymi tuż za nią pomiędzy dwoma rzędami żołnierzy niby w tryumfie, ujrzał wreszcie z ulgą, że toczy się ona dalej bez przeszkód i znajduje się poza niebezpieczeństwem. Chwilę jeszcze szedł w tłumie ludzkim, ale przy pierwszej bocznej ulicy wysunął się z niego, bo i on już zapragnął swobodniejszego oddechu. Uszedłszy niewiele kroków, pełen gwałtownych i kłębiących się bezładnie obrazów, poczuł przemożną potrzebę jedzenia i spoczynku. Zaczął więc rozglądać się dookoła w poszukiwaniu szyldu jakiej oberży, jako że na pójście do klasztoru kapucynów zrobiło się już zbyt późno. Wędrując tak z głową zadartą, natknął się na gromadkę żywo rozmawiających ludzi. Przystanął więc i usłyszał, że roztrząsa się tam przewidywania i plany na dzień następny. Posłuchawszy zaś chwilę nie mógł się powstrzymać, by i samemu coś niecoś nie dorzucić; wydawało mu się bowiem, że nie będzie zarozumiałstwem poddanie jakiegoś projektu ze strony kogoś, kto działał tak wiele. A że wszystko, co widział tego dnia, wpoilo w niego przekonanie, że na to, by rzecz jakąś doprowadzić do pomyślnego końca, wystarczy wzbudzić dla niej życzliwość tych, którzy walczą się po mieście, rozpoczął donośnie, pełnym namaszczenia głosem: — Mości panowie! Mogęz i ja dorzucić swoje skromne mniemanie? Otóż moje skromne mniemanie jest takie: nie tylko tam, gdzie chodzi o chleb, panuje rozbój i krzywda! A dziś widzieliśmy wszyscy jasno: na to, by uzyskać sprawiedliwość, potrzeba, by nas wysłuchano. Czyńmy więc

tak dalej, póki nie przyjdzie kryska na wszelkie inne łotrostwa i póki świat nie będzie wyglądał trochę bardziej po chrześcijańsku. Nieprawdaż to, mości panowie, że jest taka zgraja tyranów, co wszystko czynią dziesięciorgu przykazaniom na przekór, dręczą spokojnych ludzi, którzy nawet by o nich nie myśleli, i wyrządzają im wszelakie krzywdy, jakie jeno zechcą; a potem zawsze na to wyjdzie, że to oni mają słuszność. A im gorszą niegodziwość popelnia, tym wyżej głowę zadzierają, jakby Bóg wie czego dokonali! A toć i tu w Mediolanie muszą być tacy! — Niestety! — odezwał się jakiś głos.

— Tak właśnie powiadam — podjął Renzo. — U nas także słyszy się rozmaite rzeczy. Rzecz to jasna: pomyślmy sobie jeno, że któryś z tych panów żyje trochę na wsi, a trochę w Mediolanie: skoro tam jest diabłem, to i tu nie będzie aniołem, tak mi się widzi. A powiedzcież sami, mości panowie, czyście kiedy oglądali gębę którego z nich za kratami? A co najgorsze — to to, że są przecie drukowane dekrety, w których mówi się o karach i na nich. I nie byle jakie to dekrety: znakomicie w nich wszystko wyłożone, że nikt z nas lepszych by nie wymyślił. Wymienione tam jasno każde łotrostwo po kolei, a dla każdego stosowna kara. Napisano tam: ktokolwiek by to był, z plebsu czyli podłego stanu, czy jak tam. No, a spróbujcie jeno iść do tych tam doktorów, skrybów i faryzeuszów i szukać u nich sprawiedliwości wedle tego, o czym śpiewają owe dekrety: wysłuchają cię jak ojciec święty oszustów. Powiadam wam, że uczciwemu człowiekowi rozum kołkiem staje. Aleć to jasne jak na dłoni: król i ci, co rządzą, chcieliby, żeby każdy zbrodzień poniósł karę. Ale nic z tego, bo ci znów trzymają się mocno razem. Z tym trzeba skończyć! Trzeba udać się jutro rankiem do Ferrera, który jest zacnym i ludzkim człowiekiem; samiśmy dziś widzieli, jaki był rad, kiedy się znalazł pośród biednych ludzi, jak słuchał pilnie, co do niego wołali, jak życzliwie odpowiadał... Trzeba nam iść do Ferrera, wyłożyć mu, jak się rzeczy mają. Ja sam, wierzajcie mi, mogę mu opowiedzieć piękne rzeczy; zem na własne oczy widział taki dekret, gdzie było herbów a herbów u góry; a ułożyło go trzech możnych panów i pod spodem nazwisko każdego było wydrukowane, jedno z nich zaś to właśnie nazwisko Ferrer, com sam widział tymi moimi oczyma. No więc w tym dekreście było

właśnie to napisane, czegom ja szukał, ale kiedym powiedział pewnemu doktorowi i — co najlepsze — temu samemu, co mi ów dekret pokazał, że należy mi wymierzyć sprawiedliwość tak właśnie, jako ci trzej panowie, a wśród nich Ferrer, nakazują — to rzecz by można, żem mu Bóg wie jakie głupstwo powiedział. Ach, wierzajcie mi, niech jeno ten zacny starzec usłyszy o tych wszystkich pięknych rzeczach, o których nic nie wie, bo skąd by wiedział, zwłaszcza o takich, co nie tu się wydarzyły, a nie pozwoli, by to wszystko dalej tak szło. Przecie i oni sami, ci, co układają dekreta, chcieliby chyba, by im okazywano posłuszeństwo. Toż to dla nich despekt, kiedy sobie ludzie te ich wypisane nazwiska za nic mają. No, więc jeśli tacy pankowie nie chcą głów skłonić i udają głupich, jest tu nas dosyć, byśmy mu przyszli z pomocą, tak jak to dziś tu było. Nie mówię, żeby miał tak jeździć wciąż karetą po świecie i własną ręką brać za karki wszelkich pyszałków, łotrów i tyranów. Toć trzeba by na to arki Noego! Ale trzeba, by nakazał każdemu, komu należy, i nie tylko tu w Mediolanie, ale wszędzie, trzymać się tego, co mówią dekreta. Wytoczyć proces każdemu, kto jakie łotrostwo ma na sumieniu. A gdzie mowa o więzieniu, to więzienie. Gdzie galery — to galery. A zapowiedzieć podestom, by sobie nie żartowali; a jak nie, to tych pędzić precz, a dać lepszych. A jakem już powiedział, my tu jesteśmy gotowi do pomocy... I nakazać doktorom, żeby słuchali także biedaków i tego bronili, po czyjej stronie słuszność. Dobrze mówię, mości panowie?

Renzo przemawiał tak płomiennie, że stopniowo większość dokoła zaprzestała rozmów i zwróciła się w jego stronę, słuchając pilnie i wtrącając tylko od czasu do czasu okrzyki wyrażające uznanie, jak: „Pewnie, pewnie! Ma słuszność; tak to jest, niestety”, i tym podobne. Nie brak było jednak i głosów krytyki.

— Ech — rzekł ktoś odchodząc — słuchać tam górali! Wszyscy oni pyskaci!

— Teraz — pomrukiwał ktoś inny — każdy głupek będzie chciał wygadać, co ma na wątrobie, i z całej tej gorliwości nie będziemy mieć taniego chleba. A przecie o to poszła rzecz cała.

Renzo jednak słyszał jedynie pochwały, raz po raz ktoś ścisnął mu to jedną to drugą dłoń.

— Do zobaczenia jutro!

— Gdzie?

— Na placu katedralnym.

— Dobrze.

— Dobrze. Coś się tam zrobi.

— Coś się zrobi!

— Kto z was, mości panowie, zechce mi wskazać jaką oberżę, gdzie mógłbym przegryźć coś niecoś i przespać się uczciwie? — zapytał głośno Renzo.

— Do usług waszmości, dzielny młodzieńcze — rzekł ktoś, kto uważnie słuchał całej przemowy, ale się dotychczas nie odezwał. — Znam tu oberżę w sam raz dla was.

Polecę was oberżycie, który jest zacnym człowiekiem i moim przyjacielem.

— Blisko stąd? — zapytał Renzo.

— Niedaleko — odparł nieznajomy.

Zgromadzeni rozproszyli się zwolna i Renzo, uściskawszy mnóstwo obcych rąk, ruszył za swoim przewodnikiem, dziękując mu za tyle życzliwości.

— Za co? — protestował tamten. — Ręka rękę myje, a obie po społu myją twarz. Nie. jestże to naszą powinnością przysłużyć się bliźniemu?

Idąc, wplatał raz po raz w gawędę najrozmaitsze pytania.

— Nie przez ciekawość — tłumaczył się przy tym — ale że wydajecie mi się wielce znużony. Skąd przybywacie?

— Przybyłem z daleka — rzekł Renzo. — Aż z Lecco,

— Aż z Lecco? Stamtąd jesteście?

— Z Lecco.. A raczej z tamtych stron.

— Biedaku! O ilem mógł wyrozumieć z tego, coście, mówili, srodze was ukrzywdzono.

— Ech, zacny człowiecze! Musiałem gadać oględnie, nie chcąc wyciągać na widok publiczny moich własnych kłopotów. Ale dość... Przyjdzie dzień, kiedy wszystko to będzie wiadome. A wówczas... Ale oto i jakaś gospoda! A jak mi Bóg miły, nie mam już chęci wędrować dalej.

— Nie, nie! Chodźcie tam, gdzie wam mówił, tuż blisko. Tu nie będzie wam dobrze.

— Gdzież tam — odpowiedział młodzieniec.— Nie jestem ja wychuchany paniczek, przywykły do puchowego

łoża. Było by było co wsunąć do wnętrza, a zwykły siennik aż nadto mi wystarczy. Jedno, o co mi chodzi, to, żeby jedno i drugie było raz dwa. No, z Bogiem! — to mówiąc wszedł w bramę, nad którą widniało godło w postaci tarczy księżycowej.

— Niech i tak będzie, wprowadzę was tutaj, skoro tak wam się podoba — rzekł wchodząc za nim nieznajomy.

— Nie musicie troszczyć się o mnie więcej — powiedział Renzo. — Ale — dodał zaraz — gdybyście zechcieli napić się ze mną, będę wam rad.

— Chętnie przyjmuję — odparł tamten i, jako obyty z tym miejscem, ruszył przodem przez małe podwórko, zbliżył się do drzwi prowadzących do kuchni, podniósł zasuwę, otworzył i wszedł wraz z towarzyszem.

Dwie ręczne latarnie zawieszane na żerdzi u belki pułapu słabo oświetlały izbę. Gromada . mężczyzn zalegała ławy po obu stronach wąskiego stołu zajmującego całą długość izby. Nie siedzieli bynajmniej beczynnie. Stół częściowo przykryty był obrusami i zastawiony talerzami, ale pomiędzy jednym a drugim obrusem padały karty, rzucano i zbierano kości. Fłaszki i kubki wały się wszędzie. Krążyły berlingi, reale i parpagliole, które gdyby umiały mówić, powiedziałyby zapewne, że tego jeszcze ranka spoczywały w szufladzie piekarza albo w kieszeni kogoś, kto tak był zajęty przypatrywaniem się zamieszkom, że zapomniał dbać o swoje własne sprawy.

Hałas panował wielki. Pachołek biegał gorączkowo tam i z powrotem, obsługując jednocześnie jedzących i grających. Oberżysta siedział na ławeczce pod okapem komina, zajęty na pozór jedynie kreśleniem i zamazywaniem za pomocą szczypców jakichś figur w popiele. W rzeczywistości jednak baczył pilnie na wszystko, co się dokoła niego działo. Na dźwięk podnoszonej zasuwę wstał i wyszedł naprzeciw przybyłych.

— Diabli nadali — mruknął widząc tego, kto przyszedł z Renzem. — Zawsze mi się tu przyplącze, kiedy mi go najmniej potrzeba!

Następnie, rzuciwszy okiem na Renza, pomyślał: „Ciebie nie znam, ale skoroś razem z takim myśliwym, musi być z ciebie ogar albo zając. Powiedz jeno dwa słowa, a już to będę wiedział.”

Przecież nic z tych rozmyślań nie odbiło się na twarzy

gospodarza, nieporuszonej niby własny portret: była to twarz pełna i błyszcząca, okolona gęstą rudawą bródką, z dwojgiem małych, jasnych i badawczych oczu.

— Co rozkażą mości panowie? — zagadnął głośno.

— Przede wszystkim sporą flaszkę uczciwego wina — rzekł Renzo. — A potem coś do zjedzenia.

Mówiąc to, rzucił się na ławę u szczytu stołu i wydał głośne westchnienie oznaczające mniej więcej: „Dobrze jest usiąść na ławce po takim dniu, całym na nogach i w ciężkim trudzie.” W tej samej chwili jednak stanęła mu przed oczyma inna ława i inny stół — tam, gdzie siedział po raz ostatni z Lucją i Agnese; i westchnął znowu. Po chwili potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie tę myśl, i zobaczył przed sobą oberżystę z winem. Towarzysz zasiadł tymczasem naprzeciwko Renza, który nalał mu śpiesznie, mówiąc:

— Dla przepłukania gardła.

Po czym, napełniwszy drugi kubek, wychylił go jednym haustem.

— Cóż mi dacie jeść? — zapytał gospodarza.

— Mam pieczeń duszoną, chcecie?

— Cóż, dobrze. Pieczeń duszoną.

— Wnet będziecie obsłużeni — rzekł oberżysta do Renza, do pachółka zaś: — Obsłuż tego nieznanego. — I powrócił na swoje miejsce przy kominie. — Ale — odezwał się po chwili, odwracając się znów ku Renzowi — chleba dzisiaj nie mamy.

— O chlebie — rzekł Renzo donośnym głosem — pomyślało samo niebo. — I wydobywszy ostatni ze swoich trzech bochenków, znalezionych pod krzyżem Świętego Dionizego, uniósł go wysoko w górę wołając:— Oto chleb z nieba zesłany.

Na ten okrzyk wielu spośród obecnych odwróciło się ku przybyłym; ktoś widząc owo trofeum zawołał:

— Niech żyje tani chleb!

— Tani? — Renzo na to. — Gratis et amore.

— Jeszcze lepiej!

— Ale — dodał Renzo — nie chciałbym, byście, mości panowie, pomyśleli o mnie co złego. Nie znaczy to bowiem, bym go że tak powiem, zwędził. Znalazłem go na

ziemi; a gdybym znalazł jego właściciela, chętnie bym mu zapłacił.

— Brawo! Brawo! Dobrze gada! — gruchnęli śmiechem obecni. Żadnemu z nich ani przez myśl nie przeszło, żeby te słowa powiedziane były poważnie.

— Myślicie, że to żarty? To czysta prawda — rzekł Renzo do swego przewodnika. I obracając w rękach bochenek dodał: — Przypatrzcież mu się tylko, jak mi go urządzili: płaski niby placek. Ale bo był ścisk! Jeśli byli tam tacy, co mają miękkie kości, to ładnie teraz muszą wyglądać! — Ugryzł trzy czy cztery kęsy z bochenka i popił drugim kubkiem wina, po czym dodał: — Sam nie chce przejść przez gardło ten chleb; nigdy zresztą, odkąd żyję, nie miał tak sucho w gardle. Nakrzyczał się człowiek niemało!

— Przygotujcież godne łóżko temu dzielnemu młodzianowi — powiedział do oberżysty towarzysz Renza. — Ma on zamiar przespać się u was.

— Chcecie tu spać? — zapytał gospodarz przysuwając się bliżej.

— Pewnie — rzekł Renzo. — Jakie bądź łóżko, byle prześcieradła były czyste. Bo chociażem biedak, ale przywykłem do czystości.

— Och, skoro o to chodzi... — mruknął gospodarz. Podeszedł do lady w głębi kuchni i wrócił do stołu z kałamarzem i kawałkiem papieru w jednej ręce, a piórem w drugiej.

— A to co znowu? — zapytał Renzo przełknąwszy kęs pieczeni, którą pachółek przed nim postawił. Uśmiechnął się zadziwiony i dodał:— To ma być czyste prześcieradło?

Oberżysta nie odpowiedział. Położył przed sobą papier i kałamarz, oparł się o stół lewym ramieniem i prawym łokciem i dopiero wtedy, wznosząc twarz i pióro ku Renzowi, odezwał się:

— Bądźcie teraz tak grzeczni powiedzieć mi swoje imię, nazwisko i skąd pochodzicie.

— Co? — spytał Renzo. — Cóż to wszystko ma wspólnego z łóżkiem?

— Robię, co do mnie należy — odparł oberżysta spoglądając prosto w twarz przewodnika. — Musimy dawać spisy wszystkich nocujących. „Imię i nazwisko, skąd pochodzi, po co przybył, czy uzbrojony, jak długo zamierza przebywać w mieście... — to są słowa dekretu.

Renzo wychylił jeszcze kubek, zanim odpowiedział; był to już trzeci. A poczynając od tej chwili, obawiam się, że nie nadążymy ich liczyć.

— Ach, ach! — powiedział. — Macie dekret! No cóż, ja także jestem uczony w prawie, niczym jak doktor! Dobrze wiem co myśleć o dekretach.

— Nie żartuję — rzekł oberżysta, wciąż spoglądając na milczącego towarzysza Renza; zawrócił do lady i wy dostał stamtąd wielką płachtę papieru, najprawdziwszy egzemplarz dekretu. Rozciągnął go przed oczyma Renza.

— A, otóż on! — wykrzyknął tenże, jedną ręką wznosząc w górę kubek świeżo nalany i opróżniając go błyskawicznie, drugą zaś z wyciągniętym palcem wskazując papier. — Oto ta piękna karta świętej księgi! Raduje mnie ten widok niezmiernie! Znam ja to godło: wiem, co oznacza ta pogańska gęba z powrozem dokoła szyi! — (U góry dekretów umieszczony był herb gubernatora; herb zaś don Gonzala Fernandez da Cordoba wyobrażał postać mauretańskiego króla zakutego w łańcuch za szyję.) — Powiada ta gęba: „Rządzi, kto potrafi, a kto chce, ten słucha." A kiedy za sprawą tej gęby pójdzie na galery imć don... no, mniejsza o to, co wiem, to wiem; mówi o tym drugi taki szacowny papier, bliźni brat tego tu... Kiedy będzie tak, że uczciwy człowiek będzie mógł poślubić uczciwą dziewczkę, która też mu jest rada, wtedy wyjawię tej gębie moje imię... Jeszcze ją i ucałuję na dokładkę. Mogę przecie mieć słuszne powody, żeby go nie powiedzieć, tego mojego imienia, tak czy nie? Bo jeśli taki czort, co ma w swojej służbie całą drużynę innych czortów... hej, gdyby on był sam jeden!... — Renzo zastąpił resztę zdania wymownym gestem. — Jeśliby ten czort zechciał wiedzieć, gdzie ja się podziwam, żeby mi tu oddać piękną przysługę, to czy ta gęba mrugnęłaby bodaj okiem, żeby mnie ratować? Mam gadać, po com tu przyszedł? To także coś nowego. Przypuśćmy, że tu do Mediolanu wybrał się do spowiedzi. Ale spowiadać się chcę przed ojcem kapucynem, a nie przed oberżystą! Gospodarz słuchał w milczeniu, nie przestając spoglądać na przewodnika, ten jednak nie dawał nic a nic poznać po sobie. Renzo, przykro to powiedzieć, wychylił jeszcze jeden kubek, po czym podjął znowu:

— Bo powiem ci, zacny gospodarzu, coś, co cię wnet

przekona: skoro dekrety w obronie porządných ludzi zgoła nic nie znaczą, to cóż dopiero takie, co bronią złých? A zatem zabieraj stąd to wszystko, a przynieś jeszcze jedną flaszkę. Bo ta, widzisz, jest pęknięta. — To mówiąc postukał lekko w flaszę zgiętym palcem i dodał: — Słuchajże, słuchaj, gospodarzu, jak dźwięczy.

Przemowa ta ściągnęła i tym razem powszechną uwagę na Renza; również i teraz spotkała się z hałaśliwymi objawami uznania.

— No i cóż mam począć? — odezwał się gospodarz, wciąż patrząc na nieznanomego, który dla niego bynajmniej nie był nieznanym.

— Hola, hola! — odzywały się liczne głosy. — Dobrze gada ten młody! Wszystko to dręczenie ludzi, pułapki, kłopoty! Nowe prawo dzisiaj, nowe prawo!

Wśród tego gwaru nieznamy, patrząc na oberżystę wzrokiem pełnym potępienia z racji owego zbyt jawnego zapytania, mruknął z cicha:

— Zostawcie go na razie w spokoju; nie trzeba awantur.

— Spełniłem swoją powinność — rzekł głośno oberżysta i dodał po cichu: — i jestem kryty.

Zabrał papier, pióro, kałamarz, dekret i pustą flaszkę, by ją oddać pacholcowi.

— Przynieś tego samego — rzekł Renzo. — Zdało mi się wcale grzeczne. Połóżmy je do łóżka jak tamto, nie pytając o imię i nazwisko ani skąd pochodzi, ani co tu robi, ani czy chce w. mieście dłużej zabawić.

— To samo — rzekł oberżysta do pacholca oddając mu flaszkę i wrócił na swoje miejsce pod okapem komina.

„Zgoła nie zając — rozważał rysując figury w popiele. — W czyjeś ty pazury wpadł, ty ośle! Chcesz się topić, to się top, ale gospodarz oberży «Pod Pełnią Księżycy nie chce mieć nic do czynienia z twoim szaleństwem.»

Renzo podziękował swemu towarzyszowi i wszystkim innym, którzy się za nim ujeli.

— Przyjaciele! — powiedział. — Teraz widzę, jako wszyscy zacni ludzie pomagają sobie wzajem. — Po czym, wyciągając znowu prawicę kaznodziejskim gestem, wykrzyknął: — Cóż stąd, że ci wszyscy, co rządzą światem, wszędzie wtykają swoje papiery, pióra i kałamarze! Wiesz

ne machanie piórem! Istnieje bzik mają ci wszyscy panowie ze swoimi piórami!

— Hej, wiejski młodzieńcze! Chcesz wiedzieć dlaczego? — zawołał śmiejąc się jeden z graczy, któremu wciąż się szczęściło.

— Posłuchajmy — odpowiedział Renzo.

— Przyczyna jest taka: — rzekł tamten — skoro ci panowie zjadają wszystkie gęsi, mają takie mnóstwo piór, że coś przecie muszą z nimi robić!

Wszyscy gruchnęli śmiechem oprócz tego jednego, który przegrywał.

— Patrzcież — rzekł Renzo — toż to poeta. Widać wszędzie rodzą się poeci. Coś z tego jest i we mnie; czasem i ja gadam wszystkim do śmiechu... ale to tylko wtedy, kiedy dobrze mi się wiedzie.

Aby zrozumieć sens tych bredni biednego Renza, trzeba wiedzieć, że w pojęciu ludu Mediolanu, a zwłaszcza jego okolic, „poeta” nie oznacza wcale tego samego, co wszędzie indziej na świecie, czyli świętego geniusza, mieszkańca wzniosłego Pindu, ulubieńca Muz; oznacza natomiast umysł dziwaczny i cokolwiek błazeński, przejawiający tak w mowie, jak w czynach więcej oryginalności aniżeli zdrowego rozsądku. Tak to ciemny lud skory jest do przekręcania słów i nadawania im sensu tak bardzo odległego od uświęconego ich znaczenia! Bo proszę, cóż może być wspólnego pomiędzy poetą a dziwakiem?

— Ale prawdziwą przyczynę ja wam powiem — zakończył Renzo. — Chodzi o to, że te pióra dzierżą właśnie oni.

Słowa, które oni mówią, ulatują z wiatrem i już ich nie ma. Ale co powie taki biedak, ho, ho, to jest ważne; słuchać trzeba pilnie, każde słowo uchwycić w locie tym piórem, przygwoździć do papieru i posłużyć się nim we właściwym czasie. A jeszcze mają i taki chytry obyczaj, kiedy chcą do szczeru zakręcić w głowie biednemu człowiekowi, co choć do szkoły nie chodził, to przecie ma coś niecoś, no, już ja wiem czego — tu dla lepszego objaśnienia swojej myśli Renzo stuknął się palcem w czoło. — Otóż jak tylko widzą, że możesz coś wyrozumieć z tego ich gadania, rzuca ci jakieś słowo po łacinie, żebyś tylko stracił wątek,

— żeby ci się wszystko pomieszało. Dość tego! Precz z takim obyczajem! Dzisiaj przecie uładziło się wszystko po naszymu, bez łaciny, papieru, piór i kałamarzy; a jutro niech jeno ludzie zechcą, zrobi się lepiej jeszcze! I ani włos

nikomu z głowy nie spadnie. Wszystko według prawa i sprawiedliwości!

Tymczasem jedni spośród słuchaczy powrócili do swojej gry, drudzy zabrali się do jedzenia, a prawie wszyscy mocno hałasowali. Jedni wychodzili, inni przybywali; gospodarz baczył pilnie zarówno na jednych, jak na drugich; wszystko to jednak nie ma nic wspólnego z naszą historią. Nieznajomy przewodnik nie zdradzał żadnej chęci odejścia. Co prawda nie wyglądało też na to, by miał w tej oberży cokolwiek bądź do roboty. Najwidoczniej jednak chciał przed odejściem pogawędzić jeszcze na osobności z Renzem. Obróciwszy się w jego stronę, naprowadził znowu rozmowę na temat chleba. Wygłosiwszy parę zdań powtarzanych w ciągu ostatnich dni do znudzenia przez wszystkich dokoła, wyłożył swój własny pogląd na tę sprawę.

— Hej! — rzekł. — Gdybym to ja tym rządził! Już ja bym znalazł sposób na to, żeby wszystko szło jak się patrzy!

— Cóż byście chcieli zrobić? — zapytał Renzo zwracając na niego bardziej niż zazwyczaj błyszczące oczy i krzywiąc nieco usta jakby dla większej uwagi.

— Czego bym chciał? — powtórzył tamten. — Chciałbym, żeby było dosyć chleba dla wszystkich: tyleż samo dla biedaków, co i dla bogaczy.

— Ba! Tego właśnie potrzeba — rzekł Renzo.

— Zrobiłbym tak: cena uczciwa, żeby każdy mógł ją zapłacić. A prócz tego rozdzielałbym chleb wedle ilości gąb; boć są tacy chciwcy niepowściągliwi, co chcieliby wszystko tylko dla siebie; łapu capu, nabiorą, ile wlezie, na wszelki wypadek. A potem, brak chleba dla biedoty. No to ja bym rozdzielał; a jak? Dałbym każdej rodzinie taki papier, wedle ilości ludzi; z tym papierem chodziliby po chleb do piekarni; weźmy na przykład mnie: powinni by mi wypisać tak: Ambrogio Fusella, z fachu płatnerz, z żoną i czwórką dzieci, wszyscy w wieku stosownym do jedzenia chleba (uważcie pilnie), dać mu należy chleba tyle a tyle, płaci tyle a tyle! Ale sprawiedliwie, zawsze wedle ilości gąb. Dla was, na przykład, musiałoby być... a jak wy się zowiecie?

— Lorenza Tramaglino — bez wahania rzucił młodzieniec. Oczarowany projektem, nie dostrzegł wcale, że zbu-

dowany był on całkowicie z papieru, piór i kałamarza i że na to, by go zrealizować, potrzebne było przede wszystkim spisanie ludzi z imionami i nazwiskami.

— Pięknie — rzekł nieznajomy: — Żonę i dzieci macie?

— Powinienem bym... dzieci nie, zbyt prędko na to... ale... żonę... gdyby na świecie tak wszystko było, jak należy.

— Aha, jesteście samotny. No, to musicie się z tym pogodzić, że dostaniecie mniej.

— Słusznie. Przecie, jeżeli wkrótce, tak jak się spodziewam... z boską pomocą... no, mniejsza o to. Ale gdybym się ożenił?

— Wtedy zamienią wam kartę: chleba dodadzą. Tak, jakem mówił: zawsze wedle ilości gąb — wyjaśnił nieznajomy podnosząc się z ławy.

— No dobrze! — wykrzyknął Renzo i krzyczał dalej, bijąc pięściami w stół. — To czemu takiego prawa nie wydają?

— Cóż tu wam rzec? Na razie życzę wam dobrej nocy i idę. Już mnie tam żona i dziatki od dawna pewnie wyglądają.

— Jeszcze łyczek, jeszcze jeden — zawołał Renzo, śpiesznie napełniając kubek kompana. Równocześnie podniósł się, uchwycił go za połę kapoty i ciągnął, chcąc zmusić go, żeby przysiadł znowu. — Jeszcze ostatni łyk, nie róbcieź mi tego despektu!

Ale tamten uwolnił się nagłym szarpnięciem, rzucił raz jeszcze: „Dobrej nocy”, i odszedł pozostawiając Renza, który nie przestawał wykrzykiwać w ślad za nim próśb i wyrzutów; był już na ulicy, a Renzo wciąż jeszcze przemawiał do niego. Wreszcie opadł z powrotem na ławę i wlepił oczy w napełniony przed chwilą kubek. Koło stołu przechodził właśnie pacholek; Renzo skinął nań, żeby się zatrzymał, jakby chciał mu wydać jakieś polecenie. Potem wskazał mu kubek i rzekł powoli i uroczyście, ze szczególnym jakimś naciskiem:

— Oto kubek, którym napełnił dla tego jegomościa; widzicie: nalany po brzegi, jak przystało przyjacielowi; a on go nie chciał. Ludzie są czasem dziwni, no nie? Aleć nie moja to wina: okazałem mu moje szczere serce. A teraz, skoro już się stało, nie trzeba, by poszło na marne...
To rzekłszy ujął kubek i wychylił go duszkiem.

— Rozumiem — mruknął pacholek i odszedł.

— Ach, rozumiecie i wy! — podjął Renzo. — Zatem to prawda. Kiedy powody są słuszne...

Tutaj przywołać musimy na pomoc całe nasze umiłowanie prawdy, by wiernie powtórzyć relację tak mało przynoszącą zaszczytu postaci tak dla nas ważnej, można by powiedzieć: głównemu bohaterowi naszej powieści. Ta sama przecież zasada bezstronności każe nam zaznaczyć, że był to pierwszy podobny wypadek w życiu Renza. I właśnie okoliczność, że nie był on wcale przyzwyczajony do hulanki, sprawiła w dużej mierze, że ów „pierwszy raz” taki się okazał zgubny. Zaraz po przyjściu wychylił jeden po drugim kilka kubków, zupełnie wbrew swoim obyczajom. Przyczyniło się do tego zarówno silne pragnienie, jak niezwykle podniecenie, które zmuszało go do czynienia wszystkiego bez umiaru. I tych kilka kubków, które u bardziej wpraw nego pijaka za ledwie zaspokoili by pragnienie, Rencowi uderzyły mocno do głowy. W związku z tym nasz anonim wypowiada uwagę, którą tu powtórzymy: a kto chce, niech słucha.

„Powściągliwe i stateczne obyczaje — mówi on. — mają między innymi i tę dobrą stronę, że im mocniej zakorzenione są w człowieku, tym silniej się w nim odzywają, ilekroć choć trochę zboczy z wytkniętej przez nie drogi. Nie łatwo mu też później o tym zapomnieć; tak że nawet popełnione głupstwo przynosi mu pożyteczną naukę.”

Tak czy inaczej, kiedy pierwsze kubki wina uderzyły Rencowi do głowy, zarówno słowa, jak wino zaczęły płynąć dwoma niepowstrzymanymi nurtami w przeciwnych zmierzających kierunkach. W momencie kiedyśmy go pozostawili na ławie w oberży, znajdował się on już w nieszczególnym stanie. Czuł nieodpartą potrzebę mówienia. Słuchaczy, a w każdym razie ludzi przebywających w izbie, których mógł za słuchaczy uważać, było pod dostatkiem, a i słowa przez jakiś czas płynęły zgoła bez wysiłku, układając się w zdania z jakim takim sensem. Stopniowo jednak doprowadzenie każdego zdania do końca zaczęło sprawiać Rencowi nie byle jaką trudność. Myśl, która dopiero co pojawiła się w jego mózgu żywa i pełna, naraz zaczynała przesłaniać się mgłą i rozwiewała się bez śladu, słowa zaś kazały na siebie czekać po to, by w rezul

tacie okazać się nie tymi, jakie były potrzebne. Wiedziony owym fałszywym instynktem, który tak często przywodzi człowieka do klęski, Renzo w chwilach takiego zmagania się z myślą i słowem uciekał się do pomocy dobroczynnej flaszki. Jakież jednak mógł być w takich okolicznościach pożytek z flaszki? Niechże ktoś obdarzony zdrowym rozsądkiem na to mi odpowie.

Powtórzmy tu tylko znikomą część tych wielu słów, jakie Renzo wyrzucił z siebie owego fatalnego wieczoru. Te, które przemilczamy, przyniosłyby zbyt wiele szkody, jako że nie tylko nie było w nich sensu, ale, co gorsza, nie wyglądały nawet na to, że jakiś sens mają; a to jest konieczny warunek, jaki musi spełniać słowo drukowane.

— Ach, gospodarzu, gospodarzu! — mówił wodząc oczyma za oberżystą, który krzątał się koło stołu, a potem zasiadał pod okapem komina. Chwilami upatrywał go tam, gdzie go właśnie wcale nie było, przemawiał do niego bez przerwy

pośród panującego dokoła gwaru: — Oj, takiś ty gospodarz! Nie mogę ci zapomnieć tego głupiego psikus... imię, nazwisko, zajęcie. Z takim zacnym młodzieńcem jak ja... Nie, nieładnieś postąpił. I cóż ci to za uciecha; jaki sens, co za zachcianka... wpisać na papier uczciwego człowieka... Dobrze mówię, mości panowie? Oberżysta powinien trzymać stronę uczciwego człowieka... no nie? Posłuchaj, posłuchaj no, gospodarzu. Dam ci porównanie... dla dowodu... Śmieją się, co? Mam tu taki szmerek, aleć przecie słusznie gadam... A ty gadaj: na kim twoja gospoda stoi? Na takich jak ja, no nie? Dobrze gadam? Pomyśl sam, ci panowie od dekretów zajrzą tu kiedy do ciebie na lampkę wina? — Oni jeno wodę chłepczą — odezwał się ktoś obok Renza.
— Wolą się trzymać swoich, mogą wtedy łąć, ile dusza zapagnie — dodał inny.
— Ach! — wykrzyknął Renzo. — Otóż i przemówił poeta! Pojmujecie tedy i wy moje racje? No, gadajże, gospodarzu: Ferrer z nich przecie najlepszy, a czy pił tu choć raz? Czy przepuścił tu bodaj grosz? A ten pies, morderca, don... Już nic nie gadam, zanadto gorącą mam głowę. Ferrer i ojciec Crrr... no tak, obaj zacni ludzie, dobrze o tym wiem, Ale takich jest mało. Starzy gorsi od młodych, a młodzi... jeszcze gorsi od starych. No, alem rad, że

się krew nie polała. Uff! To paskudztwo, zostawmy je katom. Chleb — to tak. Oberwałem siniaków dość; alem ich i rozdał niemało. Z drogi! Dostatek! Niech żyje!... Chociaż nawet "i Ferrer... gadał coś tam po łacinie... sies baraós trapolorum... Przekłeta niegodziwość! Chleb! Ach, to są słowa, jak należy... Dobrze chcieli pocziwi ludziska... aż tu słycać to przekłete: „Ton, ton, ton”, i znowu „Ton, ton, ton.” Toć nie bylibyśmy uciekali wtedy. Oj, dostać tu tego księdza proboszcza... już ja wiem, co myślę...

Tu zwiesił głowę i trwał czas jakiś pogrążony w myślach. Potem westchnął ciężko i uniósł twarz ukazując oczy błyszczące i wilgotne, pełne takiej dzikiej udręki, że biada temu, kto będąc przyczyną tego smutku ujrzałby tę twarz w owej chwili. Ale tamtym zuchom mającym niemało uciechy z namiętnej, a zawilej przemowy Renza, tym bardziej przypadł do gustu jego nagły smutek.

— Popatrzcież — mówili bliżej siedzący do dalszych i wszyscy obracali się w jego stronę czyniąc sobie z niego ucieczne widowisko. Nie znaczy to, że wszyscy byli zupełnie trzeźwi i że zachowali świadomość tego, co się z nimi dzieje; żaden jednak, prawdę mówiąc, nie był tak wstawiony jak biedaczek Renzo; a w dodatku był jeszcze wieśniakiem. To ten, to ów podjudzał go pytaniami równie głupimi, jak grubiańskimi, udając, dla tym lepszej drwiny, szacunek. Renzo chwilami złościł się, to znów zbywał ich żartem, to nie zważając na nikogo gadał o czym innym, zadawał jakieś pytania i odpowiadał na nie; a zawsze ni w pięć ni w dziewięć. Szczęście jeszcze, że w tym oszołomieniu zachował jednak instynkt, który nakazywał mu unikać pewnych imion. Tak więc i to, które najmocniej tkwiło w jego pamięci, nie zostało wówczas wypowiedziane. A byłoby nam niezmiernie przykro, gdyby imię to, względem którego żywimy i my serdeczne uczucia i szacunek, rozbrzmiewało z tych pijackich gąb i stało się igraszką obleśnych języków.

Oberżysta widząc, że zabawa zapowiada się na długo, zbliżył się do Renza i — grzecznie poprosiwszy tamtych, by go zostawili w spokoju — zaczął potrząsać jego ramieniem usiłując namówić go, aby udał się na spoczynek. Ale Renzo uparcie powracał do sprawy imienia i nazwiska, do dekretów i do „pocziwych ludzi”. W końcu jednak słowa: „Łóżko do spania”, powtórzone wielokrotnie przy jego uchu, dotarły jakoś do mózgu. Zaczął coraz mocniej odczuwać potrzebę tego, co te słowa oznaczały, i nawet jak gdyby wytrzeźwiał chwilowo na tyle, że ta odrobina rozsądku, jaka mu pozostała, nagle objawiła mu, jak dalece go utracił, tak jak ostatni ogarek pozostający po iluminacji ukazuje wszystkie inne wygasłe latarnie. Zebrał całą odwagę, wyciągnął przed siebie ręce i oparł je silnie na stole. Raz czy dwa spróbował się podnieść; westchnął, zachwiał się, za trzecim razem zdołał z pomocą oberżysty stanąć prosto. Tamten przeprowadził go, nie przestając podtrzymywać, pomiędzy stołem a ławą. W jedną rękę wzięwszy kaganek wiódł swego gościa, ciągnąc po trosze, ku wylotowi schodków. Słyszając za sobą ryki kompanów, mające wyrażać pozdrowienia, Renzo odwrócił się raptownie i gdyby jego towarzysz nie uchwycił go błyskawicznie i nie przytrzymał mocno, zwrot ten zamieniłby się w porządnego koziołka.

Odwrócił się tedy i wolnym ramieniem począł wykonywać w powietrzu pożegnalne gesty, istne salomonowe węzły bez początku i końca.

— Idziemy do łóżka, do łóżka — mówił ciągnąc go za sobą oberżysta.

Weszli na schody, w pocie czoła dosięgli po chwili ich szczytu i wreszcie weszli do izby przeznaczonej dla gościa.

Renzo uradował się szczerze na widok oczekującego nań łóżka. Z miłością popatrzył na gospodarza oczyma, które to rozbłyskiwały niezwykłym blaskiem, to przygasały nagle niby dwa świętojańskie robaczki. Z trudem utrzymując się na nogach, wyciągnął ramię w zamiarze poklepania policzka gospodarza na znak przyjaznych uczuć i wdzięczności. Ale nie udało mu się to.

— Pocziwy gospodarzu — zdołał jedynie wybełkotać — teraz widzę, żeś zacny człek. To dobry czyn — dać łóżko pocziwemu chłopcu... Ale to, coś wyprawiał z tym imieniem i nazwiskiem, to nie było zacne. Całe szczęście, że i ze mnie spryciarz nie lada...

Oberżysta nie spodziewał się wcale, że gość tyle jeszcze jest w stanie zapamiętać, a że wiedział z długoletniego doświadczenia, jak często ludzie w podobnym stanie zamroczenia zmieniają ni stąd ni zowąd zdania, postanowił wykorzystać tę chwilę przytomności i uczynić jeszcze jedną próbę.

— Zacny młodzieńcze — powiedział z wielką serdecznością w głosie i w twarzy — toć nie czyniłem tego ani po to, by wam dokuczyć, ani przez ciekawość waszych spraw. Cóż chcecie? Takie jest prawo. Musimy mu być posłuszni, inaczej pierwsi za to pokutujemy. Lepiej zawsze zrobić, czego chcą, i... O cóż chodzi, na dobrą sprawę? Wielkie mi rzeczy! Dwa słowa powiedzieć. I to nie im przecie, jeno, by mnie wygodzić. No, tu, w cztery oczy, zróbmyż, co do nas należy. Powiedźcie mi swoje imię... i idźcie do łóżka ze spokojnym sumieniem.

— A łajdaku! — wykrzyknął Renzo. — A oszuście! Jeszcze mi tu wyjeżdżasz z tym paskudztwem o imieniu, nazwisku i zajęciu!

— Cicho bądź, błaznie, idź do łóżka — rzekł oberżysta. Ale Renzo krzyczał coraz głośniejsze:

— Rozumiem teraz! I ty jesteś w znowie. Poczekaj, poczekaj, jeszcze ja ci dogodzę! — i, odwracając się ku schodom, począł wrzeszczeć na całe gardło: — Przyjaciele! Gospodarz jest...

— Żartem mówiłem! Żartem! — krzyknął tamtem prosto w twarz Renza, popychając go w stronę łóżka. — Żartem!

Nie rozumiesz, żem żartował?

— A, żartem. Teraz dobrze gadasz. Skoro mówisz: żartem... Wszystko to żarty... — zwałił się twarzą na łóżko.

— Żywo! Rozdziewaj no się — mówił oberżysta, dodając do tej rady pomoc, której Renzo w istocie potrzebował. Kiedy z trudem ściągnął z siebie kaftan, gospodarz pochwycił go i wprawnie przesunął dłońmi po kieszeniach, chcąc się przekonać, czy jest tam dość pieniędzy. Znalazłszy je pomyślał nie bez racji, że nazajutrz jego gość będzie załatwiał porachunki zgoła z kim innym i że jego zasoby dostaną się zapewne przy tej okazji w takie ręce, z których żaden oberżysta nie zdoła ich wydobyć, postanowił więc tę przynajmniej sprawę pomyślnie załatwić.

— Jesteście przecie uczciwym człowiekiem, nieprawdaż? — zagadnął.

— Uczciwym człowiekiem, tak — potwierdził Renzo porając się z guzikami tych części ubrania, których nie zdołał jeszcze z siebie ściągnąć.

— To dobrze — rzekł oberżysta. — W takim razie zapłacicie mi od razu tę niewielką sumkę, którą jesteście mi dlužni, bo jutro rano muszę pójść w pewnych sprawach na miasto...

— Słusznie — rzekł Renzo. — Jestem sprytny, ale uczciwy. Ba, ale pieniądze? Teraz iść po pieniądze?

— Macie je tutaj — rzekł gospodarz. Przywołałszy na pomoc całe swoje doświadczenie, cierpliwość i przebiegłość, zdołał jakoś obliczyć się z gościem i dostać należność.

— Pomóż no mi, niechże się rozbiore, gospodarzu — mruczał Renzo. — Teraz i ja czuję, że okrutnie senny...

Oberżysta udzielił mu wszelkiej pomocy, okrył go kołdrą i powiedział szorstko: „Dobranoc”, kiedy gość chrapał już w najlepsze. Ale pod wpływem owej niewytłumaczonej siły przyciągania, która każe nam często wpatrywać się w przedmiot nienawiści na równi z przedmiotem miłości, a która prawdopodobnie nie jest niczym innym, tylko pragnieniem dokładnego poznania czegoś tak silnie działającego na nasze uczucia, zatrzymał się jeszcze i długą chwilę przyglądał się swemu kłopotliwemu gościowi; stał tak, zbliżywszy kaganek do twarzy śpiącego i kierując na nią światło przy pomocy rozpostartej dłoni — w takiej mniej więcej pozie, w jakiej odmalowana jest Psyche ukradkiem przyglądająca się swemu tajemniczemu kochankowi.

„Ty ośle! — przemawiał w duszy do uspiętego nieszczęśnika. — Aleś sobie napytał biedy! Zobaczmy, jak ci

się spodoba to, co jutro nastąpi. Och, wy głupcy! Chcecie świat obejść dokoła, a nie wiecie, z której strony słońce wschodzi. Na swoje i bliźnich nieszczęście...

Tak pomedytowawszy zabrał kaganek, wyszedł z izby i zamknął za sobą drzwi na klucz. Stanąwszy na podeście schodów zawołał żonę i polecił jej zostawić dzieci pod opieką służebnej i zejść do kuchni w jego zastępstwie.

— Muszę wyjść z przyczyny pewnego nieznanego, który spadł mi tu na kark, diabli wiedzą jak, na moje utrapienie — dodał opowiadając w skrócie tę przykrą historię. — Miej oko na wszystko — zakończył. — A zwłaszcza bądź ostrożna, bo to przeklęty dzień. Mamy tam całą zgraję półgłówek, którzy czy to, że pijaki, czy z natury tacy pyskaci, dość że wygadują, co im ślina na język przyniesie. No, a gdyby jaki zuchwalec...

— Och, nie jestem dzieckiem i potrafię sobie poradzić. Jak dotąd, nie możesz się chyba skarżyć.

— Dobrze, dobrze. A uważaj, czy wszyscy płacą. Jak będą wygadywać te swoje brednie o namiestniku, o gubernatorze, o Ferrerze i dekurionach, o tych kawalerach z Hiszpanii i z Francji i jakie tam jeszcze banialuki, to udawaj, że nie słyszysz. Bo jak się sprzeciwisz, będzie z nami od razu źle; a jak się będziesz zgadzała, będzie jeszcze gorzej w przyszłości. Sama przecie wiesz: nieraz ci, co najgorzej pyskują... no, dość o tym. Jak tylko tak zaczną, odwrócisz się i powiesz: „Już idę”, że niby cię wołają z drugiego końca. Postaram się wrócić jak najrychlej.

To rzekłszy zeszedł wraz z nią do kuchni, rozejrzał się wokoło, ciekaw, czy przybył ktoś nowy, zdjął z kołka kapelusz i opończy, ujął stojący w kącie kij, rzucił żonie spojrzenie wyrażające bez słów wszystkie uprzednio dane jej polecenia, wreszcie wyszedł. Jeszcze w trakcie tych czynności podjął w myśli przerwany wątek przemowy, jaką rozpoczął był bezgłośnie u łóżka nieszczęsnego Renza. Idąc ulicą nie przestawał urągać mu w duszy.

„Uparty łeb góralski — mówił sobie. Bo, jakkolwiek Renzo starał się trzymać wszystko, co dotyczy jego osoby, w ukryciu, przecież pochodzenie jego przejawiało się mimo woli w wyrażeniach, wymowie, wyglądzie i ruchach. — Taki dzień, żem ledwo wyszedł z niego obronną ręką dzięki rozwadze i zręczności; trzebaż było, żeś mi się zwałił na

sam koniec i potłukł wszystkie jaja w moim koszyku! Czy to brak oberży w Mediolanie, żeś musiał wleźć właśnie do mojej? Gdybyż choć sam! Przymknąłbym oko na dziś wieczór, a jutro z rana przemówiłbym ci do rozumu. Ale nie, mospanie! Przybywasz w kompanii, i to w kompanii szpiega na domiar wszystkiego."

Od wyjścia z domu oberżysta co krok spotykał ludzi to idących samotnie, to po dwoje, to gromadkami, z cicha rozprawiających. W tym zaś momencie swojej przemowy zobaczył przed sobą patrol żołnierzy; usunął się na bok, by ich przepuścić, spoglądając kątem oka i nie przestając mamrotać do siebie:

„A otóż i bicz karzący. A ty, ośle jeden, jakieś zobaczył, że ludzie włóczą się po mieście i krzyczą, toś zaraz wbił sobie w głowę, że świat się odmienia? I z tej to pięknej przyczyny zgubiłeś siebie, a chciałbyś zgubić i mnie! A to już zgoła niesłusznie. Czyniłem, co w mojej mocy, by cię ratować. A ty, bestio niewdzięczna, w zamian za to małość mi nie przewrócił oberży do góry nogami. Teraz to już sam się musisz wykaraskać, a ja pomyślę o sobie. Czy to ja z ciekawości chciałem wiedzieć twoje nazwisko? A cóż mi z tego, czy się zowiesz Taddeo, czy Bartolomeo! Czy to taka dla mnie uciecha dzierżyć pióro w rękę? Nie wy jedni chcecie, żeby było po waszemu. Wiem ja to dobrze: są takie prawa, co nic zgoła nie znaczą. Nie potrzeba, żeby nas o tym byle góral pouczał. Ale czego ty nie wiesz, to tego, że prawa przeciwko nam, oberżystom, aż nadto się liczą. Chce ci się wałęsać po świecie i gadać, a tego nie wiesz, że kto chce czynić, jak mu się podoba, i gwizdać na dekryty, musi o nich mówić z całym respektem. A wiesz ty, głupcze, co by było z takim biedakiem oberżystą, który by był tegoż mniemania co i ty i o nic nie pytał tych, co raczą zaszczycać jego dom? «...Którykolwiek z wyżej wspomnianych oberżystów, winiarzy i tym podobnych, pod karą trzystu dukatów...» — pewnie, pewnie, tacy raz dwa urodzą trzysta dukatów po to, żeby je tak rozsądnie; wydać! «...uiszczonych w dwóch trzecich izbie skarbowej, w części pozostałej oskarżycielowi czy donosicielowi... — to ten łajdak! — «...w razie niewypłacalności pięć lat galery lub inna cięższa kara, pieniężna albo cielesna, wedle uznania jego ekscelencji... — Pokorne dzięki za tyle troski!"

Mówiąc sobie w myśli te słowa, oberżysta stanął u progów pałacu sprawiedliwości.

Tam jak i we wszystkich innych urządach ruch panował niezwykły; oczekiwano wydania zarządzeń, które by zapobiegły niepokojom na dzień następny, odebrały wicherzycielom zarówno preteksty, jak i zapal do wznowienia zamieszek i zapewniły dostateczną siłę nawykłym do rządzenia. Wzmocniono załogę domu namiestnika, oba wyloty ulicy zamknięto belkami i oszańcowano wozami. Wszystkim piekarzom nakazano wypiekać chleb bez przerwy. Do pobliskich wsi rozesłano nakazy dostawy zboża do miasta. W każdej piekarni mieli od rana dyżurować delegowani przedstawiciele szlachty, by czuwać nad rozdziałem chleba i zapobiegać możliwym zamieszkom przy pomocy swego autorytetu i łagodnej perswazji. Zarazem chcąc dobrym słowem przydać skuteczności przy pomocy odrobiny strachu, jako że dobrze jest, jak się to mówi, pobijać równocześnie obręcz i beczkę, pomyślano i o przychwyceniu paru wicherzycieli. Zadanie to przypadło oczywiście kapitanowi straży. A każdy z łatwością odtworzył sobie uczucia, jakie

żywił on w stosunku do rebelii i rebeliantów, mając wciąż jeszcze opatrunek na jednym ze swoich „wzgórków metafizycznych”. Jego sfera puszczona była w ruch od pierwszej chwili istnienia rozruchów; rzekomy Ambrogio Fusella był, jak już wiemy ze słów oberżysty, nie kim innym, tylko przebranym zbirem wysłanym na miasto właśnie w celu upatrzenia sobie zawczasu ofiary, którą mógłby następnie rozpoznać, mieć na oku i schwytać wreszcie w potrzask pod osłoną nocy albo nazajutrz. Wystarczyło parę słów zasłyszanych z przemowy Renza, by wywęszył tu łatwą zdobycz. Wydał mu się ten człowiek niegroźnym przestępcą, takim właśnie, jakiego mu było potrzeba. A kiedy jeszcze okazało się, że jest przybyłym nie znającym miasta, „łapacz” obmyślił sobie doskonałą sztuczkę: zaprowadzić go od razu, na gorąco, wprost do więzienia, jako do najbezpieczniejszej w mieście gospody. To mu się, jak wiadomo, nie powiodło. Mógł jednak zanieść, gdzie trzeba, dokładne dane: imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i sto innych wiadomości nieco mniej pewnych. Tak więc, kiedy oberżysta zgłosił się z doniesieniem tego, co mu było wiadome o Renzu, wiedziano już tam znacznie więcej. Przybyły wszedł do znanego sobie z daw

na pokoju i złożył zeznanie: że, mianowicie, nocuje u niego nieznajomy, który odmawia wyjawienia swego nazwiska. — Spełniście swoją powinność, zawiadamiając władze — rzekł odkładając pióro podsędek. — Jednak nam już to było wiadome.

„To mi sztuka — pomyślał oberżysta. — Nie trzeba na to wiele sprytu!”

— Wiadome nam również — ciągnął podsędek — owo zatajone nazwisko.

„A do diabła! — pomyślał oberżysta tym razem z podziwem. — Skądże oni wytrzasnęli to nazwisko?”

— Wy zaś — podjął tamtem z powagą malującą się na twarzy — wy nie wyznaliście szczerze wszystkiego.

— Cóż mógłbym rzec więcej?

— Ach, wiemy o tym doskonale, że ten człowiek przyniósł do oberży dużą ilość chleba skradzionego gwałtem, drogą rabunku i rebelii.

— Przychodzi ktoś z bochenkiem chleba w kieszeni. Skądże mogę wiedzieć, skąd go przyniósł? Ale mogę przysiąc jak na śmiertelnym łożu, że widział u niego jeden jedyny bochenek.

— No tak, wieczne osłanianie, wybielanie; myślałby kto, słuchając was, że sami uczciwi ludzie są na świecie. Jakże możecie dowieść, że ten chleb był nabyty uczciwie?

— A cóż ja tu mam dowodzić? Mnie nic do tego. Jestem tylko oberżystą.

— Nie możecie jednak zaprzeczyć, że ten wasz znajomy miał czelność wypowiadać obelżywe słowa "o dekretach i obrażał godło herbowe jego ekscelencji.

— Proszę o wybaczenie, wielmożny panie, jakże to mój znajomy, skorom go pierwszy raz w życiu oglądał? Diabeł go chyba, mówiąc oględnie, przyniósł do mego domu! A toć gdybym go znał, wasza wielmożność sam widzi, że nie miałbym potrzeby pytać go o nazwisko.

— Jednak w waszej oberży, w waszej obecności mówiono osobliwe rzeczy: zuchwałe słowa, buntownicze plany, szemrania, krzyki, wrzaski...

— Jakże wasza wielmożność chce, żebym przysłuchiwał się wszelkim bredniom, jakie się wymkną tym krzykaczom, co hałasują wszyscy naraz? Muszę dbać o moje interesy, jestem ubogi człowiek... A przy tym wasza wiel

możność pojmuje: kto jest mocny w gębie, to zazwyczaj i w ręku prędko, a jeszcze, kiedy ich jest cała zgraja.

— Tak, tak, pozwólcie im robić i gadać, co chcą: jutro, jutro zobaczycie, czy się nie opamiętają. Co o tym sądzicie?

— Ja nic nie sądzę.

— Że motłoch jest panem Mediolanu?

— Och, Boże sprawiedliwy!

— Zobaczycie, zobaczycie.

— Pojmuję doskonale: król zawsze będzie królem, a kto oberwie, ten oberwie. Rzecz jasna, że ubogi ojciec rodziny nie ma na to zgoła chęci. Wy, panowie, macie siłę. To wasza sprawa.

— Dużo ludzi macie jeszcze u siebie?

— Cały tłum!

— A ten wasz znajomek co robi? Wykrzykuje nadal, przewraca ludziom w głowach, gotuje zamęt na jutro?

— Ów obcy, chce rzec wasza wielmożność, poszedł do łóżka.

— A zatem macie dużo ludzi; no, baccie, by wam tamten nie umknął.

„Mam być za łapacza” — pomyślał oberżysta. Ale nie powiedział ani: tak, ani: nie.

— Wracajcie do domu. A bądźcie rozsądni — rzekł podsędek.

— Zawszem był rozsądny. Wasza wielmożność wie najlepiej, czym kiedy przysporzył sprawiedliwości kłopotów.

— I nie przybierajcie sobie do głowy, że sprawiedliwość straciła coś na sile.

— Ja? Na miły Bóg! Ja nic sobie do głowy nie przybieram. Staram się być rzetelnym oberżystą.

— Zwykła śpiewka. Nic innego nigdy nie macie do powiedzenia.

— A cóż bym miał innego? Prawda jest jedna.

— No, dość. Przyjmujemy na razie to, coście zeznali. Jak będzie trzeba, powiadomicie nas dokładnie o wszystkim, o co was zapytają.

— A cóż ja mogę powiedzieć ponadto? Nic nie wiem. Ledwie mam głowę na moje własne sprawy.

— Nie dajcie mu umknąć.

— Spodziewam się, że wielmożny pan kapitan będzie powiadomiony, że niezwłocznie przyszedł, jak mi nakazywał obowiązek. Ręce waszej wielmożności całuję.

O świcie Renzo spoczywał już od siedmiu mniej więcej godzin i był jeszcze, biedaczek, pogrążony w najśłodszym śnie, kiedy dwa silne potrząśnięcia za ramię i jakiś głos wołający tuż obok łóżka: „Lorenza Tramaglino!”, obudziły go nagle. Gniewnie wyrwał ramiona, z wysiłkiem otworzył oczy i ujrzał stojącego przy łóżku czarno ubranego człowieka i dwóch zbrojnych po swojej prawej i lewej stronie. Zaskoczony, niezupełnie rozbudzony, z ciężką po wczorajszym winie głową, czuł się przez chwilę jak zaczarowany; zdawało mu się, że jeszcze śni, a że sen był niemiły, poruszył się usiłując rozbudzić się na dobre.

— A, usłyszeliście na koniec, Lorenza Tramaglino! — odezwał się człowiek w czerni, tenże sam podsędek z poprzedniego wieczora. — Żywo teraz, wstawać i iść z nami.

— Lorenza Tramaglino! — powtórzył Renzo. — A to znów co takiego? Czego ode ranie chcecie? Kto wam powiedział, jak się nazywam?

— Nie gadać, zwiń się szybko — rzekł jeden ze zbirów stojących po obu stronach łóżka i ujął go znowu za ramię.

— Hola! A cóż to? Przemoc? — krzyknął Renzo uwalniając ramię. — Gospodarz! Hej, gospodarz!

— Bierzem go w koszuli? — zapytał zbir podsędka.

— Rozumiecie? — rzekł tamten zwracając się do Renza. — Tak będzie, jeżeli zaraz nie wstaniecie, żeby pójść z nami.

— Po cóż to? — spytał Renzo.

— Po co, tego się dowiecie od pana kapitana straży.

— Ja? Jestem uczciwym człowiekiem, nie uczyniłem nic złego i dziwi mnie...

— Tym lepiej, tym lepiej. Jeśli tak, to w dwóch słowach rzecz się załatwi i będziecie mogli pójść, gdzie się wam spodoba.

— Pozwólcie mi iść zaraz — prosił Renzo. — Nic nie mam do czynienia ze sprawiedliwością.

— Żywo, kończmy z tym! — rzekł jeden ze zbirów.
— Bierzemy go? — spytał drugi.
— Lorenza Tramaglino — przemówił podsędek.
— Skąd znacie moje nazwisko, panie?
— Czyńcie waszą powinność — rozkazał podsędek zbirom, którzy natychmiast zabrali się do wyciągania Renza z łóżka.

— Hola! Nie tykać uczciwego człowieka, do licha! Potrafię sam się odziać.
— Więc odziewajcie się szybko.
— Już to czynię — odparł Renzo. Począł zbierać części ubrania porozrzucane po łóżku niby szczątki rozbitego okrętu na wybrzeżu. Wkładał je na siebie nie przestając rozprawiać: — Ale nie chcę iść do kapitana straży. Nie mam z nim nic do gadania. Skoro już mi się czyni niesłusznie taki despekt, chcę być zaprowadzony do Ferrera. Tego znam, wiem, że to zacy człowiek. I jest mi nawet winien wdzięczność.
— Tak, tak, mój drogi. Będziecie zaprowadzeni do Ferrera — odpowiedział podsędek. W innych okolicznościach uśmiełby się z podobnego żądania. Ale nie była to stosowna do śmiechu chwila. Już idąc tam, zauważył na ulicach pewien ruch i trudno było odgadnąć, czy to ostatnie echa niezupełnie uśmierzonych zamieszek, czy początek nowych; wyłaniały się coraz nowe osoby, skupiały się grupki rozmawiających, szły duże, zwarte gromady. Teraz też wycęzał słuch, nie dając tego poznać po sobie, a przynajmniej usiłując nie dać; wydawało mu się, że daleki, stłumiony szum coraz się wzmacza. Spieszył się więc, a przy tym zależało mu na nakłonieniu Renza, żeby poszedł bez oporu. Gdyby bowiem doszło do otwartej walki, nie był wcale pewien, czy po wyjściu na ulicę będzie ich nadal trzech przeciwko jednemu. Dlatego też dawał znaki swoim ludziom, żeby nie tracili cierpliwości i nie drażnili młodzieńca. On zaś ze swej strony starał się coś osiągnąć łagodną perswazją. Tymczasem Renzo, ubierając się powolutku, usiłował przypomnieć sobie wydarzenia dnia poprzedniego. Domyślał się częściowo, że awantura z dekretami, z imieniem i nazwiskiem była tego wszystkiego przyczyną. Ale skąd, u licha, ten człowiek znał jego nazwisko? I co takiego zaszło owej nocy, co pobudziło szacowną sprawiedliwość do tak szybkiego działania, żeby pójść na pewnego i położyć łapę na jednym z tych poczciwych ludzi, którzy nie dalej niż wczoraj tak wiele mieli do powiedzenia? I którzy najwidoczniej nie spali teraz, a przynajmniej nie wszyscy; bo i Renzo również chwycił uchem coraz donośniejszy szum na ulicy. Spojrzawszy na twarz podsędka dostrzegł w niej niepewność, którą ten na próżno starał się ukryć. Chcąc więc wybadać bliżej

sytuację i utwierdzić się w swoich przypuszczeniach, a zarazem zyskać na czasie i rzucić próbną strzałę, powiedział:
— Widzę ja dobrze, skąd się to wszystko bierze: to przez to imię i nazwisko. Wczoraj wieczór byłem trochę zanadto wesół: ci oberżyści mają czasem wielce zdradliwe wina. No, a wiadomo, bywa tak, że wypite wino gada za człowieka. I skoro to o to chodzi, gotów jestem na każde zadośćuczynienie, jakiego, panie, zażądacie. Ale jak to być może, że znacie moje nazwisko? Kto, u licha, wam je powiedział?

— Dobrze, dobrze, mój drogi — odpowiedział przyjaźnie podsędek. — Widzę, że z was rozsądny młodzieniec, a także, możecie mi wierzyć, boć to mój fach, jesteście sprytniejsi od wielu innych. Macie łatwy sposób pozbycia się tego całego kłopotu: okażcie dobrą wolę, dwa słowa i będziecie na swobodzie. Ale ja, rozumiecie, mam ręce związane; nie mogę puścić was zaraz, jakbym pragnął. Pośpieszcie się tedy i pójdźcie śmiało; jak zobaczą, kto wy jesteście... zresztą i ja tam rzeknę, co trzeba. Zdajcie się na mnie. No, dość. Spieszmy się, młodzieńcze!

— A, wy, panie, nie możecie, rozumiem — rzekł Renzo kończąc się ubierać i oganiając się ruchem ręki od obu zbirów, którzy próbowali czynnie nakłaniać go do pośpiechu.

— Przejdziemy przez plac katedralny? — zapytał.

— Jak chcecie. Im bliższą drogą, tym lepiej, by jak najprędzej wypuścić was na wolność — rzekł tamten, zły, że musi przemilczeć zagadkowo brzmiące zapytanie młodzieńca, które wszakże mogłoby dostarczyć tematu do stu dalszych pytań. „Tak to jest, jak się ktoś pod złą gwiazdą urodzi — rozmyślał. — Oto wpada mi w ręce ktoś, kto gotów byłby wyśpiewać wszystko, co trzeba; gdybym miał tylko trochę czasu, dałoby się, ot, tak, po przyjacielsku, extra formam, akademicką metodą, wydobyć z niego bez powroza wszystko, co bym jeno zechciał. Nim by zdążył dojść do więzienia, już byłby przesłuchany, wybadany i aniby w tym wiedział. I ta gratka musi mi się trafić w tak niepomyślnym momencie! Cóż, nie ma rady — myślał nasłuchując i kręcąc żałośnie głową. — Nie ma sposobu; dzień zapowiada się bodaj gorszy jeszcze od wczorajszego.”

Posępne te przewidywania płynęły stąd, że hałas uliczny wzmógł się naraz gwałtownie. Podsędek nie mógł się powstrzymać od uchylenia okiennicy i rzucenia okiem na zewnątrz. Zobaczył gromadę mieszczan, których patrol wezwał do rozejścia się, a którzy odpowiedzieli na to wymyślanem i choć zaczęli się zwolna rozpraszać, przecież nie przestali sarkać i szemrać. Żołnierze — i to wydawało się podsędkowi najgroźniejszą oznaką — zachowywali się niezwykle uprzejmie. Zamknął okiennicę i zastanawiał się przez chwilę, czy powinien doprowadzić swoje zadanie do końca, czy też zostawić Renza pod strażą tamtych dwóch i biec co prędzej do kapitana straży, zdać mu sprawę z tego, co się dzieje.

„Ale wtedy — pomyślał — powiedzą, że m tchórz i niedołęga i że trzeba było zrobić, co do mnie należało. Cóż, kiedyś, człowieku, na balu, musisz tańcować. Niech diabli wezmą te rozruchy! Przeklęty fach!”

Renzo wstał z łóżka. Dwaj satelici stali u jego boków. Podsędek dał im znak, żeby obchodzili się z nim oględnie, do niego zaś powiedział:

— No, młodzieńcze, bądź rozsądny i śpieszmy się!

Ale i Renzo także słyszał, widział i myślał. Był już ubrany, z wyjątkiem kaftana, który trzymał w ręce, drugą przeszukując kieszenie.

— Oho! — rzekł, wiele mówiącym spojrzeniem obrzucając podsędką. — Miałem tu pieniądze i list. No, panie?

— Wszystko będzie wam skrupulatnie zwrócone, trzeba tylko przedtem dopełnić pewnych drobnych formalności — odparł podsędek. — No, idziemy.

— A, nie, nie — rzekł Renzo potrząsając stanowczo głową. — Tak to nie idzie. Chcę mieć, co moje, panie. Powiem wszystko, co chcecie o mnie wiedzieć; ale moją własność muszę mieć z powrotem.

— Chcę dać dowód, że mam do was zaufanie: bierzcie, ale śpieszcie się — rzekł podsędek wyciągając z zanadza skonfiskowane przedmioty i wręczając je z westchnieniem Renzowi.

Ten zaś wsunął je do kieszeni mruczając przez zęby:

— No, no! Tyle macie do czynienia ze złodziejami, żeście się od nich nauczyli fachu.

Zbiry z trudem panowali nad sobą, ale podsędek poskromił ich oczyma, mówiąc w duchu: „Niechbyś tylko prze

stąpił wreszcie tamten próg, zapłacisz mi to z nawiązką, oj, zapłacisz!"

Renzo nałożył kaftan i wziął w rękę kapelusz; podsędek dał znak jednemu ze zbirów, by ruszył przodem ku schodom. Za nim kroczył więzień, drugi zbir towarzyszył mu z tyłu. Na końcu ruszył sam. Zeszli do kuchni.

— Gdzie też się podziewa ten miły gospodarz? — rzekł Renzo.

W tej samej chwili podsędek skinął na swoich ludzi, oni zaś w mgnieniu oka pochwycili Renza z obu stron i wprawnie skrępowali mu przeguby rąk czymś, co z pełnym obłudy eufemizmem nazywano „mankietami". Składał się ów przyrząd (z przykrością zniżamy się do tych szczegółów, niezgodnych z powagą historii; wymaga tego jednak jasność opowiadania), składał się tedy ów przyrząd z kawałka sznurka długości mniej więcej obwodu przeciętnego napięstka, z dwoma podłużnymi drewnkami. Sznur obejmował przegub delikwenta, drewnienka tkwiły w zaciśniętej dłoni prowadzącego, wsunięte pomiędzy środkowy i serdeczny palec, tak że obracając je zaciskało się dowolnie więzy. Był to sposób nie tylko zabezpieczenia zdobyczy, ale i doraźnego ukarania opornego więźnia; w tym celu sznurek opatrzony był licznymi supłami.

Renzo szarpnął się wołając:

— Zdrada! Jestem uczciwy człowiek!

Ale podsędek, który na każdą przykrą okoliczność miał w pogotowiu łagodne słowa, począł go uspokajać:

— Miejcież cierpliwość. Czynią, co do nich należy. Cóż chcecie? Takie są nakazy prawa. Nie wolno nam traktować ludzi tak, jakby nam to serce dyktowało. Gdybyśmy zaniedbali tego, co mamy nakazane, mielibyśmy się z pyszna! Gorzej niż wy. Miejcież cierpliwość.

I poszli.

Z tych wszystkich pięknych słówek Renzo nie uwierzył ani jednemu. Nie sądził, żeby podsędek miał więcej życzliwości dla niego niżeli dla swoich zbirów, ani by tak dalece leżało mu na sercu dobre imię Renza, ani wreszcie, by rzeczywiście chciał mu przyjść z pomocą. Rozumiał doskonale, że ten biedak obawiał się mocno, czy na ulicy nie nadarzy się więźniowi sposobność czmychnięcia, i że jego przemowa miała odwrócić uwagę Renza i uniemożliwić mu skorzystanie z takiej sposobności. Toteż wszystkie

te pouczenia odniosły ten tylko skutek, że utwierdziły Renza w zamiarze wręcz przeciwnego postępowania.

Niech nikt nie wyciąga stąd wniosku, jakoby podsędek był niedoświadczonym nowicjuszem w swoim fachu; kto by tak sądził, myliłby się z gruntu. Był to patentowany spryciarz, jak mówi nasz kronikarz, który jak się zdaje, zaliczał się do jego przyjaciół. W tym jednak momencie umysł jego był ogromnie wzburzony. W normalnym stanie ducha on pierwszy wyśmiałby takiego, co w celu doprowadzenia kogoś do niekorzystnego dlań postępku podszeptowałby mu go, wręcz wkładał mu w głowę i gorąco namawiał pod nieudolnym pozorem przyjacielskiej, bezinteresownej rady. Ale taka już jest powszechna ludzka cecha, że kiedy w strapieniu i niepokoju widzą ratunek w takim, czy innym postępku drugiego człowieka, nie mogą się powstrzymać od nagabywania go o to wciąż na nowo, pod byle jakim pozorem. A nawet najwięksi spryciarze, kiedy ich coś wytrąci z równowagi, podpadają pod tę ogólną regułę i w takich jak wyżej opisana okolicznościach wyglądają często bardzo mizernie. Wszelkie mistrzowskie posunięcia, wspaniałe fortele, którymi tak się przyzwyczaili posługiwać, że stały się one niemal ich drugą naturą, i które, zastosowane we właściwym czasie, prowadzone z niezbędną jasnością umysłu i spokojem, osiągają swoje cele tak nieomylnie i tak dyskretnie; które, wydobyte na światło dzienne po doprowadzeniu do pomyślnego końca, zyskują autorowi powszechny podziw i uznanie; wszystkie te piękne pomysły, kiedy ich autorzy stracą głowę, przeprowadzane są w pośpiechu, nieopatrznie, bez żadnej zgoła subtelności i polotu. Bezladne wysiłki budzą politowanie i drwiny; a ów, którego usiłowano przychwycić, choćby mniej sprytny od swoich prześladowców, bez trudu przejrzy całą tę grę i z nieudolnych podstępów wyciąga dla siebie wskazówki na szkodę tamtych. Toteż wszelkim zawodowym szalbierzom zalecać

wypada najusilniej, aby w każdej okoliczności starali się zachować zimną krew — albo też, aby zawsze stanowili stronę silniejszą; ten sposób jest ze wszystkich najpewniejszy. Renzo zatem, znalazłszy się na ulicy, zaczął się uważnie rozglądać dokoła, wychylać na boki, pilnie nadstawiać uszu. Nie dostrzegając zresztą nigdzie szczególnego zbiegowiska. Wprawdzie z twarzy niektórych przechodniów był

jak gdyby jakiś duch buntowniczy, przecież każdy szedł prosto swoją drogą i właściwie żadnych rozruchów nie było. — Rozwagi! Rozwagi! — szeptał mu za plecami podsędek. — O wasz honor tu idzie, o honor!

Ale Renzo, przyjrawszy się uważnie trzem ludziom idącym właśnie naprzeciw, widząc ich rozplamione twarze i słysząc, że mówią coś o piekarni, o ukrytej mące, o sprawiedliwości, zaczął krzywić twarz w wiele mówiące grymasy i pokasływać w sposób oznaczający coś zgołą, innego niż przeziębienie. Tamci popatrzyli uważnie na idącą gromadkę i przystanęli. Za nimi zatrzymali się też inni, którzy właśnie nadeszli; jeszcze inni, którzy dopiero co ich minęli, poczęli się oglądać, zawracać i stawać szeregiem wzdłuż ulicy.

— Uważajcie na siebie; rozwagi, synu; to gorzej dla was; nie psujcie swojej sprawy... o honor chodzi, o dobre imię... — nie przestawał szeptać podsędek.

Ale Renzo zachowywał się coraz gorzej. Zbiry tedy porozumiewszy się oczyma, sądząc, że mądrze robią (wszyscy jesteście omylni!), nagle zacisnęli mu mocniej więzy.

— Aj, aj, aj! — krzyknął Renzo boleśnie. Na ten krzyk ludzie momentalnie stłoczyli się dokoła, nadbiegli i ci, którzy byli dalej.

— To łotrzyk — szepnął podsędek do stojących najbliżej. — To złodziej schwytyany na gorącym uczynku; odstępście, pozwólcie działać sprawiedliwości.

Ale Renzo zrozumiał, że to jedyna sposobność. Widząc pobladłe twarze swoich strażników, pomyślał: „Jeżeli teraz się nie uratuję, to przepadłem” — i począł wołać donośnie:

— Bracia! Wiodą mnie do więzienia za to, że wczoraj wołałem: „Chleba i sprawiedliwości!” Nic złego nie uczyniłem; jestem uczciwym człowiekiem. Dopomóżcie mi, nie opuszczajcie mnie, bracia!

Życzliwy szmer i niektóre wyraźniejsze głosy zwiastujące pomoc i opiekę dały się słyszeć dokoła. Zbiry najpierw rozkazywali, potem prosili, w końcu błagali pokornie zgromadzonych, by się rozstąpili i dali im przejść; ale tłum, przeciwnie, napierał coraz silniej. Ci widząc, że sprawa źle stoi, puścili z rąk kajdanki i myśleli już tylko o tym, jakby tu dać nura w tłum i czmychnąć stamtąd niepostrze

żenie. Podsędek pragnął gorąco uczynić to samo, ale dla niego była to sprawa trudniejsza z powodu czarnej togi. Biedaczek, pobladły i wystraszony, skurczył się i cofał nieznacznie, usiłując zniknąć w tłumie; ale kiedy odważył się podnieść oczy, spotkał dwadzieścioro innych wlepionych w siebie. Próbował wszystkich możliwych sposobów, by wydać się zwykłym przechodniem, który znalazł się tam przypadkiem i, dostawszy się w ten ścisk wbrew woli, utkwiał niby słomka w bryle lodu. Natknąwszy się twarzą w twarz na kogoś, kto się weń wpatrywał ze sroższym od innych marsmem na czole, siłą ułożył twarz do uśmiechu i zapytał głupawo:

— Co się stało?

— Kruk — rzekł tamten zamiast odpowiedzi.

— Kruczysko! Kruczysko! — odezwały się dokoła głosy. Do krzyków dołączyły się szturchańce; tak że niebawem częściowo na własnych nogach, częściowo siłą cudzych łokci podsędek wyleciał z tłumu jak z procy, rad, że choć W ten sposób osiągnął to, czego w danej chwili najbardziej pragnął. .

ROZDZIAŁ SZESNASTY

— Uciekaj, uciekaj, człowiecze! Tu, do klasztoru... tam, tam kościół... tędy, tędy!... — wołano zewsząd do Renza. Co się tyczy ucieczki, możecie wierzyć, że nie trzeba mu było zachęty. Od pierwszej chwili, kiedy zabłysła mu nadzieja wyrwania się z pazurów "sprawiedliwości", przemyślał nad tą sprawą i doszedł do wniosku, że musi, jeśli mu się to tylko uda, uciekać bez chwili zwłoki, i to nie tylko z miasta, ale z granic księstwa. „Mają przecież — myślał — moje nazwisko w swoich obmierzłych księgach, choć nie wiem, jak je odkryli. A skoro je mają, mogą przyjść po mnie, kiedy tylko zechcą.”

O azylu klasztornym myślał tylko w ostateczności, gdyby miał zbirów na karku. „Mogę być sobie leśnym ptakiem, ale nie chcę być ptakiem w klatce” — myślał. Zamierzał schronić się w tej wsi na terytorium Bergamo, gdzie osiedlił się jego krewniak Bortolo, który jak sobie może przypominacie, niejednokrotnie zapraszał go do siebie. Ale trafić tam — w tym leżała cała trudność. Znalazłszy się w nieznaney dzielnicy prawie nieznanego miasta Renzo nie wiedział nawet, która z bram miejskich wiedzie w kierunku Bergamo. A gdyby nawet wiedział, to nie umiałby do niej trafić. Już miał zapytać o drogę kogokolwiek ze swoich wybawców; ale choć nie miał do tej pory wiele czasu na rozpamiętywanie swoich przygód, przecież wspomniawszy owego tak usłużnego płatnerza, ojca czworga dzieci, i pomyślał sobie, że na wszelki wypadek lepiej nie wyjawiać swoich planów wobec tak liczного zgromadzenia, w którym przecież mógł się znajdować niejeden osobnik tego samego gatunku. Postanowił przede wszystkim oddalić się jak najszybciej z tego miejsca; o drogę dopyta się później gdzieś, gdzie nikt nie będzie wiedział, kto on zacz i dla

czego pyta. Powiedział więc swoim wybawcom: „Dzięki wam, bracia. Niech was Bóg błogosławi”, i korzystając z wolnego miejsca, ludzie bowiem rozstępowali się przed nim skwapliwie, ruszył szybkim krokiem ' przed siebie. Skręcił w jedną, potem w drugą uliczkę, pędził spory kawał drogi nie wiedząc wcale dokąd. Kiedy wydało mu się, że jest już dosyć daleko, zwolnił kroku nie chcąc budzić podejrzeń i począł rozglądać się dokoła szukając wśród przechodniów takiego, którego twarz wzbudziłaby w nim dość zaufania, by go o drogę zapytać. Ale nie było to łatwe. Pytanie samo przez się mogło się wydać podejrzanem; czas naglił; zbiry po wydostaniu się z matni nie omieszkali z pewnością ruszyć zaraz w trop za zbiegiem; wieść o ucieczce mogła dotrzeć już i do tamtej dzielnicy. W tej sytuacji Renzo musiał obejrzeć badawczo z dziesięć twarzy, zanim znalazł taką, która wydała mu się odpowiednią. Ten grubas, na przykład, stojący na progu swego sklepiku na rozkraczonych nogach, z rękami splecionymi z tyłu, z wystawionym naprzód brzuchem, z zadartym w górę podbródkiem, od którego zwieszają się grube fałdy tłuszczu; nic nie ma innego do roboty, tylko wspinać się na palce, unosząc w górę swoje galaretowate cielsko, i opadać na pięty; wygląda na wścibskiego gadułę, który — zamiast odpowiedzieć — sam gotów zadawać pytania. Tamten znów, który idzie

naprzeciw z wbitymi w przestrzeń oczyma i wydętymi wargami, nie wygląda na to, by dobrze znał własną drogę, a cóż dopiero mówić o wskazywaniu drogi innym! Tu znów chłopaczek, prawdę mówiąc, wydaje się bardzo rozgarnięty, ale i niemniej złośliwy; gotów zrobić sobie zabawę z biednego wieśniaka i skierować go w stronę wręcz przeciwną od tej, o którą pytał. Jakaż bo to prawda, że dla człowieka będącego w kłopotach każda rzecz staje się nowym kłopotem. Nareszcie, natknąwszy się na kogoś idącego z widocznym pośpiechem, Renzo pomyślał, że ten, który ma przypuszczalnie coś pilnego do zrobienia, odpowie mu szybko, nie wdając się w gawędy. A kiedy w dodatku usłyszał, że człowiek ten mówi do siebie, doszedł do wniosku, że to ktoś godny zaufania. Podszedł więc do niego i rzekł:
— Za pozwoleniem, panie, w którą stronę mam się udać, by dojść do Bergamo?
— Do Bergamo? Przez Bramę Wschodnią.

— Dzięki. A do Bramy Wschodniej?

— Pójdźcie tą ulicą na lewo; znajdziecie się na placu katedralnym. Dalej...

— Wystarczy, panie. Dalej już wiem; Bóg wam zapłać — i poszedł śpiesznie w stronę, którą mu wskazano.

Tamten patrzył za nim przez chwilę i, zestawiając w myśli pośpiech nieznanego z jego pytaniami, powiedział sobie: „Albo coś przeszkrobał, albo ktoś czyha na niego.” Renzo doszedł do placu katedralnego, przeciął go wszcz, mijając po drodze wzgórek spopielałych i na pół zwęglonych szczątków; rozpoznał resztki stosu, którego płomieniom poprzedniego dnia się przyglądał. Przeszedł obok schodów katedry, zobaczył piekarnię „Pod Szczudłem”, na pół zrujnowaną i strzeżoną przez żołnierzy, i zapuścił się w ulicę, którą szedł wczoraj wraz z tłumem. Wkrótce doszedł do klasztoru kapucynów, popatrzył na plac, na drzwi kościoła i powiedział sobie z westchnieniem:

— A przecież dobrze mi radził wczoraj ten braciszek: żebym poczekał w kościele i że będzie to dla mnie z pożytkiem. Przystanął i spojrzął uważnie w stronę bramy, przez którą „miał wyjść z miasta. Z daleka już dostrzegł tam tłum ludzi, którzy, zdawało się, pilnie się za czymś rozglądali, a że wyobraźnia jego znajdowała się w stanie wielkiego podniecenia (czemu nie należy się dziwić, boć ostatecznie miał po temu powody), poczuł pewną niechęć na myśl o przechodzeniu tamtędy. Tuż pod ręką miał bezpieczne schronienie, a w kieszeni list, który zapewniał mu tam życzliwe przyjęcie.

Pokusa była bardzo silna. Ale szybko się opanował. „Wolny ptak, jak długo się da — pomyślał. — Któż mnie tu zna? Na zdrowy rozum, zbiry nie mogą przecież podzielić się na kawałki, żeby czatować na mnie przy wszystkich bramach.”

Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzą. Ale nie zobaczył ani tamtych, ani innych — nikogo, kto by zdawał się nim interesować.

Naprzód więc! Poskramiając swoje niesforne nogi, które zawsze gotowe były biec, kiedy należało iść statecznym krokiem, powoli, spokojnie, pogwizdując z cicha, zbliżył się do bramy.

A tam właśnie aż roило się od celników i hiszpańskich

żołnierzy przybyłych im w sukurs. Uwaga ich była jednak zwrócona wyłącznie na zewnątrz bramy, ponieważ mieli rozkaz nie wpuszczania do miasta tych, którzy na wieść o rozruchach zlatywali sięzwsząd niby kruki na pobojobowisko.

Renzo przeszedł koło nich z miną obojętną i spuszczonej oczyma jak zwykle przechodzień lub ktoś, kto wy biera się na przechadzkę za miasto. Nikt go nie zaczepił; ale serce waliło mu jak młotem.

Widząc odchodzącą na prawo wąską dróżkę skręcił na nią, bo wolał trzymać się z dala od głównego gościńca, i szedł czas jakiś nie oglądając się za siebie.

Szedł długo. Spotykał folwarki i wsie, ale mijał je nie pytając nawet, jak się nazywają. Miał pewność, że oddala się od Mediolanu, i nadzieję, że idzie w kierunku Bergamo; to mu na razie wystarczało. Od czasu do czasu oglądał się za siebie, od czasu do czasu spozierał na przeguby rąk i rozcierał to jeden, to drugi, były bowiem jeszcze obolałe i naznaczone dokoła wyraźną czerwoną pręgą, śladem pozostałym po więzach. Myśli jego, jak sobie łatwo wyobrazić, stanowiły mieszaninę wyrzutów sumienia, niepokoju, wściekłości i tkliwości; mozolnie usiłował odtworzyć w pamięci wszystko, co mówił i robił poprzedniego wieczora, odkrył to, co wydawało mu się ciemne i niezrozumiałe w jego smutnej przygodzie, a przede wszystkim — jakim sposobem dowiedziano się jego nazwiska. Podejrzenia jego padały, rzecz jasna, na płatnerza, ponieważ pamiętał dobrze, że się przed nim niechcący wygadał. A kiedy zaczął sobie przypominać, w jaki to sposób tamten wyciągnął z niego tę wiadomość, i całe jego zachowanie, i te wszystkie wynurzenia, łatwo osiągające swój cel niewątpliwy — wydobył z Renza dalszych wiadomości — podejrzenia zamieniły się niemal w pewność. Co prawda, przypominał też sobie mgliście, że po odejściu płatnerza rozprawiał jeszcze w dalszym ciągu. Z kim? Bóg to raczy wiedzieć, O czym? Tego nie umiałby powiedzieć, choć wysilał pamięć na wszelkie sposoby. Jedno, co wiedział na pewno, to, że w owym czasie nie władał sobą.

Biedak gubił się w tych dociekaniach zupełnie. Był w położeniu człowieka, który położył swój podpis na wielu kartach czystego papieru i powierzył je komuś, kogo uważał za szczyt uczciwości, a następnie przekonał się, że to

oszust. Chciałby teraz dowiedzieć się, jak stoją jego interesy, ale cóż? Widzi jedynie chaos.

Niezależnie od tych dociekań myśl Renza obracała się dokoła przyszłości; usiłował zbudować plan taki, w którym mógłby znaleźć upodobanie; ale wszystkie, o ile nie były na wodzie pisane, wyglądały raczej smętnie.

Wkrótce jednak najtrudniejszym zadaniem stało się znalezienie drogi. Uszedłszy spory kawał na chybił trafił, zrozumiał, że sam nie da sobie z tym rady. Coś go odpychało wewnątrz od wypowiedzenia słowa „Bergamo”, jak gdyby samo jego brzmienie miało w sobie coś podejrzanego czy zuchwałego. Ale trudno, było to konieczne.

Postanowił więc zwrócić się z tym pytaniem do pierwszego przechodnia, którego twarz wyda mu się godna zaufania. I tak też zrobił.

— Źle idziecie — odpowiedziano mu. I po chwili namysłu wyjaśniono częściowo słowami, częściowo na migi, jak należy iść, żeby znaleźć się znowu na gościńcu. Renzo podziękował, udał, że zamierza pójść tak, jak mu powiedziano, i ruszył rzeczywiście w tę stronę chcąc zbliżyć się możliwie jak najprędzej do tego utrapionego gościńca; chciał nie tracić go więcej z oczu i trzymać się tak blisko, jak się tylko da, nie wstępując nań jednak ani krokiem. Ale było to łatwiejsze do obmyślenia niż do wykonania. Rezultat był taki, że kręcąc się to w prawo, to w lewo, idąc po prostu zygżakiem, to trzymając się wskazówek, jakich tu i ówdzie odważał się zasięgać, to zmieniając je według własnego widzimisię i przystosowując do swych planów, to znów idąc tak, jak go wiodła droga, na której się w danej chwili znajdował, nasz zbieg, uszedłszy ze dwadzieścia mil, znajdował się najwyżej o sześć od Mediolanu; a co się tyczy Bergamo, dobrze jeszcze, jeżeli się od niego nie oddalał. Renzo zaczął dochodzić do przekonania, że w ten sposób nic dobrego nie osiągnie; szukał jakiegoś wyjścia. Przyszło mu na myśl, żeby jakoś sprytnie wywiedzieć się o nazwę którejś z pogranicznych wiosek, i to takiej, do której można by dojść bocznymi drogami. Pytając potem o nią, dowiódł się, czego trzeba, omijając niebezpieczne słowo „Bergamo”, które zdawało mu się nadmiernie zalatywać ucieczką, wygnaniem, przestępstwem.

Podczas kiedy zastanawiał się nad sposobem zdobycia potrzebnych mu wiadomości, zobaczył wiechę, znak go

spody, zawieszoną na małym domku stojącym samotnie z dala od wsi. Od dłuższego już czasu czuł potrzebę pokrzepienia sił; pomyślał więc, że tam może się uda załatwić obie sprawy za jednym zamachem. Wszedł; zastał tylko staruszkę z kądzielą u boku i wrzecionem w rękę. Poprosił o coś do zjedzenia. Zaofiarowała mu kawałek sera „stracchino” i kubek dobrego wina. Na ser zgodził się, za wino podziękował, bo zniechęcił je za tę szpetną psotę, jaką mu wypłatało poprzedniego wieczoru. Usiadł prosząc kobietę, żeby się pośpieszyła.

Zastawiła stół w mgnieniu oka i zaraz zasypała swego gościa gradem pytań o niego samego i mediolańskie wypadki, o których wieść i tam już dotarła. Renzo nie tylko zρέcznie unikał odpowiedzi, ale wykorzystywał ciekawość niewiasty dla własnych celów; kiedy bowiem zapytała go, dokąd idzie, odpowiedział:

— Muszę być w niejednym miejscu, a jeśli mi czasu starczyło, chciałbym też zawadzić o tę wieś, wiecie, taką dużą, przy drodze do Bergamo, obok granicy, ale jeszcze na mediolańskiej ziemi... Jakże ona się zwie?

„Coś takiego musi tam przecie być” — pomyślał równocześnie.

— Gorgonzola, myślicie — poddała staruszka.

— Gorgonzola! — powtórzył Renzo, jakby chcąc lepiej wbić sobie w pamięć tę nazwę. — Daleko to stąd? — podjął po chwili.

— Tak dobrze to tego nie wiem; może dziesięć, może dwanaście mil. Gdyby tu było które z moich dzieci, lepiej by umiało to wam powiedzieć.

— Myślicie, że dałoby się tam dojść tymi ładnymi drózkami, nie idąc gościńcem? Kurzu tam, a kurzu! Okropnie dawno nie było już deszczu!

— Widzi mi się, że można. Ale dopytacie się w pierwszej wsi, jaką napotkacie, jak skręcicie stąd na prawo.

I wymieniła jej nazwę.

— Dobrze — rzekł Renzo.

Wstał, schował kawałek chleba pozostały od ubogiego śniadania — chleb był zgoła odmienny od tego, który znalazł w przeddzień pod krzyżem Świętego Dionizego. Zapłacił należność, wyszedł i skierował się w prawą stronę. Nie chcąc przedłużać opowieści ponad potrzebę, powiemy tylko, że wędrując tak od wsi do wsi ze słowem „Gorgon-

zola” na ustach — dotarł tam na godzinę mniej więcej przed zmrokiem. Jeszcze w drodze postanowił zatrzymać się tam na odpoczynek i pożywić się nieco solidniej. Znużone ciało chętnie wyciągnęłoby się na łóżku, ale Renzo raczej pozwoliłby mu paść z wycieńczenia na drodze, niżby zadośćuczynił tej jego zachciance. Zamierzał wypytać się w oberży, jak daleko jest do brzegu Addy, dowiedzieć się zρέcznie o możliwości przeprawy i wędrować dalej, jak tylko trochę się posili. Przyszedszy na świat i wzrósłszy nad drugim, jeśli tak można rzec, źródłem Addy, słyssał nieraz o tym, że w pewnym punkcie i na pewnej długości swego biegu rzeka ta tworzy granicę pomiędzy terytorium mediolańskim a weneckim. Gdzie to jest i na jakiej przestrzeni, dokładnie nie wiedział. Ale tu czy tam, gdziekolwiekby to było, należało jak najprędzej przepłynąć się na drugi brzeg. Gdyby nawet miało mu się to nie udać dzisiaj, zdecydowany był wędrować, dopóki światła i sił starczy; przeczekać do świtu w polu czy na pustyni, gdzie los zdarzy, byleby nie w oberży.

. Uszedłszy parę kroków w głąb miasteczka zobaczył szylt i wszedł do gospody. Oberżysta wyszedł mu naprzeciw. Renzo zażądał czegoś do jedzenia i połówkę wina; czas i ostatnie mile drogi sprawiły, że jego fanatyczna i nieprzejednana nienawiść do tego napoju jakoś się rozwiła.

— Pośpieszcie się, proszę — dodał. — Muszę rychło ruszać w dalszą drogę.

Powiedział to nie tylko dlatego, że było tak w istocie, ale i z obawy, by gospodarz przypuszczając, że gość zamierza nocować, nie wystąpił z utrapionymi pytaniami o imię i nazwisko, skąd idzie, dokąd i po co?... Ach, precz z tym!

Oberżysta powiedział, że wnet podaje, i Renzo zasiadł u końca stołu, blisko wejścia, na, zwykłym miejscu ludzi nieśmiałych i wstydliwych.

W izbie siedziało kilku miejscowych próżniaków; omówiwszy i roztrząsnąwszy do dna wiadomości o wczorajszych wydarzeniach w Mediolanie, palili się z niecierpliwości usłyszenia, jak też wyglądają te sprawy dzisiaj, tym bardziej że wiadomości poprzednie mogły raczej zaostrzyć niż zaspokoić ciekawość; mówiono o buncie, który nie został poskromiony, ale nie był też zwycięski; który zapad

nięcie nocy przerwało, ale nie zakończyło. Było to coś przerwanego, co wyglądało raczej na koniec pierwszego aktu niż całego dramatu.

Jeden z rozprawiających odłączył się od swojej kompanii, podszedł do Renza i zapytał go, czy przybywa z Mediolanu.

— Ja? — zapytał Renzo zaskoczony, namyślając się nad odpowiedzią.

— Wy, jeśli wolno spytać.

Renzo pokiwał głową, zacisnął usta, wydał jakiś dźwięk nieartykułowany, w końcu rzekł:

— Mediolan, o ile słyszałem... niedobre to obecnie miejsce i kto koniecznie nie musi, lepiej, żeby tam teraz nie chodził...

— Czy dzisiaj są tam jeszcze takie awantury? — dopytywał się tamten coraz natarczywiej.

— Trzeba by tam być, żeby to wiedzieć. — No, a wy? Nie z Mediolanu idziecie?

— Idę z Liscate — odpowiedział szybko młodzieniec, zdążywszy już zastanowić się nad odpowiedzią. Szedł stamtąd rzeczywiście, a raczej przeszedł tamtędy, a nazwy dowiedział się od spotkanego na drodze człowieka, który go objaśnił, że jest to pierwsza wieś, jaką minie udając się do Gorgonzoli.

— Och! — westchnął tamten, jakby chciał powiedzieć: „Lepiej byś zrobił, przychodząc z Mediolanu, ale cóż robić.” — A w Liscate — ciągnął — nic o Mediolanie nie wiedzają?

— Możliwe, że ktoś tam coś wie — odparł Renzo. — Ale ja nic takiego nie słyszał.

Powiedział to owym szczególnym tonem, oznaczającym wyraźnie: „Skończyłem.” Ciekawy jegomość wrócił na swoje miejsce, a po chwili oberżysta przyszedł z nakryciem stołowym.

— Jak daleko stąd do Addy? — zapytał Renzo półgębkiem, z sennym wyrazem twarzy, jakiśmy już u niego dawniej spotykali.

— Do Addy, na drugą stronę?

— No... tak... do Addy.

— Chcecie przejść mostem w Cassano czy przeprowić się promem z Canonica?

— Wszystko jedno, pytam tak, z ciekawości.

— No, bo chciałem rzec, tamtędy przechodzą uczciwi ludzie, co nie muszą się z niczym kryć...

— No dobrze; jak to daleko?

— Musicie liczyć, tu czy tam, że będzie koło sześciu mil.

— Sześć mil! Nie myślałem, że aż tyle — rzekł Renzo. A potem dodał z obojętnością zakrawającą aż na przesadę: — No, a gdyby kto chciał sobie skrócić drogę, to jest tam gdzie jeszcze jakie przejście?

— Pewnie, że jest — odpowiedział gospodarz wlepiając w twarz gościa oczy pełne złośliwej ciekawości. To wystarczyło, by dalsze pytania, jakie sobie Renzo przygotował, zamaryły mu na ustach. Przynął sobie talerz i spoglądając na flaszkę, którą gospodarz postawił razem z talerzem na stole, zapytał:

— Wino dobre?

— Jak złoto! — rzekł oberżysta. — Zapytajcie, kogo chcecie, w okolicy, kto jeno się na tym zna. Zresztą zobaczycie sami.

To rzekłszy zwrócił się do tamtych.

„Przeklęci oberżysty! — zaklął w myśli Renzo. — Co jeden, to gorszy.”

Nie przeszkodziło mu to jednak zabrać się do jedzenia z wielkim apetytem, nadstawiając zarazem pilnie, a niepostrzeżenie uszu na to, co też tu ludzie myślą o wydarzeniach, w których on sam nie małą odegrał rolę, a zwłaszcza wypenetrować, czy wśród rozmawiających jest ktoś, kogo mógłby zapytać o dalszą drogę bez obawy, że zostanie zasypany pytaniami i zmuszony do ujawnienia swoich własnych spraw.

— Ba — rzekł ktoś. — Tym razem, jak się zdaje, mediolańczycy nie na żarty zabrali się do rzeczy. No, jutro najdalej dowiemy się czegoś więcej.

— Żałuję, że się nie wybrał do Mediolanu dziś rano — rzekł drugi.

— Gdybyś szedł jutro, pójdę z tobą — dodał trzeci, a za nim powtórzyli to samo inni.

— Co bym chciał wiedzieć — podjął ten pierwszy — to, czy panowie w Mediolanie pomyślą coś nieośmieszającego i o wiejskiej biedocie, czy też wymyślą prawa dobre tylko dla siebie. Wiem, jacy oni są. Pyszne mieszcuchy, wszystko dla nich; a inni się nie liczą, jakby ich nie było.

— I my mamy gęby tak do jedzenia, jak do gadania o tym, co należy — wtrącił inny tonem tyleż skromnym i nieśmiałym, ile zuchwały był sens jego słów. — A skoro już raz się zaczęło... — ale urwał uznawszy widzieć, że lepiej tego zdania nie kończyć.

— Zboże pochowali nie tylko w Mediolanie — zaczął inny z ponurą i złośliwą twarzą, ale w tej chwili posłyszano zbliżający się tętent konia. Wszyscy rzucili się do drzwi, a rozpoznawszy, kto nadjeżdżał, wylegli mu naprzeciw. Był to kupiec z Mediolanu, który kilka razy do roku udawał się do Bergamo w sprawach handlowych i zwykł był spędzać noc w tej oberży; a że za każdym razem zastawał tam tych samych bywalców, znał całą tę kompanię. Zaraz też ktoś wyjął mu z ręki uzdę, ktoś inny pomagał wydobyć nogę ze strzemienia.

— Witajcie, witajcie!

— Witajcie i wy.

— Dobrą miałeś waćpan podróż?

— Przednią. A wy jakże się tu macie?

— Dobrze, dobrze. Jakie nowiny z Mediolanu?

— Tacyście łasi na nowiny? — rzekł kupiec zsiadając z konia i oddając go w ręce pachołka. — Ale — ciągnął wchodząc do izby z całą kompanią — znacie je pewnie lepiej ode mnie.

— Nic nie wiemy, jak Boga kocham — mówił jeden przykładając rękę do piersi.

— Możeż to być? — zdziwił się kupiec. — No, to usłyszycie piękne rzeczy... albo i niepiękne. Hej, gospodarzu, moje ulubione łóżko czy wolne? To dobrze. Kubek wina i wieczerza jak zwykle. Ale żywo! Chcę wnet iść spać i wczesnym rankiem ruszyć w drogę, by na obiad stanąć w Bergamo. Zatem wy — ciągnął zasiadając u drugiego końca stołu na wprost Renza, który siedział cicho, cały zamieniony w słuch — zatem wy nic nie wiecie o całym tym wczorajszym diabelstwie?

— O wczorajszym wiemy.

— No więc widzicie sami — podjął kupiec — że znacie nowiny. Toć wiedziałem, że jak tu tak czatujecie na każdego przejeźdnego...

— A dziś? Jak tam było?

— A, dziś! To nic nie wiecie, co dziś?

— Ani trochę. Nikt nie przejeżdżał.

— No to dajcież mi przeplukać gardło; wnet wam opowiem, co było dzisiaj. Nasłuchacie się!

Napełnił kubek, ujął go jedną ręką, dwoma palcami drugiej uniósł ku górze długie wąsiska, pogładził brodę, wypił i zaczął opowiadać:

— Dzisiaj, przyjaciele mili, mało brakowało, a byłby taki sam czarny dzień jak wczoraj albo i gorszy. Aż mi się wierzyć nie chce, że tak tu siedzę sobie z wami i gawędzę; bom już był gotów porzucić zamiar podróży i tkwić tam pilnując mego biednego sklepu.

— A cóż diabli nadali? — zapytał jeden ze słuchaczy.

— Właśnie diabli. Posłuchajcie!

I ciągnął swoją opowieść krząc i zjadając postawione przed nim mięso. Kompani obsiadłszy stół z obu stron przysłuchiwali się z otwartymi gębami. Renzo słuchał ze swego końca stołu może jeszcze uważniej niż oni, nie dając jednak nic poznać po sobie i żując powoli ostatnie kęsy swojej wieczerzy.

— A więc dziś rano ci sami hultaje, co wczoraj urządzili takie piekło, poschodzili się w umówione miejsca . (wszystko to była zmowa; wszystko zawczasu obmyślane), zgromadzili się tedy i na nowo zaczęli wędrować ulicami i zwoływać do siebie ludzi. Wiecie, jak to jest, kiedy się, za przeproszeniem, zamiata w domu: im" dalej wymiataś, tym więcej śmiecia przed miotłą się zbiera. Kiedy im się zdawało, że już ich jest dosyć, ruszyli pod dom pana namiestnika gospodarczego; jakby im nie dość było tych niegodziwości, co je tam wczoraj wyczyniali. I to takiemu panu! Och, hultaje, szelmy! Co też oni na niego gadali! Wszystko to łgarstwo: pan to zacny, uczciwy. Już ja wiem . coś o tym, bom tam prawie jak domownik. Dostarczam sukna na liberie dla służby. No, więc ruszyli hurmem na dom; trzebaż było widzieć, co za motłoch, jakie gęby! Wystawcie sobie, przeciągało to wszystko mimo mego sklepu; takie gęby... nie równać się z nimi Żydom przy Via Crucis. A co za słowa z nich wychodziły! Uszy jeno zatkać; tylko że znów niedobrze było zwracać na siebie uwagę. No więc szli w pięknym zamiarze splądrowania domu. Aż tu... Podniósł w górę lewą dłoń z rozcapierzonymi palcami i wielki palec przytknął do końca nosa.

— Aż tu co? — poddali zgodnym chórem słuchacze.

— Aż tu — ciągnął kupiec — zastali ulicę zamkniętą i zastawioną wozami, a za tą barykadą szereg hiszpańskich żołnierzy z wycelowanymi rusznicami, gotowych przyjąć ich, jak na to zasługiwali. Kiedy ujrzeli te piękne przygotowania... Cóż byście zrobili na ich miejscu?

— Zawrócilibyśmy.

— Pewnie; tak też i oni uczynili. Ale powiedzcie sami, czy to nie diabeł ich prowadził: przychodzą na Cordusio, widzą ową piekarnię, co to już wczoraj chcieli ją obrabować. A cóż tam w tej piekarni robiono? Wydawali ludziom chleb. Byli tam kawalerowie, sam kwiat naszych panów, czuwali, żeby wszystko szło, jak należy. A ci (mieli oni diabła za sobą, powiadam wam, a byli też tacy, co ich podjudzali), ci tedy rzucają się do środka niczym potępieńcy. Rabujesz ty,

niechże rabuję i ja; w mgnieniu oka panowie, piekarze, klienci, chleby, ławy, skrzynie, szafy, worki, pytle, otręby, mąka, ciasto — wszystko się pomieszało.

— A żołnierze?

— Żołnierze mieli do strzeżenia dom namiestnika; nie rozdwoją się. Trudno naraz, jak to mówią, i krzyż nosić, i śpiewać. Trwało to mgnienie oka, jak wam powiadam: łapu capu, co tylko mogło się komu na co przydać, to zabrali. A potem przypomnieli sobie wczorajszą piękną zabawę: resztę wszystkiego wywlekli na plac, żeby spłonęło na stosie. Już zaczęli, hultaje, ciągnąć, co się dało. Aż tu jeden, gorszy widać szelma od innych, popatrzcież, co pięknego wymyślił...

— No co?

— Żeby zwalić wszystko w sklepie i podpalić razem stos i dom. Jak pomyśleli, tak i robią...

— Podpalili?

— Czekajcież. Jednemu uczciwemu człękowi z sąsiedztwa przyszło istne natchnienie z nieba. Lata po izbach, szuka krucyfiks. Znalazł, zawiesił go w oknie, po bokach ustawił dwie poświęcone świece, co były przy łóżku, i zapalił. Ludzie zadzierają głowy i patrzą. W takim Mediolanie, trzeba to rzec, bojaźń boża jeszcze nie zginęła: wszyscy się opamiętali. Wszyscy, nie wszyscy, ale większość. Bo były tam i takie diabły, co dla rabunku niebo gotowe by podpalić. Ale że widzieli, jako inni nie są w tym z nimi zgodni, musieli dać spokój i cicho siedzieć. A teraz zga

dujcie, kto się pojawia niespodzianie? Wszyscy monsignorzy z katedry, w procesji, z krzyżem wysoko wzniesionym, w kościelnych szatach. A monsignor Mazenta, arcybiskup, rozpoczyna kazanie w jednym końcu, zaś monsignor Setta]a, spowiednik, w drugim i inni także za nimi: „Ależ, ludzie poczciwi! Cóż zamierzacie uczynić? Takież to przykład chcecie dać swoim dzieciom? Wracajcie do domu! Alboż nie wiecie, że chleb znów jest tani, tańszy niżli dawniej? Toż idźcie zobaczyć, ogłoszone to jest na wszystkich rogach ulic!”

— A prawda to?

— Wszyscy diabli! Chcielibyście, żeby monsignorzy z katedry po to przychodzili w uroczystych szatach, żeby gadać brednie?

— No i co ludzie na to?

— Powoli się rozeszli. Zbiegli się na rogach, kto umiał czytać, to czytał. Była tam cena wypisana. Nie zgadlibyście jaka: ośmiuncjowy bochenek za solda!

— Ale tanio!

— Dobre czasy. Byle jeno trwały! Wiecie, ile mąki namarnowali od wczoraj do dzisiaj? Starczyłoby na dwa miesiące dla całego księstwa!

— No a dla całego księstwa wydali też jakie dobre prawo? Nie tylko dla Mediolanu?

— To, co się robi w Mediolanie, to wszystko na koszt miasta. Nie wiem, co by wam rzec; będzie z wami, jak się Bogu spodoba. Bądź co bądź rozruchy skończone. Jeszczem wam wszystkiego nie powiedział: teraz będzie najlepsze!

— Cóż jeszcze?

— Ano to, że wczoraj wieczór czy też dziś rano wyłapano sporo ludzi. Mówiono, że przywódcy będą powieszani. Zaledwie się te słuchy zaczęły szerzyć, wszyscy czym prędzej czmychnęli do domu, nikt nie chciał ryzykować takiego losu. Jakem wyjeżdżał, cały Mediolan był cichy niczym klasztor.

— Prawda to, że ich powieszają?

— Jak mnie tu widzicie! I to rychło.

— A co ludzie na to?

— Ludzie? Pójdą popatrzeć — odrzekł kupiec. — Toć taką mieli chętkę zobaczyć, jak ktoś będzie umierał na świeżym powietrzu, że aż chcieli, hultaje, zrobić widowisko z pana namiestnika. Zamiast tego będą mieli czterech nędz

ników obsłużonych z całą paradą, z towarzyszeniem kapucynów i bractwa dobrej śmierci. I to takich, co uczciwie na to sobie zasłużyli. To taka przezorność, widzicie: bardzo było potrzeba czegoś takiego, skoro już się nauczyli wchodzić do sklepów i robić zakupy zgoła bez sięgania do sakiewki. Gdyby im na to pozwolić, po chlebie przyszłaby kolej na wino, tak od rzemyczka do koniczka... Pomyślcie sami, czyby z dobrowoli odstąpili od tak dogodnego obyczaju? A powiadam wam, dla uczciwego kupca mającego otwarty sklep niewesoła to perspektywa.

— Pewnie — rzekł jeden ze słuchających. — Pewnie — powtórzyła reszta chórem.

— A to — ciągnął kupiec ocierając brodę serwetą — było już z dawna uknute. To było całe sprzysiężenie, wiecie?

— Sprzysiężenie było?

— A było. Wszystkie to intrygi nawarczyków, tego francuskiego kardynała, co się tak jakoś na pół po turecku nazywa. Po całych dniach o niczym on nie myśli, jeno o tym, jaki by tu despekt wyrządzić koronie hiszpańskiej. A nade wszystko chciałby spłatać jakiegoś figła Mediolanowi; boć przecie widzi, lis szczwany, że tu leży siła króla.

— A pewnie.

— Chcecie dowodu? Kto najgłośniej wrzeszczał? Cudzoziemcy. Roilo się od takich gąb, jakich nigdy nikt w Mediolanie nie oglądał. Aha, jeszcze zapomniał o czymś, co mi powiadano jako rzecz najpewniejszą: otóż straż schwytały jednego z nich w oberży.

Renzo, który ani słówka nie tracił z tej rozmowy, poczuł w tym momencie zimny dreszcz i drgnął nie zdążywszy się na czas opanować. Nikt jednak tego nie zauważył. Przybysz ciągnął nieprzerwanie swoją opowieść.

— Nie wiadomo dobrze, skąd on się wziął, kto go nasłał ani co to za człowiek, ale to pewne, że był jednym z hersztów. Jeszcze wczoraj podczas najgorszej kotłowaniny rzucał się niczym diabeł, a potem, nie dość kontent z tego, co było, zaczął prawić swoje diabelskie kazanie i namawiać do pięknej zabawy: żeby wszystkich panów wymordować. Taki łajdak! A z czegożby żyli biedni ludzie, gdyby panów wytracono? Sprawiedliwość miała go na oku i chwyciła go w pazury. Znaleźli u niego całą pakę listów. Już

go prowadzili do klatki, ale cóż? Jego kamraci, co trzymali straż dokoła oberży, przyszli całym hurmem i uwolnili go, hultaje!

— I cóż z nim się stało?

— Nie wiadomo. Może uciekł, może się kryje gdzieś w Mediolanie... są tacy, co nie mają kąta ni dachu nad głową, a zawsze znajdą miejsce, gdzieby się schronili; ale to dopóty, póki diabeł może i chce im pomagać; bo to, kiedy gruszka dojrzeje, musi przecie spaść z drzewa. Mówią, że listy zostały w rękach sprawiedliwości; ma być w nich cała rzecz spisana. Powiadają też, że mnóstwo tam jest ludzi wmieszanych. Tym gorzej dla nich; przewrócili do góry nogami pół Mediolanu, a chcieli jeszcze gorzej! Powiadają, że piekarze to złodzieje. To i ja wiem. Ale jeśli ich wieszać, to wedle prawa. Jest zboże pochowane. Któż tego nie wie? Ale to rzecz tych, co rządzą; muszą mieć na to swoich sprytnych szpiegów, wykopać to zboże spod ziemi i posłać hurtowników na szubienicę — niech pomachają nogami w powietrzu, piekarzom do kompanii. Skoro zaś ci, co rządzą, nie robią nic, musi miasto wziąć się do rzeczy; a nie da rady od razu, to starać się dalej; bo kto się stara, ten w końcu osiągnie, czego chce. Ale przecie nie dopuszczać do czegoś takiego, żeby nachodzili sklepy i składy i brali sobie bezkarnie towary.

Renzo czuł się tak, jakby jego skromny posiłek zmieniał mu się w truciznę. Zdawało mu się, że tysiąc lat upłynęło od czasu, kiedy szedł sobie z dala od tej mieściny i tej oberży. Co najmniej dziesięć razy mówił sobie: „Idźmy stąd, idźmy.” Ale obawa, że wyda się to podejrzone, ogarnęła go z taką siłą i tak zawładnęła każdą, jego myślą, że tkwił na

swojej ławie jak przygwożdżony. W tej rozterce pomyślał jednak, że gaduła skończy przecież kiedyś mówić o nim, i postanowił ruszyć się, jak tylko usłyszy, że rozprawia o czymś innym.

— Dlatego też — odezwał się któryś — że dobrze wiem, jak to w takich razach bywa, nie udałem się skusić ciekawości i zostałem spokojnie w domu.

— No a ja, czym się może ruszył? — dodał drugi.

— Ja — rzekł trzeci — gdyby tak los zdarzył, że byłbym właśnie w Mediolanie, rzuciłbym każdą sprawę w połowie, a wracał czym prędzej do domu. Mam żonę i dzieci; przy tym, prawdę mówiąc, nie lubię hałasu.

Tu gospodarz, który stał tam także przysłuchując się rozmowie, ruszył ku drugiemu końcowi stołu zobaczyć, co też robi ten obcy gość. Renzo skorzystał ze sposobności, skinął na niego, zapytał o należność, zapłacił bez targu, jakkolwiek w jego kieszeni sroga była posucha. Nie rzekłszy nic więcej skierował się ku drzwiom, przestąpił próg i zdając się na Opatrzność ruszył w stronę przeciwną tej, z której przyszedł.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wystarczy czasem jakaś jedna zachcianka, by człowieka wytrącić z równowagi.

A cóż dopiero, jeżeli na raz opanują go dwa pragnienia wzajemnie się zwalczające. W biednym Renzu tkwiły dwa takie właśnie pragnienia; jedno — szybkiej ucieczki, i drugie — przyczajenia się w ukryciu, a złowróżbne słowa kupca sprawiły, że obie te chęci ogromnie przybrały na sile. A zatem jego przygoda tyle narobiła hałasu! Chciano go schwytać za wszelką cenę. Któż wie, ilu zbirów rozesłano w trop za nim? Jakie wydano rozkazy przetrząśnięcia okolicznych wsi, oberży, dróg? Co prawda, myślał, takich, którzy go znają, jest tylko dwóch; a nazwiska ostatecznie nie ma wypisanego na czole. Ale równocześnie przypominały mu się rozmaite zasłyszane historie o zbiegach odkrytych i pochwyconych jakimiś niezwykle sposobami, rozpoznanych po chodzie, po niepewnej minie, po najróżniejszych rzeczach, których nie podobna przewidzieć! Wszędzie zdawało się czyhać niebezpieczeństwo. Chociaż w chwili, kiedy opuszczał Gorgonzolę, była godzina dwudziesta czwarta i ciemność zapadała coraz gęstsza, zmniejszając z każdą chwilą grożące mu niebezpieczeństwo, przecież Renzo bardzo był nierad, że musi iść gościńcem, i obiecywał sobie skrócić w pierwszą napotkaną boczną drogę, jeżeli choć w przybliżeniu kierunek jej będzie zgodny z celem jego wędrowki. Z początku spotykał ludzi od czasu do czasu, ale mając głowę pełną jak najgorszych przewidywań nie odważył się zaczepić nikogo, żeby zapytać o drogę.

„Tamten mówił, że będzie około sześciu mil — myślał sobie — a bocznymi drogami może to być osiem, a nawet

dziesięć. No cóż, moje nogi uszły już tyle, dadzą radę i temu. Że nie idę w stronę Mediolanu, to pewne. A zatem w stronę Addy. Trzeba iść i iść, przecież dojdę w końcu, prędzej czy później. Adda ma głos nie byle jaki; jak będę blisko niej, nie trzeba mi już będzie pytać o drogę. Jeżeli znajdę jaką łódź, żeby się zaraz przeprawić, to się przeprawię; jeżeli nie, zaczekam do rana gdzieś w polu czy na drzewie jak wróbel: lepiej na drzewie niż w więzieniu."

Niebawem dostrzegł odchodzącą na lewo dróżkę i poszedł nią. Teraz, gdyby tylko natknął się na kogokolwiek, nie robiłby już takich ceregieli; ale nie było ani żywej duszy. Szedł więc, jak go droga wiodła, i rozmyślał:

„Ja się rzucałem niby diabeł? Ja chciałem wyróżnić wszystkich panów? Ja miałem pakę listów, ja? Moi kamraci trzymali przy mnie straż! Dużo bym dał za to, żeby spotkać się z tym kupcem twarzą w twarz po tamtej stronie Addy (ach, kiedyż ja się przez tę utrapioną Addę przeprawię!), zatrzymać go i wypytać, skąd on te wszystkie piękne nowiny wytrzasnął. I rzec mu: «Dowiedzcie się, mości panie, że rzecz się miała tak a tak; a to, że się rzucałem niczym diabeł, to nic innego, jeno że się szedł z pomocą Ferrerowi jak rodzonemu bratu; dowiedzcie się, że owi hultaje, co wedle waszej opowieści mieli być moimi kamratami, o mały włos nie oddali mi pięknej przysługi za to, że do nich przemówiłem, jak na prawego chrześcijanina przystało; dowiedzcie się i tego, że kiedyście wy strzegli waszego sklepu, ja mało żeber nie połamałem w obronie waszego pana namiestnika, którego ani widział, ani znał. Niedoczekanie, że bym się jeszcze kiedy ruszył panom na pomoc... Co prawda, należy tak czynić dla własnego zbawienia; boć i to są bliźni. Co się zaś tyczy tej paki listów, w których cała zmowa była opisana, a które teraz są w rękach sprawiedliwości, jakeście to z taką pewnością powiadali, załóżmy się, że je tu wam wnet pokażę zgoła bez diabelskiej pomocy. Macie chęć obejrzeć je na własne oczy? Oto są... Jeden jedyny list? Tak, mości panie, jeden jedyny list. A list ten, jeśli chcecie wiedzieć, napisał pewien zakonnik, który mógłby wam wiele nauk udzielić... pewien zakonnik, którego każdy włos z brody więcej jest wart, nie uwłaczając waćpanu, niżli waćpan cały. A pisał go, jak sami widzicie, do innego zakonnika, który jest również nie byle jakim człowiekiem. Widzicie

teraz, jakich to hultajów mam za przyjaciół. Nauczcie się na drugi raz mówić, jak należy; zwłaszcza kiedy chodzi o dobro bliźniego.»

Wkrótce jednak te i tym podobne myśli przestały zaprzątać Renza; chwila obecna była teraz dla biednego wędrowca najważniejsza. Obawa pościgu czy rozpoznania, która w ciągu dnia tak bardzo dawała mu się we znaki, teraz już nie dręczyła go więcej; ileż jednak innych rzeczy czyniło wędrówkę bardzo uciążliwą! Ciemności, samotność, zmęczenie wciąż wzrastające, a teraz już wręcz bolesne; wiał wiatr niezbyt silny, równy, chłodny, niepożądany zgoła dla kogoś, kto miał na sobie ubiór odpowiedni do pójścia tylko tuż obok na wesele i radosnego powrotu do domu; a najgorsze ze wszystkiego było błędzenie po nieznanych drogach, można powiedzieć: po omacku, w poszukiwaniu możliwości odpoczynku w jakim takim bezpieczeństwie.

Ileż zdarzało mu się mijać jakąś wioskę, szedł bardzo powoli rozglądając się, czy nie dojrzy jeszcze gdzie otwartych drzwi. Ale jedynym znakiem, że nie wszyscy mieszkańcy już śpią, były przeblyskujące gdzieś przez szpary okiennic światła. Na pustej drodze pomiędzy osiedlami przystawał czasem, nasłuchując, czy nie pochwyci upragnionego szumu Addy; ale na próżno. Nie słychać było żadnych innych głosów prócz poszczekiwania psów gdzieś w odludnych zagrodach; brzmiało ono żałośnie i groźnie zarazem, a kiedy zbliżał się do jakiegoś domu, poszczekiwanie zamieniało się w pełne wściekłości ujadanie. Mijając zamknięte wrota czuł, widział niemal te bestie z pyskami przytkniętymi do szpar; ujadanie przybierało na sile i Renzo zrezygnował z pukania do wrót i z próby o schronienie. Może zresztą i bez psów nie byłby się na to zdobył. „«Kto tam? Czegóż chcecie o tej porze? Jak i po coście tu przyszli? Jak się zowiecie? I czemuż to nie poszłście raczej do oberży?» — oto co mi powiedzą, jeśli zapukam — myślał Renzo — i to w najlepszym razie, o ile nie natrafię na tchórza, który na wszelki wypadek zacznie

wrzeszczeć: «Na pomoc! Złodzieje! Trzeba by mieć w pogotowiu jakąś dobrą odpowiedź: a ja cóż mógłbym odpowiedzieć? Taki rumor po nocy nic innego nikomu na myśl nie przywiedzie, jeno złodziei, bandytów, zasadzki. Nikomu do głowy nie przyjdzie, że to uczciwy człowiek

znalazł się nocą na drodze — chyba że byłby to pan w karecie."

Tak więc odsuwał od siebie tę myśl jako ostatnią deskę ratunku i szedł wciąż naprzód, w nadziei, że tej nocy przynajmniej odszuka Addę i o ile się nawet przez nią nie przeprawi o białym dniu, nie będzie zmuszony błąkać się, szukając jej.

Wędrował więc dalej; zaszedł w okolice, gdzie pola uprawne ustępowały ugorom porośłym paprocią i wrzosem. Wydało mu się to, jeśli nie dowodem, to przynajmniej pewną wskazówką, że rzeka jest już blisko. Zapukał się więc na wrzosowisko trzymając się nikłej, wiodącej przez nie ścieżyny. Uszedłszy niewielki kawałek przystanął nasłuchując; wciąż jeszcze na próżno. Znużenie, jakie odczuwał, powiększała jeszcze dzikość okolicy; dotychczas szedł wśród plantacji morw i wśród winnic, które jak gdyby dotrzymywały mu towarzystwa; tutaj nie spotykał już ani śladu ludzkiej pracy. Mimo wszystko szedł jednak niezmiernie naprzód, a kiedy wyobraźnia jego zaczynała snuć jakieś majaki i zwidy, wspomnienia zasłyszanych niegdyś w dzieciństwie opowieści, odpędzał je i uspokajał odmawiając modlitwy za umarłych.

Im dalej szedł, tym gęstsze wyrastały dokoła zarośla tarniny, dębczaków i głogów. Idąc wyciągniętym krokiem, gnany raczej niecierpliwością niż chęcią, zaczął gdzieniegdzie wśród zarośli napotykać samotne drzewa. Trzymał się wciąż tej samej ścieżki i niebawem zobaczył ciemniejący przed sobą lasek. Coś go odpychało od zapuszczenia się weń, ale opanował się i zmusił do dalszej wędrówki. Im dalej jednak wchodził w las, tym przykrzejszego doznawał uczucia, tym większą obawą przejmowało go wszystko dokoła. Drzewa przybierały z daleka jakieś dziwaczne, potworne kształty. Cienie ich poruszanych lekkim wiatrem wierzchołków drgały nieprzyjemnie na ścieżce, gdzieniegdzie rozświetlonej księżycem. Nawet szelest suchych liści, po których stąpał czy które potraçał, brzmiał w uszach Renza jakoś przerażająco. W nogach czuł przemożną chęć puszczenia się biegiem, a zarazem takie zmęczenie, że ledwo mogły udźwignąć jego ciało. Nocny wiatr ostro i złośliwie bił go w czoło i policzki, wciskał się pomiędzy odzież a ciało, przejmował go dreszczem, przenikał do szpiku obolałych ze zmęczenia kości, odbierał ostatek sił. W pewnej

chwili poczuł, że ta udręka, ta niejasna trwoga, z którą walczył od dłuższego już czasu, zupełnie go zwyciężyła. Zrozumiał, że jeszcze chwila, a będzie ostatecznie zgnębiony. Świadomość tego, że się boi, przynębiła go bardziej niż wszystko inne. Przywołał na pomoc cały swój hart ducha, zmusił się do opamiętania. Na chwilę wstąpiła weń nowa otucha. Stanął i zastanowił się nad swym położeniem. Zdecydował się zawrócić, wyjść z lasu, dojść do ostatniej wioski, jaką był minął, pójść pomiędzy, ludzi, znaleźć jakieś schronienie na noc, choćby nawet w oberży. Ale kiedy trwał tak w bezruchu nie szeleszcząc nawet liśćmi pod stopami, pogrążony w panującej dokoła ciszy, ucho jego pochwyciło nagle przytłumiony, odległy szmer płynącej wody. Zaczął nasłuchiwać uważnie; tak, teraz był pewien; wykrzyknął:

— Adda!

Było to, jakby nagle odnalazł przyjaciela, brata, wybawcę. Zmęczenie opadło zeń, powróciła odwaga, poczuł, że znowu ciepła krew krąży swobodnie w jego żyłach, poczuł ufność, a niepewność i groza gdzieś się rozwiały. Nie wahał się już teraz zagłębić dalej w las idąc za tym przyjaznym szmerem.

Wkrótce doszedł do końca płaszczyzny i stanął na krawędzi stromego urwiska. Spoglądając w dół porosłego haszczami zbocza dostrzegał przebłyskującą poprzez zarośla wodę. Wyżej widział rozległą płaszczyznę po tamtej stronie, usianą wioskami i wzgórzami, a na jednym z nich dostrzegł dużą białawą plamę i pomyślał, że musi to być miasto Bergamo. Zszedł po stromym zboczu nieco niżej, rozgarniając ramionami zarośla tarniny, i począł się rozglądać, czy nie dojrzy gdzie poruszającej się na rzece łódki, nasłuchiwać, czy nie dojdzie go chlupot wody pod wiosłami. Ale nie zobaczył i nie usłyszał nic. Gdyby to była jakaś rzeka choć trochę mniejsza od Addy, Renzo zszedłby bez namysłu do wody i spróbował przebyć ją w bród. Ale wiedział dobrze, że Adda nie jest rzeką, którą można by potraktować z taką ufnością. Zaczął zastanawiać się spokojnie, jak powinien postąpić. Wdrapać się na drzewo i tam czekać świtu odległego jeszcze może o sześć godzin, przy tym wietrze, przy szronie, w takim jak jego odzieniu — to więcej, niż potrzeba, żeby zdrętwieć na kość. Przechadzać się tam i na powrót przez

cały ten czas — nie tylko bardzo niedostatecznie ochroniłoby przed zimnem, ale byłoby ponadto stawianiem nadmiernych wymagań tym biednym nogom, które i tak dokonały już znacznie więcej, niż było ich obowiązkiem. Przyszło mu na myśl, że po drodze widział gdzieś w polu w pobliżu wrzosowiska kryty słomą szałas, sklecony z pni i gałęzi, i oblepiony błotem; w takich szałasach wieśniacy z okolic Mediolanu zwykli latem składać swoje zbiory i spędzać tam noce na straży owych plonów; w innych porach roku stoją one zazwyczaj puste.

Renzo pomyślał, że taki szałas może mu posłużyć tej nocy za gospodę; zaraz też ruszył z powrotem ścieżką, minął las, zarośla, ugór i skierował się ku szałasowi. Zmurszałe i na pół rozleciałe drzewiczki, ledwo wiszące na zawiasach, nie miały żadnego rygla czy łańcucha. Renzo otworzył, wszedł; zobaczył wiszące pod dachem coś w rodzaj u hamaka, jakby kratę z wikliny. Ale nie chciało mu się tam wdrapywać. Na ziemi dojrzał trochę słomy i pomyślał, że na niej będzie mu się spało doskonale.

Zanim jednak wyciągnął się na tym posłaniu, którym go Opatrzność obdarzyła, ukląkł dziękując zarówno za to schronienie, jak i za opiekę, jakiej doznał był w ciągu tego pełnego niebezpieczeństw dnia. Potem odmówił zwykłe swoje modlitwy, prosząc Boga o przebaczenie, że ich poprzedniego wieczora zaniedbał idąc spać, wedle jego własnych słów, „niczym pies albo i gorzej”. „I dlatego to — pomyślał opierając ręce na słomie i z kłęczek przechodząc do pozycji leżącej — dlatego rankiem miałem takie piękne przebudzenie.”

Zgarnawszy całą rozrzuconą dokoła słomę na siebie, okrył się nią w miarę możliwości chroniąc się przed zimnem, które i wewnątrz szałasu mocno dawało się we znaki. Skulił się z zamiarem ucięcia sobie dobrej drzemki, sądząc, że na nią bardziej niż kiedykolwiek zasłużył. Ale zaledwie przymknął oczy, pamięć jego czy też wyobraźnia (tego nie potrafię dokładnie wam określić) zarośla się przeróżnymi postaciami w takim zamęcie, tak tłumnie, że sen uleciał niepowrotnie. Kupiec, podsędek, oba zbiry, rzekomy płatnerz, oberżysta, Ferrer, namiestnik, pijący w oberży, tłumy kłębiące się na ulicach, a wreszcie don Abbondio i don Rodrigo — wszyscy, którzy ostatnio zaprzęтали myśl Renza.

I tylko trzy obrazy nie zawierały w sobie żadnej goryczy, żadnych nie wzbudzały podejrzeń, były jasne i miłe; dwa z nich zwłaszcza, różniące się między sobą ogromnie, ale nierozdzielnie ze sobą związane w sercu młodzieńca: czarne warkocze i biała broda. Ale pociecha, jakiej doznawał zatrzymując na nich swą skołataną myśl, nie niosła z sobą bynajmniej spokoju. Na wspomnienie dobrego mnicha odzywało się w duszy Renza uczucie wstydu z powodu własnych wybryków, fatalnej niecierpliwości, haniebnego lekceważenia jego ojcowskich rad. A obraz Lucji! Nie będziemy nawet próbować wypowiedzieć, jakie budził on w Renzu uczucia. Czytelnik zna wszak dokładnie wszelkie okoliczności; sam potrafi to sobie wyobrazić.

A biedna Agnese? Jakże mógłby o niej zapomnieć? Ta Agnese, która wybrała go sobie za syna i z dawna już traktowała jego i jedyną swą córkę jak jedną istotę; która, nim jeszcze on obdarzył ją imieniem matki, była mu matką w mowie i w sercu, a macierzyńską swą troskę umiała przejawiać w czynach. Ale jakże bolesna była świadomość, że w zamian za te serdeczne uczucia, za całą tę życzliwość, biedna kobieta znalazła się teraz na tułaczce, bezdomna, niepewna jutra, a to, na czym opierała nadzieje spokoju i radości u schyłku życia, przyniosło jej jako jedyny plon trudy i cierpienie. Cóż za noc, biedny Renzo! Wszakże miała to być piąta noc od dnia jego wesela. Jakże alkowa, jakie ślubne łożo! Po jakim dniu! Przed jakimż jutrem, przed jakich dni szeregiem!

— Stanie się, jak Bóg zechce — mówił sobie jak gdyby w odpowiedzi na dręczące go myśli — jak Bóg zechce. On wie, co czyni; wszystko to dzieje się dla naszego dobra. To pokuta za moje grzechy. Lucja taka jest dobra! Bóg nie dopuści, aby cierpiała jeszcze, nie dopuści, nie dopuści!

Wśród takich myśli, straciwszy nadzieję snu, czując co, raz dokuczliwsze zimno, od którego dygotał i szczął zębami, Renzo z tęsknotą wyczekiwał świtu i niecierpliwie mierzył wolno płynące godziny. Mówię: mierzył, bowiem co pół godziny słyszał w bezmiarze otaczającej ciszy odległe bicie zegara; sądzę, że musiał to być zegar w Trezzo. Kiedy pierwszy raz dźwięk ten uderzył tak zupełnie niespodziewanie o ucho Renza nie mającego najłżejszego wyobrażenia, skąd mógłby dochodzić, wydał mu się jakimś

tajemnym a uroczystym ostrzeżeniem, jakąś wieścią, którą mu przynosi nieznany głos niewidzialnej osoby.

Na koniec ów daleki zegar uderzył jedenaście razy; była to pora, jaką sobie Renzo wyznaczył na wstanie. Podniósł się cały skostniały i ukląkł odmawiając z większym niż zazwyczaj przejęciem poranne modlitwy; następnie wyprostował się, przeciągnął wzdłuż i w szerz, potrząsnął ramionami, jakby chciał zebrać na powrót poszczególne członki, które, zdawałoby się, nie stanowiły wcale jednego ciała. Chuchnął w jedną rękę, potem w drugą, zatął je mocno i otworzył drzwiczki szafasu. Przede wszystkim rozejrzał się bacznie dokoła, czy nie ma kogo w pobliżu. Nie dojrzał jednak nikogo; poszukał wzrokiem swojej wczorajszej ścieżki; wnet ją rozpoznał i ruszył w drogę.

Wygląd nieba zapowiadał piękny dzień. Księżyc, choć blade i bezpromienny, rysował się jasno na ogromnej szaroniebieskiej połaci nieba, nisko na wschodzie nabierającej leciutkiej złotoróżowej barwy. Nad samym widnokregiem rozciągały się długie, nierówne smugi chmur, miejscami lazurowych, miejscami brunatnych, od dołu obrzeżonych płomiennym rąbkiem, z każdą chwilą większego nabierającym blasku. Od południowej strony kłębiły się lekkie, puszyste obłoki mieniające się mnóstwem nienazwanych barw. Piękne jest w pogodny, dzień niebo Lombardii, piękne, olśniewające, pełne spokoju. Gdyby Renzo wyszedł po prostu na przechadzkę, zapewne spoglądałby raz po raz w górę i podziwiał ten cud świtania, tak odmienny od tego, jaki widywał w rodzinnych swoich górach. Ale musiał uważać, żeby nie zmylić drogi, szedł przy tym wyciągniętym krokiem, tak dla rozgrzania, jak i pośpiechu. Przeszedł już pola, przeszedł ugory, zarośla, a znalazłszy się w lesie rozglądał się po nim dokoła, śmiejąc się i wstydząc zarazem obaw, jakimi go. te miejsca napawały parę godzin przedtem. Stanąwszy na urwistym brzegu rzeki popatrzał w dół; poprzez gałęzie drzew dojrzał małe rybackie czółno sunące zwolna w górę rzeki, tuż pod brzegiem. Spieszenie, najkrótszą drogą, przedzierając się przez tarniny, zszedł na sam brzeg wody. Cichym głosem począł nawoływać rybaka. Chciał wyglądać na kogoś, kto prosi od niechcenia o mało ważną przysługę. Kiedy jednak dawał rybakowi znaki, żeby przybił do brzegu, robił to nieświadomie w sposób prawie błagalny.

Rybak potoczył wzrokiem wzdłuż brzegów, popatrzał uważnie najpierw w górę, potem, odwróciwszy się, w dół rzeki, wreszcie skierował dziób czółna wprost ku Renzowi i przybił do brzegu. Renzo, który czekał na samej krawędzi ładu jedną nogą niemal stojąc w wodzie, uchwycił dziób i wskoczył do czółna mówiąc:

— Czy uczynicie mi tę przysługę i przepawicie na tamten brzeg za zapłatą?

Rybak z góry już odgadł, o co chodzi, i natychmiast skierował łódkę, gdzie należało. Renzo widząc leżące na dnie drugie wiosło schylił się i ujął je w ręce.

— Spokojnie, spokojnie — rzekł rybak. Ale widząc, z jaką zręcznością młodzieniec obchodzi się z tym przyrzędem, dodał: — Aha, znacie się na rzeczy, jak widzę.

— Troszkę — odrzekł Renzo i wziął się do wiosła z energią i umiejętnością zgoła nie amatorską. Nie zwalniając ani na chwilę rzucał raz po raz chmurne spojrzenia na brzeg, od którego się oddalali, niecierpliwe zaś na ten, ku któremu zmierzali. Korciło go, żeby płynąć tam najkrótszą drogą, w poprzek rzeki, ale nurt w tym miejscu był na to zbyt silny. Łódka musiała sunąć ukośnie, to przecinając fale, to poddając się sile prądu. Jak to zwykle bywa w takich niepewnych i powikłanych sytuacjach, że przeszkody widzi się najpierw wyolbrzymione, a w miarę zaś ich pokonywania wydają się coraz bliższe, Renzo teraz, kiedy przepawę przez Addę miał już niemal poza sobą, zaczął się niepokoić czymś innym: nie miał wcale pewności, czy Adda w tym miejscu rzeczywiście stanowi granicę, czy po pokonaniu tej przeszkody nie czeka go druga podobna? Toteż zagadnął rybaka, wskazując głową na ową białawą plamę, którą dostrzegł już nocą, a która teraz wydała mu się znacznie odleglejsza:

— Czy to osiedle to Bergamo?

— Miasto Bergamo — odpowiedział rybak.

— I ten brzeg to już bergamska ziemia?

— Ziemia Świętego Marka.

— Niech żyje święty Marek! — wykrzyknął Renzo. Rybak nic nie odpowiedział.

Wreszcie czółno uderzyło o brzeg. Renzo wyskoczył. W duchu podziękował Bogu, głośno zaś właścicielowi łódki. Wsunął rękę do kieszeni, wy dobył jedną berlingę, co w jego położeniu niemały stanowiło dlań uszczerbek, i po

dał pieniądze rybakowi. Ten rzucił baczne spojrzenie na brzeg mediolański, obejrzał się w górę i w dół rzeki, wyciągnął rękę, wziął pieniądze, schował go, po czym zacisnął mocno usta i dla większej pewności położył na nich palec, dodając do tego gestu wiele mówiące spojrzenie. Potem rzekł: „Szczęśliwej podróży”, i zawrócił w swoją stronę.

By ta chętna i dyskretna pomoc okazana obcemu człowiekowi nie zdziwiła nadmiernie czytelnika, musimy tu wyjaśnić, że rybak bardzo często bywał proszony o podobne przysługi, zarówno przez przemysłowców, jak i zbiegów: przywykł też już z dawna do takich przepraw. Czynił to nie tyle z chęci niepewnego i dość chudego zysku, jaki stąd czerpał, co dlatego, żeby sobie spośród tych ludzi nie przysparzać wrogów. Prośby takie spełniał o tyle, o ile pewien był, że nie śledzą go ani celnicy, ani zbiry, ani jakiegokolwiek rodzaju szperacze. W ten sposób, nie czując specjalnej życzliwości ani ku jednej, ani ku drugiej stronie, starał się w miarę możliwości zadowolić jednych i drugich z tą szczególną bezstronnością spotykaną u tych, którzy zmuszeni są z jednymi paktować, a przed innymi za to odpowiadać. Stanąwszy na lądzie Renzo zatrzymał się i spoglądał przez chwilę na ten brzeg przeciwny, który dopiero co tak bardzo palił mu się pod stopami.

„Ach, więc wreszcie wydostałem się stamtąd — było pierwszą jego myślą. — Zostań tam sobie, przeklęty kraju” — była to myśl druga, pożegnanie rzucone ojczyźnie. Ale już trzecia myśl pomknęła ku tym, których w tej ojczyźnie pozostawił. A wtedy skrzyżowawszy na, piersi ramiona westchnął ciężko i spojrzął w dół na płynącą u jego stóp wodę. „Ta sama płynęła pod mostem — pomyślał. Jak dla wszystkich ludzi w jego stronach, słowo «most» oznaczało most koło Lecco. — Ach, łajdacki świat! No, cóż, wola boska.”

' Odwrócił się plecami od tych smętnych widoków i ruszył w drogę zamierzając kierować się na ową białawą plamę na stoku góry, dopóki nie spotka kogoś, kto by mu wskazał właściwą drogę. Trzeba było widzieć, z jaką niedbałą swobodą zwrócił się do pierwszego lepszego przechodnia śmiało wymieniając mu nazwę wsi, w której mieszkał jego

krewniak. Od pierwszego też zaraz zapytanego człowieka dowiedział się, że pozostało mu jeszcze dziewięć mil do celu podróży. Niewesoła to była podróż. Nie mówiąc już o troskach, jakie Renzo dźwigał ze sobą, oczy jego wciąż napotykały różne smutne widoki wskazujące na to, że w tym cudzym kraju znajdzie taką samą biedę jak ta, którą pozostawił w swoim. Wzdłuż całej drogi, a zwłaszcza w mijanych wioskach i miasteczkach, co krok spotykał biednych, którzy najwidoczniej nie zawsze byli żebrakami, i nędzę ich dostrzegało się bardziej w wyniszczonych twarzach niż w odzieży. Byli wśród nich chłopci, górale, rzemieślnicy, czasem całe ich rodziny. Słychać było zmieszany szmer modlitw, narzekań i pojękiwań. Widok ten budził w Renzu nie tylko żal i współczucie, ale także troskę o własne losy.

„Kto wie — rozmyślał — czy znajdę coś do roboty? Czy jest tyle pracy, jak bywało w ubiegłych latach? No, ale przecie Bortolo był mi zawsze życzliwy, jest poczciwym człowiekiem i dorobił się pieniędzy; tyle razy mnie zapraszał, nie opuści mnie chyba. Zresztą, Opatrzność czuwała nade mną do tej pory, dopomoże i nadal.”

Tymczasem apetyt, od dawna już rozbudzony, wzrastał z każdą przebytą milą. A chociaż Renzo czuł się na siłach opanować go bez wielkiej przykrości jeszcze na te dwie czy trzy mile, jakie mu pozostały, to z drugiej strony pomyślał, że nie będzie to pięknie pojawić się u krewniaka niby zgłodniały żebrak i w pierwszych zaraz słowach dopraszać się o coś do zjedzenia. Wydobył z kieszeni całe swoje bogactwo, przesywał z ręki do ręki, policzył. Nie wymagało to wielkiej znajomości arytmetyki; ale ostatecznie wystarczyło na to, żeby sobie podjąć niezgorzej. Wszedł do oberży i pokrzepił siły, a po zapłaceniu pozostało mu jeszcze parę soldów.

Wychodząc zobaczył tuż za drzwiami, tak że omal się o nie nie potknął, dwie raczej leżące niż siedzące na ziemi kobiety; jedna z nich była stara, druga młodsza z dzieckiem w ramionach. Małeństwo płakało, na próżno usiłując wyssać coś z jej piersi; wszyscy byli bladzi śmiertelną wręcz bledością. Obok nich stał mężczyzna, którego twarz i całe ciało nosiły ślady minionej siły, teraz wyniszczonej niemal doszczętnie długotrwałym głodem. Wszyscy oni wyciągnęli ręce ku temu, który wychodził z gospody żwawym

krokiem i z ożywioną twarzą. Nikt się nie odezwał; ale jakież słowa mogłyby powiedzieć więcej?

— Oto jest działanie Opatrzności — powiedział Renzo. Zagłębił rękę w kieszeń; wydobył swoje "ostatnie soldy. Włożył je do tej dłoni, która była najbliższej, i poszedł w swoją drogę.

Posiłek i dobry czyn (jako że składamy się z duszy i ciała) rozjaśniły i ożywiły wszystkie jego myśli. Z pewnością ogołocenie się z ostatniej resztki pieniędzy więcej w nim wzbudziło ufności co do dalszych jego losów, niżby mu jej dało znalezienie dziesięciokrotnie większej sumy. Bo skoro Opatrzność dla poratowania tej rodziny żebrzących na drodze nędzarzy przeznaczyła właśnie ostatnie grosze obcego wygnańca, równie jak oni niepewnego, co jutro przyniesie — jakże możliwe byłoby uwierzyć, że pozostawi bez pomocy tego, kim posłużyła się jako narzędziem, tego, komu tak żywo, tak jasno dała odczuć swą niewątpliwą obecność? Takie mniej więcej były myśli młodzieńca, jakkolwiek może nie tak jasne, jak je tu wyraziłem. Kiedy w dalszej drodze rozmyślał o swoich sprawach, wszystko wydawało mu się jakieś łatwiejsze i nie tak ponure jak przedtem. Głód kiedyś przecież się skończy; ostatecznie nie ma roku bez żniw. Na razie miał Bortola i swoje rzemiosło. Ponadto miał w domu trochę uskładanych pieniędzy i zaraz każe je sobie przysłać. W najgorszym razie będzie mógł z tego żyć, póki nie nadejdą lepsze czasy. „A kiedy wreszcie nadejdą — snuł Renzo swoje marzenia — roboty będzie pod dostatkiem. Właściciele przędzalni będą sobie wzajem wydzierali mediolańskich robotników, bo wiadomo im dobrze, że ci najlepiej znają swój fach. Mediolańscy robotnicy zaczną podbijać wtedy ceny; kto zechce mieć ludzi znających się na rzeczy, będzie musiał dobrze im zapłacić. Zarabiać się będzie więcej, niż pojedynczemu człowiekowi potrzeba; będzie można coś niecoś odłożyć... wtedy napisze się list do kobiet, żeby przyjechały... Chociaż, po cóż czekać tak długo? Czyż to, co się dotąd zaoszczędziło, nie wystarczy, żeby się tu razem osiedlić jeszcze tej zimy? A więc osiedlimy się. Ksiądz wszędzie się znajdzie. Przyjadą tutaj obie, drogie, kochane kobiety. Urządzi się dom. Co za radość będzie przechadzać się razem po tej samej drodze! Pojechać wózkami aż nad brzeg Addy, zjeść podwieczorek nad wodą, nad samą wodą,

pokazać im miejsce, gdzie się przepawiłem, zarośla tarniny, przez które się przedzierałem, miejsce, z którego patrzyłem, czy nie ma gdzie łodzi...”

Doszedł wreszcie do wsi kuzyna. Zaraz na wstępie ujrzał wysoki budynek z wielu rzędami długich okien. Domyślił się, że to przędzalnia. Wszedł pytając głośno, by przekrzyknąć szum spadającej z kół wody, czy jest tam niejaki Bortolo Castagneri.

— Pan Bortolo? Oto tam jest.

„Pan? To dobry znak” — pomyślał Renzo. Spozrzegł kuzyna i podbiegł do niego śpiesznie. Tamten odwrócił się, poznał młodzieńca wołającego z daleka: „Oto jestem!” Z okrzykiem zdumienia otworzył szeroko ramiona. Rzucili się sobie w objęcia. Po pierwszych uściskach powitalnych Bortolo pociągnął młodzieńca daleko od hałasu maszyn i od ciekawych spojrzeń, do drugiej izby.

— Rad jestem wielce, że cię widzę — powiedział. — Choć, co prawda, przekorny z ciebie chłop. Tylem cię razy zapraszał i nigdy się nie mógł zdecydować. A wybrałeś się właśnie w niedobrym czasie.

— Muszę ci rzec prawdę, że nie z dobrowoli się wybrałem — powiedział Renzo. I opowiedział pokrótce, ale nie bez wielkiego wzruszenia, swoją smętną historię.

— Skoro tak, to rzecz inna — rzekł na to Bortolo. — O, biedny Renzo! Ale polegałeś na mnie i ja cię nie opuszczę. Prawdę rzekłszy, nikt teraz nie szuka robotników. Zaledwie z trudem opłacić można tych, co już są, żeby ich nie stracić i nie zamknąć warsztatu. Ale właściciel lubi mnie, a jest bogaty i, szczerze mówiąc, a nie chwaląc się, w dużej mierze mnie to ma do zawdzięczenia. On wkłada pieniądze, ale ja swoją umiejętność. Jestem tu pierwszym majstrem, wiesz? A poza tym, musisz to wiedzieć, jestem we wszystkim jego prawą ręką. Biedna Lucja Mondella! Pamiętam ją, jakby to wczoraj było; dobra dziewczyna; w kościele taka skupiona jak żadna; a kiedy się przechodziło mimo jej domku... tak mi się wydaje, że go widzę przed sobą, ten domek, tuż za wsią, z takim pięknym drzewem figowym widnym poprzez mur...

— Nie, nie! O tym nie mówmy!

— Chciałem jeno rzec, że przechodząc zawsze się słyszało kołowrotek; kręcił się i kręcił... Ale ten don Rodrigo!

Pewnie, odkąd pamiętam, zawsze był na zły drodze. Ale z tego, co słyszę, toć teraz to istny diabeł. No, do czasu mu Bóg folguje... No więc, jakem ci już rzekł, i tu się głód nieco daje we znaki... Ale, ale, możeś głodny?

— Jadłem dopiero co, po drodze.

— A z groszem jak?

Renzo otworzył dłoń i przybliżywszy ją do ust dmuchnął z lekka.

— Mniejsza o to — rzekł Bortolo. — Ja mam dość. Nie trap się tym. Tylko patrzeć, jak czasy się z pomocą bożą odmienia. Wtenczas mi zwrócisz wszystko i jeszcze dla ciebie zostanie.

— Mam coś niecoś w domu. Każę tu sobie przysłać.

— To i dobrze. A tymczasem licz na mnie. Bóg mi dał trochę dobra po to, bym dobrze czynił. A gdybym go nie czynił krewnym i przyjaciółom, to i komuż?

— Mówiłem, że mnie Bóg nie opuści! — wykrzyknął Renzo ściskając serdecznie rękę poczciwego krewniaka.

— Tedy — podjął tamten — w Mediolanie narobili takiego zamętu! Widzi mi się to czystym szaleństwem. Coś niecoś słyszeliśmy o tym i tutaj. Ale ty mi wszystko opowiedz dokładnie, jak było. Hej, mamy o czym ze sobą gwarzyć. Tutaj, widzisz, wszystko spokojnie idzie i robi się te rzeczy z większą rozwagą. Miasto zakupiło dwa tysiące worków zboża od pewnego kupca z Wenecji. To zboże z Turcji pochodzi. Ale cóż, kiedy chodzi o to, żeby jeść, to kto się tam wdaje w takie drobiazgi. No i posłuchaj, co się dzieje; w Weronie i Brescii gubernatorzy zamykają drogę i powiadają: „Zboża się tędy nie przepuszcza.” A co na to bergamczycy? Posyłają do Wenecji Lorenza Torre, doktora, ale to tęgiego doktora! Pojechał natychmiast, stawił się przed dożą i powiada o tym, co przyszło do głowy tym panom gubernatorom. Ale jaka to była mowa! Mowa, powiadają, taka, że jeno ją drukować! Oto co się nazywa mieć kogoś, kto potrafi gadać. Zaraz poszedł rozkaz, że mają puścić wolno zboże. I gubernatorzy nie tylko musieli je przepuścić, ale jeszcze dodać mu straż. Jest akurat w drodze. O wsi też pomyśleli; Giovanbattista Biava, poseł bergamski w Wenecji (to także człowiek z głową!), wytłumaczył w senacie, że na wsi też ludzie cierpią, i senat przeznaczył cztery tysiące korców prosa. No, z tego od biedy można robić chleb. A zresztą, jeśli chleba zabraknie,

będziemy jedli samą omastę. Powiadam ci, Bóg niezgorzej mnie obdarzył. Pójdziemy teraz do właściciela. Jużem mu niejedną raz o tobie wspomniał, powita cię na pewno życzliwie. Prawy bergamczyk na dawną modłę, z sercem otwartym. Teraz się, co prawda, ciebie nie spodziewa. Ale kiedy usłyszysz, co ci się przydarzyło... zresztą, ceni on dobrego robotnika, boć głód przeminie, a przędzalnia zostanie. Ale jeszcze muszę cię zawczasu przestrzec co do jednej rzeczy: wiesz ty, jak nas tu zowią, nas, mediolańczyków?

— Jak nas zowią?

— No tak; otóż zowią nas tu kpami.

— Niepiękna to nazwa.

— Ale tak już jest. I kto się urodził w Mediolańskim, a chce żyć w Bergamskim, musi się z tym pogodzić. Dla nich tu mówić o mediolańczyku „kiep” to tak, jak mówić „wielmożny” o szlacheciu.

— A mnie się widzi, że tak zwą tych, co im na to pozwalają.

— Chłopcze, jeżeli nie jesteś gotów przelękać tego kpa na każdym kroku, nie spodziewaj się, że będziesz tu mógł żyć spokojnie. Musiałbyś noża z ręki nie wypuszczać. Przypuśćmy, że zabiłbyś dwóch, trzech, czterech — w końcu trafisz na takiego, co ciebie zabije. A przecie nieswojo by ci było stawać przed boskim sądem z trzema czy czterema zabójstwami na sumieniu!

— No a skoro mediolańczyk ma trochę tego — tu stuknął się palcem w czoło, tak jak to był zrobił w oberży „Pod Pełnią Księżycą”. — Chcę rzec, taki mediolańczyk, co zna się dobrze na swoim fachu?
— Tak samo. Tutaj i taki jest kpem. Wiesz ty, jak właściciel przędzalni mawia o mnie do swoich kompanów? Mówi: „Tego kpa sam Pan Bóg mi zesłał. Żeby nie miał tego kpa, ładnie bym wyglądał!” Taki już zwyczaj.
— Głupi zwyczaj. I jakże to być może, że się go nie pozbyli, kiedy widzą, co my potrafimy? Boć ostatecznie nie kto inny, jeno my przynieśliśmy tu sztukę przędzenia — i na nas ona stoi.
— Do tej pory nie pozbyli się tego zwyczaju. Z czasem, kto może wiedzieć? Może ci, co są teraz dziećmi. Ale dojrzały ludzie będą tak mówić i nie ma na to rady. Tak już przywykli i nie odwykną. A zresztą, cóż to znów takiego?

Nasi mili rodacy zgola inną ci uprzejmość okazali, a jeszcze większą chcieli okazać.

— To prawda... w gruncie rzeczy, skoro o nazwę jeno chodzi...

— No, jakieś sobie to dał wyperswadować, to już wszystko dobrze pójdzie. Chodźmy do właściciela — i głowa do góry!

I rzeczywiście wszystko poszło dobrze, i tak zgodnie z obietnicami Bortola, że opowiadać o tym szczegółowo wydaje nam się zbędne. A było to w rzeczy samej zrządzenie Opatrzności. Bo co się tyczy pieniędzy i całego dobytku, jaki Renzo pozostawił w domu, zobaczymy zaraz, jak dalece mógł na nie liczyć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tegoż samego dnia, listopada, do pana podesty okręgu Lecco przybył posłaniec z listem od pana kapitana straży, zawierającym nakaz przeprowadzenia jak najskrupulatniejszego śledztwa przy użyciu wszelkich możliwych i dostępnych środków — celem zbadania, czy pewien młodzieniec nazwiskiem Lorenza Tramaglino, trudniący się zawodowo przędzeniem jedwabiu, zbiegły spod straży praedicti egregii domini capitanei, powrócił palam vel clam do swojej wsi, ignotum w ścisłym słowa znaczeniu, verum in territorio Leuci: quod si compertum fuerit sic esse, pan podesta winien zarządzić, co trzeba, auctore maxima diligentia fieri poterit, aby go dostać w ręce; za czym spętanego należycie, videlicet w mocnych kajdanach, jako że doświadczenie wykazało, iż zwykle więzy dla niego nie są dostateczne, wtrącić go winien do więzienia i zatrzymać tamże pod dobrą strażą do czasu przekazania go temu, kto będzie po niego posłany. Zaś zarówno w razie, gdyby tak było, jak i w przeciwnym, accedatis ad domum praedicti Laurenti Tramaliini; et, facta debita diligentia, quidquid ad rem repertum fuerit auferatis; et informationes de illius prava qualitate, vita, et complicibus sumatis; zasię o wszystkim, co powiedziano i co uczyniono,

znaleziono i nie znaleziono, zabrano i pozostawiono, deligenter referatis.

Imć podesta upewniwszy się z całą ostrożnością, że wyżej wymieniony wcale do swojej wsi nie powrócił, wezwał sołtysa wioski i kazał się prowadzić do wskazanego domu w asyście podsędka i licznych zbirów. Dom zastali zamknięty; gdzie są klucze, nie było sposobu się dowiedzieć. Wyważono więc drzwi i postąpiono z należytą gorliwością, czyli tak jak w zdobytym szturmem mieście. Wieść o tej ekspedycji rozeszła się momentalnie po całej okolicy. Dotarła też do uszu ojca Cristoforo, który, niemniej zdumiony, jak i zmartwiony, począł rozpytywać wszystkich dokoła, chcąc znaleźć jakieś wyjaśnienie przyczyny tak nieoczekiwanego wydarzenia. Ale nie usłyszał nic oprócz przypuszczeń na niczym nie opartych; zaraz więc napisał do ojca Bonaventury w nadziei otrzymania od niego bardziej wiarygodnych wiadomości. Tymczasem krewnych i przyjaciół Renza zawezwano do złożenia zeznań dotyczących jego „znanej nieprawości”. Nosić nazwisko Tramaglino okazało się nieszczęściem, hańbą, przestępstwem. Wielkie wzburzenie zapanowało w całej wsi. Po trochu dowiedziano się więcej: że mianowicie Renzo umknął z rąk sprawiedliwości w samym środku Mediolanu, że zniknął potem bez śladu. Mówiono, że popełnił jakieś grube przestępstwo. Ale co to było — nie wiedział nikt i snuto setki najrozmaitszych przypuszczeń. Im bardziej obciążające były te plotki, tym mniejszą znajdowały wiarę we wsi, gdzie Renza znali wszyscy jako zacnego młodzieńca. Na ogół sądzono i szeptano sobie o tym na ucho, że wszystko to jest intryga uknuta przez tego pyszałka don Rodriga, a mająca na celu zniszczenie biednego rywala. Tak to rozumując przez wnioskowanie bez dostatecznej znajomości faktów — można nawet najgorszego niegodziwca skrzywdzić niesłusznym podejrzeniem.

My jednak mając fakty, jak to się mówi, w ręku, stwierdzić możemy, że jakkolwiek don Rodrigo nie przyczynił się niczym do nieszczęśliwej przygody Renza, przecież radował się nią tak, jakby była własnym jego dziełem, i upajał się tym triumfem wraz ze swoimi kompanami, a z hrabią Attiliem w szczególności. Ów wedle pierwotnej

go swego planu powinien był znajdować się w Mediolanie; ale na pierwszą wieść o zamieszkach i o tym, że motłoch panoszy się na ulicach zgoła nie objawiając chęci pokornego przyjmowania kijów, hrabia Attilio uznał za właściwe pozostać na wsi do czasu, kiedy spokój powróci. Tym bardziej że mając na sumieniu niejedną wyrządzoną komuś zniewagę, miał też słuszne powody do obawy, żeby ktoś spośród sponiewieranych przez niego, kto do tej pory siedział cicho z konieczności, nie nabrał raptem, ośmielony sytuacją, chęci pomszczenia siebie i innych. Nie czekał jednak długo; przysłany z Mediolanu rozkaz ukarania Renza był wskazówką, że rzeczy wkraczają już na zwykłe tory; a niebawem uzyskano już zupełną tego pewność. Hrabia Attilio wyjechał natychmiast nakłoniwszy przedtem kuzyna do wytrwałości w chwalebnych jego zamierzeniach i obiecując uczynić ze swej strony wszystko, co możliwe, celem uwolnienia go od niepożądanego mnicha. A właśnie ta sprawa, ta iście opatrnościowa przygoda nikczemnego rywala, mogła w tym znakomicie dopomóc. Zaraz po wyjeździe Attilia wrócił z Monzy Griso zdrow i cały i zdał swemu panu sprawę z tego, czego się zdołał dowiedzieć. Że mianowicie Lucja przebywa w takim a takim klasztorze pod opieką takiej a takiej wielkiej pani; że trzyma się stale w ukryciu, jak gdyby sama była również mniszką, i krokiem nie rusza się poza obręb klasztoru, nawet w nabożeństwach bierze udział poprzez zakratowane okienko; że jest to przykry zawód dla wielu osób, które słysząc coś nieośmieszającego o jej przygodach i o jej wielkiej urodzie rade byłyby zobaczyć na własne oczy, jak też ona wygląda. Ta relacja obudziła diabła w don Rodrigu, a raczej mówiąc ściślej pobudziła złość tego, który już z dawna obrał sobie jego duszę za mieszkanie. Tyle sprzyjających okoliczności sprawiło, że jego namiętność, a raczej ta mieszanina pychy, wściekłości i nikczemnego kaprysu, która się na jego namiętność składała — coraz mocniej się żarzyła i rozplamiała. Renzo nieobecny, ścigany, wypędzony, tak że każdy uczynek przeciwko niemu kierowany stawał się dozwolony, a jego narzeczoną można było uważać w pewnym sensie za własność buntownika; jedyny na

całym świecie człowiek, który chciał i mógł stanąć w jego obronie i narobić koło tej sprawy hałasu mogącego dotrzeć do uszu dalekich i wysoko postawionych osób, ów

wściekły mnich — miał się niebawem znaleźć w sytuacji, która go uczyni całkowicie nieszkodliwym. I oto nagle pojawia się nowa przeszkoda, nie tylko przewyższająca tamte korzystne okoliczności, ale odbierająca im wszelkie znaczenie. Klasztor w Monzy, nawet gdyby nie rządziła w nim księżniczka, stanowił zbyt twardą kość dla zębów don Rodriga. Na próżno krążył w wyobraźni dokoła tej fortecy, na próżno łamał sobie głowę — nie mógł wymyślić sposobu jej zdobycia, czy to siłą, czy podstępem. Był już prawie zdecydowany porzucić te zamysły, pojechać do Mediolanu, i to nawet nakładając drogi, tak, żeby ominąć Monzę; a tam rzucić się w wir zabawy i pośród hulaszczycych kompanów odpędzić przy pomocy wesołych myśli tę myśl ponurą, która stała się źródłem nieustającej udręki. Ale... ale... przyjaciele? Ostrożnie z przyjaciółmi! Jakże łatwo mógł znaleźć w ich towarzystwie nowe przykrości zamiast spodziewanej rozrywki. Attilio z pewnością zdążył już roztrąbić całą historię i wszyscy czekają niecierpliwie na jej ciąg dalszy. Wszyscy będą go wypytywali o młodą góralkę; będzie musiał tłumaczyć, wyjaśniać. Zachciało się, spróbowało się, ale co się osiągnęło? Wziął na siebie zobowiązanie; może nie bardzo, prawdę mówiąc, piękne. Ale ostatecznie nie zawsze można odpowiadać za swoje kaprysy; grunt umieć je zaspokoić. A jakże on wygląda w tej sprawie? Dać się pokonać chłopu i mnichowi! Uff! A kiedy niespodziewane zrządzanie losu, bez najmniejszych starań tego niedołęgi, usunęło mu z drogi jednego przeciwnika, sprytny zaś przyjaciel postarał się usunąć drugiego — niedołęga nie potrafi nawet wykorzystać tej sposobności: tchórzliwie wycofuje się ze szranków! Zaprawdę, dosyć to, żeby nie móc nigdy stanąć twarzą w twarz z ludźmi honoru; chyba że ani na chwilę nie wypuści szpady z ręki. A potem? Jakże tu wrócić, jakże żyć w tej wiejskiej siedzibie, w tej okolicy, gdzie — nie mówiąc już o dręczących wspomnieniach niezaspokojonej żądz — nosiłby na sobie hańbiące piętno porażki? Gdzie poza tym wzrosłaby jeszcze powszechna względem niego nienawiść, a przekonanie o jego potędze bardzo osłabło? Gdzie na twarzy każdego hołysza, nawet wśród niskich ukłonów, dostrzegaliby gorzką drwinę mówiącą: „Przełknąłeś to? To i dobrze.” „Droga nieprawości — mówi nasz rękopis — jest szeroka; ale nie znaczy to wcale, jakoby była gładka i wy

godna. Ma ona zdraдлиwe wyboje, miejsca trudne i przykre; jest męcząca i niełatwa, mimo że wiedzie ku dołowi.” Don Rodrigowi, który nie chciał zejść z tej drogi, nie . chciał się cofnąć ani zatrzymać, a nie potrafił o własnych siłach kroczyć nią naprzód, przyszedł na myśl sposób, który by mu to umożliwił. Myślał mianowicie, czyby nie zwrócić się o pomoc do kogoś, czyje ręce sięgały niejednokrotnie dalej niż wzrok innych; do człowieka — czy może diabła? — dla którego trudność jakiegoś zamierzenia była właśnie bodźcem i zachętą do podjęcia go. Ale zwrócenie się doń miało też swoje złe i ryzykowne strony, tym poważniejsze, że niemożliwe do obliczenia z góry; nikt bowiem nie mógłby przewidzieć, dokąd go to doprowadzi, skoro raz zwiąże się z tym człowiekiem, potężnym niewątpliwie sprzymierzeńcem, ale niebezpiecznym i tyrańskim kondotierem, W takiej to rozterce żył don Rodrigo szereg dni, wahając się pomiędzy „tak” i „nie”, jednym równie przykrym jak i drugie. Tymczasem nadszedł list od kuzyna, w którym ten donosi, że zadzierzgnął już wążek wiadomej sprawy. Wnet po tej błyskawicy uderzył i piorun: mianowicie pewnego ranka rozeszła się nowina, że ojciec Cristoforo opuścił

klasztor w Pescarenico. Ten tak szybki sukces oraz list Attilia dodający odwagi, a zarazem grożący bezlitosnymi drwinami — skłoniły don Rodriga w znacznej mierze ku bardziej ryzykownej decyzji, a ostatecznie przechyliła szalę nowa, niespodziewana wiadomość, jakoby' Agnese powróciła do domu. Oznaczało to o jedną przeszkodę mniej na drodze do Lucji.

Musimy tu wyjaśnić oba te fakty, zaczynając od późniejszego.

Zaledwie obie wygnanki zainstalowały się w swoim nowym schronieniu, rozeszła się po Monzy, a co za tym idzie i po klasztorze, wieść o wielkich zamieszkach w Mediolanie. A dokoła tej doniosłej nowiny krążyło mnóstwo drobnych, rosnących i zmieniających się z każdą chwilą.

Gospodyni klasztorna, która ze swego mieszkania mogła chwytać jednym uchem to, co się działo na gościńcu, a drugim to, co w klasztorze, zbierała tu i tam nowiny i dzieliła się nimi ze swymi gośćmi.

— Dwóch,' sześciu, ośmiu, czterech, siedmiu uwieźli. Wszystkich powieszają, jednych przed piekarnią „Pod

Szczudłem", innych u wylotu tej ulicy, gdzie jest dom namiestnika gospodarczego... Ale, ale, posłuchajcie tylko: jeden im uciekł, a pochodzi z Lecco czy z tamtych stron. Nazwiska nie wiem; ale przyjdzie na pewno ktoś, kto będzie wiedział, to wam powiem, bo może go znacie?

Ta wiadomość w zestawieniu z tym, że Renzo właśnie w ów fatalny dzień miał przybyć do Mediolanu, przyczyniła niemało niepokoju obu niewiastom, a zwłaszcza Lucji. Ale wyobraźcie sobie, co odczuła, kiedy wkrótce potem gospodyni przyniosła dalsze szczegóły.

— On jest właśnie z waszej wsi, ten, co to uciekł, bo go mieli powiesić; przędzacz jedwabiu, zowie się Tramaglino. Znacie go?

Lucji, która siedziała zajęta obrębianiem czegoś, robota z rąk wypadła. Zbielała na twarzy i zmieniła się tak, że gospodyni byłaby niechybnie coś spostrzegła, gdyby w tym momencie znajdowała się bliżej. Ale ona stała w progu razem z Agnese, która choć także była wstrząśnięta usłyszana nowiną — przecież nie tak dalece jak Lucja; zdołała się opanować i odpowiedzieć spokojnie, że w małej wiosce wszyscy się oczywiście znają, zna więc także i tego; dodała, że trudno jej uwierzyć, by taki stateczny młodzieniec mógł się w coś podobnego zaplątać; zapytała też, czy to pewne, że uciekł i dokąd?

— Że uciekł, to wszyscy powiadają. Dokąd, nikt nie wie. Może być, że złapią go jeszcze, a może jest już gdzieś bezpieczny. No, ale jeżeli wpadnie im jeszcze w pazury ten wasz stateczny młodzieniec...

W tej chwili szczęśliwym trafem gospodynię dokąds odwołano. Pomyślcie, w jakim stanie biedaczki pozostały! Szereg dni miały tak przeżyć — pełna niepokoju niewiasta i zrozpaczona dziewczyna — w straszliwej niepewności rozważając nieustannie, co się stało, jak do tego doszło i jakie będą dalsze skutki bolesnych wydarzeń; każda z osobna przetrawiała w duszy zasłyszane straszliwe słowa, a kiedy mogły, szeptem dzieliły się między sobą swymi ciężkimi myślami.

Na koniec pewnego czwartku zjawił się w klasztorze ktoś, kto chciał się widzieć z Agnese. Był to rybak z Pescarenico udający się jak zwykle do Mediolanu ze swoim towarem. Dobry ojciec Cristoforo prosił go, by przechodząc przez Monzę zboczył do klasztoru, pozdrowił

od niego obie kobiety, powtórzył im to, co było wiadome o smutnym losie Renza, nakłonił je do cierpliwości i do pokładania ufności w Bogu. Miał im powiedzieć ponadto w imieniu ojca Cristoforo, że on, ubogi mnich, nie zapomni o nich na pewno i szukać będzie sposobu przyścia im z pomocą; tymczasem zaś nie omieszka przesłać im co tydzień wiadomości tą samą lub inną drogą.

Co się tyczy losów Renza, posłaniec nic nowego i pewnego nie mógł im oznajmić; opowiedział tylko o urzędowej wizycie w jego domu i o poszukiwaniach, jakie czyniono, by go dostać w ręce. Ale do tej pory poszukiwania te uderzały w próżnię i panowało powszechne przekonanie, że Renzo przedostał się szczęśliwie za granicę bergamską. Zapewnienie to podziało jak balsam na biedną Lucję. Od tej chwili łzy płynęły jej łatwiej i nie z taką jak przedtem goryczą; ciche zwierzenia, czynione matce, przynosiły jej pokrzepienie, a w modlitwach prośby mieszały się z dziękczynieniem. Często wzywała ją do swej prywatnej rozmównicy Gertruda i gawędziła z nią długo, bo podobała jej się naiwność i słodycz dziewczyny i miło jej było słyszeć wciąż nowe podziękowania i błogosławieństwa. Lubiła także opowiadać Lucji w zaufaniu swoje dzieje, a raczej nie kompromitującą ich część, i to wszystko, co musiała przecierpieć, zanim tu przybyła na dalsze cierpienie. Początkowe podejrzliwe zdumienie Lucji przekształcało się pod wpływem tych zwierzeń w gorące współczucie. W historii tej widziała więcej niż dostateczne przyczyny i wytłumaczenie pewnych dziwactw w zachowaniu się swojej dobrodziejki. Zwłaszcza kiedy przywoływała na pomoc matczyną teorię co do umysłowości wielkich państwa. Ale choć była skłonna odwzajemniać zaufanie Gertrudy, nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, by zwierzyć jej się ze swoich nowych trosk i niepokojów, by wyznać, kim był ów zbiegły więzień. Nie chciała, żeby ta sprawa, tak dla niej bolesna i tak gorsząca, odbiła się szerszym echem. Unikała również, jak tylko mogła, odpowiedzi na natarczywe pytania dotyczące okresu sprzed zaręczyn; ale tutaj nie ostrożność grała rolę, lecz to, że biedaczce wydawały się te własne jej dzieje najtrudniejszą, niemożliwą wręcz do opowiadania historią, o wiele bardziej żenującą od tych wszystkich, jakie słyszała i jakie mogłaby, tak przynajmniej sądziła, usłyszeć z ust signo

ty. Tamte pełne były tyranii, podstępów i cierpień; jej historia za to przesycona była uczuciem, którego nazwy nie śmiała nawet powiedzieć i dla którego nie umiałaby nigdy znaleźć żadnego pełnego skromności i wstydlivości określenia — była to historia miłości.

Czasami Gertruda czuła się po trosze dotknięta tą powściągliwością. Ale przecież przebijało przez nią tyle uprzejmości, szacunku, wdzięczności, zaufania! Czasem też irytowała signorę subtelna, niezmiernie wrażliwa wstydlivość dziewczęcia; ale te przelotne uczucia ustępowały wobec myśli niezrównanej słodyczy, powracającej zawsze, ilekroć spozrzała na Lucję: „Czynię jej dobro!” I była to prawda; bo te rozmowy, to serdeczne współzycie były dla Lucji niemniej krzepiące niż samo poczucie bezpieczeństwa. Innego rodzaju pokrzepienie znajdowała ona w nieustannej pracy. Prosiła wciąż, żeby jej dawano dużo do roboty. Także i do rozmównicy zabierała zawsze z sobą szycie, by dać zajęcie rękom. Ale bolesne myśli, choć odpędzane, zawsze znajdują sobie drogę powrotu; kiedy tak szyła i szyła (co było zresztą dla niej prawie nowym zajęciem), stawało przed oczyma Lucji jej wrzeczono, a w ślad za nim ileż przeróżnych rzeczy!

Następnego czwartku pojawił się znowu tamten rybak czy też inny jakiś posłaniec z pozdrowieniami od ojca Cristoforo i potwierdzeniem wiadomości o szczęśliwej ucieczce Renza. Nic bliższego o jego przygodach kapucyn się nie dowiedział; jakeśmy już wspominali poprzednio, spodziewał się on otrzymać dokładniejsze wiadomości od owego mnicha z Mediolanu, którego opiece polecił był Renza. Tamten jednak odpisał, że nie widział ani listu, ani osoby; że podobno ktoś przybyły ze wsi pytał o niego w klasztorze, ale nie zastawszy go poszedł i nie pokazał się więcej. Trzeciego czwartku nie przyszedł nikt. Dla biednych wygnanek było to nie tylko pozbawieniem wyczekiwanej i upragnionej pociechy, ale także źródłem niepokoju i mnóstwa przykrych przypuszczeń; tak to już bowiem jest, że najbłahsza rzecz przysparza nowej troski tym, którzy już i tak przeżywają zmartwienia i kłopoty. Już i przedtem Agnese myślała, żeby wybrać się do domu. Niezjawienie się obiecanego posła utwierdziło ją w tym zamiarze. Lucji ciężko było zdecydować się na wypuszcze

nie z rąk matczynej spódnicy; ale z drugiej strony korciło ją, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, a poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawała w tym tak strzeżonym i uświęconym schronieniu, złagodziło znacznie jej niechęć. Uradziły więc wspólnie, że Agnese wyjdzie nazajutrz na gościniec, postara się spotkać rybaka, który powinien by tego dnia wracać tamtędy z Mediolanu, i poprosi go pięknie, żeby podwiózł ją na swoim wózku w pobliże rodzinnych gór. Spotkała go rzeczywiście i zapytała, czy ojciec Cristoforo nie dał mu żadnego dla nich zlecenia. Ale rybak, jak się okazało, spędził cały dzień poprzedni na połowie i o ojcu Cristoforo nic nie wiedział. Agnese nie musiała wcale prosić o przysługę, jakiej sobie życzyła; pożegnała signorę i córkę, uroniła parę łez obiecując niezwłocznie przysłać o sobie wiadomość i wrócić jak najprędzej, po czym ruszyła w drogę.

W podróży nie wydarzyło się nic szczególnego. Na krótki nocny spoczynek zatrzymali się w oberży, a przed świtem ruszyli dalej. Wczesnym jeszcze rankiem zajechali do Pescarenico. Agnese wysiadła na placyku przed klasztorem żegnając towarzysza podróży licznymi „Bóg zapłać”. A skoro już tam była, pomyślała, że zanim pójdzie do swojej wsi, warto by zobaczyć dobrego mnicha, swego dobroczyńcę. Pociągnęła sznur dzwonka; otworzył jej brat Galdino, ten od orzechów.

— O moja pocziwa niewiasto, jakiż wiatr was tu przywiął?

— Przychodzę do ojca Cristoforo.

— Do ojca Cristoforo! Nie ma go.

— O! A nierychło wróci?

— Ba! — odpowiedział braciszek wzruszając ramionami i chowając łysą głowę w głąb kaptura.

— Dokąd poszedł?

— Do Rimini.

— Do...?

— Do Rimini.

— Gdzie to jest?

— Ho, ho — rzekł braciszek przecinając dłonią powietrze ruchem oznaczającym, że to gdzieś bardzo daleko.

— O, ja nieszczęsna! Jakże to on poszedł tak niespodzianie?

— Tak mu nakazał ojciec prowincjał.

— I czemuż go stąd zabrali? Stąd, gdzie tyle dobrego czynił! O Boże!

— Gdyby zwierzchnie władze musiały tłumaczyć swoje rozkazy, w cóż by się obróciło posłuszeństwo, niewiasto?

— No tak. Ale to moje nieszczęście.

— Wiecie, co wam rzekę? Nie może inaczej być, jeno w Rimini potrzebują dobrego kaznodziei. Prawda, że mamy ich wszędzie. Ale bywa, że właśnie ten, a nie inny jest gdzieś potrzebny. Tak mi się widzi, że chyba tamtejszy prowincjał napisał do naszego ojca prowincjała zapytując o takiego właśnie kaznodzieję. A nasz ojciec prowincjał ani chybi pomyślał sobie: „Na to potrzeba tylko ojca Cristoforo.” Tak to musiało być, nie inaczej!

— O, my nieszczęśni! Kiedyż stąd wyruszył?

— Pozawczoraj.

— Otóż to! Żeby była posłuchała natchnienia, by się tu wybrać parę dni wcześniej! I nie wiadomo nic, kiedy powróci? Nawet tak mniej więcej?

— Ej, niewiasto! Wie to jeno ojciec prowincjał, jeśli w ogóle ktoś wie! Kiedy któryś z naszych kaznodziei raz wyfrunie, nikt nie wie, na jakiej gałęzi w końcu przysiedzie. To tu, to tam go wzywają; a mamy przecie klasztory po wszystkich czterech częściach świata! Możecie mi wierzyć — ojciec Cristoforo niemało uczyni hałasu w Rimini swoimi wielkopostnymi kazaniami! Bo nie zawsze on tak sobie mówi, jak tu u nas, do rybaków i chłopów. Na miejskie ambony ma on piękne, pisane kazania. A ile ich! No więc jak się rozejdzie po świecie, że tu czy tam przebywa wielki kaznodzieja, to mogą po niego znów przysłać z... czy ja wiem skąd? A jak tak, to wnet go tam i poślą. Bo jako że my żyjemy z jałmużny całego świata, słuszne jest, byśmy całemu światu służyli.

— O Boże mój, Boże! — wykrzyknęła Agnese niemal z płaczem. — Cóż ja bez tego człowieka pocznę! Toć był dla nas jak ojciec! A tak, to już nasz koniec.

— Posłuchajcież, niewiasto, ojciec Cristoforo był niewątpliwie nie byle kto; aleć przecie mamy i innych, nie wiecie to? Pobożnych i uczonych, takich, co to zarówno z panami, jak i z biedotą gadać potrafią. Chcecie ojca Atanasio? Albo ojca Girolamo? A ojciec Zaccaria? Toć chyba nie jesteście taka jak poniektórzy głupcy i nie zważacie na to, iż jest chuderlawy i głosik ma skrzypiący, i tę bród

kę taką mizerną? Nie po to gadam, bym go musiał zachwalać, toć każdy i bez tego wie, co on jest wart. Ot, po prostu daję wam dobre rady.

— O, na miły Bóg! — wykrzyknęła Agnese z tą mieszaniną wdzięczności i zniecierpliwienia, jaką odczuwamy słuchając przemowy, w której więcej się można doszukać dobrej woli aniżeli pożytku. — Cóż mi po tym, czy ktoś jest taki, czy inny, skoro ten, którego tu zabrakło, wszystko o naszych sprawach wiedział i wszystko obmyślił ku naszej pomocy!

— Ano, skoro tak, to trzeba czekać cierpliwie.

— To i ja wiem — odrzekła Agnese. — Darujcież, zem was niepokoiła.

— Cóż tu do darowania? Markotno mi o was. A jak się namyślicie szukać pomocy u któregoś z naszych ojców, toć klasztor zawsze będzie stał, gdzie stoi. No, wkrótce mnie znów ujrzycie, jak pójde po kweście po oliwę.

— Bądźcie zdrowi — rzekła Agnese i ruszyła w drogę do swojej wioski, zrozpaczona, zmieszana, wytrącona z równowagi jak biedny ślepiec, kiedy zgubi swój kostur.

Znając tę sprawę nieco lepiej niż brat Galdino, mamy możliwość wyjaśnić, jak to naprawdę było. Natychmiast po przybyciu do Mediolanu Attilio, zgodnie z daną don Rodrigowi obietnicą, udał się w odwiedziny do ich wspólnego stryja, członka Tajnej Rady — Rada ta składała się wówczas z trzynastu cywilnych i wojskowych dostojników, których zdania zasięgał gubernator i którzy w razie śmierci lub ustąpienia gubernatora sprawowali czasowo władzę w jego zastępstwie. Hrabiastrij, dygnitarz cywilny, jeden z najdawniejszych członków Rady, zażywał w niej niemałego znaczenia; a pod względem wykorzystywania tego znaczenia i objawiania go wobec innych nie miał równego sobie. Dwuznaczne, niejasne wypowiedzi, chwile wiele mówiącego milczenia, urywane w pół słowa, przemykanie oczu oznaczające: „Nie mogę o tym mówić”, łudzenie bez przyrzekania, groźby zamaskowane uprzejmością — wszystko to zmierzało do tego jednego celu i wszystko w mniejszym czy większym stopniu cel ten osiągało. Nawet słowa: „Nie mogę nic w tej sprawie uczynić”, wypowiedziane zazwyczaj zgodnie z prawdą, ale takim tonem, żeby im nikt nie uwierzył, przyczyniały się do wzmożenia powszechnej wiary w jego potęgę, a zatem i potęgi samej. By

ło to jak z owymi szkatułami, jakie spotyka się jeszcze czasem w aptekach: widnieją na nich tajemnicze arabskie słowa, wewnątrz zaś nic nie ma; dodają jednak sklepowi niewątpliwej powagi. Znaczenie hrabiegostryja, od wielu lat wznoszące się bardzo maleńkimi kroczkami, w ostatnich czasach wzrosło raptownie, uczyniło, można powiedzieć, krok olbrzyma, a to dzięki nadzwyczajnej okazji: podróży do Madrytu z pewną misją dworską. Warto było posłuchać, jak go tam według własnych jego relacji przyjmowano. Dość powiedzieć, że hrabiaksiążę traktował go ze szczególną atencją i zaliczał do swoich zaufanych przyjaciół: posunął się w tym aż tak daleko, że kiedyś w obecności niemal połowy dworu zapytał go, jak mu się Madryt podoba. Innym znów razem oświadczył mu w cztery oczy, stojąc z nim w niszy okiennej, że katedra mediolańska jest największą świątynią wszystkich krajów skupionych pod berłem króla. Przywitawszy dwornie hrabiegostryja i przedłożywszy mu pokorne służby kuzyna, Attilio przemówił z powagą, jaką umiał przybrać w potrzebie:

— Sądzę, iż spełnię swój obowiązek i nie zdradzę zaufania Rodriga ostrzegając pana stryja w pewnej delikatnej materii, która bez jego interwencji może przybrać poważne rozmiary i zgubne pociągnąć skutki...

— Znów się w coś wplątał, sądzę?

— W imię sprawiedliwości muszę zaświadczyć, iż tym razem mój kuzyn winy nie ponosi. Ale jest porywczy. A jakom rzekł, jedynie nasz pan stryj byłby w stanie...

— Do rzeczy, do rzeczy!

— Jest tam pewien mnich, kapucyn, który zawziął się na Rodriga; i doszło do tego...

— Wieleż razy powiadałem wam, jednemu i drugiemu, byście mnichów zostawili w spokoju? Dość mają z nimi kłopotów ci, co muszą... ci, do których należy... — Westchnął i dodał po chwili: — Ale wy, którzy możecie tego uniknąć...

— Panie stryju, co do tego, to poczytuję sobie za obowiązek wyjaśnić, iż Rodrigo sam skłonny był go unikać, gdyby mógł. Ale ten mnich zawziął się na niego i jął prowokować na wszelkie możliwe sposoby.

— A czegoż, u diabła, ten mnich chce od mego bratanka?

— Przede wszystkim jest to już warchoł z natury, powszechnie z tego znany, że lubi zadzierać ze szlachtą. Opiekuje on się, kieruje czy licho wie co, pewną wiejską dziewczuszką. Żywi dla niej uczucia... uczucia... może nie tyle miłosierne, ile zazdrosne, podejrzliwe, tyrańskie...

— Pojmują — rzekł hrabiastyj. Jego dość niemrawe z natury oblicze, która to niemrawość przesłonięta została z biegiem czasu przebiegłym wyrazem wytrawnego polityka, rozbłysło na moment złośliwym uśmiechem.

— Otóż od jakiegoś czasu — ciągnął Attilio — ów mnich wbił sobie w głowę, jakoby Rodrigo miał na tę dziewczkę jakieś zamiary...

. — Wbił sobie w głowę... wbił sobie w głowę... no, no, już ja dobrze znam mości Rodriga; nie takiego jak ty, kawalerze, musiałyby mieć adwokata, żeby go w tej materii zdołał wybielić...

— Panie stryju, że Rodrigo mógł sobie pożartować z tą dziewczyną spotkawszy ją na drodze, nie trudno mi uwierzyć; toć jest młody i ostatecznie nie jest przecie kapucynem. Ale to są drobnostki, którymi pana stryja nie śmiałym niepokoić... ważne jest to, że ów mnich jął gadać o Rodrigu niby o jakimś hultaju, podburzać przeciwko niemu całą okolicę...

— No a inni kapucyni?

— Nie wtrącają się w to; wiedzą, że tamten to szalona pałka, a dla Rodriga żywią szacunek. Z drugiej przecie strony ów mnich zażywa pośród wieśniaków wielkiego znaczenia, jako że udaje przed nimi świętego i...

— Nie ma chyba o tym pojęcia, że Rodrigo jest moim bratankiem...

— Nie wie? Toż to właśnie najbardziej go podjudza.

— Jak to? Jak to?

— A tak; rozpowiada na wsze strony, jaką to szczególną radość mu sprawia rzucanie gromów na Rodriga, a to dlatego, że ma on naturalnego obrońcę, i to tak potężnego, w osobie waszej miłości. Onże zaś mnich za nic ma wielkich panów i mężów stanu; że sznur świętego Franciszka mocen jest wiązać nawet szpady...

— A zuchwały mnich! Jak on się zwie?

— Brat Cristoforo z — rzekł Attilio, a hrabia wydo

był z szufladki swego stołu notatnik i sapiąc ze złości wpisał doń owo biedne imię. Tymczasem Attilio ciągnął:

— Zawsze był taki; wie się coś niecoś o jego przeszłości. Hołysz to był, ale że miał trochę grosza, zachciało mu się dorównać najświetniejszym w tamtych stronach kawalerom... Z wściekłości, że ich zaćmić nie może, zabił jednego z nich. I wtedy to, by umknąć szubienicy, przedzierzgnął się w mnicha.

— Wspaniale! Pięknie! Zobaczmy jeszcze! — wykrzykiwał nie przestając sapać hrabia.

— Teraz — perorował dalej Attilio — wściekł się bardziej niż kiedykolwiek, bo nie udał mu się pewien zamysł mocno mu na sercu leżący. Z niego to wnet pan stryj zobaczy, jaki to jest człowiek. Umyślił on wydać za mąż tę swoją... córkę duchową. Może po to, by ją wyrwać spośród niebezpieczeństw tego świata — pan stryj pojmuje mnie zapewne? — a może z innej przyczyny, dość że koniecznie chciał ją wyswatać. Znalazł też dla niej... oblubieńca. Także jego wychowanek. Człek, którego nazwisko niechybnie już i o pana stryjowe uszy się obilo; wiadomo mi bowiem, że Tajna Rada miała coś niecoś z tym zacnym młodzianem do czynienia...

— Któż to taki?

— Niejaki Lorenza Tramaglino, przędzacz jedwabiu, ten sam, który...

— Lorenza Tramaglino! — wykrzyknął hrabia stryj. — Ależ przednio! Doskonale, mój kapucynie! Istotnie... bez wątpienia... miał on list do... szkoda wielka, że... Ale mniejsza o to. Doskonale. Tylko czemuż to imię Rodrigo nie pisnął mi ani słówka o tym wszystkim? Czemu dopuścił, by rzeczy zaszły tak daleko, miast zwrócić się do tego, u kogo znalazłby dobrą radę i poparcie?

— Powiem szczerą prawdę — rzekł Attilio. — Z jednej strony wiedząc, jaki nawał spraw wszelkich spoczywa na barkach panastryjowych... — tu hrabiastryj, mocno sapiąc, uczynił dłonią gest wyrażający cały niezmierny trud dźwigania owych spraw — odczuwał on skrupuły na myśl o dodaniu do nich. jeszcze jednej sprawy; prócz tego... ale powiem już wszystko szczerze: o ilem go zrozumiał, tak dalece jest rozgniewany, wytrącony z równowagi nikczemnymi napaściami tego mnicha, że, obawiam się, więcej ma

chęci sam sobie wymierzyć sprawiedliwość jakimś doraźnym sposobem aniżeli uzyskać ją zwykłą drogą, zawdzięczając ją rozwadze i potędze pana stryja. Staralem się go pohamować, ale widząc, że rzecz coraz gorszy bierze obrót, uznałem za swoją powinność powiadomić o wszystkim pa. na stryja jako głowę i podporę rodu...

— Lepiej byś uczynił przychodząc z tym do mnie nieco wcześniej.

— Prawda. Alem się ludził nadzieją, że się to rozejdzie po kościach, że albo mnich sam się w końcu opamięta, albo że wyniesie się dokądś z tamtego klasztoru, jak to często bywa z tymi braciszkami, co to raz są tu, raz tam; a takim sposobem byłby temu koniec... Ale...

— A teraz na mnie spadnie zaprowadzenie w tym ładu.

— Takem i ja myślał. Rzekłem sobie: jeden tylko pan stryj ze swoją roztropnością, swoją powagą potrafi zapobiec skandalowi i ocalić honor Rodriga, a zarazem przecie i swój. Ten mnich lubi się powoływać na sznur świętego Franciszka. Ale z tego sznura nie tylko ci mogą mieć pożytek, którzy go na własnym brzuchu noszą; pan stryj ma setki sposobów, o których ja nie mam pojęcia. Wiem chociażby, że ojciec prowincjał żywi dlań ogromną atencję; i w razie, gdyby pan stryj takiego był mniemania, że w tym wypadku zmiana powietrza poszłaby mnichowi na zdrowie, dwa jego słówka starczyłyby...

— Zostaw myślenie temu, komu ono przystoi, mości panie — przerwał dość szorstko hrabiastryj.

— Prawda! — wykrzyknął Attilio trzęsąc głową i uśmiechem wyrażając sobie samemu politowanie. — Mnież to przystoi dawać rady panu stryjowi! Ale przemawia tu przeze mnie namiętne przywiązanie, jakie żywię do naszego rodu. Obawiam się, że jeszcze i w drugiej rzeczy pobłądził — dodał z wyrazem zatroskania — a mianowicie, że zaszkodził Rodrigowi w opinii pana stryja o nim. Nigdy bym sobie nie darował, gdybym stał się przyczyną panastryjowego mniemania, jakoby Rodrigo nie odnosił się doń z należyтым zaufaniem i uległością. Raczcież uwierzyć mi, panie stryju, iż w tym właśnie przypadku...

— No, dość, dość. Już wy tam sobie krzywdy nie zrobicie! Będziecie niechybnie w przyjaźni, aż póki jeden

z was nie dojdzie do rozumu. Szalone pałki, wiecznie coś nowego wymyślcie, a na mnie potem spada doprowadzanie tego do ładu, aż... byłbym przez ciebie palnął głupstwo; więcej mi wy obaj przysparzacie kłopotów aniżeli — tu zasapał gniewnie — wszystkie te diabelne sprawy państwowe.

Attilio wypowiedział jeszcze parę przeproszeń, parę obietnic i parę uprzejmych komplementów; potem pożegnał się i odszedł wysłuchawszy przestrogi: „I miej trochę rozumu”, jaką stryj niezmiennie obdarzał swoich bratanków na pożegnanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ktokolwiek widząc na źle uprawnym polu chwast jakiś, na przykład wybujałą kępę dzikiego szczawiu, chciałby odgadnąć, czy wyrósł on z nasienia rośliny rosnącej poprzednio w tym samym miejscu, czy też ziarenko jego przyniósł wiatr albo upuścił ptak w locie — choćby nie wiem jak długo łamał sobie nad tym głowę, nie zdoła nigdy dojść do żadnego wniosku. Tak samo i my nie potrafilibyśmy orzec, czy to we własnym mózgu hrabiegostryja zrodziła się ta myśl, czy też nasunęły ją sprytnie napomknienia Attilia — że najlepiej będzie posłużyć się ojcem prowincjałem jako narzędziem do przecięcia tego tak zawikłanego węzła. To pewne, że Attilio wcale nie przypadkowo rzucił to słówko; a choć mógł się spodziewać, że na taką prawie nie zamaskowaną radę ponura pycha hrabiegostryja stanie okoniem, przecież za wszelką cenę chciał błysnąć przed jego oczyma tym projektem i skierować go na drogę, którą uważał za pożądaną. Z drugiej strony sposób ten był tak . dalece zgodny z charakterem hrabiego i tak się sam w tych okolicznościach nasuwał, że byłby on wpadł nań niechybnie nawet bez jakiegokolwiek podszeptu. Chodziło wszakże o to, by w tej wojnie, niestety, nieomal otwartej, członek jego rodu, jego własny bratanek, nie został zwyciężony.

Zależała od tego jego reputacja potężnej i wpływowej osobistości, tak bardzo leżąca mu na sercu. Gdyby ów bratanek sam sobie wymierzył sprawiedliwość, byłoby to lekarstwo gorsze od choroby, istny posiew kłębki. Trzeba było temu za wszelką cenę i nie tracąc czasu zapobiec. Kazać mu opuścić natychmiast swoją wiejską siedzibę? Nie posłuchałby. A gdyby nawet, to byłoby to ustąpieniem z pola, byłoby porażką rodu w starciu z klasztorem. Rozkaz, prawo — wszelkie takie straszaki nie miały mocy wobec tego

rodzaju przeciwnika. Kler, zarówno świecki, jak i zakonny, był dla jurysdykcji państwowej nietykalny: nie tylko osoby, ale i miejsca zamieszkałe przez zgromadzenia religijne, jak to zresztą powinno być wiadome nawet takim, którzy nic poza niniejszą powieścią nie czytali; co nie byłoby zresztą chwalebne! Jedynym na takiego przeciwnika sposobem było postarać się go jakoś z tego miejsca oddalić. Osiągnąć to zaś można było tylko za pośrednictwem ojca prowincjała, pod którego władzę podpadały wszelkie zmiany miejsca pobytu zakonników.

Otóż ojciec prowincjał i hrabiastryj byli to starzy znajomi. Widywali się wprawdzie rzadko, ale zawsze z głośnymi objawami przyjaźni i przesadną gotowością do wzajemnych usług. A bywa tak nieraz, że lepiej mieć do czynienia z kimś, kto stoi ponad wielu jednostkami, niż z jedną z nich; dostrzega ona bowiem jedynie swoją własną sprawę, rozumie tylko własne namiętności, dba tylko o to, co jej dotyczy; podczas gdy ów zwierzchnik może objąć wzrokiem tło różnych powiązań, tło przyczyn i skutków, tło korzyści do osiągnięcia i niebezpieczeństw do zażegnania; stąd też można doń od stu stron podchodzić.

Wszystko gruntownie rozważywszy, hrabiastryj zaprosił pewnego dnia ojca prowincjała na obiad i z niezmierną starannością dobrał pozostałych gości. A więc znalazł się tam któryś z najwyższej utytułowanych krewnych, takich, że samo skoligacenie z nimi starczyło za nie byle jaki tytuł, i którzy samym zachowaniem, wrodzoną pewnością siebie, wielkopańską wyniosłością, z jaką mówili zazwyczaj o wielkich rzeczach w familiarnie poufały sposób — roztaczali dokoła siebie, może nawet niechcący i nieświadomie, atmosferę wyższości i potęgi. Dalej paru „klientów” domu związanych z rodem przechodzącą z pokolenia w pokolenie zależnością, a z samym hrabią — wierną, dożywotnią służbą; ci znów jak zaczynali potakiwać już przy zupie, czyniąc to głosem, oczyma, uszami, całą głową, ba, całą postacią i całą duszą, tak do chwili podania owoców potrafili doprowadzić człowieka do zapomnienia, że istnieje na świecie słówko „nie”.

Przy stole pan domu bardzo szybko sprowadził rozmowę na temat Madrytu. Wiele dróg prowadzi do Rzymu; dla hrabiego każda droga wiodła do Madrytu. Mówił o dworze, o hrabimksięciu, o ministrach, o rodzinie gubern

tora, o walce byków, którą mógł opisać jak najdokładniej, jako że asystował jej z najbardziej uprzywilejowanego, miejsca, o Eskurialu, który znał aż do najdrobniejszego szczegółu, ponieważ jeden z faworytów hrabiegoksięcia oprowadzał go po wszystkich zakamarkach pałacu. Przez długi czas całe towarzystwo słuchało, niby wierni podczas kazania, wyłącznie jego; później rozbiło się na rozmawiające oddzielne grupki, gospodarz zaś dalej prawił o tych samych pięknych rzeczach, ale już bardziej poufnie, do siedzącego obok ojca prowincjała, który cierpliwie pozwalał mu się wygadać. W końcu jednak wtrącił się w ten monolog odwracając go od Madrytu i zręcznie przeskakując z jednego dworu na drugi, z jednego dygnitarza na innego, sprowadził rozmowę na kardynała Barbermi, który był

kapucynem i bratem ni mniej ni więcej tylko samego obecnego papieża Urbana VIII. Hrabiastryj uznał za konieczne dać się z kolei nieco wygadać gościowi i słuchał go uprzejmie mówiąc sobie w duchu, że, ostatecznie, na tym świecie nie tylko wielcy są potrzebni. Wkrótce wstano od stołu i hrabia poprosił prowincjała, aby przeszedł z nim do innej komnaty. Dwie potęgi, dwie siwizny, dwa doświadczenia stanęły naprzeciw siebie. Wielmoża poprosił, by wielbny ojciec usiadł, sam usiadł także i rozpoczął:

— Przyjaźń, jaka nas wzajem łączy, pozwala mi zwrócić się do waszej wielbności w sprawie zarówno nas obu obchodzącej. Sądzę, że lepiej, byśmy ją we dwóch rozstrzygnęli, miast wkraczać na inne drogi które by mogły... Tak więc szczerze, z sercem na dłoni, chcę wyjaśnić waszej wielbności, o co rzecz idzie. W dwóch słowach, pewien jestem, dojdziemy do porozumienia. Powiedzcież mi, proszę: jestli w waszym klasztorze w Pescarenico niejaki ojciec Cristoforo z***?

Prowincjał skinął twierdząco głową.

— Powiedzcież, mi zatem, wasza wielbność, ale szczerze, bez ogródek, jak między przyjaciółmi... ten człowiek... ten brat... Nie znam go, choć spośród ojców kapucynów znam wielu; ludzie to ze szczerego złota, gorliwi, rozważni, pokorni; od dziecięcych lat byłem szczerym przyjacielem zakonu. Ale wiadomo, w każdej dość licznej rodzinie... może trafić się ktoś... ktoś... Ów ojciec Cristoforo, dochodzą mnie słuchy, jest człowiekiem... można by rzec, nieco niezrównowazonym... Nie posiada tej rozwagi, nie Umie

zachować tych względów, jakie by mu przystały... Ręczę, że niejedną raz musiał waszej wielbności przysporzyć troski.

„Rozumiem, ciężka sprawa — pomyślał prowincjał. — Moja to własna wina; toć wiedziałem zawsze, że tego utrapionego Cristoforo należy wciąż przenosić od ambony do ambony, by nigdzie dłużej niż pół roku miejsca nie zagrzewał... a zwłaszcza w wiejskim klasztorze.”

— O! — rzekł. — Przykro to zaprawdę, że wasza wielmożność takie żywi o ojcu Cristoforo mniemanie. Bowiem o ile mnie wiadomo, jest to zakonnik... wzorowy w klasztorze, a prawdziwą czią otaczany poza jego murami.

— Pojmuję to dobrze... Wasza wielbność musi... A przecież, przecież jako szczerzy przyjaciel pragnę powiadomić go o czymś, czego dowiedzieć się będzie dla waszej wielbności z niewątpliwym pożytkiem; jeśli zaś przypadek zdarzył, iż rzecz ta doszła już do uszu waszej wielbności, mogę nie sprzeniewierzając się mym obowiązkom ukazać mu, co z tej sprawy wyniknie... wymknąć może: nie rzeknę nic więcej. Otóż ten ojciec Cristoforo protegował pewnego człowieka z tamtych stron, człowieka... wasza wielbność musiał niechybnie słyszeć o nim: to ten, który w tak gorszący sposób wyrwał się z rąk sprawiedliwości po wszystkim, co wyczyniał owego piekielnego dnia świętego Marcina... Lorenza Tramaglino!

„Aj!” — syknął w duchu prowincjał, a głośno rzekł:

— Rzecz to dla mnie nowa. Aleć waszej wielmożności wiadomo, że do naszych obowiązków należy szukać takich, którzy zesłi na manowce, by ich sprowadzić...

— Dobrze, dobrze. Ale roztaczać opiekę nad pewnym rodzajem błądzących... Są to rzeczy trudne i delikatne — tu, zamiast nadąć swoim zwyczajem policzki i dmuchnąć, hrabia zacisnął usta i wciągnął nosem tyle powietrza, ile go zwykł wypuszczać dmuchając. Po czym ciągnął dalej: — Poczytywałem sobie za obowiązek ostrzec waszą wielbność w tej materii, gdyby bowiem jego ekscelencja pan gubernator... gdyby poczyniono w. Rzymie jakieś kroki... nie wiem nic, gdyby jednak z Rzymu nadesłano...

— Jestem niezmiernie wdzięczny waszej wielmożności za to ostrzeżenie; wszelako jestem spokojny, że jeśli rzecz ta, zostanie dokładnie zbadana, okaże się jasno, iż jeśli ojciec Cristoforo miał z tym człowiekiem coś do czynienia,

to jeno to, że go próbował przywieść do opamiętania. Ojca Cristoforo znam dobrze.

— Niewątpliwie też wie wasza wielbność lepiej ode mnie, kim on był w świeckim stanie i co wyprawiał za młodu.

— Stanowi to chwałę naszej sukienki, panie hrabio, iż ten, o kim w świeckim stanie niejedno można było rzec, z chwilą gdy ją oblecze, staje się innym człowiekiem. A odkąd ojciec Cristoforo nosi Habit...

— Pragnąłbym temu wierzyć. Z głębi serca powiadam: pragnąłbym temu wierzyć. Wszelako bywa, że jak mówi przysłowie, habit nie czyni mnicha.

Nie było to najodpowiedniejsze w tej sytuacji przysłowie, ale hrabia zastąpił nim naprędce inne, które miał już na końcu języka: „Wilk — choć sierść zmieni — wilkiem zostanie.”

— Posiadam zeznania — ciągnął dalej — wiarygodne świadectwa...

— Jeśli wasza wielmożność wie z całą pewnością, iż zakonnik ten popełnił błąd jakiś, wszyscy wszakże błądzimy, tedy winienem mu prawdziwą wdzięczność za powiadomienie mnie o tym. Jestem jego przełożonym, niegodnym, prawda; ale jestem nim po to właśnie, by naprawiać zło i by mu. zapobiegać.

— Powiem wszystko: prócz tej ubolewania godnej okoliczności — jawnej opieki tego zakonnika nad owym, któremu wymienił, człowiekiem — jest jeszcze druga sprawa, niemniej brzydka i która mogłaby... Ale my tu wspólnie doprowadzimy do ładu obie za jednym zamachem; otóż ten sam ojciec Cristoforo wielce się naraził memu bratankowi, don Rodrigowi***.

— O, to rzecz przykra, przykra w istocie, pożałowania godna...

— Mój bratanek jest młody, zapalczywy i, rzecz zrozumiała, nie zwykł dać się bezkarnie prowokować.

— Do mnie tedy należy sumiennie zbadać rzecz podobną. Jakem już waszej wielmożności rzekł, a mówię wszakże z kimś, kto obdarzony jest w równej mierze poczuciem sprawiedliwości, jak znajomością świata, wszyscyśmy ludźmi z krwi i kości, wszyscy możemy się mylić... tak po jednej, jak po drugiej stronie. Jeśli tedy ojciec Cristoforo obraził...

— Posłuchajcie, wasza wielbność; są to sprawy, jakem już rzekł, które winniśmy załatwić między sobą i wnet o nich zapomnieć; zbytnie rozgrzebywanie jedynie pogorszyć je może. Wasza wielbność wie, jak to bywa: te starcia, te zwady, które zaczynają się od drobiazgu i rosną, rosną... A jeśli kto chce dogrzebać się w nich do dna, to albo nie zdoła, albo setki dalszych powikłań na światło wydobędzie. Tłumić, ucinać, tak, ojczyste wielce świątobliwy, ucinać, tłumić. Mój bratanek jest młody; ów braciszek, jako słyszę, ma także ducha i... skłonności młodzieńca; trzeba tedy nam, którzy już mamy swoje lata... niestety, cóż, ojczyste wielce świątobliwy?

Kto by ich widział w tym momencie, doznałby takiego wrażenia, jak kiedy w trakcie poważnej opery nagle przez pomyłkę odsunięta zostanie jakaś część dekoracji ukazując śpiewaków pogrążonych w swobodnej rozmowie i nie myślących w tej chwili zgoła o tym, że istnieje na świecie publiczność. Twarz, ruchy i głos hrabiegostryja były w chwili, kiedy wypowiadał owo „niestety!”, zupełnie naturalne; nie było w nich polityki, ale szczerą przykrość, jaką mu sprawiała myśl o latach, jakie dźwigał na sobie.

I to nie dlatego, żeby żałował tak dalece rozrywek, powabów i ognia młodości; była to w jego oczach lekkomyślność, głupota, marność; przyczyna jego żalu była znacznie poważniejsza: oto miał on nadzieję uzyskania pewnego wyższego stanowiska z chwilą, kiedy się ono opróżni, i bał się, czy tego upragnionego momentu doczeka. Gdyby to stanowisko osiągnął, możecie być pewni, że nie troszczyłby się już więcej o mijające lata, nie pragnąłby niczego więcej i umarłby w końcu zadowolony. Tak przynajmniej zawsze zapewniamy ci, którzy mocno czegoś pragną; to obiecują na wypadek osiągnięcia upragnionego celu.

— Naszą jest rzeczą — ciągnął hrabia — mieć rozum za młodych i naprawiać ich błędy. Szczęściem nie jest jeszcze za późno; póki rzecz nie nabrała rozgłosu, jest jeszcze czas po temu, by wkroczyć tu na zasadzie principiiis obsta. Oddalić

zarzewie od słomy. Bywa nieraz, że ktoś, kto w jednym miejscu nie sprawia się należycie i może być przyczyną pożalowania godnych wydarzeń, gdzieś indziej będzie doskonały. Wasza wielbność potrafi bez wą

pienia znaleźć właściwe dla tego zakonnika miejsce. A jest jeszcze i druga okoliczność... nie trzeba, by ten, komu może zależeć' na jego oddaleniu, cokolwiek tu podejrzewał... Umieszczając braciszka w jakimś oddalonym nieco klasztorze upieczemy przy jednym ogniu dwie pieczenie; tym sposobem wszystko samo się ułoży, a raczej ściślej mówiąc wszystko będzie w niezmaconym porządku.

Takiej konkluzji ojciec prowincjał spodziewał się od samego początku rozmowy. „No — myślał sobie — widzę ja dobrze, dokąd ty zmierzasz. Jak zawsze; niech jeno jakowyś nieszczęsny braciszek narazi się tobie czy komuś z twoich, niech wam stanie na zawadzie, już nie dociekając zgoła, czy zawinił, czy też słuszność jest po jego stronie, żądacie, by go jego władza sprzed waszych oczu usunęła.”

Kiedy hrabia skończył i z mocą wypuścił powietrze, co u niego równało się postawieniu końcowej kropki, prowincjał odezwał się:

— Pojmuję znakomicie, co pan hrabia chce tu wyrazić; lecz zanim uczynię krok jakiś...

— To, co czynimy, jest krokiem, ale zarazem nim nie jest, najwielebniejszy ojciec; jest to rzecz zwykła, wielce naturalna, natomiast, gdybyśmy tego środka nie użyli, i to natychmiast, spodziewać by się należało nieprzeliczonych szkód i nieporządków... Nie posądzam mego bratanka o jakieś szaleństwo", na to ja jestem, bym temu zapobiegł; ale skóro rzecz zaszła już tak daleko, jeśli my nie przetniemy jej nie tracąc czasu i jak najbardziej stanowczo, to niewątpliwie nie zatrzyma się na tym, nie uchroni się od rozgłosu... A wówczas już nie tylko o mego bratanka będzie chodziło... to będzie kij w gnieździe os, wielbny ojciec. Pojmuje ojciec: jesteśmy możnym rodem, mamy stosunki...

— Rozległe.

— Sam ojciec widzi. Wszystko to ludzie, co mają krew, nie wodę w żyłach i którzy na tym świecie... choćby kto był nie wiem jak pokojowo usposobiony... Byłoby to dla mnie nad wyraz bolesne, gdybym musiał... ja, którym miał zawsze tyle dla ojców kapucynów życzliwości!... Ojcowie, by móc czynić swoją świętą powinność ku powszechnemu zbawieniu, muszą mieć spokój, nie mieć starć żadnych, żyć w zgodzie i harmonii z tymi, którzy... A zresztą, ojcowie

mają wszak także świeckich krewnych... a te utrapione sprawy honorowe, jeśli się przeciągają, to się i rozszerzają zarazem, rozgałęziają, wciągają pół świata. Co do mnie, urząd, jaki piastuję, zmusza mnie do podtrzymywania pewnego decorum. Jego ekscelencja... moi szanowni koledzy... każda taka rzecz staje się sprawą ogólną... zwłaszcza wobec tamtej drugiej okoliczności... wasza wielbność wie wszakże, jak się toczą te sprawy...

— Co prawda — rzekł prowincjał — ojciec Cristoforo jest kaznodzieją i sam już myślałem... proszę mnie właśnie... Wszakże w tym momencie, w podobnych okolicznościach, mogłoby się to łącznie wydać karą; kara zaś, zanim rzecz została należycie zbadana...

— Nie kara, nie; jeno przewidujące zapobieżenie możliwym szkodom; środek podjęty dla wspólnego dobra gwoli uniknięcia pożalowania godnych wydarzeń... Rzecz wyłożyłem jasno.

— Pomiędzy panem hrabią a mną tak to wygląda w istocie; rozumiem to. Wszelako, jeśli rzeczy taki przybrały obrót, jak to waszej wielmożności przedstawiono, nie zdaje mi się możliwym, by w okolicy nic o tym nie mówiono. Wszędzie znajdują się mąciwody, podżegacze czy choćby nawet ciekawi złośliwcy, którzy niemało mają uciechy widząc niesnaski pomiędzy wielkimi panami a zakonnikami. A węszą, a dociekają, a gadają... Każdy winien dbać o swoje własne decorum; i ja jako przełożony, niegodny, mam niewątpliwy obowiązek... Powaga sukienki... toć to nie moja jeno rzecz, ale depozyt cenny, o który... Bratanek waszej wielmożności, skoro tak jest, jako wasza wielmożność mówi, zalterowany, mógłby w tym widzieć udzieloną jemu satysfakcję i... nie mówię, by się tym miał szczyścić, triumfować, ale...

— Tak sądzicie, ojcze wielebny? Mój bratanek jest godnym kawalerem i świat odnosi, się doń z należnym jego pozycji szacunkiem; wszelako wobec mnie jest niby pachole; nie uczyni ani mniej, ani więcej, ale to właśnie, co ja mu nakazę. Powiem więcej: mój bratanek wcale się o tym nie dowie. Alboż mamy obowiązek zdawać z tego komukolwiek sprawę? Są to rzeczy, które załatwiamy w cztery oczy, po przyjacielsku. I między nami winny

one pozostać. O to zatem może się wasza wielebność nie troskać. Nawykły jestem do milczenia. Zaś co się tyczy plotkarzy — cóż na dobrą sprawę mogą o tym gadać? Że kaznodzieja zakonny udaje się w inne miejsce, by tam nauczać? Toć to rzecz najzwyczajniejsza w świecie! A zresztą, my, którzy widzimy... którzy przewidujemy... do których należy... alboż powinniśmy dbać o ludzkie gadanie?

— Wszelako, by je uprzedzić, dobrze byłoby, gdyby bratanek waszej wielmożności objawił jakoś, złożył jakiś dowód niewątpliwej życzliwości swojej i szacunku... nie względem nas, ale naszego habitu...

— Zapewne, zapewne, to słuszne... Wiem, że kapucyni zawsze byli przez mego bratanka należycie traktowani; czyni tak z własnego popędu, boć taki duch panuje w naszym rodzie. Poza tym rad on czynić to, co mnie jest miłe. W tym zresztą wypadku... danie jakiegoś specjalnego dowodu będzie aż nadto słuszne. Niechże wasza wielebność zda się na mnie. Nakazę memu bratankowi wszystko, co trzeba; należy tu jednak postępować nader oględnie, iżby niczego się nie domyślił, co tu pomiędzy nami zaszło. Nie chciałbym, by się okazało, żeśmy przyłożyli plaster tam, gdzie rany nie było. A co do tego, cośmy tu uradzili, to im prędzej się to dokona, tym lepiej. Gdyby trafiło się jakoweś ustronie dość odległe... właśnie gwoli usunięcia wszelkiej okazji...

— Zwracano się do mnie właśnie o przysłanie kaznodziei do Rimini; kto wie nawet, czy i bez tego wszystkiego nie zwróciłbym oczu na...

— To doskonale się składa, doskonale. Kiedy zatem?

— Skoro już ma się tak stać, niechże się stanie jak najrychlej.

— Tak, tak, jak najrychlej, ojcze wielebny; co mamy uczynić jutro, czyńmy dziś. I — ciągnął dalej podnosząc się — jeśli mogę uczynić coś tak ja, jak i moja rodzina, dla naszych zacnych ojców kapucynów...

— Znamy wypróbowaną życzliwość tego domu dla nas — rzekł ojciec prowincjał podnosząc się również i kierując się ku drzwiom za swoim zwycięzcą.

— Ugasiliśmy iskrę — rzekł jeszcze tamten zatrzymując się — iskrę, przewielebny ojcze, która łącznie mogła rozniecić wielki pożar. Pomiędzy przyjaciółmi dwoma słowami można nieraz dokonać wielkich rzeczy.

Stanąwszy u drzwi otworzył je szeroko i uparł się przepuścić przodem prowincjała. Przeszli do sąsiedniej sali i dołączyli się do reszty gości.

Hrabia zwykł był wkładać wiele starania, wiele sztuki i dużo wielkich słów w sprawy, którymi się zajmował; ale też osiągał piękne rezultaty. Tak więc na skutek przytoczonej rozmowy ojciec Cristoforo posłany został pieszo z Pescarenico do Rimini, co stanowi niemałą przechadzkę.

Pewnego wieczora przybył do Pescarenico kapucyn z Mediolanu przywożąc pismo dla ojca gwardiana. Pismo to zawierało „obediencję” dla brata Cristofora, aby udał się do Rimini wygłaszać adwentowe kazania. W liście do gwardiana była instrukcja, w myśl której miał on pouczyć brata Cristoforo, że winien porzucić całkowicie wszelką troskę o sprawy, jakie tu za sobą pozostawia, a także zaniechać jakiegokolwiek korespondencji. Oddawca pisma miał mu towarzyszyć w podróży.

Tego wieczora gwardian nie wspominał nic o tej sprawie, ale nazajutrz rano wezwał do siebie brata Cristoforo, pokazał mu obediencję, polecił wziąć sakwę, kij, chustę i pas i wraz z owym towarzyszem, którego mu przedstawił, wyruszyć niezwłocznie w drogę.

Pomyślcie, jaki to był grom z" jasnego nieba dla naszego mnicha! Renzo, Lucja, Agnese przesunęli się błyskawicznie przed jego oczyma i jeśli się tak można wyrazić, wykrzyknął w duchu: „O Boże! Cóż się stanie z tymi biedakami, kiedy mnie tu zabraknie!”

Ale zaraz wznosił oczy ku niebu oskarżając się o brak ufności i o to, że uważał się za niezbędnego do czegokolwiek. Skrzyżował ręce na piersi na znak posłuszeństwa i schylił głowę przed ojcem gwardianem. Ten zaś odwoławszy go na stronę udzielił mu dalszej instrukcji, która choć w słowach wydawała się radą, w treści swej była przecież rozkazem. Brat Cristoforo poszedł do swojej celi, wziął sakwę, włożył do niej brewiarz, swój zbiór kazań wielkopostnych i swój „chleb odpuszczenia”, przepasał habit rzemiennym pasem, pożegnał się ze swymi współbraćmi, w końcu poprosił gwardiana o błogosławieństwo i wyruszył wraz z towarzyszem w drogę, jaką mu nakazano.

Mówiliśmy już, że don Rodrigo, z większym niż kiedykolwiek uporem dążąc do wykonania swoich chwalebnych

zamierzeń, zdecydował się szukać pomocy pewnej straszliwej osobistości. Nie możemy tu podać imienia tego człowieka ani nazwiska, ani tytułu, ani nawet wysunąć żadnego w tej materii przypuszczenia. Jest to tym osobliwsze, że wzmianki o nim znajdujemy w niejednej książce (mówię o książkach drukowanych) z tej epoki. Że chodzi tu o tę samą osobę, nie ulega najmniejszej wątpliwości; świadczy o tym identyczność faktów... Ale wszędzie widać szczególne starania o to, by uniknąć podania nazwiska, jak gdyby paliło ono pióro czy rękę piszącego. Francesco Rivola, kiedy musi w swoim opisie życia kardynała Federiga Borromeo wspomnieć o tym człowieku, nazywa go „magnatem równie potężnym dzięki swym bogactwom, jak szlachetnie urodzonym” — i na tym koniec. Giuseppe Ripamonti, który w piątej księdze dekady swojej Historii ojczyzny mówi o nim nieco więcej, określa go: „ów, pewien, tamten, ten człowiek, ta osobistość”. „Opowiem — pisze on swoją piękną łaciną, którą tu tłumaczymy, jak nas stać na to — dzieje człowieka, który licząc się do najznakomitszych w mieście obrał sobie za siedzibę majątność wiejską, tuż obok granicy położoną; a tam w zbrodniczy sposób drwiąc sobie z sądów, sędziów, urzędów i wszelkiej władzy — wiódł życie niczym nieskrępowane, przyjmując w dom swój banitów i sam przez czas pewien banitą będąc; po czym powrócił jakby nigdy nic...” Z dzieła tego pisarza czerpiemy jeszcze w dalszym ciągu ustępy, które pomogą nam potwierdzić i wyjaśnić relację naszego anonima; na razie idziemy dalej.

Czynić rzeczy wzbронione prawem lub utrudnione jaką bądź przeszkodą; być sędzią i tyranem w cudzych sprawach bez żadnej ku temu przyczyny oprócz chęci rządzenia; być postrachem wszystkich i posługiwać się takimi, którzy zazwyczaj sami innymi się posługują — takie były najsilniejsze namiętności tego człowieka. Od dziecięcych lat widząc i słysząc dokoła siebie ścieranie się przeróżnych potęg, srogą tyranie i nieustanną walkę o pierwszeństwo — odczuwał mieszaninę pogardy i niecierpliwiej zazdrości. Żyjąc jako młodzieniec w mieście, nie pomijał żadnej okazji (a nawet i szukał) zmierzenia się z najbardziej znanymi pyszałkami, z najgroźniejszymi awanturnikami, by ich pokonywać albo zmuszać do szukania z nim przymierza. Przewyższając większość z nich bogactwem

i zbytkiem, a zapalem i wytrwaloscia moze wszystkich, dopial tego, ze wielu zrezygnowalo ze wspolzawodnictwa: niektorzy pognębieni, inni — stajac sie jego przyjaciolmi. Nie byli to zreszta przyjaciele w pelnym tego slowa znaczeniu, na rownych prawach, ale tacy, jakich jedynie mogl sobie zyczyc: podporzadkowani mu, uznajacy jego wyzsosc nad soba i zawsze stajacy po jego lewicy. W rzeczywistosci jednak bywalo i tak, ze oni posluziwali sie nim, ze stawal sie narzedziem w ich ruku. We wszelkich swoich ryzykownych sprawach wzywali oni jego pomocy; a odmowic — znaczyloby to dla niego uchybic wlasnej reputacji, nie stanac na wysokosci zadania. Doszlo w koncu do tego, ze mial on na sumieniu tak wiele bezprawi, popelnianych na swoj i cudzy rachunek, ze juz ani imie, ani koligacje, ani przyjaciele, ani wlasna jego zuchwala odwaga nie wystarczaly, by go oslonic przeciwko wyrokom sadow i nienawisci wrogow; musial ustapic z pola — opuscic granice ksiestwa. Do tego tez momentu, jak sadze, odnosi sie nastepujacy urywek, jaki czytamy u Ripamontiego: „Razu pewnego, gdy zmuszony byl uciekac z kraju, uczynil to z taka oto dyskrecja, respektem wobec wladz i nie-smialoscia: przejechal przez miasto konno, ze sfora ogarow, przy dzwiekach trab; a mijajac palac rzadowy dal strazom wielce obelzywe dla gubernatora zlecenie.” Biedac daleko, nie zaprzestal przeciez swoich dotychczasowych praktyk i utrzymywal stala korespondencje z pozostawionymi w kraju przyjaciolmi, ktorzy tez trwali z nim nadal, ze przytocze tu slowa Ripamontiego: „w tajemnym przymierzu, pelnym okrutnych rad i ponurych czynow”. Prawdopodobnie zwiatal sie tez w tym czasie z pewnymi wysoko postawionymi osobami jakimis zlowieszczymi machinacjami, o ktorzych wspomniany wyzej historyk mowi wstrzemieliwie i nader tajemniczo: „Rowniez poniektorzy wladcy zagraniczni — powiada — zwracali sie doń, kiedy chodzilo o wazne jakowes zabojstwo;”, czesto tez musieli przysylac mu z daleka posiłki w ludziach, ktorzy otda sluzyli pod jego rozkazami.” W koncu jednak (nie wiadomo wlasciwie kiedy) albo zdjeto z niego wyrok na skutek jakiegos poteznego wstawienstwa, albo jego wlasne zuchwalstwo uczynilo go nietykalnym, dosc ze zdecydowal sie powrocic do domu i rzeczywiscie powrocil. Jednak nie do Mediolanu, ale do

zamku polozonego tuż przy granicy Bergamo, ktore jak wiadomo nalezalo w owym czasie do rzeczypospolitej weneckiej. „Domostwo to — mowi dalej Ripamonti — stalo sie istna kuźnia krwawych zamyslow; byli tam sludzy, na ktorzych glowy nalozona byla cena, a ktorzych glownym zajeciem bylo wlasnie obcinanie glow; ni kuchmistrz, ni kuchciki nie byli wolni od zabijania; niedorosle pacholeta mialy juz ruce krwia splamione.”

Oprócz tej doborowej domowej „familii” pan zamku mial jeszcze, jak stwierdza ten sam wciąz historyk, zalogi z podobnych osobnikow rozsiane po rozmaitych zakatkach obu terytoriow, na ktorzych granicy sie osiedlil; wszyscy ci ludzie byli zawsze gotowi na jego rozkazy.

Kazdy z mniejszych czy wiekszych tyranow calej ogromnej polaci kraju stawal prędezy czy pózniej w obliczu konieczności dokonania wyboru między przymierzeni a wojna z tym niezwyklym tyranem. Ale pierwsi, ktorzy sie pokusili o stawienie mu oporu, wyszli na tym tak zle, ze nikt wiecej nie próbował isc w ich slady. Zreszta, nikt, chocby najusilniej staral sie niczym mu nie narazic, nie mogl pozostac w zupelnej od niego niezalezności. Ni stad ni zowad pojawial sie poslaniec z ządaniem porzucenia takiego czy innego zamiaru, zakazem gnębienia takiego czy innego dluznika, czy tez z innymi ządaniem tego rodzaju. Trzeba bylo odpowiedziec natychmiast: „Tak” albo „Nie”. Ilekroć jedna strona jakiegos sporu przedlozyla, niby korny wasal, swoja sprawe temu czlowiekowi oddajac mu sie w opieke,

strona przeciwna stawiała wobec takiej właśnie twardej konieczności wyboru: musiała albo pochylić głowę przed wyrokiem, albo wypowiedzieć jawną wojnę. A to równało się, jak mówiono niegdyś, ostatniemu stadium suchot. Często ktoś, kto był winien, udawał się pod jego opiekę, by okazało się, że przecież słuszność jest po jego stronie; tak samo ktoś, kto miał słuszność naprawdę, odwoływał się do niego po to, by tym samym zamknąć doń drogę swemu przeciwnikowi. Tak jedni, jak drudzy stawali się od tej chwili ściśle od niego zależni. Zdarzało się też czasami, że zwracał się jakiś bezbronny biedak, krzywdzony przez kogoś możnego; on wtedy brał stronę biedaka i zmuszał bogacza do zaprzestania prześladowań, nagrodzenia krzywdy, do prośby o przebaczenie; w razie oporu wydawał mu tak zaciętą wojnę, że tamten nierzadko mu

siał porzucać okolicę, nad którą roztaczał swoją tyrańską władzę, albo i jeszcze cięższy składać haracz. W takich wypadkach zdarzało się, że ktoś przez chwilę błogosławił owo znienawidzone i trwogą otoczone imię; nie istniała bowiem żadna inna droga, urzędowa czy prywatna, na której można by uzyskać w takiej sytuacji sprawiedliwość i zadośćuczynienie. Częściej jednak (prawie zawsze!) siłą, jaką rozporządzał ten człowiek, stawiała się narzędziem krzywdy, okrutnej zemsty, dyktowanej pychą kaprysów. Przecie potęga ta, choć tak rozmaicie używana, osiągała niezmiennie jeden skutek: oto utwierdzała w ludziach przekonanie, że człowiek ten może wszystko zamierzyć i wszystkiego dokonać, nie dbając o sprawiedliwość czy niesprawiedliwość — te dwie siły, które tak często stają naprzeciw ludzkich zamierzeń i zmuszają do zawrócenia z drogi. Wszyscy owi wielmoże, z których każdy tyranizował swoją okolicę, znani byli w pewnym niezbyt wielkim zasięgu tam, gdzie dzierżyli prym w bogactwie i sile; każdy okręg miał swoich własnych „tyranów”; wszyscy oni byli do siebie wzajem podobni i nie było powodu, by ludność miała się interesować i tymi, którzy jej nie siedzieli na karku. Tylko o tym jednym głośno było w całym księstwie mediolańskim; wszędzie życie jego dostarczało tematu krążącym wśród ludu legendom; wszędzie z jego imieniem kojarzył się jakiś nieodparty, przedziwny, złowrogi czar. Obawa i podejrzliwość, jaką wszędzie żywiono względem jego przyjaciół i jego najętych zbirów, sprawiała, że imię jego stało wciąż żywo w pamięci mieszkańców. Poza podejrzenia, rzecz prosta, nie wykraczano. Któż bowiem przyznałby się otwarcie do takiej zależności? Ale każdy wielmoża mógł być jego sojusznikiem, każdy napotkany zbój — jego najemnym żołdakiem. Ta ciągła niepewność czyniła famę tym szerszą i tym bardziej ponurą siała trwogę. Toteż gdziekolwiek pojawiły się jakieś nieznanne a groźne postacie bravich, gdziekolwiek popełniono jakąś niegodziwość, a nie od razu odkryto sprawcę, wszędzie tam wymawiano trwożnym szeptem imię tego, którego my z winy owej niepojętej powściągliwości naszych autorów zmuszeni jesteśmy nazwać Bezimiennym.

Siedzibę jego dzieliło od zamku don Rodriga nie więcej niż siedem mil. Ów zaś, zaledwie osiadł na swoich włościach w charakterze pana i tyrana, rychło doszedł do prze

konania, że w tak niewielkiej od kogoś podobnego odległości nie podobna mu będzie żyć bez opowiedzenia się albo przeciw niemu, albo po jego stronie. Ofiarował mu więc swoje służby i wszedł w krąg jego przyjaciół, rozumie się na takich jak i oni prawach; oddał mu niejedną przysługę (jaką mianowicie, manuskrypt nie wymienia) i usłyszał niejedną obietnicę wzajemnych przysług i pomocy, kiedykolwiek zajdzie potrzeba. Don Rodriga starał się zresztą, jak mógł,

skrywać przed światem tę swoją przyjaźń, a już co najmniej to, jakiego ona jest rodzaju i jak bliska. Don Rodrigo sam pragnął być tyranem, ale przecież nie tak dzikim; tyraństwo było dla niego środkiem, nie zaś celem. Chciał żyć sobie spokojnie w mieście, korzystać z jego udogodnień, rozrywek, zaszczytów. W tym celu musiał zachowywać pewne względy, liczyć się z krewnymi, starać się o przyjaźń wysoko postawionych osób, trzymać rękę na wadze sprawiedliwości, by w razie potrzeby móc przechylić szalę na swoją stronę, ukryć ją albo zwalić na głowę kogoś, kogo tym sposobem łatwiej mógł zwyciężyć niż przy pomocy gwałtu i przemocy. Otóż zażyłość czy raczej sojusz z człowiekiem tego rodzaju, z jawnym wrogiem władzy publicznej, nie wyszłaby mu z pewnością na dobre, zwłaszcza w oczach hrabiegostryja. To niewiele, co o tej przyjaźni wiedziano, co nie dało się w żaden sposób ukryć, mogło ostatecznie uchodzić za daleki i niemożliwy do uniknięcia stosunek z człowiekiem, względem którego jawna wrogość byłaby zbyt niebezpieczna. Konieczność była tu rozgrzeszeniem. Kto bowiem ma obowiązek działania, ale nie ma do tego działania ochoty czy sposobności, w końcu musi zgodzić się na to, by inni działali na własną rękę przynajmniej do pewnego stopnia; a jeśli nawet nie godzi się na to otwarcie, musi przymknąć oczy. Pewnego ranka don Rodrigo wyruszył konno, wybrawszy się jak na łowy ze szczupłą eskortą pieszych bravich, z Grisem w straży przedniej, a czterema innymi z tyłu i skierował się w stronę siedziby Bezimiennego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zamek Bezimiennego wznosił się tuż nad przepaścistym, ponurym wąwozem, na szczycie, który wyrasta obok stromego górskiego pasma, połączony z nim — czy może należałoby raczej powiedzieć: oddzielony — usypiskiem głazów i odprysków skalnych, pełnym ukrytych jaskiń i zdradliwych szczelin, sięgających daleko w obu kierunkach. Wejście tam możliwe jest tylko od strony doliny. Jest to stok ostry, ale raczej równy i jednolity, wyżej pokryty łąkami, niżej falistymi polami, wśród których rozsiane są domki. Dno doliny stanowi kamieniste łóżysko potoku, który, zależnie od pory roku, przybiera postać to nikłego strumyka, to potężnej górskiej rzeki; w owym czasie strumień ten wyznaczał w tym miejscu granicę między dwoma państwami. Zbocza przeciwległe, tworzące, że się tak wyrażę, drugą ścianę doliny, częściowo pokryte są również uprawnymi polami; wyżej składają się z poszarpanych skał i głazów, z nagich bezdroży, gdziekolwiek tylko jakiś uparty krzak czepia się szczeliny czy krawędzi skalnej. Z wysokości swego zamczyska, niby orzeł ze skrwawionego gniazda, okrutny tyran panował nad okolicą, nad każdą jej piędzią, gdzie tylko mogłaby stanąć stopa człowieka. Nad sobą, wyżej, nie widział nikogo. Stamtąd obejmował wzrokiem wszystko dokoła: stoki gór i dno doliny, każdą drożynę i ścieżkę na tej przestrzeni. Z góry, drogą, ostrymi zakosami prowadząca do tej groźnej siedziby, podobna była do wijącej się wstęgi; ze swoich okien i strzelnic pan zamku mógł z łatwością śledzić kroki każdego, kto się zbliżał, i zawsze starczyło mu czasu, by w porę skierować przeciw niemu broń. Z załogą bravich, jaką utrzymywał, mógłby się obronić nawet przed znaczną siłą

napastników; wielu z nich padłoby na ścieżce lub potoczyło się na dno przepaści, zanim jeden zdołałby osiągnąć szczytu. Zresztą, nie tylko tam wyżej, ale nawet w dolinie, nawet na jej skraju, nie odważyłyby się postawić stopy nikt, kto nie cieszył się życzliwością pana zamku. Każdy zbir, jaki by się tam pojawił, zostałby potraktowany niechybnie jak

szpieg nieprzyjacielski schwyty w obozie wojskowym. Krążyły jeszcze z ust do ust tragiczne opowieści o takich, którzy podejmowali podobnie zuchwałe próby; ale były to już dawne dzieje i nikt z młodego pokolenia nie pamiętał, żeby widziano w dolinie takiego śmiałka żywego czy umarłego.

Tyle mówi nasz anonim opisując to miejsce. Nie wymienia jego nazwy, a nawet, by nie dać nikomu możności jej odkrycia, nie mówi nic bliższego o drodze, jaką odbył don Rodrigo, i przenosi go wprost do doliny, do miejsca, w którym zaczynała się owa stroma, wyboista i kręta drożyna. Tam też znajdowała się oberża, którą wypadałoby nazwać raczej kordegardą; na starym szyldzie wiszącym u drzwi widniało wymalowane po obu stronach promieniste słońce; ale głos ludu, który czasem przyjmuje narzucane mu nazwy, ale często też przekształca je po swojemu, nie nazywał owej oberży inaczej niż „Zła Nocka”.

Na odgłos kopyt końskich pojawił się w progu wyrostek uzbrojony od stóp do głów niczym Saracen. Spojrzał i zawrócił, aby powiadomić trzech zabijaków zajętych grą w karty, brudne i powyginane jak dachówki. Ten, który wyglądał na dowódcę, wstał, podszedł do drzwi, a poznawszy w przybyłym jednego z przyjaciół swego pana, skłonił mu się z szacunkiem. Don Rodrigo oddał mu ukłon bardzo uprzejmie i zapytał, czy pan jego jest na zamku obecny, a usłyszawszy odpowiedź starego zabijaki, że zapewne tak, zeskoczył z konia i rzucił wodze jednemu ze swoich bravich, zwanemu Tiradritto. Następnie zdjął muszkiet i wręczył go drugiemu, Montanarolowi; wyglądało to, jakby po prostu chciał się pozbyć zbędnego ciężaru, by lżej mu było piąć się pod górę; w rzeczywistości zrobił to, dobrze wiedząc, że dalej nikt nie bywa dopuszczany z bronią. Wydobył z kieszeni kilka berling i dał je Tanafrusowi ze słowami:

— Wy tutaj na mnie czekajcie i zabawiajcie się społem z tymi poczciwcami.

Na koniec wyjął jeszcze kilka złotych skudów, wysypał je na dłoń „dowódcy” mówiąc, że połowa jest dla niego, a połowa do podziału pomiędzy jego ludzi, i ruszył pieszo stromą drogą pod górę w asyście Grisa, który również zostawił broń towarzyszom. Tymczasem jego bravi, ci trzej już wymienieni oraz czwarty, Squinternotto (pomyślcie, jakie to piękne imiona i jak starannie dobrane), zostali z trzema ludźmi Bezimiennego i z owym młodym obwiesiem, grając z nimi, pijąc i chwając się na przemian swoimi męznymi czynami.

Inny jakiś bravo Bezimiennego, również idący do zamku, dopędził niebawem don Rodriga; przyjrzał mu się, poznał i przyłączył się do niego, oszczędzając mu przez to przykrości wyjawiania swego nazwiska i odpowiadania na wiele innych pytań każdemu napotkanemu po drodze, a nie znającemu go człowiekowi. Po przybyciu do zamku poprowadzono don Rodriga (Grisa zostawiając u wejścia) przez labirynt ciemnych korytarzy i rozmaitych pokojów o ścianach obwieszonych muszkietami, szpadami i berdyszami; w każdym było na straży po kilku bravich. Po krótkim oczekiwaniu wprowadzono go do sali, w której znajdował się Bezimienny.

Ten wyszedł mu naprzeciw, odpowiadając na jego ukłon, a równocześnie spoglądając bystro na jego twarz i ręce; tak mu to już weszło w zwyczaj, że robił to bezwiednie, kimkolwiek był przybywający, choćby nawet zaliczał się do dawnych i wypróbowanych przyjaciół. Pan zamku był wysoki, o ciemnej cerze, niemal łysy; nieliczne pozostałe włosy były siwe, twarz poorana zmarszczkami; na pierwszy rzut oka można mu było dać lat przeszło sześćdziesiąt, to jest tyle, ile ich miał rzeczywiście. Ale jego zachowanie, ruchy, posępna twardość rysów, groźne, pełne życia błyski w oczach — wskazywały siłę ducha i ciała, która byłaby zadziwiająca nawet u młodzieńca.

Don Rodrigo powiedział, że przybywa prosić o radę i pomoc; że, znalazłszy się w położeniu nader trudnym, z którego honor nie pozwala mu się wycofać, wspominał na przyrzeczenie dane mu kiedyś przez męża, który nigdy nie przyrzeka zbyt wiele ani na próżno; w końcu wyjawiał swo

je lotrowskie zamysły. Bezimienny, który wiedział już o tym coś niecoś, ale niedokładnie, słuchał z wielką uwagą. Po pierwsze, ciekaw był na ogół tego rodzaju' historii; po drugie, poprzez opowiadanie przewijało się pewne imię, dobrze mu znane i szczególnie nienawistne, imię brata Cristoforo, jawnego wroga tyranów, zwalczającego ich słowem, a gdzie się dało, to i czynem. Don Rodrigo, pomny, do kogo mówi, rozmyślnie wyolbrzymiał trudności przedsięwzięcia: odległość miejsca, klasztor, stanowisko signory. Ale tu Bezimienny, jak gdyby pod nakazem jakiegoś ukrytego w jego duszy demona, gwałtownie przerwał mu, oświadczając, że bierze na siebie tę sprawę. Zapytał jeszcze tylko o nazwisko biednej Lucji i pożegnał don Rodriga mówiąc:

— Wkrótce będziecie mieli ode mnie wiadomość, co macie czynić.

Jeżeli czytelnik przypomina sobie tego nędznika Egidia, który zamieszkiwał w bezpośrednim sąsiedztwie klasztoru będącego schronieniem biednej Lucji, niechaj dowie się teraz, że człowiek ów był jednym z najbliższych, jakich Bezimienny posiadał, i najsilniej z nim związanych współników wszelkich zbrodni. Dlatego właśnie mógł on tak szybko i bez wahania rzucić swoją obietnicę. Zaledwie jednak został sam, poczuł może nie żal, ale jak gdyby niesmak na myśl o danym przyrzeczeniu. Już od pewnego czasu zaczął być odczuwać coś jak gdyby wyrzuty sumienia czy też odrazę względem popełnianych przez siebie niegodziwości. Tyle ich się nagromadziło, jeśli nie na sumieniu, to bądź co bądź w pamięci, i za każdym razem, kiedy miał popełnić jakąś nową, stawały mu przed oczyma, jawiły się w całej swojej ohydzie i przerażającej liczbie. Było to, jakby jakiś ciężar, i dawniej już dokuczliwy, wzrastał wciąż i przytłaczał go coraz bardziej. Pewne sprzeciwy wewnętrzne, jakie odczuwał przy pierwszych swych zbrodniach, później całkowicie przewyciężone i niemal unicestwione, teraz znowu zaczęły przychodzić do głosu. Ale w tej odległej przeszłości miał przed sobą długie życie, nie widział jego kresu, rozsadzało go uczucie potężnych sił żywotnych, napełniając lekkomyślnie ufnością we własną moc. Teraz, przeciwnie: myśl o przyszłości czyniła przeszłość tym przykrzejszą. Zestarzeć się? Umrzeć? A potem? I, rzecz dziwna: myśl o śmierci, która w chwili

lach niebezpieczeństwa, w obliczu wroga, zdwajała zawsze siły duchowe tego człowieka, budząc w nim gniewną jakąś odwagę — teraz, nawiedzając go w ciszy nocnej, w bezpiecznych murach jego zamku, napawała go jakimś gwałtownym lękiem. 'Nie była to już bowiem tamta śmierć, jaką grozi nieprzyjaciel, równie jak on sam śmiertelny; tej śmierci nie można uniknąć jedynie za sprawą lepszej broni, większej sprawności ręki; sama przychodzi, tkwi w nim samym; może jest jeszcze daleko, ale z każdą chwilą zbliża się o krok. I chociaż umysł bolesnym wysiłkiem próbuje odsunąć od siebie tę świadomość, śmierć zbliża się jednak. Dawniej te mnożące się dokoła obrazy, to jak gdyby nieustające widowisko gwałtów, zemsty, przelewu krwi, podjudzając go do przodowania w tej orgii bezprawia, tworzyły zarazem coś, niby tarczę przeciwko sumieniu; teraz zaczęła budzić Się w jego duszy myśl niejasna, ale przerażająca — o odpowiedzialności osobistej, niezależnej od cudzych przykładów. Świadomość, że wyszedł oto z nikczemnego tłumu zbrodniarzy, że stanął jak gdyby na jego czele, budziła w nim uczucie straszliwego osamotnienia. Ów Bóg, o którym tyle słyszał, choć od niepamiętnych lat nie troszczył się o to, czy uznać ma Jego istnienie, czy Mu zaprzeczyć, żyjąc tak, jakby On nie istniał wcale — teraz, w chwilach jakiegoś przygnębienia bez powodu, trwogi bez niebezpieczeństwa, zdawał się wołać w jego sercu: „A przecież jestem!" Dawniej, w ogniu spalających go namiętności, prawo, głoszone Jego imieniem, budziło w nim nienawiść jedynie. Teraz, ilekroć nagle jawiło się ono w jego pamięci, umysł, na przekór woli, dostrzegał w nim cel i jego spełnienie. Bezimienny nie dzielił się z nikim tymi rozterkami, jakie zaczął ostatnio przeżywać; krył je w sobie głęboko, maskując jeszcze bardziej ponurym okrucieństwem. Usiłował w ten sposób ukryć swoją słabość także przed sobą samym, zdusić ją i przewyciężyć. Zazdrościł sobie samemu czasów (skoro nie było w jego mocy unicestwić ich albo wyrzucić z pamięci), kiedy popełnianie niegodziwości nie budziło w nim żadnych niepokojów, kiedy troszczył się jedynie o powodzenie swoich przedsięwzięć. Usiłował powrócić do tego stanu, odzyskać i umocnić swoją dawną, niezłomną wolę, na wszystko gotową, potężną, niewzruszoną; usiłował przekonać siebie, że jest wciąż jeszcze tym samym człowiekiem.

Dlatego też tak się pośpieszył z obietnicą daną Rodrigowi, że chciał zamknąć tym samym drogę wszelkim możliwym wahaniom. Ale natychmiast po odejściu gościa poczuł, że ta stanowczość, którą sobie nakazał przyrzekając pomoc, słabnie; poczuł wręcz pokusę niedotrzymania przyrzeczenia i gdyby wchodził tu w grę któryś z mniej potężnych przyjaciół i współników, możliwe, że odstąpiłby od przedsięwzięcia. Chcąc położyć natychmiast kres tym przykrym rozterkom zawołał do siebie Nibbia, jednego z najrzęczniejszych i najodważniejszych wykonawców wszelkich 'zbrodniczych rozkazów, używanego przezeń zwykle do porozumiewania się z Egidiem. Zdecydowanym, mocnym głosem kazał mu wziąć konia, udać się natychmiast do Monzy, powiadomić Egidia o przyjętym zobowiązaniu i zażądać pomocy.

Wysłaniec wrócił prędzej, niż pan jego mógł się spodziewać, przynosząc odpowiedź Egidia, że rzecz jest zupełnie łatwa i bezpieczna; prosi tylko o przysłanie mu niezwłocznie karocy z dwoma lub trzema ludźmi w nie budzącym podejrzeń przebraniu, a resztę on już bierze na siebie i doprowadzi do końca. Wysłuchawszy tej odpowiedzi, Bezimienny, bez względu na to, co czuł w głębi duszy, wydał natychmiast temuż Nibbiowi rozkaz przygotowania wszystkiego zgodnie z żądaniem Egidia i wyruszenia do Monzy wraz z dwoma innymi, których mu wymienił.

Gdyby do spełnienia niecej przysługi, jakiej od niego zażądano, Egidio miał do rozporządzenia tylko zwykłe środki, nie dałby z pewnością tak pochopnej i zdecydowanej obietnicy. Ale w samym wnętrzu owego azylu, gdzie każda rzecz wydawała się niezwalczoną przeszkodą, zbrodniczy młodzieniec miał sobie tylko znany, pewny środek działania. To, co dla każdego innego stanowiłoby największą trudność, dla niego miało być narzędziem zbrodni. Opowiedzieliśmy w swoim czasie, jak to nieszczęsna signora zgodziła się wysłuchać, co on jej miał do powiedzenia; czytelnik mógł się łatwo domyślić, że ten pierwszy raz nie pozostał jedynym, że był to tylko pierwszy krok na drodze ohydy i zbrodni. Ten sam głos, który umiał skłonić nieszczęsną do występku i czerpał z tego jeszcze silniejszą nad nią władzę, teraz kazał jej poświęcić niewinną istotę powierzoną jej pieczy.

Żądanie wydało się Gertrudzie straszliwe. Gdyby jej przyszło utracić Lucję z jakiegokolwiek nieprzewidzianego powodu, bez własnej winy — już to uważałaby za nieszczęście, za ciężką karę; a oto nakazywano jej pozbyć się dziewczyny w sposób niegodziwy i podstępny, zamienić to, co miało być odkupieniem, na jeszcze jeden ciężki wyrzut sumienia. Nieszczęśliwa próbowała wszelkich dróg uwolnienia się od tego okropnego rozkazu; wszelkich poza tą jedną jedyłą, która zawiodłaby ją wprost do celu i która zawsze była przed nią otwarta.

Zbrodnia jest srogim i nieugiętym panem i na to, by mu się oprzeć, trzeba zbuntować się całą duszą. Na to Gertrudzie nie starczyło siły: postanowiła rozkaz wykonać. Dzień ustalony nadszedł, zbliżała się umówiona godzina; Gertruda, siedząc z Lucją w swojej prywatnej rozmównicy, objawiała jej większą jeszcze niż zwykle serdeczność, dziewczyna zaś przyjmowała i odwzajemniała jej pieczyoty z uczuciem tkliwej wdzięczności, niby owieczka z ufnością poddająca się rękom pasterza, który głaszcze ją, poklepuje i łagodnie pociąga za sobą; biedaczka odwraca głowę, aby polizać tę opiekuńczą dłoń, i nie widzi wcale, że za drzwiami obórki czeka już na nią rzeźnik, któremu pasterz sprzedał ją na chwilę przedtem.

— Potrzebuję pewnej wielkiej przysługi; ty jedna możesz mi ją oddać. Tylu mam ludzi na każde zawołanie, ale nikogo takiego, komu mogłabym zaufać. W sprawie niezmiernej wagi — później ci ją wytłumaczę — muszę pomówić

niezwłocznie z tym ojcem gwardianem kapucynów, który cię tu do mnie przyprowadził, biedna moja Łucjo. Ale konieczne jest, by nikt nie wiedział, że to ja go tutaj wezwałam. Nikogo nie mam prócz ciebie, komu mogłabym w tajemnicy zawierzyć to poselstwo.

Prośba ta przeraziła Lucję. Pragnąc się od niej uwolnić i nie kryjąc zdumienia, jakim ją napawała, poczęła wyluszczać powody, które signora powinna była, jej zdaniem, zrozumieć, a nawet z góry przewidzieć... Bez matki, sarna jedna, na odludnych drogach, w obcej sobie okolicy... Ale Gertruda, która miała za sobą igraszkę szatańską szkołę, objawiła ze swej strony wiele przykrego zdziwienia, że napotyka na taki opór u osoby, u której mogła się spodziewać większych dla siebie względów. Argumenty Lucji uznała za błahe i wręcz śmieszne. W biały dzień! Parę

kroków zaledwie! Droga ta sama, którą Lucja przebyła niewiele dni przedtem, a nawet gdyby jej nigdy w życiu nie widziała, nic łatwiejszego niż objaśnić ją tak, że o zabłądzeniu mowy być nie mogło!

Signora mówiła tak długo, aż biednej Lucji, poruszonej do głębi, a równocześnie trochę dotkniętej, wyrwały się słowa:

— Więc dobrze. Cóż mam tedy zrobić?

— Pójdziesz do klasztoru kapucynów — tu signora opisała jej raz jeszcze drogę — poprosisz o wezwanie ojca gwardiana i powiesz mu w cztery oczy, żeby przyszedł tu do mnie niezwłocznie. Tylko niech nie mówi nikomu, że to ja go wezwałam.

— Ale co powiem gospodyni, która nigdy nie widziała, żebym stąd wychodziła, i zapyta, dokąd idę?

— Postaraj się przejść niepostrzeżenie. A jeżeli ci się to nie uda, powiesz, że idziesz do takiego a takiego kościoła, gdzie ślubowałaś się pomodlić.

Biedna dziewczyna ujrzała przed sobą nową trudność: kłamstwo. Ale signora wydawała się tak zmartwiona jej oporem, tak wymownie przekonywała ją, że nie przystoi, by błahe skrupuły sumienia przeważały nad wdzięcznością, że Lucja, bardziej oszołomiona niż przekonana, ale nade wszystko przejęta współczuciem, powiedziała:

— Dobrze, pójdę. Boże, dopomóż mi! I wstała.

Gertruda odprowadziła ją spoza kraty ciężkim, ponurym spojrzeniem. A kiedy dziewczyna stanęła na progu drzwi, tamta, jakby pod wpływem przemożnego jakiegoś uczucia, zawołała:

— Posłuchaj, Łucjo!

Lucja odwróciła się i postąpiła z powrotem w kierunku kraty. Ale już inna myśl, silniejsza nad wszystko, zdążyła opanować umysł nieszczęsnej Gertrudy. Udając, że nie jest zadowolona z udzielonych przedtem wskazówek, wytłumaczyła raz jeszcze Lucji, jak ma iść, i odprowadziła ją ze słowami:

— Zrób wszystko, jak mówiłam, i wracaj rychło. Lucja wyszła.

Nie zauważona przez nikogo przeszła furtkę klasztorną i ruszyła ulicą, trzymając się blisko murów, oczy spuściwszy ku ziemi. Otrzymane wskazówki i własna pamięć po

mogły jej trafić bez trudu do bramy miejskiej. Minęła ją i poszła, skupiona i nieco trwożna, gościńcem; niebawem doszła do bocznej drogi wiodącej do klasztoru. Przypomniała ją sobie; droga ta tworzyła — i tworzy po dziś dzień —

coś w rodzaju koryta rzeki, wrzynającego się pomiędzy dwa wysokie brzegi pokryte gęstymi zaroślami, osłaniającymi ją z góry niby sklepienie.

Skręciwszy w tę odludną drogę Lucja czuła wzrastający z każdą chwilą lęk. Przyśpieszyła kroku; po chwili jednak nabrała nieco otuchy widząc stojącą nie opodal podróżną karocę, a przy jej otwartych drzwiczkach dwóch mężczyzn rozglądających się dokoła, jakby nie byli pewni swej drogi. Idąc dalej usłyszała, jak jeden z nich mówił do drugiego:

— Otóż i jakieś poczciwe dziewczę, które na pewno wskaże nam drogę.

I istotnie, kiedy podeszła bliżej, ten sam podróżny zapytał w sposób znacznie bardziej dworny, niż można się było spodziewać po jego wyglądzie:

— Czy waćpanna zechciałaby wskazać nam łaskawie drogę do Monzy?

— Jadąc w tę stronę oddalacie się od niej, panowie — odpowiedziała biedaczka. — Monza w tamtej jest stronie... — i odwróciła się wskazując ręką kierunek.

Wtedy drugi podróżny (był to Nibbio) chwycił ją zniemacka w pól i uniósł w górę. Lucja, przerażona, odwróciła gwałtownie głowę i krzyknęła, ale złoczyńca wepchnął ją siłą do karocy; inny, siedzący wewnątrz, rzucił ją, szamoczącą się, na siedzenie naprzeciwko; trzeci przycisnął jej do ust chustkę tłumiąc krzyk w jej krtani.

Równocześnie wsunął się do wnętrza Nibbio, zatrzaśnięto drzwiczki i karoca ruszyła co koń wyskoczy. Tamten, który zadał Lucji owo zdradzieckie pytanie, pozostał na drodze. Rozejrzał się w prawo i w lewo, chcąc się przekonać, czy nie nadbiegnie kto, zaalarmowany krzykiem dziewczyny. Nie widząc nikogo, skoczył na strome zbocze, chwytając się gałęzi, wdrapał się szybko na brzeg parowu i zniknął. Był to jeden z hultajów będących na służbie u Egidia; stał on na czatach przy domu swego pana, śledząc wyjście Lucji z klasztoru. Przyjrzał się jej dobrze, żeby ją łatwo rozpoznać, po czym pobiegł krótszą drogą i czekał na nią w wyznaczonym miejscu.

Któż zdoła opisać trwogę i rozpacz dziewczyny, wyrazić to, co działo się w jej duszy? To otwierała pełne przerażenia oczy, chcąc lepiej poznać straszliwe swoje położenie, to zamykała je, nie mogąc znieść widoku tych zbójceckich twarzy. Szarpała się, lecz zewsząd trzymano ją mocno. Zbierała wszystkie siły, by rzucić się zniemacka ku drzwiom. Ale dwa muskularne ramiona trzymały ją w głębi karocy tak silnie, jakby była tam gwoździami przybita, a cztery inne ogromnie łapska unieruchomiły ją całkowicie. Ilekroć otwierała usta do krzyku, momentalnie spadała na jej twarz chustka włączająca jej głos z powrotem w gardło. Równocześnie troje tych diabelskich ust dobywając z siebie głosy najbardziej ludzkie, na jakie było je stać, powtarzało raz po raz:

— Spokojnie, spokojnie; nie trzeba się bać. Nie chcemy wam zrobić nic złego.

Po dłuższej chwili beznadziejnych wysiłków Lucja jakby się uspokoiła. Opuściła ramiona, głowę odrzuciła w tył, z wysiłkiem uniosła powieki ukazując nieruchome źrenice. Okropne twarze, które widziała przed sobą, zaczęły się jakoś zacierać, falować, łączyć się między sobą, tworząc jakąś potworną mieszaninę; krew uciekła jej z twarzy zroszonej zimnym potem — i straciła przytomność.

— No, no, odwagi — przemawiał do niej Nibbio.

— Odwagi, odwagi — powtarzali dwaj inni hultaje. Ale omdlenie chroniło w tym momencie Lucję przed tymi słowami otuchy, wypowiedzanymi głosem budzącym grozę.

— Do diabła! Wygląda jak umarła — mruknął jeden. — A gdyby tak naprawdę umarła?

— E, tam, umarła! — rzekł drugi. — To omdlenie, które często przychodzi na kobiety. Ja tam wiem, że jakem chciał wysłać kogo na tamten świat, mężczyznę czy kobietę, czegoś więcej było na to potrzeba.

— Dalej — rzekł Nibbio. — Róbcie, co do was należy, a o resztę się nie troszczcie. Wyciągnijcie ze skrzynki króciice i trzymajcie je w pogotowiu; w tym lesie, do którego właśnie wjeżdżamy, zawsze gnieźdzą się jacyś zbójce. Ale nie trzymajcie broni tak w rękach, do diabła! Połóżcie sobie za plecami, na płask; nie widzicie, że ta dziewczucha to istne kurczę, mdleje od byle czego! Jak zobaczy broń, gotowa nam tu zemrzeć na dobre. Jak się ocknie, baczcie, żebyście jej niczym nie nastraszyli. Nie dotykajcie jej bez

mego rozkazu. Do trzymania jej sam wystarczę. I ani słowa: gadanie zostawcie mnie.

Tymczasem karoca, wciąż jadąca ostrym klusem, zagłębiła się w las.

Po jakimś czasie biedna Lucja zaczęła powracać do przytomności, jak gdyby budząc się z głębokiego, ciężkiego snu.

Otworzyła oczy. Z wysiłkiem zbierała myśli i próbowała rozpoznać groźne, otaczające ją przedmioty. Aż nagle pojęła jasno, w jak straszliwym znajduje się położeniu. Pierwszym użytkiem, jaki uczyniła z powracających po trochu sił, było gwałtowne rzucenie się ku drzwiczkom, by przez nie wyskoczyć. Ale przytrzymano ją, tak że zdołała jedynie dostrzec przez mgnienie oka, jak dzika i odludna była okolica, którą przebywali. Krzyknęła. Ale Nibbio, ukazując jej w swej wielkiej łapie chustkę, powiedział najłagodniejszym, jak potrafił, głosem:

— No, no, spokojnie; bądźcie cicho, lepiej to będzie dla was; nie chcemy wam zrobić nic złego; ale jeżeli sama nie zechcecie być cicho, to my was uspokoimy.

— Pozwólcie mi odejść. Kto wy jesteście? Dokąd mnie wieziecie? Czemuście mnie porwali? Puśćcie mnie, och, puśćcie mnie wolno!

— Toć wam powiadam, że nie ma czego się bać. Nie jesteście przecie dzieckiem, musicie zrozumieć, że nie chcemy waszej krzywdy. Toć widzicie, że mogliśmy was zabić sto razy, gdybyśmy mieli złe zamiary. Więc bądźcież spokojna.

— Nie, nie. Pozwólcie mi odejść swoją drogą. Nie znam was.

— Ale my was znamy.

— Panno Najświętsza! Jakże możecie mnie znać? Pozwólcie mi iść, na miłosierdzie boskie! Kto wy jesteście?

Czemuście mnie porwali?

— Taki mieliśmy rozkaz.

— Ale kto? Kto mógł wam to rozkazać?

— Dość! — rzekł Nibbio surowo. — Nam się takich pytań nie zadaje.

Lucja raz jeszcze spróbowała rzucić się zniemacka do drzwiczek; ale widząc, że to beznadziejne, powróciła znowu do próśb. Z głową spuszczoną, policzkami mokrymi od łez, przytknąwszy splecione dłonie do drżących ust, mówiła głosem przerywanym łkaniem:

— Och, na miłość Boga i Najświętszej Panny, puśćcie mnie! Cóż wam uczyniłam złego? Jestem biedną dziewczyną i nigdy nic wam nie zrobiłam. To, co wyście mi uczynili, z serca wam przebaczam. Będę się za was modliła! Jeżeli ma który z was córkę, żonę czy matkę, pomyślcie, jakby cierpiały w podobnym położeniu! Pamiętajcie, że wszyscy musimy umrzeć i że kiedyś zapragniecie dla siebie boskiego miłosierdzia. Pozwólcie mi odejść, zostawcie mnie tutaj. Pan Bóg pozwoli mi odnaleźć moją drogę.

— Nie możemy.

— Nie możecie! O Boże! Dlaczego nie możecie? Dokąd mnie wieziecie? Dlaczego...

— Nie możemy. To na nic. Nie bójcie się, nie chcemy was skrzywdzić. Siedzcie tylko spokojnie, a nikt was nie tknie.

Przerażona, wyczerpana, zgnębiona tym, że jej słowa nie odnoszą najmniejszego bodaj skutku, Lucja zwróciła myśl ku Temu, który dzierży w ręku serca ludzkie i jeśli zechce, może zmiękczyć nawet najtwardsze., Wcisnęła się, jak tylko mogła, w kąć karocy, skrzyżowała ręce na piersiach i modliła się w myśli czas jakiś. Potem wydobyła różaniec i zaczęła go odmawiać z taką żarliwą wiarą, jak nigdy bodaj w całym dotychczasowym życiu. Od czasu do czasu, w nadziei, że może zdoła uprosić zmiłowania, o które się modliła, ponawiała swoje prośby, żeby pozwolono jej odejść, ale zawsze na próżno. Parę razy zapadała w nowe omdlenie i powracała do przytomności, za każdym razem na nowo pełna rozpacz.

Nie mamy wprost serca dłużej opisywać, co nieszczęśliwa przeżywała. Dojmująca litość każe nam przyspieszyć koniec tej podróży trwającej cztery z górą godziny, po której dalsze ciężkie czekają nas próby. Przenieśmy się zatem do zamku, gdzie oczekiwano przybycia nieszczęsnej, dziewczyny.

Bezimienny czekał w niezwykłym u niego stanie niepokoju i rozterki. Rzecz dziwna! Ten człowiek, który tylekroć z zimną krwią decydował o ludzkim życiu, który w zamierzeniach swoich nie liczył się z cierpieniem, jakiego staje się przyczyną — z wyjątkiem tych szczególnych wypadków, kiedy z cierpień tych czerpał dziką roz. kosz zemsty — teraz, kiedy wypadło mu użyć przemocy wobec nieznanej, ubogiej wieśniaczki, czuł, że coś go od tego odpycha, niemal przeraża. Od dłuższego już czasu

spoglądał z najwyższego okna zamczyska ku wylotowi doliny. Wreszcie dojrzał wylaniającą się stamtąd i posuwającą się powoli karocę, powoli — bo długotrwały pęd wyczerpał siły i zapal koni. Jakkolwiek z tej odległości karoca wydawała się maleńka jak dziecinna zabawka, on poznał ją natychmiast i serce mocniej mu zabiło.

„Czy ona tam jest? — pomyślał. — Ach, ileż mam z tym nieprzyjemności. Uwolnijmyż się czym prędzej od tej sprawy.”

I już miał zawołać jednego ze swych bravich i posłać go naprzeciw karocy z rozkazem do Nibbia, żeby zawracał i odwiózł brankę wprost do zamku don Rodriga. Ale potężne „Nie” ozwało się w jego duszy, każąc mu odstąpić od tego zamiaru. Czując dręczącą potrzebę jakiegoś działania, nie mogąc znieść bezczynnego wyczekiwania na tę karocę wlokącą się noga za nogą, zbliżającą się powoli — jak zdrada? czy może jak kara? — wezwał starą kobietę będącą u niego na służbie.

Przyszła ona na świat w tym zamku jako dziecko dawnego odźwiernego i przeżyła w nim całe swoje życie. Wszystko, co od najwcześniejszego dzieciństwa widziała i słyszała, zaszczerpiło w niej przekonanie o wspaniałej a straszliwej potędze panów tego zamku. Najważniejszą maksymą, jaką jej wpojono przy pomocy wychowania i przykładu, było, że pana trzeba słuchać we wszystkim, jest on bowiem równie potężny w czynieniu dobra jak i zła. Poczucie obowiązku, którego posiew znajduje się w sercu każdego człowieka, rozwijało się u niej równocześnie z uczuciem trwożnej czci, służalczej gorliwości. Kiedy Bezimienny, zostawszy panem zamku, zaczął czynić ze swojej potęgi tak straszliwy użytek, ona czuła początkowo przerażenie; ale niebawem zmieniło się ono w uczucie jeszcze zupełniejszego poddania. Z czasem przywykła do tego, na co po całych dniach patrzyły jej oczy i co słyszały uszy; potężna, nie ujarzmiona wola była w jej pojęciu czymś w rodzaju wyroku losu. Dorósłszy, poślubiła jednego spośród sług domu; wkrótce potem mąż jej, wysłany na jakąś ryzykowną wyprawę, pozostawił kości na gościńcu, a ją na zamku jako wdowę. Krwawa zemsta, jakiej jej pan niebawem dokonał, była jej okrutną, dziką pociechą i wzmogła u niej uczucie dumy, że pod tak potężną znajduje się opieką. Od tej pory prawie nigdy nie

opuszczała zamku i stopniowo zatraciła wszystkie normalne, zwykłe, ludzkie pojęcia, zachowując te tylko, jakie czerpała z życia na zamku. Nie miała tam żadnej określonej funkcji, ale pośród tej zgrai zabijaków raz po raz ktoś jej dostarczał roboty, do czego zresztą odnosiła się niechętnie. To miała odzież do łątania, to trzeba było przygotować naprędce posiłek komuś, kto właśnie powrócił z wyprawy, to kurować rany. Polecenia, wymówki czy podziękowania

tych ludzi były zawsze pełne drwin i obelżywych słów. „Stara” — oto było jej powszechnie znane imię. Rzeczniki doczepiane stale do, tego imienia zmieniały się zależnie od okoliczności i humoru przemawiającego. Ona zaś, jeśli przeszkodzono jej w próżnowaniu albo sprowokowano do złości — próżniactwo i złość były jej dwiema dominującymi cechami — odwzajemniała się słowami, w których szatan odnalazłby więcej ze swego ducha niż w grubych słowach bravich.

— Widzisz tam tę karocę! — powiedział jej pan.

— Widzę ją — odpowiedziała stara wysuwając ku przodowi zaostrzony podbródek i wytrzeszczając głęboko zapadnięte oczy, jakby chciała je wypchnąć aż po krawędzie oczodołów.

— Każ natychmiast przygotować lektykę, wsiądź w nią i każ się nieść pod „Złą Nockę”. Spiesz się. Musisz tam być wcześniej niż karoca. Ona, co prawda, wlecze się jak śmierć. W tej karocy jest... powinna być... młoda dziewczyna. Jeżeli jest, każ Nibbiowi w moim imieniu przesadzić ją do lektyki, on sam zaś niech tu do mnie jak najspieszniej przyjdzie. Zostaniesz w lektyce z tą... tą dziewczyną. Jak tylko będziecie tutaj, zaprowadź ją do twojej izby. Jeżeli cię będzie pytała, dokąd ją prowadzisz, czyj jest ten zamek, bacz, żebyś...

— Och! — wtrąciła stara.

— Ale — ciągnął Bezimienny — staraj się dodać jej otuchy.

— Co jej mam mówić?

— Co jej masz mówić? Dodaj jej otuchy, powiadam ci. Dożyłaś tego wieku, a nie wiesz, w jaki sposób dodaje się komuś otuchy, jeżeli się tylko chce? Czyś nigdy nie czuła w sercu rozpaczki? Nigdy niczego się nie lękałaś? Nie znasz takich słów, które byłyby człowiekowi pomocne w takich chwilach? Mów jej takie słowa; wymyśl je, do licha! No, idź.

Kiedy wyszła, stanął znowu przy oknie i nie odrywał oczu od karocy, która teraz wydawała się już znacznie większa; później przeniósł wzrok na słońce, które właśnie kryło się za górę, patrzył na rozproszone wyżej obłoki. Nagle, w mgnieniu oka, ciemnoszare chmury stanęły w płomiennym blasku. Bezimienny cofnął się w głąb, zamknął okno i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem krokiem gorączkowym, jak śpieszący do celu podróżny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Stara pobięła wypełniać i wydawać rozkazy, zbrojna w potęgę imienia, które, przez kogo bądź w tych murach wymówione, wszystkich zrywało na nogi. Nikomu bowiem przez myśl nawet nie przeszło, że znaleźć się może ktoś na tyle zuchwały, by posłużyć się tym imieniem bezprawnie.

Istotnie lektyka stanęła pod „Złą Nocką” nieco wcześniej, niż dotarła tam karoca. Widząc ją nadjeżdżającą, stara wyszła z lektyki, skinęła na woźnicę, żeby stanął, podeszła do drzwiczek i Nibbiowi, który wytknął głowę na zewnątrz, półgłosem powtórzyła rozkazy pana.

W chwili zatrzymania się karocy Lucja drgnęła i zbudziła się z letargicznego niemal odętwienia. Poczuła, że krew znowu krąży w jej żyłach, otworzyła usta i oczy, spojrzała dokoła. Nibbio cofnął się już właśnie do wnętrza, w oknie widniała twarz starej kobiety, podbródkiem oparta o krawędź, przyglądająca się Lucji.

— Chodź, moja droga — powiedziała stara. — Chodź, biedaczko. Pójdź ze mną, kazano mi dbać o ciebie i dodać ci odwagi.

Na dźwięk niewieściego głosu biedna dziewczyna doznała na chwilę ulgi, poczuła, że wraca jej otucha. Ale zaraz potem ogarnęła ją jeszcze głębsza trwoga.

— Ktoście wy? — szepnęła drżącym głosem, wlepiając w twarz starej zdumiony wzrok.

— Chodźże, chodź, biedaczko — powtórzyła kobieta.

Nibbio i tamci dwaj, wnoskując ze słów i z tak niezwykle złagodzonego jej głosu, jakie są w tym względzie życzenia pana, próbowali również łagodnością skłonić nieszczęsną ofiarę do posłuszeństwa. Ale ona rozglądała się tylko dokoła i chociaż miejsce wydało jej się dzikie, puste i nieznanne, a pewność siebie jej strażników nie ro

kowała nadziei na możliwość pomocy, otworzyła już przecież usta do krzyku. Widząc jednak, jak Nibbio wymownie łypie okiem na chustkę, zdławiła okrzyk, zadrżała i, zupełnie oszołomiona, dała się przenieść do lektyki. Po niej wsiadła tam i stara; Nibbio kazał tamtym dwóm iść z tyłu, a sam śpiesznie ruszył pod górę, by jak najprędzej stawić się na rozkazy pana.

— Ktoście wy? — z niepokojem powtórzyła Lucja patrząc na tę szpetną a nieznaną twarz. — Dlaczego jestem z wami? Gdzie jestem? Dokąd mnie wiedziecie?

— Do kogoś, kto pragnie twego dobra — odpowiedziała stara. — Do wielkiego... ach, szczęśliwi ci, którym on dobrze życzy! Wszystko będzie dobrze, wszystko. Nie bój się, rozpogódź liczko, kazał mi przecie dodać ci otuchy. Powiesz mu, prawda, że ci dodawała otuchy?

— Kto to? Dlaczego? Czego chce ode mnie? Ja do niego nie należę. Powiedzcie mi, gdzie jestem, pozwólcie mi odejść. Powiedzcie tym ludziom, żeby mnie puścili, niech mnie zaprowadzą do jakiego kościoła. Och, wy jesteście przecież niewiastą! Na imię Marii Dziewicy was zaklinam..!

To imię święte a słodkie, niegdyś w dzieciństwie ze czcią wymawiane, a potem przez tyle lat nie wzywane nigdy i może nawet nigdy nie słyszane z ust cudzych, wywołało w umyśle nieszczęsnej kobiety jakieś niejasne, dziwne wrażenie, coś niby wspomnienie światła u starego człowieka, który w dzieciństwie wzrok utracił.

Tymczasem Bezimienny, stojąc w progu swego zamku, spoglądał w dół; widział zbliżającą się krok za krokiem lektykę, tak jak przedtem widział karocę, a przed nią, w odległości zwiększającej się z każdą chwilą, biegnącego Nibbia. Zaledwie ten znalazł się na górze, pan skinął na niego, żeby szedł za nim. Przeszli do jednej z sal zamkowych.

— A więc? — zapytał zatrzymując się Bezimienny.

— Wszystko co do joty — odparł Nibbio z ukłonem. — Wiadomość na czas, kobieta na czas, nikogo w pobliżu, jeden jedyny krzyk, nikt się nie pojawił, woźnica gotowy, konie dobre, żadnego spotkania. Jenoo...

— Jenoo co?

— Jenoo... prawdę powiedziawszy, wołałbym już, gdyby rozkaz był palnąć jej w kark z muszkietu, nie słysząc jej głosu, nie widząc twarzy...

— Co? Co? Co ty bredzisz?

— Chcę rzec, że przez cały ten czas... przez cały ten czas okrutnie mi jej żal było.

— Żal! Cóż ty wiesz o żalu? Co to takiego?

— Nigdy w życiu tego tak nie pojął, jak tym razem. Z tym to jest tak, jak ze strachem: jak cię to ogarnie, to już nie jesteś mężczyzną...

— No, posłuchajmy, co też ona czyniła, żeby cię tak wzruszyć.

— Och, wasza wielmożność! Tyle czasu... płakała, prosiła, a patrzała takimi oczami... raptem robiła się biała, jakby umarła, i znów szlochała i mówiła takie słowa...

„Nie chcę jej w tym domu — pomyślał Bezimienny. — Bydlę ze mnie, zem się tego podjął; ale skoro przyrzekłem, to przyrzekłem. Kiedy jej tu już nie będzie...”

Podniósł głowę władczy ruchem.

— Teraz — zwrócił się do Nibbia — odłóż na bok swoje wzruszenie. Siadaj na konia, weź sobie towarzysza, dwóch, jeśli chcesz. Jedź co koń wyskoczy do domu tego don Rodriga i powiedz mu, niech przyśle... ale zaraz, natychmiast, bo inaczej...

Ale nowe „Nie”, które bardziej jeszcze władczo niż przedtem ozwało się w jego duszy, nie pozwoliło mu dokończyć.

— Nie — rzekł twardo, jakby wypowiadając głośno to, co nakazywał mu ów głos wewnętrzny. — Nie; idź odpocząć.

Jutro rano... uczynisz to, co ci powiem.

„Musi mieć chyba w sobie demona — rozmyślał zostawszy sam, stojąc wyprostowany ze splecionymi na piersi ramionami. Nieruchomy wzrok wlepił w podłogę, gdzie poświata księżycy padająca z wysokiego okna kładła kwadrat bladego światła, poprzecinany rysunkiem grubych krat i gestymi liniami cienia małych szybek. — Demona albo... albo anioła, który jej strzeże. Współczucie u Nibbia! Jutro rano, wcześniej rano, pozbędę się jej stąd. Niech spełni się jej los i niech nie słyszę o niej więcej. I — przemawiał do siebie tak, jak zwykle się mówi do krnąbrnego dziecka, wiedząc, że i tak nie posłucha — i nie chcę o niej myśleć więcej. To bydlę don Rodriga niech mi tu nie przychodzi głowy zawracać swoimi podziękowaniami, bo ja... nie chcę więcej słyszeć o niej. Oddałem mu przysługę, ponieważ... ponieważ przyrzekłem. A przyrzekłem... bo tak

chciał mój los... Ale on mi zapłaci za tę przysługę, dobrze mi zapłaci. Pomyślmy jeszcze o tym...”

I zaczął szukać w myśli, czego to on mógłby od don Rodriga zażądać w zamian, a właściwie za karę... coś bardzo ryzykownego... Ale znowu przypomniało mu się słowo „żal” w ustach Nibbia! „Jak ona to zrobiła? — dociekał nie mogąc się od tej myśli uwolnić. — Muszę ją zobaczyć... Eh, nie... ależ tak, chcę ją widzieć.”

Przeszedł do dużej sali, stamtąd wąskimi schodkami stąpając po omacku doszedł do drzwi izby starej i uderzył w nie butem.

— Kto tam?

— Otwórz.

Na dźwięk tego głosu stara w trzech skokach znalazła się u drzwi. Dał się słyszeć zgrzyt rygla i drzwi się rozwarły. Bezimienny od progu powiódł wzrokiem dokoła. W świetle płonącego na stole kaganka dojrzał Lucję skurczoną na ziemi, wciśniętą w najdalszy, najciemniejszy kąt.

— Kto ci kazał tak ją rzucić jak worek szmat, nędzniczo? — zwrócił się do starej z gniewnym marsem na czole.

— Usiadła tam, gdzie sama chciała — odpowiedziała stara pokornie. — Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby jej dodać otuchy; ona sama niechybnie to przyzna, ale nie było sposobu.

— Wstańcie — rzekł Bezimienny zbliżywszy się do Lucji.

Ale ona, której strwożony umysł pukanie do drzwi, otwarcie, ukazanie się tego człowieka i jego słowa napęliły nowym przerażeniem, jeszcze głębiej wcisnęła się w kąt, kryjąc twarz w dłoniach, i trwała tak bez ruchu, drżąc tylko mocno.

— Wstańcie, nie chcę wam uczynić nic złego... a mogę zrobić wiele dobrego — powtórzył. — Wstańcie! — krzyknął, nie nawykły rozkazywać dwa razy na próżno.

Jak gdyby przerażenie dodało jej siłę, nieszczęśliwa uniosła się gwałtownie na kolana. Złożywszy ręce, jakby to uczyniła przed świętym obrazem, podniosła oczy na twarz Bezimiennego. Ale opuściła je natychmiast ze słowami:

— Oto jestem; zabijcie mnie.

— Mówiłem, że nie chcę uczynić wam nic złego — odpowiedział cicho Bezimienny, wpatrując się w tę twarz zmaconą rozpaczą i trwogą.

— Odwagi, odwagi — wtrąciła stara. — Skoro sam pan mówi, że nie chce wam uczynić nic złego...

— Więc dlaczego — podjęła Lucja głosem, w którym mimo drżenia wywołanego lękiem czuło się jakąś rozpaczliwą determinację skrzywdzonej istoty — dlaczego każe mi cierpieć iście piekielne męki? Co ja mu złego uczyniłam?

— Czy źle się ktoś obszedł z wami? Mówcie!

— Źle się obszedł? Porwano mnie podstępem, siłą! Dlaczego? Dlaczego mnie porwano? Po co jestem tutaj? Co to za miejsce? Jestem tylko biedną dziewczyną: co złego uczyniłam? W imię Boga...

— Boga, Boga — przerwał Bezimienny. — Zawsze ten Bóg. Kto nie potrafi sam się bronić, komu brak siły, ten zawsze ma Boga na zawołanie, jakby się z nim umówił. Czegóż to się domagacie tym słowem? Czy chcecie... — i urwał w pół zdania.

— Och, Boże! Domagać się? Czegóż ja, nieszczęsna, mogłabym się domagać? Mogę jedynie prosić o miłosierdzie! Bóg przebacza tyle rzeczy za jeden czyn miłosierny! Pozwólcie mi odejść, panie. Na miłość boską, pozwólcie mi odejść! Nie opłaci się temu, kto jak wszyscy kiedyś umrzeć musi, tyle cierpienia przysparzać takiej nieszczęśliwej istocie jak ja. Och, wy, panie, macie przecież władzę; rozkażcie, żeby mnie wypuszczono na wolność. Przywieziono mnie tu siłą. Odeślijcie mnie, panie, z tą niewiastą do , do mojej matki. O Mario Dziewico! Do matki, do matki, na miłość boską, chcę do matki! Może to stąd niedaleko? Widziałam przecież moje góry! Dlaczego mnie dręczycie? Każcie mnie odprowadzić do kościoła. Będę się za was modliła do końca życia. Cóż znaczy dla was, panie, rzecz jedno słowo? Oh, widzę, że was ogarnia, litość... rzeknijcie to jedno słowo, panie, rzeknijcie je prędko. Bóg tyle przebacza za jeden miłosierny uczynek!

„Ach, czemuż ona nie jest córką jednego z tych psów, co mnie wygnali — myślał Bezimienny. — Jednego z tych nikczemników, którzy pragną mojej śmierci! Z jaką rozkoszą słuchałbym tych jej błagań... a zamiast tego...”

— Nie odpędzajcie, panie, dobrej myśli od siebie — mówiła dalej Lucja gorąco, zachęcona wyrazem wahania na twarzy i w zachowaniu swego prześladowcy. — Jeżeli nie zmiłujecie się nade mną, uczyni to Bóg: ześle mi śmierć

i skończy się moja męka; ale wy, panie... Przyjdzie może dzień, że i wy... Ale nie, nie! Będę się wciąż modliła do Boga, by was uchronił od wszelkiego zła... I cóż dla was znaczy jedno słowo? Gdybyście, panie, cierpieli, jak ja cierpię!...

— No, no, bądźcie dobrej myśli — przerwał Bezimienny tak łagodnie, że dźwięk jego głosu przejął starą zdumieniem.

— Czyż zrobiłem wam co złego? Czy wam groziłem?

— O, nie! Ja widzę, że macie, panie, dobre serce, że poczulście litość nade mną. Gdybyście chcieli, moglibyście przerazić mnie bardziej niż tamci wszyscy... moglibyście mnie zabić... a zamiast tego... ulżyliście trochę memu sercu. Bóg wam to policzy. Spełnijcie czyn miłosierdzia, panie; puśćcie mnie, ach, puśćcie...

— Jutro rano...

— Zaraz mnie puśćcie, natychmiast...

— Jutro rano zobaczymy się znowu, powiadam. Bądźcie dobrej myśli tymczasem. Odpocznijcie trochę. Musicie być głodni. Wnet wam tu przyniosą pożywienie.

— Nie, nie. Umrę, jeżeli ktoś tu wejdzie... umrę. Zaprowadźcie mnie do kościoła, panie... Bóg wam. każdy krok policzy...

— Jedzenie przyniesie wam niewiasta — rzekł Bezimienny. Wyrzekłszy te słowa, sam zdumiał się, że coś takiego przyszło mu do głowy i że w ogóle mógł zastanawiać się nad sposobem uspokojenia jakiejś wystraszonej dziewczyny.

— A ty — dodał szybko, zwracając się do starej — zachęć ją do jadła. Ułóż ją spać w twoim łóżku; jeżeli zechce cię mieć za towarzyszkę, to dobrze; jeżeli nie, możesz przespać jedną noc na podłodze. Dodawaj jej otuchy, powtarzam. Staraj się ją rozweselić. Pamiętaj, żeby nie miała przyczyny uskarżać się na ciebie.

To rzekłszy skierował się szybko ku drzwiom. Lucja zerwała się i pobiegła, chcąc go zatrzymać i ponowić swoje prośby, ale jego już nie było.

— O, ja nieszczęsna! Zamknijcie, zamknijcie prędko! — Usłysawszy stuk zamykanych drzwi i zgrzyt rygła, zawróciła i wcisnęła się znowu w kąt izby. — O, ja nieszczęsna! — wykrzyknęła z nowym wybuchem płaczu. — Kogóż mam prosić? Gdzie jestem? Wyjawciez mi to, na

miłosierdzie boskie, powiedcież, kto jest ten... ten, co ze mną mówił?

— Kto on jest, ech? Chcecie, żebym wam to wyjawiała? No, na to poczekacie! Że wam okazał życzliwość, to was zaraz w pychę wbiło. Chcecie dopiąć swego moim kosztem. Jego samego spytajcie. Gdybym spełniła waszą zachciankę, na pewno nie usłyszałabym za to takich słodkich słów, jakie ma on dla was! Stara jestem, stara — mrucała przez zęby.

— Przekłete te młode, co czy się śmieją, czy płaczą, zawsze urodziwie wyglądają i dlatego zawsze mają rację! Słyszac łkania Lucji stara przypomniała sobie ostatnie groźne słowa pana i pochyliła się nad skuloną w kąciку dziewczyną.

— No, no, nie rzekłam wam przecie nic złego — przemówiła łagodnie — rozpogódcie się, a o tamte rzeczy nie pytajcie, bo mi o nich gadać nie wolno. Bądźcie zresztą dobrej myśli. Och, gdybyście wiedzieli, ilu jest ludzi, co byliby szczęśliwi, gdyby on do nich przemawiał tak jak do was. Cieszcie się, bo wnet przyniosą wam jeść, a tak mi się widzi z tego, jak on się do was odzywał, że niegorsze to będzie jadło. Potem pójdziecie do łóżka... a ostawicie może kawałek miejsca i dla mnie — zakończyła głosem, z którego wbrew jej woli przebijała złość.

— Nie chcę jeść. Nie chcę spać. Ostawcie mnie w spokoju. Nie zbliżajcie się do mnie... ale i nie odchodźcie stąd!

— Nie, nie — powiedziała stara odstępując od niej i siadając opodal na zydlu, skąd rzucała ku biednej dziewczynie trochę lęklive, a trochę zawistne spojrzenia. Potem przeniosła wzrok na swoje posłanie rozmyślając ponuro, że pozbawiona go będzie zapewne przez całą noc, i mrukliwie wyrzekając na zimno. Pocieszała ją tylko myśl o rychłej wieczery i nadzieja, że jedzenia wystarczy i dla niej.

Lucja nie czuła zimna ani głodu; była oszołomiona, na pół przytomna, przeżyte ostatnio cierpienia i trwogi odczuwała tylko w postaci jakichś mglistych wrażeń, podobnych do gorączkowych widziadeł chorego człowieka.

Ocknęła się słyszac stukanie do drzwi. Uniosła przerażoną twarz i krzyknęła:

— Kto to? Kto to? Niech tu nikt nie wchodzi!

— Nic to, nic; dobra nowina — rzekła stara. — To Marta przynosi wieczere.

— Zamknijcie, zamknijcie! — wołała Lucja.

— Zaraz, zaraz — to mówiąc stara odebrała koszyk z rąk owej Marty, odesłała ją, zamknęła drzwi i koszyk postawiła na stole pośrodku izby. Następnie zaczęła usilnie namawiać Lucję, żeby przyszła pokosztować tych wszystkich smakowitych potraw. Robiła to w sposób w jej pojęciu najbardziej skuteczny i który powinien by obudzić w biedaczce apetyt — wydawała mianowicie pełne zachwyty okrzyki na temat znakomitości przyniesionego jadła.

— A to dopiero smakowite! Kiedy takim jak my zdarzy się czegoś podobnego pokosztować, długo o tym pamiętają! Wino, które pija sam pan ze swymi przyjaciółmi... kiedy tu któryś z nich zawita i chcą się weselić! Ehm! — Widząc jednak, że jej zachęty nie odnoszą żadnego skutku: — No cóż — powiedziała — nie chcecie, to trudno. Nie mówcie mu jeno, że wam nie dodawała otuchy. Ja tam podjem sobie; a i dla was dość jeszcze zostanie, jeśli w końcu przyjdziecie do rozumu i zechcecie mnie posłuchać.

Po czym zabrała się łapczywie do jedzenia. Nasyciwszy się, wstała, podeszła znowu do kącika i nachyliwszy się nad Lucją, poczęła ją znowu zachęcać, żeby zjadła coś i położyła się do łóżka.

— Nie, nie, nic nie chcę — odpowiadała dziewczyna słabym, jak gdyby sennym głosem. Nagle, jakby się ocknąwszy, zapytała: — Czy drzwi zamknięte? Dobrze zamknięte?

Powiodła wzrokiem po izbie dokoła, po czym wstała i ostrożnie, wyciągając przed siebie ręce, podeszła do drzwi. Ale stara podbiegła tam przed nią, ujęła ręką zasuwę i potrząsnęła nią mówiąc:

— Słyszycie? Widzicie? Dobrze zamknięte? No, jesteście teraz zadowoleni?

— Och, zadowolona! Ja — tutaj zadowolona! — odparła gorzko Lucja wracając do swego kącika. — Ale Bóg wie, że jestem tutaj.

— Chodźcież do łóżka. Cóż tam będziecie robić, skulona jak pies? Któż to słyszał gardzić wygodnym spaniem, jeśli je mieć można?

— Nie, nie. Zostawcie mnie tutaj.

— Jak sobie chcecie. Więc zostawiam wam lepsze miejsce, a sama położę się z brzegu. Jeśli zechcecie się położyć, toć potraficie to zrobić. A pamiętajcie jeno, że wam was wielokrotnie zachęcała.

To mówiąc rzuciła się w ubraniu na łóżko i wszystko w izbie ucichło.

Lucja trwała nieruchomo w swoim kącie, siedząc z podciągniętymi wysoko kolanami, na których złożyła ręce, twarz kryjąc w dłoniach. Nie był to ani sen, ani czuwanie, ale szybki wir niejasnych myśli, obrazów, przerażających widziadeł. To, w chwilach względnej przytomności, przypominała sobie wyraźnie straszne przeżycia ubiegłego dnia i zapuszczała się w bolesne dociekania dokoła niezrozumiałej a przerażającej sytuacji, w jakiej się znalazła; to znów zmęczony jej umysł borykał się wśród okropnych, pełnych grozy widziadeł, wywołanych lękiem i niepewnością dalszych losów. Trwała czas jakiś w tym stanie rozpaczliwego niepokoju, aż wreszcie, ponad miarę zgnębiona i wyczerpana, wyciągnęła na ziemi zdrtwiałe członki i zapadła w coś podobnego do snu. Nagle zerwała się jakby zbudzona jakimś wewnętrznym głosem. Poczula, że musi się ocknąć całkowicie, zebrać myśli, zrozumieć, gdzie się znajduje, jakim sposobem i dlaczego. Usłyszała szmer jakiś: było to donośne chrapanie starej kobiety. Lucja otwarła oczy i dostrzegła słabe światło, to rozbłyskujące, to znów zupełnie prawie niknące; to dogasał na stole kaganek, który wysyłał drżące swoje światełko, lecz zaraz cofał i krył w sobie, niby falę, co uderza o brzeg i wnet się cofa. Światło uciekające z przedmiotów, zanim jeszcze zdążyło użyć im wyraźnego zarysu i barwy, ukazywało oczom tylko bezładną mieszankę; ale napływające do umysłu Lucji wspomnienia ostatnich wydarzeń prędko dopomogły jej rozróżnić i uporządkować w myśli to, co tak niejasno dostrzegał jej wzrok. Zupełnie rozbudzona, nieszczęśliwa rozpoznała swoje więzienie; cały okropny dzień ubiegły stanął jej w pamięci i straszliwy lęk ją ogarnął przed tym, co przynieść miała najbliższa przyszłość. Przerazała ją nawet świadomość tego krótkiego spoczynku, tej chwili względnego spokoju, jakiej dopiero co zaznała. Ogarnęła ją taka rozpacz, że zapragnęła umrzeć. Ale w tej samej chwili uprzytomniła sobie, że pozostało jej jeszcze jedno — modlić się — i razem z tą myślą w duszy jej zbudziła się niespodzianie odrobina nadziei. Wzięła w rękę różaniec i zaczęła go znowu odmawiać; a w miarę jak słowa modlitwy wychodziły z jej drżących warg, w sercu czuła wzrastającą, choć nieokreśloną ufność. Nagle przysz

ło jej na myśl, że modlitwa jej byłaby lepiej przyjęta i pewniej wysłuchana, gdyby w tym rozpaczliwym położeniu uczyniła jakąś ofiarę. Pomyślała o tym, który jej był najdroższy na świecie — był niegdyś, bo teraz, w tej rozpacz, jedynym jej uczuciem był lęk, a jedynym pragnieniem — wydostanie się na wolność. Wspomniawszy swoją miłość, postanowiła uczynić z niej ofiarę. Uklękła i przyciskając do piersi złożone dłonie, z których zwisał różaniec, uniosła twarz i wzrok ku niebu.

— Najświętsza Panienko — powiedziała — Ty, pod której opiekę tylekroć się uciekałam i któraś mnie tylekroć pocieszyć raczyła! Ty, któraś tyle wycierpiała, a teraz żyjesz w chwale i tyle cudów uczyniłaś dla skrzywdzonych i nieszczęśliwych, pomóż mi wyrwać się z tego niebezpieczeństwa, pozwól mi wrócić szczęśliwie do matki, o Matko Boża! A ja ślubuję Ci pozostać dziewicą; wyrzekam się na zawsze tego mojego biedaka, iżbym niczyja nie była, jeno Twoja!

Wyrzekłszy te słowa pochyliła głowę i zawiesiła sobie różaniec na szyi, niby znak ofiarowania i tarczę obronną zarazem, niby broń tej armii bożej, do której się zaciągnęła. Potem usiadła znowu na podłodze czując, jak ogarnia ją spokój i ufność coraz większa. Przypomniały się jej słowa: „Jutro rano”, wypowiedziane przez potężnego nieznajomego — i wydały jej się obietnicą ocalenia. Zmęczony umysł zaczął się zwolna uspokajać i wreszcie, blisko już świtu, Lucja, z nie dopowiedzianym imieniem Opiekunki na ustach, zapadła w głęboki sen.

Był jednak ktoś. inny w tym zamku, kto także pragnął zasnąć i nie mógł. Po wyjściu, a raczej ucieczce od Lucji, po wydaniu polecenia co do wieczerzy dla niej, Bezimienny dokonał codziennego obchodu placówek w zamku; ale obraz dziewczyny nie zniknął z jego pamięci, a w uszach wciąż dźwięczały jej słowa. Poszedł do swojej komnaty i zamknął się w niej z takim pośpiechem, jakby zagrażała mu cała chmara nieprzyjaciół. Z tym samym pośpiechem rozebrał się i położył do łóżka. Ale obraz nie zniknął, był bardziej niż przedtem rzeczywisty i zdawał się mówić: „Nie zaśniesz.” „Jakaż głupia, babska ciekawość kazała mi ją zobaczyć — myślał ze złością. — Ma rację ten dureń Nibbio. Przestaje się być mężczyzną... Tak, to prawda. Przestaje

się być mężczyzną!... Ja? Ja nie jestem mężczyzną, ja? Cóż się więc stało? Co, u diabła? Czyż nie wiedziałem do tej chwili, że niewiasty krzyczą? Krzyczą czasem i mężczyźni, jeżeli nie mogą się buntować czynnie. Do diabła! Nigdy nie słyszałem beczącej baby?”

Nie potrzebował wysilać pamięci, sama ona stawiała mu przed oczy niejeden wypadek, kiedy to żadne prośby ani lamenty nie były zdolne wzruszyć go i odwieść od wykonania raz powziętego zamysłu. Ale wspomnienia te, zamiast wzmocnić osłabłą wolę, potrzebną do wykonania tego ostatniego przedsięwzięcia, zamiast stłumić w jego duszy uciążliwe uczucie litości — poczęły budzić w nim grozę i jakiś gwałtowny, gniewny żal. Tak że z ulgą powrócił do odpychanego przedtem obrazu Lucji, przeciw której chciał wszakże zbroić swoją wolę.

„Ona żyje — pomyślał — jest tutaj; jest jeszcze czas; mogę, jeśli zechcę, powiedzieć jej: «Idź, bądź szczęśliwa. Mogę ujrzeć, jak twarz jej się zmienia, mogę powiedzieć: «Przebacz mi»... Ja miałbym prosić o przebaczenie? I to kobiecie? Ja!... A jednak, jeżeli to słowo mogłoby przynieść mi ulgę, jeżeli zdolne byłoby zdjąć z moich bark część tego szatańskiego ciężaru, wypowiedziałbym je; och, czuję, żebym powiedział. Do czegoż więc dochodzę? Nie jestem już

mężczyzną, nie jestem już mężczyzną!... Ech! — krzyknął po chwili, z wściekłością przewracając się z boku na bok na łóżku, które raptem stało się dziwnie twarde, pod kołdrą nieznośnie ciężką. — To wszystko głupstwa, jakie już nieraz nachodziły mnie i mijały. Miną i tym razem."

Chcąc je odpędzić, począł szukać w myśli czegoś ważnego, czegoś, co pochłonęłoby go całkowicie. Ale nic takiego nie dostrzegał; wszystko zdawało mu się jakieś inne, odmienione. Rzeczy, których zwykł był pragnąć najsilniej, raptem zatraciły w jego oczach wszelki urok. Wszystkie namiętności ustały naraz, niby narowisty koń, który niespodzianie cofa się przed cieniem i nie da się zmusić do biegu. Myśląc o rozmaitych swoich zamierzeniach, rozpoczętych, a nie doprowadzonych do końca, zamiast odczuwać gniew, jaki go zwykle ogarniał w obliczu trudności (taki gniew wydałby mu się w tej chwili słodkim i wyzwajającym uczuciem), doznawał tylko smutku i czegoś jakby trwogi z powodu już poczynionych kroków. Widział przed sobą pustkę pozbawioną wszystkiego, co by go mogło za

jąc, czego mógłby pragnąć, pełną jedynie trudnych do ścierpienia wspomnień; widział długie godziny podobne do tej, jaką właśnie przeżywał, nieznośnym ciężarem przygniatające jego głowę. Przywołał w wyobraźni wszystkich swoich zabijaków, ale nie umiał znaleźć dla nich żadnego rozkazu, który by jemu samemu wydawał się ważny i potrzebny. Nawet sama myśl o zobaczeniu ich znowu, o przebywaniu wśród nich, zaczęła budzić w nim uczucie przykrości i odrazy. A kiedy szukał czegoś, czym mógłby się zająć nazajutrz, czego mógłby dokonać, błysnęła mu myśl, że przecież mógłby przywrócić wolność tej porwanej biedaczce.

„Tak, uwolnię ją. Jak tylko rozednieje, pójdą do niej i powiem: «Możesz iść.» Dam jej straż... Ale moje słowo? Zobowiązanie? Don Rodrigo?... Kimże jest don Rodrigo?"

Jak ktoś niespodzianie wezwany przez swego zwierzchnika na trudne i krępujące przesłuchanie, Bezimienny gorączkowo zaczął szukać odpowiedzi na pytanie, które zadał sam sobie, a raczej ten nowy „on", nagle powstały i przybierający postać olbrzyma, by stać się sędzią jego dawnego „ja". Szukał w myśli przyczyn, które skłoniły go tak łatwo, niemal jeszcze przed usłyszeniem prośby, do dania tego przyrzeczenia mającego przyczynić tyle cierpień nie znanej mu, nieszczęśliwej istocie, której przecież ani nienawidzić, ani bać się nie miał powodu. Przysługa dla tamtego człowieka? Bezimienny nie tylko nie mógł znaleźć argumentów, które by usprawiedliwiały ten fakt, ale nawet pojąć nie potrafił, jak się to stać mogło. Ta zgoda, jaką wyraził, nie wynikała z namysłu, z rozwagi; był to jedynie odruch istoty nawykłej od wielu lat kierować się tymi samymi zawsze pobudkami, bierne pójsie śladem wielu, bardzo wielu podobnych czynów, dokonanych poprzednio.

I oto udręczony sędzia samego siebie, szukając przyczyn usprawiedliwiających jeden jedyny uczynek, począł badać I sądzić całe swoje życie. Cofał się w głąb jego rok za rokiem, od zbrodni do zbrodni, od krwi do krwi, od łotrostwa do łotrostwa. A każdy z tych czynów jawił się oczom sprawcy w nowym świetle, świadomy i bezwzględny, odarty z tych podniet, które niegdyś doprowadziły do jego spełnienia. Każdy ukazywał się w całej swej ohydzie, której przedtem wzburzone namiętności nie pozwalały dostrzec.

To wszystko były jego czyny — to był on sam. Groza, jaką ta myśl budziła, wzrastała z każdym nowym, nasuwającym się pamięci obrazem — i przeradzała się stopniowo w głęboką rozpacz. W pewnej chwili Bezimienny zerwał się, usiadł

na łóżku, gwałtownym ruchem uchwycił wiszący obok na ścianie pistolet, zerwał go i w chwili, kiedy już miał skończyć z tym życiem, które stało się niemożliwe do zniesienia, przemknęła mu myśl pełna niepokoju i przesydanego lęku: pomyślał mianowicie o tym wszystkim, co nastąpi po jego śmierci. Z dreszczem; grozy wyobraził sobie zniekształconego trupa, nieruchomego, zdanego na łaskę i niełaskę najędzniejszego bodaj spośród tych, co go przeżyją. Wyobraził sobie zdumienie i zamęt, jaki nazajutrz zapanuje na zamku... wszystko wytracone ze zwykłego biegu... jego ciało bez woli i głosu rzucone gdzie bądź... wyobrażał sobie, co będą mówili ludzie dokoła niego i gdzie indziej... widział radość swoich wrogów. Nawet ta ciemność i cisza, jakie go otaczały, przydawały obrazowi śmierci smutku i grozy. Wydawało mu się, że nie zawahałby się, gdyby to było na otwartym powietrzu, w biały dzień, w obecności ludzi: rzucić się w głębinę rzeczną i zniknąć.

Pogrążony w tych dręczących myślach odwoził i spuszczał konwulsyjnym ruchem wielkiego palca kurek pistoletu; i nagle błysnęła mu zupełnie inna myśl: „Jeżeli to inne życie, o którym mówiono mi, kiedy byłem dzieckiem, o którym ludzie mówią tak, jak gdyby było czymś pewnym i niewątpliwym — nie istnieje, jeżeli jest tylko wymysłem księży, w takim razie co ja czynię? Po cóż umieram? Jakież znaczenie ma to wszystko, co popełniam? Cóż to jest? Moje własne szaleństwo jedynie... A jeżeli to drugie życie istnieje!...”

Ta nowa wątpliwość, to ryzyko, jakie miał podjąć, pogrążyły go w rozpacz jeszcze głębszej i czarniejszej. Czuł, że śmierć nie uwolni go od niej. Wypuścił broń z ręki i palce zagłębił we włosach, drżąc i szczękając zębami. I nagle przypomniał sobie słowa kilkakrotnie słyszane przed paru zaledwie godzinami: „Bóg tyle przebacza za jeden czyn miłosierny.” Słowa te zabrzmiały mu w uszach nie w tym tonie pokornej prośby, jakim były wypowiedziane, ale silnie i władczo, a dźwięk ich przywodził z sobą daleką jakąś nadzieję. Była to chwila ulgi; Bezimienny odjął ręce od

skroni i wpatrzył się oczyma duszy w tę, z której ust te słowa usłyszał. Widział ją nie jako swoją brankę, błagającą o litość, ale jako kogoś, kto mocen jest rozdzielać łaskę i pociechę. Z niecierpliwością wyczekiwał dnia, chciał biec do niej, uwolnić ją i usłyszeć z jej ust dalsze słowa darzące pociechą i życiem. Wyobrażał sobie, jak sam odprowadzi ją do matki. „A później? — zadał sobie pytanie. — Co będę czynił później, do końca tego dnia i dni następnych? A noc? Och, noc, która za dwanaście godzin znowu powróci! Noc? Nie, nie, nie, nie zniosę nocy.” Ujrzał znowu przed sobą dręczącą pustkę, na próżno szukał czegoś, czym by ją zdołał wypełnić, co pomogłoby mu przepędzić jakoś dni i noce. To zamyślał o porzuceniu zamku i wędrówce w dalekie strony, gdzie nikt nie znałby go nawet z imienia. Ale wiedział, że siebie samego i tak wszędzie za sobą powlecze. To znów pocieszał się ponurą nadzieją, że dawny duch i dawna wola powrócą jeszcze do niego; że to tylko przemijające szaleństwo; chwilami bał się jasnego światła dnia, w którym ukaże się swoim ludziom w tak nędznej, odmienionej, bezsilnej postaci. To znów wzdychał do niego niecierpliwie, jak gdyby nadchodzący świt miał rozjaśnić także jego myśli.

I właśnie w godzinie świtu, wkrótce potem kiedy Lucja usnęła wyczerpana, Bezimienny, siedząc nieruchomo na łóżku, usłyszał dochodzące z daleka jakieś dźwięki niewyraźne, ale mające w sobie coś przedziwnie radosnego. Wyteżył słuch i zrozumiał, że to świąteczne, uroczyste dzwonicie z odległego kościoła. Po chwili prócz tego dźwięku rozróżnił i echo jego, odbite od gór, łagodnie stapiające się z głosem dzwonów. Słuchał; niebawem do tamtego dzwonicia dołączyło się inne, bliższe i dalsze, a zawsze uroczyste i radosne. „Cóż to takiego? Jakież mają powód, by tak się weselić?” — pomyślał. Wyskoczył z łóżka, istnego łoża tortur owej nocy, na pół ubrany podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał. Góry spowite były częściowo we mgłę; niebo zaś nie tyle zachmurzone, ile całe zasnuwane szarawą powłoką. Mimo to w rosnącym świetle dnia dostrzec można było, że droga w głębi roi się od ludzi ciągnących w jedną stronę, ku wylotowi doliny, na prawo od zamku; z domów wychodzili wciąż nowi i dołączali się do idących; tłumy te wyglądały odświętnie i niezwykle radośnie.

„Cóż im się, u diabła, stało? Skąd ta wesołość w tym prze

klętym kraju? Dokąd ciągnie cała ta hołota?" — zastanawiał się Bezimienny.

Krzyknął na jednego z bravich, który sypiał w przyległej izbie, i zapytał go o przyczynę tego niezwykłego ruchu. Ten wiedział o tym tyleż, co i jego pan, poszedł więc czym prędzej zasięgnąć języka. Pan jego pozostał przy oknie, z uwagą śledząc owo ruchliwe widowisko. Szli mężczyźni, kobiety i dzieci, gromadami, po dwoje i pojedynczo. Raz po raz ktoś samotny, dopędziwszy kogoś idącego przed nim, przyłączał się do niego i szli dalej razem — jak dwóch podróżujących wspólnie przyjaciół. Widać było, że wszyscy ci ludzie śpieszą do wspólnego celu i że łączy ich jakaś wspólna radość. A dźwięk, nie zestrojony a przecież harmonijny, wielu bliższych i dalszych dzwonów wydawał się głosem tego tłumu, jak gdyby zastępował niesłyszalne z tej odległości słowa. Bezimienny patrzył długo, a w duszy jego rosło z każdą chwilą pragnienie zrozumienia, co też to być może, co tak liczną i różnorodną rzeszę ludzką napęła jednakim zapałem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wysłany bravo wrócił niebawem z wiadomością, że dnia poprzedniego przybył do kardynał Federigo Borromeo, arcybiskup Mediolanu, i że ma tam pozostać cały dzień. Nowina ta jeszcze wieczorem obiegła okolicę i wszyscy zapragnęli ujrzeć tego człowieka. Toteż dzwony były nie tyle dla zwoływania ludzi, ile dla wyrażenia powszechnej radości.

Po wysłuchaniu relacji i odprawieniu sługi Bezimienny spoglądał w dolinę pogrążony w myślach. „Dla jednego człowieka! Wszyscy ci ludzie dążą w radosnym pośpiechu, żeby go zobaczyć. A przecież każdy z nich ma z pewnością diabła, który go dręczy. Nikt jednak, nikt, nie ma takiego jak mój. Nikt nie przeżył takiej, jak ja, nocy.. Cóż jest w tym człowieku, że tylu ludzi może napoić weselem? Cóż, rozrzuci na chybił trafił trochę groszaków pomiędzy cizbę... Ale tych wszystkich chyba nie pociąga jedynie nadzieja jałmużny. Więc parę znaków uczynionych w powietrzu, parę słów... Och, a jeżeli ten człowiek znalazłby i dla mnie słowa pociechy? Jeżeli?... Czemuż i ja nie miałbym tam pójść? Czemu nie? Pójdę, tak, pójdę! Chcę z nim pomówić. Pomówić w cztery oczy. Co mu powiem? No, więc... cóż, wysłucham najpierw, co ten człowiek będzie miał do powiedzenia!"

Powziąwszy w zamęcie myśli to postanowienie, spiesznie dokończył ubierania, nakładając kaftan o półwojskowym wyglądzie; wziął porzucony na łóżku pistolet i zatknął za pas z jednej strony, z drugiej zaś inny spośród wiszących na ścianie. Prócz tego zawiesił u pasa pugiń, a na ramię zarzucił karabin niemal równej zażywający sławy, co on sam. Wziął kapelusz, wyszedł ze swojej komnaty i udał się przede wszystkim do izby, w której zosta

wił Lucję. Zdjąwszy karabin, postawił go w kącie za drzwiami i zastukał, odzywając się równocześnie. Stara jednym skokiem zerwała się z łóżka i pobiegła otworzyć. Pan wszedł, rozejrzał się dokoła i zobaczył Lucję skuloną nieruchomo w kącie.

— Śpi? — zapytał przyciszonym głosem. — Tam śpi? Czy takie były moje rozkazy, nieszczęsna?

— Robiłam wszystko, co było w mojej mocy — odpowiedziała stara. — Ale nie chciała jeść i nie chciała się położyć.

— No, to daj jej spać w spokoju. Bacz, żeby jej niczym snu nie zakłócić. A skoro się obudzi... Marta będzie tu obok. Gdyby poprosiła o cokolwiek, pošlesz po to Martę. A jak się zbudzi, powiedz jej, że ja... że wyszedłem, ale niebawem wrócę... i że spełnię wszystko, czego zażąda.

Stara słuchała tych słów, niezmiernie zdumiona. „Czyżby to była jaka księżniczka?” — pomyślała.

Wyszedłszy, Bezimienny podjął swój karabin, kazał Marcie czekać w sąsiedniej izbie, a pierwszego napotkanego bravo posłał, by trzymał straż przed drzwiami Lucji, przykazując mu, żeby nikogo poza tą jedną kobietą nie ważył się tam wpuścić. Po czym wyszedł z zamku, i spieszenie schodzić zaczął w dół.

Rękopis nasz nie wyjaśnia wcale, jaka była odległość od zamku do wsi, w której przebywał kardynał. Z dalszych jednak opisów wynika, że była to zaledwie dość długa przechadzka. Z samego faktu, że mieszkańcy doliny i dalszych okolic ściągali tłumnie do tej wsi, nie możemy nic wnosić co do odległości, ponieważ w pamiętnikach z tej epoki często napotykamy wzmianki, o tym, jak ludność wiosek oddalonych o dwadzieścia i więcej mil schodziła się po to, by zobaczyć Federiga.

Spotkam na drodze bravi zatrzymywali się z uszanowaniem na widok swego pana, czekając, czy nie będzie miał dla nich jakichś rozkazów, względnie czy nie zechce zabrać ich z sobą na jakąś wyprawę; nie wiedzieli zgoła, co myśleć o jego niezwykłym wyglądzie i dziwnych spojrzeniach, jakimi odpowiadał na ich korne ukłony.

Z chwilą kiedy znalazł się na drodze publicznej, widok jego idącego bez żadnej asysty budził zdumienie przechodniów. Wszyscy zresztą i tak usuwali mu się z drogi, zostawiając tyle wolnego miejsca, że wystarczyłoby go dla

pokaźnego orszaku, i odkrywali pokornie głowy. Przyszedszy do wsi, Bezimienny napotkał tam ogromny tłum ludzi; ale jego imię przelatywało z ust do ust i tłum rozstępował się, czyniąc mu miejsce. Zapytał kogoś, gdzie się znajduje kardynał.

— Na plebanii — odpowiedział ten człowiek, kłaniając się głęboko, i wskazał mu drogę.

Bezimienny udał się tam, wszedł na niewielki dziedziniec, gdzie zgromadzonych było wielu księży; wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu, badawczo i podejrzliwie. Zobaczył przed sobą otwarte drzwi wiodące do małego saloniku, również pełnego księży. Zdjął z ramienia karabin, postawił go w kącie podwórza i wszedł do wnętrza. Tam również powitały go zdumione spojrzenia, cichym szeptem wymówione jego imię, a potem milczenie.

Zwracając się do jednego z obecnych zapytał, gdzie jest kardynał, i oświadczył, że chce z nim mówić.

— Jestem tu obcy — odpowiedział zapytany i, rozejrzawszy się dokoła, zawołał kapelana od krzyża, który właśnie w drugim końcu saloniku mówił do kogoś przyciszonym głosem:

— On? Ten słynny? A cóż on ma tu do roboty? Precz z nim!...

Jednak na wezwanie, które rozbrzmiało w otaczającej ciszy, zmuszony był odpowiedzieć. Skłonił się Bezimiennemu, a usłyszawszy, czego sobie życzy, podniósł na niego oczy pełne ciekawości i niepokoju. Zaraz jednak opuścił wzrok i milczał chwilę, a wreszcie powiedział czy raczej wymamrotał niewyraźnie:

— Nie wiem... zaiste... czy jego przewielebność w tym momencie... czy możliwym będzie... zaraz, zaraz się dowiem. I poszedł, z widoczną niechęcią spełniając to poselstwo, do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się kardynał.

W tym miejscu naszej opowieści zmuszeni jesteśmy zatrzymać się na chwilę niby podróżny, co zniechęcony długą wędrówką przez dzikie i jałowe przestrzenie spocznie nie bacząc na stratę czasu w cieniu pięknego drzewa, na murawie, opodal źródła. Napotkaliśmy tu bowiem postać człowieka, którego imię, ilekroć nasunie się pamięci, wywołuje uczucie niezmiernej czci i zarazem pogodnej, przyjaznej, jakże ludzkiej życzliwości. A zwłaszcza teraz,

po tylu obrazach cierpienia z jednej, a zbrodniczej przewrotności z drugiej strony! O tej postaci musimy koniecznie choć w paru słowach opowiedzieć; jeśli zaś ktoś nie ma chęci tych paru słów wysłuchać, a ciekaw jest dalszego ciągu opowieści, niechże sobie przeskoczy wprost do następnego rozdziału.

Federigo Borromeo, urodzony w roku , był jednym z tych ludzi wyjątkowych bez względu na epokę, którzy wszystkie siły wybitnego umysłu, wszystkie możliwości, jakie daje ogromna fortuna, wszystkie korzyści wypływające z uprzywilejowanej pozycji w świecie, wreszcie niezłomną wytrwałość — obrócili na jeden cel: szukanie i czynienie dobra. Życie jego podobne jest do ruczaju, który jak czysty wytrysnął ze skalnego źródła, tak samo bez najmniejszego zmaczenia lub zatrzymania odbywa długą drogę poprzez najrozmaitsze tereny i czysty wpada do rzeki.

Otoczony wygodami i przepychem, od dzieciństwa wprowadzał w czyn nakazy wyrzeczeń i pokory, te wszystkie wzniosłe maksymy głoszące, że rozkosz to marność, że pycha — to nieuzasadniona próżność, pouczające, czym jest prawdziwa godność i prawdziwe dobro — jednym słowem, to wszystko, co z pokolenia w pokolenie przekazywane jest jako podstawą religijnego nauczania, bez względu na to, czy budzi jakiś oddźwięk w sercach, czy też nie. On jednak te wszystkie nakazy i maksymy brał poważnie i dosłownie; rozważał je, znajdował w nich upodobanie, dostrzegał w nich prawdę. Tym samym zrozumiał, że nie mogą zawierać prawdy maksymy i nakazy wręcz przeciwne, które z tą samą niezachwianą pewnością — często nawet przez te same usta — przekazywane są z pokolenia w pokolenie. Postanowił przyjąć za normę swych myśli i postępów — zasady, których prawdę uznał. Wierząc, że życie nie zostało dane wielu jako ciężar, a nielicznym wybranym jako nieustający festyn, ale wszystkim jako zadanie, z którego będą musieli zdać kiedyś sprawę, od dzieciennych lat myślał nad tym, jak uczynić swoje życie użytecznym i świętym.

W roku objawił chęć obrania stanu duchownego i przyjął suknię kapłańską z rąk swego krewnego, Carla, którego w owym czasie już od dawna powszechna fama mieniła świętym. Wkrótce potem wstąpił do kolegium za

łożonego przez tegoż krewnego w Pawii i po dziś dzień nazywanego ich rodowym nazwiskiem. Spełniał tam przepisanymi obowiązki z całą gorliwością, nałożywszy sobie z własnej woli ponadto dwa jeszcze, a mianowicie: wpajać naukę chrześcijańską najbardziej nieokrzesanym i zaniedbanym spośród ludu oraz odwiedzać, pielęgnować i pocieszać chorych. Powaga i autorytet, jakimi cieszył się w swym otoczeniu, dopomogły mu wciągnąć do tej pracy wielu kolegów; w każdej uczciwej i pożytecznej sprawie stał zawsze na czele, świecąc przykładem; być może, że jego walory osobiste wystarczyłyby same przez się do zapewnienia mu tego moralnego prymatu, nawet gdyby jego kondycja społeczna była zupełnie bez znaczenia. Innych zaś korzyści, jakich mogły mu dostarczyć pochodzenie i fortuna, nie tylko nie szukał, ale robił wszystko, co mógł, by ich uniknąć. Pożywienie jego było nie tylko skromne, ale wręcz ubogie, tak samo jak jego odzież; podobnie cały tryb życia i zachowanie. Nigdy nie dał się przekonać, że powinien coś zmienić w tych swoich obyczajach, mimo że niektórzy spośród krewnych wielkim głosem krzyczeli i lamentowali, że Federigo rzuca cień na splendor rodu. Musiał także wieść ustawiczną wojnę z wychowawcami i nauczycielami, którzy wciąż usiłowali ukradkiem, a znieścacka podsuwać mu rozmaite przedmioty czy części ubioru o bardziej pańskim wyglądzie, dzięki którym odróżniałby się od otaczającego go tłumu i rzucał się w oczy jako najznakomitszy w tym gronie. Nie wiadomo, czy chcieli w ten sposób zdobyć jego miłość, czy też kierowała nimi nędzna służalczość, która puszy się i raduje splendorem wyżej postawionych. A może zaliczali się oni do tych przezornych i umiarkowanych, którzy obawiają się zarówno zbytku cnoty, jak i występku i głoszą, że doskonałość leży pośrodku. Środek zaś ów

widzą dokładnie w tym punkcie, który sami osiągnęli i w którym czują się swobodnie. Federigo jednak nie ulegał wcale ich zakusom, ale żył tak, jak uważał za właściwe. Był wówczas na granicy dzieciństwa i wieku dojrzałego. Że za życia kardynała Carla, starszego odeń o lat dwadzieścia siedem, patrząc na jego szlachetną powagę, mającą wszelkie znamiona świętości, pamiętając o jego dziełach, widząc spontaniczne objawy czci, jaką żywiło dla kardynała całe jego otoczenie — Federigo jako dziecko

i młodzieniec usiłował naśladować życie i przejąć poglądy tego człowieka, rzecz to sama przez się zrozumiała. Ale zadziwiające było, że po śmierci Carla nic nie wskazywało na to, że Federigowi, wówczas młodzieńcowi dwudziestoletniemu, zbrakło nagle tego przewodnika i sędziego. Wzrastająca wciąż sława jego rozumu, wiedzy i pobożności, pokrewieństwo i stosunki z niejednym wpływowym kardynałem, znaczenie jego rodziny, wreszcie samo nazwisko, którego brzmienie dzięki osobie Carla łączyło się w umysłach ludzkich z pojęciem świętości i wyżyn duchowych — wszystko, jednym słowem, co tylko może sprzyjać osiągnięciu najwyższych godności kościelnych, było jego udziałem. On jednak, głęboko przekonany o tym, czemu żaden wyznawca chrześcijaństwa nie może jawnie zaprzeczyć, że mianowicie wynoszenie jednego człowieka ponad innych jest niesprawiedliwością i że prawdziwie przewyższyć innych można jedynie w służeniu ludziom, obawiał się wszelkich godności i starał się ich uniknąć. Nie dlatego z pewnością, by chciał się uwolnić od owej służby bliźnim, bo niewiele ludzkich żywotów tak dalece się temu poświęciło jak jego, ale dlatego, że nie czuł się ani godny, ani dostatecznie uzdolniony do zadań, jakie te godności wysokie, a niebezpieczne w sobie mieściły. Toteż kiedy w roku Klemens VIII zaofiarował mu arcybiskupstwo Mediolanu, zaskoczyło go to nader przykro i bez wahania odmówił. Musiał jednak ustąpić na wyraźny rozkaz papieża. Tego rodzaju demonstracje — któż o tym nie wie? — nie są ani trudne, ani rzadko spotykane. Obłuda zdobywa się na nie bez wysiłku, a błazeństwo chętnie je wyśmiewa. Nie znaczy to jednak, by taka postawa nie mogła być naturalnym wyrazem mądrości i cnoty. Życie jest kamieniem probierczym słów; i słowa, które wyrażają szczere uczucie, choćby słyhać je było także z ust wszystkich obłudników i szyderców świata, nie tracą nic ze swej piękności, jeżeli towarzyszy im życie niesamolubne i pełne wyrzeczeń. Na stanowisku arcybiskupa Federigo dbał niezmiernie skrupulatnie o to, by z pieniędzy, czasu, wygod brać na własny użytek tylko taką cząstkę, jaka była niezbędnie potrzebna. Był zdania, jak mówią wszyscy, że dochody z godności kościelnych są własnością ubogich; ale jak ten

pogląd rozumiał, widać na takim choćby przykładzie. Zażądał mianowicie ścisłego obliczenia, ile wynoszą koszty utrzymania jego i jego służby osobistej. A dowiedziawszy się, że wynosi to sześćset skudów (skud była to ówczesna nazwa złotej monety, która później, bez zmiany wagi i wartości, nazwana została zecchino), zarządził, by takąż sumę corocznie podejmowano z jego prywatnej szkatuły i obracano na utrzymanie domu. Nie uważał bowiem, by on, bogacz, miał prawo żyć z tego, co przynależy ubogim. Własne pieniądze wydawał na siebie również niesłychanie oszczędnie. Odzież nosił aż do zupełnego jej zardarcia. Z prostotą ową łączył przecież, jak zaświadczyają współcześni mu pisarze, doskonałą wręcz schludność; obie te cechy były czymś wyjątkowym w tej epoce zbytku i niechlujstwa. Tak samo nie chcąc, by marnowały się jakiegokolwiek resztki z jego skromnego stołu, przeznaczył je raz na zawsze jednemu

z przytułków dla starców. Co dzień też jeden z tych biedaków wchodził po skończonym obiedzie do sali jadalnej i zabierał wszystko, co pozostało. Tego rodzaju zarządzenia mogłyby nasuwać przypuszczenie, że była to natura małostkowa, cnota mizerna, umysł pochłonięty nieważnymi drobiazgami, niezdolny do ogarnięcia szerszych horyzontów. Przeczy temu jednak chociażby taka biblioteka Ambrozjana, zaprojektowana przez Federiga ze wspaniałym rozmachem i wzniesiona przezeń olbrzymim kosztem; dla zaopatrzenia jej w książki i rękopisy, oprócz tych, które już poprzednio z wielką starannością i wielkim nakładem kosztów zgromadził, powierzył ośmiu ludziom, mającym w tej dziedzinie ogromną wiedzę i doświadczenie, zadanie poszukiwania godnych nabycia książek na terenie Włoch, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Flandrii, Grecji, w Libanie i Jerozolimie. W ten sposób zdołał zgromadzić około trzydziestu tysięcy tomów drukowanych i czternaście tysięcy rękopisów. Przy bibliotece stworzył kolegium doktorów (było ich dziewięciu, opłacanych przez niego do końca jego życia; później, ponieważ zwykle dochody na to nie wystarczały, zmniejszono ich liczbę do dwóch); zadaniem tych uczonych było prowadzenie badań w różnych dziedzinach — teologii, historii, piśmiennictwa, starożytności kościelnych, języków wschodnich — z obowiązkiem publicznego ogłaszania wyników prac, jakie każdy z nich przedsięwziął. Powstało prócz tego przy bibliotece kolegium

zwane przez założyciela trójjęzycznym, obejmujące studia nad językami: greckim, łacińskim i włoskim. Wychowankowie tego kolegium nabywali tam gruntowną znajomość tych języków, by ich móc później nauczać. Była tam i drukarnia tłocząca książki w językach wschodnich: hebrajskim, chaldejskim, arabskim, perskim i armeńskim; galeria obrazów i rzeźb oraz szkoła sztuk opartych na rysunku, czyli malarstwa, rzeźby i architektury. Nauczycieli dla tej szkoły można było znaleźć z łatwością; natomiast wszystkie pozostałe dziedziny kosztowały założyciela wiele trudu, jak to już widzieliśmy na przykładzie zaopatrzenia biblioteki w książki i rękopisy. Z pewnością trudniej jeszcze było zdobyć czcionki drukarskie w językach znacznie mniej wówczas w Europie znanych niż dzisiaj; a jeszcze trudniej niż czcionki było znaleźć odpowiednich ludzi.

Dość będzie powiedzieć, że na dziewięciu doktorów, jakich potrzebował, ośmiu musiał wybrać spośród młodych wychowanków seminarium. Można z tego wnosić, jaki był jego sąd o badaniach naukowych i o uczonych owego czasu. Sąd ów nie odbiega od tego, jaki w tej dziedzinie wydała potomność, pogrążając zarówno owe studia, jak i osoby badaczy w całkowitym zapomnieniu. W regulaminie opracowanym przez Federiga, a dotyczącym korzystania z biblioteki oraz opieki nad nią, widać troskę o trwałość z tej biblioteki pożytek; troskę nie tylko piękną, ale rozumną i wyprzedzającą znacznie obyczaje i pojęcia owych czasów. Do obowiązków bibliotekarza należało stałe porozumiewanie się z najwybitniejszymi przedstawicielami nauki europejskiej w celu zapoznawania się z postępami wiedzy i nowo ukazującymi się za granicą książkami z wszelkich dziedzin, zasługującymi na włączenie ich do biblioteki. Bibliotekarz winien był także służyć studiującym radą w kwestii wyboru książek, których nie znali, a które mogłyby być dla nich użyteczne. Życzeniem fundatora było, by każdy, czy to obywatel miejscowy, czy obcy, miał możliwość dogodnego korzystania z zasobów biblioteki. Dziś wydaje się takie zarządzenie samo przez się zrozumiałe, nieodłącznie związane z pojęciem biblioteki; wtedy jednak było inaczej. W historii Ambrozjana, napisanej właściwym tamtych czasom wytwornym stylem przez Pierpaola Bosca, zajmującego stanowisko bibliote

karza po śmierci Federiga, czytamy, jako o rzeczy zupełnie niezwykłej, że w tej bibliotece, założonej przez prywatnego człowieka i niemal całkowicie na jego koszt, książki wystawione były na widok publiczny i dawane do ręki każdemu, kto chciał; czytający mógł ponadto korzystać z krzeseł, papieru, piór i atramentu celem, robienia notatek, jakie mu były potrzebne. Tymczasem we wszystkich innych znacznie większych bibliotekach włoskich książki były nie tylko niewidzialne, ale pochowane w zamkniętych szafach, skąd tylko szczególna uprzejmość bibliotekarza mogła je na chwilę wydobyć. To, by zwykli śmiertelnicy mogli czytać te książki, nikomu nawet przez myśl nie przechodziło. Tak więc wzbogacanie tych księgozbiorów było równoznaczne z uszczuplaniem liczby dostępnych ludziom książek. Była to uprawa, jakich wiele bywało i bywa na świecie — uprawa, która wyjaławia pole.

Nie pytajcie, jaki był wpływ tej Borromejskiej fundacji na kulturę obywateli; bez trudu można by wykazać w dwóch zdaniach, tak jak to się zwykło robić, że był nadzwyczajny albo że nie było go wcale. Wyjaśnić, jaki był ten wpływ rzeczywiście, byłoby pracą mozolną, mało celową i tutaj nie na miejscu. Zastanówcie się tylko, jakim wspaniałomyślnym, rozumnym, dobroczynnym, wytrwałym wyznawcą idei doskonalenia ludzkości musiał być człowiek, który taką rzecz sobie wymarzył, w tej postaci obmyślił i zrealizował, otoczony morzem ignorancji, bezwładu, powszechnej niechęci wobec każdego bezinteresownego wysiłku umysłowego, słysząc dokoła siebie głosy w rodzaju: „Co nas to obchodzi?” — „Co innego mamy . na głowie!” — „To dopiero wynalazek!” — „Tego jeszcze brakowało” — i tym podobne. Ilość tych głosów z pewnością przewyższyła ilość skudów, jakie pochłonęło to przedsięwzięcie. A tych było sto pięć tysięcy, czyli większa część majątku Federiga.

Zdawałoby się, że po to, by takiego człowieka nazwać dobroczynnym i hojnym, nie musimy dowiadywać się, czy dużo poza tym wydawał na bezpośrednią pomoc potrzebującym; jest też pewnie wielu, którzy sądzą, że taka działalność, jak jego, to najlepsza i najpożyteczniejsza forma dobroczynności. Ale Federigo uważał jałmużnę w ścisłym znaczeniu tego słowa za pierwszą i najważniejszą powinność; i tu, jak zawsze, czyny jego zgodne były z wygłasza

nymi poglądami. Życie jego było nieustającą pomocą biednym. W związku z latami głodu, o których była już mowa w naszej opowieści, będziemy mieli niebawem sposobność pokazać, ile mądrości i dobroci przejawiał w tych okolicznościach. Spośród wielu przykładów dobroczynności, jakie znajdujemy u jego biografów, przytoczymy tutaj tylko jeden. Dowiedziawszy się, że pewien szlachcic podstępem i prześladowaniem usiłuje zmusić swoją córkę, by została mniszką, podczas gdy ona pragnęła wyjść za mąż, wezwał owego ojca do siebie i wydobyl z niego wyznanie, że istotną przyczyną jego postępowania był brak czterech tysięcy skudów niezbędnych, jego zdaniem, do wydania córki za mąż odpowiednio do jej pozycji. Federigo wyposażył dziewczynę, ofiarowując jej owe cztery tysiące skudów. Niejeden mógłby uważać, że była to hojność przesadna i nieprzemyślana, zbyt pobłażliwa wobec głupiego kaprysu pyszałka, i że owe cztery tysiące skudów mogłyby zostać wydane na sto innych, lepszych sposobów. Umieemy na to odpowiedzieć jedynie, że nie byłoby tak znów źle spotkać się od czasu do czasu z taką przesadą w dobroci i taką niezależnością od panujących poglądów (a każda epoka ma swoje panujące poglądy) i od powszechnych tendencji, jak ta, która skłoniła człowieka do poświęcenia czterech tysięcy skudów na to, żeby jedną młodą istotę uchronić od zamknięcia w klasztorze.

Niewyczerpane miłosierdzie tego człowieka — niemniej niż w dawaniu — przejawiało się w całym jego sposobie bycia. Życzliwy i przyjacielski wobec wszystkich, dbał jednak szczególnie o to, by dla ludzi tak zwanego „niskiego stanu” mieć zawsze twarz pogodną i uprzejmą serdeczność. Uważał, że im się to od niego należy tym bardziej, im mniej życzliwości doznają ze strony otaczającego ich świata. I na tym także punkcie dochodziło do starć pomiędzy nim a rozmaitymi szanującymi się osobnikami z gatunku ne quid nimis, którzy woleliby, aby jego postępowanie „nie przekraczało granic”, ich własnych granic, oczywiście. Pewnego razu w czasie wizyty kapłańskiej w jakiejś leśnej wiosce alpejskiej jedna z tych godnych osobistości zwróciła uwagę arcybiskupowi, że nie należy w czasie rozmowy z tamtejszymi dziećmi tak serdecznie

ich pięści; powinien być powściągliwszy i wziąć pod uwagę, że dzieci są doprawdy zbyt brudne i zbyt zuchwałe. Pocziwiec ten przypuszczał widocznie, że Federigo nie ma ani dość wężu, ani bystrości, żeby zauważyć jedno i drugie. Taki już bywa, w pewnych czasach i okolicznościach, los osób wysoko postawionych: że choć nader rzadko natrafiają na kogoś, kto by im wytknął ich błędy, nie zbraknie nigdy dokoła nich takich śmiazków, którzy zgania ich za to, co w nich jest dobrego.

Ale dobry biskup odpowiedział łagodnie, choć z pewną niechęcią:

— To przecież moje owieczki, a może nie zobaczą mnie nigdy więcej; jakżeż nie miałbym ich przynajmniej uściskać? Nieczęsto doznawał uczucia gniewu ten człowiek wielbiony za swą łagodność, za niezmaconą niczym pogodę, którą zdawał się zawdzięczać niezwykle szczęśliwym cechom wrodzonym, a która w rzeczywistości była wynikiem surowej dyscypliny duchowej i wytrwałej pracy nad opanowaniem żywego i raczej zapalczywego usposobienia. Jeżeli czasem okazał się surowy, a nawet szorstki, to jedynie w stosunku do podległych sobie księży, o ile spotkał się u nich z objawami skąpstwa, niedbalstwa czy innych wad sprzecznych z duchem ich szlachetnej misji. W tym wszystkim, co dotyczyło jego osobistych interesów czy doczesnej chwały, nie przejawiał nigdy radości ani goryczy, zapału ani żywszego zainteresowania. Jeżeli te odruchy nigdy się w jego duszy nie budziły — rzecz to zadziwiająca, ale bardziej zadziwiająca jeszcze, jeżeli ich doznawał i tak całkowicie umiał je opanować. Uczestnicząc wiele razy w konklawe, nigdy nie zapragnął zdobycia najwyższej w Kościele godności, tak upragnionej z punktu widzenia ambicji, a tak groźnej dla ducha pobożności. Kiedyś jeden z kardynałów, człowiek wielce wpływowy, przyszedł zaofiarować mu swój głos wraz z głosami całego swego stronnictwa (brzydkie to słowo, ale ono właśnie było w tych sferach w użyciu); Federigo odrzucił propozycję i uczynił to w taki sposób, że tamten z miejsca odmienił swój plan i zwrócił się w zupełnie inną stronę. Ta sama skromność i niechęć do wynoszenia się nad innych przejawiała się i w bardziej powszednich okolicznościach życia. Wytrwały i niezmordowany w rządzeniu tam, gdzie

uznawał to za swoją powinność, unikał przecież zawsze mieszania się w cudze sprawy. Jeżeli go o to proszono, robił wszystko, co w jego mocy, by się od tego ciężaru uwolnić. Podobną dyskrecję i powściągliwość niezmiernie rzadko spotyka się u ludzi tak gorliwych w czynieniu dobra jak Federigo.

Gdybyśmy puścili tutaj wodze chęci odmalowania wszystkich wybitnych rysów jego charakteru, wynikłby z tego szczególnie kompleks cech pozornie sprzecznych i bardzo trudno dających się ze sobą pogodzić. Nie możemy jednak powstrzymać się od podkreślenia pewnej szczególnej cechy tego pięknego żywota: choć tak pochłonięty różnorodną działalnością — zarządzaniem wielu instytucjami, licznymi funkcjami kościelnymi, nauczaniem, posłuchaniami, objazdami pasterskimi diecezji, podróżami — znajdował przecież Federigo czas na studia naukowe, a nawet poświęcał na to tak wiele czasu, że starczyłoby go na użytek przeciętnego zawodowego badacza. Nic dziwnego, że obok wielu innych tytułów do chwały, zdobył sobie u współczesnych i ten jeszcze — człowieka ogromnej wiedzy.

Nie możemy jednak ukrywać faktu, że człowiek ten wyznawał z całą siłą przekonania i potwierdzał niezmiernie czynami pewne poglądy, które dzisiaj musiałyby każdemu wydać się raczej dziwne i nieuzasadnione. Mówiąc to zwracam się w szczególności do tych, którzy byliby skłonni uznać owe przekonania za słuszne. Na jego usprawiedliwienie przytoczyć możemy jedynie tę dość wytartą formułkę, że były to błędy nie tyle jego własne, ile epoki, w której żył. Formułka ta może mieć wartość w pewnych wypadkach, jeśli jest rezultatem dokładnego zbadania faktów i okoliczności. Zastosowana w ten głośny sposób, w jaki zwykło się ją stosować, nie oznacza oczywiście nic. A jednak, nie chcąc rozstrzygać skomplikowanych zagadnień przy pomocy uproszczonych formułek ani też rozciągać nadmiernie tego epizodu naszej opowieści, porzestaniemy na tym mimochodem rzuconym napomknieniu,

wyjaśniającym, że nie próbujemy bynajmniej wmawiać w czytelników, jakoby w tym niezwykłym i najwyższego podziwu godnym człowieku wszystko było na równie wysokim poziomie; bo przecież nie wygłaszamy tutaj mowy pogrzebowej.

Nie obrazi z pewnością naszych czytelników przypuszczenie, że niejednemu z nich ciśnie się na usta pytanie, czy człowiek tak rozległej wiedzy i niepospolitego, umysłu nie pozostawił po sobie żadnej spuścizny? Czy nie pozostawił? Ależ tak, pozostało po nim około stu utworów większych i mniejszych, łacińskich i włoskich, w druku i w rękopisach, przechowywanych w ufundowanej przez niego bibliotece; są to traktaty moralne, kazania, rozprawy historyczne, badania zabytków kościelnych i świeckich, szkice o literaturze, sztuce i tym podobne.

„Jakże się to dzieje — zapytać może czytelnik — że taka spuścizna duchowa popadła w zapomnienie, a w każdym razie tak mało jest znana, tak mało budzi zainteresowanie? Jakże być może, żeby człowiek tak rozumny i wykształcony, z taką znajomością ludzi i świata, taki myśliciel, taki miłośnik dobra i piękna, obdarzony taką czystością duszy i tylu innymi zaletami tak cennymi u wielkiego pisarza, nie zostawił wśród stu utworów ani jednego takiego, który zostałby uznany za wybitny nawet przez ludzi odmiennych nieco poglądów i znany ogółowi chociażby tylko z tytułu? Jakże to możliwe, by wszystkie te utwory, chociażby ze względu na ich ilość, nie wystarczyły do zapewnienia ich autorowi sławy pisarskiej u potomnych?”

Pytanie to jest niewątpliwie rozsądne, a zagadnienie bardzo ciekawe. Przyczyny bowiem tego zjawiska łączą się ściśle z innymi zjawiskami bardziej ogólnej natury, a odkrycie ich doprowadziłoby nas z kolei do wyjaśnienia dalszych, a pokrewnych fenomenów; byłyby to z konieczności wywody bardzo obszerne, a może wcale nie trafiłyby czytelnikom do przekonania? Może kręciliby tylko na nie nosami? Dlatego sądzę, że lepiej zrobimy podejmując wątek naszej opowieści i zamiast gadać bez końca o tym człowieku, przyjrzyjmy mu się w działaniu, mając naszego autora za przewodnika.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W oczekiwaniu na porę, by udać się do kościoła i odprawić tam nabożeństwo, kardynał Federigo pogrążył się w lekturze, jak to miał zwyczaj robić w najkrótszych nawet wolnych chwilach. Nagle do pokoju wszedł kapelan od krzyża z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Szczególne odwiedziny, zaiste szczególne, monsignore!

— Któż taki? — spytał kardynał.

— Ni mniej ni więcej, tylko pan... — podjął kapelan. I wymawiając z naciskiem każdą sylabę osobno, wymienił nazwisko, którego my naszym czytelnikom nie możemy podać. — Jest tu we własnej osobie — dodał — i pragnie być wprowadzonym przed oblicze waszej przewielebności.

— On! — wykrzyknął kardynał, żywo zamykając książkę i zrywając się na równe nogi. — Niechże wejdzie niezwłocznie!

— Ale... — podjął kapelan nie ruszając się z miejsca — waszej przewielebności wiadomo chyba, kto to taki: banita, ten słynny...

— Zatem czyż nie jest to prawdziwe szczęście dla biskupa, że w takim właśnie człowieku zbudziła się chęć spotkania z nim?

— Ale — nie ustępował kapelan — są rzeczy, o których nie możemy nigdy powiedzieć swego zdania, ponieważ wasza przewielebność powiada, że to brednie; a jednak... w takiej chwili wydaje mi się moim obowiązkiem... Gorliwość tworzy wrogów, monsignore. Wiadomo nam z całą pewnością, że niejedyn już nikczemnik ośmielał się przechwalać, że przyjdzie dzień, kiedy...

— I cóż uczynili? — przerwał kardynał.

— Mówię jeno, że ten człowiek to łotr do szpiku kości, to desperat utrzymujący stosunki z innymi, bardziej

jeszcze zajadłymi desperatami; może być tedy nasłany...

— No, patrzcież, co za szczególna dyscyplina — przerwał Federigo, wciąż jeszcze z uśmiechem — by żołnierze namawiali swego generała do tchórzostwa! — Po czym dodał już poważnie i z zadumą: — Święty Karol nie miałby okazji do zastanawiania się, czy ma przyjąć takiego gościa; on sam poszedłby go poszukać. Wprowadźcie go natychmiast. Czekał aż nadto długo.

Kapelan ruszył ku drzwiom mówiąc sobie w duchu: „Nie ma rady. Wszyscy ci święci są strasznie uparci.”

Otworzył drzwi i stanął w progu pokoju, w którym pozostawił niebezpiecznego gościa i resztę zgromadzonych. Ujrzał wszystkich skupionych w jednym kącie, szepczących pomiędzy sobą i rzucających spojrzenia spod oka na niego, stojącego samotnie w drugim końcu pokoju. Zbliżył się, przyglądając się gościowi ukradkiem, a badawczo i zastanawiając się, jaką też, u licha, broń może mieć ukrytą pod tym kaftanem; pomyślał przy tym, że w gruncie rzeczy należałoby przed wprowadzeniem go zaproponować przynajmniej... — ale nie mógł się na to zdecydować.

— Jego przewielebność — rzekł stanąwszy przed gościem — oczekuje waszej wielmożności. Zechce wasza wielmożność udać się ze mną.

Idąc przed nim poprzez tłum oczekujących, którzy rozstępowali się w milczeniu zostawiając wolną przestrzeń, kapelan rzucał na prawo i lewo spojrzenia zdające się mówić: „Cóż chcecie? Czyż nie wiecie sami, że zawsze robi wszystko po swojemu?”

Zaledwie Bezimienny ukazał się w drzwiach, Federigo wyszedł mu naprzeciw z pogodną i życzliwą twarzą, z otwartymi ramionami, niby do upragnionego gościa; zaraz też dał znak kapelanowi, żeby zostawił ich samych, ten zaś wyszedł posłusznie.

Oni zaś obaj trwali chwilę w milczeniu, z różnych płynącym pobudek. Bezimienny przybył tam pchany raczej jakąś niezrozumiałą dlań siłą niż powodowany rozumem. Taż sama niewytłumaczona siła trzymała go tam obecnie, miotanego sprzecznymi a gwałtownymi uczuciami: pragnieniem i niejasną nadzieją znalezienia ulgi w duchowej udręce, z drugiej zaś strony gniewem i wstydem, że oto przyszedłtu jak pokutnik, jak pokorny poddany, jak

nędzarz, wyznawać winy i błagać; nie znajdował właściwych słów i nawet ich nie szukał. Ale kiedy podniósł wreszcie oczy na tego człowieka, poczuł, że mimo woli ogarnia go potężne a słodkie zarazem uczucie czci. Wzmogło ono jego ufność i przytłumiło upokorzenie, nakazując, jeśli można się tak wyrazić, milczenie jego pysze.

Cały zewnętrzny wygląd Federiga znamionował niepospolitą jego ducha, a zarazem budził miłość. Postawa jego i ruchy były pełne prostoty i jakby mimowolnego dostojęstwa. Lata nie przygarbiły jego postaci ani nie uczyniły ruchów leniwymi. Spojrzenie miał poważne i żywe zarazem, czoło pogodne i myślące. Mimo siwizny, bladej twarzy, śladów wyrzeczeń, rozmyślań i zmęczenia pracą — była w nim jakaś młodzieńcza świeżość. Wszystko wskazywało na to, że w młodości musiała to być twarz bardzo piękna; w późniejszych latach przyzwyczajenie do myśli wzniosłych a dobrotliwych, spokój wewnętrzny zdobyty na długiej drodze życia, miłość ludzi, radość płynąca z niezachwianej nadziei — dały tej twarzy piękno inne, piękno starości, bardziej jeszcze uderzające przy dostojnej prostocie purpurowej szaty.

Kardynał ze swej strony wpatrywał się przez chwilę w Bezimiennego swoim przenikliwym wzrokiem, od dawna nawykłym do wyczytywania ukrytych myśli. Wydało mu się, że pod tą posępną, udreconą maską dostrzeżę coś, co utwierdziło w nim ową nadzieję, jaką odczuł, kiedy mu oznajmiono przybycie tego człowieka.

— O! — odezwał się żywo po chwili. — Jakież to cenne dla mnie odwiedziny! Jaką wdzięczność winienem waszmości za ten szczęśliwy pomysł, choć mieści on w sobie także i wyrzut pewien!

— Wyrzut! — wykrzyknął gość zdumiony, ale i rozpogodzony nieco tymi słowami i tym powitaniem, rad, że kardynał przełamał pierwsze lody i rozpoczął bądź co bądź rozmowę.

— Pewnie że wyrzut — podjął tamten. — Moja wina, że się dał wyprzedzić, mimo że od tak dawna i tylekroć powinienem był sam udać się do waszmości.

— Do mnie, wasza przewielebność? Czy wasza przewielebność wie, kto ja jestem? Czy powiedziano wyraźnie moje nazwisko?

— Czyż radość, którą odczuwam i która niewątpliwie

maluje się na mojej twarzy, mogłaby być wywołana spotkaniem kogoś zgoła mi nie znanego? To waszmości przybycie tak mnie raduje. Waszmości, którego jak powiadam, sam powinienem był poszukać; któregom z dawna pokochał, płakał nad nim i modlił się za niego. Spośród dzieci moich, które wszystkie całym sercem miłuję, waszmość jesteście tym, którego najwięcej byłbym pragnął powitać i uściskać, gdybym miał nadzieję, że to rzecz możliwa... Ale Bóg zdolen jest czynić cuda, naprawiając to, czego słabość i opieszałość niegodnych sług Jego zaniedbała.

Bezimienny ze zdumieniem słuchał tej płomiennej mowy, tych słów, tak jasną dających odpowiedź na wszystko, czego jeszcze nie wypowiedział i nawet nie był zdecydowany wypowiedzieć. Poruszony, oszołomiony, trwał nadal w milczeniu.

— I cóż? — podjął po chwili Federigo jeszcze serdeczniej. — Waszmość masz dla mnie dobrą nowinę i tak długo każesz mi na nią czekać?

— Dobrą nowinę, ja? Piekło mam w duszy; jaką dobrą nowinę miałbym tu przynieść? Niechże wasza przewielebność powie mi, jeśli wie, jaką to dobrą nowinę spodziewa się ode mnie usłyszeć?

— Że Bóg dotknął serca waszmości i chce przygarnąć cię do siebie — odparł kardynał spokojnie.

— Bóg! Bóg! Bóg! Gdybym go widział! Gdybym słyszał! Gdzież on jest, ten Bóg?

— Waszmość mnie o to pytasz? A kto ma Go bliżej siebie niż ty? Zali nie czujesz Go w sercu, jak je uciska, jak nim wstrząsa, jak ni chwili spokoju nie daje? A zarazem przyciąga do siebie i ukazuje nadzieję spokoju i radości, radości pełnej, nieogarnionej, bylebyś jeno uznał Go, stał się Jego wyznawcą i błagał o zmiłowanie?

— Och, to prawda, że jest coś, co mnie gnębi, co mnie napęla zgrzyotą. Ale Bóg! Jeżeli ten Bóg istnieje, jeżeli jest taki, jak o nim mówią, to i cóż mu po mnie?

Te słowa były wypowiedziane z akcentem rozpacz. Ale Federigo począł mówić uroczyście, jak gdyby w natchnieniu:

— Na co waszmość Bogu jesteście potrzebny? Co z ciebie uczyni? Znak widomy swojej potęgi i swojej dobroci. Z ciebie zaczerpnąć chce chwały, jakiej nikt inny nie mógłby Mu przysporzyć. Że świat od lat wielu szemrze przeciwko tobie, że tysiące i tysiące głosów złorzeczą

twoim czynom... — (Bezimienny wzdrygnął się i zdumiał na tę niesłychaną mowę, ale jeszcze bardziej zdumiało go to, że nie czuje w tym momencie gniewu ani pogardy, ale coś na kształt ulgi) — ...jakaż Mu stąd płynie chwała? Są to głosy trwogi, głosy samolubstwa, może i sprawiedliwości, ale tej najprostszej, najłatwiejszej. Jeśli jednak waszmość potępisz sam swoje życie, sam się oskarżysz, ach, wówczas Bóg będzie naprawdę uczczony! Pytasz waszmość, co Bogu po tobie? Kimże ja jestem, ułomny człowiek, bym mógł przewidzieć, jaką korzyść Pan może mieć z ciebie? Do czego zechce On użyć twojej woli nieugiętej, twojej wytrwałości niewyczerpanej, skoro ją ożywi, rozpali płomieniem miłości, nadziei, żalu? Kimże jesteś, nędzny człowieku, byś sądził, że więcej potrafiłeś dokonać zła, niżli z woli bożej sprawić możesz dobra? Co może Bóg z tobą uczynić? A przebaczyć? A ocalić? A spełnić na tobie dzieło odkupienia? Nie sąż to dzieła wspaniałe i Jego godne? Pomyśl waszmość: jeśli ja, mały człowieczek, tak nędzny, a przecież o sobie wiele trzymający, tak bardzo pragnę twego zbawienia, że z radością oddałbym za nie (On mi jest świadkiem!) tych niewiele dni, jakie mi jeszcze pozostały — och, pomyśl, jaka niezmierna musi być miłość Jego, który mnie natchnął miłością niedoskonałą, ale przecież żywą i silną. Jak ogromnie kochać cię musi Ten, który mi nakazuje kochać ciebie tak, że mnie ta miłość spala!

W miarę jak usta Federiga wypowiadały te słowa, twarz jego, spojrzenie, każdy gest potwierdzały ich prawdziwość. Twarz słuchającego, z początku wzburzona i tragiczna, przybierała stopniowo wyraz zdumienia, skupionej uwagi, wreszcie głębokiego wzruszenia, już nie tak pełnego rozpacz. Oczy jego, które od lat dzieciennych nie znały łez, nagle się nimi nappełniły. A kiedy umilkły słowa, ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał. Była to jego ostateczna i jakże jasna odpowiedź.

— Boże wielki i dobry! — zawołał Federigo wznosząc ku niebu oczy i ręce. — Cóżem uczynił, sługa Twój nieudolny, pasterz śpiący, żeś mnie zawezwał na tę ucztę radosną, żeś mnie uznał godnym ujrzenia na własne oczy tego cudu! To rzekłszy wyciągnął rękę, chcąc ująć dłoń Bezimiennego.

— Nie! — wykrzyknął tamten. — Nie! Z daleka, z da

leka ode mnie! Nie kalaj wasza przewielebność swej ręki niewinnej i błogosławionej. Nie znasz całego zła, jakiego dokonała ta ręka, którą chcesz uścisnąć.

— Pozwól, bracie — rzekł Federigo biorąc jego dłoń z łagodną przemocą. — Pozwól mi uścisnąć rękę, która wiele krzywd naprawi, wiele wyświadczy dobrodziejstw, ulży wielu cierpieniom i wyciągnie się, bezbronna, przyjazna i uległa, do wielu nieprzyjaciół.

— Tego za wiele! — rzekł łkając Bezimienny. — Daj mi odejść, monsignore. Daj mi odejść, dobry Federigo. Tłumy ludzi czekają na swego biskupa. Tłumy ludzi niewinnych, pocziwych, przybyłych z daleka po to, żeby go raz zobaczyć i usłyszeć. A wasza przewielebność daje im czekać... dla kogo!...

— Pozostawmy dziewięćdziesiąt dziewięć owieczek — odpowiedział kardynał. — Bezpiecznie pasą się na wzgórzu. Ja wolę pozostać z tą, która się zabłąkała. Kto wie, może ci wszyscy ludzie są w tej chwili szczęśliwsi, niż gdyby patrzyli na swego niegodnego biskupa. Może Bóg spełniając na waszmości cud miłosierdzia nappełnił zarazem ich serca radością, której przyczyny sami nie znają. Może ta rzesza złączona jest z nami, nie wiedząc o tym. Może Duch natchnął

ich miłością, świętym zapałem, modlitwą i dziękczynieniem, którym osoba twoja jest przedmiotem, choć oni o tym nie wiedzą.

Otworzył ramiona i otoczył nimi szyję Bezimiennego. Ten uczynił ruch, jakby chciał się wyrwać, opierał się przez chwilę, nagle ustąpił, jakby pokonany tą potęgą uczucia, uściśnął kardynała i ukrył na jego ramieniu dygoczącą, zmienioną twarz. Palące jego łzy spłynęły na niepokalaną purpurę Federiga, podczas gdy bezgrzeszne ręce tamtego obejmowały go z czułością, głaskały materię kaftana kryjącego zazwyczaj broń, narzędzia gwałtu i zdrady.

Bezimienny wysunął się z uścisku; ręką zakrył oczy, równocześnie unosząc twarz ku górze.

— Boże naprawdę wielki, Boże naprawdę dobry! — wykrzyknął. — O to poznał samego siebie i wiem już, kim jestem. Wszystkie nieprawości moje stoją mi przed oczyma. Żywię do siebie odrazę... a przecież... a przecież... przecież czuję ulgę, radość — tak, radość taką, jakiej nie zaznałem w ciągu całego mego okropnego życia!

— Znak to — rzekł Federigo — który Bóg daje waszmości, aby przywiązać cię do siebie, aby zachęcić do wstąpienia bez żadnych wahań w nowe życie, w którym tak wiele będzie do odrobienia, do naprawienia, tyle do żałowania.

— O, ja nieszczęsny! — wykrzyknął Bezimienny. — Ileż, ileż jest rzeczy, nad którymi już tylko płakać mogę! Na szczęście są i takie, które zaledwie zacząłem w czyn wprowadzać, i mogę przynajmniej przerwać ich bieg w połowie. A jedna... tak, tej jednej mogę jeszcze zapobiec, mogę krzywdę naprawić.

Słowa te zwróciły uwagę Federiga i Bezimienny opowiedział mu zwięźle, ale w słowach pełnych potępienia, o porwaniu Lucji, o trwodze i cierpieniach biednej dziewczyny, o tym, jak go błagała, jak to błaganie odebrało mu spokój, i o tym wreszcie, że ona wciąż jeszcze znajduje się w jego zamku.

— Ach, nie traćmy więc czasu! — wykrzyknął Federigo przejęty litością i troską. — Szczęśliwyś waszmość, boć to jawny znak przebaczenia, jaki ci Bóg zsyła! Czyni z waszmości narzędzie ocalenia tej samej istoty, którą zgubić zamierzałeś. Bóg niech waszmości błogosławi! Już pobłogosławił! Czy wiadomo waszmości, skąd pochodzi ta nieszczęśliwa? Bezimienny wymienił nazwę rodzinnej wioski Lucji.

— To stąd niedaleko — rzekł kardynał. — Bogu niech będą dzięki; możliwe nawet...

To mówiąc podbiegł do stolika, chwycił stojący tam dzwonek i zadzwonił. Kapelan od krzyża wszedł śpiesznie z wyrazem niepokoju na twarzy. Pierwsze spojrzenie rzucił na Bezimiennego, a widząc jego twarz zmienioną i oczy zaczerwienione od łez, przeniósł wzrok na kardynała. Poprzez niewzruszony spokój jego oblicza dostrzegł tak głęboką radość i zapał, że aż usta otworzył z podziwu i trwałby tak w ekstazie, gdyby kardynał nie wyrwał go z niej, pytając żywo, czy pośród zgromadzonych proboszczów znajduje się i proboszcz z***.

— Tak jest, wasza przewielebność — odpowiedział kapelan.

— Niech tu przyjdzie natychmiast — rzekł Federigo — a razem z nim i proboszcz tutejszego kościoła. Kapelan wyszedł i udał się do pokoju, gdzie oczekiwali

zgromadzeni księża. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. On zaś, wciąż jeszcze z otwartymi ustami i rozlanym na twarzy wyrazem ekstazy, wznosił ręce ku górze i, potrząsając nimi w powietrzu, rzekł:

— Bracia! Bracia! Haec mutatio dexteræ Excelsi. — Trwał chwilę w tej pozycji, nie mówiąc nic więcej, po czym zwykłym już, urzędowym głosem dodał: — Jego przewiełbność wzywa wiełbnego proboszcza tutejszej parafii oraz wiełbnego proboszcza z .

Pierwszy z wymienionych wystąpił szybko naprzód. Równocześnie z tłumy obecnych rozległo się nabrzmiałe zdumieniem słowo:

— Mnie?

— A czy wasza wiełbność nie jest proboszczem z — zapytał kapelan.

— Nie inaczej; ale...

— Zatem to z księdzem proboszczem życzy sobie mówić jego przewiełbność.

— Ze mną? — powtórzył ów głos, a dwie te sylaby wyrażały jasno: „A cóż ja mam z tym wspólnego?” Ale tym razem w ślad za głosem wyłonił się i don Abbondio we własnej osobie, kroczący niepewnie, z przykrym zdumieniem rozlanym na twarzy. Kapelan uczynił ręką ruch wyrażający: „No, idziemy; o cóż właściwie chodzi?”, i poprzedzając obu proboszczów podszedł do drzwi, otworzył je i wprowadził ich.

Kardynał puścił dłoń Bezimiennego, z którym właśnie skończył radzić, co im należy uczynić. Odsunawszy się nieco, skinieniem zawezwał miejscowego proboszcza.

W krótkości powiedział mu, o co chodzi, i zapytał, czy mógłby znaleźć jakąś poczciwą niewiastę, która udałaby się w lektycę do zamku i zabrała stamtąd Lucję; musi to być osoba z głową i z sercem, która umiałaby zachować się należycie w tak niezwykłych okolicznościach i znaleźć właściwe słowa dla uspokojenia i pokrzepienia tej biedaczki, dla której po tylu przeżytych trwogach i udrękach nawet odzyskanie wolności mogłoby stać się nadmiernym wstrząsem. Pomyślawszy chwilę proboszcz powiedział, że, owszem, ma odpowiednią osobę, i wyszedł. Kardynał skinął teraz na kapelana i kazał mu wydać niezwłocznie po

trzebne zarządzenie co do przygotowania lektyki i ludzi do niej oraz osiodłania dwóch mułów. Po wyjściu kapelan zwrócił się do Abbondia.

Ten trzymał się jak najbliżej kardynała, a za to możliwie daleko od groźnego magnata, rzucając spode łba spojrzenia to na jednego, to na drugiego i wciąż łamiąc sobie głowę, co też właściwie tkwi w tym całym zawracaniu głowy. Teraz zbliżył się jeszcze o krok, skłonił głęboo i powiedział:

— Rzekli mi, jakobym był waszej przewiełbności potrzebny; ja przecież mniemam, że to omyłka...

— Nie jest to bynajmniej omyłka — przerwał Federigo. — Mam dla księdza dobrą nowinę oraz radosne, najmilsze sercu polecenie. Jedna z parafianek księdza, którą oplakiwaliście zapewne jako zaginioną bez wieści, Lucja Mondella, została odnaleziona i przebywa niedaleko stąd na zamku tego oto mego drogiego przyjaciela. Ksiądz uda się teraz wraz z nim i z pewną niewiastą, którą proboszcz tutejszy niebawem przyprowadzi — uda się ksiądz, powtarzam, po tę swoją owieczkę i będzie jej towarzyszył aż tutaj.

Don Abbondio wszelkimi siłami starał się ukryć przykrość, gorycz i wręcz przerażenie, jakim napełniła go ta propozycja, a raczej w gruncie rzeczy — rozkaz. Nie mogąc szybko zmienić wyrazu tych wszystkich uczuć, malującego się na jego twarzy, ukrył go chyląc nisko głowę na znak posłuszeństwa. Kiedy ją wreszcie podniósł, to po to, by równie głębokim ukłonem obdarzyć Bezimiennego, z żalonym spojrzeniem zdającym się mówić: „Jestem w twoich rękach; miej litość: *parcere subjectis.*”

Kardynał zapytał go, jakich krewnych ma Lucja.

— Z bliskich, takich, z którymi by żyła, ma matkę jedynie — odpowiedział don Abbondio.

— A ona przebywa w swojej wsi?

— Tak jest, monsignore.

— Ponieważ — podjął Federigo — ta biedna dziewczyna nie będzie mogła powrócić do swego domu tak rychło, wielką radością byłoby dla niej spotkać się możliwie jak najprędzej z matką. Jeżeli zatem proboszcz tutejszy nie wróci, zanim na mnie czas będzie udać się do kościoła,

uczynicież mi te uprzejmość, księżu proboszczu, i powiedzcie mu, by postarał się o wózek lub wierzchowca i wysłał kogoś rozgarniętego, by tę niewiastę tu sprowadzić.

— A może ja bym pojechał? — podsunął don Abbondio.

— Nie, nie ksiądz. Księża prosiłem wszakże o co innego — odpowiedział kardynał.

— Myślałem tak — próbował jeszcze don Abbondio — bo należałoby przygotować jakoś tę biedną matkę. Niewiasta to wielce uczuciowa i potrzebny byłby tu ktoś, kto ją zna i potrafi do niej przemówić odpowiednio, by nie zaszkodzić raczej, zamiast pomóc.

— Toteż właśnie dlatego prosiłem, by proboszcz wybrał odpowiedniego człowieka. Wy, księżu proboszczu, jesteście potrzebniejsi gdzie indziej — odpowiedział kardynał. Chciałby dodać, że ta nieszczęśliwa dziewczyna na pewno bardziej niż jej matka potrzebuje ujrzenia jakiejś znajomej twarzy, jakiegoś zaufanego człowieka, tam w tym zamku, po tylu godzinach spędzonych w trwodze i straszliwej niepewności jutra. Tego jednak nie mógł powiedzieć tak wprost w obecności tamtego człowieka. Ale wydało się kardynałowi dziwne, że don Abbondio w lot tego nie zrozumiał ani że sam z siebie o tym nie pomyślał. A jego propozycja i naleganie zdawały mu się tak dalece nie na miejscu, że pomyślał: „Coś musi w tym być.” Spojrzał uważnie w twarz proboszcza i wyczytał z niej bez trudu lęk przed wyruszeniem w drogę razem z tym straszliwym człowiekiem, przed wstąpieniem w progi jego domu, choćby na chwilę tylko. Chciał jakoś rozproszyć te obawy, a że nie uważał za właściwe odciągać proboszcza na bok i wdawać się z nim w jakieś szeptki, kiedy jego nowy przyjaciel znajdował się w tym samym pokoju, pomyślał, że najlepiej będzie uczynić to, co by i bez specjalnego powodu uczynił — zwrócić się wprost do Bezimiennego; z jego odpowiedzi don Abbondio powinien był zrozumieć nareszcie, że to już nie ten sam straszliwy człowiek. Zbliżył się do Bezimiennego i powiedział tonem serdecznej ufności, jaką znaleźć można zarówno w nowym, a silnym uczuciu, jak i w starej, zażyłej przyjaźni:

— Nie myśl waszmość, że poprzestanę na dzisiaj na tym jednym spotkaniu. Wrócisz tu waszmość, prawda? Razem z tym oto poczciwym duchownym?

— Czy wrócę? — powtórzył Bezimienny. — O, gdyby

mnie wasza przewielebność odpędzał, stanąłbym u jego drzwi jak uparty żebrak. Muszę mówić z waszą przewielebnością, potrzebuję waszego widoku, głosu... potrzebuję was...

Federigo ujął jego rękę, uściskał i rzekł:

— Zechciej waszmość spożyć z nami obiad; będę cię oczekiwał. Tymczasem pójdę pomodlić się i podziękować Bogu razem z tym zgromadzonym tu ludem. Waszmość zaś — zebrać pierwsze owoce miłosierdzia.

Don Abbondio spoglądał na to niby bojaźliwy chłopczyk, który widzi, jak ktoś głaszcze bez obawy wielkiego, złego brytana z najeżoną sierścią i przekrwionymi oczyma, znanego z tego, że gryzie i straszy; słyszy słowa: „Dobry, dobry piesek, spokojny piesek”; patrzy na tego człowieka i ani mu nie przeczy, ani nie potakuje. Patrzy na psa i odwagi mu nie staje, by podejść do niego, boi się, by mu groźne zwierzę nie pokazało kłów, chociażby w zabawie. Nie odważa się także oddalić, nie chcąc zwracać na siebie jego uwagi, i mówi sobie w duchu: „Ach, czemuż nie jestem u siebie w domu!”

Kardynała, który już szedł ku drzwiom prowadząc wciąż Bezimiennego za rękę, przykro uderzył widok tego biedaka, który postępował za nim z ociąganiem, zgnębiony, niezadowolony, z naburmuszoną mimo woli miną. Pomyślał, że ten nieszczęśliwy wygląd może świadczyć o tym, że proboszcz czuje się zlekceważony i pominięty, jakby odstawiony do

kąta, zwłaszcza w zestawieniu z gościnnym i serdecznym przyjęciem, jakiego doznał ów zbrodniarz; zwrócił się więc ku niemu, przystanął na krótką chwilę i rzekł z zyczliwym uśmiechem:

— Księżę proboszczu, w domu dobrego Ojca naszego ksiądz jest ze mną zawsze; a ten oto... ten oto perierat, et inventus est.

— O, jakaż to radość niezmierna! — rzekł don Abbondio składając obu razem głęboki ukłon.

Arcybiskup podszedł do drzwi i pchnął je lekko; natychmiast zostały z zewnątrz na rozcież otwarte przez dwóch pacholków stojących po obu ich stronach. Niezwykła para ukazała się chciwym spojrzoniom zgromadzonych w pokoju księży. Na twarzach obu malowało się równie głębokie

choć różnej natury wzruszenie: pełna wdzięczności czułość, radosna pokora widniała na dostojnym obliczu Federiga. Twarz Bezimiennego wyrażała zmieszanie, ulgę, wstyd, żal, przez wszystko to jednak przebijała silna, pierwotna i skora do gniewu natura. Niejednemu z obecnych widok ten nasunął na pamięć werset z Izajasza: „Wilk paść się będzie z jagnięciem po społu; lew i wół z jednego żłobu pożywać będą.” Za nimi szedł don Abbondio, na którego nikt nie zwrócił uwagi.

Zaledwie znaleźli się na środku pokoju, z przeciwnej strony wszedł pokojowiec kardynała meldując, że rozkazy przekazane mu przez kapelana wykonał: lektyka i dwa muły stoją gotowe, czeka się tylko na ową kobietę, którą proboszcz ma przyprowadzić. Kardynał polecił, by proboszcz, skoro tylko wróci, porozumiał się z don Abbondiem i żeby wszystko było do jego i Bezimiennego dyspozycji. Temu ostatniemu zaś uściśnął raz jeszcze rękę mówiąc mu: — Czekam.

Odwrócił się z pożegnalnym skinieniem do don Abbondia i skierował się w stronę kościoła. Księża ruszyli za nim tłumnie, na kształt procesji; dwaj towarzysze podróży zostali w pokoju sami.

Bezimienny był zamyślony, skupiony, choć zarazem śpieszno mu było wyruszyć w drogę i uwolnić swoją Lucję od udręki i niewoli; „swoją” w sensie tak dalekim od tego, jaki miało to słowo jeszcze dnia poprzedniego. Na twarzy jego malowało się hamowane podniecenie, które w podejrzliwych oczach don Abbondia wyglądało na coś o wiele gorszego. Spoglądając na niego spod oka, myślał, że dobrze byłoby nawiązać jakąś rozmowę w przyjaznym tonie. „Ale cóż mógłbym mu rzec? — zastanawiał się — że się raduję? Z czego? Że będąc do tej pory demonem, namyślił się zostać uczciwym człowiekiem jak inni? Piękny zaiste komplement. Ech, od jakiegokolwiek zacząłbym strony, zawsze przecież moje gratulacje miałyby ten właśnie sens. A czy to aby prawda, że stał się uczciwym człowiekiem? Tak nagle? Ileż jest na świecie udawania i dla jakże rozmaitych przyczyn! Cóż ja wiedzieć mogę? I oto muszę jechać teraz z nim razem! Do tego zamku! Ach, co za zdarzenie! Któż by to powiedział jeszcze dziś rano? No, jeżeli wyjdę z tego cało, niemało usłyszy ode mnie jejmość Perpetua za to,

że mnie tu gwałtem wypchnęła, bez żadnej zgola potrzeby, poza granice mojej parafii... że to niby wszyscy proboszcze się zbiegną, nawet z daleka; że niedobrze pozostawać w tyle; że to, że owo. I wpakować mnie w taką kabałę! O, ja nieszczęsny! A jednak trzeba przecie koniecznie do niego jakoś zagadać...”

Łamał sobie przez chwilę głowę i wreszcie wymyślił, co byłby mógł mu powiedzieć: „Nigdy nie byłbym się spodziewał, że los szczęśliwy postawi mnie w tak znamienitej kompanii.” Już otwierał usta, żeby to zdanie wypowiedzieć, kiedy ukazał się pokojowiec kardynała z proboszczem, który oznajmił, że wybrana przez niego niewiasta czeka już w lektyce; następnie zwrócił się do don Abbondia mającego przekazać mu zlecenie kardynała. Don Abbondio, wciąż będąc w stanie wielkiego pomieszania i niepokoju, wybrnął z tego, jak potrafił, po czym zbliżywszy się do pokojowca powiedział:

— Dajże mi waćpan przynajmniej spokojne jakieś zwierzę; bo prawdę powiedziawszy nietęgi ze mnie jeździec.

— Proszę się nie obawiać — odpowiedział tamten drwiąco. — To muł sekretarza, męża uczonego.

— No dobrze... — westchnął don Abbondio. — Może Nieba sprawią, że będzie mi posłuszny.

Bezimienny, usłyszawszy wiadomość, biegiem niemal ruszył ku wyjściu. Ale spostrzegłszy, że don Abbondio został w tyle, zatrzymał się, żeby na niego zaczekać. Proboszcz nadszedł spiesźnie, z miną, jakby chciał się usprawiedliwić.

Ale tamten skłonił się, uprzejmym, a nawet pokornym gestem zapraszając go, by przeszedł pierwszy, co wystraszonego biedaka podniosło nieco na duchu. Zaledwie jednak wyszli na dziedziniec, zobaczył coś, co znowu odebrało mu odwagę. Ujrzał mianowicie, jak Bezimienny zmierza w kąć dziedzińca, jedną ręką ujmując za lufę stojący tam karabin, drugą chwytając za ramię i szybkim, wprawnym ruchem zarzuca broń na plecy.

„Oj, oj, oj — pomyślał don Abbondio — a cóż on myśli robić z tą machiną? A to piękna włosienica, piękna dyscyplina u nowonawróconego. A jeżeli mu strzeli do głowy jakie głupstwo? Och, cóż za wyprawa, cóż za wyprawa!”

Gdyby Bezimiennemu zaświtało chociaż podejrzenie, jakiego rodzaju myśli kłębią się pod czaszką jego towarzysza,

zrobiłby wszystko, żeby uspokoić jego obawy; był jednak o tysiąc mil od takiego przypuszczenia, don Abbondio zaś miał się na baczności, aby nie czynić najmniejszego gestu oznaczającego: „Nie mam do waszej wielmożności zaufania.” Przy bramie wiodącej na ulicę czekały na nich przygotowane wierzchowce; Bezimienny wskoczył na tego, którego mu podał stajenny.

— Nie ma narowów? — zapytał pokojowca don Abbondio, opuszczając z powrotem na ziemię stopę, którą już uniósł był do strzemięcia.

— Niech się wasza wielbność nie obawia; istne jagnię.

Don Abbondio uchwycił się siodła i z pomocą pokojowca zdołał się jakoś na nim umieścić. Stojąca w odległości paru kroków lektyka, niesiona przez dwa muły, ruszyła z miejsca na głos poganiacza, a za nią obaj jeźdźcy.

Droga ich wiodła przez plac przed kościołem tak przepelnionym tłumem wiernych, że wielu, zarówno miejscowych, jak przybyłych z daleka, stało na zewnątrz, do środka nie mogąc się docisnąć. Zdziwiająca nowina obiegła już zgromadzonych; toteż na widok kawalkaty, na widok tego człowieka, który przed kilku zaledwie godzinami budził powszechną trwogę i nienawiść, a teraz radosne zdumienie, z tłumu podniósł się szmer pełen podziwu. Ludzie rozstępowali się i wspinali na palce, chcąc zobaczyć go z bliska. Przeszła lektyka, za nią przejechał Bezimienny; mijając otwarte drzwi kościoła zdjął kapelusz i pochylił czoło, dotychczas tak groźne, aż po grzywę muła.

— Boże mu błogosław! — zaszemrały setki głosów dokoła.

Don Abbondio również uniósł kapelusz i schylił głowę, polecając się opiece boskiej; ale słysząc dolatujący z kościoła uroczysty chór głosów swoich kolegów nagle poczuł taką zazdrość, taką gorycz, takie nad sobą rozrzewnienie, że z wysiłkiem powstrzymywał napływające do oczu łzy.

Za wsią, w szczerym polu, na wyludnionej drodze myśli jego spowiała jeszcze czarniejsza zasłona. Jedynym przedmiotem, na którym wzrok jego mógł spocząć z jaką taką ufnością, była lektyka i prowadzący ją człowiek, który jako należący do służby kardynała, musiał być chyba uczciwy, a przy tym nie wyglądał na tchórzliwego. Od czasu do czasu spotykali ludzi ciągnących pojedynczo lub gromadkami do wsi dla zobaczenia arcybiskupa. Stanowiło

to dla don Abbondia pewną pociechę, krótkotrwałą zresztą, bo przecież jechał do tej straszliwej doliny, w której, wiedział, nie spotka już nikogo oprócz sług swego towarzysza. I jakich sług!

Z każdą chwilą bardziej pragnął nawiązać z tym towarzyszem rozmowę, zarówno celem wybadania jego zamiarów, jak i usposobienia go przychylnie; ale widząc go tak pogrążonego w myślach, nie miał odwagi się odezwać. Musiał więc poprzestać na rozmowie ze sobą jedynie. Nie powtórzymy tu wszystkiego, co biedaczysko wypowiedział sobie w duchu w czasie tej jazdy, utworzyłoby to bowiem sarno przez się sporą książkę. Ale oto część jego myśli:

„Wielka to prawda, że zarówno święci, jak zbroje mają widać w sobie żywe srebro; nie dość im, że sami wciąż są w ruchu, chcieliby wciągnąć w ten taniec cały rodzaj ludzki. Że też musieli trafić na mnie, który nikogo nie zaczepiam, i wciągnąć mnie za włosy w swoje awantury! Mnie, który o nic więcej nie proszę, jeno by mi dali żyć w spokoju! Ten zbrodzień szalony, don Rodrigo! Czegóż mu brak do tego, żeby żyć sobie najszczęśliwiej w świecie, gdyby tylko miał trochę rozsądku! Jest bogaty, młody, szanują go, schlebiają mu; a temu przykrzy się spokojne życie, musi ściągać biedy na siebie i innych. Mógłby sobie żyć jak u Pana Boga za piecem, ale gdzie tam! Woli prześladować kobiety.

Najhaniebniejsze, najniegodziwsze, najbardziej szalone rzemiosło na świecie. Mógłby zajechać karetą do raję, a woli kuśtykać do piekła na kulawych nogach! A ten!...”

Tu spojrzął spod oka na swego towarzysza, jakby się bał, czy tamten nie słyszał jego myśli.

„Ten znów najpierw przewracał świat do góry nogami swym lotrostwem, a teraz przewraca go swoim nawróceniem... jeżeli to w ogóle prawda. I właśnie na mnie padło, żeby się o tym przekonał! To szczyt wszystkiego! Jeżeli już ktoś się urodził z tym bzikiem, to nigdy nie będzie z nim spokoju. Czy to tak trudno być poczciwym człowiekiem przez całe życie, jak na przykład ja? Nie, panie! Musi się rąbać, zabijać, wściekać... O, ja nieszczęsny! A potem nowy zamęt z pokutą za grzechy. Żałować za grzechy, jeśli się tylko chce, można doskonale u siebie w domu, spokojnie, bez takiej pompy, nie robiąc bliźnim tyle zamieszka

nia. A jego przewielebność już otwiera ramiona: «Drogi przyjacielu, przyjacielu drogi!» Słucha wszystkiego, co ten gada, jakby cuda czynił w jego oczach. I już gotów pakować się w to wszystko z rękami i nogami, raz dwa, ani się obejrzy... ja nazwałbym to zbytnim pośpiechem. I nie mając najmniejszego dowodu, żadnej poręki, dać mu w pazury biednego proboszcza! To się nazywa grać człowiekiem w orła i reszkę. Taki święty biskup jak on powinien by dbać o swoich proboszczów jak o źrenicę oka. Troszkę zastanowienia, troszkę rozważa, troszkę miłosierdzia, myślę, że i przy świętości nie zawadzi... A gdyby to wszystko było udane? Któż zdoła przejrzeć wszystkie ludzkie zamysły? I to ludzi takich jak ten? I pomyśleć, że przyszło mi udać się z nim do jego domu! Może się w tym kryć nie wiadomo jakie diabelstwo. O, ja nieszczęsny! Lepiej już o tym nie myśleć. Cóż to za historia z tą Lucją? Czy to zмова z don Rodrigiem? Co za ludzie! Ale to byłaby sprawa jasna. Tylko jakimże sposobem ten znowu dostał ją w pazury? Któż to wie? Wszystko to sekret między nim a monsignorem. Mnie, któremu każą taszczyć się tam na górę, nic się nie mówi. Ja tam nie jestem ciekaw cudzych spraw, ale skoro ktoś nadstawia karku, ma chyba prawo wiedzieć za co. Gdyby tu chodziło tylko o zabranie tej biednej dziewczyny, no, ta niech tam. Choć przecież mógł ją zabrać od razu ze sobą. A zresztą, skoro on taki nawrócony, taki święty, to na cóż ja tu jestem potrzebny? Och, cóż za krętanina! Ale dość. Taka widać była wola Nieba. Srogi to dopust, ale należy go znieść cierpliwie. Rad jestem szczerze i ze względu na tę biedną Lucję; udało jej się uniknąć srogięgo losu. Kto wie, co biedaczka wycierpiała! Żal mi jej szczerze, choć prawdę mówiąc, przyszła na świat na moje nieszczęście. Gdybym choć mógł przeniknąć naprawdę duszę tego człowieka, poznać jego myśli... Któż go przejrzy? Raz wydaje się świętym Antonim na puszczy, a raz Holofernesem we własnej osobie. Och, nieszczęsny ja, nieszczęsny!... Ale dość. Ostatecznie Bóg jest obowiązany mnie wyratować, bo przecież nie dla własnego kaprysu wpadłem w to wszystko.”

Istotnie, na twarzy Bezimiennego widać było, jeżeli tak można się wyrazić, przelatujące myśli, jak obłoki, które w burzliwy czas mkną po niebie, to zakrywając, to odsłaniając oblicze słońca, tak że ziemia na przemian pławi się

w oślepiającym blasku i pogrąża w zimnym mroku. Dusza jego upojona łagodnymi słowami Federiga, odmłodzona jakby i pełna świeżych sił na rozpoczęcie nowego życia, to wzlatywała ku górze, ku szczytnym ideom miłosierdzia, przebaczenia i miłości, to ugiwała się pod ciężarem straszliwej przeszłości. Z niepokojem szukał w pamięci krzywd możliwych do naprawienia i takich, których działanie dałoby się zatrzymać w biegu. Szukał sposobów najpewniejszych i najszybszych rozplatania tyłu węzłów, uwolnienia się od tyłu współników; głowa pękała od nawału tych myśli. Teraz nawet, kiedy miał przed sobą sprawę najłatwiejszą i tak bliską pomyślnego końca, czuł niecierpliwość pomieszaną z obawą na myśl o tym, co przeżywa ta skrzywdzona istota i że cierpi ona do tej chwili z jego winy, jego, który przecież niczego więcej nie pragnie aniżeli zwrócić jej wolność. W miejscach, gdzie krzyżowały się drogi, człowiek prowadzący lektykę przystawał i oglądał się nie wiedząc, którą z nich ma wybrać. Bezimienny gestem wskazywał mu właściwy kierunek, zarazem przynaglając go do pośpiechu.

Wjechali w dolinę. Jakichże uczuć doznawał biedny don Abbondio! Oto był w tej słynnej dolinie, o której tyle słyszał straszliwych opowieści! Na własne oczy oglądał owych ludzi bez trwogi i litości, najgroźniejszych hultajów spośród wszystkich bravich całego kraju. Widział ich, żywych ludzi z krwi i kości, po dwóch, po trzech na każdym zakręcie drogi, pokornie kłaniających się swemu panu. Ale te ogorzałe twarze! Te nastroszone wąsiska! Te oczy łotrowskie, w których don Abbondio czytał wyraźnie pytanie: „No co, czy mamy poigrać z tym księżulkiem?” Biedny don Abbondio mówił sobie w zupełnej rozpacz: „Czemuż nie dałem im ślubu! Nic gorszego nie mogło mnie spotkać.” Tymczasem posuwali się naprzód kamienistą ścieżką wzdłuż potoku; przed nimi widniały ponure, nie zamieszkałe stromizny; za sobą pozostawiali ludność, której widok mógł budzić jedynie chęć znalezienia się na bezludnej pustyni — nie gorzej chyba czuł się Dante w głębi piekielnej otchłani.

Przejechali obok gospody pod „Złą Nocką”; w drzwiach bravi, znowu ukłony na widok pana, a w kierunku jego towarzysza i lektyki — wiele mówiące spojrzenia. Ludzie Bezimiennego nie wiedzieli zgoła, co o tym wszystkim

myśleć. Już jego samotna wyprawa poranna nie mała ich zadziwiła; a niemniej dziwny był jego powrót. Czy wiódł ze sobą jakąś nową brankę? Jakże mógł dokonać tego sam jeden? Co znaczyła obca lektyka? Do kogo mogła przynależeć ta liberia? Przyglądali się więc ciekawie, żaden się jednak nie ruszył, taki bowiem rozkaz czytali w spojrzeniu pana. Nareszcie koniec stromej drogi pod górę: stanęli na szczycie.

Kręcący się po placyku i przy bramie bravi rozstąpili się na boki, dając przejście; Bezimienny skinął na nich, by się nie rozchodzili. Spiąwszy muła ostrogami wysunął się przed lektykę i ruchem ręki wezwał poganiacza i don Abbondia, żeby jechali w ślad za nim. Wjechał na pierwszy, stamtąd na drugi dziedziniec. Skierował się ku małym, bocznym drzwiczkom, wstrzymując ruchem ręki brava, który nadbiegał, by potrzymać mu strzemień.

— Stój tutaj — powiedział mu — i pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł.

Zsiadłszy z muła uwiązał go śpiesznie do kraty, zbliżył się do lektyki i rzekł półgłosem do kobiety, która już właśnie odsunęła zasłonę z drzwiczek:

— Pocieszcie ją nie tracąc czasu; uczynicie tak, by zrozumiała, że jest wolna i pośród przyjaciół. Bóg wam to policzy. Skinął na poganiacza, by otworzył drzwiczki, po czym zbliżył się do don Abbondia z twarzą tak pogodną, jakiej nieszczęsny proboszcz nie tylko u niego do tej chwili nie widział, ale nawet nie umiałby sobie takiej u niego wyobrazić; widniała na tej twarzy radość z dobrego uczynku, jaki miał być za chwilę spełniony. Bezimienny przemówił cichym głosem:

— Księżę proboszczu, nie proszę o wybaczenie tej niewygody, jakiej ksiądz z mego powodu doświadczył; boć przecie czyni to ksiądz dla Tego, który dobre uczynki hojnie nagradza, a także dla tej swojej skrzywdzonej owieczki. To rzekłszy ujął jedną ręką uzdę, drugą strzeżenie i pomógł don Abbondiowi zsiąść z wierzchowca. Ten wyraz twarzy, te słowa i ten gest wróciły nieszczęśnikowi życie. Wydał głębokie westchnienie, które od go

dziny tłoczyło mu pierś, nie mogąc znaleźć ujścia; pochylił się ku Bezimiennemu i wyjąkał cichutko: „Ależ, ależ, ależ, cóż znowu...” — po czym zsunął się, jak potrafił, ze swego wierzchowca. Bezimienny uwiązał z kolei i tego muła i, poleciwszy poganiaczowi czekać z lektyką, wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi, wszedł, wpuścił proboszcza i niewiastę i wyprzedzając ich począł się wspinać na wąskie schody; wszyscy trzej weszli w milczeniu na piętro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Lucja dopiero co się zbudziła; z wysiłkiem otrząsała z siebie resztki snu, starając się oddzielić niejasne senne widziadła od rzeczywistych przeżyć i obrazów tak bardzo podobnych do ponurych wizji piekła. Stara podeszła do niej, widząc, że nie śpi, i przemówiła siląc się na ton uniżonej uprzejmości:

— Ach, spaliście trochę. Ale mogliście przecie spać na łóżku, mówiłam wam to wieczorem tyle razy.

Nie słysząc odpowiedzi mówiła dalej tonem błagalnym, przez który przebiegał tajony gniew:

— Zjedzcież coś nareszcie; miejcie trochę rozsądku. Ach, jakaż jesteście mizerna! Potrzebujecie posiłku. A przy tym, jak on wróci, skrupi się to na mnie.

— Nie, nie. Chcę iść stąd, chcę wrócić do matki. Wasz pan mi obiecał. Powiedział: jutro rano. Gdzie on jest?

— Wyszedł; mówił, że wróci rychło i zrobi wszystko, co zechcecie.

— Powiedział tak? Powiedział? No, więc ja chcę wrócić do matki, zaraz, natychmiast.

A właśnie w sąsiedniej izbie rozległy się kroki, a potem zaraz stukanie do drzwi. Stara podbiegła, pytając:

— Kto tam?

— Otwórz — odpowiedział cicho znajomy głos.

Stara odsunęła rygiel; Bezimienny lekko popchnąwszy drzwi, tak że uchyliły się nieco, kazał jej wyjść, wpuścił natomiast don Abbondia i przybyłą niewiastę. Po czym przymknął drzwi pozostając na zewnątrz, a starą posłał do odległej części zamku, tak samo jak już przedtem odesłał tę drugą, którą tam był postawił na straży.

Cały ten ruch, zasłyszana przedtem wiadomość jak również pojawienie się nowych osób w pierwszej chwili oszo

łomiły Lucję; bo choć obecne położenie wydawało jej się nie do zniesienia, przecież każda w nim zmiana budziła w niej nieufność i lęk. Spojrzała, zobaczyła księdza i kobietę. To dodało jej trochę otuchy; przyjrzała się uważniej: on to czy nie on? Poznała don Abbondia i wlepiła w niego nieruchome spojrzenie, jak urzeczona. Kobieta podeszła szybko, pochyliła się ku niej i, patrząc na nią pełnym współczucia wzrokiem, ujęła serdecznym ruchem jej ręce, by pomóc jej się podnieść.

— Biedactwo! — powiedziała. — Chodźże, chodźże z nami.

— Kto jesteście? — spytała Lucja; nie czekając jednak na odpowiedź odwróciła się w stronę don Abbondia, który stał w odległości paru kroków z twarzą również pełną współczucia. Nie odrywając od niego oczu wykrzyknęła:

— Ksiądz proboszcz? Prawdaż to? Gdzież my jesteśmy? O, ja nieszczęsna, czym zmysły straciła?

— Nie, nie — odparł śpiesznie don Abbondio. — To ja w rzeczy samej; nabierz otuchy, moje dziecię. Widzisz? Przybyliśmy tu po ciebie. Jestem twoim proboszczem, przyjechałem tu konno...

Lucja, jakby odzyskawszy nagle całkowicie siły, zerwała się szybko; powiodła znowu oczyma od jednej do drugiej twarzy i rzekła:

— A zatem to Madonna was zesłała...

— I ja tak sędzę — przytaknęła poczciwa niewiasta.

— I możemy odejść, możemy odejść naprawdę? — zapytała Lucja zniżonym głosem, rozglądając się dokoła nieśmiało i podejrzliwie. — A wszyscy ci ludzie?... — mówiła dalej, a usta drżały jej z lęku i zgrozy — a ten człowiek... ten pan... co prawda, obiecał mi...

— Jest tu i on we własnej osobie, przybył razem z nami — rzekł don Abbondio. — Czeka tu obok; zbierajmy się więc szybko, nie dajmy czekać komuś takiemu jak on.

Ten, o którym mówiono, uchylił drzwi i pokazał się; Lucja, która na krótko przedtem pragnęła, żeby przyszedł, a nawet w nim pokładała jedyną nadzieję, teraz kiedy miała koło siebie życzliwe twarze i słyszała przyjazne głosy, na jego widok wzdrygnęła się z przestachu. Wstrzymując oddech przycisnęła się kurczowo do poczciwej niewiasty, kryjąc twarz na jej piersi. Na ten widok, który

już poprzedniego wieczora wstrząsnął jego sumieniem, a teraz po nocy pełnej udręki i długotrwałym wygłodzeniu dziewczyna przedstawiała się jeszcze żałośniejszą, Bezimienny zatrzymał się w progu. Spostrzegłszy trwożny gest Lucji opuścił oczy i stał przez chwilę nieruchomy i milczący. A potem, odpowiadając na pytanie, którego ta biedaczka wcale nie wypowiedziała, wykrzyknął:

— To prawda! Przebaczenie mi!

— Przybywa cię uwolnić. To już nie ten sam człowiek, stał się dobry. Słyszysz, prosi o przebaczenie? — szeptała niewiasta do ucha Lucji.

— Czyż można rzec więcej? No, głowa do góry, nie bądź dzieckiem; trzeba nam ruszać z powrotem — perswadował don Abbondio.

Lucja uniosła głowę, spojrzała na Bezimiennego i, widząc to pochyłone czoło, ten wzrok przybity i pełen wstydu, poczuła, jak budzi się w niej ufność, wdzięczność i litość zarazem.

— Panie! — rzekła gorąco. — Bóg wam to miłosierdzie, policzył

. — I wam stokrotnie zapłaci za to dobro, które mi swoimi słowami wyświadczacie.

To rzekłszy odwrócił się i wyszedł pierwszy z izby. Lucja, uszczęśliwiona, poszła za nim z podtrzymującą ją pod ramię niewiastą; don Abbondio zamykał pochód. Zeszli ze schodów i stanęli u drzwi wiodących na dziedziniec. Bezimienny otworzył je, podszedł do lektyki, otworzył drzwiczki i z uprzejmością trochę nieśmiałą (oba to rysy zupełnie u niego nowe) ujął ramię Lucji i dopomógł wejść najpierw jej, a potem jej towarzyszące. Następnie odwiązał muła don Abbondia i jemu także pomógł dostać się na siodło.

— Och, zbytek łaskawości! — powiedział proboszcz wdrapując się na muła znacznie zwawiej niż za pierwszym razem. Ruszono, gdy Bezimienny dosiadł także swego wierzchowca. Czoło pana zamku było teraz wysoko uniesione, oczy przybrały zwykły władczy wyraz. Bravi spotykani po drodze widzieli, że pan ich jest pogrążony w myślach i ogromnie czymś przejęty; ale nic ponadto nie rozumieli i nie mogli zrozumieć. Na zamku nic jeszcze nie wiadano o wielkiej przemianie, jaka w tym człowieku nastąpiła.

A żaden z nich, rzecz prosta, nie mógłby się tego sam domyślić.

Pocziwa niewiasta zaciągnęła zasłony u lektyki i serdecznym ruchem ująwszy ręce Lucji zaczęła przemawiać do niej krzepiącymi, pełnymi otuchy słowami. A widząc, że nie tylko wyczerpanie i osłabnięcie z głodu, ale i zupełna niezrozumiałość tego wszystkiego, co ją spotkało, nie pozwalają biedaczce w całej pełni radować się odzyskaną wolnością, starała się mówić jej rzeczy mogące wprowadzić trochę ładu i światła w zmęczone myśli dziewczyny. Powiedziała jej też nazwę wsi, do której się udawały.

— Naprawdę? — rzekła Lucja, która wiedziała, że miejscowość ta leży niezbyt daleko od jej rodzinnej wioski. — Ach, Matko Najświętsza, dzięki Ci! Moja matka! Moja matka!

— Poślemy po nią natychmiast — zapewniała kobieta nie wiedząc, że już to uczyniono.

— Tak, o tak! Bóg wam to policzy... Ale ktoście wy? Jakim sposobem przybyliście...

— Posłał mnie nasz proboszcz — odpowiedziała kobieta. — Bóg zapukał do serca tego magnata (niech będzie Imię Jego błogosławione); przyszedł do naszej wsi i mówił z jego przewielebnością arcybiskupem (który właśnie jest u nas w pasterskim objeździe, święty człowiek); wyspowiadał mu się ze swoich niegodziwości i chce odmienić życie.

Wyznał też, że kazał porwać jedną niewinną dziewczynę, czyli ciebie, moje dziecko, w zмовie z drugim takim bez czci i wiary, jeno proboszcz nie mówił mi, kto to taki.

Lucja wzniosła oczy ku niebu.

— Może ty, dziecko, będziesz to wiedziała. Ale dość o tym. Otóż jego przewielebność kardynał sądził, że skoro chodzi tu o młode dziewczę, potrzebna jest jakaś niewiasta, by jej w drodze towarzyszyła, i polecił ją wyszukać naszemu proboszczowi. Ksiądz proboszcz zaś w dobroci swojej przyszedł z tym do mnie...

— O, niech Bóg wam waszą dobroć wynagrodzi!

— Co też mówisz, biedne dziewczę? A ksiądz proboszcz przykazał mi dodać ci odwagi, pocieszyć i opowiedzieć, jak to Bóg cudownie cię ocalił...

— Och, cudownie, to prawda! Za wstawiennictwem Najświętszej Panny...

— Bądź zatem dobrej myśli, odpuść temu, co ci tę

krzywdę uczynił; raduj się, że Bóg ci okazał miłosierdzie, i pomódl się za tamtego, a nie tylko będziesz miała zasługę przed Bogiem, ale i w sercu poczujesz ulgę.

Lucja odpowiedziała spojrzeniem tylko, ale tak jasnym, że słońce nie mogłoby być jaśniejsze, i pełnym takiej słodyczy, jakiej słowa nie zdołałyby wyrazić.

— Poczciwe dziewczę! — rzekła niewiasta i ciągnęła dalej swoją relację: — A że był też właśnie na miejscu i proboszcz z waszej wsi (bo zebrało się ich tu tyłu z całej okolicy, że starczyłoby ich na cztery najuroczystsze nabożeństwa), jego przewielebność umyślił wysłać i jego także; ale, prawdę mówiąc, nie na wiele się przydał. Jużem ja dawniej słyszała, że nie jest to człowiek, jakby należało; a tym razem sama widziałam, że wystraszony był jak schwytyany kurczak.

— A ów... — zapytała Lucja — ów, który tak się odmienił... kim jest?

— Jak to? Nie wiesz tego? — zdziwiła się niewiasta i wymieniła jego nazwisko.

— Na miłosierdzie boskie! — wykrzyknęła Lucja. Imię to słyszała wielekroć, że zgrozą wymawiane w rozlicznych, straszliwych historiach. Człowiek ten pojawiał się w tych opowieściach niby złośliwy potwór w bajkach. I kiedy uświadomiła sobie, że w jego to straszliwej mocy się znalazła, a teraz jest oto pod jego troskliwą opieką, kiedy pojęła całą grozę swego nieszczęścia i cudowność niespodziewanego ocalenia; kiedy pomyślała, czyja to była twarz, którą widziała najpierw ponurą, potem wzruszoną, wreszcie pełną pokory — ogarnęło ją takie uniesienie, że mogła tylko szeptać raz po raz:

— Miłosierny Boże!

— Pewnie, że ogromne to miłosierdzie — odezwała się jej towarzysząca. — Ogromna ulga dla wielu. Pomyśleć tylko, ilu ludzi trzymał pod swoją władzą!... A teraz, wedle tego, co mówił nasz proboszcz... dość zresztą spojrzeć na niego — istny święty! No i widać zaraz po uczynkach.

Gdybyśmy twierdzili, że poczciwej niewiasty nie pożerała ciekawość, że nie paliła się do tego, żeby dowiedzieć się więcej o przygodach, w których brała poniekąd udział, nie byłoby to prawdą. Musimy jednak przyznać ku jej chwale, że, przejęta względem Lucji współczuciem pełnym delikatności i rozumiejąc całą powagę powierzonego sobie

zadania, nawet nie myślała o zadawaniu jakichś natrętnych i niedyskretnych pytań; wszystko, co w czasie tej drogi mówiła, było jedynie wyrazem serdecznej wobec dziewczęcia troskliwości.

— Bóg jeden wie, jak długo nic nie jadłaś!

— Nie pamiętam już... chyba dość dawno...

— Biedaczko, musisz być bardzo zgłodniała!

— Tak — odpowiedziała Lucja słabym głosem.

— U mnie w domu, Bogu dzięki, zaraz coś znajdziemy. Nie trać ducha, to już niedaleko.

Chwilami Lucja zapadała jak gdyby w półsen i osuwała się bezsilnie w głąb lektyki; a poczciwa opiekunka zostawiała ją w spokoju.

Dla don Abbondia ta droga powrotna nie była oczywiście tak przykra jak niedawny wyjazd do zamku; jednak i powrót nie był dlań bynajmniej miły. W pierwszej chwili, kiedy zrozumiał, że nie ma czego się bać, poczuł ogromną ulgę; wkrótce jednak sto innych trosk poczęło kielkować w jego duszy. Tak to po ścięciu cienistego drzewa ziemia dokoła przez jakiś czas pozostaje pusta, wnet jednak zaczyna się pokrywać nową roślinnością. Pozbywszy się największej troski, don Abbondio stał się bardziej wrażliwy na wszystkie pozostałe; a przecież zarówno chwila obecna, jak myśl o przyszłości mogły mu dostarczyć niemało zmartwienia. Odczuwał też teraz znacznie dotkliwiej niewygodę takiego sposobu podróżowania, do którego nie był wcale przyzwyczajony; zwłaszcza dokuczala mu ta jazda na początku, kiedy opuszczali się stromą dróżką od zamku na dno doliny. Poganiacz, przynaglany wciąż przez Bezimiennego do pośpiechu, popędzał, jak mógł, swój zaprzęg; oba wierzchowce szły za lektyką w tym samym tempie. Toteż w miejscach bardziej stromych biedny don Abbondio, jakby go z tyłu popchnięto, walił się na kark wierzchowca i musiał całą siłą trzymać się łąki siodła, żeby nie spaść na ziemię. Nie odważał się jednak prosić o zwolnienie tempa, zresztą z drugiej strony sam byłby rad znaleźć się możliwie najprędzej z dala od tych miejsc. Na domiar złego, gdziekolwiek droga zakręcała lub zwężała się, muł, zwyczajem swojej rasy, szedł jak na złość samym brzeżkiem po zewnętrznej

stronie, kopytami dotykając krawędzi. Don Abbondio widział w takich chwilach niemal tuż pod sobą prostopadłe urwiska, które w jego oczach były

przepaściami. „I ty także — mówił w duchu do swego muła — i ty masz to przeklęte upodobanie do szukania guza, choć całą drogę masz wolną!” I ciągnął uzdę w przeciwną stronę, ale bez skutku. Tak że w końcu, mimo że gryzł go gniew i strach, zdał się zrezygnowany na cudzą wolę. Widok bravich nie przerażał go już tak bardzo teraz, kiedy wiedział, jakie są intencje ich pana. „Ale — zaniepokoił się — jeżeli wieść o tym nawróceniu rozejdzie się, dopóki jeszcze tu jesteśmy, któż wie, jak oni to przyjmą! Któż wie, co może z tego wyniknąć! Gotowi sobie jeszcze wyobrazić, że przybyłem tu jako misjonarz! O, ja nieszczęsny! Czyżbym miał ponieść męczeństwo?”

Posępny wyraz twarzy Bezimiennego nie martwił go. „Na to, by utrzymać w ryzach tamte zbójeckie twarze, nie można być samemu łagodnie uśmiechniętym — myślał — rozumiem to; tylko czemuż to właśnie ja musiałem znaleźć się pośród tych wszystkich zbójów?”

Wreszcie zjechali na dno doliny, a wkrótce wydostali się poza nią. Czoło Bezimiennego poczęło się rozpogadzać. Również i don Abbondio przybierał stopniowo naturalniejszy wygląd, wysunął głowę spomiędzy ramion, rozprostował nogi i ramiona, przesunął się bardziej ku środkowi grzbietu wierzchowca, przez co nabrał zgoła innej postawy, odetchnął głęboko i ze spokojniejszym nieco umysłem wziął się do rozważania innych, bardziej odległych niebezpieczeństw.

„Co na to powie ta sroga bestia, don Rodrigo? Znaleźć się w takim położeniu — nie dość, że mu się nie powiodło, to jeszcze go wyszydzą — no, łatwo sobie wyobrazić, jak mu to nie w smak pójdzie. Teraz dopiero wścieknie się na dobre. Pytanie, czy nie skrupi się to na mnie, którym się znalazł niechcący w tej całej kabale? Jeżeli już raz posłał mi tych dwóch czartów, którzy tak mnie potraktowali wtedy na drodze, to cóż gotów uczynić teraz? Z tym pysznym magnatem zadzierać nie zechce, bo to grubsza od niego ryba: będzie musiał to strawić w cichości ducha. Ale jad będzie miał w sobie i zechce go na kogoś wypuścić. A wiadomo, jak się zwykły kończyć takie rzeczy: ciosy zawsze spadają w dół, a trzaski lecą w powietrze. Co się tyczy Lucji, to oczywiście jego przewielebność zapewni jej bezpieczeństwo. Ten drugi biedaczyna jest daleko, nieuchwytny, zresztą, miał już za swoje. Zatem, trzaską będę ja. A to

już byłaby okrutna niesprawiedliwość po tylu niepokojach, niewygodach, jakie musiałem znieść, żeby na mnie miała spaść wina tak zgoła niezasłużenie. A cóż uczyni jego przewielebność w mojej obronie, boć to on mnie wpakował w ten cały kram? Czy może mi zaręczyć, że ten przeklętnik nie ukrzywdzi mnie jeszcze gorzej, niż to uczynił wtedy? Zresztą, ileż spraw on ma na głowie? Do tylu rzeczy przykładą rękę! Czyż może dbać o wszystkie? Zdarza się, że jak ktoś taki się wmiesza, pozostawia rzecz bardziej zagmatwaną, niż była przedtem. Ci, którzy czynią dobro, czynią je masowo; skoro już osiągną zadowolenie, jakie płynie ze szlachetnych postępów, to i dosyć; nie chce im się śledzić dalszych możliwych skutków ich działania. Ci natomiast, którzy znajdują upodobanie w czynieniu zła, wkładają w wykonanie swoich zamysłów więcej starania, czuwają nad nimi aż do końca, nie spoczywają nigdy, bo mają wewnątrz robaka, co ich gryzie. Czyż mam sam głosić, że przybyłem tutaj na wyraźny rozkaz jego przewielebności, nie zaś z własnej woli? Wyglądałoby na to, że stoję po stronie nieprawości. O nieba! Ja — po stronie nieprawości! Z tyra

wszystkim, co muszę wycierpieć! Nie. Najlepiej uczynię opowiadając wszystko, tak jak jest, Perpetui; a już ona rozniesie to, gdzie trzeba. Byle tylko monsignore nie wpadł na koncept urządzenia jakiegoś publicznego widowiska i zamieszania w to mojej osoby! Najlepiej, skoro tylko przyjedziemy na miejsce, a on wyjdzie już z kościoła, udam się do niego, pokłonię mu się pięknie a szybko; jeśli będzie jeszcze zajęty w kościele, uproszę kogoś, by mnie wytłumaczył, i wracam nie mieszkając do domu. Lucja jest pod dobrą opieką, ja tu już nie jestem potrzebny. Po takim utrudzeniu należy mi się chyba spokojne wytchnienie. W dodatku... gdyby monsignorowi zachciało się poznać dokładniej tę historię, musiałbym opowiedzieć mu, jak to było z tym ślubem... Tego by jeszcze brakowało! A jeżeli odwiedzi i moją parafię? Ano, co będzie, to będzie; nie będę się tym gryzł przed czasem; dość mam zmartwień i bez tego. Teraz chciałbym zamknąć się spokojnie w domu. Dopóki monsignore przebywać będzie w okolicy, don Rodrigo nie odważy się na żadne szaleństwa. Ale potem? Potem? Ach, widzę już, że nie sądzono mi przeżyć ostatnich moich lat spokojnie!"

Przybyli do wsi jeszcze przed końcem nabożeństwa.

Przejechali pośród tego samego i niemniej niż przedtem przejętego tłumu ludzi, po czym rozdzielono się: dwaj jeźdźcy skręcili na placyk, w głębi którego znajdowała się plebania; lektyka skierowała się ku domowi towarzyszącej Lucji niewiasty.

Don Abbondio zrobił tak, jak to sobie umyślił: zsiadłszy z muła zaczął z wylaniem żegnać się z Bezimiennym prosząc, aby zechciał wytłumaczyć go przed monsignorem: musi bowiem wracać jak najspieszniej do swojej parafii, gdzie czekają na niego niecierpiące zwłoki obowiązki. Zabrawszy to, co zwykł był nazywać swoim koniem — kij podróży pozostawiony w kącie saloniku — ruszył niezwłocznie w drogę. Bezimienny usiadł czekając na powrót kardynała z kościoła.

Tymczasem opiekunka Lucji, usadowiwszy ją na najwygodniejszym miejscu w swej kuchni, zakrzętała się żywo około przygotowania dla niej czegoś posilnego. Z nieco rubaszną dobroduszością odżegnywała się od wszelkich podziękowań i przepraszań, jakie dziewczyna raz po raz ponawiała.

Szybko podrzuciła chrustu na palenisko, pod kociołek z pływającym w rosole pięknym kapłonem, podgrzała rosół, napełniła nim głęboki talerz i otoczony kromkami chleba postawiła przed Lucją. Widząc, jak z każdą łyżką zupy wracają biedaczce siły, głośno wyrażała zadowolenie, że wszystko to wydarzyło się w dniu, kiedy jak mówiła, „kot nie wysypia się w kominie”.

— Każdy się starał mieć na dzisiaj coś lepszego — mówiła — prócz chyba tych najbiedniejszych, którym często zbraknie nawet chleba z wyki i polenty z tatarski. Ale nawet ci spodziewają się dzisiaj, że coś im kapnie od tak miłosiernego pana. Z nami, chwała Bogu, nie jest aż tak źle; prócz rzemiosła mego męża mamy jeszcze coś niecoś własnego; jakoś wiąże się koniec z końcem. Jedźże więc, dziewczę, bez obawy; kapłon lada chwila będzie gotowy, podjesz sobie wtedy lepiej.

Wypowiedziawszy to wszystko, zabrała się znów do swoich zajęć gospodarskich. Lucja zaś, pokrzepiona na ciele i częściowo uspokojona, zaczęła doprowadzać do porządku swój wygląd; miała bowiem głęboko zakorzenione upodobanie do schludności i skromności. Zaplotła rozluźnione i potargane warkocz, porządnie ułożyła chusteczkę dokoła

szy i na piersiach. W pewnej chwili palce jej zaczeły o różaniec, który ubiegłej nocy zawiesiła sobie na szyi. W ślad za rękami pobiegło tam spojrzenie... W głowie zawirowały bezładne myśli... wspomnienie uczynionego ślubu, do tej pory przesłonięte nadmiarem nowych wrażeń, objawiło się nagle jej myślom, jasne i wyraźne. Świezo odzyskane siły opuściły ją znowu zupełnie; gdyby nie to, że duch jej zaprawiony był do znoszenia przeciwności całym dotychczasowym życiem, niewinnym, ufnym, nawykłym do wyrzeczeń, popadłaby w zupełną rozpacz. Pierwszą myślą, jaka wyłoniła się z chaosu niemożliwego do wyrażenia słowami, było: „Cóżem ja, nieszczęsna, uczyniła!” Zaledwie jednak to pomyślała, ogarnęło ją przerażenie. Przypomniały jej się wyraźnie okoliczności, w jakich ślub uczyniła — lęk przed przyszłością, brak jakiegokolwiek nadziei ratunku, żarliwe modlitwy i rozsadzające piersi uczucie, które jej tę obietnicę podyktowało. I teraz, kiedy doznała na sobie miłosierdzia, miałaby żałować swojej obietnicy? Wydało jej się to niewdzięcznością wręcz bluźnierczą, oszukiwaniem Boga i Madonny. Pomyślała, że taka zdrada ściągęłaby na jej głowę nowe, straszliwsze jeszcze nieszczęścia, wśród których nawet z modlitwy nie mogłaby zaczerpnąć nadziei. I czym prędzej odegnała od siebie ten żal chwilowy. Ze czcią zdjęła z szyi różaniec i zaciskając go w drżące dłoni ponowiła, potwierdziła swoje przyrzeczenie, błagając zarazem z bólem, by dana jej była siła do jego wypełnienia, by oszczędzono jej myśli i wydarzeń mogących zburzyć z trudem osiągnięty spokój ducha. Rozstanie z Renzem bez żadnych widoków na jego powrót, to rozstanie, które dotychczas budziło w niej tyle goryczy, teraz wydało jej się zrzędzeniem Opatrzności, która różnymi drogami do jednego celu prowadzi. Usiłowała znaleźć w jednym z tych wydarzeń siłę, by i drugie z nich móc uważać za pomyślne. W ślad za tym przemknęła jej myśl, że ta sama Opatrzność może sprawić, żeby Renzo wyrzekł się jej także, żeby nie myślał o niej więcej... Ale. myśl ta, zaledwie się zjawiała, wprawiła duszę Lucji w stan wielkiego zamętu. Biedaczka czując, że stłumiony żal znowu zaczyna się w sercu odzywać, z całą żarliwością wróciła do modlitwy, jęła walczyć z własną słabością; wreszcie podniosła się po tej modlitwie, niby zwycięzca

znużony i ranny, który wstaje znad pokonanego, ale nie zabitego wroga.

Koło domu rozległy się kroki i wesołe głosy: rodzina wracała z kościoła. Troje dzieci — dwie dziewczynki i chłopczek — wbiegło w podskokach i zatrzymało się, rzucając ciekawe spojrzenia na Lucję; po czym cała trójka otoczyła matkę: jedno dopytywało się o imię nieznanego gościa, chciało wiedzieć o wszystkim co i jak; drugie opowiadało o widzianych w kościele dziwach, a matka każdemu odpowiadała tylko:

— Cicho, cicho!

Po chwili wszedł spokojniejszym, ale też śpiesznym krokiem, z wyrazem serdecznej gościnności na twarzy, gospodarz domu. Był on — jeśliśmy o tym jeszcze nie wspomnieli — krawcem zaopatrującym w odzież wieś i jej okolice. Umiał czytać i niejedną raz przeczytał Żywoty świętych, Guerina Meschino i Opowieści o królach Francji, dzięki czemu uchodził w swoich stronach za człowieka niepospolitej wiedzy. On sam skromnie zaprzeczał tej opinii, przyznając zresztą, że minął się z powołaniem. Gdybyż był poświęcił życie nauce, jak tylu innych... Przy tym wszystkim był poczciwym „z kośćcami” człowiekiem. Kiedy w jego obecności proboszcz prosił jego żonę, aby spełniła ten czyn miłosierny i wybrała się po Lucję, nie tylko w pełni zaaprobował ten plan, ale gotów był namawiać żonę, gdyby zaszła tego potrzeba. Teraz zaś, kiedy uroczyste nabożeństwo, niebawem napływ wiernych, a zwłaszcza kazanie kardynała podnieciły w nim, że tak powiem, wszystkie dodatnie uczucia, śpieszył do domu spragniony wieści, jak się wszystko odbyło, i chcąc na własne oczy ujrzeć ocaloną niewinność.

— Popatrz tylko — zwróciła się do wchodzącego żona wskazując Lucję.

Dziewczyna zaczerwieniła się, powstała i wyjąkała parę słów usprawiedliwienia. Ale on podszedł żywo witając ją wesoło i wykrzykując głośno:

— Radziśmy wam szczerze! Jesteście w naszym domu znakiem błogosławieństwa bożego! Jakże rad jestem wi

dząc was tutaj; choć, co prawda, byłem spokojny, że zawiniecie szczęśliwie do portu. Nigdy bowiem nie słyszałem, żeby Pan Bóg rozpoczął cud, a nie doprowadził go do końca. Ale cieszę się, widząc was tu bezpieczną. Biedne dziewczę! Choć nie mała to rzecz doświadczyć cudu na sobie!

Nie należy sądzić, że to tylko on, który znał Żywoty świętych, w ten sposób tłumaczył sobie wielkie wydarzenie tego dnia: w całej wsi i po wsiach okolicznych nikt tego nie nazywał inaczej, dopóki dzień ten żył w ludzkiej pamięci. I doprawdy, z tymi rozlicznymi dodatkami, jakie z biegiem czasu coraz bardziej wzbogacały opowieść, inaczej niż cudem trudno byłoby to wydarzenie nazwać.

Po chwili gospodarz, zbliżywszy się do żony zajętej odczepianiem garnka od łańcucha nad paleniskiem, zapytał cicho:

— Wszystko poszło dobrze?

— Przednio. Opowiem ci później.

— Tak, tak; w swobodnej chwili.

Gospodyni skończyła przygotowania, podeszła do Lucji, przyprowadziła ją do stołu i usadowiła wygodnie. Następnie odkroiła porcję kapłona i postawiła przed nią. Oboje z mężem usiedli obok i jęli zachęcać zawstydzonego i przygnębionego gościa do jedzenia. Kiedy Lucja dała się namówić, krawiec począł rozprawiać z wielkim zapałem. Przerywały mu raz po raz dzieci, które zajadały, obsiadłszy stół dookoła. Zbyt wiele napatrzyły się one tego dnia nadzwyczajnych rzeczy, żeby na długo zadowolić się rolą słuchaczy. Gospodarz to opisywał uroczyste obrzędy kościelne, to przeskakiwał na temat cudownego nawrócenia. Ale najczęściej powracał do tego, co uczyniło na nim wrażenie najsilniejsze — do kazania, jakie wygłosił kardynał.

— Widzieć go tak przed ołtarzem — mówił — takiego wielkiego dostojnika, niby zwykłego proboszcza...

— A co to było, to złociste, co miał na głowie? — dopytywała się młodsza dziewczynka.

— Cicho bądź. Pomyśleć tylko, mówię, że taki wielki pan i taki uczony, co jak powiadają, przeczytał wszystkie książki, jakie są na świecie, co nie zdarzyło się na pewno nikomu innemu, nawet w Mediolanie; pomyśleć, że potrafi tak mówić, że każdy go pojmie...

— I ja pojęłam! — wtrąciła druga dziewczuszka.

— Cicho bądź! Cóżes ty mogła pojąć, co?

— Że opowiada Ewangelię zamiast księdza proboszcza!

— No, cicho. Nie mówię tacy, co coś niecoś wiedzą, tych obowiązkiem jest rozumieć. Ale i najbardziej zakute łby, najgorsza ciemnota, każdy zdołał podążyć za wątkiem kazania. Gdybyście ich spytali, czy potrafią powtórzyć, co mówił, no tak, nie wyłowiliby ani jednego słowa. Ale uczucie, ono im, ot, tu zostało. Ani razu nie wypowiedział imienia tego możnego pana, a przecież każdy pojął, że o nim mówi. A zresztą, dość było popatrzeć, jak łzy mu do oczu napływały. I wszyscy też się za nim popłakali...

— Prawda! — wtrącił chłopaczek. — Czemu oni wszyscy tak płakali jak dzieci?

— Cicho bądź. A wiadomo przecie, że są tu, w naszej wsi, ludzie o twardych sercach. Prawił, że chociaż jest głód, przecie powinniśmy Bogu dziękować i być zadowoleni; radzić sobie, jak się da, pomagać jedni drugim i mieć pogodę w duszy. Albowiem nieszczęściem nie jest cierpienie ani bieda: nieszczęściem jest źle czynić. I nie są to czcze słowa; boć każdy wie, że on żyje jak biedak i chleb sobie od ust odejmuje, by go oddać głodnym. A mógłby przecie żyć wspaniale, wspanialej niż ktokolwiek. Taki człowiek jak mówi, to radość słuchać! Nie tak jak inni, co to: „Czyńcie, co

mówię, ale nie czyńcie, co ja czynię." I mówił jeszcze, że także ci, co nie są bogaczami, ale mają więcej, niżli im koniecznie potrzeba, mają obowiązek dzielić się z tymi, co cierpią.

Gospodarz przerwał nagle swoją przemowę, jakby zaskoczony jakąś myślą. Zastanowił się chwilę, a potem nałożył na talerz po trochu wszystkiego, co było na stole, dołożył bochenek chleba, zawiązał w serwetę i ujawszy ją za rogi podał starszej córeczce mówiąc:

— Trzymaj! — W drugą rękę włożył jej niewielką flaszkę wina i powiedział: — Idź do Marii wdowy, oddaj jej to i powiedz, że prosimy, by się wraz z dziećmi poweseliła trochę. Ale uczyni to grzecznie, by jej się to nie zdało jałmużną. A gdybyś kogo spotkała po drodze, nie mów nic. I bacz, żebyś nie stłukła.

Słyszając to Lucja poczuła, że oczy zachodzą jej łzami, a w sercu wzbiera radosna tkliwość. Zresztą już i poprzednio słyszane opowiadanie przyniosło jej ulgę, większą, niż gdyby ktoś umyślnie starał się ją słowami pokrzepić. Umysł jej przejęty opisami zarówno uroczystości samej, jak i na

stroju jej uczestników, porwany entuzjazmem opowiadającego, odrywał się od bolesnej troski o siebie. A kiedy nawet wróciła myślą do tamtych spraw, poczuła się silniejsza, bardziej odporna. Nawet ze wspomnieniem uczynionej ofiary, choć nie zatraciło ono całej uprzedniej goryczy, poczęło się łączyć nowe uczucie jakiejś surowej i uroczystej radości. Wkrótce potem do domu krawca przyszedł miejscowy proboszcz mówiąc, że wysłał go kardynał, aby dowiedział się, co słychać z Lucją, powiadomił ją, że monsignore życzy sobie ją widzieć jeszcze tegoż dnia, wreszcie podziękował w jego imieniu poczciwym gospodarzom. Oni oboje, wzruszeni i zmieszani, nie mogli znaleźć słów, jakimi godziłoby się odpowiedzieć na tyle uprzejmości ze strony takiego dostojnika.

— A matka wasza nie przybyła jeszcze? — zapytał proboszcz.

— Moja matka! — wykrzyknęła Lucja.

A kiedy proboszcz objaśnił ją, że posłał po jej matkę z polecenia arcybiskupa, podniosła do oczu fartuszek i wybuchnęła płaczem, nie mogąc się uspokoić jeszcze długo po odejściu proboszcza.

Kiedy zamęt uczuć, jaki wzbudziła w niej ta wiadomość, ucichł nieco, ustępując spokojniejszym myślom, biedna Lucja przypominała sobie, że o tę właśnie radość, która ją czeka, a która parę zaledwie godzin przedtem wydawała się nieosiągalna, błagała w strasznych godzinach ubiegłej nocy, że postawiła ją jak gdyby za warunek swojego ślubowania. „Daj mi powrócić szczęśliwie do mojej matki" — modliła się. Słowa te zabrzmiały teraz wyraźnie w jej pamięci.

Utwierdziło ją to w postanowieniu dotrzymania obietnicy i czyniła sobie gorzkie wyrzuty z powodu owego: „O, ja nieszczęsna!" — jakie jej się w pierwszej chwili wyrwało z głębi duszy.

Agnese, w chwili kiedy o niej mówiono, była już rzeczywiście niedaleko. Łatwo sobie wyobrazić, w jakie zdumienie i zmieszanie wprawiło biedaczkę to nieoczekiwane wezwanie, ta wiadomość niejasna i niezupełna o niebezpieczeństwie, jakoby już zażegnany, ale przerażającym; o strasznej przygodzie, o której wysłany po nią człowiek nic bliższego nie umiał powiedzieć, ona zaś sama nie miała wręcz o co zacząć myśli, chcąc coś z tego wszystkiego

zrozumieć. W pierwszej chwili chwyciła się rękami za włosy, wołając: „O Boże! O Madonno!" Następnie zasypała przybysza pytaniami, na które nie potrafił nic prawie odpowiedzieć. Wreszcie rzuciła się, jak stała, do wózka, nie

przystając podczas jazdy wykrzykiwać i wypytywać, bez żadnych zresztą rezultatów. W pewnym momencie spostrzegła na drodze don Abbondia, który szedł bardzo powoli, wysuwając za każdym krokiem przed siebie swój kij podróżny. Obie strony wydały wymowny okrzyk: „Oh!” On przystanął, Agnese poprosiła o zatrzymanie konia; wysiadła z wózka, po czym odeszli trochę na ubocze, w lasek kasztanowy rosnący obok drogi. Don Abbondio opowiedział jej o wszystkim, czego się dowiedział i co widział na własne oczy. Było to dość niejasne, ale przynajmniej Agnese upewniła się, że Lucja jest rzeczywiście bezpieczna.

Don Abbondio wdał się następnie w szczegółowe wyjaśnienia i instrukcje, jak Agnese powinna się zachować i co odpowiadać, w razie gdyby arcybiskup, co było bardzo możliwe, życzył sobie mówić z nią i z jej córką; przestrzegał zwłaszcza, żeby ani słówkiem nie wspominać o niedoszłym ślubie... Ale Agnese spostrzegła się zaraz, że pocziwiec przemawia li tylko we własnym interesie, pozbyła się go też szybko nic mu nie obiecując i ruszyła w dalszą drogę. Nareszcie wózek dotarł do celu i zatrzymał się przed domkiem krawca. Lucja zerwała się z miejsca, Agnese wysiadła śpiesznie i pobiegła ku drzwiom. Rzuciły się sobie w objęcia, a żona krawca, poza którą nikogo w owej chwili w domu nie było, cieszyła się razem z nimi, krzepiąc je i uspokajając serdecznymi słowy. Potem, dyskretna jak zwykle, zostawiła je same mówiąc, że musi przygotować dla nich posłanie. Dodała, że nie sprawi jej to żadnego kłopotu, że zresztą zarówno ona, jak jej mąż woleliby raczej spać na ziemi niż pozwolić im szukać gdzie indziej noclegu. Po pierwszych uściskach i pełnych wzruszenia szlochach Agnese zaczęła wypytywać córkę o jej przygody, ona zaś zapuściła się w tę opowieść z nie ukrywanym smutkiem. Jak czytelnikom wiadomo, była to historia, której nikt nie znał w całości; również i dla Lucji były tam punkty ciemne i niezrozumiałe. Zwłaszcza pojąć nie mogła, jak to się stało, że fatalna karoca znalazła się na pustej drodze

właśnie w chwili, kiedy ona szła tamtędy zupełnie wyjątkowo. Zarówno matka, jak córka snuły na ten temat niezliczone przypuszczenia, nie tylko nie trafiające w sedno, ale nawet nie przybliżone do prawdy.

Co do tego, kto uknuł całą intrygę, obie były przekonane, że nie mógł to być nikt inny tylko don Rodrigo.

— A niegodziwiec! A piekielnik! — wykrzykiwała Agnese. — Ale przyjdzie jeszcze i na niego kolej! Bóg mu odpłaci według zasługi; a wtedy i on spróbuje...

— Nie, nie, matko, nie! — prosiła Lucja. — nie życzy mu złego, nie trzeba tego życzyć nikomu! Gdybyście wiedzieli, jak można cierpieć! Gdybyście sami tego zaznali! Nie, nie! Módlmy się raczej za niego do Boga i Madonny. Oby Bóg zapukał do jego serca, jak to uczynił z tamtym nieszczęsnym panem, który był przecie gorszy od niego, a teraz jest jak święty...

Niechęć wracania myślą do świeżych a okrutnych wspomnień sprawiła, że Lucja raz po raz urywała swoją opowieść, nie doprowadzając jej do końca; mówiła, że sił jej nie staje do powtarzania tego, płakała i z trudem dawała się nakłonić do podjęcia opowiadania. A kiedy doszła do punktu, w którym należało powiedzieć o uczynionym ślubie, inne jeszcze uczucie kazało jej umilknąć; obawiała się, że matka zacznie jej wyrzucać nierozwagę i zbytni pośpiech; że tak jak wtedy, kiedy chodziło o zawarcie małżeństwa, okaże nadmierną swobodę sumienia i będzie zmuszała córkę do uznania tego za słuszne; wreszcie, że matka gotowa zwierzyć się komuś w zaufaniu, choćby po to, by zasięgnąć rady, i w ten sposób rzecz ta dojdzie do wiadomości wszystkich; na samą myśl o tym Lucja czuła, jak krew uderza jej do twarzy. W końcu — powstrzymywał ją wstyd wobec matki, coś odpychało ją od mówienia o tym. To wszystko razem sprawiło, że zataiła przed matką tę okoliczność tak ważną, postanawiając wyznać ją przede wszystkim ojcu Cristoforo. Toteż srogiego doznała zawodu, kiedy w odpowiedzi na swoje zapytanie usłyszała, że go tam już nie ma, że wysłany został gdzieś bardzo daleko, do jakiegoś miasta o dziwnej nazwie.

— A Renzo? — zagadnęła Agnese.

— Bezpieczny jest chyba, prawda? — powiedziała Lucja niespokojnie.

— To pewne, wszyscy tak mówią. Bez wątpienia schro

nił się za bergamską granicę. Ale dokąd właściwie, tego nikt nie wie. A od niego samego nie miałam do tej pory żadnej wieści. Aż mi dziwno, że nie znalazł na to jakiegoś sposobu.

— Ach, skoro jest bezpieczny, to chwała Bogu — rzekła Lucja i szukała w myśli sposobu odwrócenia rozmowy. Ale właśnie rozmowę przerwało coś zgoła nieoczekiwanego — przybycie kardynała arcybiskupa.

Po powrocie z kościoła, gdzieśmy go poprzednio zostawili, dowiedziawszy się od Bezimiennego, że Lucja jest już we wsi, zdrowa i cała, kardynał zaprosił go do stołu i posadził po swojej prawej ręce, w otoczeniu całego wieńca księży, którzy nie mogli dość się napatrzeć na ten obraz człowieka tak łagodnego bez słabości, tak pokornego bez ponizienia, zestawiając go w myśli z pojęciem, jakie od dawna o tym człowieku sobie wyrobili.

Po obiedzie ci dwaj odeszli od stołu razem; po odbytej w cztery oczy, znacznie dłuższej niż rano rozmowie Bezimienny wyruszył do swego zamku na grzbiecie tego samego muła, który mu służył rankiem. Kardynał zaś wezwał do siebie proboszcza i oznajmił mu, że chce udać się do domu, w którym Lucja znalazła gościnę.

— O monsignore — odpowiedział proboszcz — niechże się wasza przewielebność sam nie trudzi; poślę natychmiast kogoś i zawezwę tutaj dziewczynę, jej matkę, jeżeli już tu jest, nawet gospodarzy, jeśli takie jest życzenie waszej przewielebności, wszystkich, kogo tylko monsignore zawezwać raczy.

— Życzę sobie sam odwiedzić ten dom — odpowiedział Federigo.

— Wasza przewielebność nie powinien zadawać sobie tyle trudu; sprowadzę ich wszystkich niezwłocznie; to jeno chwilka — nalegał proboszcz, niefortunny w swych posunięciach, choć zacny w gruncie rzeczy człeczyna; nie rozumiał wcale, że kardynał chce tymi odwiedzinami złożyć powini hołd nieszczęściu, niewinności, gościnności i własnemu powołaniu zarazem. Skoro jednak jego zwierzchnik jeszcze raz powtórzył to samo żądanie, proboszcz, jako podwładny, mógł jedynie skłonić głowę i spełnić rozkaz.

Zaledwie kardynał z proboszczem ukazali się na drodze, zebrał się dokoła nich tłum z każdą chwilą gęstniejący; ludzie zbiegali się zewsząd i szli wraz z nimi — kto mógł

obok, a liczne rzesze ciągnęły za nimi w tyle. Proboszcz przemawiał do nich bezradnie:

„Rozstąpcieź "się, odsuńcie, no, dalej" — na co Federigo odpowiadał: „Proszę, niechże ksiądz ich nie odpędza”— i szedł pośród tłumy, tę unosząc dłoń do błogosławieństwa, to opuszczając ją, by pogłaskać główki płaczących się dokoła jego nóg dzieci. W ten sposób doszli aż do domu krawca i weszli do środka, a cały tłum pozostał na zewnątrz. Ale wśród tej rzeszy ludzkiej znajdował się również gospodarz tego domu, który przyszedł jak inni w ślad za arcybiskupem, zagapiony na niego z otwartymi ustami, zaciekawiony, dokąd też on zmierza. Ujrzawszy wreszcie owo nieoczekiwane „dokąd”, począł przepychać się gwałtownie ku domowi, czyniąc wiele szumu i wołając:

— Przepuścież tego, kto musi przejść — wreszcie dotarł do drzwi.

Agnese i Lucja usłyszały dochodzący z ulicy i rosnący z każdą chwilą zgiełk i zastanawiały się właśnie, co by to być mogło, kiedy drzwi się otworzyły i ukazali się w nich arcybiskup w purpurze i proboszcz.

— To ona? — zapytał arcybiskup; widząc potwierdzający gest księdza, zbliżył się do Lucji, która stała obok matki, obie nieruchome i oniemiałe ze zdumienia i zażenowania. Ale ton głosu Federiga, jego wygląd, zachowanie, a przede wszystkim jego słowa doprowadziły je szybko do oprzytomnienia.

— Biedne dziecię — rzekł on — Bóg zesłał na ciebie ciężką próbę, ale zarazem dał dowód, że nie odwrócił od ciebie oczu i nie opuścił cię. Bóg cię ocalił i posłużył się tobą jako narzędziem do spełnienia wielkiego dzieła; okazał bezmiar miłosierdzia jednemu, a wraz z tym jednym — wielu ludziom dokoła.

W tej chwili weszła do izby gospodyni, która słysząc hałas wyjrzała oknem, a widząc, kto wchodzi do jej domu, ogarnęła się naprędce i zbiegła spiesźnie po schodach. Prawie równocześnie drugimi drzwiami wszedł jej mąż; nie chcąc przeszkadzać, usunęli się oboje w kąt izby i stali tam przejęci czcią. Kardynał przywitał ich uprzejmie i dalej rozmawiał z obu kobietami, krzepiąc je słowami pociechy i rozpytując o różne rzeczy; szukał bowiem w myśli sposobu przyjścia im z pomocą i nagrodzenia im przeżytych cierpień.

— Gdybyż to wszyscy księżą byli podobni do waszej przewielebności i stanęli też czasem po stronie biedaków zamiast pomagać w ich gnębieniu, chowając się sami — odezwała się Agnese ośmielona przyjaznym tonem i prostotą Federiga, a równocześnie ze złością myśląc o don Abbondiu, który z taką łatwością poświęcał zawsze innych, a teraz jeszcze chciałby wzbronić jej tej ulgi, jaką mogło jej przynieść uzalenie się przed kimś wyżej od niego postawionym, kiedy trafiła jej się tak wyjątkowa po temu sposobność.

— Powiedźcie wszystko, co myślicie — rzekł kardynał. — Mówcie śmiało.

— Chcę rzec, że gdyby nasz ksiądz proboszcz spełnił swój obowiązek, wszystko poszłoby inaczej.

A kiedy kardynał zaczął nalegać, aby wytłumaczyła się jaśniej, poczuła się zmuszona do opowiedzenia całej historii, jakkolwiek nie miała wielkiej chęci ujawniać, zwłaszcza wobec takiego dostojnika, roli, jaką ona sama w niej odegrała. Wybrnęła z tego przy pomocy niewinnego wybiegu: powiedziała o zamierzonym małżeństwie, o odmowie don Abbondia, nie przemilczając i tego, że zasłaniał się „zwierzchnością” (ach, Agnese!), potem przeskoczyła na zamach don Rodriga; opowiedziała, jak ich ostrzeżono, tak że zdążyli uciec, i zakończyła:

— Uciec, tak, ale po to, żeby wpaść w nowe tarapaty. A gdyby proboszcz powiedział nam był wszystko szczerze i udzielił nie zwlekając' ślubu moim biednym dzieciom, wynieśliśmy się zaraz wszyscy razem po cichu gdzieś daleko, gdzie nigdy by nas nie odkryto. A tak straciliśmy jeno czas i stało się to wszystko, co się stało.

— Ksiądz proboszcz musi się z tego przede mną wytłumaczyć.

— Och, nie, wasza przewielebność, nie — wtrąciła spiesźnie Agnese. — Nie w tej myśli to mówiłam. Nie trzeba się na niego gniewać; co się stało, to się stało i trudno. Zresztą, na nic się to nie zda; taki to już człowiek. W razie czego, postąpiłby pewnie znowu tak samo.

Ale Lucja, której taki sposób przedstawienia faktów wcale się nie podobał, dodała:

— I my również postąpiliśmy źle; widać taka była wola boża, a my chcieliśmy jej iść na przekór.

— Cóż złego mogliście wy tu uczynić, biedne moje dziecię? — zapytał Federigo.

Lucja mimo wymownych spojrzeń, jakimi matka starała się ją powstrzymać, opowiedziała o próbie zaskoczenia don Abbondia w jego domu.

— Postąpiliśmy źle — zakończyła — i Bóg nas pokarał.

— Przyjmij w pokorze z Jego ręki cierpienie, jakie ci przypadło, i bądź dobrej myśli — powiedział Federigo. — Któż bowiem miałby prawo do radości i nadziei, jeśli nie ten, kto wiele cierpiał i ponadto sam się oskarża?

Zapytał potem, gdzie przebywa jej narzeczony, a usłyszawszy odpowiedź Agnese (Lucją milczała z głową pochyloną i spuszczonej oczyma), że uciekł poza granicę księstwa, wydawał się tym przykro zdziwiony i dopytywał się o przyczynę.

Agnese powtórzyła, jak mogła najlepiej, te niejasne i niekompletne wiadomości o Renzu, jakie do niej dotarły.

— Słyszałem już coś o tym młodzieńcu — rzekł kardynał. — Ale jakże to możliwe, by ktoś zamieszany w podobne sprawy miał zostać mężem takiej jak ta dziewczyny?

— Był zawsze uczciwym człowiekiem — rzekła Lucja rumieniąc się, ale pewnym głosem.

— O tak, był poczciwym, aż nadto statecznym chłopcem — dodała Agnese. — O to może wasza przewielebność zapytać każdego, choćby nawet naszego proboszcza. Któż wiedzieć może, co za awantury tam się wydarzyły? Biedaka łatwo każdy przy byle sposobności poczyta za zbója.

— To prawda, niestety — rzekł kardynał. — Niewątpliwie rozpytam się o niego.

Zapisał sobie w notatniku imię i nazwisko młodzieńca i powiedział, że za kilka dni zamierza odwiedzić ich parafię; wtedy Lucja będzie mogła bez obawy wrócić do domu; on zaś tymczasem pomyśli o jakimś odpowiednim dla niej schronieniu, gdzie mogłaby przeczekać bezpiecznie, póki wszystko się ostatecznie nie ułoży.

Następnie zwrócił się do gospodarzy domu, którzy zbliżyli się doń skwapliwie. Podziękował im ponownie za wszystko, co zrobili (uczynił to już przedtem za pośrednictwem proboszcza), i zapytał, czy zgodziliby się zatrzymać na parę dni gości, których im Bóg zesłał.

— O tak, wasza przewielebność — odparła gospodyni tonem głosu i twarzą wyrażając o wiele więcej niż ta lakoniczna wskutek onieśmielenia odpowiedź.

Natomiast mąż jej, podniecony przybyciem tak niezwykłego gościa i pragnąc przy tej wyjątkowej okazji zabłysnąć, szukał gorączkowo w myśli jakiejś pięknej odpowiedzi. Marszczył czoło, przewracał oczyma, zaciskał usta, wyęczał swoje władze umysłowe do ostatnich granic, szukał, szperał, w głowie kłębiły mu się niedokończone, urwane myśli i słowa, a tu czas naglił; kardynał mógł " fałszywie wytłumaczyć jego milczenie. Biedny człowiek otworzył usta i powiedział:

— No chyba.

Nic więcej jakoś nie chciało mu przyjść na myśl. Fakt ten napelnił go uczuciem upokorzenia, nie tylko w owej chwili; do końca życia przykre to wspomnienie psuło mu radość doznanego zaszczytu. Ileż razy, kiedy wracał myślą do tej chwili, znajdował jak na złość mnóstwo słów znacznie odpowiedniejszych od tego niedorzecznego „No chyba.” Ale jak mówi stare przysłowie, mądrości poniewczasie pełne są groby.

— Błogosławieństwo Pana niechaj spłynie na ten dom — rzekł odchodząc kardynał. Tegoż jeszcze wieczora zapytał proboszcza, jaki widziałby godziwy sposób wynagrodzenia tego człowieka, na pewno niebogatego, za tę gościnę, niewątpliwie zbyt kosztowną na te ciężkie czasy. Proboszcz odpowiedział, że prawdę mówiąc, ani zarobki, jakie dawało krawieckie rzemiosło, ani to, co przynosiły nieduże kawałki pola, nie pozwoliłoby w tym głodowym roku krawcowi na podobną hojność; że jednak w poprzednich latach zdołał on sobie coś niecoś odłożyć, tak że obecnie zaliczał się do najzamożniejszych w okolicy, mógł więc sobie pozwolić na ten wydatek bez większego uszczerbku i na pewno czynił to ze szczerego serca. Zresztą, o tym, żeby zgodził się przyjąć jakąś zapłatę, nie mogło być mowy.

— A może — rzekł kardynał — ma jakie należności u ludzi, którzy mu ich spłacić nie mogą?

— Ach, wasza przewielebność! Ci biedacy płacą tym, co im po zbiorach zostanie; w ubiegłym roku nie zostało im nic, a w tym nikomu nawet na to, co najkonieczniejsze, nie starczy.

— Zatem — rzekł Federigo — biorę, na siebie wszystkie te długi. Książdz uczyni mi tę przyjemność, weźmie od niego spis należności i zapłaci na mój rachunek.

— Będzie to pewnie niemała suma.

— Tym lepiej; zawsze jeszcze zostaną, niestety, ci najbardziej potrzebujący, którzy nie mają długów, bo nie znajdują kredytu.

— Ech, cóż robić? Pomaga się, ile można; ale jakże wszystkiemu dać radę w takich ciężkich czasach?

— Niech książdz powie krawcowi, żeby ubrał ich wszystkich na mój rachunek, i proszę nie poskąpić zapłaty. Prawdę mówiąc, w takim roku jak obecny zdaje mi się kradzieżą obracać pieniądze na cośkolwiek prócz chleba. Ale to jest wyjątkowy wypadek.

Zanim zamkniemy dzieje tego dnia, wypada jeszcze opowiedzieć czytelnikom o tym, jak go zakończył Bezimienny. Tym razem nowina o jego nawróceniu wyprzedziła go w drodze do doliny. Rozprzestrzeniła się błyskawicznie, wywołując powszechne oszołomienie, niepokój, strapienie i gniewne pomruki. Pierwszym zaraz napotkanym bravim czy sługom (różnica między nimi w gruncie rzeczy nie istniała) Bezimienny skinieniem nakazał iść za sobą; tak samo postępował dalej, tak że ciągnęła się za nim coraz liczniejsza drużyna, w niezmiennym posłuszeństwie, choć z nowym zgoła niepokojem.

Przybywszy do zamku, tak samo zwołał stojących u bramy wartowników; wjechał na pierwszy dziedziniec, zatrzymał się pośrodku i nie zsiadając z konia wydał donośny okrzyk; był to znany wszystkim zew, na który każdy, kto go słyszał, obowiązany był niezwłocznie się stawić. W jednej chwili rozproszeni po zamku słudzy zbiegli się na wezwanie i przyłączyli do tych, którzy już czekali na dziedzińcu; wszyscy w napięciu wpatrywali się w swego pana.

— Idźcie do wielkiej sali i czekajcie tam na mnie — powiedział. Z wysokości swego wierzchowca patrzył, jak odchodzili. Następnie zsiadł, odprowadził muła do stajni i poszedł tam, gdzie go oczekiwano. Panował wielki gwar, ale z pojawieniem się pana ucichł natychmiast. Wszyscy zgromadzeni skupili się w jednym końcu sali, pozostawiając ogromną przestrzeń wolną; było ich około trzydziestu.

Bezimienny podniósł rękę, jakby dla utrwalenia tej na

głej ciszy. Uniósł głowę górując wzrostem nad całą drużyną i przemówił:

— Słuchajcie wszyscy i nikt niechaj się nie odzywa nie pytany. Dzieci! Droga, którą kroczyliśmy dotychczas, wiedzie na dno piekła. Nie mówię tego gwoli potępienia was — ja, którym stał na czele, ja, ze wszystkich najgorszy. Ale usłyszcie, co mam wam do powiedzenia. Bóg miłosierny przemówił do mnie, nakazał mi odmienić życie i ja je odmienię; już je odmieniłem; obyż stało się tak z wami wszystkimi! Wiedźcie zatem i zapamiętajcie, że postanowiłem umrzeć raczej aniżeli uczynić coś na przekór świętym prawom boskim. Zwalniam was wszystkich i każdego z osobna z wszelkich niegodziwości, jakie wam nakazywałem. Rozumiecie mnie? Zakazuję wam uczynić cokolwiek z tego, co wam uprzednio nakazałem. I wiedźcie także, że od tej chwili nikt nie będzie mógł popełnić złego czynu w mojej służbie czy zasłaniając się moim imieniem. Kto chce zostać na takich warunkach, będzie dla mnie jak syn. Rad powitam taki dzień, w którym zaznam głodu dlatego, by nakarmić ostatniego spośród was ostatnim kawałkiem chleba, jaki mi zostanie. Kto nie chce, będzie mu wypłacone, co mu się należy, i otrzyma jeszcze coś ponadto; będzie mógł odejść; ale więcej nie postanie tu jego noga, chyba że zechce on także odmienić życie: w takim razie zawsze będzie przyjęty z otwartymi ramionami. Pomyślcie nad tym tej nocy; jutro rano zawołam kolejno każdego z was, aby mi dał odpowiedź. Wtedy też wydam wam nowe rozkazy. Teraz rozejdźcie się, każdy na swoje miejsce. Oby Bóg, który tyle mi okazał miłosierdzia, zesłał wam dobrą radę.

Skończył, a wszyscy obecni trwali w milczeniu. Jakkolwiek we wszystkich tych mózgownicach aż zawrzało od bezładnych, niespokojnych myśli, na zewnątrz nie objawił się najlżejszy bodaj ślad tego. Przywykli od dawna przyjmować głos swego pana jako wyraz woli, której tylko ślepo ulec było można: głos ten oznajmił im, że wola

została odmieniona, nic jednak nie wskazywało na to, by osłabła. Nikomu z tych ludzi przez myśl nie przeszło, by można było się temu głosowi przeciwstawić, odpowiadać jak każdemu innemu człowiekowi, dlatego tylko, że pan ich nawrócił się.

Patrzyli na niego jak na świętego, ale z tych świętych,

których się maluje z podniesioną głową i mieczem w dłoni.

Oprócz strachu żywili oni względem niego (ci zwłaszcza, którzy urodzili się już jako jego poddam, a takich była większość) pewne służalcze, pokorne przywiązanie. Poza tym wszyscy darzyli go niezmiernym podziwem. W jego obecności odczuwali to jakieś dziwne zażenowanie, jakiego najbardziej nieokrzesani zarozumialcy doznają w obliczu uznanej przez siebie wielkości. To, co usłyszeli teraz z ust swego pana, było wprawdzie dla ich uszu nienawistne, ale nie brzmiało ani fałszywie, ani nawet obco. Jeżeli setki razy szydzili z tych spraw, to nie dlatego, że w nie nie wierzyli, ale żeby szyderstwem obronić się przed lękiem, który zajrzałby im w oczy, gdyby o tych rzeczach zaczęli myśleć poważnie. Oto ujrzeli na własne oczy, jak ów lęk podziałął na ducha tak silnego jak duch ich pana; i nie było wśród nich ani jednego, którego by silniej lub słabiej, przelotnie lub trwale nie opanował ten sam lęk. Dodajmy, że ci spośród nich, którzy, wyszedłszy tego ranka poza obręb doliny, wcześniej od swoich kamratów usłyszeli wielką nowinę, byli zarazem świadkami niezmiernej radości zgromadzonych tłumów, widzieli, jak nienawiść i strach, otaczające z dawna Bezimiennego, zmieniają się w miłość i cześć. Tak więc w człowieku, na którego zawsze dotychczas spoglądali, jeśli można tak się wyrazić, od dołu ku górze, mimo że oni sami stanowili w znacznej mierze jego siłę, ujrzeli teraz przedmiot podziwu i bożyszcze tłumów. Widzieli go nadal wyniesionego wysoko ponad ogół, niemniej niż przedtem, choć zgoła inaczej; zawsze na czele, nigdy na równi ze zwykłymi śmiertelnikami. Trwali więc w rozterce, oszołomieni, niepewni jeden drugiego, a każdy nawet samego siebie. Jedni się trąpili, inni zastanawiali, dokąd by się udać, gdzie szukać schronienia i służby. Jeszcze inni zadawali sobie pytanie, czy byłiby zdolni przystosować się i przekształcić w uczciwych ludzi. Niektórzy, uderzeni przemową pana, czuli nawet pewną po temu skłonność. Byli wreszcie i tacy, którzy, nic nie przesądzając o przyszłości, zamierzali obiecać i jeść na razie ten chleb z serca im ofiarowany, tak trudny gdzie indziej do zdobycia, zyskując w ten sposób na czasie. Nikt nie odezwał się słowem. A kiedy Bezimienny, skończywszy mówić, władcym ruchem dłoni dał im znak do rozejścia się, wy

sunęli się z sali cichutko, jeden za drugim, niby stado owiec. W ślad za nimi wyszedł i pan zamku. Stanąwszy na środku dziedzińca patrzył spokojnie w gasnącym świetle dnia, jak każdy z nich wraca na wyznaczone mu miejsce. Następnie przyniósł z góry latarnię, obszedł z nią dziedziniec, korytarze, sale, obejrzał wszystkie wejścia, a przekonawszy się, że wszędzie jest spokój i porządek, poszedł spać. Tak, spać. Bo bardzo był senny. Nigdy jeszcze chyba nie miał na głowie tylu naraz zawiłych, a nie cierpiących zwłoki spraw, mimo że zawsze raczej ich szukał, niż unikał; a jednak czuł się senny. Wyrzuty sumienia, które odebrały mu sen ubiegłej nocy, nie tylko nie ucichły, ale odzywały się wielkim a srogim, nieubłaganym głosem; a przecież czuł się senny. Cały ład wewnętrzny, całą organizację budowaną w tym małym państewku przez wiele lat z niemałym trudem, zuchwale a niezmordowanie, teraz sam paru słowami naraził na szwank. Nieograniczone posłuszeństwo jego ludzi, ich gotowość na wszystko, ich

wierność żołnierską, na której od tylu lat przywykł polegać — sam z własnej woli obalił. Narzędzia potęgi zamienił w całą górę trudności i kłopotów; w dom swój wprowadził zamęt i niepewność jutra; a jednak czuł się senny. Poszedł do sypialni i zbliżywszy się do tego łóżka, które ubiegłej nocy wydawało mu się pełne kołców, ukląkł przy nim z intencją pomodlenia się. W jakimś odległym, zapomnianym zakątku mózgu odnalazł słowa, które nauczone go wypowiadać w dzieciństwie. Wysnuwały się jedno za drugim, niby z kłębka, w którym od wielu lat tkwiły ściśnięte i przyduszone. Bezimienny doznawał przy tym jakiejś przedziwnej mieszaniny nieokreślonych uczuć. Ten nawrót do przyzwyczajenia z lat dziecięcych napawał go ogromną słodyczą, ostrym zaś bólem przejmowała świadomość tego, jak głęboką przepaść wykopał pomiędzy obecnym a tamtym minionym czasem. Z żarliwością myślał o odbudowaniu własnego sumienia drogą dobrych uczynków i pokuty, o zbliżeniu się jak największym do stanu niewinności, do którego powrót był już dla niego zamknięty. Wreszcie czuł wdzięczność oraz ufność w owo miłosierdzie, które przecież mogło doprowadzić go wszędzie, skoro już tyle mu dało widomych znaków swojej woli. Podniósł się z klęczek, położył do łóżka i zasnął natychmiast.

Tak zakończył się ów dzień, głośno sławiony jeszcze w czasie, kiedy nasz anonim spisywał jego dzieje. Gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy nic o tych wypadkach, w każdym razie nic bliższego. Zarówno bowiem Ripamonti, jak Rivola (cytowani już wyżej) mówią tylko tyle, że po rozmowie z Federigiem ów głośny tyran odmienił z gruntu i na zawsze swe życie. Zresztą, iluż ludzi czytało książki obu tych pisarzy? Nie tylu nawet, ilu przeczyta tę oto naszą. Nie jest nawet pewne, czy ktoś, kto lubi i umie szperać w tradycjach, zdołałby znaleźć w dolinie u stóp zamku jakieś strzępy związanej z tymi wydarzeniami legendy. Tyle nowych rzeczy zrodziło się od tej pory!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nazajutrz wsi Lucji i w całym okręgu Lecco nie mówiono o niczym innym tylko o Bezimiennym, o arcybiskupie i o kimś trzecim jeszcze, kto choć lubił na ogół, by o nim było głośno, w tym wypadku wołałby się obejść bez rozgłosu: mowa tu o don Rodrigu.

Nie znaczy to, że do tej pory ludzie nie mówili o jego sprawkach, ale były to rozmowy dorywcze i raczej sekretne; trzeba było znać się z kimś bardzo blisko, żeby się odzywać na podobne tematy. Nie wkładano też w te rozmowy tyle gwałtownych uczuć, ile, zdawałoby się, mógłby budzić w ludziach przedmiot tego rodzaju. Bo ludzie, na ogół biorąc, jeżeli nie mogą się wypowiedzieć spokojnie bez narażania się na niebezpieczeństwo, nie tylko mniej uzewnętrzniają swoje uczucia zamykając je głęboko w sercu, ale rzeczywiście doznają ich z mniejszą siłą. Ale teraz któż umiałby się powstrzymać od głośnego i wszechstronnego omawiania wydarzenia tak niezwykłego i w którym dwie tak wysoko postawione osoby odegrały dodatnią rolę? Jedna, w której umiłowanie sprawiedliwości łączyło się z rozległą władzą i autorytetem moralnym; druga wydawała się ludziom wcieloną pychą, która się ukorzyła, zawadiactwem, które złożyło broń i stanęło po stronie pokoju. W tym zestawieniu don Rodrigo nie był już taki wielki.

Teraz wszyscy jasno zobaczyli, do czego prowadzi prześladowanie niewinności i próby jej pohańbienia; prześladowanie tak uparte, bezwstydną, uciekające się do gwałtów i ohydnych zasadzek. Przy tej sposobności

wspominano i rozpatrywano różne dawne wyczyny tego wielmoży, a każdy wypowiadał śmiało, co o nich sądzi, ośmielony poczuciem, że wszyscy dokoła myślą to samo. W okolicy aż

wrzało, ludzie szemrali złowrogo, jednak tylko z daleka, ze względu na siłę zbrojną, jaką się ów tyran otaczał. Niemała część powszechnej nienawiści spadała też na jego przyjaciół i dworaków. Nie szczędzono im pana podesty, całkowicie głuchego, ślepego i niemego, ilekroć chodziło o wybryki tego tyra. Ograniczano się jednak do wymyślania nań z daleka, bo choć nie miał drużyny bravich, miał za to swoich zbirów. Jeśli chodzi o doktora Azzecagarbugli, który miał do obrony tylko język i zdolność do intryg, oraz o innych dworaków i pochlebców jego pokroju, nie krępowano się tak dalece, pokazywano ich wręcz palcami i rzucano im złowróźbne spojrzenia, tak że nawet uznali za rozsądne nie pokazywać się publicznie przez czas pewien.

Don Rodrigo, zupełnie oszołomiony tą nowiną, tak niespodziewaną, tak dalece różną od oczekiwanej z dnia na dzień, z godziny na godzinę, pomyślniej wiadomości, zamknął się w swoim zamku sam ze swoją hultajską drużyną; gryzł się tam bezsilną wściekłością przez dwa dni; trzeciego zaś dnia wyruszył do Mediolanu.

Gdyby chodziło tylko o to, że ludność szemrze przeciwko niemu, zostałyby prawdopodobnie na miejscu; zostałyby umyślnie, by stawić czoło burzy, i skoro rzecz zaszła już tak daleko, samemu poszukać okazji ukarania kogoś spośród najzuchwalszych, dając odstraszący przykład pozostałym. Wypłoszyła go dopiero wiadomość, że kardynał zamierza odwiedzić i tę okolicę. Nie ulegało wątpliwości, że hrabiastryj, który z całej tej sprawy wiedział tyle, ile mu opowiedział Attilio, uznałby w tej sytuacji za konieczne, aby Rodrigo grał główną rolę w podejmowaniu kardynała i nawzajem doznał od niego publicznych objawów należytego szacunku. Otóż łatwo sobie wyobrazić, jakby to w rzeczywistości wyglądało. A hrabiastryj żądałby nie tylko udziału bratanka w uroczystościach, ale i szczegółowego sprawozdania z ich przebiegu. Była to bowiem niecodzienna sposobność przekonania się, jak wysoko władze kościelne cenią sobie ich znakomitą rodzinę. Chcąc zatem, uwolnić się od tak kłopotliwego zadania, don Rodrigo zerwał się pewnego ranka przed wschodem słońca i wsiadł do karocy; bravi z Grisem na czele trzymali straż po bokach, przed i za karocą. Rozkazawszy, żeby reszta służby wyruszyła za nim później, don Rodrigo puścił się w drogę

czując, że właściwie ucieka. Jeśli wolno użyć tu tak historycznego porównania, don Rodrigo uciekał jak niegdyś Katyliną z Rzymu, ziejąc złością i przysięgając, że niebawem powróci zgoła inaczej i pomści się wtedy za wszystko. Tymczasem kardynał odwiedzał co dzień inną parafię okręgu Lecco. W dniu, kiedy miał przybyć do parafii Lucji, większość mieszkańców wyległa zawczasu na drogę, chcąc go powitać. U wejścia do wsi, tuż obok domku naszych dwóch znajomych kobiet, ustawiono bramę triumfalną — słupy połączone u góry poprzecznymi drągami. Wszystko owinięte słomą i mchem, przystrojone zielonymi gałęzmi ostrokrzewu z gronami szkarłatnych jagód; fasada kościoła ozdobiona była makatami; z okien domów zwisały serwety, prześcieradła, nawet powijaki niemowlęce w postaci wspaniałych festonów i draperii: jednym słowem, ubogie przedmioty codziennego użytku z większym lub mniejszym powodzeniem tworzyły złudzenie zbytku. Około godziny dwudziestej drugiej, na którą zapowiedziane było przybycie kardynała, wyruszyli na jego spotkanie także ci wszyscy, którzy do tej chwili pozostawali w domu — starcy, matki z dziećmi — to szeregami, to grupkami; na czele kroczył don Abbondio, posępny pośród powszechnej radości. Gwar go

oszałamiał, a mrowiący się dokoła niego tłum przyprawiał go, jak twierdził, o zawrót głowy. Poza tym gryzł go niepokój, czy kobiety nie wygadały się przed arcybiskupem i czy nie przyjdzie mu jeszcze tłumaczyć się z niedoszłego ślubu.

Kardynał ukazał się wreszcie; mówiąc ściślej, ukazał się zwarty tłum, wewnątrz którego znajdował się on w lektyce otoczony swoim orszakiem. Miejsce to można było poznać po jednej jedynej rzeczy górującej nad ciżbą — po krzyżu niesionym wysoko przez jadącego na mule kapelana. Tłum ciągnący za don Abbondiem rzucił się teraz w zamieszaniu i pośpiechu naprzeciw kardynała. Proboszcz, powtórzywszy kilkakrotnie, a bez najmniejszego skutku:

— Powoli, spokojnie, szeregiem, co robicie? — zawrócił urażony mruczając: — Ależ narobili zamętu, ależ narobili zamętu — wszedł do, kościoła, zupełnie na razie pustego, i tam oczekiwał zwierzchnika.

Kardynał posuwał się naprzód, błogosławiąc tłum ręką i nawzajem odbierając błogosławieństwa, jakimi obsypywali go cisnący się ku niemu ludzie, których ci z orszaku

kardynała na próżno starali się utrzymać w pewnej odległości. Mieszkańcy ojczystej wioski Lucji uważali, że powinni uczcić arcybiskupa inaczej jakoś i piękniej niż ludność innych wsi. Nie było to jednak łatwe, gdyż taki już był obyczaj, że wszędzie, dokąd on przybywał, ludność przechodziła samą siebie w objawach czci i radości. Jeszcze na samym początku swego pontyfikatu, kiedy po raz pierwszy wstępował uroczysto do katedry, gwałtowny napór tłumu zagrażał wręcz jego życiu; kilku ze szlachty stojących w pobliżu musiało dobyć szpad i zagrozić ich użyciem. Tyle było dzikości i gwałtowności w obyczajach owych czasów, że nawet przejawy entuzjazmu wobec biskupa i w kościele niedalekie były od zabójstwa, tak samo zresztą jak próby ich łagodzenia. Może nawet nie wystarczyłyby owe wydobyte szpady, gdyby mistrz ceremonii, Clerici, i jego pomocnik Picozzi, młodzi księża o nie byle jakiej tężyznie ciała i duszy, nie pochwycili arcybiskupa i nie ponieśli na wyciągniętych w górę ramionach od drzwi katedry aż przed wielki ołtarz. Od tej pory kardynał odbył bardzo wiele wizytacji, a. w czasie każdej z nich tę chwilę wejścia do kościoła można było bez żartów zaliczyć do najcięższych jego obowiązków pasterskich, czasem nawet do najniebezpieczniejszych. Również i tym razem wszedł do kościoła nie bez trudu; zbliżył się do wielkiego ołtarza i pogrążył na chwilę w modlitwie, a następnie wygłosił wedle swego zwyczaju krótkie kazanie do licznie zgromadzonych ludzi. Mówił o swojej do nich miłości, o swoim pragnieniu zbawienia dla nich i o tym, jak powinni się przygotować do jutrzejszych uroczystości. Po kazaniu udał się na plebanię i zagłębił się w rozmowę z proboszczem na rozmaite tematy — między innymi zapytał go, co sądzi o Renzu. Don Abbondio odpowiedział, że jest to młodzieniec nieco porywczy, nieco uparty, skłonny również do gniewu. Ale na bardziej szczegółowe i docieklive zapytania zmuszony był przyznać, że to człowiek uczciwy i że on sam pojąć nie może, jak to się stało, że wówczas w Mediolanie dopuścił się takich występków, o jakich wieść tu doszła.

— A co się tyczy dziewczyny — rzekł kardynał — czy ksiądz sądzi, że teraz mogłaby spokojnie powrócić do swego domu?

— W tej chwili — odpowiedział don Abbondio — może

wrócić i być tu, jeśli chce. Mówię jednak: w tej chwili. Bo niestety — dodał z westchnieniem — trzeba by, aby wasza przewielebność był zawsze tutaj albo przynajmniej w pobliżu.

— Bóg jest zawsze blisko — rzekł kardynał. — Zresztą, pomyślę o bezpiecznym dla niej schronieniu.

I natychmiast wydał polecenie, aby nazajutrz wczesnym rankiem wysłano po obie kobiety lektykę z eskortą.

Don Abbondio wyszedł po tej rozmowie bardzo zadowolony, że kardynał mówił z nim o dwojgu młodych, nie pytając wcale o to, dlaczego odmówił im ślubu. „Najwidoczniej nic o tym nie wie — myślał sobie. — Agnese nie wygadała się! To istny cud! Prawda, że jeszcze się tu spotkają; ale udzielimy jej przestroż i pouczeń, o, tak, udzielimy!” Nie domyślał się, biedaczysko, że Federigo nie wspomniał nic o tej sprawie dlatego właśnie, że zamierzał pomówić o niej wyczerpująco w spokojniejszej chwili. Chciał też usłyszeć i rozważyć jego racje, zanim mu udzieli zasłużonej nagany..

Troska dobrego biskupa o bezpieczne schronienie dla Lucji okazała się zbędna. Od czasu, kiedy się z nią widział, zaszły pewne okoliczności, które wypada nam tu opowiedzieć.

Podczas kilkudniowego pobytu w gościnnym domku krawca obie kobiety podjęły w miarę możliwości swój dawny tryb życia. Lucja poprosiła, by jej dano coś do roboty,

i tak jak przywykła w klasztorze, szła pilnie w ustronnej izdebce, z dala od ludzkich oczu. Agnese trochę chodziła po wsi, trochę pracowała razem z córką. Rozmowy, jakie przy tym prowadziły, były tym smutniejsze, im bardziej serdeczne. Przygotowane były na nowe rozstanie, jako że owcy niedobrze jest przebywać w tak bliskim sąsiedztwie wilczej nory. Kiedy i jaki będzie koniec tego rozstania? Przyszłość leżała przed nimi ciemna i zawila, zwłaszcza przed jedną z nich. Agnese pocieszała się w myśli, jak umiała, snując obrazy pomyślniejszej przyszłości: Renzo, jeżeli nie spotkało go jakieś nieszczęście, musi przecież już wkrótce dać znać o sobie; zapewne znalazł sobie pracę i jakoś się urządził, jeżeli więc (a jakże w to wątpić?) zamierza dotrzymać swoich zobowiązań, czemuż one nie miałyby udać się tam, gdzie on przebywa, i zostać tam już razem z nim?

Roztaczała te swoje nadzieje i plany przed córką wciąż na nowo i nie wiem, czy dotkliwszym bólem przejmowało Lucję słuchanie tego, czy więcej trudności sprawiała konieczność odpowiadania. Wciąż jeszcze trzymała swoją tajemnicę zamkniętą głęboko w duszy. Chociaż dręczyła ją świadomość, że oszukuje, i to nie po raz pierwszy, tę matkę tak dobrą, przecież od wyznania powstrzymywało ją nieprzewyciężone uczucie wstydu i obawy, o których wspomnieliśmy już wyżej. Plany Lucji były bardzo dalekie od planów jej matki: raczej należałoby powiedzieć, że Lucja nie robiła żadnych planów, zdając się całkowicie na Opatrzność. Starła się odwracać rozmowy z matką w innym kierunku, starała się kłaść im kres dając nieokreślone, ogólnikowe odpowiedzi: że nie ma już ani nadziei, ani pragnień w stosunku do niczego na tym świecie, poza tym jednym, żeby połączyć się znowu z matką; najczęściej w takich chwilach płacz tłumiał jej dalsze słowa.

— Wiesz, dlaczego ci się tak wydaje? — mówiła Agnese. — Tyleś przecierpiała, że teraz trudno ci uwierzyć, by wszystko mogło się na dobre obrócić. Ale zaufaj Bogu. A jeżeli... Zobaczysz, niech jeno mały promyczek nadziei nam zabłyśnie, na pewno nie będziesz mówiła, że niczego już nie pragniesz.

Lucja całowała matkę i płakała.

Pomiędzy nimi dwiema a ich gospodarzami bardzo prędko nawiązała się wielka przyjaźń, bo i gdzież miałyby się rodzić przyjaźń, jeśli nie między dobrodziejami a tymi, którzy dobrodziejstw na sobie doznali, o ile jedni i drudzy są ludźmi poczciwymi? Agnese zwłaszcza gawędziła bez końca z gospodynią. Krawiec dostarczał im też rozrywki swymi opowieściami i naukami moralnymi. Zwłaszcza przy obiedzie miał zawsze coś ciekawego do opowiedzenia, jakiś czyn Buova d'Antona albo coś o świętobliwych ojcach pustelnikach.

Niedaleko od tej wioski przebywała na wywczasach w swej posiadłości nader szacowna para: don Ferrante i donna Prassede. Familia — jak ich zazwyczaj nazywa nasz anonim. Donna Prassede była starą szlachcianką, wielce zamiłowaną w dobroczynności; zajęcie to bodaj najgod

niejsze ze wszystkich, jakie człowiek może uprawiać, ale też łatwo je zepsuć jak każde inne. Chcąc czynić dobro, trzeba je znać; a poznać je można jak wszystko inne pośród przeżywanymi namiętności, wytwarzając sobie o nich sąd własny przy pomocy myśli. Myśli zaś bywają często — ot, takie, jakie się nadarzą. Co się tyczy myśli donny Prassedy, rzecz miała się z nimi tak, jak, zdaniem niektórych, jest z przyjaciółmi: im mniej, tym lepiej. Za to do tych niewielu poglądów, jakie miała, przywiązana była ogromnie; szkoda, że jak na tę ilość, sporo tam było zupełnie fałszywych, a nie można niestety powiedzieć, że te były jej mniej drogie od innych. Zdarzało się więc zacnej matronie albo uznawać za dobro coś, co nim zgoła nie było, albo używać w swym działaniu środków zdalnych raczej do osiągnięcia celu wprost przeciwnego, lub takich, które wydawały się jej godziwe, a wcale takimi nie były; wynikało to z niezupełnie jasnego przekonania, że kto czyni więcej, niż mu nakazuje obowiązek, może też czasem zrobić więcej niż to, do czego miałby prawo. Zdarzało się jej również nie dostrzegać w rzeczach tego, co w nich było istotnego, dopatrywać się natomiast tego, czego w nich wcale nie było; to i wiele innych podobnych błędów może się zdarzyć i zdarza się każdemu, nie wyłączając najlepszych; ale donnie Prassedzie zdarzały się one często, a czasem nawet wszystkie naraz. Dowiedziawszy się o niezwyklej przygodzie Lucji i usłyszawszy wszystko, co się przy tej okazji o niej mówiło, zacna dama poczuła zaciekawienie i chęć zobaczenia jej na własne oczy. Wysłała więc karetę ze starym rękodajnym, polecając mu przywieźć matkę i córkę. Lucja nie miała ochoty jechać i prosiła krawca, który przyszedł do niej z tą propozycją, żeby znalazł jakiś sposób usprawiedliwienia jej. Dopóki chodziło o poczciwych biednych ludzi, koniecznie chcących poznać dziewczynę, która doświadczyła cudu, krawiec chętnie oddawał jej tę przysługę, w tym jednak wypadku odmowa wydawała mu się czymś wręcz buntowniczym. Toteż póty tłumaczył, perswadował, wykrzykiwał, że tak się nie robi, że to znakomita rodzina, a wielkim panom nie wolno mówić: „Nie”, że nie należy odtrącać szczęścia, że zresztą donna Prassede to święta kobieta, i wiele jeszcze podobnych wysuwał argumentów, aż wreszcie Lucja musiała ulec. Tym bardziej że matka

potwierdzała wszystkie te perswazje pełnym przekonaniem: „No pewnie, pewnie.”

Kiedy stały się przed ową damą, ona powitała je bardzo uprzejmie, zasypała gratulacjami, pytaniami, radami. Wszystko to czyniła z pewną przyrodzoną wyższością, ale tak dalece złagodzoną uprzejmością, troskliwością i wesołym żartem, że Agnese od razu niemal, Lucja zaś w niedługim czasie pozbyły się przykrego onieśmienia, jakim je w pierwszej chwili napęliła dostojna postać donny Prassedy, a nawet zaczęły dostrzegać w tym dostojństwie pewien urok.

Słyszając, że kardynał zamierza poszukać dla Lucji bezpiecznego schronienia, donna Prassede zapalała chęcią przyjścia mu z pomocą, a raczej uprzedzenia go w tej szlachetnej trosce, i ofiarowała się wziąć dziewczynę do swego domu, gdzie nie miałaby żadnej określonej funkcji, mogłaby tylko w miarę chęci pomagać innym niewiastom w ich zajęciach. Wyłuszczywszy swą propozycję donna Prassede dodała, że sama pomyśli o zawiadomieniu o tym monsignora. Oprócz niewątpliwej i bezpośredniej korzyści, jaką ten projekt miał przynieść Lucji, donna Prassede widziała w nim cel jeszcze inny, może nawet donioślejszy: uratować wykojejoną duszę, zaprowadzić na właściwą drogę kogoś, kto, jej zdaniem, bardzo tego potrzebował. Bowiem od pierwszej chwili, kiedy usłyszała dzieje Lucji, nabrała przekonania, że dziewczyna, zdolna zaręczyć się z takim nicponiem, buntownikiem, szubienicznikiem — musi mieć jakąś wadę, jakiś grzech ukryty. Powiedz mi, z kim przestajesz, powiem ci, kim jesteś. Spotkanie z Lucją utwierdziło ją w tym przekonaniu. Nie znaczy to, że nie wydała jej się ona w gruncie rzeczy dobrą dziewczyną; ale jednak dużo dałoby się tu powiedzieć. Ta spuszczone główka, ten podbródek jak przygwożdżony do szyi, to milczenie — albo suche, krótkie,

jakby wymuszone odpowiedzi — wszystko to mogło wypływać z zawstydzenia, ale wskazywało też na niewątpliwy upór. Nietrudno było odgadnąć, że w tej główce tkwią jakieś własne widzimisię. A te rumieńce raz po raz bijące na jej twarz, a te tłumione westchnienia... czy wreszcie, które donnie Prassedie zgoła się nie podobały. Była tak przekonana, jakby się tego dowiedziała z najpewniejszego źródła, że wszystkie niedole Lucji były

karą boską za jej uczucia względem tego nicponia i ostrzeżeniem, że powinna odejść od niego zupełnie. Zważywszy to wszystko, zacna dama postanowiła przyłożyć rękę do zbożnego dzieła. Bowiem — jak zwykła była wmawiać innym i sobie samej — wszystkie jej wysiłki szły zawsze w kierunku dopomagania Niebu w jego zamierzeniach: zdarzało się jej jednak popełniać grube omyłki, brać mianowicie za Niebo własny mózg.

Rzecz prosta, że o tym drugim doniosłym celu nie wspomniała ani słowem i baczyła pilnie, żeby się niczym nie zdradzić. Trzymała się bowiem zasady, że aby jakiś plan mający na celu dobro bliźnich mógł się powieść, w pierwszym rzędzie w ogromnej większości wypadków dbać należy o to, żeby zainteresowani nic o tym planie nie wiedzieli.

Matka i córka popatrzyły na siebie wzajem. Wobec bolesnej konieczności rozstania propozycja wydała się im obu korzystna, już chociażby ze względu na tę większą posiadłość leżącą tak blisko ich wioski: w najgorszym razie tam mogłyby się spotkać za najbliższym wyjazdem państwa na wieś. Wyczytawszy nawzajem w swoich spojrzeniach zgodę, obie zwróciły się do donny Prassedy, z wdzięcznością przyjmując jej propozycję; dobroczynna matrona znowu obsypała je pełnymi uprzejmości obietnicami i oświadczyła, że niezwłocznie prześle im list dla doręczenia monsignorowi.

Po odjeździe Lucji z matką donna Prassede poleciła napisanie owego listu don Ferrantowi, który jako człowiek pióra (o czym szczegółowo powiemy dalej) służył jej w ważnych okazjach za sekretarza. W tym wypadku don Ferrante przywołał na pomoc całą swoją wiedzę, a wręczając małżonce brulion do przepisania polecił jej gorąco kwestię ortografii; była to jedna z wielu dziedzin jego studiów, a jedna z niewielu, co do których miał w domu głos decydujący. Donna Prassede przepisała list z całą starannością i wysłała go niezwłocznie do domu krawca. Było to na dwa czy trzy dni przedtem, zanim kardynał posłał lekturę, którą obie kobiety miały wrócić do swojej wsi.

Przybywszy tam wysiadły przed plebanią, gdzie znajdował się kardynał. Pierwszy zobaczył je kapelan, a że miał polecenie wprowadzenia ich natychmiast, zatrzymał je tylko tyle, ile uważał za konieczne dla udzielenia im na

prędce paru rad dotyczących ceremoniału, jakiego w obecności monsignora należało przestrzegać, a zwłaszcza należytego tytułowania go w rozmowie. Kapelan czynił tak zawsze, jeżeli tylko udało mu się uchwycić stosowną chwilę bez wiedzy kardynała. Dla biednego kapelana była to nieustająca udręka patrzeć na gorszący chaos, jaki w tej dziedzinie panował w otoczeniu kardynała.

— Wszystko to — mawiał zatroskany do innych domowników — przez nadmierną dobroć tego świętego człowieka. Przez tę jego niesłychaną familiarność.

I dodawał, że zdarzało mu się słyszeć na własne uszy, jak na pytania kardynała odpowiadano: „Tak, messer; nie, messer.”

Kardynał omawiał właśnie z don Abbondiem sprawy parafialne; tak więc proboszcz nie miał możliwości udzielić przybyłym także i ze swej strony pewnych przestróg, tak jak to sobie zawczasu układał. Jedyne mijając je w drzwiach, kiedy one wchodziły, a on opuszczał pokój", wymownym spojrzeniem dał im znak, że jest z nich zadowolony, a także, żeby były rozsądne i nie wygadały się i nadal.

Po uprzejmym powitaniu z jednej strony i głębokich ukłonach z drugiej Agnese wydobyła z zanadru list i wręczyła go kardynałowi mówiąc:

— Od wielmożnej pani Prassedy, która powiada, że dobrze zna waszą przewielebność; jako to wszyscy wielcy państwo znają się między sobą. Jak monsignore przeczyta, to zobaczy.

— Dobrze — rzekł kardynał przeczytawszy list i wyciągnąwszy nektar sensu z bujnego kwiecica stylu don Ferranta. Znał ten dom na tyle, by mieć pewność, że Lucję zapraszają tam w dobrej intencji i że będzie tam bezpieczna przed zakusami swego prześladowcy. Co sądził o rozumie donny Prassedy, nie jest nam dokładnie wiadomo.

Prawdopodobnie nie była ona osobą, którą on sam wybrałby w tym celu; ale jak to już poprzednio daliśmy do zrozumienia, nie miał on zwyczaju zmieniania biegu rzeczy do niego nie należących, po to, by je po swojemu poprawiać.

— Znieście z pogodą to nowe rozstanie i niepewność waszego położenia — dodał. — Ufajcie, że skończy się ono rychło; że Pan doprowadzi sprawy wasze do celu, jaki

im wytknął, i wiercie, że cokolwiek On zechce, to będzie dla was najlepsze.

Obdarzywszy je jeszcze, w szczególności Lucję, serdecznymi słowami otuchy, pobłogosławił obie i pożegnał. Zaledwie znalazły się za drzwiami plebanii, otoczył je istny rój przyjaciół obojga płci; można by rzec, że cała gmina oczekiwała na nie na drodze i odprowadziła do domu niby w tryumfalnym pochodzie. Kobiety prześcigały się w wyrażaniu radości, współczucia, w rozpytywaniu o wszystko. Wiadomość, że Lucja nazajutrz znowu odjeżdża, powitały żalnymi okrzykami. Mężczyźni na wyścigi ofiarowywali się trzymać tej nocy straż dokoła domku. W związku z tym nasz anonim przytacza przysłowie własnego pomysłu: „Chcesz mieć wielu do pomocy? Staraj się nie potrzebować nikogo."

Tyle objawów zyczliwości oszałamiało Lucję i wprawiało ją w wielkie zmieszanie; co do Agnese, to nie zwykła była przejmować się takimi rzeczami. I Lucji zresztą to gwarne powitanie dobrze zrobiło, odrywając ją od myśli i wspomnień, które nawet w tym wesołym zgiełku budził w niej widok tego progu, tych izdebek, każdego w nich przedmiotu.

. Na głos dzwonu, zwołujący na nabożeństwo, które niebawem miało się rozpocząć, wszyscy ruszyli w kierunku kościoła; był to dla naszych znajomych drugi z kolei marsz triumfalny.

Po skończonym nabożeństwie, kiedy don Abbondio pobiegł sprawdzić, czy Perpetua dobrze przygotowała wszystko do obiadu, kardynał wezwał go do siebie. Proboszcz stawiał się natychmiast przed dostojnym gościem.

— Księżę proboszczu — rzekł kardynał, a ton, jakim te słowa były wypowiedziane, pozwalał przypuszczać, że jest to początek długiej i ważkiej przemowy — księżę proboszczu, czemu ksiądz nie udzielił ślubu tej biednej Lucji i jej narzeczonemu?

„Aha, wysypały cały worek dziś rano" — pomyślał don Abbondio i odpowiedział zająkliwie:

— Wasza przewielebność słyszał bez wątpienia, na jakie przeszkody to małżeństwo natrafiło; taki tam powstał zamęt, że jeszcze dziś rozeznac się w nim nie podobna, jak wasza przewielebność wnosić może z tego, że oblubienica po rozlicznych przygodach znajduje się tu cudem niemal,

oblubieniec zaś, po innych perypetiach, nie wiadomo, gdzie przebywa.

— Pytam — podjął kardynał — czy prawdą jest, że zanim jeszcze te wszystkie wypadki nastąpiły, ksiądz odmówił udzielenia ślubu, choć go o to proszono i dzień był wyznaczony? A jeśli tak było, to dlaczego?

— Zaiste... gdyby waszą przewielebność wiedział, jakie groźby... jakie straszliwe zakazy... wzbroniono mi mówić... Urwał zdanie i milczał wymownie, dając z całym szacunkiem do zrozumienia, że domagać się bliższych wyjaśnień byłoby niedyskrecją.

— Ależ — rzekł kardynał z większą niż zazwyczaj powagą w głosie i wyrazie twarzy — to przecież biskup wasz, księżę proboszczu, z obowiązku swego, a gwoź uśprawiedliwienia was, chce się dowiedzieć, z jakiej przyczyny nie spełnił ksiądz tego, do czego był w zwykłej drodze obowiązany.

— Monsignore — rzekł don Abbondio czując się w tej chwili bardzo maleńki — nie chciałem mówić o tym... są to sprawy zawiłe, stare i nie ma na nie rady, sądziłem przeto, że nie warto do nich powracać... ale... ale... pewien jestem, że wasza przewielebność nie zechce zdradzić swego biednego proboszcza... Bo to tak jest, monsignore: wasza przewielebność nie może być wszędzie... a ja tu pozostanę i będę narażony... wszelako, skoro wasza przewielebność rozkazuje, powiem wszystko.

— Proszę mówić: niczego więcej nie pragnę aniżeli przekonać się, że ksiądz tu jest bez winy.

Więc don Abbondio zaczął opowiadać swoją żalną historię; przemilczał tylko najważniejsze nazwisko zastępując je określeniem: „pewien wielki pan”. Było to jedyne ustępstwo na rzecz rozwagi, jakie mógł w tej ciężkiej opresji uczynić.

— I nie było innej przyczyny? — zapytał kardynał, kiedy don Abbondio umilkł.

— Może... może nie opowiedziałem wszystkiego dość jasno — rzekł proboszcz. — Pod groźbą śmierci zabronili mi udzielić tego ślubu.

— Wydało się to księdzu dostateczną racją, by nie spełnić swego niewątpliwego obowiązku?

— Starałem się zawsze spełniać swoje obowiązki, nawet

gdy mi to było bardzo niedogodne... wszelako, kiedy chodzi o życie...

— A kiedy ksiądz postanowił obrać stan duchowny — rzekł Federigo z jeszcze większą powagą w głosie — kiedy wstąpił na służbę Kościoła, czy zapewnił on księdzu bezpieczeństwo życia? Czy głosił, że obowiązki kapłańskie wolne są od trudów i niebezpieczeństw? Że tam, gdzie się zaczyna niebezpieczeństwo, ustaje obowiązek? Czyż Kościół nie głosi zasad wręcz przeciwnych? Czy nie ostrzegał księdza, że będzie posłany jako jagnię pomiędzy wilki? Czy nie wiedział ksiądz o tym, że wielu jest gwałtowników, którym to wszystko, co księdzu zostało powierzone do spełnienia, może się zgoła nie podobać? Czy może Ten, którego naukę głosimy i przykład winniśmy naśladować, na podobieństwo którego pozwalamy się zwać i sami zwiemy się pasterzami — czy może On, zstępując na ziemię, by spełnić tu swoje posłannictwo, postawił za warunek ocalenie życia? Czyliż na to, by ocalić życie, by zachować je o kilka dni dłużej na ziemi kosztem miłosierdzia i obowiązku, potrzeba było świętego namaszczenia, włożenia rąk, łaski kapłaństwa? Dla takiej mądrości, takiej cnoty wystarcza i świeckie życie. Co mówię? O wstydzie! Toż i świat taką mądrość odrzuca!, Świat również ustanawia prawa, oddziela zło od dobra. Ma on swoją ewangelię, ewangelię pychy i nienawiści; w jego oczach miłość życia nie usprawiedliwia łamania nakazów owej ewangelii. Świat nie pozwala na to i umie zmusić do posłuszeństwa. A my? My, dzieci dobrej nowiny i jej głosiciele? Czymże byłby Kościół, gdyby wszyscy jego słudzy tak przemawiali, jak to ksiądz czyni? Dokąd doszedłby Kościół, gdyby z taką nauką pojawił się na świecie?

Don Abbondio słuchał z pochyloną nisko głową. Dusza jego podczas tej przemowy była niby kurczę uniesione w szponach jastrzębia w nieznane regiony, w obce powietrze, jakim nigdy dotychczas nie oddychało. Widząc, że coś należy koniecznie odpowiedzieć, wyjął z wymuszoną uległością:

— Przewielebny monsignore, widzę, że zbłądziłem. Jeżeli życie ma nic nie znaczyć, nie wiem, co mógłbym tu rzec. Ale to wiem, że kiedy się ma do czynienia z takimi, co mają siłę, a nie dają sobie przemówić do rozumu, to choćby człowiek najbardziej udawał chwata, nic na tym

nie zyska. A to jest właśnie taki pan, którego ani pokonać, ani paktować z nim się nie da.

— A tego ksiądz nie wie, że cierpieć dla sprawiedliwości to właśnie jest nasze zwycięstwo? Kto tego nie wie, czego może nauczać? Jakież z niego nauczyciel? Jaką „dobrą nowinę” może głosić biedakom? Któż żąda od księdza, by przemoc zwyciężał przemocą? Nikt nigdy nie zażąda od księdza zdawania sprawy z tego, czy potrafił poskramiać możliwych tego świata. Nie włożono na księdza tego obowiązku ani nie dano środków po temu. Ale trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie, czy za pomocą wszystkich, jakie były do dyspozycji, środków dążył ksiądz do spełnienia tego, co mu do spełnienia powierzono, nawet jeśli jakiś możliwy zuchwalec wzbraniał mu tego.

„Ci święci to szczególnie ludzie — myślał słuchając tego don Abbondio — w gruncie rzeczy, jeżeli sięgnąć do sedna sprawy, więcej ich obchodziły amory dwojga młodych aniżeli życie nieszczęśliwego kapłana.”

Don Abbondio nie miałby nic przeciwko temu, żeby kardynał skończył już swoje kazanie. On jednak najwyraźniej oczekiwał jakiejś odpowiedzi: wyznania, obrony czegokolwiek wreszcie.

— Rzeknę raz jeszcze, monsignore — wybąkał wreszcie proboszcz — zemdlałem... Ale odwagi nikt sobie dać nie może.

— Po cóż zatem, mógłbym zapytać, obrał sobie ksiądz służbę, w której obowiązkiem jest wieczna walka ze świeckimi namiętnościami? Ale powiem raczej: zali nie pomyślał ksiądz o tym, że jeśli w tej służbie, którą wzięłeś na barki, potrzeba do spełnienia obowiązków odwagi, to istnieje wszakże Ktoś, Kto cię nią natchnie niechybnie, byle Go o to poprosić? Czy sądzi ksiądz, że te milionowe rzesze męczenników były z przyrodzenia takie odważne? Że wszyscy ci ludzie nie cenili sobie wcale życia? Ci młodziankowie, co ledwie zaczynali poznawać smak życia, ci starcy smucący się jego bliskim końcem, te dziewczątka, te małżonki i matki? Wszyscy oni mieli odwagę, ponieważ odwaga była im konieczna i ponieważ ufali. Znając własną słabość i swoje obowiązki, czy nie pomyślał ksiądz nigdy o przygotowaniu się do trudnych chwil, które mogły księdza czekać i które rzeczywiście przyszły? Ach, jeżeli przez te wszystkie lata pasterskiej pracy kochał ksiądz (a jakże

przypuścić, że było inaczej?) swoją trzódkę, jeżeli w niej złożył ksiądz swoje serce i swoje troski, jeżeli z niej czerpał radość, nie powinno było zbraknąć księdzu w potrzebie odwagi: miłość nie zna trwogi. Jeśli tedy ksiądz ukochał tych, których zwie swymi dziećmi, tych, którzy powierzeni zostali jego duchowej pieczy, to skoro widział, że dwojgu spośród nich zagraża to samo co i księdzu niebezpieczeństwo — tak jak słabość ciała kazała księdzu drzeć o własne życie, tak samo miłość obudziła zapewne w księdzu lęk o nich. Zapewne odczuwał ksiądz wstyd z powodu owej trwogi, boć przecież to twoja, księżo, nędza duchowa ją zrodziła. Zapewne błagałeś o siłę do zwalczania, unicestwienia jej, bo to była pokusa, a słuchałeś za to owego innego lęku, zbożnego i szlachetnego, lęku o losy innych, o losy tych umiłowanych dzieci. Ten lęk nie dał księdzu spokoju, zmusił go do myślenia, do uczynienia wszystkiego, co możliwe,

dla zażegnania niebezpieczeństwa... Czymże więc natchnęły księdza ów zbożny lęk i miłość? Co ksiądz uczynił dla tych dwojga? Co obmyślił? I umilkł spoglądając jak ktoś, kto czeka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Na tak wyraźne zapytanie don Abbondio, który do tej chwili wysiłał się na odpowiedzi jak najmniej wyraźne, zupełnie oniemiał. A prawdę mówiąc i my również, mając przed sobą ten rękopis, w ręku pióro, jako jedynych przeciwników — słowa i nie obawiając się niczego poza krytyką czytelników; i my, powtarzam, czujemy pewne wahanie, mając dalej prowadzić tę opowieść. Jakoś dziwne nam się wydaje wytaczanie tak sobie, od niechcienia, takich wzniosłych maksym o męstwie, miłosierdziu, trosce o innych, o bezgranicznym poświęceniu. Ale uświadomiwszy sobie, że wszystko to wypowiadał ktoś, kto sam w ten sposób w życiu postępował, odważnie idziemy dalej.

— Ksiądz nie odpowiada? — podjął po chwili kardynał. — Ach, gdyby ksiądz uczynił ze swej strony to, co mu nakazywały miłość i obowiązek, to cokolwiek by nastąpiło później, nie zabrakłoby teraz księdzu odpowiedzi. Sam ksiądz widzi teraz, co uczynił. Posłuchał podszeptów nieprawości nie troszcząc się o nakazy obowiązku; posłuchał ich z całą skwapliwością. Nieprawość objawiła się księdzu i postawiła swoje żądanie; chciała jednak pozostać w u kryciu przed tymi, którzy potrafiliby się jej przeciwstawić, którzy mieliby się na baczności. Nie chciała rozgłosu, chciała po cichu, bez przeszkody, doprowadzić do końca swoje zamysły zasadzek i przemocy. Nakazała księdzu występki i milczenie: ksiądz dopuścił się występku i milczał. Pytam więc teraz księdza, czy to już wszystko? Ksiądz powie mi, czy prawdą jest, jakoby podawał kłamliwe powody swej odmowy, aby prawdziwie zachować w ukryciu? Przerwał i znowu czekał odpowiedzi.

„I to również mu plotkarki wygadały" — pomyślał doń

Abbondio; milczał i nie wydawało się, by miał cokolwiek do powiedzenia. Po chwili kardynał podjął:

— A więc to prawda, że powiedział ksiądz tym biedakom coś, czego wcale nie było, po to, by ich pozostawić w ciemności i niewiedzy, spełniając w tym wolę nieprawości... muszę zatem w to uwierzyć; pozostaje mi jeno rumienić się wraz z księdzem, żywiąc nadzieję, że ksiądz zapłaci nad swoim uczynkiem, jak ja nad nim płacę. Dokądże zawiodła księdza nadmierna troska o własne życie, to życie, które przecież i tak się skończy! A ksiądz, dobry Boże, zasłaniał się tą troską jako usprawiedliwieniem! Doprowadziła ona... proszę, niechaj ksiądz odeprze moje słowa, jeżeli mu się zdają krzywdzące, a ukorzy się przed nimi, jeśli są słuszne... doprowadziła do oszukania bezbronnych, do okłamania dzieci swoich!

„Oto jak się rzeczy mają — mówił sobie don Abbondio. — Temu wściekłemu diabłu (miał na myśli Bezimiennego) otwiera się ramiona; a ze mną o jedno małe kłamstwo, po to jedynie powiedziane, żeby ocalić skórę, robi się tyle hałasu. Ale cóż — zwierzchność zawsze ma rację. Taki już mój los, że każdy na mnie nastaje, nawet święci." A głośno rzekł:

— Zbłądziłem; rozumiem, że zbłądziłem. Jak jednak miałem w takiej opresji postąpić?

— Ksiądz jeszcze pyta? Alboż nie powiedziałem tego? I czyż musiałem to mówić? Kochać trzeba, mój synu. Kochać i modlić się. Poznałby ksiądz wtedy, że niegodziwość może grozić, może uderzać, ale rozkazywać nie może. Połączyłby zgodnie z prawem boskim to, co człowiek chciał rozłączyć. Oddałby tym dwojgu niewinnie prześladowanym przysługę, jakiej żądać od swego proboszcza mieli pełne prawo; a reszta byłaby w rękę Boga i on czuwałby nad tymi, którzy jego drogą kroczą. Ale ksiądz obrał drogę inną i teraz ksiądz ponosi odpowiedzialność za skutki. I jakie skutki! Czy był ksiądz pozbawiony wszelkich ludzkich środków działania? Czy nie dostrzegał żadnej drogi wyjścia? Czy się ksiądz rozejrzał dokoła, pomyślał, poszukał? Tak, teraz ksiądz wie, że gdyby tych dwoje zawarło małżeństwo, sami pomyśleliby o swoim ocaleniu; że gotowi byli zniknąć sprzed oczu tyrana, że mieli już nawet obmyślane miejsce, gdzieby się mogli schronić. Ale nawet

i bez tego, czy nie przyszło księdzu na myśl, że ma przecież nad sobą zwierzchnika? A jakże ów zwierzchnik mógłby ganić księdza za uchybienie w służbie bożej, gdyby sam nie umiał i nie czuł się zobowiązany dopomóc mu w tej ciężkiej potrzebie? Dlaczego nie pomyślał ksiądz o powiadomieniu swego biskupa o tym, że nieprawość i gwałt wzbraniają mu pełnić służbę bożą?

„Kubek w kubek gadanie Perpetuy” — myślał ze złością don Abbondio, któremu w czasie całej tej przemowy nie zniknął sprzed oczu obraz tamtych dwóch bravich i nie dawała spokoju myśl, że don Rodrigo jest przecież żyw i zdrow i lada dzień powróci — pyszny, triumfujący i rozwścieczony. I choć obecność kardynała, jego dostojny wygląd i jego przemowa wprawiały biedaka w zmieszanie i napawały lekkim strachem, to przecież nie był to strach tak bardzo przytłaczający i nie tłumiał w don Abbondiu ducha oporu. Bo ostatecznie kardynał nie posługiwał się ani strzelbą, ani szpadą, ani gromadą bravich.

— Jakże nie pomyślał ksiądz o tym — mówił dalej kardynał — że gdyby nawet tych dwoje prześladowanych nie miało innego schronienia, to przecież zawsze byłem ja, żeby ich przygarnąć, zaopiekować się nimi, gdyby ich ksiądz do mnie posłał, gdyby posłał skrzywdzonych biskupowi, boć oni do niego należą, stanowią najcenniejszą część jego bogactwa, tak, są jego bogactwem; a nie ciężarem. A co się tyczy was, księżę proboszczu, toż nie zaznałbym snu ani spokoju, dopóki nie byłbym pewien; że włos z głowy księdzu nie spadnie. Myśli ksiądz może; że nie miałbym sposobu zapewnienia mu bezpieczeństwa? A czy nie sądzi ksiądz, że zuchwalstwo tego człowieka osłabłoby wielce, kiedy jego niecne zamysły stałyby się wiadome światu, wiadome mnie, który czuwałbym, zdecydowany użyć w obronie księdza wszystkich dostępnych mi środków? Czyżby ksiądz nie wiedział, że człowiek, tak samo jak przyrzeka często więcej niż może dotrzymać, tak i rzuca nieraz groźby, na wykonanie których nigdy by się nie ważył? Że niegodziwość nie tylko na własnej sile buduje, ale zwłaszcza na łatwowierności i tchórzostwie ludzkim?

„Kropka w kropkę wywody Perpetuy” — pomyślał i tutaj don Abbondio, nie zastanawiając się wcale nad tym, że owa zgodność poglądów jego gospodyni z poglądami Fede

riga Borromeo na to, co on mógł i powinien był uczynić, silnie przeciwko niemu przemawia.

— Ale ksiądz — ciągnął kardynał — nie widział, nie chciał widzieć nic poza swoim chwilowym niebezpieczeństwem. Cóż dziwnego zatem, że wydało się ono księdzu dość wielkie, by przesłonić sobą wszystkie inne sprawy?

— Bo to ja przecie widziałem te straszne gęby! — wybuchnął don Abbondio. — Ja słyszałem te groźby. Wasza przewielebność pięknie mówi; ale trzeba by znaleźć się w skórze biednego proboszcza w owej chwili...

Zaledwie wypowiedział te słowa, już ugryzł się w język. Spostrzegł się, że zanadto poniosło go oburzenie, i powiedział sobie w duchu: „No, teraz przyjdzie burza gradowa.” Ale kiedy podniósł trwożliwie wzrok, ogarnęło go zdumienie na widok tego człowieka, którego nigdy nie umiał zrozumieć czy odgadnąć: ujrzał bowiem, jak wyraz dostojnej, karzącej powagi ustępuje na jego twarzy skupionej zadumie.

— Niestety! — odezwał się po chwili Federigo. — Taki to nędzny a trudny jest nasz los: musimy nieubłaganie wymagać od innych tego, co sami, Bóg jeden wie, czy gotowi byłibyśmy uczynić. Musimy sądzić, upominać, karać; a Bóg wie, jak postąpilibyśmy w tym wypadku czy w innych podobnych. Ale biada mi, gdybym brał słabość własną za miarę cudzej powinności, za normę mego nauczania! A jednak niewątpliwie wraz z nauką winienem dawać innym przykład, nie być jak ów uczony w piśmie z Ewangelii, który by na innych nakładał zbyt wielkie ciężary, a sam ani palcem nie chciał ich ruszyć. A zatem, synu mój i bracie, jako że błędy tych, którzy stoją wysoko, często lepiej są znane innym aniżeli im samym, jeżeli wiadomo ci, że z tchórzostwa bądź z jakiegokolwiek innej przyczyny zaniedbałem kiedy obowiązek, powiedz mi to szczerze, wezwij mnie do poprawy; niechże tam, gdzie zbrakło przykładu, przynajmniej wyznanie winy brak ten wynagrodzi. Wytknij mi śmiało moje słabości, wówczas słowa w moich ustach nabiorą większej wagi, bowiem poczujesz, że nie są to słowa moje, ale Tego, który tobie i mnie mocen jest dać siłę potrzebną do spełnienia tego, co nam nakazał. „Ach, święty, istny święty! Ale co za udręka! — myślał don Abbondio. — Nawet wobec samego siebie wciąż tylko

śledztwa, przygany, dociekania, badania... wobec siebie samego!” A głośno rzekł:

— Och, monsignore, wasza przewielebność żartuje sobie ze mnie! Któż nie zna nieugiętej woli, nieustraszonej odwagi waszej przewielebności?

A w duchu dodał: „Aż nadto.”

— Nie prosiłem księdza o pochwały — rzekł Federigo. — Przejmują mnie one drżeniem, albowiem Bóg zna moje wady, a i to, co ja w nich widzę, wystarcza, by mnie napełnić lękiem i skrucą. Chciałem, byśmy obaj wspólnie ukorzyli się przed Nim, wspólnie wyznali Mu swoje błędy. Chciałem dopomóc księdzu do zrozumienia, jak dalece jego postępowanie było — a jego słowa są dotychczas — sprzeczne z prawem boskim, które ksiądz głosi i według którego będzie sądzony.

— No tak, wszystkie winy na mnie spadają — powiedział don Abbondio. — Ale te osoby, które na mnie naskarżyły, nie napomknęły o tym, że później wtargnęły podstępnie do mego domu, by mnie zaskoczyć i wymusić bezprawnie ślub.

— Rzekły mi i to, mój synu. Ale jakże mnie boli, jakże przygnębia, że ksiądz wciąż jeszcze myśli jeno o zrzuceniu z siebie winy, że chce się od niej uwolnić, oskarżając innych; że czerpie swoje oskarżenie z tego, co powinno być przedmiotem własnej księdza spowiedzi. Któż to ich, jeśli nie zmusił, to w każdym razie powiódł na pokuszenie uczynienia tego, co uczynili? Czy szukaliby oni tej krętej drogi, gdyby prostej i uczciwej przed nimi nie zamknięto? Czy pomyśleliby o oszukaniu swego pasterza, gdyby ich przyjął życzliwie, dopomógł, posłużył radą? Czy staraliby się go zaskoczyć podstępnie, gdyby się przed nimi nie ukrywał? I na nich ksiądz rzuca winę? I oburza się, że po tylu nieszczęściach, co mówię? pogrążone w nieszczęściu, biedaczki powierzyły swoje zmartwienia kapłanowi? Skargi uciśnionych i skrzywdzonych są światu nienawistne, to prawda. Taki już jest świat. Ale my? I cóż za korzyść płynęłaby dla księdza z ich milczenia? Czy lepiej byłoby, gdyby ich sprawa, nie osądzona przez ludzi, poszła przed sąd boski? Nie jestże to jedna więcej przyczyna do pokochania tych osób (a tyle jest przyczyn i bez tego), że dały księdzu sposobność wysłuchania szczerzej wy

powiedzi swego biskupa, że otworzyły księdzu oczy na wielki dług, jaki na nim wobec nich ciąży, i zarazem dopomogły dług ten choć w części spłacić. Ach, gdyby nawet były zuchwałe, gdyby obraziły księdza i dręczyły, rzekłbym i tak (ale czyż potrzebowałbym to mówić?), że należy je kochać właśnie dlatego. Kochać je, bowiem przecierpiał wiele i cierpią nadal, kochać je, bo są słabe, bo są. twoje, mój bracie, bo potrzebujesz odpuszczenia, a ich modlitwy mogą je dla ciebie wyjednać.

Don, Abbondio trwał w milczeniu.. Ale nie było to już owo milczenie wymuszone i niecierpliwe: milczał jak ktoś, kto więcej ma do przemyślenia niż do powiedzenia. To, co słyszał, zaskoczyło go; było to nowe dlań zupełnie zastosowanie starych zasad, znanych przecież z dawna i którym nigdy nie zaprzeczał. Cudze nieszczęście, które zawsze dotychczas budziło w nim tylko strach przed możliwością własnego nieszczęścia, naraz ukazało mu się w innym, nowym świetle. Jeżeli nawet nie czuł tyle skruchy, ile powinna była jej wzbudzić przemowa kardynała (bo tchórzliwość wciąż jeszcze: pełniła w duszy don Abbondia rolę obrońcy), to w każdym razie odczuwał ją trochę. Czuł też pewne niezadowolenie z siebie, trochę współczucia dla innych — mieszaninę zawstydzenia i rozrzewnienia. Był, jeśli wolno użyć takiego porównania, niby zwilgotniały i przygnieciony knot łojówki, przytknięty do płonącej pochodni. Knotek taki z początku dymi, pryska, trzeszczy, ani słyszeć nie chce o tym, żeby się zapalić. W końcu zajmie się jednak i zapłonie, lepiej czy gorzej, ale płonie. Gdyby nie myśl o don Rodrigu don Abbondio byłby już skłonny oskarżyć się szczerze i oplakiwać swoje błędy. Bądź co bądź objawił pewne wzruszenie i kardynał pomyślał, że jego słowa nie pozostały bezowocne.

— Teraz — ciągnął — jedno z nich dwojga tuła się gdzieś daleko, drugie także ma lada chwila porzucić dom rodzinny. Oboje zmuszeni srogą koniecznością trwają w tej rozłące i może nigdy już tutaj nie będą mogli powrócić; mogą się krzepić jedynie nadzieją, że Bóg pozwoli im się spotkać gdzieś w obcej ziemi. Teraz, niestety, ksiądz nie jest im potrzebny. Nie ma ksiądz żadnej możliwości uczynienia czegoś dla nich, a nasze krótkowzroczne oczy nie dostrzegają takiej możliwości i na przyszłość. Któż jednak wie, czy Bóg miłosierny nie gotuje księdzu jakiejś po temu

sposobności? Ach, niechże jej ksiądz nie wypuści z ręki! Szukać jej trzeba, wypatrywać, modlić się, by ją Bóg zesłał!

— Nie omieszkam, monsignore, nie omieszkam, zaprawdę — odpowiedział don Abbondio głosem, który w tym momencie szedł naprawdę z serca.

— O tak, synu, tak! — wykrzyknął Federigo. Po czym dodał z pełną serdecznej troski powagą: — Bóg widzi, że chciałbym zgoła inne prowadzić z księdzem rozmowy. Obaj przeżyliśmy już wiele. Bóg widzi, jak ciężko mi przytłaczać wymówkami siwą głowę księdza i o ileż bardziej rad bym dzielić się z księdzem wspólnymi naszymi troskami; wspólnie radzić nad niepowodzeniami i wspólnie cieszyć się nadzieją tej szczęśliwości, do której obaj odbyliśmy już długą drogę. Oby Bóg sprawił, by te przykre słowa, które zmuszony byłem dzisiaj tu wypowiedzieć, przyniosły nam obu pożytek. Obym nie musiał kiedyś zdawać rachunku z tego że pozostawił księdza w tej służbie, której ksiądz miał nieszczęście tak bardzo uchybić. Odróbnym czasem stracony: północ się zbliża i Oblubieniec niebawem przybędzie; trzymajmy świece zapalone w gotowości. Ofiarujmy Bogu nasze serca, nędzne i puste, iżby je napełnił tą miłością, która naprawia błędy przeszłości i zapewnia przyszłość; która obawia się i ufa, płacze, rozumie i raduje się; która zawsze przemienia się w cnotę, jakiej potrzebujemy.

Po tych słowach podniósł się do odejścia. Don Abbondio poszedł za nim.

Nasz anonim zaznacza, że nie była to jedyna rozmowa między nimi dwoma, a sprawa Lucji nie była jedynym tych rozmów przedmiotem, on jednak poprzestał na przytoczeniu tej jednej, nie chcąc oddalać się od głównego wątku opowieści. Z tego samego względu nie wspomina o wielu innych doniosłych rzeczach, jakie wypowiedział Federigo

przez cały czas trwania tej wizyty, ani o wyświadczonych przezeń dobrodziejstwach, o rozstrzygniętych sporach, o ugaszonych albo przynajmniej (niestety, w większości wypadków) uśpionych" odwiecznych nienawiściach pomiędzy osobami, rodzinami czy całymi prowincjami, o zabijakach i zaściankowych tyranach poskromionych, jeśli nie na całe życie, to na czas pewien przynajmniej. Takie rzeczy zawsze się wydarzały w każdej

miejsowości jego diecezji, za każdą wizytą tego niepospolitego człowieka.

Następnego ranka przybyła donna Prassede, by zgodnie z umową zabrać ze sobą Lucję oraz powitać kardynała, który skorzystał z tej sposobności, by gorąco polecić jej dziewczynę. Możecie sobie wyobrazić, ile łez przelała Lucja rozstając się z matką. Wyszła ze swego domku, po raz wtóry pożegnała wioskę z goryczą, jakiej doznaje ten, kto porzuca miejsca niegdyś najdroższe na świecie, a które teraz drogim już' być przestało. Pożegnanie z matką nie było zresztą ostateczne; donna Prassede powiedziała, że jeszcze przez kilka dni zostanie w swojej wiejskiej posiadłości, niezbyt oddalonej, i Agnese obiecała córce, że ją tam odwiedzi, by się z nią jeszcze raz pożegnać.

Kardynał był już także na odjeździe na dalsze wizytacje, kiedy przybył i poprosił o rozmowę proboszcz tej parafii, do której należał zamek Bezimiennego. Skoro go wprowadzono do kardynała, proboszcz wręczył mu sakiewkę i list od tego magnata. Bezimienny prosił w liście, aby matka Lucji zgodziła się przyjąć sto złotych skudów, jakie zawierała sakiewka, na posag dla córki lub na inny cel, wedle swego uznania. Prosił także, by kardynał zapewnił obie kobiety, że gdyby kiedykolwiek sądziły, że on mógłby im być w czymś użyteczny, uważały to sobie za wielkie szczęście, a wszakże Lucja wie, niestety, gdzie jest jego siedziba. Kardynał wezwał niezwłocznie Agnese i powtórzył, o co go proszono. Wysłuchała tego zdumiona, ale też i niemniej rada. Kardynał wręczył jej rulon skudów, który przyjęła bez większych ceregieli.

— Bóg niech mu to policzy, temu dobremu panu — rzekła. — A waszą przewielebność proszę, by raczył mi pięknie podziękować. A także, by o tym nikomu nie wspomniał; bo nasza wieś jest taka... och, proszę o wybaczenie, wiem dobrze, że ktoś taki jak wasza przewielebność nie zwykł o takich rzeczach rozpowiadać; ale... wasza przewielebność rozumie...

Cichutko poszła do domu, zamknęła się w izbie, rozwinęła rulon i chociaż wiedziała, co on zawiera, przecież zachwyty ogarnęła ją na widok tego stosu pięknych, nowiutkich złotych monet, jej własnych; dotychczas nie widziała nigdy więcej niż jedną taką naraz, a i to rzadko. Przeliczyła je, z trudem ułożyła z powrotem w rulon, który raz

po raz wyrzucił się i rozsypywał w jej niewprawnych palcach. Wreszcie udało jej się to jako tako, zawięła pieniądze w szmatkę i obwiązawszy starannie sznurkiem ukryła w głębi swego siennika. Resztę tego dnia spędziła na snuciu marzeń i planów na przyszłość, nie mogąc się doczekać dnia jutrzejszego. Wieczorem w łóżku długo jeszcze nie mogła zasnąć, myślą przebywając wciąż przy tej setce skudów spoczywających pod nią; zasnawszy, widziała je nadal we śnie. O świcie wstała i ruszyła niezwłocznie do wiejskiej posiadłości, w której przebywała Lucja.

Ta tymczasem, mimo że jej niechęć do mówienia o ślubowaniu bynajmniej się nie zmniejszyła, postanowiła zmusić się do wyznania wszystkiego matce w tej rozmowie, która na długo miała pozostać pomiędzy nimi ostatnią.

Gdy tylko znalazły się same we dwie, Agnese, bardzo podniecona, ale zniżając głos, jakby był w pobliżu ktoś, kto nie powinien tego słyszeć, zaczęła:

— Muszę ci rzec coś niezwykłego — i opowiedziała, jaka na nie spadła niespodziewana fortuna.

— Niech mu Bóg błogosławi — rzekła Lucja. — Dzięki niemu będziesz mogła żyć dostatnio, matko, i jeszcze zrobić coś dobrego dla innych.

— Jakże? — odpowiedziała Angese. — Czy nie rozumiesz, ile rzeczy możemy uczynić mając tyle pieniędzy?

Posłuchaj: nie mam nikogo na świecie prócz ciebie, prócz was dwojga, rzec mogę, boć Renzo, odkąd jeno zaczął zabiegać o ciebie, zawsze był dla mnie jak syn rodzony. W tym rzecz, czy mu się co złego nie przytrafiło, skoro nic nie dał znać o sobie. Ale czemu spodziewać się zawsze złego? Ufajmy raczej, że wszystko jest dobrze. Co do mnie, to rada bym złożyła kiedyś kości w swojej ziemi. Ale skoro ty nie możesz tam mieszkać dzięki temu niegodziwcowi, a i na samą myśl o tym, że on tam jest w pobliżu, już mi ta nasza wieś obrzydła; a z wami dwojgiem wszędzie mi będzie dobrze. Tak sobie już dawno pomyślałam, że z wami gotowam iść na koniec świata, ale cóż można było zrobić bez pieniędzy? Rozumiesz teraz? Te trochę grosza, co ten nasz biedaczek z takim mozołem zaoszczędził... no cóż, przyszli ci od sprawiedliwości i wszystko zabrali. Żeby nam to nagrodzić, Pan Bóg zesłał nam majątek. Więc teraz, jak tylko Renzo znajdzie, sposób, by

nam dać znak, że żyje, gdzie przebywa i co zamierza, przyjadę po ciebie do Mediolanu. Tak, przyjadę po ciebie; dawniej wydawałoby mi się to Bóg wie czym. Ale nieszczęścia uczą człowieka nie robić sobie wiele z niczego. Byłam już przecie w Monzy. Wiem, co to podróż. Zabiorę z sobą człeka do rzeczy, krewniaka, Alessia z Maggianico. Bo, prawdę mówiąc, w naszej wsi nikogo odpowiedniego nie znajdziesz. No, więc przyjadę z nim razem, na nasz koszt, rzecz jasna... no i, rozumiesz? — Ale widząc, że zamiast się ożywić, Lucja staje się coraz smutniejsza, a na twarzy jej maluje się żalostna tkliwość, przerwała swoje wywody, pytając: — Ale co ci to? Nie widzi ci się to, co mówię?

— Och, biedna mammo! — wykrzyknęła Lucja zarzucając jej ramiona na szyję i kryjąc twarz na jej piersi.

— Co ci to? — zapytała matka z niepokojem.

— Powinnam była dawno wam to rzec — odpowiedziała Lucja podnosząc głowę i ocierając łzy. — Alem się na to zdobyć nie mogła. Pożałujcie mnie...

— Ale mówże, mów, co to takiego?

— Ja już nie mogę być żoną tego biedaka. — Jakże to? Czemu?

Z głową nisko spuszczoną, falującą piersią i spływającymi bezgłośnie łzami, Lucja opowiedziała o swoim ślubie, tak jak mówi się o rzeczy bolesnej, ale której zmienić nie podobna. Składając ręce prosiła znowu matkę o przebaczenie, że nie wyznała jej tego do tej pory; prosiła ją, by tego nie powtarzała żywej duszy i by dopomogła jej dotrzymać przyrzeczenia.

Agnese słuchała w osłupieniu, zupełnie wytrącona z równowagi. Chciała się oburzyć, że Lucja trzymała ją tak długo w nieświadomości, ale powaga sytuacji kazała jej zapomnieć o własnej przykrości. Chciała powiedzieć: „I cóżś uczyniła?”, czuła jednak, że byłoby to prawowanie się z Bogiem: Zwłaszcza że Lucja odmalowała jej w żywych barwach ową noc, swoją czarną rozpacz, nieoczekiwane ocalenie i tę chwilę, kiedy złożyła swoją obietnicę, tak wyraźną i uroczystą. W pamięci Agnese jawiły się przykłady, wielokrotnie słyszane i które sama opowiadała córce, o przedziwnych a straszliwych karach, jakie pociąga za sobą złamanie ślubu. Przez chwilę trwała w zupełnym oszołomieniu, a w końcu zapytała:

— I co teraz uczynisz?

— Teraz — odpowiedziała Lucja — Bóg i Madonna pomyślą, co dalej. Oddałam się w ich ręce: nie opuścili mnie do tej pory, nie opuszczą i teraz, kiedy... jedyna łaska, o ja

ką proszę Boga dla siebie, poza zbawieniem duszy, to, żeby mi pozwolił być znowu razem z wami... I On mi tej łaski udzieli, udzieli na pewno. Owego dnia... w tej karocy... ci ludzie... któż by powiedział, że wiozą mnie do tego, który już nazajutrz odda mnie tobie, matko!

— Ale nie wyznać tego matce od razu! — rzekła Agnese z wyrzutem złagodzoną miłością i współczuciem.

— Użalście się nade mną... nie stało mi odwagi... I na cóż by się zdało wcześniej was zasmucić?

— A Renzo? — rzekła kiwając smutnie głową. Agnese.

— Ach! — wykrzyknęła wdrygając się Lucja. — Nie powinnam więcej myśleć o nim, biedaku! Widać nie był mi przeznaczony... Czyż nie widzicie, że Bóg chciał, byśmy byli rozdzieleni? I któż wie...ale nie, nie, Bóg uchronił go na pewno od niebezpieczeństwa i sprawi, by był szczęśliwy, jeszcze szczęśliwszy beze mnie...

— Ale teraz — podjęła matka — gdyby nie to, żeś się związała na zawsze, to jeśli tylko Renza nie spotkało jakies nieszczęście, na wszystko inne dzięki tym pieniądzom znalazłaby się rada.

— A te pieniądze! — odparła Lucja. — Czyż miałybyśmy je, gdyby nie owa noc? Bóg chciał, żeby wszystko tak właśnie się stało: niechże się więc spełni Jego wola... — i płacz przytłumił jej słowa.

Na ten nieoczekiwany argument Agnese zamyśliła się. Po chwili Lucja, powstrzymując łkanie, ciągnęła dalej:

— Teraz, kiedy rzecz już się stała, muszę się z nią pogodzić. A ty, moja biedna mamó, możesz mi dopomóc. Najpierw modląc się za swoją nieszczęsną córkę, a potem... trzeba wszakże, by ten biedak dowiedział się o tym: Pomyślcie o tym, uczynicie mi tę łaskę... bo wy o tym myśleć możecie. Jak tylko będzie wiadomo, gdzie on jest, napiszcie do niego, znajdźcie posłańca... może naszego krewniaka Alessia, bo to człowiek rozważny i uczynny; zawsze nam był życzliwy i nie rozgada. Powiedzcie mu, żeby napisał wszystko, jak to było, gdzie ja się znalazłam i ile wycierpiałam; że Bóg tak chciał, więc niech on się z tym pogodzi, że ja nigdy nie mogę być ani jego, ani niczyja.

Trzeba mu to powiedzieć prosto do serca, wytłumaczyć mu, że przysięgła, uczyniła ślub. Kiedy się dowie, że obiecała Madonnie... miał przecie zawsze Boga w sercu. A wy, jak pierwszy raz będzie od niego wiadomość, to powiadomcie i mnie, niech wiem, że żyje i jest zdrow. A potem... potem nie chcę już wiedzieć nic więcej.

Agnese, ogromnie wzruszona, zapewniła córkę, że zrobi wszystko zgodnie z jej życzeniem.

— Chciałabym rzec wam coś jeszcze — podjęła Lucja. — Gdyby ten biedaczek nigdy o mnie nie pomyślał, nie przydarzyłoby mu się to wszystko, co mu się przydarzyło. Tuła się po świecie, sprowadzono go na manowce, zabrano mu cały dobytek i to wszystko, co z możem zaoszczędził, wiemy przecie na co... A my mamy tyle pieniędzy! O mamó, skoro Pan Bóg zesłał nam tyle dobra, a on biedaczek... jeśli to prawda, że się wam wydaje jak wasz... jak syn rodzony, och, podzielciez się z nim na połowę. Z pewnością Bóg nas nie opuści. Poszukajcie jakiejś pewnej okazji, pošlijcie mu, Bóg wie, jak mu to może być potrzebne!

— A cóż ty myślisz? — odparła Agnese. — Pewno że mu pošlę. Biedny chłopiec! Myślisz, że tak się tymi pieniędzmi raduję? Ba, przysłałam tutaj uradowana, to pewna... No, dość o tym. Poślę biednemu Renzowi; ale on także... wiem ja, co mówię: wiadomo, pieniądze cieszą tego, kto ich potrzebuje; ale na tych pieniądzech na pewno się on nie utuczy.

Lucja podziękowała matce za jej chętną zgodę i poczciwość, a uczyniła to z taką serdeczną, gorącą wdzięcznością, że kto by ją słyszał, pojąłby, że serce jej wciąż jeszcze należało do Renza, bardziej może, niż to ona sama podejrzewała.

— A ja nieszczęsna jakże będę żyła bez ciebie? — odezwała się przez łzy Agnese.

— A ja bez ciebie, mamó? W obcym domu, tam, w Mediolanie? Ale Bóg będzie z nami i pozwoli nam być znowu razem. Zobaczmy się za osiem lub dziewięć miesięcy; a wtedy, jeśli nie wcześniej, wierzę, że wszystko już się ułoży i

będziemy mogły się połączyć. Zdajmy się na miłosierdzie boże. Wciąż będę błagała Madonnę o tę łaskę. Gdybym miała coś jeszcze do ofiarowania, uczyniłabym to. Ale Ona jest taka miłosierna, że i tak mi swej łaski udzieli.

Wymieniwszy jeszcze wiele próśb, obietnic, wyrazów pokrzepienia i żalu, skargi i rezygnacji, wylawszy wiele łez i wielokrotnie rzuciwszy się sobie w objęcia matka i córka rozstały się, obiecując sobie spotkać się znowu najpóźniej jesienią, tak jak zawsze się robi w podobnych okolicznościach, choć przecież dotrzymanie tych obietnic nie od ludzkiej woli zależy.

Czas mijał, a Agnese wciąż nic nie wiedziała o Renzu. Nie nadchodził od niego ani list, ani żadna ustna wiadomość. Rozpytywała wszystkich we wsi i w okolicy, ale nikt nie wiedział więcej od niej.

Nie była jedyną osobą, na próżno czyniącą te poszukiwania. Kardynał Federigo, choć przez delikatność nie powiedział tego obu niewiastom, postanowił zasięgnąć o tym młodzieńcu wiadomości i starał się o nie listownie. Wróciwszy ze swego objazdu do Mediolanu zastał odpowiedź, w której powiadomiono go, że nie udało się odnaleźć miejsca pobytu wymienionego osobnika. Że istotnie przez czas jakiś przebywał on w domu swego krewnego, w takiej to a takiej miejscowości, i że nic złego tam o nim nie słyszano. Ale pewnego ranka zniknął niespodziewanie i nawet ów krewny nie wie, co się z nim stało. Mógł jedynie powtórzyć krążące niejasne i sprzeczne wieści, jakoby młodzieniec zaciągnął się do armii wysłanej na Wschód, to znów, że udał się do Niemiec i utonął podczas przeprawy przez jakąś rzekę. Piszący miał nie zaprzestawać poszukiwań, a w razie zdobycia jakiejś pewniejszej wiadomości przesałać ją niezwłocznie jego przewielebności.

Nieco później pogłoski te rozszerzyły się również w okręgu Lecco i dotarły do uszu Agnese. Biedaczka wszelkimi sposobami starała się dowiedzieć, co z nich było prawdą, dociec sedna tej lub owej, nie mogła jednak osiągnąć nic poza owym „powiadają”, które po dziś dzień wystarcza do stwierdzenia wielu rzeczy. Zaledwie usłyszała jedną wersję, natychmiast pojawiał się ktoś, kto zapewniał, że to wszystko nieprawda, i powtarzał jej w zamian inną, niemniej dziwną i ponurą. Wszystko plotki. A oto fakty:

Gubernator Mediolanu i głównodowodzący wojsk hiszpańskich we Włoszech, don Gonzalo Fernandez da Cordoba, podniósł wielki gwałt u pana rezydenta rzeczywospolitej weneckiej w Mediolanie z powodu, iż groźny zbój i łotr, prowodyr rabunku i mordów, słynny Lorenza Tra

maglino, ten, który wpadłszy w ręce sprawiedliwości wzniecił rozruchy celem wydostania się na wolność — został wpuszczony i gościnnie przyjęty na terytorium Bergamo. Rezydent odpowiedział, że rzecz to dla niego zupełnie nowa, ale że napisze niezwłocznie do Wenecji, aby móc udzielić jego ekscelencji wszelkich wyjaśnień. W Wenecji kierowano się zasadą, że należy popierać i wzmacniać pęd mediolańskich rzemieślników jedwabniczych do przesiedlania się na terytorium Bergamo, a więc obok innych korzyści zapewnić im tę, bez której wszystkie inne nic nie są warte, to jest bezpieczeństwo. Stało się więc tak, jak to zwykle bywa, kiedy pokłóca się dwie potęgi — skorzystał na tym ktoś trzeci, nic nie znaczący: mianowicie Bortolo został poufnie uprzedzony, nie wiadomo przez kogo, że niedobrze jest dla Renza przebywać nadal w tej okolicy i że zrobiłby lepiej przenosząc się na czas pewien do jakiejś innej przędzalni, i to pod innym nazwiskiem. Bortolo w lot pojął, co się święci, nie pytał wiele, tylko pobiegł powtórzyć wiadomość

krewniakowi. Wsiadli obaj do wózka i pojechali do innej przędzalni, odległej około piętnastu mil; tam Bortolo przedstawił kuzyna pod nazwiskiem Antonia Rivolta właścicielowi, staremu znajomemu, który również pochodził z księstwa mediolańskiego. Ten, jakkolwiek rok był ciężki, nie dał się długo prosić, by przyjąć rzemieślnika, którego znający się na rzeczy przyjaciel polecał mu jako uczciwego i biegłego w swym zawodzie. W krótkim czasie przekonał się, jak cenny uczynił nabytek, mimo że z początku młodzieniec wydawał mu się raczej gapiowaty, ponieważ kiedy wołano: „Antonio”, najczęściej nie odpowiadał.

Wkrótce potem nadszedł z Wenecji do komendanta Bergamo dość łagodnie sformułowany rozkaz zebrania i przesłania informacji, czy w jego okręgu; a właściwie w takiej a takiej miejscowości, przebywa taki a taki osobnik. Komendant załatwił sprawę tak, jak wedle jego rozumienia od niego żądano, i przesłał odpowiedź przeczącą; odpowiedź tę przekazano rezydentowi w Mediolanie, a on z kolei — don Gonzalowi Fernandezowi da Cordoba.

Nie, brakło wścibskich, którzy chcieli dowiedzieć się od Bortola, dlaczego ów młodzieniec już u niego nie mieszka i dokąd się udał. Początkowo Bortolo odpowiadał po prostu: „No, cóż. Zniknął.” Później, chcąc zaspokoić najbar

dziej natarczywych nie nasuwając im podejrzeń bliskich prawdy, umyślił sobie raczyć ich coraz to inną historyjką w rodzaju tych, któreśmy wyżej przytoczyli; wszystko to jednak jako nie sprawdzone pogłoski, które słyszał, ale którym sam niezupełnie wierzy.

Kiedy jednak zwrócono się doń z tym samym pytaniem na polecenie kardynała nie wymieniając go, ale dając w uroczyście i nieco tajemniczy sposób do poznania, że wchodzi tu w grę jakiś wysoki dostojnik, Bortolo zaniepokoił się nie na żarty. Pomyślał, że w tym wypadku tym bardziej wskazane jest odpowiedzieć tak, jak to robił dotychczas, i "powtórzył wszystkie poprzednie wersje naraz.

Nie należy jednak wyobrażać sobie, jakoby taki wielki pan jak don Gonzalo uwziął się rzeczywiście na ubogiego górala z przędzalni jedwabiu. Że dowiedziawszy się, jak nieprzystojnie i bez szacunku wyrażał się ów góral o jego królu mauretańskim w żelaznej obroży na szyi, chciał mu za ten despekt odpłacić; czy że uważał go za tak niebezpiecznego człowieka, iż nawet jako wygnańca w obcym kraju nie można go pozostawić w spokoju, jak senat rzymski sądził o Hannibalu. Don Gonzalo miał na głowie zbyt wiele ważnych spraw, żeby zajmować się tak dalece losami Renza, a choć wydawało się, że jest inaczej, było to jedynie wynikiem szczególnego zbiegu okoliczności. Ten oto zbieg okoliczności sprawił, że nieszczęsny młodzieniec został bez swojej woli i wiedzy cieniutką i niewidzialną siecią związany z tak wielu ważnymi sprawami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Niejeden już raz wypadło nam tu wspominać o wojnie, jaka się wówczas toczyła o sukcesję księstw Vincenza Gonzagi, drugiego o tym imieniu. Ale robiliśmy to zawsze w wielkim pośpiechu, tak że nigdy nie można było poświęcić tej sprawie więcej niż pobieżną wzmiankę. Teraz jednak na to, by nasza opowieść była dla czytelników zrozumiała, konieczne jest trochę bardziej szczegółowe objaśnienie. Kto zna historię, sprawy te nie będą mu obce, że jednak,

oceniając bezstronnie samych siebie, winniśmy przypuszczać, iż książkę tę będą czytać raczej ignoranci, nie od rzeczy będzie dać tu trochę objaśnień tym, którzy ich potrzebują.

Powiedzieliśmy wyżej, że po śmierci owego księcia Mantuą zawładnął najbliższy z jego spadkobierców, Carlo Gonzaga, głowa młodszej linii rodu, osiadłej we Francji i władającej księstwami Nevers i Rhétel. Teraz dodać musimy, że prócz Mantui objął on Monferrato; w pośpiechu wiadomość ta dotychczas umknęła nam spod pióra. Dwór madrycki chcąc za wszelką cenę (o czym wspominaliśmy także) pozbawić tego księcia jego dziedzictwa i potrzebując do tego jakiegoś pretekstu (bowiem wojny wszczynane bez pretekstu byłyby wojnami niesprawiedliwymi), ogłosił się obrońcą i protektorem innych pretendentów; do Mantui rościł sobie prawo Ferrante Gonzaga, książę Guastalii, do Monferratu Carlo Emanuele I, książę Sabaudii, i Margherita Gonzaga, wdowa po księciu Lotaryngii. Don Gonzalo, potomek wielkiego zdobywcy i noszący jego imię, prowadził już przedtem wojnę we Flandrii i pragnął gorąco poprowadzić drugą we Włoszech; on też może najsilniej parł do jej rozpętania. Tymczasem, samowolnie interpretując zamiary i uprzedzając rozkazy Madrytu, za

warł on z księciem Sabaudii, układ celem zdobycia i podziału Monferratu. Z łatwością uzyskał u hrabiegoksięcia ratyfikację tego układu, przekonawszy go, że zdobycie Casale, kluczowej pozycji w części księstwa, przyznanej na mocy układu królowi Hiszpanii, jest rzeczą niezmiernie łatwą. W imieniu króla głosił, że nie zamierza zajmować kraju na zawsze, ale jedynie tytułem zabezpieczenia, do czasu, kiedy cesarz wyda w tej sprawie wyrok. Ten znów, po części z cudzej namowy, po części dla własnych powodów, odmówił inwestytury nowemu księciu i zażądał oddania w zastaw obu spornych księstw, po wysłuchaniu zaś obu stron przekazać je miał temu, komu uzna za słuszne. Ale książę Nevers nie ugiął się przed tym żądaniem.

On także miał potężnych przyjaciół; byli to: kardynał Richelieu, signoria Wenecji i papież, którym był w owym czasie, jak już powiedziano wyżej, Urban VIII. Ale pierwszy z nich, zajęty oblężeniem La Rochelle, zaplątany w wojnę z Anglią, zwalczany poza tym przez stronnictwo królowejmatki, Marii Medici, która z pewnych swoich powodów była domowi Nevers przeciwna, nie mógł dać nic prócz obietnic.. Wenecjanie nie chcieli się ruszyć ani nawet jasno wypowiedzieć, dopóki wojsko francuskie nie wkroczy do Włoch. Pomagając księciu po cichu, jak się dało, z dworem madryckim i gubernatorem Mediolanu byli wciąż w stadium pertraktacji i oświadczeń to pojednawczych, to groźnych, zależnie od chwili. Papież polecał księcia Nevers przyjaciołom, interweniował na jego rzecz u przeciwników, snuł projekty polubownego rozwiązania: o tym, żeby wysłać wojsko w pole, ani słyszeć nie chciał. W tych warunkach dwaj sojusznicy mogli bezpiecznie przystąpić do wprowadzenia w czyn planowego przedsięwzięcia. Książę Sabaudii wkroczył ze swej strony do Monferratu; don Gonzalo z zapalem rozpoczął oblężenie Casale. Nie znalazł tam jednak tego, co sobie obiecywał. Nie trzeba bowiem sądzić, że droga wojny usłana jest różami. Dwór nie dawał mu takiej pomocy, jakiej on by sobie życzył; pozwalał mu cierpieć brak najkonieczniejszych rzeczy; sprzymierzeniec pomagał nadmiernie: chcę przez to powiedzieć, że, zagarnawszy swoją część, zaczął nadszarpywać i część przypadającą królowi Hiszpanii. Don Gonzalo gryzł się tym niewypowiedzianie. Ale bojąc się, że jeśli podniesie krzyk, to ów Carlo Emanuele, nader biegły

w podstępach i równie zmienny w przymierzach, jak dzielny w boju, zwróci się ku Francji — musiał przymknąć oko, przełknąć despekt i siedzieć cicho. Oblężenie szło źle, przeciągało się, przynosiło ciężkie straty, zarówno z powodu nieugiętej i czujnej postawy oblężonych, jak z racji szczupłości sił oblegających oraz, zdaniem pewnego historyka, z powodu licznych głupstw przez nich popełnianych. Co do tego ostatniego twierdzenia, to nie przesadzamy jego słuszności, jesteśmy natomiast skłonni uznać, że jeśli jest prawdziwa, była to okoliczność wielce pomyślna, skoro sprawiła, że trochę mniej ludzi zostało w tym przedsięwzięciu wybitych, poranionych i okaleczonych, a zarazem mniej dachówek strzaskanych na budynkach Casale. W trakcie oblężenia don Gonzalo otrzymał wiadomość o rozruchach w Mediolanie i zjawił się tam osobiście.

W obszernym sprawozdaniu z zajęć usłyszał wzmiankę o buntowniczej i głośnej ucieczce Renza oraz o wszelkich prawdziwych i przypuszczalnych powodach jego aresztowania. Nadmieniono również, że ów buntownik schronił się na terytorium Bergamo. Okoliczność ta zwróciła uwagę don Gonzala. Wiedział on skądinąd, że w Wenecji radowano się ogromnie zamieszkami w Mediolanie i że od początku panowało tam przekonanie, iż don Gonzalo zostanie zmuszony do odstąpienia od Casale; przypuszczano, że będzie tym wszystkim bardziej zaabsorbowany i wytracony z równowagi, tym bardziej że prawie równocześnie nadeszła wiadomość, upragniona przez tych panów, a z drżeniem oczekiwana przez niego, o poddaniu się La Rochelle. Świadomość tego, co signoria wenecka sądzi o nim i jego poczynaniach, bolała go dotkliwie jako człowieka i męża stanu. Szukał więc sposobności wykazania tym panom, a raczej dania im pośrednio do poznania, że nic nie utracił z dawnej pewności siebie. Oświadczyć bowiem wprost: „Nie boję się”, to to samo, co nie powiedzieć nic. W takich wypadkach dobrym sposobem jest oburzać się, wzniecać zwady i wnosić pretensje; toteż kiedy rezydent wenecki zjawił się u gubernatora z czołobitnym powitaniem i w zamiarze wynioskowania czegoś z jego twarzy i jego zachowania (zauważcie, że są to stare i wypróbowane metody przebiegłej Wenecji), don Gonzalo, wspomniawszy najpierw o rozruchach tak lekko, jak przystało człowiekowi, który wszystkim tym kłopotom bez tru

du zaradzi, wytoczył następnie, jak to już wiecie, swoje pretensje w związku z Renzem. Wiadomo wam też i o dalszych konsekwencjach tego wystąpienia: Później nie myślał już o tej sprawie tak błahej i z jego, don Gonzala, punktu widzenia zakończony. Toteż kiedy w jakiś czas potem nadeszła odpowiedź do jego kwatery pod Casale, dokąd powrócił i gdzie był zajęty zgoła innymi myślami, podniósł głowę i obracał nią w prawo i lewo niby gąsienica jedwabnika w poszukiwaniu nowego liścia. Chwilę trwało, zanim wywołał z pamięci ten fakt w postaci mglistego wspomnienia; przemknęła mu jakaś niejasna myśl o owej osobie i więcej do tego nie powrócił.

Renzo natomiast, który odkąd doszły go słuchy o całej tej sprawie, trapił się nią nieustannie i daleki był od takiej błogiej bez troski, wszystkie wysiłki kierował ku temu, by pozostać w ukryciu. Pragnął bardzo przesłać o sobie wiadomość kobietom i otrzymać wiadomość od nich. Były jednak dwie poważne trudności: jedna, że musiałby zaufać komuś obcemu, jako że biedak pisać nie umiał, a nawet i czytać w całym tego słowa znaczeniu nie bardzo. Kiedy, zapytany o to przez doktora Azzecagarbugli, odpowiedział, że owszem, umie, nie była to czcza przechwałka, druk potrafił odczytać, poświęcając na to nieco czasu. Ale „pisane” to zgoła co innego. Musiałby więc zwierzyć się komuś ze swoich spraw, których tajemnicy strzegł tak pilnie. A w owych czasach nie tak łatwo było znaleźć człowieka władającego piórem, a równocześnie zasługującego na zaufanie; zwłaszcza w miejscowości, gdzie nie miało się żadnych starych znajomych. Druga trudność polegała na znalezieniu posłańca — a więc kogoś, kto wybierałby się właśnie w' tamte strony, zgodził się zabrać list i uczciwie zatroszczył się o doręczenie go adresatkom. Wszystko to znaleźć w jednym człowieku było niezmiernie trudno.

W końcu po długich poszukiwaniach znalazł kogoś, kto mu list napisał, Nie wiedząc jednak, czy Lucja z matką znajdują się jeszcze w Monzy, czy gdzie indziej, pomyślał, że bezpieczniej będzie włożyć list do Agnese do innego, przeznaczonego dla brata Cristoforo. Ten sam człowiek podjął się list przesłać i oddał go komuś, kto miał być właśnie w pobliżu Pescarenico. Ten znów pozostawił go z troskliwymi poleceniami w oberży leżącej na jego szlaku

w najbliższym Pescarenico punkcie. Ponieważ list adresowany był do klasztoru, doręczono go rzeczywiście. Co jednak stało się z nim później, nie wiadomo. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi Renzo podyktował znowu list podobnej treści i dołączył go do drugiego, który zaadresował do jakiegoś przyjaciela czy krewnego w Lecco. Znalazł posłańca i tym razem list dotarł tam, gdzie należało. Agnese powędrowała do Maggiano i poprosiła krewniaka Alessia, aby go jej przeczytał i objaśnił. Wspólnie z nim obmyśliła odpowiedź, którą on napisał, po czym znaleźli kogoś, kto podjął się dostarczyć list Antohiowi Rivolta w miejscu jego zamieszkania. Wszystko to jednak nie poszło tak szybko, jak to wygląda w naszej opowieści. Renzo dostał odpowiedź, odpisał z kolei znowu; ostatecznie ustaliła się z obu stron korespondencja, nieczęsta ani regularna, ale bądź co bądź ciągła.

Aby jednak nabrać o niej właściwego pojęcia, trzeba wiedzieć, jak na ogół te sprawy wyglądały w owych czasach — i jak wyglądają po dziś dzień; gdyż na tej zapadłej prowincji zmieniło się, jak sądzę, w tej dziedzinie niewiele albo nic. Wieśniak nie umiejący pisać zwraca się, o ile znajdzie się w potrzebie, do kogoś posiadającego tę sztukę. Wybiera go w miarę możliwości spośród równych sobie stanem, bo do innych nie ma zaufania. Opowiada mu mniej lub bardziej jasno i składnie, o co chodzi i co ma być w liście zamieszczone. Ów biegły w piśmie część rozumie, część puszcza mimo uszu, udziela rad, proponuje pewne zmiany, wreszcie powiada: „Zdajcie się na mnie.” Bierze pióro, stara się ubrać cudze myśli w jaką taką formę, poprawia je, ulepsza, tu ujmie, tu doda, jak mu się zdaje lepiej dla osiągnięcia celu. Bo tak już jest i nie ma na to rady, że kto więcej umie, nie chce być martwym narzędziem w ręku mniej umiejącego, a kiedy zajmuje się cudzą sprawą, chce ją przerobić na swoją modłę. W rezultacie takiemu pisarzowi nie zawsze się udaje napisać to wszystko, co miało być napisane; czasem zdarza mu się powiedzieć coś zupełnie innego. Zdarza się to zresztą i nam piszącym do druku. Gdy wreszcie list w ten sposób ułożony dociera do rąk adresata, również niezbyt biegłego w abecadle, niesie on go do innego uczonego tegoż pokroju, który mu go czyta i objaśnia. Rodzą się wątpliwości co do sposobu rozumienia tego lub owego, ponieważ zain

teresowany, opierając się na znanych mu okolicznościach poprzednich, przypisuje jakimś słowom inne znaczenie, pisarz zaś, znający zwykle metody komponowania listów — zupełnie inne. Ostatecznie, nieuk zmuszony jest oddać się w ręce uczonego i powierzyć mu z kolei odpowiedź. Ta znowu, skomponowana wedle widzimisię pisarza, podlega dalszym objaśnieniom po dojściu do celu. A jeżeli w dodatku przedmiot korespondencji nie nadaje się do ujawnienia, jeżeli wchodzi w grę jakieś sprawy tajemne, które nie powinny być zrozumiane przez osoby trzecie, w razie gdyby list wpadł w niepowołane ręce, jeżeli z tych względów autorzy listów wolą nie wypowiadać się zbyt jasno, to po dłuższym trwaniu takiej korespondencji obie strony rozumieją się mniej więcej tak, jak rozumiało się niegdyś pomiędzy sobą dwóch scholastyków po czterogodzinnej dyspacie na temat entelechii. Nie chcemy tu sięgać do porównań bardziej współczesnych, bo moglibyśmy łąco oberwać po łbie.

Otóż korespondencja pomiędzy naszymi znajomymi wyglądała tak właśnie, jak to zostało tu opisane. Pierwszy list, napisany w imieniu Renza, zawierał dużo materiału. Poza opisem ucieczki, znacznie zwięźlejszym, ale i bardziej zawiłym od tego, któryście czytali, było tam szczegółowe sprawozdanie z obecnego położenia Renza. Ale zarówno Agnese, jak jej lektor i doradca zupełnie nie mogli utworzyć sobie z tych wiadomości jasnego i całkowitego obrazu: tajemnicze ostrzeżenie, zmiana nazwiska, zapewnienie, że jest bezpieczny, ale musi pozostać w ukryciu — wszystko to wydało im się dziwne i niezrozumiałe, zwłaszcza że w liście wyrażone było w sposób świadomie niejasny. Następowaly dalej natarczywe, namiętne pytania o Lucję, pełne bólu wzmianki o wieściach, których strzępki dotarły aż

do Renza. Były wreszcie wyrazy mglistych i odległych nadziei, projekty, obietnice i prośby o dochowanie mu wiary, o to, by, nie tracąc cierpliwości i odwagi, czekać, aż się wszystko na dobre obróci.
W jakiś czas później Agnese znalazła pewną okazję przesłania do rąk Renza odpowiedzi oraz pięćdziesięciu

skudów przeznaczonych dlań przez Lucję. Na widok takiej ilości złota Renzo nie wiedział, co o tym myśleć. Zdumienie i niepewność nie pozwoliły mu się ucieszyć tym bogactwem. Pobiegł czym prędzej odszukać kogoś, kto by mu list odczytał i dał klucz do tej przedziwnej zagadki.

Sekretarz Agnese zaczął od ubolewań nad niejasnością listu Renza, po czym przeszedł do równie niejasnego opisu strasznej przygody „wiadomej osoby” (tak właśnie się wyraził); tłumaczył dalej, skąd wzięło się owe pięćdziesiąt skudów; wreszcie napisał coś o ślubowaniu, ale uczynił to przy pomocy wielu omówień; zakończył zaś otwarcie i po prostu wyrażoną radą, by Renzo uciszył niepokoje swego serca i nie myślał o tym więcej.

Mało brakowało, by Renzo rzucił się na swego lektora: Dygotał z gniewu, szalał, rozpaczał z powodu tego, co zrozumiał, i tego, czego zrozumieć nie potrafił. Kazał sobie odczytywać fatalne pismo trzy czy cztery razy; już był pewien, że teraz dopiero je pojmuje, to znów wydawało mu się niezrozumiałe to, co przedtem było zupełnie jasne. Miotany gwałtownymi uczuciami zażądał, by „sekretarz” natychmiast chwycił za pióro i odpowiadał. Po wyrażeniu najgwałtowniejszych, jakie sobie można wyobrazić, uczuć miłości i grozy, wywołanych dziejami Lucji, dyktował dalej:

— Napiszcie, że uspokoić swego serca zgoła nie pragnę i nigdy nie uspokoję; że pieniędzy tych nie tknę, ale zachowam je, jako oddane mojej pieczy, na posag dla niej; że ona musi być moją; że o żadnych ślubowaniach nic nie wiem i że zawsze słyszał, jako Madonna dopomaga nieszczęśliwym i wyjednywa dla nich zmiłowanie, ale żeby nakazywała krzywdzić i łamać dane słowo, tegom nie słyszał, jak żyję. Nie może więc to być żadną miarą, a. za te pieniądze możemy jeno urządzić wspólny dom. A choć jestem teraz w niejakich kłopotach, to przecież burza wkrótce przeminie... — i wiele jeszcze podobnych rzeczy.

Agnese otrzymała ten list, wysłała odpowiedź — i tak ciągnęła się ta korespondencja, jak to było wyżej opisane. Lucja, kiedy matka znalazła sposób powiadomienia jej, że Renzo żyje, jest zdrow i dostał od nich wiadomość, poczuła niezmierną ulgę i niczego już nie pragnęła prócz tego, by on o niej zapomniał. A raczej, jeśli chcemy określić to zupełnie ściśle, żeby starał się o niej zapomnieć. Ona ze swej strony sto razy dziennie czyniła takie samo posta

nowienie w stosunku do niego; próbowała też wszystkiego, co jej w tym mogło dopomóc. Pracowała pilnie, starała się całkowicie pogrążyć w robocie, a kiedy obraz Renza jawił się przed jej oczyma, modliła się w duchu albo śpiewała pobożne pieśni. Ale obraz ów jak na złość nie pojawiał się tak otwarcie, sam przez się, ale wciskał się podstępnie pomiędzy inne, tak że umysł Lucji nie od razu uświadamiał sobie niebezpieczeństwo. Dziewczyna wciąż prawie przebywała myślą przy matce. Jakże mogłoby być inaczej? A wspomnienie Renza wsuwało się niepostrzeżenie pomiędzy nie obie, tak jak Renzo rzeczywisty tylekroć to robił. Tak samo obraz jego towarzyszył wszystkim osobom, jawił się we wszystkich miejscach, jakie Lucja wywoływała z pamięci. A jeśli kiedy biedaczka puszczała wodze marzeniom o przyszłości — i tam pojawiał się także, po to chociażby, aby powiedzieć: „A mnie w tym wszystkim nie

będzie;" Jeśli całkowite wyrzucenie go z myśli było zadaniem beznadziejnym, to jednak w pewnej mierze udawało się Lucji rzadziej o nim myśleć. Udawałoby się to może i lepiej, gdyby tylko ona jedna do tego dążyła. Niestety, donna Prassede, która postawiła sobie za cel wyrwać z duszy dziewczyny tego niegodnego, nie widziała lepszego po temu sposobu niż raz po raz o nim wspominać.

— No jakże? — zagadywała. — Nie myślimy już o nim wcale?

— Nie myślę o nikim — odpowiadała Lucja.

Donna Prassede nie poprzestawała jednak na takiej odpowiedzi. Mówiła, że słowa to mało, że potrzeba czynów. Rozwodziła się nad obyczajami młodych dziewcząt, które — twierdziła — jak wbijają sobie w głowę jakiegoś nicponia (a zawsze do takich właśnie mają skłonność), to i wybić go sobie nie mogą. Kiedy chodzi o poważną partię, o statecznego, uczciwego człowieka, to jeśli mu się trafi przypadkiem dziewczynę porzucić, każda łatwo się z tym pogodzi. Ale niech to będzie jakiś urwipoleć, rana w sercu pozostanie nie zabliźniona.

Po czym następowało nieuchronne pomstowanie na biednego wygnańca — tego hultaja, co zjawił się w Mediolanie, by tam kraść i mordować; zacna dama usiłowała też wydobyć z Lucji wyznanie o tych rozlicznych łajdactwach, które popełniać musiał i przedtem w swojej wsi.

Lucja zapewniała głosem drżącym ze wstydu, bólu i ta

kiej pogardy, do jakiej była zdolna jej łagodna natura i jaka była w tych okolicznościach możliwa, że w ich wsi nikt nigdy nie mówił o Renu inaczej niż dobrze. „Żałuję — mówiła — że nie ma tu nikogo stamtąd, kto mógłby dać temu świadectwo." Broniła go również tam, gdzie chodziło o jego mediolańskie perypetie, choć bardzo niewiele o nich wiedziała. Broniła go, ponieważ znała jego dotychczasowe życie, wszystkie jego uczynki od lat dziecińczych. Broniła go także z umiłowania prawdy i z obowiązku miłości bliźniego — tak przynajmniej sama przed sobą tłumaczyła swoje pobudki. Ale donna Prassede wytaczała w odpowiedzi nowe argumenty, aby przekonać Lucję, że serce jej znajduje się wciąż jeszcze w stanie zatracenia. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, jak to z tym było w owych chwilach. Zohydzony wizerunek nieszczęsnego młodzieńca, jaki stara dama stawiała przed oczyma Lucji, budził w jej sercu przez ducha przekory tym żywszy i wyraźniejszy obraz, wryty tam przez długoletnie przyzwyczajenie. Wspomnienia, siłą odpędzane, jawiły się tłumnie. Odrazą i pogardą, z jaką o nim mówiono, sprawiały, że Lucja przywoływała na pamięć wszystko to, co nakazywało szacunek dla niego. Ślepa i gwałtowna nienawiść budziła tym tkliwsze współczucie. Któż wie, jaką cząstkę tych wszystkich uczuć stanowiło to inne, tak łatwo wślizgujące się w serce w ślad za tamtymi? Wyobraźmy sobie, co się stanie, jeśli zechce się je siłą odpędzić? Tak czy inaczej, obronne mowy Lucji nigdy nie trwały długo: niezmiennie bowiem tonęły w wybuchach płaczu.

Gdyby to jakaś zadawniona złość dyktowała donnie Prassede takie traktowanie Lucji, możliwe, że te łzy zmiękczyłyby ją i skłoniły do zaprzestania. Ale że działała dla jej dobra, ciągnęła mężnie dalej i nic nie mogło jej wzruszyć: tak jęki i błagania mogą powstrzymać miecz wroga, ale nie nóż chirurga. Kiedy uważała, że na ten raz dopełniła godnie swojego obowiązku, zacna dama od wymysłów i złośliwości przechodziła do nauk moralnych, zbawiennych rad okraszonych gdzieniegdzie pochwałą, by w ten sposób, gorzyc łagodząc słodyczą i działając na zbląkaną duszę ze wszystkich stron, łatwiej osiągnąć zamierzony cel. Przyznać trzeba, że te połajanki (mające z niewielkimi odmianami zawsze ten sam początek, środek i koniec) nie pozostawiały w poczciwym sercu Lucji zbyt silnej urazy

względem surowej kaznodziejki, która poza tym traktowała ją z wielką życzliwością; nawet i w tych kazaniach można było dopatrzeć się dobrej intencji. Pozostawiały natomiast takie wrzenie, taki niepokój w myślach i uczuciach, że trzeba jej było wiele czasu i wysiłku, by powrócić do poprzedniego względnie spokoju.

Szczęściem dla Lucji nie była ona jedyną osobą, jakiej donna Prassede uważała za konieczne wyświadczać dobrodziejstwa, stąd też i kazania nie mogły powtarzać się zbyt często. Oprócz domowników, których umysły mniej lub więcej potrzebowały naprowadzenia na właściwą drogę, oprócz mnóstwa innych okazji do podobnie zbawiennych wysiłków — z dobrego serca, bez żadnego zgoła obowiązku — okazji, których szukała gorliwie, jeżeli nie nastroczały się same, poza tym wszystkim donna Prassede posiadała pięć córek. Żadna z nich nie przebywała w rodzicielskim domu, przysparzały jednak matce więcej troski, niż gdyby były na miejscu. Trzy były zakonnicami, dwie zamężne. W rezultacie więc donna Prassede musiała sprawować nadzór nad trzema klasztorami i dwoma domami: zadanie rozległe i zawiłe, tym trudniejsze, że zarówno obaj mężowie, popierani w tym przez swoich ojców, matki i rodzeństwo, jak i wszystkie trzy opatki zbrojne we wszelakie godności i otoczone armią swoich mniszek — nie chcieli poddać się tej wyższej władzy. Trwała więc wieczna wojna, a właściwie pięć wojen, ukrytych do pewnego stopnia pod pozorami uprzejmości, ale wciąż żywych i nieprzerwanych. We wszystkich tych pięciu warunkach z niesłabnącą czujnością poskramiano troskliwie zakusy matrony, zamykano bramy przed jej radami, pozostawiano bez odpowiedzi jej pytania, starano się, aby jak najmniej wiedziała o sprawach każdej z nich. Nie mówię tu o sprzeciwach i trudnościach, na jakie napotykała przy próbach ujęcia w swoje ręce wielu spraw jeszcze bardziej obcych; wiadomo, że do wyświadczenia ludziom dobrodziejstw bardzo często używać trzeba przemocy, tak że ostatecznie święty swój zapal mogła donna Prassede przejawiać bez przeszkód jedynie we własnym domu. Tam wszyscy byli jej w zupełności i pod każdym względem podporządkowani. Oprócz don Ferranta, z którym rzecz się miała zupełnie osobliwie.

Był to człowiek nauki, nie lubiący ani rządzić innymi, ani słuchać cudzych rozkazów. Chętnie pozwalał małżonce

władać wszystkimi sprawami domowymi; żeby on jednak miał być niewolnikiem — co to, to nie! Jeżeli na jej prośbę służył jej w potrzebie swoim piórem, to dlatego, że mu to sprawiało przyjemność; zresztą, i w tej dziedzinie potrafił powiedzieć: „nie”, jeżeli to, co miałby napisać, nie trafiało mu do przekonania. „Wysil się, mościa dobrodziko — mawiał w takich wypadkach — zróbże po swojemu, skoro ci się to takie proste wydaje. Donna Prassede po wielu bezowocnych próbach przeciągnięcia go od biernej zgody do czynnej służby musiała poprzestać na zrzęczeniu i nazywaniu małżonka wygodnisiem, uparciuchem, uczonym. Ten ostatni epitet oprócz irytacji zawierał także nieco łaskawej pobłażliwości.

Don Ferrante wczesnym rankiem przechodził do swej pracowni, gdzie miał niemalą kolekcję książek, blisko trzysta tomów, same wyborne dzieła, głośnie w świecie, zahaczające o najróżniejsze dziedziny; w każdej z nich był on mniej lub więcej biegły. Co się tyczy astrologii, uważamy go, i nie bez racji, za coś więcej niż dyletanta; nie ograniczał się bowiem w tej materii do znajomości ogólnych zasad i utartego słownictwa o wpływach, aspektach i horoskopach, ale umiał rozprawiać uczenie, jak z katedry, o dwunastu znakach zodiaku, o wielkich ekliptykach, szlakach jasnych i ciemnych, najwyższych i najniższych pozycjach gwiazd, o ich wędrówkach i obrotach, jednym słowem, o najpewniejszych, najmocniej ugruntowanych podstawach tej nauki. Jakież dwadzieścia lat przedtem podtrzymywał on w licznych i długotrwałych dysputach podział nieba według Cardana przeciwko innemu uczonemu, gwałtownie obstającemu przy teorii Alcabizja, „przez czysty upór” — twierdził don Ferrante. Bo jakkolwiek chętnie przyznawał starożytnym wyższość w tej dziedzinie, przecież ścierpieć nie mógł uporczywego odmawiania słuszności uczonemu nowożytnemu, skoro ta słuszność była tak niewątpliwa, że każdy musiał ją dostrzec. Posiadał też nieprzeciętną znajomość dziejów tej nauki; umiał w potrzebie cytować sławne przepowiednie, które się sprawdziły, oraz roztrząsać drobiazgowo a uczenie takie, które roz

wiały się w nicość, dowodząc, że nie była to wina samej nauki, lecz tych, którzy się nią posługiwać nie umieli. Z filozofii starożytnej nauczył się tyle, ile należało; wciąż zresztą uzupełniał swoje w tej materii wykształcenie czytając Diogenesa z Laerty. Ponieważ jednak nie można przyjąć wszystkich systemów naraz, mimo że wszystkie mają swoje uroki, a chcąc być prawdziwym filozofem trzeba sobie wybrać jednego mistrza, don Ferrante zdecydował się na Arystotelesa, o którym mawiał, że nie jest ani starożytny, ani nowożytny: jest po prostu filozofem. Miał też w bibliotece rozliczne dzieła najmědrszych i najsubtelniejszych spośród jego nowożytnych kontynuatorów. Pism jego przeciwników nie czytał nigdy, nie chcąc, jak, mówił, tracić czasu na próżno. Nie kupował ich też, by nie wyrzucać na próżno pieniędzy. W drodze wyjątku jedynie użyczył miejsca w swojej bibliotece dwudziestu dwom księgom De subtilitate i paru innym pismom antyperypatetycznym Cardana, ze względu na jego zasługi na polu astrologii. Twierdził, że ten, kto potrafił napisać traktat De restitutione temporum et motuum coelestium oraz księgę Duodecim geniturarum, zasługuje na to, by go wysłuchać nawet wtedy, kiedy mówi brednie; że główną wadą tego człowieka był nadmiar geniuszu; że wreszcie nikt nie potrafił sobie wyobrazić, do czego mógłby on dojść na polu filozofii, gdyby zawsze kroczył prostą drogą. Zresztą, jakkolwiek w opinii uczonych don Ferrante uchodził za wytrawnego perypatetyka, on sam nie miał przekonania, że osiągnął w tej dziedzinie pełnię wiedzy i niejednokrotnie mówił z zadziwiającą skromnością, że esencje, powszechniki, dusza świata i natura rzeczy nie są to bynajmniej sprawy tak jasne, jakby się mogło wydawać. Historia naturalna była dla don Ferranta raczej rozrywką niż przedmiotem studiów; z tej dziedziny nawet dzieła Arystotelesa i Pliniusza czytał tylko, ale nie przestudiował głębiej. Niemniej lektura ta oraz wiadomości tu i ówdzie zaczerpnięte z traktatów filozoficznych — i z przejranych pobieżnie takich dzieł, jak Magia naturalna Porty,

trojaka historia „lapidum, animalium, plantarum” Car dana, z Traktatu o roślinach i zwierzętach Alberta Magnusa i niektórych innych, mniej ważnych pism — pozwalały mu do woli rozprawiać o szczególnych własnościach rozmaitych „symplicjów”, jak nazywano wówczas rośliny lekarskie, opisywać z całą dokładnością kształty i obyczaje syren oraz jedyne w świecie feniksa, objaśniać, dlaczego salamandra żyje w ogniu nie spalając się albo jakim sposobem taka rybka jak wątlusz potrafi zatrzymać w miejscu wielki okręt na pełnym morzu; jaką drogą kropelki rosy zmieniają się we wnętrzu muszel w perły; jak kameleon żywi się powietrzem; jak z lodu stopniowo twardniejącego tworzy się w ciągu wieków kryształ — i o wielu równie zadziwiających tajemnicach przyrody.

Bardziej zagłębiał się w tajemnice białej i czarnej magii, jako że, według słów naszego anonima, była to nauka znacznie użyteczniejsza i ciesząca się większym uznaniem, a fakty nie tylko odgrywają w niej ważniejszą niż w innych rolę, ale są też łatwiejsze do sprawdzenia. Nie trzeba dodawać, że studiom tym nie przyświecał żaden inny cel prócz chęci kształcenia swego umysłu oraz zapoznania się z ciemnymi praktykami czarowników, by móc się przed nimi mieć na baczności, a w razie potrzeby obronić. Zbrojny w dzieło znakomitego Marcina Delrio (męża wielce uczonego), don Ferrante zdolny był wygłaszać prelekcje ex professo o czarach miłosnych, czarach sprowadzających sen, czarach wrogich i nieskończonej ilości najrozmaitszych czarów, jakie, niestety, powiada anonim, wciąż jeszcze uprawia się w służbie tych trzech głównych rodzajów, wywołując pożałowania godne skutki. Podobnie rozległe i mocno ugruntowane były wiadomości don Ferranta w dziedzinie historii, zwłaszcza powszechnej; ulubieni jego autorzy to: Tarcagnola, Dolce, Bugatti, Campana, Guazzo — jednym słowem, najznakomitsi.

„Ale czymże jest historia — mawiał często don Ferrante — bez polityki? Jest jak przewodnik, który wędruje i wędruje, a nikt za nim nie idzie, komu miałby wskazywać drogę, trzusi się więc zupełnie bez pożytku. A znów polityka bez historii jest jak wędrowiec pozbawiony przewodnika." W szafach bibliotecznych don Ferrante mieli więc i politycy swoją półkę. Pośród wielu pomniejszych i nie tak głośnych były tam w oczy dzieła Bodina, Cavalcantiego, Sansovina, Paruty i Boccaliniego. Dwie jednak książki don Ferrante przekładał ponad wszystkie inne z tej dziedziny; obie zwykł był nazywać najlepszymi, przez długi czas nie mogąc się zdecydować, której z nich przyznać pierwszeństwo. Jedną z nich to Książę i Mowy sławnego florenckiego sekretarza, o którym don Ferrante mawiał, że to krętacz, ale umysł głęboki; druga — to Racja stanu niemniej sławnego Giovanniego Botero („Uczciwy człowiek — mówił don Ferrante — choć przykry"). Na krótko przed opisywanymi tu wypadkami wyszła z druku książka, która z miejsca przecięła zagadnienie pierwszeństwa wysuwając się na czoło przed dzieła tamtych obu „matadorów", jak ich don Ferrante nazywał; książka, w której wszystkie wymienione w tamtych obu podstępny znalazły się w formie skondensowanej i jeśli można tak rzec, wydestylowanej po to, by je można było na wskroś przejrzeć, wszystkie zaś cnoty i zalety — by je w czyn wprowadzać; mała książeczka, ale z czystego złota; jednym słowem, Polityk panujący don Valeriana Castiglione, owego przesławnego męża, o którym rzec można, że

najcześnie ludzie wychwalali go na wyścigi, a najwięksi dostojnicy wydzielali go sobie; człowieka, którego papież Urban VIII zaszczycił, jak wiadomo, najwyższymi pochwałami; którego kardynał Borghese i wielokról Neapolu Pietro da Toledo nakłaniali do opisania, pierwszy — dziejów papieża Pawła V, drugi — wojen króla katolickiego we Włoszech, jeden i drugi na próżno; tego człowieka, którego Ludwik XIII, król Francji, za namową kardynała Richelieu mianował swoim historiografem; któremu książę Sabaudii, Karol Emanuel, powierzył także zadanie; któremu księżniczka Krystyna, córka wielce chrześcijańskiego króla Henryka IV, zapewniła, obok wielu zaszczytnych tytułów wymienionych w dyplomie, „wiecznotrwałą w Italii sławę największego pisarza naszych czasów".

Jeśli w tych wszystkich dziedzinach wiedzy don Ferrante mógł się uważać za nieprzeciętnie wykształconego, istniała przecież jedna, w której zasłużenie cieszył się mianem mistrza: sztuka rycerska. Nie tylko rozprawiał o niej z wielką znajomością rzeczy, ale ilekroć proszono go, a zdarzało się to często, o interwencję w sprawach honorowych, nie uchylał się od wyrokowania. W bibliotece, a można powiedzieć, że i w głowie, miał dzieła najgłośniejszych w tej materii autorów; figurowali tam: Paride da Pozzo, Fausto da Longiano, Urrea, Muzio, Romei, Albergato; Forno pierwszy i Forno drugi Torquata Tassa, którego miał również pod ręką Jerozolimą wyzwoloną i Jerozolimą zdobytą i umiał w potrzebie cytować z nich długie ustępy, a to, jak wiadomo, w materii honoru rycerskiego uznane powagi. Najwyższym jednak w tej dziedzinie autorytetem był dla don Ferrante nasz słynny Francesco Birago, u którego niejednokrotnie zasięgał rady w trudnych i subtelnych zagadnieniach honoru, a który ze swej strony wyrażał się o don Ferrante z najwyższym szacunkiem. Od chwili ukazania się Dyskursów rycerskich tego wybitnego autora don Ferrante przepowiadał z niezachwianą wiarą, że dzieło to zniweczy autorytet Olevana i pozostanie wraz

ze szlachetnym swym rodzeństwem powszechnie uznanym przez potomność kodeksem spraw honoru. „Proroctwo — dodaje nasz anonim — o którym każdy bez trudu może się przekonać, w jakim się stopniu spełniło.” Dalej przechodzi do omawiania literatury pięknej; my jednak zaczynamy wątpić, czy naprawdę czytelnik będzie miał ochotę podążyć tam za nim; obawiamy się też zasłużyć na zarzut niewolniczego przepisywania i zyskać sobie do spółki z anonimem miano nudziarza za to, że tak potulnie daliśmy się doprowadzić aż dotąd w dociekaniach całkowicie obcych głównemu wątkowi opowieści. Możliwe, że i on sam tak obszernie się nad tymi rzeczami rozwodził jedynie gwoli ujawnienia rozległości swojej wiedzy i pokazania, że nie pozostawał w tyle za swoją epoką. Teraz więc pozostawiamy na papierze to, co się już na papier dostało, nie chcąc, by trud nasz poszedł na marne, ale darujemy sobie resztę i ruszamy dalej w swoją drogę; zwłaszcza że musimy przebyć spory jej szmat, zanim spotkamy na nowo któregoś z naszych bohaterów, a większy jeszcze, zanim będziemy mogli przejść do wydarzeń, które zapewne interesują czytelników najbardziej — o ile w ogóle coś ich w tej całej historii interesuje. Aż do jesieni następnego roku, wszyscy chcąc nie chcąc pozostawali w tej samej mniej więcej sytuacji, w jakiej straciliśmy ich z oczu; nikomu nie przydarzyło się nic szczególnego, nikt też nie zdziałał niczego, co byłoby warte opowiedzenia. Nadeszła jesień, pora, kiedy to Agnese i Lucja obiecywały sobie spotkanie. Ale pewne doniosłe wypadki unicestwiały ten plan, a był to z pewnością jeden z najbliższych tego wydarzenia skutków. Z kolei nastąpiły dalsze, niemniej doniosłe fakty, które jednak nie przyniosły widocznych zmian w życiu naszych znajomych. Aż wreszcie przyszły jeszcze inne, rozleglejsze i groźniejsze od poprzednich i zaważyły tragicznie na losach nie tylko tej gromadki, ale i mniej od niej znaczących (mierząc miarą tego świata) osób. Podobnie huragan, groźny, na wszystko się rzucający włóczęga, który wyrывa i obala drzewa,

targa strzechy, zrywa dachy dzwonnicy, wali mury rozrzucając tu i tam ich odłamki, porywa także drobne źdźbła skryte wśród trawy, wymiata z kątów liście lekkie i suche, zagnane tam dawniej łagodnym podmuchem wietrzyka i unosi je wraz z całym swym łupem.

Zatem, aby sprawy prywatne, jakie mamy do opowiedzenia, były dla czytelników zrozumiałe, musimy najpierw koniecznie zdać, o ile możliwości, sprawę z wydarzeń publicznych, a nawet cofnąć się trochę wstecz.

Od czasu owych rozruchów w dzień św. Marcina i nazajutrz, rzec by można, że dobrobyt jakby cudem powrócił do Mediolanu. We wszystkich piekarniach chleba było pod dostatkiem, cena jak w najpomyślniejszych latach, mąka zmieszana w przepisanych proporcjach. Ci (prócz nielicznych schwytyanych), którzy w ciągu tych dwóch dni wysilali się na najgłośniejsze krzyki albo i na coś ponadto, mieli się teraz czym pochwalić. Można sobie wyobrazić, że sobie nie żalowali tej satysfakcji, skoro tylko minął pierwszy strach z powodu aresztowań. Na placach, na rogach ulic, w karczmach zapanowała jawna radość, rozbrzmiewały przechwałki i wzajemne gratulacje, że wreszcie znaleziono skuteczny sposób na potanieenie chleba. Jednak wśród powszechnej uciechy począł też kielkować (i jakże mogło być inaczej!) pewien niepokój, przeczucie, że pomyślność ta nie będzie trwała. Oblegano więc piekarnie i piekarzy jak niegdyś w czasie krótkotrwałego i złudnego dobrobytu wywołanego słynnym cennikiem Antonia Ferrer. Wszyscy objadali się bez pamięci. Kto miał odłożone parę groszy, kupował chleb i mąkę. Gromadzono zapasy w skrzyniach, beczułkach, kotłach. Tak więc, prześcigając się w korzystaniu z tej obfitości, ludność uniemożliwiała, już nie mówię stałe jej trwanie, bo to i tak nie było możliwe, ale nawet utrzymanie jej na czas krótki. I oto już listopada Antonio Ferrer De orden de Su Excelencia ogłosił dekret wzbraniający każdemu, kto posiada w domu zboże lub mąkę, robić dalsze ich zakupy, chleba zaś nikt nie miał prawa kupować więcej, niż potrzeba na przeciąg dwóch dni, „pod karą pieniężną lub cielesną, zależnie od uznania Jego Ekscelencji”. Dekret nakazywał też

zarówno tym, którzy byli do tego z urzędu obowiązani, jak i wszystkim innym osobom donosić o każdym przekroczeniu tego zarządzenia. Władzom sądowym nakazywał przeszukiwać domy, wskazane im jako podejrzone; z drugiej strony na piekarzy nakładał obowiązek stałego zaopatrywania swych sklepów w chleb „pod karą, w razie jego braku, pięciu lat galer lub większej, wedle uznania J. E.” Ten, kto potrafiłby wyobrazić sobie ściśle przestrzeganie takiego dekretu, musiałby mieć doprawdy bujną fantazję. Z pewnością gdyby wszystkie publikowane w owym czasie dekrety były wykonywane, księstwo mediolańskie miałoby na morzu co najmniej tyłu ludzi, ilu ich może potrzebować chyba jedynie Wielka Brytania.

Bądź co bądź, skoro przykazuje się piekarzom wypiekać pewną ilość chleba, trzeba pomyśleć o tym, by go mieli z czego wypiekać. Powzięto myśl (jak zwykle w okresach głodowych, kiedy próbuje się mieszać do chleba produkty spożywane zazwyczaj w innej formie), powzięto tedy myśl, użycia ryżu do wypieku chleba zwanego mieszanym. Dwudziestego trzeciego listopada ukazał się dekret o zasekwestrowaniu do dyspozycji namiestnika i dwunastu panów z Urzędu Wyżywienia połowy posiadanego przez poszczególnych obywateli ryżu niełuszczonego, zwanego wówczas, a może i po dziś dzień, „risone”; ktokolwiek zaś próbowałby się pozbyć swego zapasu bez zezwolenia urzędu, podlegać miał konfiskacie towaru i grzywnie w wysokości trzech skudów za moggio. Była to, jak każdy widzi, sprawa najzupełniej uczciwa. Ale za ryż ten trzeba było płacić, i to cenę niewspółmierną do ceny chleba. Obowiązek wyrównania tej olbrzymiej różnicy narzucono miastu; ale Rada Dekurionów, która początkowo przyjęła imieniem miasta ten ciężar, postanowiła tegoż dnia listopada przedstawić gubernatorowi całkowitą niemożliwość sprostania temu przez czas dłuższy. Gubernator dekretem z dnia grudnia ustalił cenę rzeczzonego ryżu na lirów za moggio. Kto zażądałby wyższej ceny lub odmawiał sprzedaży, podlegał karze utraty towaru oraz grzywny w tejże wysokości „lub wyższej tudzież karze cielesnej aż po galery włącznie, wedle uznania J. E., zależnie od okoliczności przestępstwa oraz osoby”.

Co się tyczy ryżu czyszczonego, cena jego była ustanowiona jeszcze przed rozruchami. Przypuszczalnie cennik

czy też, że użyjemy tu słynnego terminu nowożytnego prawodawstwa, „maksimum” wszelkich innych gatunków zbóż ustalały inne jeszcze dekryty, ale nie doszły one do naszej wiadomości.

Naturalnym skutkiem utrzymania w Mediolanie niskich cen chleba i mąki były istne procesje okolicznej ludności, ściągającej do miasta po zakupy. Don Gonzalo, by zaradzić tej, jak mówił, niedogodności, zabronił nowym dekretem z dnia grudnia wynosić z miasta więcej chleba niż za dwadzieścia soldów. Karą miała być konfiskata chleba, grzywna dwadzieścia pięć skudów, „zaś w razie niemożności dwa publiczne uderzenia powrozem lub większa kara”, jak zwykle „wedle uznania J. E.” Dwudziestego drugiego tegoż miesiąca (a nawet dziwne, że dopiero wtedy) ukazał się podobny dekret, dotyczący mąki i ziarna.

Pospólstwo chciało stworzyć dobrobyt drogą rabunku i podpalania; rząd usiłował tenże dobrobyt utrzymać przy pomocy galer i powroza. Środki te obie strony uważały za właściwe; czy było prawdopodobne, że osiągną cel, czytelnik może sam osądzić; a jakie były ich skutki, zobaczy w dalszym ciągu opowieści. Łatwo zresztą dostrzec, a i pożytecznie zaobserwować, jak ścisły związek istnieje pomiędzy tymi tak różnorodnymi metodami; jak każda z nich była koniecznym wynikiem poprzedniej, a wszystkie razem wynikiem tej pierwszej, która ustaliła cenę chleba tak daleką od jego wartości realnej, czyli opartej na stosunku podaży i popytu. Oczom pospólstwa takie posunięcia wydają się zazwyczaj aktem sprawiedliwości, prostym i łatwym do wykonania; toteż, rzecz prosta, w okresach braków i cierpień z powodu drożyzny ludność pragnie takich zarządzeń, domaga się ich, a w razie potrzeby do nich zmusza. Później, w miarę jak dają się odczuć niepożądane ich skutki, ci, do których to należy, muszą z kolei przeciwdziałać im za pomocą zarządzeń wzbraniających ludności czynić to, do czego ją poprzednio upoważniały. Tutaj pozwalamy sobie zwrócić uwagę na szczególne zjawisko: oto w innym kraju i innej epoce, najgłośniejszej i najdonioślejszej w całych dziejach nowożytnych, rząd uciekł się w podobnych okolicznościach do środków podobnych (można by nawet rzec: tych samych, zachodzą tu bowiem róż

nice jedynie ilościowe), mimo że były to już inne czasy, a poziom nauki w Europie, w owym zaś kraju może bardziej niż gdzie indziej, znacznie się podniósł. Przyczyną tego było, że masy ludowe, do których to oświata wcale nie docierała, na długi czas narzuciły swoje sądy i swoją wolą tym, którzy ustanawiali prawa.

Wracając do naszych spraw — najważniejsze skutki owych rozruchów głodowych były dwa: zniszczenie i straty w produktach, jakie nastąpiły w czasie samych zamieszek, oraz nadmierne, bezmyślne spożycie trwające przez cały okres niskich cen, a odbywające się kosztem zapasów zboża, które musiały przecież jakoś wystarczyć do nowych zbiorów. Prócz tych skutków ogólnej natury wymienimy jeszcze czterech nieszczęśników, których powieszono jako podżegaczy do buntu: dwóch przed splądrowaną piekarnią, dwóch u wylotu ulicy, przy której mieścił się dom namiestnika. Zresztą, relacje historyków są w tej mierze tak niekompletne, że nie wiemy na przykład wcale, jak i kiedy zakończył się ów zamęt cen. Jeżeli w braku świadectw współczesnych wolno wysuwać własne przypuszczenia, skłonni jesteśmy sądzić, że nastąpiło to około dwudziestego czwartego grudnia, w którym to dniu dokonano owej egzekucji. Co się tyczy dekretów, to nie natrafiliśmy w tej materii na żadne późniejsze od tego, który opublikowano dwudziestego drugiego tegoż miesiąca. Może zaginęły, może uszły naszej uwadze, może rząd, zniechęcony, jeśli nie przekonany o bezskuteczności swych środków, bezsilny wobec wypadków, pozostawił je swemu biegowi. U niejednego z ówczesnych historyków (bardziej skłonnych do opisywania wielkich wydarzeń niż do zastanowienia się nad ich przyczynami i rozwojem) znajdujemy obraz kraju, a w szczególności miasta w okresie owej zimy i wiosny, kiedy przyczyna klęski — dysproporcja między ilością zapasów a ich zapotrzebowaniem — nie tylko nie była usunięta, ale, przeciwnie, wzmożona środkami, które powierzchownie i przemijająco zaradzały klęsce. Nie sprowadzano zboża spoza granic, bo brak było na to funduszy zarówno publicznych, jak prywatnych; na przeszkodzie stała zła sytuacja żywnościowa sąsiednich państw, słabość organizacyjna handlu, wreszcie same prawa dążące uparcie do utrzymania niskich cen, podczas gdy

kłeska głodu wzmagala się z przerażającą siłą. Oto jak ów obraz wyglądał:

Co krok zamknięte sklepy. Warsztaty po większej części opustoszałe. Ulice przedstawiały nieopisany widok; był to nieustający pochód nędzy i wszelkiego cierpienia. Zawodowi żebracy, którzy znaleźli się teraz w mniejszości, wmieszani i zagubieni w tłumie tych, których los zmusił do wypraszania jałmużny od tych samych może, którym ją w lepszych czasach dawali. Pomocnicy sklepowi i chłopcy z oberż, zwolnieni przez właścicieli i pozbawieni zarobków, żyli nędznie z zaoszczędzonych groszy. Sami właściciele wobec kompletnego zastoju w interesach bankrutowali i popadali w ruinę. Robotnicy i nawet majstrowie wszelkich rzemiosł i sztuk, od najpospolitszych do najwykwintniejszych, od najniezbędniejszych do najbardziej zbytkownych, wałęsali się od bramy do bramy, z ulicy na ulicę, bezczynnie podpierając ściany czy wysiadując kamienie bruku obok pałaców i kościołów, żałośnie prosząc o jałmużnę lub też wahając się pomiędzy koniecznością zebrania a nieprzewyciężonym jeszcze uczuciem wstydu, wychudli, wyczerpani, drżący z zimna i głodu, w zniszczonych i nie dość ciepłych ubraniach, w których gdzieśgdzie dawały się dostrzec ślady minionego dostatku; podobnie poprzez tę przymusową bezczynność i upokorzenie przebijalo coś świadczącego o dawnym pracowitym i uczciwym życiu. W tym nieszczęsnym tłumie przewijali się w niemałej liczbie zwolnieni służy zamożnych domów, które również poznały teraz mierność, a nawet niedostatek. Nawet najbogatsi nie byli w stanie utrzymać w tym ciężkim roku równie licznej jak zwykle służby; a reszta tych ludzi, którzy znaleźli się bez środków do życia, powiększała wielka ilość tych, którzy dotychczas żyli na ich koszt — dzieci, kobiety, starcy otaczający swoich dawnych żywicieli lub też rozproszeni w pogoni za jałmużną. Wśród tłumów biedaków odróżniali się dziwnym strojeniem i zawadiackimi czubami na głowie liczni brawi, którzy, utraciwszy w ogólnym zubożeniu swój hultajski chleb, żebrali on u innych. W ich twarzach i zachowaniu było coś nieuchwytnego, pewne piętno, jakie zazwyczaj wyciska na człowieku tryb jego życia, tym bardziej widoczne, im dalej ów tryb życia odbiega od normalnego. Poskromieni głodem, rywalizowali z innymi już tylko

w prośbach; przerażeni, oszołomieni wlekli się posepnie ulicami, które tylekroć przebywali z hardo wzniesioną głową, srogim i podejrzliwym spojrzeniem, strojni w bogate i wymyślne liberie i ogromne pióra, bogato uzbrojeni, wymuskani, wyperfumowani; pokornie wyciągali rękę, tylekroć "wznoszoną po to, by grozić bezczelnie lub zdradziecko ranić.

Może jednak najbardziej ponury i litość budzący widok przedstawiali wieśniacy wędrujący bądź samotnie, bądź po dwoje lub całymi rodzinami. Ojcowie i matki z drobnymi dziećmi w ramionach lub na plecach, z większymi czepiającymi się rąk, ze starcami wlokącymi się z tyłu. Jedni z nich opuścili w rozpacz domostwa ogołocone ze wszystkiego przez żołnierstwo, rozkwaterowane tam czy tylko zatrzymujące się w marszu. Niektórzy, chcąc wzbudzić więcej litości, pokazywali sińce i blizny otrzymane podczas bronięcia nędznych resztek swojego dobytku albo kiedy uciekali przed ślepym i brutalnym rozpasaniem. Byli tam i tacy, którzy nie doświadczyli jeszcze na sobie podobnych klęsk indywidualnie, ale wygnani zostali ze swoich wiosek przez te dwie, od których żaden zakątek kraju nie był wolny:.. nieurodzaj i podatki nakładane w niesłychanej wprost wysokości dla sprostania temu, co nazywano kosztami wojny. Wędrowali do miasta jako do odwiecznego siedliska i ostatniego schronienia bogactwa i zbożnej hojności. Łatwo było odróżnić świeżo przybyłych po niepewnym zachowaniu, naiwnym zdumieniu i urazie, z jaką napotykali tę

tak olbrzymią rzeszę rywali w miejscu, gdzie mieli nadzieję wzbudzić swym zjawieniem się powszechne współczucie, przyciągać spojrzenia i uzyskać ratunek. Inni, którzy już od dłuższego lub krótszego czasu krążyli po ulicach miasta, utrzymując się przy życiu dzięki nędznym, przypadkiem otrzymanym zasiłkom, zupełnie niewspółmiernym z ich potrzebami, mieli wyryty na twarzach i w gestach wyraz posępnej rozpacz i bezmiernego znużenia. Ci, których w ogóle można było jeszcze nazwać odzianymi, odziani byli bardzo rozmaicie — a i wygląd ich samych także był różnorodny: widziało się bezbarwne twarze ludzi z nizinnych połaci kraju, ciemniejsze — z okolic pagórkowatych i brunatnoczerwone, ogorzałe twarze górali. Ale wszystkie wychudłe i udręczone, wszystkie z zapadniętymi oczyma, spojrzeniem nieru

chomym, posępnym, półprzytomnym. Włosy zmierzwiłone, brody długie i skudłane; ciała nawykłe do twardej pracy, osłabłe teraz w beczynności; skóra zbrudzona na żyłastych ramionach, na nogach i wychudłych piersiach widnych, przez dziury w odzieży. Odmienny, ale niemniej bolesny od tego obrazu zmarnowanej siły, był widok tych, których pleć lub wiek czyniły z natury słabszymi i bardziej bezradnymi.

Tu i owdzie leżało na ulicach pod murami domów trochę zdeptanej i roztartej na proch słomy pomieszanej ze śmieciem i nieczystościami. A nawet i to paskudztwo było darem miłosierdzia. Był to jedyny barłóg, na jakim mogli złożyć nocą głowy niektórzy z tych nędzarzy. Nawet w dzień spotykało się leżących tam takich, którym głód i zmęczenie podcięło nogi. Gdzieniedzie leżały na tym żalonym posłaniu trupy albo widziało się kogoś, kto padał tam raptem jak bezsilny łachman, aby nie poruszyć się więcej.

Czasami nad takim barłogiem nędzarzy pochylał się jakiś przechodzień czy sąsiad przejęty nagłą litością.

Gdzieniedzie można też było dostrzec pomoc lepiej zorganizowaną i bardziej przewidującą, udzielaną ręką bogatą w środki i przywykłą do wyświadczenia dobrodziejstw: była to ręka szlachetnego Federiga. Wybrał on sześciu księży łączących w sobie żywe i wytrwałe uczucie miłosierdzia z silną kompleksją i zdrowiem. Podzielił ich na dwójki i każdej z nich powierzył opiekę nad trzecią częścią miasta. Zadaniem ich było stale przebiegać daną „dzielnicę”, a w ślad za nimi szli tragarze obciążeni różnorodną żywnością, szybko działającymi środkami wzmacniającymi i odzieżą.

Każdego ranka tych sześciu księży wyruszało dwójkami w trzy różne strony miasta, zbliżali się do leżących na ziemi nieszczęśliwych i udzielali każdemu z nich odpowiedniej pomocy. Konający, niezdolni już do przyjęcia pokarmu, otrzymywali ostatnią posługę i pociechę religijną. Zgłodniałych karmiono zupą, jajami, chlebem, winem; innym, od dawna wyczerpanym głodem, podawano środki wzmacniające i mocniejsze wino, pokrzepiwszy ich najpierw, jeśli zachodziła potrzeba, pokarmem duchowym. Równocześnie rozdzielano odzież do okrycia najżałośniejszej nagości. Na tym nie kończyło się owo miłosierdzie; dobry pasterz

starał się w miarę możliwości zapewnić cierpiącym trwalszą, nie tak przemijającą pomoc. Tym, którzy po pierwszym posiłku odzyskali na tyle siły, że mogli podnieść się i iść, dawano trochę pieniędzy, żeby z braku ich nie popadli na nowo w stan tak rozpaczliwy. Innym znajdowano schronienie i utrzymanie w którymś z najbliższych domów. W dostatniejszych przyjmowano ich zazwyczaj za darmo jako poleconych przez kardynała; w innych, gdzie dobrej woli było więcej niż materialnych zasobów, księża prosili o przyjęcie biedaków za opłatą, ustalali jej wysokość i częściami

natychmiast ją uiszczali. Proboszcze miejscowi dostawali spisy tych ludzi z poleceniem odwiedzania ich, a i ci sami księża wracali tam jeszcze.

Rzecz jasna, że Federigo nie ograniczał dobroczynności do tej najcięższej niedoli ani nie trzeba było takich widoków, by go poruszyć. Miłosierdzie jego, płomienne i wszystko ogarniające, musiało wszędzie dotrzeć, wszędzie przyłożyć rękę, pomagać tam, gdzie nie dało się złu zapobiec, przybierać tyleż różnych form, ile było rozmaitych potrzeb. Przez uruchomienie wszystkich swoich środków, zaprowadzenie jeszcze surowszej oszczędności, zaprzestanie wszelkiej kosztownej działalności w dziedzinach, które w danej chwili stały się znacznie mniej ważne, gromadził, jak mógł, pieniądze, zużywając je w całości na pomoc głodującym. Zakupił ogromne ilości zboża i rozesłał większą jego część do tych miejscowości diecezji, w których brak zboża najczęściej dawał się we znaki. A że zasiłki te mimo największych starań nie mogły sprostać potrzebom, razem ze zbożem wysyłał i sól, która jak twierdzi Ripamonti opisując te sprawy, „pomaga przekształcić w pożywienie ziola z łak i korę drzewną”. Zboże i pieniądze rozdzielał także pomiędzy proboszczów w mieście, osobiście odwiedzając jedną dzielnicę po drugiej i rozdając jałmużnę; dyskretnie wspomagał niezliczone rodziny; w pałacu arcybiskupim, jak zaświadcza pisarz współczesny, lekarz Alessandro Tadino, w swoim Sprawozdaniu, które jeszcze niejednemu raz będziemy mieli sposobność tu cytować, rozdawano każdego ranka dwa tysiące miseczek ryżowej zupy.

Jednak wszystkie te osiągnięcia, które można śmiało nazwać olbrzymimi, jeśli się weźmie pod uwagę, że były dziełem jednego człowieka i pochodziły tylko z jego osobistych zasobów (Federigo bowiem z zasady odmawiał dys-

ponowania funduszami ofiarowanymi przez innych), w połączeniu z tym, czego dokonywały inne miłosierne ręce, nie tak możliwe, ale liczne; z zasiłkami wreszcie, jakie Rada Dekurionów przeznaczała na ten cel, upoważniając Urząd Wyżywienia do ich rozdania — wszystko to było niezmiernie mało w porównaniu z potrzebami ludności. Podczas gdy jednym ginącym z głodu góralom dary arcybiskupa przedłużały życie, inni dokoła nich dochodzili do równie rozpaczliwego stanu. Tamci po wyczerpaniu się otrzymanej zapomogi popadali w nędzę ponownie. W innych okolicach, nie zapomnianych wprawdzie, ale stawianych na dalszym planie jako mniej dotknięte klęską, ponieważ ratujący wobec swoich ograniczonych środków zmuszeni byli dokonywać takiego wyboru, śmierć głodowa zaczynała już także szaleć. Ludzie ginęli wszędzie, więc też zewsząd ściągali do miasta. Tu — przypuśćmy — dwa tysiące ludzi, dość jeszcze silnych i dość zręcznych na to, by odepchnąć innych, potrafiło zdobyć dla siebie rozdawaną strawę, by jeszcze tego dnia nie umrzeć z głodu. Ale ileż tysięcy pozostawało z tyłu, z zazdrością patrząc na tamtych szczęśliwców! A wśród tych tysięcy jakże często były żony, dzieci, rodzice tych, którym udało się zdobyć pożywienie tylko dla siebie! Podczas kiedy w jednych punktach miasta podnoszono z ziemi tych najnieszczęśliwszych i najbardziej opuszczonych, przywracano ich do życia, karmiono i dawano na jakiś czas schronienie, w stu innych miejscach inni tak samo padali i leżeli bezsilni lub nawet umierali bez żadnej zgoła pomocy i pociechy.

Po całych dniach ulice rozbrzmiewały zmieszonym gwarem wielu błagalnych głosów. Nocą słychać było monotony szmer jęków, od czasu do czasu zagłuszany niespodzianie wybuchającym głośno lamentem, wołaniem pełnym rozpacz i przechodzącym w ostry, nieludzki krzyk.

Rzecz szczególna, że przy takim ogromie nieszczęścia, wśród nieuniknionych w takich razach kłótni i utarczek nie było żadnych prób wzniecenia buntu, nie słychać było żadnych wzywających doń głosów; w każdym razie nie dochował się najmniejszy ich ślad. A przecież wśród tych, którzy w tych warunkach żyli i umierali, wielu było ludzi zaprawionych raczej do wszystkiego innego niż do cierpliwości; były setki tych samych, którzy w dzień św. Marcina tak głośno dawali znać o sobie. Trudno pomyśleć, by ponury

przykład owych czterech powieszonych, którzy ponieśli karę za wszystkich, tak dalece trzymał te wynędzniałe tłumy w ryzach. Jakież znaczenie mogła mieć pamięć — nawet nie widok — kaźni czterech ludzi dla tych niezliczonych, bezdomnych rzesz, skazanych także na powolne męki i już ich doświadczających? Ale my, ludzie, już jesteśmy tacy: drobne krzywdy i niewielkie zło przyprawiają nas o bunt, oburzenie i wściekłość; w obliczu wielkiej klęski w milczeniu chylimy głowy. Znosimy nie z rezygnacją, ale w osłupieniu najwyższe nasilenie tego, co w początkach zdawało nam się nie do zniesienia.

Luki, które śmierć czyniła dzień po dniu w tych tłumach nędzarzy, z dnia na dzień wypełniały się na nowo. Napływ był nieustanny, najpierw z najbliższych wiosek, potem, z dalszej okolicy, z innych miast księstwa, na koniec nawet spoza granic. Równocześnie niektórzy dawni mieszkańcy opuszczali miasto; jedni uciekali od bolesnego widoku klęski, inni, widząc zbyt wielką konkurencję, czynili beznadziejną próbę znalezienia ratunku gdzie indziej, gdzie może rzesze rywali nie będą tak liczne i tak niezmordowane w proszeniu. W drodze spotykali się jedni i drudzy pielgrzymi, przejmując się nawzajem grozą i będąc jedni dla drugich bolesnym ostrzeżeniem i ponurą wróżbą tego, co ich czeka u kresu wędrówki. Jedni i drudzy szli przecież dalej swoją drogą, jeśli już nie w nadziei odmiany losu, to przynajmniej po to, by nie wracać do miejsc, które im się stały nienawistne i gdzie żyli w rozpacz. Raz po raz któryś z tych wędrowców, wyczerpany z sił, padał na drodze i umierał. Dla jego towarzyszy niedoli był to widok posępny, dla obcych przechodniów — przedmiot grozy, a może i potępienia. „Widziałem — pisze Ripamonti — na ulicy biegnącej wśród murów wiejskich trupa kobiety... w ustach jej widać było na pół pogryzioną trawę, a martwe wargi zdawały się jeszcze czynić ostatni wysiłek... Na plecach miała zawiniątko, a przy piersi umocowane powijakami niemowlę, które płakało z głodu... Nadeszli jacyś ludzie liściowi, podnieśli maleństwo i zabrali, by mu matkę zastąpić.”

Kontrast wspaniałych strojów i lachmanów, zbytku i nędzy — ów widok tak powszedni w powszednich czasach — zniknął wtedy zupełnie. Łachmany i nędza zapanowały niemal wszędzie. To, co od nich odbijało, to były zaledwie

pozory oszczędnej mierności. Widać było szlachtę w odzieży prostej i niemodnej, a nawet wyszarzałej i zniszczonej. U jednych działo się tak dlatego, że powszechna klęska mocno ich zubożyła, względnie zadała ostatni cios nadszarpiętym już przedtem ojcowiznom. Inni obawiali się prowokować swym zbytkiem rozpacz biedoty lub wstydzić się urągać powszechnej żałobie. Pyszni panowie, nienawidzeni, ale i szanowani, którzy nigdy dotychczas nie pokazywali się bez orszaku bravich chodzili teraz samotnie, z głową spuszczoną, z niepewnym wyrazem twarzy, proszącym, by ich pozostawiono w spokoju. Ci nawet, którzy w czasach pomyślności odznaczali się bardziej ludzkimi uczuciami i skromniejszym zachowaniem, wydawali się zmieszani, onieśmieleni i przygnębieni nie kończącym się widokiem nędzy, która rozmiarami swymi przekraczała nie tylko możliwość zaradzenia jej, ale nieomal możliwość współczucia. Kto miał środki na dawanie jałmużny, musiał jednak dokonywać żalosnego wyboru pomiędzy głodem a głodem, potrzebą a potrzebą. Zaledwie też jakaś litosna dłoń wyciągnęła się ku dłoni nędzarza, natychmiast jawiła się dokoła cała chmara innych nędzarzy. Kto z nich miał jeszcze odrobinę siły, przepychał się naprzód, by prosić natarczywiej; bardziej wycieńczeni, starzy i dzieci wyciągali wychudłe ręce; matki podnosiły w górę i ukazywały z daleka płaczące niemowlęta, owinięte w strzępy powijaków i zwisające bezsilnie z rąk matczynych.

Tak przeszła zima i wiosna. Od dawna już Urząd Zdrowia przedstawiał Urzędowi Wyżywienia niebezpieczeństwo zarazy, grożące miastu z powodu takiego nagromadzenia nędzy w każdym jego zakątku, i proponował, by wszystkich żebrzących zgromadzić w pewnej ilości przytułków. Nim rozstrzygnięto to zagadnienie, nim je uchwalono i obmyślono sposoby realizacji, ilość trupów na ulicach wzrastała z dniem każdym i w tej samej mierze pogłębiały się wszelkie przejawy nędzy. Urząd Wyżywienia zaproponował wyjście szybsze i łatwiejsze: zgromadzić wszystkich bezdomnych, zdrowych i chorych, w jednym miejscu — w lazarecie, gdzie mieli być leczeni i utrzymywani na koszt państwa.

Wniosek ten przyjęto wbrew opinii Urzędu Zdrowia, który twierdził, że w tak wielkim skupisku niebezpieczeństwo, przed którym chciano się bronić, tym bardziej wzrośnie.

Lazaret mediolański (bo może przypadkiem opowieść ta wpadnie do rąk komuś, kto nie zna go ani z widzenia, ani z opisu) jest to duży teren czworokątny, prawie kwadratowy, poza murami miasta, na lewo od bramy zwanej Wschodnią. Od muru dzieli go szerokość fosy, drogi i kanału otaczającego cały lazaret dokoła. Dłuższe jego boki mierzą około pięciuset kroków; dwa pozostałe może o piętnaście mniej. Wszystkie od strony zewnętrznej podzielone są na szeregi małych, parterowych izdebek; od wewnątrz biegnie tam z trzech boków sklepiony portyk, oparty na cienkich kolumnkach.

Izdebek tych było dwieście osiemdziesiąt osiem, może trochę mniej. Za naszych czasów przebito jeden szeroki otwór pośrodku i drugi mniejszy na końcu fasady od strony głównego gościńca, niszcząc pewną ilość izdebek. W czasie kiedy dzieje się nasza opowieść, wejścia były tylko dwa: jedno pośrodku boku zwróconego ku murom miejskim, drugie naprzewidko, w przeciwległej ścianie. Na środku wewnętrznego dziedzińca wznosił się i wznosi do dziś mały ośmioboczny kościółek.

Pierwotnym przeznaczeniem całej budowli, rozpoczętej w roku za pieniądze pochodzące z jakiegoś prywatnego legatu, prowadzonej zaś w dalszym ciągu częściowo z funduszków publicznych, częściowo z innych zapisów testamentowych i darowizn, było, jak sama nazwa wskazuje, stworzenie przytułku dla dotkniętych dżumą, która na długo przed ową epoką i długo jeszcze po niej wybuchała dwa, cztery, sześć czy osiem razy w każdym stuleciu, to w tym, to w owym kraju Europy, rozprzestrzeniając się zazwyczaj na dużą jej część, jeśli nie na całą, wszędzie i wzdłuż. W momencie, o którym mowa, lazaret służył jedynie do składania w nim towarów podlegających kwarantannie. Chcąc go teraz szybko opróżnić, nie liczone się wielce z przepisami sanitarnymi, ale dokonawszy w pośpiechu i byle jak wymaganych dezynfekcji, wydano wszystkie towary na raz. Następnie rozścielono we wszystkich izdebkach słomę, sprowadzono zapasy żywności, tyle i takiej, jak się dało. Wreszcie wezwano publicznym obwieszczeniem wszystkich bezdomnych, by się tam chronili.

Wielu zgłosiło się dobrowolnie; zostali tam również przeniesieni wszyscy, którzy leżeli zmorzeni chorobą na

ulicach i placach. W ciągu niewielu dni zgromadziło się w lazarecie ponad trzy tysiące ludzi. Ale znacznie większa ich liczba pozostała na zewnątrz. Może spodziewali się, że kiedy tylu ubędzie i zostaną w szczupłej liczbie, łatwiej im będzie korzystać z dobroczynności mieszkańców miasta; może grała tu rolę instynktowna obawa przed zamknięciem; może zwykła nieufność biedaków do tego, co im proponują możni i posiadający (nieufność ta proporcjonalna jest na ogół do ignorancji zarówno tych, co ją odczuwają, jak i tych, którzy nią napawają innych, do ilości zainteresowanych i do głupoty zarządzeń władz). Może ci biedacy zdawali sobie sprawę, jak będzie w rzeczywistości wyglądało ofiarowane im dobrodziejstwo; może wreszcie składały się na to wszystkie owe przyczyny naraz, dość że ogromna ilość bezdomnych, puściwszy mimo uszu wezwanie, nadal włókła się z trudem po ulicach. Widząc to, uznano za właściwe przejść od zachęcania do przymusu. Posłano zbirów z rozkazem spędzenia bezdomnych do lazaretu, a opierających się kazano sprowadzić tam w więzach. Za każdego sprowadzonego przyrzeczono im wypłacać dziesięć soldów nagrody. Tak to nawet w okresach największej biedy zawsze znajdą się publiczne pieniądze na to, by je zużyć bez sensu. I choć przypuszczalnie, a nawet wedle urzędowych raportów, pewna ilość bezdomnych uszła z miasta chcąc

żyć lub umrzeć gdziekolwiek, byle na swobodzie, przecież oblawy były tak skuteczne, że w krótkim czasie liczba zgromadzonych — gości czy więźniów? — dosięgła dziesięciu tysięcy.

Kobiety i dzieci były prawdopodobnie pomieszczone osobno, jakkolwiek źródła ówczesne nic o tym nie wspominają. Nie brakło też z pewnością przepisów i zarządzeń mających na celu utrzymanie ładu. Łatwo sobie jednak wyobrazić, jaki porządek można było ustalić i utrzymać w tamtych czasach i w tamtych okolicznościach w tak wielkim i różnorodnym skupisku ludzkim, gdzie wolontariusze pomieszani byli z przybyszami przymusowymi; ci, dla których zebranie było bolesną koniecznością i wstydem — z zawodowymi żebrakami; ludzie, którzy wyrosli w uczciwej pracy na roli czy w warsztatach — z wychowañcami placów publicznych, tawern, pańskich przedpokojów, nawykłymi do próżniactwa, oszukañstwa, szyderstwa i bezprawia.

Jak się tam żyło tym ludziom stłoczonym razem i na wspólnym wikcie, moglibyśmy sobie łatwo wyobrazić nawet w braku dokładnej relacji; mamy ją zresztą. Biedacy spali ściśnięci po dwadzieścia do trzydziestu osób w każdej izdebce, gnieździłi się pod portykami na odrobinie przegniłej, cuchnącej słomy lub na gołej ziemi; bo choć nakazywano, by słoma była świeża, w dostatecznej ilości i często zmieniana, w rzeczywistości była ona zła, zużyta, dano jej skąpo i nie zmieniano wcale. Nakazywano również, by chleb był w dobrym gatunku; bo jakaż władza polecałaby kiedykolwiek wydawanie złych i zepsutych produktów? Ale zarazem, jak można było osiągnąć w tamtych warunkach i przy tak wielkiej liczbie potrzebujących coś, czego nie osiągnęłoby się zapewne nawet w zwykłych czasach i dla znacznie mniejszej ilości? Podniosły się skargi, że chleb dla lazaretu wypiekano z substancji bardzo ciężkich, a wcale nie pożywnych; łatwo uwierzyć, że nie były to, niestety, czeze lamenty. Wody nawet nie było dosyć; mówię tu o wodzie czystej i zdrowej. Trzeba było czerpać wodę stojącą i mętną z płytkiego kanału otaczającego lazaret. A jakaż stała się dopiero, kiedy takie zbiorowisko ludzkie poczęło z niej korzystać!

Do tych wszystkich przyczyn śmiertelności, tym większej, że w grę wchodzili ludzie niesłychanie wyczerpani, dołączyła się jeszcze jedna, mianowicie niezwykle złośliwość pogody. Po uporczywych deszczach przyszła równie uporczywa susza, a z nią przedwczesne, gwałtowne upały. Do klęski samej przez się dołączało się wielkie rozgoryczenie i nuda; życie w zamknięciu przyprawiało ludzi o szał niemal; wspomnienia dawnego życia, ból z powodu utracenia drogich osób, niepokój o bliskich, a nieobecnych, wszystkie udreki, troski, nienawiści, przyniesione tam ze sobą lub tam zrodzone, strach przed śmiercią i nieustanny jej widok, śmiertelność bowiem w tych warunkach przerażająco wzrastała, stając się sama przez się jedną więcej po temu przyczyną. Nic dziwnego, że ta szalejąca śmierć wydawała się i przez wielu nazywana była zarazą. Możliwe, że te sprzyjające warunki wzmogły tylko nasilenie pojawiającej się co czas pewien epidemii influency. Może też, jak to często bywa w okresach głodu, nawet nie tak długotrwałych i srogich jak tamten, istniał tam jakiś utajony zarazek, który w tych ciałach wycieńczonych głodem,

szkodliwym pożywieniem, niepomyslną pogodą, brudem, ciężkimi trudami i zmartwieniami — znalazł sobie doskonałe warunki rozwoju i rozmnażania (jeśli wolno nieukowi rozprawiać o takich rzeczach, będących przedmiotem hipotez rozlicznych lekarzy, ostatnio zaś rozważanych wszechstronnie, a z dużymi zastrzeżeniami przez jednego z nich, równie genialnego, jak niezmordowanego); możliwe w końcu, że zaraza wzięła początek właśnie z lazaretu, jak to, wedle dość

niejasnej i chaotycznej relacji, sądzili lekarze z Urzędu Zdrowia; może też istniała już przedtem poza nim (co wydaje się bardziej prawdopodobnej jeśli wziąć pod uwagę, że śmiertelność była od dawna duża), a tylko wzmogła się w tym wielkim skupisku ludzkim i wybuchła z nową, straszliwą siłą. Którąkolwiek z tych przypuszczeń uznalibyśmy za słuszne, faktem jest, że śmiertelność na terenie lazaretu doszła w krótkim czasie do stu wypadków dziennie. Podczas gdy w lazarecie panowała rozpacz, rozgoryczenie, złość i trwoga, panów z Urzędu Wyżywienia ogarnął wstyd, osłupienie, bezradność. Roztrząsając opinie Urzędu Zdrowia nie wymyślono nic lepszego niż odrobienie tego, co z takim szumem, kosztem i trudem niedawno zrobiono. Otwarto bramy lazaretu i pozwolono odejść wszystkim zdrowym, co też uczynili w istnym szale radości. Znowu miasto rozbrzmiewało lamentem i błagalnymi głosami, cichszymi już jednak i słabszymi niż dawniej. Znowu pojawiły się tłumy, ale przeredzone i jeszcze bardziej żałosne przez to właśnie — powiada Ripamonti — że tak zostały zdziśiatkowane. Chorych przeniesiono do przytułku dla ubogich pod wezwaniem Matki Boskiej Gwiazdzistej. Większość z nich tam wymarła. Nadszedł Wreszcie czas, kiedy te utrapione pola zaczęły żółknąć. Ludność wiejska odpływała po trosze, wracała w swoje strony na upragnione żniwa. Dobry Federigo żegnał wieśniaków z ulgą; miłosierdzie jego uczyniło nowy wysiłek: każdy, kto się zgłosił do arcybiskupstwa przed odejściem, otrzymywał jednego giulio i kosę. Wraz ze żniwami ostatecznie ustał głód; śmiertelność, epidemiczna czy nie, zmniejszając się z dniem każdym, przetrwała jednak aż do jesieni. Poczynała wreszcie wygasać, kiedy pojawiła się nowa plaga. W owym czasie zaszło wiele ważnych wydarzeń, które

zwykło się mienić historycznymi. Kardynał Richelieu, zdobywszy, jak wyżej wspomniano, La Rochelle, skłeciwszy, jak się dało, pokój z Anglią, zaproponował Radzie Króla Francji i przeprowadził to siłą swej wymowy, by na koniec udzielić skutecznej pomocy księciu Nevers. Udało mu się nawet nakłonić króla, by we własnej osobie stanął na czele tej wyprawy. Podczas kiedy czyniono do niej przygotowania, hrabia de Nassau, komisarz cesarski, oświadczył w Mantui nowemu księciu, że ma złożyć swoje dziedziny w ręce Ferdynanda, inaczej bowiem ów wyśle wojsko i zajmie księstwo zbrojnie. Książę, który nawet w gorszej jeszcze sytuacji wzbraniał się przyjąć warunki tak ciężkie i nie budzące zaufania, teraz, ośmielony spodziewaną pomocą Francji, opierał się tym silniej. Starał się odwlekać chwilę ostatecznej odpowiedzi, wysuwając propozycje poddania się jeszcze zupełniejszego, ale mniej kosztownego. Komisarz odjechał zapowiadając rychłe użycie siły. W marcu kardynał Richelieu spadł istotnie wraz z królem na czele wojsk. Zażądał od księcia Sabaudii przepuszczenia ich; pertraktowano, ale do porozumienia nie doszło; po starciu, z którego Francuzi wyszli zwycięsko, wznowiono pertraktacje i zawarto układ, na mocy którego książę zobowiązał się prócz wielu innych rzeczy do tego, że Cordoba odstąpi od oblężenia Casale. W razie gdyby tamten odmówił, książę miał wspólnie z Francuzami uderzyć na księstwo mediolańskie. Don Gonzalo, zupełnie zadowolony z takiego wyjścia, odstąpił od Casale, dokąd wkroczył natychmiast korpus francuski celem wzmocnienia tamtejszego garnizonu. Z tej to okazji Achillini napisał do króla Ludwika swój słynny sonet:
Pracujcie, ogniska, przetapiajcie metale...
oraz drugi, w którym wzywał króla do niezwłocznej wyprawy dla oswobodzenia Ziemi Świętej. Taki jest jednak los poetów, że ich pomysłów nikt nie słucha; jeżeli nawet znajdziecie w historii posunięcia zgodne z radami poetów, to musicie jednak przyznać szczerze, że były to rzeczy zdecydowane zawczasu. Kardynał Richelieu postanowił wró

cić do Francji, gdzie czekały nań sprawy, które uważał za pilniejsze. Na próżno Girolamo Soranzo, poseł wenecki, wysuwał wszelkie możliwe argumenty przeciwko temu postanowieniu: król i kardynał, tyleż licząc się z jego prozą, co z wierszami Achilliniego, odjechali zabierając dużą część wojska; zostawili tylko sześć tysięcy ludzi w Susa dla zapewnienia swobodnego przemarszu i jako gwarancję dotrzymania układu. Podczas kiedy wojsko francuskie odchodziło w jedną stronę, z drugiej nadchodziło wojsko Ferdynanda. Zajęło Griogioni i Valtellinę i gotowało się spaść na terytorium mediolańskie. Poza wszystkimi innymi szkodami, jakich można się było spodziewać po takim przemarszu, do Urzędu Zdrowia nadeszło formalne ostrzeżenie, że w wojsku tym grasuje dżuma. „Wojska niemieckie znane były z tego, że nosiły z sobą dżumę” — stwierdza Varchi, mówiąc o zarazie, jaką sto lat przedtem przyniosły one do Florencji. Alessandro Tadino, jeden z tych, którym powierzona była piecza nad zdrowiem publicznym (było ich sześciu oprócz przewodniczącego: czterech sędziów i dwóch lekarzy), dostał od swego Urzędu polecenie, o czym sam pisze w cytowanym wyżej Sprawozdaniu, przedstawienia gubernatorowi strasznego niebezpieczeństwa, jakie zagrażałoby krajowi w razie przemarszu tych wojsk, ciągnących pod Mantuę, którą jak wieść niesła, mieli oblegać. Ze wszystkich poczynań don Gonzala wnosić można, że pałał on nie gasnącą żądzą zapewnienia sobie miejsca w historii, która istotnie nie mogła w żaden sposób pominąć milczeniem. Ale (jak się to często zdarza) nie zatroszczyła się o zapisanie w swych rejestrach rzeczy spośród wszystkich jego czynów najbardziej godnej pamięci: odpowiedzi, jakiej udzielił on wówczas Tadinowi. Odpowiedział mianowicie, że nic nie może na to poradzić; że względu interesu oraz reputacji, jakie podyktowały wysłanie owego wojska, bardziej są ważne aniżeli przedstawione mu niebezpieczeństwo”; że należy się starać zaradzić mu w miarę możliwości, a gdzie nie można zaradzić, zdać się na Opatrzność. By więc „zaradzić w miarę możliwości”, obaj lekarze

z Urzędu Zdrowia (wyżej wymieniony Tadino i senator Settala, syn sławnego Lodovica) zaproponowali, by zabronić pod groźbą najsurowszych kar kupowania czegokolwiek od żołnierzy. Jednak niemożnością okazało się wytłumaczyć konieczność takiego zakazu przewodniczącemu. „Był to — jak pisze Tadino — mąż wielce poczciwy, który nie mógł uwierzyć, by przez zetknięcie z tymi ludźmi i ich dobytkiem tysiące ludzi miały być narażone na śmierć.” Przytaczamy ten urywek jako osobliwość epoki: niewątpliwie, odkąd istnieją urzędy zdrowia, nie zdarzyło się nikomu stojącemu na czele takiej instytucji rozumować podobnie — jeśli w ogóle można to nazwać rozumowaniem.

Co się tyczy don Gonzala, to wkrótce po swojej sławetnej odpowiedzi opuścił on Mediolan. Smętny to był dlań wyjazd, jak smętna była jego przyczyna. Odwołano go z powodu niepomyślnego przebiegu wojny przez niego wywołanej i prowadzonej. Ludność przypisywała mu winę głodu wycierpianego pod jego rządami. (O tym, jak się przysłużył dżumie, albo nie wiedziano, albo też, jak się to zresztą w dalszym ciągu okaże, nikt się o to nie troszczył oprócz Urzędu Zdrowia, a ściślej — dwóch jego lekarzy.) Opuszczając w podróży karocy pałac gubernatorski, w otoczeniu oddziału halabardników, z dwoma konnymi trębaczami na czele i szeregiem karoc dworskich z tyłu, don Gonzalo powitany został gwizdaniem chmary dzieciaków, która zaległa plac katedralny i ruszyła hurmem za gubernatorem. Wjechałszy w ulicę wiodącą ku bramie Ticino, którą miał opuścić miasto, orszak znalazł się w gęstym tłumie, który tam już czekał i powiększał się z każdą chwilą, tym bardziej że trębacze, wielcy służbiści, jadąc od pałacu gubernatorskiego aż do bramy nie przestali trąbić. Podczas procesu, jaki wszczęto w następstwie owego zamieszania, jeden z nich tak odpowiedział na zarzut, że swoim trąbieniem przyczynili się do zwiększenia zamętu: — To jest nasz zawód, panie. A skoro jego ekscelencja nie miał. życzenia, żebyśmy trąbili, czemuż nie kazał nam przestać?

Don Gonzalo jednak, czy to, że nie chciał okazać strachu, czy właśnie bojąc się, że w ten sposób jeszcze bardziej rozzuchwali pospólstwo, czy wreszcie dlatego, że zupełnie

był tym wszystkim oszołomiony, nie dawał żadnego rozkazu. Tłum, na próżno odpychany przez halabardników, otaczał sznur karoc ze wszystkich stron, krzyząc:

— Odjeżdża głód, odjeżdża krew biedaków! — i gorzej.

W pobliżu bramy zaczęły nawet śmigać kamienie, cegły, głąby kapuściane, łupiny jarzyn. — jednym słowem, zwykła w takich razach amunicja. Niektórzy pobiegli na mury, by jeszcze stamtąd wyrzucić na wyjeżdżające karoce ostatnie pociski. Po czym całe zbiegowisko rozproszyło się.

Na miejsce don Gonzala mianowano margrabiego Ambrogia Spinolę, tego, co w bojach flandryjskich zdobył już poprzednio sławę wojenną, która po dziś dzień nie zbladła.

Tymczasem wojsko niemieckie pod naczelnym dowództwem hrabiego Rambalda di Collalto, włoskiego kondotiera nie takiej jak tamten, ale też niemałej sławy, otrzymało ostateczny rozkaz marszu na Mantuę i we wrześniu wkroczyło na terytorium mediolańskie.

Armie w owych czasach składały się po większej części z żołnierzyawanturników, werbowanych przez zawodowych kondotierów, którzy albo byli w służbie któregoś z książąt, albo dokonywali zaciągu na własny rachunek po to, by potem zaprzedać się razem z wojskiem. Bardziej niż żołd nęciła ludzi nadzieja łupów, rabunku i swawoli. Nie istniała tam żadna ogólna i stała dyscyplina; niełatwo dałaby się pogodzić z nie poddającą się niczemu władzą poszczególnych kondotierów. Nie byli oni na ogół zwolennikami dyscypliny, a gdyby ją nawet uznawali, jakże zdołaliby ją osiągnąć i utrwalić? Tacy żołnierze, jakich oni mieli pod komendą, albo zwróciliby się natychmiast przeciwko kondotierowi o nowatorskich zapędach, któremu przyszyłoby do głowy wzbronić grabieży, albo w najlepszym razie opuściliby go — niechże sobie sam pilnuje swoich sztandarów.

Zresztą, książęta przy najmowaniu wojska dbali o to, żeby mieć dosyć ludzi do wykonania swoich zamierzeń, a nie o to, czy będą mieli czym ich opłacić. Że zaś ich zasoby bywały nieraz bardzo szczupłe, wojsko otrzymywało swój żołd z opóźnieniem, drobnymi sumami. Grabież stanowiła w tych warunkach konieczny i mileząco uznawany dodatek.

Wallenstein wypowiedział kiedyś zdanie, prawie równie sławne jak on sam: „Sto tysięcy wojska łatwiej jest utrzymać niż dwanaście tysięcy.” To zaś wojsko, o któ

rym tu mowa, składało się po większej części z ludzi, którzy pod wodzą Wallensteina do rozpaczki doprowadzali Niemcy w czasie owej wojny, równie sławnej z racji jej przebiegu, jak i jej skutków; owej wojny, którą później nazwano trzydziestoletnią, a która wtedy toczyła się już rok jedenasty. Był tam własny pułk Wallensteina, dowodzony przez namiestnika; spośród pozostałych kondotierów większość służyła też poprzednio pod jego rozkazami, a był wśród nich i niejeden taki, co w cztery lata później przyczynić się miał do złego końca, który jak wiadomo, spotkał Wallensteina.

Dwadzieścia osiem tysięcy piechoty i siedem tysięcy konnych ruszyło od Valtelliny. Ciągnąc ku Mantui wojsko to musiało trzymać się biegu Addy tam, gdzie tworzy ona dwie odnogi jeziora, i dalej, gdzie przybiera znów postać rzeki, aż do jej ujścia do Padu. Później trzeba było jeszcze posuwać się spory szmat drogi wzdłuż Padu: w sumie osiem dni na terenie księstwa mediolańskiego.

Większa część mieszkańców chroniła się w góry unosząc, co kto miał cenniejszego, i pędząc przed sobą domowe zwierzęta. Niektórzy zostawali na miejscu, czy to nie chcąc opuścić kogoś chorego, czy aby strzec domu przed pożarem, czy też, by mieć oko na ukryty lub zakopany w ziemi dobytek. Byli też tacy, co nie uciekali, bo nic nie mieli do stracenia, i tacy wreszcie, którzy spodziewali się obłowić przy tej okazji..

Zaledwie oddział wojska zatrzymał się gdzieś na postój, natychmiast żołnierze rozbiegali się po wsi i po innych wsiach sąsiednich i ograbiali je doszczętnie. Co tylko dało się zużyć lub zabrać — zniknęło. Resztę rozbijano i niszczone. Sprzęty szły na opał, domy zamieniano w stajnie, nie mówiąc już o biciu, kaleczeniu, gwałceniu. Najchytrzejsze fortele mające uratować dobytek okazywały się bezużyteczne, a często bywały przyczyną jeszcze dotkliwszych strat. Żołnierze znacznie lepiej niż ludność znali się na takich wojennych podstępach; przeszukiwali w domach każdy, zakątek, otwierali zamurowane skrytki, rozwalali mury; z łatwością rozpoznawali w ogrodach miejsca, gdzie ziemia była świeżo poruszana, zapuszczali się nawet w góry i rabowali tam bydło; z pomocą jakiegoś miejscowego hultaja trafiali do ukrytych jaskiń w poszukiwaniu tego czy owego bogacza, który się tam schronił; wlekli go do

jego domu, gdzie groźbami i torturą zmuszali go do wskazania ukrytych skarbów.

Odchodzili wreszcie. Dźwięki bębnow i trąb cichły w oddali. Następowo kilka godzin brzemiennej trwogą ciszy. A potem znowu przekłete bicie w bębny, znowu dźwięki trąb oznajmiały przybycie innego oddziału. Ten, nie znajdując już nic do złupienia, z tym większą furią niszczył to, co pozostało; żołnierze palili beczki opróżnione przez ich poprzedników, drzwi izb, w których już nic nie znaleźli, podpalali wreszcie całe domy. Tym srożej też pastwili się nad ludźmi, i tak coraz gorzej i gorzej przez dwadzieścia długich dni: na tyle bowiem oddziałów podzielone było wojsko. Pierwszym osiedlem księstwa, jakim zawładnęły te diabły, było Colico; następnie rzuciły się na Bellano, stamtąd rozproszyły się po Valsassinie, skąd wtargnęły na terytorium Lecco.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tutaj pośród nieszczęsnej, strwożonej ludności odnajdziemy i znane nam osoby.

Kto nie widział don Abbondia w dniu, kiedy równocześnie rozeszły się wieści o wkroczeniu wojsk, o ich zbliżaniu się i o sposobie, w jaki one sobie poczynają — ten nie ma wyobrażenia, co to bezradna rozpacz i przerażenie. „Nadchodzą... jest ich trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy... diabły, heretyki, antychrysty! Złupili Cortenuova, spalili Primaluna, splądrowali Introbbio, Pasturo, Barsio. Doszli już do Balabbio, jutro będą tutaj.” Takie wieści szły z ust do ust; wszyscy biegali, jedni zatrzymywali drugich, radzili w popłochu, wahali się między ucieczką a pozostaniem — kobiety zbijały się w gromadki, szarpiąc włosy z rozpacz. Don Abbondio zdecydowany był uciekać; powziął tę decyzję wcześniej i mocniej niż ktokolwiek inny. Wszędzie jednak, na każdej drodze ucieczki, w każdym miejscu, do którego mógłby się schronić, widział piętrzące się przeszkody, niezwalczone i straszliwe niebezpieczeństwa. „Co czynić? — wykrzykiwał. — Dokąd się udać?”

Góry, pomijając już trudy samej drogi, nie były bezpieczne. Powiadano, że lancknechci wdrapią się wszędzie jak koty, jeśli tylko zabłyśnie im nadzieja łupu. Jezioro wyglądało groźnie, wiał silny wiatr. Poza tym większość przewoźników, w obawie, że ich zmuszą do transportu żołnierzy lub ich bagaży, uciekła ze swymi łodziami na drugi brzeg. Pozostało niewiele, ale i ci wnet odjechali na łodziach ponad miarę przepełnionych ludźmi. Mówiono też, że wobec przeciążenia i wichury łodzie te były w ogromnym niebezpieczeństwie. Na to, by wyruszyć gdzieś dalej od szlaku, jakim wojsko miało się posuwać, nie podobna

było znaleźć ani kolasy, ani konia, ani żadnego innego środka lokomocji; pieszo don Abbondio nie zdołałby zająć tak daleko, bał się też, że go zaskoczą po drodze. Granica Bergamo nie była tak odległa, żeby nie dało się jej osiągnąć w ciągu dnia; ale wiadomo było, że z Bergamo wysłano tam oddział „szkoptów” — żołnierzy weneckich, zwanych tak od kasków w kształcie szkoptów; mieli oni strzec granicy przed laricknechtami; ale były to diabły wcielone, nielepsze od tamtych, i ze swej strony pozwalali sobie na wszystko najgorsze.

Biedny człowiek miotał się jak nieprzytomny po domu; wołał na Perpetuę, chcąc wraz z nią coś wreszcie zdecydować. Ale Perpetua, zajęta zbieraniem co lepszych rzeczy i chowaniem ich na strychu we wszelkich zakamarkach, przebiegała mimo, zdyszana, zaaferowana, z pełnymi rękami, odpowiadając:

— Niech jeno poukrywam bezpiecznie te rzeczy, to i my uczynimy, jak czynią inni.

Don Abbondio usiłował ją zatrzymać, omówić z nią wszelkie możliwości; ale ona, zmęczona, spiesząca się, przejęta strachem, boć i ona go. czuła, a zarazem wściekła na zastrachanie swego proboszcza, była jeszcze mniej przystępna niż zazwyczaj.

— Radzą sobie inni, poradzimy sobie i my. Proszę wybaczyć, ale jegomość nic nie potrafi, jeno przeszkadzać. Cóż to jegomość myśli, że inni nie mają własnej skóry do ratowania? Że właśnie na jegomościa ci żołnierze się zawzięli? Mógłby mi jegomość pomóc coś niecoś w takiej chwili, zamiast mi się tu plątać pod nogami, a popłakiwać, a lamentować!

Takimi i podobnymi słowy opędzała się przed nim, dawno postanowiwszy, że zaledwie upora się jako tako ze swoją robotą, weźmie go za rękę jak dziecko i poprowadzi w góry. Pozostawiony samemu sobie, biegł do okna, patrzył, nasłuchiwał, a widząc kogoś przechodzącego wołał doń na pół gromiąc, na pół błagając:

— Zlitujcież się nad naszym nieszczęśliwym proboszczem, znajdźcież mi jakiego konia, muła czy osła! Możeż to być, żeby nikt mi nie chciał dopomóc? Och, co za ludzie! Zaczekajcież na mnie przynajmniej, pójdę razem z wami; Zaczekajcie, aż zbierze się was piętnastu czy dwudziestu, pójdziemy razem, żeby nie był taki opusz

czony! Chcecie mnie zostawić psom na pastwę? Czyliż nie wiecie, że to prawie sami luteranie, a dla nich zamordować kapłana to czyn chwalebny? Chcecie mnie tu porzucić, bym poniósł męczeństwo? Och, co za ludzie! Co za ludzie! Ale do kogóż to wygłaszał on te przemowy? Do ludzi, którzy szli schyleni pod ciężarem swego ubożego dobytku, zatroskani o tę resztę, którą pozostawić musieli w domu, pędząc przed sobą swoje krowiny, wiodąc dzieci też w miarę sił obładowane i kobiety dźwigające te dzieci, które jeszcze same iść nie mogły. Większość z nich przechodziła bez odpowiedzi, nie podnosząc nawet oczu; poniekąd zaś mówili:

— Ech, księżo proboszczu, niechże jegomość także poradzi sobie, jak może. Szczęśliwy ksiądz i tak, że nie musi myśleć o rodzinie! Trzeba się starać, radzić sobie samemu!

— Och, ja nieszczęsny! — wykrzykiwał don Abbondio. — Och, co za ludzie! Co za serca! Nie ma litości: każdy myśli tylko o sobie, o mnie nikt zatroszczyć się nie chce! — i znów pobiegł szukać Perpetui.

— W samą porę — rzekła mu. — A pieniądze?

— Co zrobimy?

— Niech mi jegomość je da; zakopię w sadzie razem ze sztućcami.

— Ale...

— Ale, ale. Nie „ale”, tylko proszę dawać. Niech jegomość zatrzyma parę soldów na wszelki wypadek, a co do reszty zda się na mnie.

Don Abbondio posłusznie podszedł do skrzyni, wydobył swój skarbczyk i wręczył go Perpetui.

— Pójdę to zakopać w sadzie pod figą — rzekła i wyszła.

Wróciła po chwili z koszykiem żywności i niewielkim pustym koszem do zakładania na plecy. W pośpiechu ją pakować w niego trochę bielizny swojej i swego pana, mówiąc:

— Już przynajmniej brewiarz niech sobie jegomość sam poniesie.

— Ale dokąd idziemy?

— A inni dokąd idą? Najpierw wyjdziemy na drogę; a tam posłuchamy i popatrzymy, co nam dalej uczynić wypadnie.

W tej chwili pojawiła się Agnese z koszykiem na plecach, a z miną taką, jak ktoś, kto przychodzi z niezwykłą propozycją.

Agnese, również zdecydowana nie czekać w domu na niepożądanego gościa, samotna i mając jeszcze tę trochę złota od Bezimiennego, dość długo szukała w myśli miejsca, do którego mogłaby się schować. Właśnie owa resztką skudów, które ją w głodnych miesiącach ratowały, była główną przyczyną jej niepokoju i niezdecydowania. Słyszała bowiem, że w miejscowościach, które już doświadczyły na sobie najścia, w najgorszym położeniu znaleźli się ci, którzy mieli pieniądze — narażeni zarówno na gwałty żołnierstwa, jak i zawistne podstępny ze strony miejscowych wieśniaków. Co prawda, nikomu nie zwierzyła się z posiadania tego złota, które jej, jak to mówią, z nieba spadło; wiedział o nim jedynie don Abbondio, do którego chodziła od czasu do czasu rozmiąć jednego skuda na drobne, zostawiając mu zawsze coś niecoś, by dał to komuś od niej biedniejszemu. Ale ukrywane pieniądze, zwłaszcza jeżeli ktoś nie przywykł rozporządzać dużą ich ilością, utrzymują właściciela w stanie nieustannej obawy przed podejrzliwością bliźnich. Kiedy krzątała się po domu chowając, jak się dało, to wszystko, czego nie mogła zabrać z sobą, i myślała o owych skudach zaszytych w ubranie na piersiach, przyszło jej nagle do głowy, że przecież równocześnie z pieniędzmi Bezimienny ofiarował jej swoją pomoc w każdej potrzebie. Przypomniała sobie wszystko, co opowiadano o tym jego zamczysku, położonym w miejscu tak niedostępnym, że wbrew woli jego pana mogły tam dolecieć chyba ptaki. Postanowiła udać się tam i prosić o schronienie. Zastanowiła się, jak ma się dać poznać owemu panu, i zaraz przyszedł jej na myśl don Abbondio, który od czasu swojej rozmowy z arcybiskupem okazywał jej zawsze wiele życzliwości, tym szczerzej, że mógł to czynić nie narażając się nikomu. A że oboje młodzi byli daleko, nie groziło mu, że zwrócą się do niego z prośbą, która ową życzliwość wystawiłaby na ciężką próbę. Agnese sądziła, że w obecnym położeniu biedak musi być jeszcze bardziej od niej skłopotany i wystraszony i że jej pomysł może mu bardzo trafić do przekonania. Poszła więc, by mu go przedstawić. Zastawszy go razem z Perpetuą, wyłuszczyła obojgu swoje plany.

— Cóż o tym sądzisz, Perpetuo? — zapytał don Abbondio.

— Sądzę, że to natchnienie z nieba i że nie tracąc czasu trzeba nam znaleźć się w drodze.
 — I co dalej?
 — Co dalej? Jak już tam będziemy, ani chybi będzie wszystko dobrze. Toć wiadomo, ten pan o niczym teraz nie myśli, jeno o tym, by się bliżnim przysłużyć. Rad będzie na pewno przyjąć nas u siebie. Tam, na samą granicę i tak wysoko, żołnierze nie przyjdą, to pewne. No i będziemy tam też mieli co jeść, a w górach nie na długo starczyłoby nam tych darów bożych — mówiła to kończąc układanie zapasów na bieliźnie w koszyku — no i ładnie byśmy wyglądali!
 — Ale czy on aby szczerze nawrócony?
 — Jakże wątpić po tym wszystkim, co się słyszało, co jegomość na własne oczy oglądał?
 — A jeżeli samo chcąc wpadniemy w pułapkę?
 — Co za pułapka? Wybaczy jegomość, ale z takim zawracaniem głowy nigdy do końca nie dojdziemy. Pocziwa Agnese! Wpadliście naprawdę na przednią myśl!
 Postawiła koszyk na stoliczku, nasunęła rzemienie na ramiona i umieściła swój ładunek wygodnie na plecach.
 — Czy nie dałoby się — rzekł don Abbondio — znaleźć jakiego mężczyzny, który poszedłby z nami, by służyć w razie czego swemu proboszczowi za obrońcę? Gdybyśmy spotkali któregoś z tych hultajów, jacy się tu, niestety, włóczą w okolicy, jakżż pożytek miałbym z was obu?
 — Znów coś takiego, żeby jeno czas tracić! — wykrzyknęła Perpetua. — Teraz szukać jakiego chłopca, kiedy każdy dość ma do myślenia o sobie! Co tam! Niech jegomość bierze brewiarz i kapelusz — i w drogę!
 Don Abbondio poszedł i wrócił po chwili z brewiarzem pod pachą, kapeluszem na głowie i kijem podróznym w rękę. Wyszli wszyscy troje małymi drzwiczkami, prowadzącymi na boczny plac; Perpetua zamknęła, bardziej dla formy, niż żeby liczyła tak dalece na wytrzymałość zamku i drzwi, i klucz wsunęła do kieszeni. Przechodząc don Abbondio rzucił okiem na kościół i mruknął przez zęby:
 — Lud niech go strzeże, boć jemu on służy. Jeśli mają

trochę serca dla swego kościoła, to o tym pomyślą; a jak nie mają, no, to sami sobie będą winni.
 W milczeniu skręcił na połą ścieżkę, każde pochłonięte własnymi troskami, zwłaszcza don Abbondio rozglądał się, czy nie dostrzeże jakiejś podejrzaney postaci lub w ogóle czegoś niezwykłego. Nie spotykali jednak nikogo; ludzie albo siedzieli zamknięci w domach, chcąc ich strzec przed niebezpieczeństwem, albo zajęci byli pakowaniem tobołków, albo ciągnęli już drogą wiodącą w stronę gór.
 Na wzdychawszy się do woli, przerywając zrazu westchnienia pojedynczymi okrzykami, don Abbondio zaczął na dobre zrzędzić i narzekać. Wydziwiał na księcia Nevers, który lepiej by zrobił siedząc spokojnie we Francji i ciesząc się swoim księstwem, zamiast sięgać po księstwo Mantui na złość światu; na cesarza, który powinien by mieć rozum za innych, pozwolić wodzie spływać ku dołowi, nie wtrącając się do cudzych sporów; bo ostatecznie on zawsze pozostanie cesarzem, czy ten, czy ów byłby księciem Mantui.
 Największą pretensję miał don Abbondio do gubernatora, którego rzeczą było chronić kraj przed wszelkimi klęskami, a on właśnie ściągał je nań przez swoje nieszczęsne upodobanie do wojaczki.
 — Trzeba by — mrucał — żeby ci panowie byli tu teraz i sami popróbowali piwa, którego nawarzyli. Odpowiedzą oni jeszcze za to! Ale tymczasem wszystko skrupia się na tych, co nic nie zawinili.
 — Co tam, niech jegomość zapomni o tych ludziach, toć nam oni na pewno nie pomogą — wtrąciła się Perpetua. — To jest, z przeproszeniem, próżne gadanie, które na nic się nie zda. Co mnie więcej trapi, to...
 — Cóż takiego?
 Perpetua, która przez drogę przypominała sobie spokojnie, gdzie co przedtem w pośpiechu poukrywała, zaczęła żalić się, że o tym czy owym zapomniła, coś schowała nie tak, jak by należało, gdzieś znowu zostawiła coś, co może naprowadzić złodziei na ślad...
 — Dobra sobie — zrzędził don Abbondio, na tyle spokojny już o życie, że mógł zacząć trapić się o dobytek — dobra sobie! Coś ty, kobieto, narobiła? Gdzieś miała głowę?
 — To tak? — krzyknęła Perpetua, zatrzymując się przed nim na chwilę i pięściami wsparłszy się pod boki, o ile jej

na to pozwalał dźwigany na plecach koszyk. — To tak? Teraz jegomość będzie mi tu robił wymówki, kiedy ja właśnie z jego winy głowę traciła, zamiast żeby mi jegomość był w czym pomocny albo choć dodał mi otuchy? Więcej ja się troszczyłam o rzeczy jegomości niżli o swoje własne. Nie miał mi kto pomóc, musiałam być za Martę i za Magdalенę. Jeżeli coś złego się zdarzy, ja sobie nic wyrzucać nie będę: więcej uczyniłam, niż do mnie należało. Agnese przerwała ten wybuch zaczynając także mówić o swoich zmartwieniach; więcej niż wszystkie trudy i straty trapiło ją rozwianie się nadziei, że rychło będzie mogła uściskać swoją Lucję. Nadeszła właśnie owa jesień, kiedy to, jak może pamiętacie, obiecywały sobie spotkanie. Ale w tych warunkach nie do pomyślenia było, aby donna Prassede wybrała się w te strony na wilegiaturę. Raczej uciekłyby, gdyby się tam przypadkiem znalazła, jak to czynili ci wszyscy, którzy zjechali tam z miasta na wiejskie wywczasy.

Widok tych miejsc jeszcze bardziej pobudzał smutne myśli Agnese i tym boleśniej czynił jej ten dotkliwy zawód. Ze ścieżek polnych wyszli na gościniec, ten sam, którym biedna kobieta odwoziła do domu swą córkę — na tak krótko niestety — po wspólnym z nią pobyciu w domu krawca. Widać już było tamtą wieś.

— Wstąpimy chyba odwiedzić tych poczciwych ludzi — rzekła Agnese.

— No i odpocząć ździebko. Dość mi już dokuczają ten kosz na plecach; a i przegryźć coś wcale by nie zawadziło — dodała Perpetua.

— Pod warunkiem, że nie stracimy wiele czasu; nie podróżujemy dla przyjemności — oświadczył don Abbondio.

Powitano ich gościnnie i spoglądano na nich z radością: przywodzili na pamięć dobry uczynek. „Wyświadczajcie dobro tylu ludziom, ilu tylko możecie — powiada w tym miejscu nasz anonim — a często będziecie spotykali twarze, których widok wzbudzać w was będzie radość.”

Agnese w uścisku poczciwej gospodyni wybuchnęła płaczem, który przyniósł jej ulgę. Szlochając odpowiadała na pytania o Lucję, jakie jej zadawali oboje gospodarze.

— Lepiej jej się wiedzie niż nam — rzekł don Abbon

dio. — Jest bezpieczna w Mediolanie, z dala od tego całego diabelstwa.

— A ksiądz proboszcz ucieka, co? — zagadnął krawiec.

— No pewnie — jednym głosem odpowiedzieli oboje, pan, i jego wierna służba.

— Współczujemy wam.

— Jesteśmy w drodze — wyjaśnił don Abbondio — do zamku w.

— Dobrze pomyślane. Będziecie tam bezpieczni niczym w kościele.

— A wy tutaj nie boicie się? — zapytał don Abbondio.

— Ja tak myślę, księżu proboszczu: tak znów, jak się to mówi, „na kwaterę” to oni na dobrą sprawę chyba tu nie przyjdą. Jesteśmy tu, Bogu dzięki, daleko od ich szlaku. Co najwyżej jaki wypad, choć i od tego Boże zachowaj. W najgorszym razie będzie jeszcze dość czasu; dojdą jakieś wieści z tych nieszczęsnych wiosek, w których się oni pojawiają.

Wędrowcy zdecydowali zatrzymać się tam nieco i odpocząć. A że była właśnie pora obiadu, krawiec rzekł:

— Niechże państwo uczynią ten zaszczyt naszemu ubogiemu posiłkowi. Prosimy: będzie to strawa szczerym sercem ofiarowana.

Perpetua wymawiała się mówiąc, że mają coś niecoś ze sobą; po krótkim certowaniu się z jednej i drugiej strony zdecydowano, jak to się mówi, zestawić razem garnuszki i zjeść wspólnie, co było pod ręką.

Dzieci z wesołym gwarem otoczyły Agnese, swoją starą przyjaciółkę. Krawiec posłał czym prędzej córeczkę (tę samą, która niegdyś zanosila obiad Marii wdowie), żeby przyniosła zebrane już wczesne kasztany i przypiekła w popiele.

— A ty — powiedział do synka — biegnij do sadu i potrząśnij brzoskwinia, niech spadnie trochę owocu, pozbieraj wszystko i przynieś prędko. A ty — zwrócił się do drugiego chłopczyka — wdrap się na figę i zerwij trochę najdojrzałych. Już wy się tam znacie na tym aż nadto dobrze.

Sam poszedł napocząć pewną swoją beczułkę, żona zaś wydobyła świeży obrus. Perpetua wypakowała zapasy, przygotowano na honorowym miejscu serwetkę i majolikowy talerz dla don Abbondia. Obok niego położono sztukę

ce, które Perpetua miała w koszyku. Wszyscy zasiedli do stołu i obiad przeszedł, jeśli nie bardzo wesoło, to w każdym razie znacznie weselej, niż ktokolwiek z biesiadników mógł się w takim dniu spodziewać.

— I cóż wasza wielbność mówi o tym całym zamieszaniu? — zagadnął krawiec. — Bo mnie to się tak wydaje, jakbym czytał historię o Maurach we Francji.

— Cóż mogę mówić? Że też coś podobnego na mnie musiało się zwać!

— Ale ksiądz proboszcz obmyślił sobie bezpieczne schronienie — podjął tamten. — Co za diabeł pchałby się na siłę tam wysoko? Znajdziecie się tam w kompanii; słyszałem, że wiele osób już się tam schroniło, a wciąż nowi przybywają.

— Pragnę wierzyć — rzekł don Abbondio — że doznamy tam życzliwego przyjęcia. Znam tego pana. Kiedym miał honor się z nim spotkać, był wielce uprzejmy!

— A mnie — dodała Agnese — powiedział za pośrednictwem przewielebnego monsignora, że jeśli będę czegoś potrzebowała, dość mi będzie udać się do niego.

— Piękne, wspaniałe nawrócenie — podjął don Abbondio — i trwa w nim niezmiennie, czyż nie?

Krawiec zaczął mówić z zapałem o świątobliwym życiu Bezimiennego i o tym, jak z postrachu całej okolicy stał się jej dobroczyńcą i zbożnym przykładem.

— A ci ludzie, których miał przy sobie? Cała ta służba... — dopytywał się don Abbondio, który wprawdzie już nieraz coś o tym słyszał, ale nie czuł się jeszcze dostatecznie uspokojony.

— Po większej części rozpędzeni — odpowiedział krawiec. — Ci, co zostali, odmienili się, ba, i to jak! Ten zamek to teraz istna Tebaida, ksiądz proboszcz zna te rzeczy.

Potem zaczął wspominać wraz z Agnese odwiedziny kardynała.

— Wielki to mąż — mówił — wielki mąż! Szkoda, że był tu tak krótko, żem nawet nie mógł uczcić go należycie. Jakież byłbym szczęśliwy, mogąc z nim mówić jeszcze kiedyś w sposobniejszej chwili!

Kiedy podnieśli się od stołu, pokazał im zawieszony u drzwi obrazek przedstawiający kardynała. Gospodarz wyrażał w ten sposób swoją cześć dla wielkiego męża, a zarazem miał okazję mówić każdemu, kto się trafił, że wizerunek nie jest podobny; on może o tym sądzić, bo przecież oglądał do woli kardynała we własnej osobie tu, w tej samej izbie.

— Co, to ma być on? — oburzyła się Agnese. — Strój podobny, a jakże, ale...

— Prawda? Nic nie podobny! — potwierdził krawiec — Zawsze to samo powiadam. My przecież wiemy, co o tym myśleć! Ale ostatecznie jest tam pod spodem jego imię. Bądź co bądź, pamiętka.

Don Abbondio spieszyło się. Krawiec podjął się znaleźć jaki wózek, który by ich dowiózł do podnóża góry. Udał się zaraz na poszukiwanie i powrócił wkrótce z wiadomością, że wózek zaraz będzie. Po czym zwrócił się do don Abbondia.

— Wasza wielbność — rzekł — gdyby ksiądz proboszcz życzył sobie zabrać tam jakąś książkę dla zabicia czasu,, mogę służyć waszej wielbności, chociażem biedak: boć i ja zabawiam się trochę czytaniem. Dzieła to niezbyt godne duchownej osoby, mową pospółstwa pisane, ale przecież...

— Dzięki, dzięki — przerwał spiesznie don Abbondio — są chwile, kiedy zaledwie można zebrać myśli na to, co konieczne.

Podczas gdy wymieniano między sobą podziękowania, życzenia, prośby o zatrzymanie się w drodze powrotnej i obietnice oraz wszelkie uprzejmości, wózek zajechał i stanął na drodze przed wejściem. Załadowano koszyki, podróżni wsiedli i rozpoczęli, spokojniej już nieco i wygodniej, drugi etap swojej wędrówki.

Wszystko, co krawiec mówił don Abbondio o Bezimiennym, było prawdą. Od dnia, w którym straciliśmy go z oczu, nie przestawał on czynić tego, co sobie wówczas postanowił; naprawiał krzywdy, jednał się z wrogami, wspomagał ubogich — jednym słowem, wyświadczał dobro przy każdej, jaka mu się nasunęła, sposobności. Ta sama odwaga, jaką niegdyś przejawiał w obrażaniu innych i bronieniu swego honoru, teraz pomagała mu nie czynić ani jednego, ani drugiego. Chodził zawsze sam i bez broni,

gotów na wszystko, co mogło się zdarzyć po tylu popełnionych przezeń bezprawia. Uważał, że użyć siły w obronie kogoś, kto tyle i wobec tak wielu ludzi zawinił, byłoby jeszcze jednym bezprawiem. Uważał, że każda krzywda, jaką by mu wyrządzono, byłaby wprawdzie zniewagą uczynioną Bogu, ale w stosunku do niego słusznym odwetem jedynie; a on miał mniejsze niż ktokolwiek prawo mścić się za zniewagi. Mimo to pozostał tak samo nietykalny jak wówczas, kiedy miał ku swej obronie tyle zbrojnych ramion obok swego własnego. Pamięć dawnych jego okrucieństw i widok obecnej łagodności, z których pierwsza powinna była wzbudzić tyle pragnień zemsty, drugi zaś czynił zemstę tak łatwą — przeciwnie, zjednywały mu głęboki podziw, stanowiący dlań jak gdyby list żelazny. Był człowiekiem, którego nikt nie mógł upokorzyć, a który upokorzył się sam. Nienawiści, podniecane niegdyś jego wzdargą i powszechnym w stosunku do niego strachem, ucichły w obliczu tej nowej pokory. Znieważani niegdyś, teraz otrzymali nieoczekiwaną, wolną od niebezpieczeństwa satysfakcję, jakiej nie dałaby im nawet najkrwawsza zemsta — ujrzeli tego człowieka żałującego swych win i dzielającego jak gdyby ich urazy.

Wielu, dla których przez długie lata była przyczyną gorzkiej zgryzoty myśl, że nigdy nie będą dość potężni, by mu odpłacić swoją krzywdę, teraz kiedy widzieli go idącego samotnie i bez broni, z wyrazem twarzy mówiącym, że nie zamierza stawiać oporu — nie czuli żadnej innej chęci poza chęcią okazania mu swego szacunku.

W tym dobrowolnym poniżeniu wygląd jego i zachowanie nabrały bez jego wiedzy czegoś dziwnie wzniosłego i szlachetnego; uderzała w nim — bardziej jeszcze niż dawniej — całkowita obojętność wobec niebezpieczeństwa. Nawet najbardziej zaciekle nienawiść czuła się jakby związana i trzymana na wodzy powszechną czcią, jaka otaczała tego żałującego i dobroczynnego człowieka. Cześć ta była tak wielka, że nieraz musiał się bronić od jej objawów i starał się, by twarz jego i gesty nie wyrażały całego ogromu skruchy, jaką czuł w sobie, starał się nie poniżać nadmiernie, by nie być przez ludzi wywyższany. W kościele wybrał sobie najpośledniejsze miejsce; nie było obawy, by mu je kto odebrać: byłoby to w oczach ludzkich uzurpowaniem sobie miejsca honorowego. Obrażenie

tego człowieka, potraktowanie go bez należytych względów wydawało się nie tyle zuchwalstwem czy podłością, ile po prostu świętokradztwem. A i ci, którym to uczucie, żywione przez innych, nakładało hamulce, stopniowo zaczęli sami je podzielać.

Te same i inne jeszcze przyczyny oddalały od niego możliwość kary wymierzonej przez władze państwowe; otaczało go więc zewsząd bezpieczeństwo, o jakim nie miał wcale wyobrażenia. Jego pozycja społeczna i parantela, które zawsze były mu w pewnej mierze osłoną, stały się nią tym bardziej teraz, kiedy imię jego, z dawną znakomite i zarazem niesławne, otoczyła aureola nawrócenia i przykładnego życia. Ci, którzy stali u steru, publicznie wyrażali swoją radość z tej przemiany — na równi z ludem. Nie do pomyslenia byłoby srożyć się na kogoś otoczonego takim uwielbieniem. Zresztą władze, zmuszone porać się przeważnie bez powodzenia z wciąż podnoszącymi głowę rebeliantami, rade były, że los uwolnił je od najdokuczliwszego i najpotężniejszego z nich wszystkich; w dodatku nawrócenie to pociągało za sobą wszelkiego rodzaju odszkodowania, jakich owe władze nie tylko nie przywykły osiągać, ale nawet żądać nie próbowały. Prześladować świętego — nie byłby to dobry sposób ukrycia tej hańby, że nie umiało się poskromić występnego; ukarać go dla przykładu równałoby się odstraszeniu i zniechęceniu innych podobnych mu, którzy byliby może gotowi pójść w jego ślady. Prawdopodobnie zresztą i rola, jaką w tym nawróceniu odegrał kardynał Federigo, imię jego wymawiane razem z imieniem nawróconego — chroniły go niby święty puklerz. W tym stanie rzeczy i pojęć, na tle szczególnych stosunków pomiędzy władzami duchownymi i świeckimi, które raz po raz zmagaly się ze sobą, nie zamierzając zresztą bynajmniej zniszczyć się nawzajem i przeplatając wrogie wystąpienia zapewnieniami uznania i poszanowania, które nieraz dążyły zgodnie do wspólnego celu, ale nigdy nie zawierały pomiędzy sobą pokoju; na tym tle zatem wydawało się jasne, że pojednanie z władzą duchowną, która sama jedna osiągnęła skutek przez obie strony pożądany, zobowiązuje władzę świecką, jeśli nie do puszczenia w niepamięć, to w każdym razie do wybaczenia wszystkich przestępstw. Tak więc człowiek ten, na którego gdyby był upadł, rzuciliby się hurmem wielu

i mali, by go zdeptać — kiedy dobrowolnie legł na ziemi, został oszczędzony przez wszystkich, a przez wielu uczczony.

Co prawda, było też wielu takich, którym ta głośna przemiana wcale nie była po myśli — cała zgraja płatnych wykonawców zbrodniczych zamierzeń, rozliczni towarzysze na drodze występku. Tracili oni w ten sposób ogromną siłę, w której mieli dotychczas oparcie; ujrzeni naraz wszystkie nici, wszystkie wątki snute od dawna, zerwane może właśnie w chwili, kiedy już miały doprowadzić do oczekiwanych rezultatów. Widzieliśmy, jak rozmaity oddźwięk znalazło owo nawrócenie w duszach hultajskiej drużyny, którą Bezimienny miał wówczas przy sobie i która z własnych jego ust wysłuchiwała niezwyklej nowiny: zdumienie, boleść, przygnębienie, gniew; wszystkiego po trosze, wyjąwszy tylko pogardę lub nienawiść. Podobnie rzecz się miała z resztą bravich rozproszonych po różnych odległych placówkach, podobnie i z wyżej postawionymi współnikami, kiedy posłyszeli tę straszną dla nich wiadomość — i zawsze te same przyczyny grały tu rolę. Nienawiść, jak twierdzi w cytowanej już wyżej książce Ripamonti, spadła raczej na kardynała Federiga. Uważano, że wmieszał się on w nie swoje sprawy po to, by bruździć. Co do Bezimiennego, to chciał jedynie zbawienia własnej duszy, a za to nikt nie miał prawa go potępić. Stopniowo większość bravich będących w jego służbie, nie mogąc pogodzić się z nową dyscypliną i straciwszy nadzieję, żeby ten stan rzeczy się odmienił, odeszła.

Jedni udali się na poszukiwanie nowej służby, poczynając od dawnych przyjaciół dotychczasowego ich pana. Inni zaciągnęli się do któregoś z pułków będących w służbie króla hiszpańskiego, księcia Mantui czy innego wojującego stronnictwa. Jeszcze inni ruszyli na gościńce, wołąc uprawiać małą wojnę na własny rachunek. Byli i tacy, którym na razie wystarczała możność łajdaczenia się na swobodzie. Tak samo poczynali sobie bravi, których Bezimienny miał na

swe rozkazy w różnych miejscach poza domem. Z tych, którzy zdołali się przystosować do nowego trybu życia, względnie przyjęli go z dobrej woli, wielu, zwłaszcza pochodzących z tej doliny, powróciło na rolę lub do rzemiosł wyuczonych w młodości i porzuconych później. Przybysze z dalszych stron zostali na zamku, pełniąc tam służbę. Jed

ni i drudzy, jak gdyby błogosławieństwo, którego doznał ich pan, i na nich również spłynęło, żyli w spokoju, nie krzywdząc nikogo i przez nikogo nie krzywdzeni, bezbronni i szanowani.

A kiedy równocześnie z najściem niemieckich hord uciekinierzy ze splądrowanych lub zagrożonych osiedli zaczęli pojawiać się na zamku prosząc o schronienie, Bezimienny, uszczęśliwiony, że ludzie szukają ratunku w tych murach, na które od tylu lat spoglądali ze strachem i grozą, przyjął tych bezdomnych nie tylko gościnnie, ale wręcz z wdzięcznością; rozgłosił, że dom jego stoi otworem dla każdego, kto w nim zechce szukać ratunku, i postanowił nie tylko zamek, ale całą dolinę przysposobić do obrony na wypadek, gdyby lancknechci lub „szkopki” próbowali i tam się zapędzić. Zgromadził wszystkich ludzi, jacy mu pozostali, nielicznych, ale wyborowych jak wiersze Tortiego, i miał do nich przemowę o tym, że Bóg zsyła im i jemu sposobność stanięcia w obronie bliźnich, których tak długo uciskali i napełniali strachem. Właściwym sobie władczyni tonem, z którego biła pewność posłuszeństwa, oznajmił im, czego od nich żąda, a przede wszystkim zarządził, jak mają postępować, by ta ludność, która szukała tu schronienia, widziała w nich jedynie przyjaciół i obrońców. Następnie kazał znieść z poddasza broń palną i białą, jaka tam od dawna leżała bezczynnie, i rozdzielił ją między załogę. Do swoich poddanych i dzierzawców z doliny posłał wezwanie, by każdy, kto się czuje na siłach, stawiał się na zamek z bronią. Kto broni nie miał, dostawał ją na zamku. Bezimienny wybrał kilku ludzi jako oficerów i przydzielił każdemu podkomendnych. Wyznaczył posterunki u wylotu doliny i w innych jej punktach, na drodze i u bram zamku. Ustalił pory, i sposób zmieniania straży, niby w obozie wojskowym, jak przywykł to czynić w tym samym zamku w czasach swego potępieńczego żywota.

W jednym kącie poddasza osobno złożona była broń, której on tylko sam używał. Ów sławetny karabin, muszkiety, szpady dłuższe i krótsze, pistolety, kordelasy, pugiwały leżały na podłodze lub stały oparte o ścianę. Nikt

z jego ludzi ich nie tknął; uradzili tylko zapytać pana, co z tego arsenału mają mu przynieść.

— Nic — odpowiedział.

I czy to był ślub dawny, czy nowy zamysł, dość, że stanął na czele swojej załogi całkowicie bezbronny. Równocześnie puścił w ruch resztę służby i poddanych, mężczyzn i kobiety, w celu przygotowania w zamku pomieszczeń dla możliwie największej ilości ludzi; zbijano prycze, rozkładano sienniki i materace we wszystkich pokojach i salach, zmieniając je w sypialnie. Zarządził sprowadzenie jak największych zapasów żywności, by wykarmić wszystkich gości, jakich mu Bóg zsyłał i których ilość rosła z dniem każdym? On sam nie pozostawał ani przez chwilę bezczynny czy to w zamku, czy poza nim, wciąż przebywał w górę i w dół stromą drogę, to obchodził dolinę, ustalając i wzmacniając posterunki, wszystkiego dojrzał i wszędzie go widziano, wprowadzał wszędzie ład słowem, spojrzeniem, samą swoją obecnością. W domu czy na drodze witał gościnnie wszystkich przybywających. Oni zaś, zarówno ci, co go znali, jak ci, którzy widzieli go po raz pierwszy, spoglądali na niego w zachwyceniu, zapominając na chwilę o

nieszczęściach i trwodze, które ich tam przygnały. I kiedy odchodził od nich do swoich zajęć, odwracali głowy i patrzyli za nim długo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mimo że ludzie napływali do doliny bardziej od przeciwnego jej końca niż od tego, skąd nadciągała trójka naszych zbiegów, zaczęli przecież i oni wkrótce spotykać towarzyszy podróży i niedoli, którzy wciąż wylaniali się z bocznych dróg i ścieżek polnych na gościniec i szli nim wszyscy w jednym kierunku. W podobnych okolicznościach każdy napotkany człowiek wydaje się bliski i znajomy. Ilekroć wózek mijał jakiegoś piechura, wymieniano pytania i odpowiedzi. Jedni uciekali, podobnie jak tych troje, nie czekając pojawienia się żołnierzy; inni słyszeli już z dala trąby i bębny, jeszcze inni widzieli najeźdźców na własne oczy i opowiadali o nich w sposób właściwy ludziom śmiertelnie wystraszonemu.

— Nam jeszcze szczęście sprzyjało, dzięki Bogu — mówiły sobie nasze niewiasty. — Mniejsza o dobytek, sami przynajmniej uszliśmy cało.

Ale don Abbondio nie widział powodu do radości. Zwłaszcza te tłumy uciekinierów, jakie sam oglądał, i większy jeszcze napływ od drugiej strony, o jakim wciąż słyszał, budziły w nim niepokój.

— Ładna historia — pomrukiwał w chwilach, kiedy nikogo obcego nie było w pobliżu. — Ładna historia! Nie rozumiecie, że nagromadzić tyle ludzi w jednym miejscu to tak, jakby się tam z rozmysłem żołnierzy przywabiało? Wszyscy ukrywają i wynoszą, co jeno mogą; w domach nic nie zostaje. Te diabły pomyślą ani chybi, że ten zamek pełen jest skarbów. Przyjdą, to pewne. O, ja nieszczęsny, w com ja się uwikłał?

— Ech, mają co innego do roboty aniżeli pchać się tutaj — mówiła Perpetua. — Przecież i oni muszą w końcu iść

w swoją drogę. Zawszem też słyszała, że w niebezpieczeństwie lepiej być w gromadzie.

— W gromadzie? W gromadzie? — przedrzeźniał don Abbondio. — Nie wiesz to, nieszczęsna kobieto, że jeden lancknecht na stu naszych starczy? A zresztą, jeśli by doszło tu do jakichś awantur, no, to mielibyśmy się z pyszną włączyć samochcąc w samą bitwę. O, ja nieszczęsny, już lepiej było iść w góry. Cóż ci ludzie sobie myślą, żeby tak ścigać wszyscy w jedno miejsce! Głupcy! — mruczał z cicha. — Wszyscy tutaj! Jeszcze i jeszcze, jeden za drugim, niby owce bezrozumne!

— No — zauważyła Agnese — to samo oni mogliby o nas powiedzieć.

— Bądźcież cicho — ofuknął ją don Abbondio. — Gadanie na nic się nie zda. Co się stało, już się nie odstanie; skorośmy tu przyszli, trzeba nam tu zostać. Będzie, co Bóg da. Obyż się zmiłował nad nami.

Ale kiedy u wylotu doliny zobaczyli przed drzwiami jakiegoś domku kilku zbrojnych ludzi, a przez okna większą ich ilość, ukrytych wewnątrz, humor don Abbondia znowu się pogorszył. Wyglądało to wręcz na jakieś koszary! Proboszcz przyjrzał się tym ludziom z ukosa: nie były to te same twarze, jakie oglądał w swojej pierwszej okropnej podróży, a jeżeli nawet, to zupełnie odmienione; mimo to jednak wyrazić trudno, jak dalece przykry był dla don Abbondia ten widok. „O, ja nieszczęsny — pomyślał — jakieś tu się gotują zaleństwo. I czyż mogło być inaczej? Powinienem był

tego się spodziewać po człowieku tego gatunku. Ale cóż on właściwie zamierza? Wojować? Króla udawać? O, ja nieszczęsny! W tym położeniu, kiedy każdy rad byłby schować się pod ziemię, ten szuka sposobów, by jak najbardziej rzucać się w oczy, zdaje się wręcz sam ich tu zapraszać!"

— Niechże jegomość jeno spojrzy — rzekła Perpetua — ilu tu dzielnych zuchów; potrafią nas ani chybi obronić. Niech spróbują tu przyjść żołnierze! Ci tutaj to nie tacy tchórze jak u nas, dobrzy jeno do umykania.

— Cicho! — rzekł stłumionym, ale gniewnym głosem don Abbondio. — Oho! Nie wiesz sama, co gadasz. Proś lepiej Boga, żeby wojsko bardzo się spieszyło albo żeby nie dowiedziało się wcale, co się tu wyprawia, że się tu całą okolicę w fortecę przemienia. Toć zdobywanie fortec

to fach żołnierza! Niczego innego nie pragną. Do szturmują idą, jak na wesele; bo co znajdą, to dla nich, a ludzi nadziejają na szpady. O, ja nieszczęsny! Dość mam tego. Muszę popatrzeć, czy w razie czego nie da się uniknąć tam, przez te urwiska. W żadną bitwę nie dam się wciągnąć. O, nie! W żadną bitwę nie dam się wciągnąć.

— No, skoro jegomość boi się nawet obrony i pomocy... — rozpoczęła Perpetua, ale don Abbondio przerwał jej ostro, choć wciąż przyciszonym głosem:

— Cicho! I bacz, by takich rzeczy przy ludziach nie gadać. Tutaj trzeba nam ukazywać twarz zadowoloną i chwalić wszystko, co się widzi.

W oberży pod „Złą Nocką" również zastali silną załogę; don Abbondio uklonił się owym strażom uprzejmie, mówiąc sobie w duchu: „Alem się dostał w środek wojskowego obozu..." Wózek zatrzymał się i wysiedli. Don Abbondio śpiesznie zapłacił i odprawił woźnicę, po czym w milczeniu ruszył wraz ze swymi towarzyszkami stromą drogą pod górę. Widok tych miejsc budził w nim wspomnienia tego wszystkiego, co tam niegdyś przecierpiał, zwiększając jeszcze obecnie przeżywany niepokój.

. Agnese, która tych miejsc nigdy nie widziała, ale w myśli wytworzyła sobie ich obraz fantastyczny i ponury, jawiący się jej oczom, ilekroć wspomniała straszną przygodę Lucji, teraz, oglądając je w rzeczywistej postaci, odczuwała z nową siłą minione, a okrutne przeżycia.

— O, księżu proboszczu! — wykrzyknęła nagle. — Pomyśleć, że wtedy moją biedną Lucję wieźli tą samą drogą!

— Zamilknijcież wreszcie, bezrozumna kobieto! — gniewnie szepnął jej w ucho don Abbondio. — Jakże można o takich rzeczach tutaj gadać! Nie wiecie, żeśmy tu już jakby w jego domu? Całe szczęście, że nikt was w tej chwili nie słyszy. Ale jeśli będziecie gadać w ten sposób.

— Och! — rzekła Agnese. — Skoro to teraz święty człowiek...

— Milczcież — przerwał don Abbondio. — Sądźcie, że świętym można gadać bez ogródek wszystko, co człowiekowi przez głowę przeleci? Pomyślcie raczej o tym, by mu jak należy podziękować za to, co wam wyświadczył dobrego.

— O, co do tego, to już sama pomyślała. Czy ksiądz proboszcz sądzi, że nie znam się trochę na obyczajności?

— Obyczajność na tym polega, by nie mówić rzeczy, których człowiek nierad słucho, zwłaszcza taki, co nie przywykł ich słyszeć. Zapamiętajcie dobrze wy obie, że to nie miejsce na babskie pogawarki, na gadanie wszystkiego, co ślina na język przyniesie. To dom wielkiego pana, wiecie o tym dobrze. A popatrzcież jeno, w jakiej tu będziemy kompanii:

ciągną tu ludzie najróżniejsi. Rozwagi zatem, ile tylko potraficie: zważyć każde słowo, a nade wszystko niewiele ich wypowiadać, wtedy jeno, kiedy naprawdę potrzeba. Kto milczy, głupstw nie gada.

— Gorsze jest to wszystko, co jegomość... — zaczęła Perpetua, ale don Abbondio rzucił jej półgłosem gniewne: — Cicho! — równocześnie zdejmując w pośpiechu kapelusz i składając głęboki ukłon; bowiem spojrzawszy w górę ujrzał Bezimiennego schodzącego ku nim ścieżką. On też już spostrzegł don Abbondia, poznał go i przyspieszył kroku, dążąc na jego spotkanie.

— Księżę proboszczu — odezwał się podszedłszy blisko — pragnąłbym powitać go w moim domu w szczęśliwszych okolicznościach; w każdym razie rad jestem wielce mogąc mu być w czymkolwiek użyteczny.

— Ufając w niezmienną dobroć waszej wielmożności — odpowiedział don Abbondio — pozwoliłem sobie na śmiałość niepokojenia go w tej tak smutnej sytuacji. Oraz jak wasza wielmożność widzi, pozwoliłem sobie przyprowadzić kogoś ponadto. Ta oto jest moją gospodynią...

— Witam — rzekł Bezimienny.

— Tamta zaś druga — ciągnął don Abbondio — to niewiasta, której wasza wielmożność wyświadczył już kiedyś dobrodziejstwo: matka owej... owej...

— Matka Lucji — wtrąciła Agnese.

— Matka Lucji! — zawołał Bezimienny odwracając się ku niej i nisko chyląc głowę.. — Dobrodziejstwo, ja! Boże wielki! To wy czynicie mi łaskę, przychodząc tu, do mnie... do tego domu... przynosicie doń błogosławieństwo.

— Gdzie tam! — zaprzeczyła Agnese. — Przychodzę tu robić kłopot waszej wielmożności — i dodała nachylając się do jego ucha: — Pragnę też podziękować...

Bezimienny przerwał jej, wypytując troskliwie o Lucję; następnie zawrócił, by towarzyszyć swym nowym gościom do zamku mimo ich ceremonialnych protestów. Agnese rzuciła proboszczowi spojrzenie, które zdawało się mówić:

„No, proszę, czy potrzeba, żeby się tu ksiądz wtrącał ze swymi radami pomiędzy nas dwoje?”

— Są już w parafii księżdz proboszcz? — zapytał Bezimienny.

— Nie, wasza wielmożność, nie chciałem czekać na tych diabłów — odpowiedział don Abbondio. — Bóg raczej wiedzieć, czy wyszedłbym żywy z ich pazurów i czy miałbym jeszcze okazję niepokojenia tu waszej wielmożności.

— Niech ksiądz proboszcz będzie dobrej myśli, teraz jest bezpieczny. Tu nie przyjdą, a niechby spróbowali, gotowiśmy na ich przyjęcie.

— Ufajmy, że nie przyjdą — rzekł don Abbondio. — Chodzą słuchy — dodał po chwili, wskazując ręką góry zamykające naprzeciw nich dolinę — chodzą słuchy, że z tamtej strony nadsciągają inne jeszcze bandy, ale... ale...

— To prawda — odparł Bezimienny — ale ksiądz proboszcz może być spokojny: na tych również jesteśmy przygotowani.

„Między dwoma ogniami — pomyślał don. Abbondio — właśnie między dwoma ogniami. Gdzieżem to ja się dał wciągnąć! I to przez takie dwie baby! A ten tu wygląda, jakby się z tego cieszył! Och, co za ludzie chodzą po tym świecie!”

Kiedy weszli na zamek, pan jego kazał zaprowadzić Agnese i Perpetuę do jednego z pokojów w budynku przeznaczonym dla kobiet. Otaczał on z trzech stron drugi podwórzec i zbudowany był na wystającym masywie skalnym wprost nad przepaścią. Mężczyźni mieścili się w skrzydłach po obu stronach pierwszego dziedzińca i w części frontowej, wychodzącej na placyk przed zamkiem. Część budowli znajdująca się pomiędzy obu dziedzińcami, połączonymi ze sobą szerokim przejściem naprzeciw głównej bramy, służyła jako magazyn zapasów; tam też uciekinierzy mogli składać swoje rzeczy na przechowanie. W kwaterze mężczyzn parę izb przeznaczono dla duchownych, jeśli się jacy pojawili. Bezimienny osobiście zaprowadził tam don Abbondia, który był pierwszym przybyłym kapłanem.

Nasi wygnańcy spędzili na zamku dwadzieścia trzy czy też dwadzieścia cztery dni. Dokoła nich panował ruch nieustanny, znajdowali się też w licznej kompanii, przez pierwszych kilka dni wciąż wzrastającej. Nic niezwykłego

nie wydarzyło im się w tym czasie. Nie minął, co prawda, ani jeden dzień bez jakichś alarmujących wieści: stąd a stąd nadciągają lancknechci; tam a tam widziano „szkoptów”. Na każdą taką wieść Bezimienny wysyłał ludzi na zwiady; jeśli było potrzeba, brał oddziałek będący zawsze w pogotowiu i udawał się tam, gdzie zasygnalizowano niebezpieczeństwo. Szczególny widok przedstawiał ów oddziałek ludzi uzbrojonych od stóp do głów, idący w szyku wojskowym, z całkiem nie uzbrojonym człowiekiem na czele. Najczęściej chodziło tylko o włączających się pojedynczo rabusiów, którzy pierchali, zanim jeszcze oddziałek przybył na miejsce. Raz jednak ścigając kilku z nich, by ich zniechęcić do powrotu, Bezimienny dostał wiadomość, że jedną z pobliskich wiosek napadła właśnie banda łupieżców. Byli to lancknechci z rozmaitych pułków, maruderzy, którzy utworzyli jedną silną bandę i urządzali niespodziane napady na wsie sąsiadujące ze szlakiem przemarszu. Obdzierali oni mieszkańców ze wszystkiego i dopuszczali się wszelkiego rodzaju wybryków. Bezimienny krótko przemówił do swoich ludzi i powiódł ich ku owej wiosce. Przybyli tam niespodziewanie. Hultaje, przygotowani tylko na łupienie bezbronnych, widząc oddział zbrojny i gotów do walki, porzucili grabież w połowie i czmychnęli w pośpiechu tam, skąd przyszli, nie czekając jedni na drugich. Bezimienny ścigał ich czas jakiś, po czym zatrzymał swój oddział i czekał, czy nie zajdzie nic nowego; wreszcie zawrócił, a w przejściu przez ocaloną wioskę wybuchy wdzięczności i błogosławieństwa towarzyszyły oswobodzicielom i ich dowódcy.

Na zamku, w tym przypadkowo zgromadzonym i tak bardzo niejednorodnym tłumie, różniącym się między sobą kondycją społeczną, obyczajami, płcią i wiekiem, nie zrodził się przez cały ten czas ni jeden poważniejszy zatarg. Bezimienny powyznaczał ludzi mających czuwać nad tym, by nie wybuchały żadne nieporozumienia, zarządzać jak się da trudnościami; spełniali oni gorliwie powierzone im zadanie wiedząc, że będą musieli sumiennie zdać z niego sprawę. Prócz tego Bezimienny prosił przebywających tam księży i innych obdarzonych większym autorytetem ludzi, by zaglądali tu i ówdzie i czuwali także ze swej strony. Sam

krążył również po zamku i wszędzie dawał się widzieć. Ale i w jego nieobecności świadomość, w czyim domu się znajdują, była dostatecznym hamulcem dla tych, którzy mogli hamulca potrzebować. Zresztą, byli to wszystko ludzie, którzy uciekli przed niebezpieczeństwem, spragnieni na ogół spokoju. Myśl o porzuconych domach i dobytku, u wielu zaś także o krewnych i przyjaciółach pozostałych w niebezpieczeństwie, okrutne wieści nadchodzące z zewnątrz przygnębiały umysły i tym bardziej skłaniały do spokoju. Było tam jednak trochę i beztroskich, nie tracących ducha ludzi, którzy starali się i te dni pędzić w miarę możliwości wesoło. Porzucili oni swoje domy, bo nie czuli się dość silni, by je obronić. Nie mieli jednak ochoty żyć we łzach i wzdychaniu nad czymś, na co nie mogli poradzić, ani też wyobrazić sobie zawczasu ruiny, którą i tak mieli wkrótce oglądać własnymi oczyma. Różne zaprzyjaźnione pomiędzy sobą rodziny przywędrowały tam wspólnie, inni zastali przyjaciół na miejscu, wreszcie nawiązywano przyjaźnie całkiem nowe; tłum uciekinierów podzielił się stopniowo na grupy i grupki, zależnie od usposobienia i obyczajów. Kto miał dość pieniędzy, schodził na obiad nisko w dolinę, gdzie gospody wyrastały jak grzyby po deszczu. W niektórych każdemu kęsowi towarzyszyło westchnienie i, nie było przyjęte mówić o czymkolwiek innym prócz powszechnej, spadłej na wszystkich klęski; w innych, jeżeli wspomniano o nieszczęściach, to jedynie w tym sensie, że lepiej o nich nie myśleć. Ci, którzy nie mogli czy nie chcieli wydawać pieniędzy, otrzymywali na zamku chleb, zupę i wino; prócz tego nakryte stoły czekały zawsze na tych, których pan domu specjalnie zaprosił; należeli do nich i nasi znajomi.

Agnese i Perpetua, nie chcąc darmo jeść chleba, prosiły, by im dano jakąś robotę, której wiele pociągała za sobą ta na tak wielką skalę rozciągnięta gościnność. Większą część dnia spędzały przy pracy, resztę na pogawędkach z różnymi niewiastami, z którymi się zaprzyjaźniły, albo z nieszczęsnym don Abbondiem. Ten nic zgoła nie miał do roboty, jednak nie nudził się: strach dotrzymywał mu towarzystwa. Nie był to strach przed szturmem nieprzyjacielskim; jeżeli nie pozbył się go całkowicie, to w każdym razie zelżał znacznie, bo po zastanowieniu się sam don

Abbondio musiał zrozumieć, jak mało był uzasadniony. Ale widok otaczających ziem, spustoszonych i splądrowanych przez rozpasane żołdactwo, broń i zbrojni ludzie bezustannie jawiący się jego oczom, zamek, ów słynny zamek, wreszcie myśl o wszelakich groźnych wydarzeniach, jakie w każdej chwili mogą w tej sytuacji nastąpić — wszystko utrzymywało go w stanie mglistego, ale ustawicznego lęku. Prócz tego dręczyła go myśl o jego własnym domu. Przez cały czas pobytu na zamku nie oddalił się odeń ani na odległość strzału, ani nogą nie stąpił na wiodącą w dół drogę. Przechadzki jego ograniczały się do placu przed bramą, z którego krańców spoglądał to na prawy, to na lewy bok budowli, wypatrując wśród urwisk i wąwozów jakiejś możliwości zejścia, jakiejś ścieżyny, którą w razie potrzeby mógłby uciekać w poszukiwaniu kryjówki. Wszystkim swoim towarzyszom niedoli kłaniał się bardzo uprzejmie, ale obcował z bardzo niewielu spośród nich. Najczęściej rozmawiał, jak już wspomnieliśmy, z Perpetuą i Agnese; przed nimi mógł się swobodnie uzalić, choć zdarzało się, że Perpetua skrzyczała go, Agnese zaś zawstydziała. Przy stole, gdzie starał się pozostawać krótko i mówić jak najmniej, wysłuchiwał wieści o straszliwym przemarszu. Wieści te nadchodziły dzień po dniu, wędrując od wsi do wsi, od ust do ust, albo też przynosił je ktoś, kto z początku zamierzał zostać w domu, a potem uciekał w ostatniej chwili, nie zdążywszy nic uratować, czasem nawet mocno poturbowany. Nie było dnia, żeby nie usłyszano o jakimś nowym nieszczęściu. Niektórzy, bजारze zamiłowani, gorliwie zbierali wszystkie te wieści, przesiewali starannie wszelkie ich wersje i samą śmietankę podawali dalej. Spierano się o to, które pułki składają się z najgorszych diabłów, czy groźniejsza jest piechota, czy konnica; powtarzano mniej lub więcej przekręcając nazwiska dowódców i opowiadano ich minione czyny; wymieniano miejscowości dotknięte klęską, przewidywano szlaki przemarszu; „tego a tego dnia — mówiono — pułk taki a taki grasował tu a tu; jutro uderzy na taką a taką wieś, gdzie tymczasem już inny pułk czyni istne piekło”. Przede wszystkim jednak chciano wiedzieć, ile i jakie pułki stopniowo przebywają już koło Lecco. Z tą bowiem chwilą przestawały już zagrażać okolicy. Oto przechodzi konnica Wallensteina, piechota Merode'a, konnica an

halcka i brandenburska piechota, dalej konne pułki Montecuccolego i Ferrariego; przechodzi Altringer, Fürstenberg, Colloredo; idą Kroaci, Torquato Conti i jeszcze, i jeszcze inni. Wreszcie, kiedy się Niebiosom spodobało, przeszedł Galasso, ostatni. Lotny szwadron wenecki zamknął przemarsz i oto kraj odetchnął, nareszcie uwolniony. Mieszkańcy okolic, które najwcześniej przeżyły to najście, pierwsi też poczęli opuszczać zamek. Dzień po dniu odpływali po trochu, jak kiedy po jesiennej burzy z gęstwiny wielkiego drzewa wyfruwały z każdej strony ptaszki, które się tam schroniły. Nasza trójka wyruszyła bodajże ostatnia; sprawił to upór don Abbondia, który bał się w razie zbyt spieszego powrotu natknąć się gdzieś jeszcze na lancknechtówmaruderów, wałęsających się pojedynczo na tyłach wojska. Na próżno Perpetua tłumaczyła mu, że im dłużej zwlekają, tym więcej dają wiejskim nicponiom sposobności

myszkowania po domu i wynoszenia wszystkiego, co jeszcze tam może zostało; kiedy chodziło o bezpieczeństwo własnej skóry, don Abbondio zawsze był górą w dyspacie; zwłaszcza że groźba nie była tak bliska i bezpośrednia, żeby przyprawić o zupełną utratę głowy.

Wreszcie ustalono dzień wyjazdu. Bezimienny nakazał przygotować pod „Złą Nocką” karocę i włożyć do niej pakę bielizny domowej dla Agnese, której wręczył także, odwoławszy ją na stronę, rulonik skudów na pokrycie strat, jakie w domu niewątpliwie miała zastać. Zmusił ją do przyjęcia tych pieniędzy, mimo że Agnese bijąc się w piersi zapewniała, że jeszcze zostało jej sporo tych dawnych.

— A kiedy zobaczycie swoją dobrą, biedną Lucję... — powiedział — wierzę, że ona modli się za mnie, właśnie dlatego, że jej tyle złego uczynił, powiedzciej jej, że jej dziękuję i mam ufność w Bogu, że modlitwy te powrócą do niej jako błogosławieństwo...

Postanowił odprowadzić swoich gości aż do czekającej na nich karocy. Łatwo sobie wyobrazić pokorne a wylewne podziękowania don Abbondia i zachwyty Perpetuy. Ruszyli wreszcie; wstąpili, jak było umówione, na krótką chwilę do domu krawca, gdzie nasłuchali się mnóstwa opowieści o przemarszu wojsk; zwykle dzieje: rabunki, gwałty, zniszczenie, niechlujstwo. Ale tam, do nich, szczęśliwym trafem lancknechci nie zajrzeli.

— Ach, księżę proboszczu! — rzekł krawiec pomagając

don Abbondio wsiąść do karocy. — Ileż to ksiązek nadrukują ludzie o tym całym zamęcie!

Ujechawszy jeszcze kawałek drogi nasi podróżni zaczęli oglądać własnymi oczyma to, o czym tyle słyszeli. Winnice ogołoczone, i to nie tak jak bywają po winobranii, ale jakby grad i huragan równocześnie pastwiły się nad nimi: łozy na ziemi, odarte z liści i splątane, pale powyrywane, ziemia stratowana, usiana patykami, liśćmi, zielskiem; powyrywane i połamane drzewa; porozwalane ogrodzenia, poodrywane furtki. We wsiach powyważane drzwi, połamane okiennice, wszelkiego rodzaju szczątki, podarte szmaty rozwłócone wszędzie; ciężki zaduch wzmagający się zwłaszcza w bezpośredniej bliskości mieszkań; ludzie zajęci wyrzucaniem z domów nieczystości, naprawianiem drzwi i okiennic, to znów zbici w gromadki i lamentujący wspólnie; ku' przejeżdżającej karocy wyciągały się raz po raz ręce proszące o jałmużnę.

Mając pełne oczy i myśli tych obrazów i spodziewając się to samo znaleźć znów u siebie, dojechali wreszcie i istotnie zastali wszystko tak, jak przewidywali.

Agnese złożyła pakunki w kącie podwórza, które w porównaniu z domem było jako tako czyste, i zabrała się do wymiatania brudów, zbierania i doprowadzania do porządku tych nędznych resztek, jakie jej pozostały. Sprowadziła cieślę i kowala dla naprawienia najważniejszych uszkodzeń. A kiedy zabrała się do przeglądania, sztuka po sztuce, otrzymanej w darze bielizny i do liczenia dukatów, powiedziała sobie:

— No, spadłam na cztery łapy. Dzięki niech będą Bogu, Madonnie i temu dobremu panu; mogę rzec, że spadłam na cztery łapy.

Don Abbondio i Perpetua weszli do domu bez pomocy kluczy; z każdym krokiem bardziej ogarniał ich ohydny zaduch, istne morowe powietrze, tak że omal nie cofnęli się z powrotem. Zaciskając nosy doszli do drzwi kuchni. Weszli tam, stąpając ostrożnie, starając się omijać pokrywające podłogę brudy. Rozejrzeli się dokoła: nie dostrzegli ani jednego całego przedmiotu; za to wszędzie wały się szczątki całego dobytku: pióra kur Perpetui, strzępy bielizny, kartki z almanachów don Abbondia, skorupy garnków i talerzy — wszystko zmieszane w okropnym nieładzie. Już choćby samo palenisko dawało pojęcie o ogro

mie zniszczenia, tak jak zawiły okres w ustach pompatycznego mówcy zawiera w sobie mnóstwo nie wypowiedzianych, ale lekko zaznaczonych idei. Pełno tam było na pół zwęglonych głowni, w których łatwo można było rozpoznać to poręcz krzesła, to nogę od stołu, to kawałek drzwi szafy, to deskę z łóżka, klapkę z beczułki po winie, tym samym, które tak dobrze robiło don Abbondioowi na żołądek. Reszta — to popiół i węgiel. I tymi właśnie węgielkami niszczyciele zabazgrali dla rozrywki ściany, pokrywając je pokraccznymi postaciami, których birety, tonsury i spasiono twarze miały wskazywać, że są to księża. Autorzy rysunków dołożyli wszelkich starań, żeby uczynić te postacie okropnymi i śmiesznymi zarazem, a rzecz jasna, wysiłki takich artystów nie mogły pozostać bezowocne. — Co za świnię! — wykrzyknęła na ten widok Perpetua..

— Ach, łajdaki! — jęknął don Abbondio i oboje wypadli pędem, jakby ich ścigano, przez małe drzwiczki prowadzące do sadu. Odetchnęli i ruszyli prosto pod drzewo figowe; z daleka jeszcze ujrzeni rozkopaną ziemię i wydali jednogłośnie okrzyk zgrozy. Stanąwszy pod figą znaleźli zamiast zakopanych pieniędzy pusty dół. Teraz dopiero zaczęło się na dobre: don Abbondio wyrzucał Perpetui, że źle ukryła skarb; możecie być pewni, że nie zniosła tego w milczeniu. Długo wrzeszczeli oboje gestykulując i wyciągniętym palcem wskazując oskarżycielsko na dziurę w ziemi, po czym wrócili razem do domu, pomrukując jeszcze gniewnie. I pomyślcie, że na każdym kroku spotykali mniej więcej to samo. Napracowali się srodze czyszcząc i odkażając dom, zwłaszcza że w tym czasie niezmiernie było trudno znaleźć kogoś do pomocy. Długi czas musieli żyć jak w jakim obozowisku radząc sobie lepiej lub gorzej, zdobywając stopniowo drzwi, sprzęty i naczynia za pieniądze pożyczone od Agnese. W dodatku grabież ta stała się posiewem innych, dalszych kłopotów i przykrości; Perpetua bowiem póty myszkowała, rozpytywała się i węszyła, póki nie wysledziła, że niektóre sprzęty jej pana, o których sądzili, że stały się łupem żołnierstwa lub pastwą ognia, znajdują się zdrowe i całe w domach miejscowych wieśniaków. Od tej chwili nie dawała proboszczowi spokoju, usiłując zmusić go do zażądania zwrotu swojej własności. Nic nie mogło być don Abbondioowi bardziej niena

wistne od takiego żądania: rzeczy te były przecież w rękach złoczyńców, czyli tego gatunku ludzi, z którymi najusilniej pragnął nigdy nie zadzierać.

— Nie chcę nic o tym wiedzieć — bronił się. — Ileż razy powtarzałem, że co przepadło, to przepadło. Czy dlatego, że obrabowano mój dom, mam jeszcze na dokładkę dać się ukrzyżować?

— Zawsze powiadam, że jegomość dałby sobie ukraść nawet oczy z głowy. Okraść innych ludzi jest grzechem, ale jegomości to grzech byłby nie okradać.

— Jak możesz wygadywać takie niedorzeczności! — protestował don Abbondio. — Zamilczże, kobieto!

Perpetua milkła, ale nie od razu, a przy pierwszej okazji wszczyniała wszystko od nowa. W końcu biedaczysko przestał się skarżyć, kiedy potrzebując jakiejś rzeczy przypominał sobie, że jej już nie ma. Nie chciał bowiem narażać się na to, że znowu usłyszy:

— Niech jegomość idzie upomnieć się u tego czy owego, który to ma u siebie; a dawno już by oddał, gdyby nie z takim miękkim człowiekiem miał do czynienia.

Drugą, i to niemałą przyczyną niepokoju były krążące wciąż słuchy o wałęsających się po okolicy maruderach, co zresztą don Abbondio z góry przewidywał. Żył więc w nieustającej obawie ujrzenia takiego marudera czy całej ich bandy u swoich drzwi, które zresztą kazał od razu w największym pośpiechu zreperować i trzymał bardzo starannie zamknięte. Z łaski Niebios nic takiego się nie wydarzyło. Zanim jednak to niebezpieczeństwo minęło, pojawiło się inne, nowe.

Tu na razie zostawimy biednego księżynę. W grę wchodzi bowiem coś znacznie poważniejszego niż jego osobiste obawy, niż przemijające niebezpieczeństwo zawieszane nad taką czy inną okolicą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dżuma, której Urząd Zdrowia z dawna się obawiał ostrzegając, że wojska niemieckie mogą ją łatwo przywlec w granice księstwa mediolańskiego, jak wiadomo — wdarła się tam rzeczywiście. Wiadomo również, że nie zatrzymała się, ale ogarnęła i wyludniła znaczną część Włoch. Idąc za wątkiem naszej opowieści przechodzimy zatem do opisanego w najogólniejszych zarysach owej straszliwej klęski. Mowa tu będzie o jej przebiegu w księstwie mediolańskim, a ściślej biorąc, w samym Mediolanie, ponieważ wszelkie kroniki i pamiętniki ówczesne zajmują się wyłącznie niemal tym, co działo się w stolicy, jak to zresztą, słusznie czy niesłusznie, najczęściej bywa. Celem zaś tej naszej opowieści jest, prawdę mówiąc, nie tylko ukazanie dziejów osób w niej występujących, ale także danie w treściwym i wiernym skrócie, w miarę sił naszych, fragmentu historii ojczystej, raczej głośniego niż do głębi znanego.

Pośród dość licznych relacji współczesnych nie ma ani jednej wystarczającej do wytworzenia sobie względnie jasnego i kompletnego obrazu; każda z nich jednak przyczynia się do jego uzupełnienia. W każdej, nie wyłączając pamiętników Ripamontiego, przewyższających wszystkie pozostałe źródła zarówno liczbą, jak i doborem opisanych faktów, a bardziej jeszcze sposobem ich obserwowania, w każdej zatem pominięte są pewne rzeczy ważne, zamieszczone w innych źródłach. Każda zawiera błędy, które rozpoznać i sprostować dopomagają nam relacje inne oraz nieliczne dokumenty urzędowe, drukowane i nie drukowane. Nieraz w jednym z tych tekstów znajdujemy przyczyny, podczas gdy w innych widzieliśmy skutki tych

przyczyn, zawieszane jak gdyby w próżni. We wszystkich panuje dziwne pomieszanie kolejności wydarzeń w czasie; jakby chodzenie tam i z powrotem po omacku, bez wytkniętego celu, zarówno w ogólnym zarysie, jak i w szczegółach; jest to zresztą bijąca w oczy i powszechna cecha książek tej epoki, zwłaszcza pisanych w języku ludowym — przynajmniej co się tyczy Włoch. Czy tak samo było i w pozostałych krajach Europy, wiedzą zapewne uczeni, a my możemy jedynie podejrzewać. Żaden pisarz czasów późniejszych nie zadał sobie trudu zestawienia tych wszystkich źródeł, by ' wydobyć z nich logicznie powiązany łańcuch wydarzeń — całkowite dzieje owej zarazy. Toteż pojęcie o niej ogółu ludzi musi być siłą rzeczy bardzo niepewne i niejasne; mieści się w nim wyobrażenie wielkich klęsk i wielkich błędów (i w rzeczywistości były one większe, niżby sobie można wyobrazić); na pojęcie to składają się raczej sądy niż znajomość faktów, faktów rozproszonych, oderwanych nieraz od charakteryzujących je okoliczności, pomieszanych w czasie, bez rozróżniania przyczyn i skutków, bez uwzględniania przebiegu i rozwoju wypadków. My, zbadawszy i zestawivszy z wielką starannością przynajmniej wszystkie źródła drukowane, pewną ilość nie wydanych i wiele (jak na szczupłą ilość dochoowanych ogółem z tej epoki) dokumentów tak zwanych urzędowych, usiłowaliśmy z nich wydobyć może nie to wszystko, co by należało — ale w każdym razie rzeczy dotychczas nigdy nie wydobyte. Nie zamierzamy tutaj przytaczać wszystkich wydarzeń życia publicznego ani nawet wszystkich tych, które wydają nam się z jakichkolwiek względów godne zapamiętania. Nie jest również naszym celem zniechęcanie tych, którzy chcieliby się bliżej zapoznać z tym przedmiotem, do posługiwania się oryginalnymi źródłami: rozumiemy bowiem zbyt dobrze, ile życia, jaką nie przenośną, jeśli można to tak nazwać, siłę wyrazu mają zawsze tego rodzaju dokumenty, bez względu na to, jak zostały pomyślane i wykonane. Staraliśmy się tylko wydobyć na jaw i sprawdzić fakty najważniejsze i najbardziej ogólnej natury, uszeregować je w czasie zgodnie z rzeczywistością (o ile to tylko możliwe), zaobserwować

ich wzajemne działanie i dać w ten sposób, zanim ktoś inny uczyni to lepiej, krótką, ale prawdziwą i jednolitą relację owej wielkiej plagi.

Wzdłuż całego szlaku przemarszu wojska zostawiały w domach i na drogach trupy. Wkrótce potem to w tej, to w innej wsi zaczęli poszczególni ludzie i całe rodziny zapadać i umierać na dziwną jakąś chorobę, w której gwałtownym bólem towarzyszyły objawy, większości całkowicie nie znane. Dla niektórych jednak nie były one nowe — żyli bowiem jeszcze tacy, którzy pamiętali dżumę, jaka pięćdziesiąt trzy lata przedtem spustoszyła ogromne połacie Włoch, a w szczególności srożyła się w księstwie mediolańskim, gdzie nazwano ją (i nazywa się po dziś dzień) „dżumą Świętego Karola”. Taka jest siła miłosierdzia! Pośród wielu niezatartych, a tak różnych wspomnień, jakie pozostawiła powszechna klęska, najsilniejsze okazało się wspomnienie jednego człowieka; człowiek ten bowiem natchnął ludzi do uczuć i czynów bardziej aniżeli klęska pamiętnych. Imię jego pozostało w ludzkiej pamięci związane z ową klęską, ponieważ był w tych ciężkich dniach przewodnikiem, pomocą, przykładem, dobrowolną ofiarą. Wycisnął on na tej straszliwej klęsce własne piętno i nazwano ją jego imieniem, jak gdyby była czymś przez niego odkrytym czy zdobytym.

Naczelnym lekarzem, Lodovico Settala, który nie tylko widział ową zarazę własnymi oczyma, ale był w walce z nią jednym z najczynniejszych i najbardziej nieustraszonych i — mimo bardzo młodego wieku — jednym z najbardziej uznawanych lekarzy, obecnie mając silne podejrzenia, że zaraza zaczyna grasować, złożył dwudziestego października w Urzędzie Zdrowia raport o niewątpliwym wybuchu dżumy w Chiuso, najdalszej miejscowości okręgu Lecco, tuż przy granicy bergamskiej. Nie wyciągnięto jednak z tego żadnych zgoła konsekwencji, jak to wynika ze Sprawozdania Tadina.

Ale oto takie same alarmujące wieści nadeszły z Lecco i Bellano. Wtedy Urząd Zdrowia zdecydował się posłać komisarza, który po drodze dobrał sobie lekarza z Como i razem z nim wyruszył na inspekcję wymienionych miejscowości. Obaj „czy to przez ignorancję, czy z innej przyczyny dali się przekonać staremu i ciemnemu cyrulikowi, że ta choroba to nie była dżuma”, ale w jednych miejscowościach zwykle oddziaływanie jesiennych oparów bagiennych, w innych zaś — skutki głodu i wyczerpania związane z przemarszem wojsk niemieckich. Raport tej treści

złożony został Urzędowi Zdrowia, który jak się wydaje, całkowicie się nim zadowolił.

Że jednak zewsząd nadchodziły wiadomości o coraz częstszych wypadkach śmierci, wysłano znowu dwóch delegatów, którzy mieli sprawę zbadać i zarządzić zło: wyżej wspomnianego Tadina i jednego audytora z Urzędu Zdrowia. Kiedy ci dwaj przybyli na miejsce, choroba tak się już rozszerzyła, że dowodów nie trzeba było szukać: same rzucały się w oczy. Zwiedzili okręgi Lecco i Valsassiny, wybrzeże jeziora Como i okręgi zwane Monte di Brianza i Gera d' Adda. Wszędzie natrafiali na wsie zamknięte bramami, inne całkowicie niemal wyludnione, a mieszkańców rozproszonych, obozujących pod gołym niebem. „Wydawali się — pisze Tadino — jakimiś leśnymi stworami, w rękach ich widzieliśmy rozliczne zioła: miętę, rutę, rozmaryn; niektórzy nosili z sobą buteleczki octu.” Dopytywali się wszędzie o ilość zmarłych; były to cyfry przerażające. Odwiedzali chorych i oglądali trupy; u wszystkich znajdowali okropne

znamiona zarazy. Niezwłocznie przesłali do Urzędu Zdrowia pismo zawierające owe groźne wieści. Urząd, otrzymawszy owo pismo październik, „począł radzić — pisze wciąż ten sam Tadino — nad wprowadzeniem świadectw zdrowia w celu niedopuszczania do miasta osób przybywających z miejscowości objętych zarazą. Na razie zaś, zanim dekret tej treści został ogłoszony, wydano odpowiednie rozkazy celnikom przy bramach miejskich. Tymczasem delegaci wydali spiesznie szereg zarządzeń, jakie uważali za konieczne, i wrócili do miasta ze smutnym przeświadczeniem, że wszystko to nie wystarczy do powstrzymania zarazy, bardzo już rozprzestrzenionej. W Mediolanie stanęli listopada; złożyli sprawozdanie ustne i jeszcze raz pisemne w Urzędzie Zdrowia, wezwano ich również do gubernatora celem poinformowania go, jak stoją sprawy. Raport ich wzruszył niezmiernie i zmartwił gubernatora. „Jednak — oświadczył on — jeszcze mocniej zaprzatają go troski wojenne”: „sed belli graviores esse curas”. Tak pisze Ripamonti, który wertował rejestry Urzędu Zdrowia i odbywał narady z Tadinem, któremu Urząd powierzył tę misję już po raz drugi, jak sobie czytelnicy może przypominają, a z tym samym nikłym rezultatem. Dwa czy trzy dni później, listopada, gubernator ogłosił

dekret nakazujący urządzenie wielkich uroczystości i zabaw publicznych z okazji urodzenia infanta Karola, pierworodnego syna króla Filipa IV, nie podejrzewając czy też nie troszcząc się wcale o to, jakie niebezpieczeństwo pociąga za sobą w tych okolicznościach podobne nagromadzenie ludzi: zupełnie jak w zwykłych czasach, jak gdyby w ogóle nie było mowy o zarazie.

Człowiekiem tym był, jak wiadomo, sławny Ambrogio Spinola, posłany po to, by doprowadził wojnę do pomyślnego końca, naprawił błędy don Gonzala i tymczasowo zarządzał księstwem. Nadmienimy tu mimochodem, że stracił życie parę miesięcy później na tej właśnie wojnie, która mu tak bardzo leżała na sercu. A umarł nie z ran odniesionych w polu, ale w łóżku, z wyczerpania i zgryzoty, jakich mu przysporzyły wszelkiego rodzaju zarzuty i pretensje ze strony tych, którym służył. Historia oplakała jego los, potępiając głupotę innych; nader skrupulatnie zapamiętała jego wojenne i polityczne przedsięwzięcia, wychwalała jego przezorność, aktywność, wytrwałość; szkoda, że nie zastanowiła się nad tym, gdzie podziały się te wszystkie cnoty, w chwili kiedy zagrażała i kiedy srożyła się dżuma nad ludnością powierzoną jego pieczy czy raczej oddaną mu warendę.

Było jednak coś, co czyni jego postępowanie bardziej zrozumiałym, choć niemniej godnym potępienia; coś bardziej niżli to postępowanie zadziwiającego i niepojętego: zachowanie się samej ludności, która — choć nie dotknięta jeszcze zarazą — miała przecież wszelkie powody, by się jej lękać. Kiedy zaczęły napływać groźne wieści z zarażonych miejscowości, otaczających miasto półkolem i odległych odeń gdzieś o osiemnaście czy dwadzieścia mil zaledwie, zdawałoby się, że ludność zacznie się burzyć domagając się zachowania jakichś mniej lub więcej celowych ostrożności, że się co najmniej biernie zaniepokoi. Otóż jednym punktem, w którym zgadzają się wszystkie ówczesne relacje, jest twierdzenie, że nic podobnego nie miało miejsca. Głodowy rok poprzedni, łupiestwa żołnierzy, troski i cierpienia przeżyte wydawały się aż nadto wystarczającą przyczyną wzrastającej śmiertelności. Ktokolwiek na placu, w sklepie czy w domu wspomniał o niebezpieczeństwie czy zarazie, zasypywany był drwinami, otaczany gniewną wzgardą. Ta sama niewiara, ta sama,

należałoby powiedzieć, ślepotą panowała niepodzielnie w senacie, w Radzie Dekurionów, we wszystkich urzędach. Jeden tylko kardynał Federigo, zaledwie stały się wiadome pierwsze wypadki dżumy, nakazał między innymi listem pasterskim proboszczom, aby pouczyli swoich parafian, i to nie raz, ale po wielokroć, o ważnym obowiązku zgłaszania każdego wypadku podejrzanej choroby oraz oddawania zarażonych przedmiotów. Jest to jeszcze jeden wyróżniający go chwalebny rys.

Urząd Zdrowia prosił, błagał o pomoc i współdziałanie, ale osiągał niewiele albo i nic. A i w samym Urzędzie gorliwość nie dorównywała wcale potrzebie. Jedyne dwaj lekarze, jak stwierdza w wielu miejscach Tadino i jak to wynika zresztą z całego jego Sprawozdania, rozumieli wielkość i bliskość niebezpieczeństwa i starali się pobudzić do działania resztę Urzędu, który znów z kolei miał pobudzać do działania innych.

Widzieliśmy już opieszałość władz w chwili pojawienia się pierwszych alarmujących wieści, opieszałość zarówno w działaniu, jak i w zbieraniu wiadomości. A oto nowy przykład powolności niemniej zdumiewającej, o ile nie wywoływały jej stawiane przez wyższe władze przeszkody. Owo zarządzenie o wystawianiu świadectw zdrowia, postanowione już października, zostało rozesłane dopiero następnego miesiąca, ogłoszone zaś . Do tej pory dżuma wtargnęła już do Mediolanu.

Tadino i Ripamonti starali się odnaleźć nazwisko tego, który przyniósł ją tam pierwszy, oraz inne dane co do osoby i okoliczności. Przy obserwowaniu początków jakiegoś olbrzymiego pomoru, którego ofiar nie tylko nie podobna wymienić z nazwiska, ale zaledwie w przybliżeniu, w tysiącach można określić ich ilość, budzi się zwykle jakaś niezrozumiała ciekawość: kim byli ci pierwsi nieszczęśliwi, czy znane i zapisane zostały gdzieś ich nazwiska? Jest to jak gdyby chęć wyróżnienia — uznanie pierwszeństwa w śmierci — coś, co sprawia, że nawet najbardziej skądinąd obojętne szczegóły dotyczące tych osób nabierają jakichś cech fatalistycznych i niezwykłych.

Obaj pamiętnikarze twierdzą, że owym pierwszym był włoski żołnierz w służbie hiszpańskiej; w innych rzeczach nie są między sobą zgodni, nawet co się tyczy nazwiska. Według Tadina, był to niejaki Pietro Antonio Lovato

z garnizonu w okręgu Lecco; według Ripamontiego — zwał się on Pier Paolo Locati, z garnizonu Chiavenny. Nie jest też ustalony dzień jego przybycia do Mediolanu; Tadino sądzi, że było to października, Ripamonti — że tegoż dnia w następnym miesiącu. Nie możemy opowiedzieć się ani za jedną, ani za drugą datą. Obie są bowiem niezgodne z innymi, lepiej sprawdzonymi źródłami. Ripamonti, piszący na zlecenie Rady Dekurionów, musiał mieć do dyspozycji rozliczne środki zdobywania wiadomości. Z drugiej strony, Tadino z racji swego urzędu mógł być lepiej niż ktokolwiek inny poinformowany o tego rodzaju wypadku. Zresztą, z zestawienia innych dat, które wydają się, jak powiedzieliśmy, bardziej ściśle, wynika, że nastąpiło to przed ogłoszeniem dekretu o wystawianiu świadectw zdrowia. Gdyby komuś na tym zależało, można by zapewne dowieść lub prawie dowieść, że było to w pierwszych dniach owego miesiąca. Z pewnością jednak czytelnicy nie będą tego od nas żądali. Tak czy inaczej, przyszedł do miasta ów nieszczęsny i nieszczęście z sobą niosący piechur ze sporym tobołkiem rzeczy kupionych od niemieckich żołnierzy czy też skradzionych u nich; zatrzymał się w domu swoich krewnych w dzielnicy przylegającej do Wschodniej Bramy, obok klasztoru kapucynów. Zaraz po przybyciu zachorował; zabrano go do szpitala; tam zauważono, że ma pod pachą guz, który nasuwał podejrzenie co do rodzaju choroby. Czwartego dnia umarł.

Urząd Zdrowia kazał odosobnić i zamknąć w domu całą jego rodzinę; jego odzienie i łóżko, na którym leżał w szpitalu, zostały spalone. Dwóch posługaczy szpitalnych, którzy go pielęgowali, i braciszek zakonny, który go dysponował na śmierć, zachorowali w kilka dni później, wszyscy trzej na dżumę. Ponieważ jednak od początku podejrzewano prawdę i powzięto pewne środki ostrożności, zaraza tam się nie rozszerzyła.

Niestety żołnierz pozostawił na zewnątrz szpitala posiew choroby, który wkrótce wydał owoce. Pierwszy padł ofiarą gospodarz domu, w którym się tamten zatrzymał, niejaki Carlo Colonna, lutnista. Wtedy wszyscy mieszkańcy domu zostali na rozkaz władz sanitarnych przeniesieni do lazaretu, gdzie większość z nich zachorowała, a kilkoro umarło z niewątpliwymi objawami dżumy.

W mieście powoli kiełkował posiew choroby pozostawiony

wiony przez tych ludzi, ich odzież i sprzęty, które krewni, sąsiedzi i służba ukradkiem ratowali od nakazanego przez Urząd Zdrowia spalenia. Z zewnątrz przedostawała się także zaraza dzięki nieporadności zarządzeń, opieszałości w ich przestrzeganiu i sprytowi, z jakim je ludność obchodziła, tak że aż do końca roku i przez pierwsze miesiące roku następnego, zło wzmagало się powoli, lecz stale. Od czasu do czasu w tej czy owej dzielnicy ktoś zapadał na dżumę, ktoś umierał. Ale były to wypadki rzadkie, nie budziły więc podejrzeń i ludność utwierdzała się coraz bardziej w bezrozumnej i zabójczej wierze, że żadnej dżumy nie ma i wcale nie było. W dodatku wielu lekarzy wtórując głosowi ludu (który w tym wypadku nie był głosem Boga) wyśmiewało ponure przepowiednie i ostrzeżenia nielicznych trzeźwo patrzących. Dla każdego wypadku dżumy, do jakiego ich wezwano, mieli oni pod ręką rozmaite nazwy, zależnie od symptomatów, jakie się w danym wypadku pojawiły.

Wiadomości o tych wypadkach, jeśli nawet docierały do władz sanitarnych, to spóźnione i bardzo niedokładne. Strach przed kwarantanną i lazaretem pobudzał ludzką przebiegłość: ukrywano chorych, przekupywano grabarzy i ich przełożonych; nawet od funkcjonariuszy Urzędu Zdrowia, wysyłanych dla obejrzenia zwłok, można było za pieniądze uzyskać fałszywe zaświadczenie.

Ponieważ w każdym wypadku stwierdzenia dżumy Urząd Zdrowia nakazywał palić rzeczy, pieczętował domy, a mieszkańców wysyłał do lazaretu, łatwo sobie wyobrazić, z jaką nienawiścią ludność szemrała przeciwko tym zarządzeniom. Wszyscy, „szlachta, kupcy i pospólstwo — pisze Tadino — przekonani byli, że jest to bezsensowne i niezasłużone prześladowanie”. Najzacieklejsza nienawiść otaczała obu lekarzy Urzędu: Tadina i senatora Settala, syna naczelnego lekarza. Doszło do tego, że żaden z nich nie mógł przejść przez plac czy ulicę, żeby nie rzucano za nim obelżywych słów albo nawet kamieni. Szczególna to była sytuacja, w jakiej na przeciąg kilku miesięcy znaleźli się ci ludzie za to, że potrafili przewidzieć straszliwą plagę, że pracowali z całych sił, by ją odwrócić; gdzie szukali pomocy i dobrej woli, tam natrafiali na same przeszkody; stali się przedmiotem oszczerstwa i nienawiści, zyskali sobie miano „nieprzyjaciół ojczyzny”: „propatriae hosti

bus” — mówi Ripamonti. Część tej nienawiści spadała także na innych lekarzy, którzy, przekonani o istnieniu niebezpieczeństwa, wzywali do ostrożności i starali się wpoić w innych bolesną prawdę. Najłagodniejsi pomawiali ich o łatwowierność i upór; reszta uważała to wszystko za wielkie oszustwo, za intrygę uknutą po to, by się dorobić na powszechnym strachu.

Naczelnym lekarzem, Lodovico Settala, liczący wówczas lat blisko osiemdziesiąt, był profesor medycyny na uniwersytecie w Pawii, a następnie filozofii moralnej w Mediolanie, autor licznych i głośnych w tych latach dzieł, słynny z tego, że ofiarowywano mu katedry na wielu uniwersytetach — w Ingolsztacie, Pizie, Bolonii i Padwie — on zaś wszystkie te zaproszenia odrzucał, był niewątpliwie jednym z najpotężniejszych autorytetów owego czasu. Z podziwem dla jego rozległej wiedzy łączyła się cześć dla nieskazitelnego życia; kochano go za oddanie, z jakim leczył i wspomagał biedaków. Było w nim przecież coś, co w naszych oczach zaciemnia ten obraz i osłabia szacunek obudzony tą mnogością zalet, wtedy jednak przyczyniało się właśnie do jego wzmożenia i do tym powszechniejszej admiracji: otóż biedaczysko podzielał wszelkie, najbardziej ponure przesady swoich współczesnych; nie umiał oderwać się od ciemnego tłumu, choć stał niewątpliwie w pierwszych jego szeregach nie wydzielając się jednak całkowicie z gromady, a to właśnie ściąga zazwyczaj na człowieka kłopoty i niszczy autorytet na innej drodze zdobyty. Ale i ta niezmierna powaga, jakiej zażywał, nie zdołała w tym wypadku przewyciężyć opinii tych, których poeci zwą pospólstwem, a

dyrektorzy trup aktorskich — szanowną publicznością. Nie wystarczyła nawet do uchronienia go przed zniewagami takich, którzy od sądów przechodzą nazbyt łatwo do czynnych demonstracji.

Pewnego dnia, kiedy w lektyce udawał się na obchód swoich chorych, obstał go tłum krzycząc, że to on jest prowodyrem tych, co uparli się wmawiać w ludzi dżumę; to on straszy całe miasto swoim marszem na czołe i swoją bródką; wszystko po to, żeby dać zarobić lekarzom. Tłum rósł z każdą chwilą i wzmagala się jego wściekłość; tragarze lektyki widząc, co się święci, unieśli swego pana do domu przyjaciół, w pobliżu którego się to wydarzyło. Oto co spotkało tego człowieka za to, że patrzył trzeźwo, mó

wił prawdę i starał się uratować od zarazy tysiące ludzi; natomiast kiedy przyczynił się haniebną radą do poddania torturom, szarpania kleszczami i spalania na stosie nieszczęśliwej istoty oskarżonej o czary na tej podstawie, że jej ostatni pan cierpiał na dziwne jakieś bóle brzucha, poprzedni zaś był w niej mocno zakochany, pomnożyło to jego sławę nie tylko jako uczonego, ale także, o zgrozo, jako zasłużonego obywatela.

Z końcem marca ludzie poczęli zapadać coraz częściej, najpierw w okolicy Bramy Wschodniej, wkrótce potem i w innych dzielnicach miasta. Śmierci towarzyszyły niezwykle objawy — kurcze, drgawki, zapadanie w letarg, maligna; występowały przy tym złowrózne sińce i guzy, a śmierć przychodziła szybko, gwałtownie, czasem zupełnie nagle, nie poprzedzona żadnymi objawami choroby. Ci lekarze, którzy od początku zaprzeczali istnieniu zarazy, nie chcieli teraz uznać tego, z czego dotychczas drwili; że jednak trzeba było dać jakąś ogólną nazwę nowej chorobie, odkąd stała się zbyt jawna i częsta, żeby się bez takiej nazwy obejść, wymyślili „gorączki maligniczne” i „gorączki dżumowe”: mizerne oszukaństwo słowne, które jednak przyniosło wiele szkody; bo, uznając niby istotę choroby, lekarze ci ukrywali przed ludnością to, o czym należało jak najusilniej ją przekonywać: że choroba ta przenosi się przez dotknięcie. Władze jakby zbudzone z głębokiego snu zaczęły nareszcie dawać posłuch ostrzeżeniom i żądaniom Urzędu Zdrowia, przestrzegać wykonywania jego zarządzeń dotyczących odosobnienia zarażonych i kwarantanny. Urząd domagał się przede wszystkim pieniędzy na pokrycie wciąż wzrastających kosztów utrzymania lazaretu i na wiele innych rzeczy. Domagał się od dekurionów, dopóki nie zostanie rozstrzygnięte (nie zostało, o ile wiem, nigdy; zdecydował tu fakt dokonany), czy koszty te ma ponosić miasto, czy skarb państwa. Do dekurionów odwoływał się w tym czasie i wielki kanclerz z rozkazu gubernatora, który wyruszył oblegać na nowo nieszczęsne Casale. Senat ze swej strony domagał się, żeby dekurioni pomyśleli o zaopatrzeniu miasta w żywność, zanim z powodu zarazy zostanie odcięte od innych miast, i by dostarczyli środków utrzymania licznym rzeszom tych, którzy znaleźli się bez pracy. Rada Dekurionów usiłowała zdobywać pieniądze drogą pożyczek i podatków. Z tego, co

zdołano zebrać, część otrzymywał Urząd Zrowia, część przeznaczano dla biednych; zakupiono trochę zboża; zaspokajano najbardziej palące potrzeby. Najgorsze jeszcze nie przyszło. W lazarecie, gdzie ludność, mimo że nieustannie dziesiątkowana zarazą, wzrastała przecież z dniem każdym, utrzymanie ładu i karności było bardzo ciężkim zadaniem. Należało zapewnić chorym najkonieczniejszą opiekę, przestrzegać ustalonego podziału, jednym słowem, sprawować tam rządy imieniem Urzędu Zdrowia. Tymczasem od pierwszej chwili panował tam zamęt spowodowany wyuzdanymi obyczajami wielu spośród zamkniętych tam ludzi, niedbalstwem i niesumiennością służby.

W końcu Urząd i dekurioni, nie mogąc się z tym uporać, uradzili zwrócić się do kapucynów i uprosili ojca komisarza prowincji, który pełnił obowiązki zmarłego niedawno prowincjała, o przydzielenie jednego ze swoich podwładnych, zdolnego do objęcia rządów w tym królestwie rozpaczy. Komisarz wyznaczył na to stanowisko ojca Felice Casati, mnicha w starszym już wieku, znanego z miłosierdzia, energii, łagodności i siły ducha; sława ta okazała się w całej pełni zasłużona. Pomocnikiem jego i zastępcą naznaczono ojca Michele Pozzobonelli, młodego jeszcze, ale poważnego i surowego zarówno pod względem charakteru, jak powierzchowności. Wybór ten powitano z wielkim zadowoleniem — i w dniu marca przyszedli obaj do lazaretu. Naczelnik Urzędu Zdrowia oprowadził ich wszędzie, wprowadzając jak gdyby w posiadanie; zwoławszy całą służbę i personel wszelkich stopni oddał w ich obecności ojcu Felice absolutną władzę nad lazaretem. Później, w miarę jak wzrastała ilość nieszczęsnych mieszkańców lazaretu, przybyli tam inni jeszcze kapucyni. Pełnili funkcje zarządzających, spowiedników, szafarzy, pielęgniarzy, kucharzy, praczy — wszystkie, jakich zachodziła potrzeba. Ojciec Felice, zawsze zapracowany i zawsze gotów na wezwanie, krążył dniem i nocą pod portykami, po izdebkach i po ogromnym wewnętrznym dziedzińcu, czasem dzierżąc w rękę kij, czasem uzbrojony jedynie we włosienicę. Zaprowadzał wszędzie ład, uspokajał zamęt, łagodził spory, groził, karał, upominał, krzepił, ocierał i ronił łzy. Zaraz na samym początku zapadł na dżumę. Wyzdrowiał i ze świeżym zapałem podjął dawną pracę. Większość jego współbraci straciła tam życie, a wszyscy z radością.

Zapewne, taka dyktatura była niezwykłym środkiem działania. Ale i czasy, i klęska, jaka spadała na kraj, były niezwykle. Gdybyśmy nawet nie mieli innych o tym wiadomości, dostatecznie przekonującym dowodem byłby fakt, że ci, którym z natury rzeczy przypadają rządy nad tą nieokrzesaną i niekarną społecznością, nie widzieli innego wyjścia niż zdać te rządy na innych ludzi, którzy, również z natury rzeczy, jak najdalej byli od rządzenia. A sposób, w jaki ci ludzie wywiązywali się z powierzonego im zadania, stanowi też nie byle jaki dowód, ile siły i umiejętności można zaczerpnąć z miłości bliźniego w każdym czasie i w każdym stanie rzeczy. Piękny był już sam fakt, że zadanie to przyjęli nie mając po temu innej racji prócz tej, że nikt inny podjąć go nie chciał, innego celu poza służeniem ludziom, innej nadziei na tym padole prócz śmierci, jakiej im nikt nie zazdrościł, mimo że godna była zazdrości. Piękne było i to, że powierzono im to zadanie dlatego, że było trudne i niebezpieczne, a spodziewano się, że właśnie im nie zabraknie sił i zimnej krwi, tak potrzebnych, a tak rzadkich w podobnych sytuacjach. Toteż wysiłek i serce tych braciszków godne są, by o nich wspomnieć z serdecznym podziwem, z tą wdzięcznością zawsze należną wielkim przysługom oddawanym ludziom przez ludzi, a w szczególności wtedy, kiedy podejmowane są bez żadnej zgody myśli o uznaniu i nagrodzie.

„Gdyby nie ci ojcowie — pisze Tadino — pewne jest, iż całe miasto uległoby zagładzie. Podziwiać należy, ile dobrego zdołali oni wyświadczyć w tak krótkim czasie; nie mając zgody pomocy lub bardzo skąpo od władz miasta, własną jeno przemyślnością i zapobiegliwością utrzymywali w lazarecie wiele tysięcy tych nieszczęśliwych.” W ciągu siedmiu miesięcy rządów ojca Felice w lazarecie znalazło przytułek około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, twierdzi Ripamonti dodając, że gdyby zadaniem jego było nie opisywać nędzy tego miasta, ale głosić jego chwałę, powinien by pisać o tym człowieku.

Tymczasem wśród ludności upór, z jakim przez długi czas zaprzeczano istnieniu zarazy, zaczął po trosze zanikać w miarę rozszerzania się choroby — rozszerzania się przez nieopatrne stykanie się ludzi między sobą. Zwłaszcza że choroba, przez długi czas grasująca wyłącznie wśród biedoty, zaczęła atakować ludzi powszechnie znanych. Wśród

nich specjalna wzmianka należy się naczelnemu lekarzowi Settali jako jednej z najwybitniejszych w mieście osobistości. Czy chociaż wtedy przyznano, że nieszczęsny starzec słusznie ostrzegął? Któż to wie? On, jego żona, dwóch synów, siedmioro służby — wszyscy zapadli na dżumę. On sam i jeden z synów wyszli z niej; reszta zmarła. „Podobne wypadki — pisze Tadino — dotykające domy nobilów dały wreszcie do myślenia zarówno szlachcie, jak pospólstwu; lekkomyślni lekarze i zuchwały w swej ciemnocie lud zaczęli nareszcie zaciskać zęby i marszczyć brwi.” Ale przewyciężony upór lubi się mścić, lubi działać podstępnie, tak że czasem byłoby już lepiej, gdyby pozostał nietknięty i niezachwiany aż do końca, na przekór rozumowi i oczywistości; tak właśnie było w tym wypadku. Ci, którzy z taką stanowczością i tak długo wzbraniali się uwierzyć, że zarodek zła kryje się wśród nich, że może się wzmacniać naturalną drogą i doprowadzić do okrutnej rzezi, nie mogąc przeczyć dłużej temu, co oglądali wszędzie dokoła, a nie chcąc przyznać, że jest to naturalny i nieunikniony bieg rzeczy (byłoby to bowiem przyznaniem się do wielkiego błędu i wielkiej winy), starali się koniecznie wynaleźć jakąś przyczynę, która mogłaby wytłumaczyć to, co się dzieje. Na nieszczęście wytłumaczenie było pod ręką gotowe — z dawna pokutujące w tradycjach nie tylko miejscowych, ale rozprzestrzenionych po całej Europie: trucicielstwo, zmagowy z diabłem, tajne sprzysiężenia dążące do rozszerzenia dżumy za pomocą trucizn i czarów. Już w czasie poprzednich wybuchów zarazy krążyły takie i tym podobne legendy, zwłaszcza zaś podczas zarazy, jaka szalała we Włoszech pół wieku przedtem. Tym razem na domiar złego nadeszło pod koniec poprzedniego roku pismo od króla Filipa IV do gubernatora, zawierające ostrzeżenie, że z Madrytu zbiegło czterech Francuzów, których poszukiwano jako podejrzanych o roznoszenie jakiejś maści sprowadzającej zarazę. Gubernator powiadomił o piśmie senat i Urząd Zdrowia, ale nie wydaje się, by to wzbudziło poważniejszy niepokój. Jednak z chwilą kiedy dżuma objawiła się w sposób niewątpliwy, to dawne ostrzeżenie odżyło w pamięci i utwierdziło ludzi w niejasnych dotąd podejrzeniach istnienia jakiejś zbrodniczej intrygi; możliwe też, że stąd się owo podejrzenie zrodziło.

Dwa wydarzenia, jedno będące aktem ślepego i bezrozumnego strachu, drugie dziwnej jakiejś złośliwości, zmieniły te niejasne przypuszczenia w podejrzenie całkowicie ugruntowane, w pewność niemal, zbrodniczego zamachu. Kilku osobom zdawało się, że widziały wieczorem dnia maja w katedrze, jak jacyś ludzie smarowali czymś przegrodę oddzielającą część kościoła przeznaczoną dla mężczyzn od części niewieściej. Otóż najbliższej nocy ci, którzy jakoby to widzieli, wynieśli z kościoła przegrodę i wszystkie przytykające doń ławki; naczelnik Urzędu Zdrowia wraz z czterema urzędnikami obejrzelni przegrodę, ławki, zbiorniki wody święconej, nie znajdując nic, co potwierdzałoby bezsensowne podejrzenie; mimo to, chcąc uspokoić rozigrane wyobraźnie i „raczej przez nadmiar ostrożności aniżeli z potrzeby”, naczelnik zarządził wymycie przegrody. Widok tego stosu sprzętów przed katedrą uczynił wielkie wrażenie na ludności skłonnej często z byle objawu wysnuwać daleko sięgające wnioski. Rozeszła się wiadomość, że w katedrze zostały pomazane wszystkie ławki, ściany, nawet sznury dzwonów. I nie tylko szeptano sobie to w owym momencie: wszyscy współcześni pamiętnikarze, którzy o tym wspominają (nawet piszący kilkanaście lat później), przedstawiają to jako fakt zupełnie pewny. Prawdziwą zaś wersję mogliśmy jedynie odgadywać, gdyby nie opis tego zdarzenia w piśmie Urzędu Zdrowia wystosowanym do gubernatora, a zachowanym w tzw. archiwum Św. Fidelisa. Tam natrafiłszy na nie i zaczerpnęli z niego zdanie przytoczone wyżej w cudzysłowie.

Nazajutrz rano nowy, jeszcze dziwniejszy i bardziej zastanawiający widok uderzył wzrok i uwagę mediolańczyków. We wszystkich dzielnicach miasta widniały na drzwiach domów i na murach podłużne smugi jakiejś dziwnej substancji, białozółtawej, rozsmarowanej jak gdyby przy pomocy gąbki. Czy była to tylko głupia chęć nastraszenia i tak już zaniepokojonych mieszkańców, czy krył się w tym poważniejszy zamiar wywołania jakichś zamieszek, czy jeszcze coś innego? Jeżeli było w tym coś prawdy, wydaje się to raczej wybrykiem poszczególnych osób niż powszechnym zjawiskiem; nie był on zresztą ani pierwszy, ani ostatni w tym rodzaju. Ripamonti, który mówiąc o „mazaniach” wyśmiewa, a częściej jeszcze bo

leje nad łatwownością ludu, w tym wypadku stwierdza, że sam widział te plamy, i szczegółowo je opisuje. W wyżej wzmiankowanym piśmie panowie z Urzędu Zdrowia mówią o nich w zupełnie podobny sposób; zdają sprawę z dokonanych oględzin, z doświadczeń przeprowadzanych bez żadnych rezultatów na psach; dodają, że według nich był to raczej żart niż jakiś zamiar zbrodniczy. To stanowisko Urzędu Zdrowia dowodzi, że panowie ci aż do owego czasu zachowali spokój ducha i rozsądek i nie ' widzieli tego, czego w rzeczy samej nie było. Inni pamiętnikarze współcześni zaznaczają również, że taka była początkowo opinia ogółu: że to dziwaczny, głupi żart. Nie wymieniają nikogo, kto byłby przeciwnego zdania, a przecież, gdyby tacy byli, wspomniano by o nich bez wątpienia.

Wydaje mi się, że nie od rzeczy było zgromadzić tutaj te trochę szczegółów, mało lub wcale nieznanych, owego zbiorowego szaleństwa. W błędach bowiem, a zwłaszcza w błędach popełnianych zbiorowo, najciekawsze i najużyteczniejsze jest, jak sądzę, śledzenie dróg, jakimi błędy te przedostały się do umysłów — oraz sposobów, jakimi zdołały umysły te opanować.

Miasto, przedtem już poruszone, teraz uległo panice. Właściciele domów płonącymi wiechciami słomy wypalali pomazane miejsca. Przechodnie przystawali i przyglądali się wstrząsani dreszczem grozy. Ludzi zamiejskowych, którzy już przez to samo byli podejrzani, a których łatwo było rozpoznać po odzieży, ludność zatrzymywała na ulicy i oddawała strażom miejskim. Poddawano badaniom zatrzymanych, tych, którzy ich przyprowadzili, oraz świadków: winnych nie znajdowano. Umysły były jeszcze zdolne do wątpliwości, rozważań, do rozumowania. Urząd Zdrowia ogłosił, że ktokolwiek ujawni sprawcę czy sprawców tego czynu, otrzyma nagrodę i może liczyć na bezkarność: „Nie chcąc dopuścić — wypowiadają się ci panowie we wspomnianym uprzednio piśmie, noszącym datę maja, ale ułożonym niewątpliwie , taka bowiem data figuruje pod drukowanym ogłoszeniem — iżby to przestępstwo nie zostało w jakikolwiek sposób ukarane, osobiście w czasie tak niepewnym i pełnym niebezpieczeństw, gwoli uspokojenia i pocieszenia tego ludu tudzież w celu natrafienia na ślad przestępcy, obwieściliśmy w dniu dzisiejszym..." etc. W samym jednak obwieszczeniu nie wi

dzimy ani śladu tej rozsądnej i uspokajającej pewności, jaką przejawia pismo do gubernatora; a brak świadczy z jednej strony o tym, jakie szaleństwo ogarnęło ludność, z drugiej ,o niepojętej pobłażliwości Urzędu Zdrowia, tym bardziej karygodnej, im więcej kryła w sobie niebezpieczeństw.

Podczas kiedy Urząd czynił poszukiwania, ludność, jak to zwykle bywa, doszła na własną rękę do rozmaitych konkluzji. Spośród tych, którzy wierzyli, że owe mazania roznoszą zarazę, jedni widzieli w tym zemstę don Gonzala Fernandez da Cordoba za zniewagi doznane w chwili wyjazdu z Mediolanu, inni — podstęp kardynała Richelieu, mający na celu wyludnienie miasta i zagarnięcie go bez trudu, jeszcze inni z niewiadomych powodów wbili sobie w głowę, że sprawcą jest hrabia Collalto, Wallenstein, ten czy inny magnat mediolański. Nie brakło zresztą i takich, którzy widzieli w całej tej sprawie jedynie głupi żart i przypisywali go szkolarzom albo oficerom nudzącym się przy obleganiu Casale. A że nie widać było, żeby z owych mazań wynikł, jak się tego początkowo spodziewano, jakiś powszechny pomór, strach uspokajał się stopniowo i sprawa poszła poniekąd w zapomnienie.

Wciąż jeszcze byli tacy, których nic nie zdołało przekonać o istnieniu zarazy. Ponieważ zarówno w lazarecie, jak w mieście zdarzały się wypadki wyzdrowienia, „powiadano (ciekawe bywają ostatnie argumenty w obronie teorii, którą

obaliło życie), powiadano nie tylko wśród pospólstwa, ale i wśród uparcie stronnicych lekarzy, że to nie może być dżuma, skoro nie wszyscy umierają".

Chcąc przekonać tych najoporniejszych Urząd Zdrowia uciekł się do sposobu odpowiedniego do okoliczności, bijącego w oczy, takiego, jaki w owym czasie sam się nasuwał i jaki jedynie mógł odnieść pożądany skutek. Istniał zwyczaj, że w Zielone Świątki ludność Mediolanu tłumnie pielgrzymowała na cmentarz Św. Grzegorza za Bramą Wschodnią, aby się tam pomodlić za dusze zmarłych w czasie ostatniej zarazy, którzy na tym cmentarzu byli pochowani. Ten pobożny cel był zresztą okazją do rozrywki i widowiska: wszyscy wyruszyli na tę pielgrzymkę postrojeni najbardziej, jak mogli. Tak się złożyło, że dnia tego wymarła na dżumę wśród wielu innych pewna cała rodzina. Otóż w chwili najlicz

niejszego zgromadzenia, pośród pojazdów, jeźdźców i tłumu pieszych pojawił się z rozkazu Urzędu Zdrowia wóz wiozący na cmentarz zwłoki całej owej rodziny, nagie, tak, żeby wszyscy widzieć mogli na nich znamiona dżumy. Na widok wozu podniósł się chóralny, głośny krzyk przerażenia i odrazy, a kiedy przejechał, krzyk zmienił się w długotrwały, pełen grozy szum. Teraz bardziej już wierzono w dżumę; zresztą każdy dzień, niestety, utwierdzał ludność w tej wierze; a samo zbiegowisko na cmentarzu także nie mało przyczyniło się do rozpowszechnienia zarazy.

Tak więc z początku jak najbardziej stanowczo odżegnywano się od uznania dżumy, ba, nawet nie wolno było wymawiać tego słowa. Później przyszła kolej na „gorączkę dżumową”: nazwa choroby przemyciona chyłkiem w przymiotniku. Jeszcze później — nie prawdziwa dżuma, to jest owszem, może i dżuma w pewnym sensie, niezupełnie dżuma, ale coś pokrewnego, o nieustalonej nazwie. Wreszcie — dżuma niewątpliwa, niezaprzeczona; ale tymczasem ze słowem tym zrosło się inne pojęcie — trucicielstwa i zbrodniczych czarów — wywołując w umysłach zamęt dokoła tej fatalnej nazwy, której już nie dawało się unikać.

Nie trzeba być, jak sądzę, bardzo biegłym w historii pojęć i wyrazów, by zauważyć, że wiele z nich ulegało z biegiem czasu podobnym przemianom. Na szczęście niewiele mamy takich, które doszły do swego ostatecznego znaczenia za taką cenę i które łączono podobnie ponurymi pojęciami ubocznymi. Dobrze byłoby jednak starać się unikać zarówno w drobnych, jak w doniosłych sprawach takiej długiej i zawiłej drogi i kierować się raczej starą i wypróbowaną metodą: patrzeć, słuchać, porównywać, myśleć, a dopiero na końcu mówić; Jednak mówić jest o tyle łatwiej niż robić, że i my — mówię tu o nas, ludziach w ogólności — zasługujemy na trochę pobłażania.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ponieważ coraz trudniej było sprostać wszystkim potrzebom, jakie się w tych bolesnych okolicznościach nasuwały, czwartego maja Rada Dekurionów postanowiła zwrócić się o pomoc do gubernatora. Dwudziestego drugiego wysłano do obozu pod Casale dwóch członków Rady, którzy przedstawili gubernatorowi najważniejsze trudności i kłopoty, jakich doświadczało miasto: olbrzymie wydatki, puste szkatuły, zastawione dochody z najbliższych lat, bieżące podatki nie ściągnięte z powodu powszechnej nędzy, na którą złożyło się wiele przyczyn, a w pierwszym rzędzie spustoszenie dokonane przez wojsko; poddali mu pod rozwagę, że zgodnie z ustawami i prawem zwyczajowym, a także na zasadzie specjalnego dekretu Karola V, koszty zwalczania zarazy ponosić winien skarb państwa, że w czasie dżumy w roku

gubernator, margrabia Ayamonte, nie tylko zwolnił miasto od wszelkich ciężarów skarbowych, ale dał mu subwencję ze skarbu państwa w wysokości czterdziestu tysięcy skudów. Na koniec wyrazili cztery życzenia: by zwolniono miasto od ciężarów skarbowych, jak to już raz miało miejsce; by skarb państwa udzielił miastu subwencji; by gubernator powiadomił króla o nędzy, w jaką popadło miasto i cała prowincja; by oszczędzić postojów i przemarszów wojsk krajowi tak bardzo wyniszczonemu niedawnym przemarszem. Gubernator w pisemnej odpowiedzi wyraził żal i dodał wiele nauk moralnych: żal, że w tych ciężkich czasach nie może przebywać w mieście, by troszczyć się osobiście o jego potrzeby; żywi jednak nadzieję, że oddanie i zapal panów dekurionów na wszystko zaradzą. Naukę moralną — że w czasach, jak obecne, nie wolno skąpić ani pieniędzy, ani sił. Co się tyczy czterech życzeń, „proueeré

en el mejor modo que el tiempo y necesidades presentes permitieren". Pod spodem widniały jakieś esy floresy, mające oznaczać „Ambrogio Spinola", równie jasne jak jego obietnice. Wielki kanclerz Ferrer napisał mu potem, że jego odpowiedź odczytana została przez dekurionów „con gran desconsuelo". Nadal krążyły pisma i wysłańcy, pytania i odpowiedzi, nie osiągnięto jednak żadnych wyraźnych rezultatów. W jakiś czas potem, wśród największego nasilenia dżumy, gubernator urzędowo przelał swą władzę na Ferrera, sam bowiem, jak twierdził, zbyt był pochłonięty sprawami wojny. Wojna ta, powiedzmy sobie przy sposobności, pozbawiwszy życia około miliona osób nie licząc w to żołnierzy, rozszerzyła bowiem dżumę na terenie Lombardii, Wenecji, Piemontu, Toskanii i części Rumunii; zniszczywszy, jak to widzieliśmy, połacie kraju, przez którą przeszło wojsko, a cóż dopiero mówić o tych okolicach, w których toczyły się walki; po zdobyciu i okrutnym złupieniu Mantui — zakończyła się uznaniem nowego księcia, dla usunięcia którego została rozpętana. Musimy jednak zaznaczyć, że zmuszono go do ustąpienia księciu Sabaudii części Monferratu, przynoszącej piętnaście tysięcy skudów dochodu, i do zrzeczenia się na rzecz Ferranta, księcia Guastalli, innych ziem, z których dochód wynosił sześć tysięcy. Prócz tego zawarty został tajny układ dodatkowy, na mocy którego książę Sabaudii odstąpił Pinerolo Francji: układ ten zrealizowany został nieco później przy pomocy przeróżnych krętactw i oszukaństwa.

Równocześnie z opisanym wyżej wystąpieniem dekurioni postanowili zwrócić się do kardynała arcybiskupa z prośbą o nakazanie uroczystej procesji z obniesieniem dokoła miasta ciała św. Karola.

Zacny kapłan odmówił z wielu powodów. Nie podobało mu się to pokładanie ufności w środku tak samowolnym, obawiał się też, żeby zaufanie nie zmieniło się w publiczne zgorszenie, jeśli ten sposób nie odniesie, jak przewidywał, pożądanego skutku. Obawiał się także, w razie gdyby jednak ci jacyś mazacze naprawdę istnieli, że procesja byłaby aż nadto sprzyjającą okazją do ich zbrodniczej

działalności. Jeżeli nie istnieli — samo zgromadzenie tak wielkich tłumów musiałoby się przyczynić do rozwleczenia zarazy, co było znacznie bardziej realnym niebezpieczeństwem. A właśnie podejrzenia co do mazaczy, przez jakiś czas usłone, wybuchły z większą niż poprzednio siłą. Widziano znowu, a może tylko zdawało się ludziom, że widzieli, pomazane mury, drzwi gmachów publicznych i mieszkań, kołatki u drzwi. Wieści o tych odkryciach przechodziły z ust do ust, a jak to często bywa, zwłaszcza kiedy umyślnie są czymś podniecone, ten, kto o tym usłyszał, już był przekonany, że i sam widział. Ludzie, coraz bardziej rozgoroczeni nieszczęściami, które się na nich waliły, rozdrażnieni czyhającym

zewsząd niebezpieczeństwem, tym łatwiej chwyтали się tych podejrzeń. Gniew bowiem lubi szukać ujścia w karaniu i jak to słusznie zauważył przy tej właśnie okazji pewien mądry człowiek, wolimy przypisywać zło, jakie nas spotyka, niegodziwości ludzkiej, którą można ścigać zemstą, niż uznać, że wywołała je taka przyczyna, wobec której nie pozostaje nam nic prócz rezygnacji. Wymyślna, piorunująca trucizna, wszędzie, przenikająca — oto słowa, wystarczające do wyjaśnienia gwałtowności choroby, wszelkich najbardziej tajemniczych i niezwykłych jej objawów. Mówiono, że składa się ta trucizna z ropuch, węży, ze śliny i ropy zadżumionych i gorszego jeszcze paskudztwa, ze wszystkiego, co tylko prymitywna i schorzała wyobraźnia mogła wynaleźć najokropniejszego i najbardziej plugawego. Do tego dołączyły się czary, dla których wszystko jest możliwe, wobec których każde rozsądne tłumaczenie było bezsilne, a wszelkie trudności rozwiązywały się same. Że owo pierwsze mazanie nie odniosło natychmiastowego skutku, to było zrozumiałe: musiała to być nieudana próba niedoświadczonych jeszcze trucicieli; teraz wydoskonalili się już w swej sztuce. Teraz jeśli ktoś jeszcze próbował twierdzić, że to był żart, jeśli podawał w wątpliwość istnienie spisku, uchodził za uporczywego ślepcę, jeżeli nawet nie padło na niego podejrzenie, że rozmyślnie stara się odwrócić uwagę ludzi od prawdziwego niebezpieczeństwa, że jest współnikiem mazaczy. Słowo to dotarło błyskawicznie do wszystkich, budziło grozę i strach. Ale skoro istniała pewność, że mazacze istnieją, to nie ulegało też wątpliwości, że zostaną odkryci. Wszyscy mieli się na baczności, każdy drobiazg mógł obudzić

podejrzenie. A podejrzenie jakże łatwo zmieniało się w pewność, z pewności zaś rodziła się wściekłość. Dla zilustrowania tego stanu rzeczy Ripamonti przytacza dwa wypadki, zaznaczając, że wybrał te właśnie nie dlatego, by uważał je za najjaskrawsze, ale dlatego, że był, niestety, ich naocznym świadkiem. W kościele Św. Antoniego w jakiś dzień uroczysty osiemdziesięcioletni z górą starzec modlił się na klęczkach. Po pewnym czasie podniósł się z kolan i chcąc usiąść na ławce, otarł ją z kurzu połą płaszczą. „Ten stary maże ławki!” — wrzasnęły jednym głosem jakieś kumoszki, które dostrzegły jego ruch. Ludzie obecni w kościele (w kościele!) rzucili się hurmem na starca, chwycili go za włosy nie bacząc na ich siwiznę i wałąc go pięściami, i kopiąc na pół wywlekli, na pół wypchnęli z kościoła; jeśli go nie zamordowali na miejscu, to tylko dlatego, by móc powlec go, półżywego, do więzienia, przed sąd, na męki. „Ujrzałem go tak wleczonego — pisze Ripamonti — i nie wiem nic o dalszych jego losach; wszelako nie sądzę, by mógł dłużej niżli chwil parę pozostać przy życiu.” Drugi wypadek, który miał miejsce nazajutrz, był niemniej dziwaczny, choć nie tak tragiczny. Trzej młodzi Francuzi, pisarz, malarz i mechanik, którzy przybyli zwiedzić Włochy i ich zabytki i rozejrzeć się tam za zarobkiem, zbliżyli się do nie wiem już jakiego zewnętrznego fragmentu katedry i przyglądali mu się z uwagą. Jakiś przechodzień spostrzegłszy ich przystanął. Dał znak komuś drugiemu, potem kilku innym nadchodzącym. Wnet utworzył się tłum, bacznie przyglądający się owym trzem, w których odzież i torby podróżne pozwalały łatwo rozpoznać obcych i, co gorsza, Francuzów. Chcąc się może upewnić, że to marmur, któryś z nich wyciągnął rękę i dotknął ściany. To wystarczyło. Otoczono ich, pochwycono, z szturchańcami i biciem pognano do więzienia. Na szczęście do pałacu sprawiedliwości nie jest od katedry daleko; jeszcze szczęśliwszy traf sprawił, że uznano ich tam za niewinnych i wypuszczono na wolność. Podobne wypadki zdarzały się nie tylko w mieście: szaleństwo to szerzyło się niczym zaraza. Wędrowiec napotkany przez wieśniaków z dala od gościńca albo też rozglądający się po gościńcu w tę i tamtą stronę czy wreszcie przysiadający gdzieś, by odpocząć; każdy obcy, w którego

odzieniu lub twarzy coś wydałoby się niezwykle, podejrzanę — uznawani byli natychmiast za „mazaczy”.

Wystarczyło, by ktoś, choćby dziecko, rzekł o tym słowo, a już bito w dzwony na trwogę, zbiegali się zewsząd ludzie, taki nieszczęśnik zostawał obrzucony kamieniami, pochwycony, zawleczony do więzienia, jak o tym pisze ten sam Ripamonti. Więzienie bywało nieraz, do czasu przynajmniej, jedyną bezpieczną przystanią.

Tymczasem dekurioni, nie zniechęceni odmową roztropnego kardynała, ponawiali natarczywie swe żądania, popierani przez szemrzącą głośno ludność. Federigo opierał się jeszcze przez jakiś czas, usiłował przekonywać. Ale cóż zdoła rozum jednego człowieka przeciwko sile czasu, przeciwko woli ogółu? Przy ówczesnych poglądach na te rzeczy, na niebezpieczeństwo zarażenia, niejasne, przez wielu wcale nie uznawane, w niczyich zaś oczach tak oczywiste, jak jest dzisiaj — łatwo zrozumieć, że mądre perswazje kardynała uległy nierozumnym argumentom wszystkich innych.

Czy to, że ustąpił wreszcie, było załamaniem się nie dość silnej woli — jest jedną z wielu tajemnic duszy ludzkiej. To pewne, że jeśli istnieją wypadki, w których całą winę ponosi błąd rozumowy, sumienie zaś pozostaje czyste, to zdarza się to właśnie tym nielicznym (do liczby ich należał kardynał), których całe życie jest przykładem bezwzględniego posłuszeństwa wobec sumienia, bez oglądania się na doczesne interesy jakiegokolwiek rodzaju. Tak więc ustąpił w końcu wciąż ponawianym żądaniom, zgodził się na urządzenie procesji, co więcej, ulegając powszechnemu pragnieniu, zgodził się, żeby trumna zawierająca relikwie św. Karola była następnie na przeciąg ośmiu dni wystawiona na wielkim ołtarzu katedry.

Nie ma żadnego śladu, by Urząd Zdrowia lub ktoś inny przeciwstawił się temu w jakiegokolwiek formie. Zarządził jedynie pewne ostrożności, które nie mogły zapobiec niebezpieczeństwu, a tylko świadczą o tym, że Urząd zdawał sobie z niego sprawę. Wydano jak najsurowsze przepisy dotyczące wchodzenia obcych do miasta, a celem ścisłego ich wykonania, kazano trzymać bramy zamknięte. Prócz tego, chcąc w miarę możliwości utrudnić udział w procesji zarażonym i podejrzanym, kazano zabić gwoździami drzwi izolowanych domów. Domów takich, jeśli można w takiej

sprawie wierzyć prostemu twierdzeniu kronikarza, było około pięciuset.

Trzy dni trwały przygotowania. Jedenastego czerwca, w dniu oznaczonym, procesja wyruszyła równo ze świtem z katedry. Otwierał ją zwarty tłum składający się po większej części z kobiet z twarzami ukrytymi w obszernych zasłonach; wiele z nich szło boso, w worach pokutnych. Dalej cechy z chorągwiami na czele, bractwa w różnobarwnej i rozmaitego kroju odzieży, za nimi zakony, kler świecki z oznakami swoich godności, każdy ze świecą lub pochodnią w rękę. Pośrodku, gdzie światła były najgęstsze i śpiew najgłośniejszy, sunęła pod ozdobnym baldachimem trumna na ramionach czterech kanoników w uroczystych szatach, którzy zmieniali się raz po raz. Poprzez kryształowe szyby widać było czcigodne relikwie strojne we wspaniałe szaty pontyfikalne, w mitrze na głowie. Dotknięta rozkładem twarz zachowała jednak coś z dawnego, żywego oblicza, takiego, jakie przedstawiały wizerunki i jakie pamiętali ci spośród obecnych, którzy mieli możliwość oglądać je i czcić za życia. Za trumną zmarłego pasterza (mówi Ripamonti, z którego w dużej mierze zaczerpnęliśmy ten opis) kroczył, jak przystało ze względu na urodzenie i godność kościelną, arcybiskup Federigo. Za nim postępowała reszta duchowieństwa, dalej dygnitarze cywilni w najuroczystszych strojach, wreszcie szlachta; wśród niej jedni byli strojni wspaniale, jak zwykle przy okazji uroczystości kościelnych, inni na znak pokuty w żałobnych kijach, to znów w płaszczach pielgrzymich i bosi, kryjący twarze w kapturach; wszyscy nieśli pochodnie. Za nimi znowu tłum różnoraki.

Cała droga procesji była uroczystie przystrojona. Bogacze wydobyli najcenniejsze ozdoby; domy ubogich przybrali zasobniejsi sąsiedzi albo ozdobiono je z funduszów publicznych. Nad kobiercami — lub zamiast nich, gdzie ich zabrakło — powiewały zielone gałęzie. Wszędzie wisiały obrazy, napisy, alegoryczne malowidła. Na parapetach okien poustawiano wazy, antyczne rzeźby, rozmaite osobliwości. I światła, wszędzie światła. Z wielu okien patrzyli na procesję zamknięci w domach chorzy i uczestniczyli w niej modlitwą. Inne ulice były opustoszałe i ciche.

Gdzieniedzie tylko z okien nasłuchiowano dalekiego szmeru idących tłumów. Niektórzy — były wśród nich nawet

mniszki — wchodzili na dachy w nadziei, że dojrzą z daleka trumnę, jej orszak, cośkolwiek.

. Procesja obeszła wszystkie dzielnice miasta; na każdym skrzyżowaniu, każdym placyku, gdzie główne ulice przechodzą w przedmiejskie — na tych placykach, noszących dawniej nazwę „carrobio”, zachowaną do dzisiaj jako imię własne jednego z nich — pochód zatrzymywał się, trumnę stawiano kolejno u stóp wszystkich krzyży wzniesionych na „carrobiach” przez św. Karola w czasie poprzedniej zarazy; niektóre z nich stoją jeszcze po dziś dzień. Minęło już południe, kiedy procesja wróciła do katedry.

I otóż zaraz następnego dnia, kiedy całe miasto opanowała zarozumiała ufność — u wielu była to nawet fanatyczna pewność — że procesja położy kres zarazie, śmiertelność wzrosła raptownie we wszystkich warstwach społecznych i wszystkich dzielnicach miasta. Był to skok tak nagły, że każdy musiał zrozumieć jego przyczynę, dostrzec jego związek z procesją właśnie.

Ale jakaż zadziwiająca i żałosna jest siła przesądu! Istotną przyczynę widziano nie w stłoczeniu tylu osób przez wiele godzin, nie w ustawicznym stykaniu się jednych z drugimi, ale w tym, że zbrodniczy „mazacze” mieli dogodną okazję uprawiania swojego niecnego rzemiosła. Mówiono, że wciskali się w najgęstszy tłum, zakażając swoją „mazią” każdego, kogo tylko zdołali. Że jednak nie wydawało się to sposobem dość skutecznym i nie dość tłumaczyło tak gwałtowny wzrost dżumy we wszelkich środowiskach; że poza tym nawet najbystrzejsze, najbardziej podejrzliwe oko nie mogło nigdzie dojrzeć ani śladu jakichkolwiek plam na murach czy gdzie indziej, ucieczono się do starożytności, a przez całą naukę europejską uznawanego wówczas wymysłu — czarodziejskiego i trującego proszku. Zdecydowano, że proszkiem takim musiały być posypane ulice, a zwłaszcza miejsca zatrzymań procesji; niedostrzegalnie czepiał się długich, powłóczystych szat i stóp, zwłaszcza bosych, a boso chodziła dnia tego ogromna ilość osób. „Ujrzano — pisze jeden ze współczesnych — owego dnia procesji pobożność walczącą o lepsze z bezbożnością, przewrotność z poczciwością, szkodę z korzyścią.” W rzeczywistości był to biedny ludzki rozsądek zmagający się z upiorami, które sam stworzył.

Od tego dnia począwszy dżuma srożyła się coraz okrop

niej. Wkrótce nie było już niemal domu, którego by nie dotknęła; zaludnienie lazaretu wzrosło raptownie, jak twierdzi cytowany wyżej Somaglia, z dwóch tysięcy do dwunastu. Później miało dojść do szesnastu, według zgodnego twierdzenia wszystkich niemal pamiętnikarzy. W jednym z kolejnych pism Urzędu Zdrowia do gubernatora znajdujemy wiadomość, że w ciągu dnia lipca ilość zgonów przekroczyła pięćset. Później jeszcze, w szczytowym momencie zarazy, dochodziła jakoby do tysiąca dwustu, tysiąca pięciuset dziennie; a jeśli wierzyć Tadinowi, to nawet do trzech i pół tysięcy. Ten sam Tadin twierdzi, że „mimo wszelkich wysiłków” po wygaśnięciu zarazy ludność Mediolanu niewiele przekraczała sześćdziesiąt cztery tysiące „dusz”, podczas gdy przedtem dosięgała dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Według Ripamontiego liczba ta nigdy nie przekroczyła dwustu tysięcy. A zmarłych według rejestrów urzędowych było sto czterdzieści tysięcy, przy czym niewątpliwie bardzo wiele wypadków pozostało niezarejestrowanych. Inne źródła podają liczby zbliżone, raczej wyższe niż niższe.

Pomyśleć tylko, w jakich opalach znaleźli się dekurioni, na barkach których spoczywał obowiązek zaspokajania potrzeb publicznych i ratowania tego, co się z takiej klęski uratować dawało. Dzień w dzień trzeba było uzupełniać luki w szeregach ludzi będących na służbie publicznej, dzień w dzień powiększać te szeregi funkcjonariuszy wszelkiego

rodzaju: posługaczy, tak zwanych monatti, „ostrzegaczy” (apparitores), komisarzy. Pierwsi pełnili wszystkie najprzykrzejsze i najbardziej niebezpieczne funkcje związane z zarazą. Zabierali trupy z domów, z ulic, z lazaretu; odwozili je wozami do wspólnych grobów i grzebali; odnosili lub odprowadzali do lazaretu chorych i tam ich doglądali; palili lub oczyszczali zakażone lub podejrzane przedmioty. Nazwa ta wywodzi się według Ripamontiego od greckiego słowa monos (sam); Gaspare Bugatti, opisując poprzednią zarazę, wyprowadza to słowo od łacińskiego monere (upominać), choć równocześnie zastanawia się, czy nie jest to nazwa pochodzenia niemieckiego, jako że ludzie ci rekrutowali się po większej części spośród Szwajcarów i mieszkańców Graubünden, Istotnie, dość prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że słowo to jest kaleką formą słowa monatthich (miesięczny), jako że, nie

wiedząc, jak długo może trwać zapotrzebowanie, nie werbowano zapewne tych ludzi na termin dłuższy niż miesiąc. Specjalna funkcja „ostrzegaczy” polegała na tym, że szli w pewnej odległości przed wozami, dźwiękiem dzwonka ostrzegając przechodniów, żeby się usuwali z drogi. Bezpośrednią zwierzchność jednych i drugich stanowili komisarze podlegający Urzędowi Zdrowia.

Trzeba było zaopatrywać lazaret w dostateczną ilość lekarzy, chirurgów, leków, żywności i wszystkiego, co jest niezbędne do pielęgnowania chorych; trzeba było przygotowywać coraz więcej pomieszczeń dla chorych, których z każdym dniem przybywało. Budowano więc naprędce szałas z drzewa i słomy na wewnętrznym dziedzińcu lazaretu; wkrótce też powstał nowy lazaret, cały złożony z szałasów, ogrodzony zwykłymi sztachetami, a mogący pomieścić cztery tysiące osób. Ponieważ i to nie wystarczało, postanowiono zbudować jeszcze dwa inne i nawet rozpoczęto prace, ale wobec braku wszelkich potrzebnych środków porzucono budowę ledwie zaczęłą. środków, ludzi i zapłału ubywało, w miarę jak wzrastała ich potrzeba.

Nie dość, że wykonanie nie nadążało za postanowieniami i nakazami; nie dość, że wiele potrzeb, uznanych za konieczne, zaspokajało się byle jak, skąpiąc nawet słów. Doszło wreszcie do takiego stanu bezradności i rozpacz, że wiele potrzeb, choćby najbardziej palących, pozostawiano bez cienia pomocy. Umierało na przykład w opuszczeniu mnóstwo małych dzieci, których matki pochłonęła dżuma. Urząd Zdrowia na próżno domagał się stworzenia jakiegoś przytułku dla tych dzieci oraz dla bezdomnych położnic; nic nie uzyskał. „Ubolewania godzien — pisze Tadino — był los dekuriów miasta, dręczonych, poniewieranych i lżonych przez rozpasane żołdactwo bez żadnych zgoła względów; albowiem nieszczęsne księstwo nie mogło wyglądać znikąd żadnej pomocy ani ratunku, jako że gubernator powiadał, iż czas jest wojenny i żołnierzy życzliwie traktować należy.” Tak ważną rzeczą było zdobyć nareszcie nieszczęsne Casale! Tak bardzo kusząca jest chwała zwycięzcy bez względu na przyczynę wojny i cele, o jakie się walczy!

Tymczasem obszerny, ale jedyny wspólny grób wykopany w pobliżu lazaretu wypełnił się trupami i zarówno w samym lazarecie, jak w mieście leżały wszędzie nie po

grzebane zwłoki, których było co dzień więcej. Urząd Zdrowia na próżno usiłował znaleźć ludzi do tej smutnej pracy i w końcu zmuszony był przyznać się do całkowitej bezsilności. Nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie nadeszła pomoc zupełnie nie przewidziana. Otóż kiedy naczelnik Urzędu Zdrowia zupełnie zrozpaczony ze łzami w

oczach zwrócił się do owych dwóch dzielnych braciszków, którzy zarządzali lazaretem, ojciec Michele przyrzekł mu w przeciągu czterech dni oczyścić miasto z trupów, a w przeciągu ośmiu — przygotować nowe groby, i to nie tylko tyle, ile ich było natychmiast potrzeba, ale tak, by wystarczyły nawet w najgorszym razie. W towarzystwie drugiego braciszka i osób przydanych mu przez Urząd Zdrowia wyruszył z miasta na poszukiwanie robotników. Częściowo wspierany autorytetem Urzędu, częściowo zaś dzięki swemu habitowi i swojej wymowie zdołał zebrać około dwustu wieśniaków i polecił im wykopać trzy ogromne doły. Następnie wysłał z lazaretu monattów, by pozbiali trupy w mieście. W dniu z góry przezeń oznaczonym to, co obiecał, zostało wykonane.

Kiedy indziej znów lazaret pozostał bez lekarzy i trzeba było wiele czasu i zachodów, zanim zdołano ich ściągnąć obietnicami wysokich płac i zaszczytów, i to w znacznie mniejszej liczbie, niż było potrzeba. Często dawał się we znaki brak żywności, tak dalece, że zachodziła obawa, by głód nie zaczął dziesiątkować ludzi na równi z dżumą. I nieraz, kiedy już żadnego nie było widać ratunku, pojawiały się ni stąd ni zowąd jakieś hojne dary miłosiernych ludzi. Bowiem nawet wśród tego powszechnego przerażenia i zubożenia na cudze sprawy zawsze jeszcze znajdowali się tacy, w których miłość bliźniego mimo wszystko nie wygasła, i inni, w których ta miłość budziła się, w miarę jak zniknęły wszelkie ziemskie radości. A pośród straszliwego pomoru i wobec panicznej trwogi, jakiej uległo wielu spośród tych, których zadaniem było przewidywać i chronić, byli przecież i tacy, zdrowi na ciele i duszy, którzy wytrwali na posterunku. I tacy także, którzy, powodowani współczuciem, mężnie brali na siebie ciężary i obowiązki, jakich im nikt nie narzucał.

Wśród tych, którzy najwytrwalej pełnili trudne obowiązki, jakich ten tragiczny okres przysparzał, było wielu duchownych. W lazaretach, w mieście nie brakło nigdy

ich pomocy. Pojawiali się zawsze tam, gdzie ktoś cierpiał, widziało się ich pośród zmorzonych chorobą i konających, często ich samych również umierających; prócz pomocy duchowej nie szczędzili nigdy i najprostszej doczesnej, zawsze gotowi byli do wszelkich potrzebnych posług. W samym mieście zmarło na dżumę ponad sześćdziesięciu proboszczów: około ośmiu dziewiętych ogólnej ich liczby.

Federigo, jak można było po nim się spodziewać, był dla wszystkich przykładem i zachętą. Wymarli prawie wszyscy jego domownicy; krewni, wszelacy dostojnicy i władcy sąsiednich państewek zaklinali go, by schronił się przed niebezpieczeństwem usuwając się do jakiejś zamiejskiej posiadłości. Odrzucał te rady i opierał się naleganiom z tą samą nieugiętą stanowczością, z jaką pisał do podległych mu proboszczów:

Bądźcie każdej chwili gotowi raczej rozstać się z tym życiem doczesnym aniżeli porzucić te nasze dzieci; z miłością w sercu idźcie naprzeciw zarazie, z wiarą, że idziecie po nagrodę, po życie — gdziekolwiek możecie uratować jedną duszę dla Chrystusa!

. Nie lekceważył środków ostrożności, byleby nie przeszkadzały mu w pełnieniu obowiązków (wydał nawet co do tego specjalne instrukcje i przepisy dla duchowieństwa). Zarazem jednak nie dbał o niebezpieczeństwo, zdawał się go nawet nie dostrzegać, kiedy dla spełnienia dobrego czynu wypadło mu się na nie narazić. Nie mówiąc o księżach, którym nigdy nie skąpił pochwały za ich oddanie, kierując ich zapał na właściwe tory, zagrzewając opiesziałych i wysyłając coraz nowe szeregi na posterunki, na których zginęli ich poprzednicy — nie mówiąc tedy o księżach, każdy, kto go mógł potrzebować, miał zawsze do niego dostęp. Odwiedzał lazarety, by dodawać otuchy chorym i zagrzewać do gorliwości służbę. Przebiegał całe miasto niosąc pomoc nieszczęśliwym zamkniętym w swoich domach. Stawał u drzwi i okien wysłuchując ich skarg i prośb, krzepiąc ich słowami pociechy i nadziei. Żył w samym sercu dżumy, a kiedy wygasła, sam zdumiewał się, że wyszedł z niej cało.

Tak to w powszechnej niedoli, wśród wydarzeń zakłócających taki czy inny ustalony porządek, można, że tak

powiem, dostrzec wzmożenie, najwyższe wloty szlachetnego męstwa; niestety tak samo, a nawet częściej widać i wzrost niegodziwości. Tak też było i w tym wypadku. Wszyscy hultaje, których dżuma oszczędziła, bynajmniej nią nie przerażeni, znaleźli w tym powszechnym zamęcie i w bezsilności władz doskonałą sposobność do działania i pewność, że wszystko w takiej chwili ujdzie bezkarnie. Zresztą, władze miejskie miały do swej dyspozycji po największej części najgorsze elementy; monatti i apparitori rekrutowali się przeważnie spośród takich, u których pokusa łatwych łupów i swawoli silniejsza była niż lęk przed dżumą i naturalna odraza. Mieli oni wprawdzie jak najsurowszy regulamin przewidujący ciężkie kary, mieli ściśle określony zakres pracy, mieli nad sobą wyznaczonych komisarzy. Ponad tymi zaś stali dla każdej dzielnicy osobno mianowani wyżsi urzędnicy i delegaci spośród szlachty, obdarzeni rozległą władzą.

Taki porządek rzeczy utrzymywał się przez czas pewien z dobrymi wynikami; ale w miarę jak wzrastała liczba tych, którzy umierali, odchodzili albo po prostu tracili głowę, mało kto pozostawał, kto mógłby nałożyć tym ludziom jakiegokolwiek hamulce. Wkrótce też monatti stali się wszechwładnymi panami ludności. Wchodzili do domów jak do swoich własnych, a raczej, należałoby powiedzieć, wkraczali jak nieprzyjaciele. Nie mówiąc już o tym, że kradli, co się dało, i brutalnie odnosili się do nieszczęśliwych, których dżuma zdawała na ich łaskę i niełaskę, sięgali swymi zakażonymi i zbrodniczymi rękami po zdrowych — dzieci, rodziców, żony czy mężów — grożąc, że ich także powloką do lazaretu, jeśli nie okupią się pieniędzmi. Kiedy indziej znów kazali sobie płacić za spełnianą pracę i odmawiali zabrania rozkładających się trupów, jeżeli nie dostaną tylu a tylu skudów. Mówiono nawet (i trudno tu orzec, czy należy temu wierzyć, czy nie, zważywszy łatwość oskarżania z jednej strony, niegodziwość z drugiej), mówiono zatem i potwierdza to również Tadino, że monatti i apparitori rozmyślnie upuszczali po drodze z wozów różne zakażone przedmioty, chcąc jak najdłużej utrzymać zarazę, która dla nich była bogatym żniwem, panowaniem i uciechą. Byli i tacy nędznicy, którzy udawali monattów i uwiązawszy sobie dzwonek u nogi (był to nakazany znak rozpoznawczy, ostrzegający o ich

zblizaniu się) wchodzili do mieszkań robiąc tam, co im się żywnie podobało. Wiele było domów otwartych, opustoszałych albo takich, w których pozostał tylko ktoś chory, ktoś konający. Wchodzili tam bezpiecznie złodzieje i rabowali, co się dało. W innych tak samo albo i gorzej zachowywały się miejskie zbiry...

Niegodziwość przybierała coraz straszliwsze rozmiary, a równocześnie rosło w ludziach szaleństwo. Wszelkie mniej lub więcej rozpowszechnione błędne pojęcia i przesady zyskały na sile wśród tego powszechnego przerażenia i zamętu, wywołując niespotykane a groźne skutki. W tych warunkach wzrastał przede wszystkim paniczny lęk przed „mazaczami”, przybierając, jakżeśmy już widzieli, postać wyuzdanego okrucieństwa. Widmo tego wymaginowanego niebezpieczeństwa znacznie bardziej ludzi niepokoiło i dręczyło niż to rzeczywiste, jakie nad nimi zawisło. „I chociaż — pisze Ripamonti — leżące wszędzie całymi stosami i wciąż jawiące się przed oczyma i zawadzające pod nogami zwłoki czyniły z tego miasta jedną ogromną trupiarnię, większą jeszcze groźbę budziła owa wzajemna zajadłość, to rozpasanie potwornych wręcz podejrzeń... Obawę budził nie tylko sąsiad, przyjaciel, gość... ale groźne stały się nawet słowa oznaczające najsilniejsze węzły miłości pomiędzy ludźmi, jak mąż i żona, ojciec i dziecię, brat i siostra... Rzecz to straszliwa i trudna do wypowiedzenia: stół rodzinny, małżeńska łóżnica zdawały się zasadzką kryjącą może straszliwą truciznę...”

Wymaginowana rozległość i dziwaczność środków owej rzekomo zbrodniczej działalności mąciły wszelkie sądy, niszczyły wzajemne zaufanie. Z początku sądzono, że domniemani mazacze kierują się dziwną ambicją i chciwością. Później zaczęto sobie wyobrażać, a w końcu całkowicie uwierzono, że kryje się w tym jakaś siła diabelska, jakaś pokusa silniejsza od woli. Majaczenia chorych, którzy oskarżali samych siebie o to, czego lękali się u innych, traktowane jako wyznania, doprowadzały do tego, że każdy gotów był uwierzyć we wszystko. Silniejsze jeszcze od

słów wrażenie sprawiały podobno gesty, które zadumieni czynili jakoby nieraz w malignie, a które miały naśladować owe zbrodnicze czynności, jakich dokonywali urojeni „mazacze”. Rzecz to bardzo prawdopodobna i wyjaśniająca w pewnej mierze owo tak rozpowszechnione podej

rzenie, potwierdzone również przez wielu ówczesnych pisarzy. Podobnie w długotrwałym a ponurym okresie licznych procesów o czary zeznania oskarżonych, nie zawsze wymuszone, przyczyniły się walnie do utrwalenia panujących w tej dziedzinie przesądów: bo jeśli przesąd taki panuje przez czas dłuższy obejmując wielką połać świata, przejawia się on wszelkimi sposobami i szuka sobie najrozmaitszych ujęć na wszystkich szczeblach wiary w niego; a jeśli znaczna część świata wierzy uparcie, że jakaś taka działalność istnieje, zawsze w końcu znajdą się ludzie, którzy uwierzą; że sami ją uprawiają.

Pośród wielu niesamowitych opowieści zrodzonych z owego szaleństwa jedna zasługuje na wspomnienie zarówno ze względu na wiarę, jaką sobie zyskała, jak i na rozległy jej zasięg. Otóż opowiadano, nie zawsze w tej samej dokładnie wersji, jako że z wierutnymi bajkami to się nie zdarza, ale bądź co bądź w dość zbliżonej, że jakiś człowiek ujrzał pewnego dnia zajeżdżającą na plac katedralny poszóstną karocę, a w niej prócz paru innych jakiegoś wielkiego pana o twarzy posępnej a rozognionej, z płomiennymi oczyma, sztywnymi włosami i groźnie zaciśniętymi ustami. Podczas kiedy ten człowiek się przyglądał, karoca stanęła i stangret zaprosił go gestem, aby wsiadł, a on bał się odmówić. Po długim krążeniu wysiedli przed bramą jakiegoś pałacu i on wszedł wraz z innymi do wnętrza. Ujrzał tam wiele wspaniałych i wiele okropnych rzeczy — ponure pustynie i ogrody, pieczary i piękne sale; a w nich zasiadały, niby na jakąś radę, upiory. Wreszcie pokazano mu wielkie skrzynie pełne pieniędzy i pozwolono wziąć sobie z nich, ile zechce, pod warunkiem, że weźmie też małe naczynko z maścią i będzie mazał nią wszystko w mieście. Ale on nie chciał się zgodzić i nagle znalazł się w tym samym miejscu, z którego został zabrany.

Historia ta, w którą cały lud uwierzył, nie wysmiana dostatecznie przez nikogo rozsądnego, jak pisze Ripamonti, rozeszła się po całych Włoszech i poza ich granicami. W Niemczech ogłoszono ją nawet drukiem; rektor uniwersytetu w Moguncji napisał do kardynała Federiga zapytując, co należy sądzić o nadprzyrodzonych zjawiskach, jakie miały podobno miejsce w Mediolanie. Kardynał odpisał, że po prostu komuś się przyśniły.

Nie więcej warte, choć innej natury, było to, co się w owym czasie śniło przeróżnym uczonym mężom. Upatrywali oni, a przynajmniej większa ich część, zapowiedź i przyczynę zarazem walących się ostatnio na ludzi klęsk w komecie, jaka się ukazała w roku , oraz w spotkaniu Saturna z Jowiszem, „odnosząc — pisze Tadino — spotkanie ono do obecnego roku, co jest tak jasne, iż każdy pojąć to jest zdolny: Mortales parat morbos, miranda videntur”.

Przepowiednia ta, zaczerpnięta podobno z książki pod tytułem Zwierciadło almanachów doskonałych wydrukowanej w Turynie w r. , była na ustach wszystkich. Nową kometę, która ukazała się w czerwcu w samym roku zarazy, uznano za ponowne ostrzeżenie oraz za nieomylny dowód „mazania”. Wertowano książki w poszukiwaniu przykładów zarazy sztucznie wywołanej i, niestety, znajdowano ich niemało. Cytowano Liwiusza, Tacyta, Diona — co mówię? — nawet Homera i Owidiusza, i wielu jeszcze innych starożytnych autorów opisujących podobne fakty lub przynajmniej czyniących o nich wzmianki. U nowożytnych znajdowano przykłady w jeszcze większej obfitości. Cytowano setki

autorów, którzy bądź zasadniczo i naukowo, bądź przelotnie mówili o truciznach, czarach, maściach i proszkach czarodziejskich. Byli to: Cesalpino, Cardano, Grevino, Salio, Pareo, Schenchio, Zachia, wreszcie ów straszliwy Delrio, który gdyby sława pisarzy była proporcjonalna do dobra lub zła wywołanego ich dziełami, byłby jednym z najślawniejszych w świecie. Ten Delrio, którego brednie kosztowały więcej ludzkich żywotów niż niejedna zdobywcza wyprawa; Delrio, którego Wiedza magiczna (streszczenie wszystkiego, co aż do jego czasów ludzie na ten temat nabredzili), uznana za dzieło najbardziej miarodajne i niewzruszone, podlegała przez przeszło sto lat do legalnych, ohydnych, nieprzerwanych rzezi.

Z tego, co bajano pospółstwo, ludzie oświeceni brali to, co dawało się pogodzić z ich pojęciami. Z tego, co głosili ludzie oświeceni, lud brał z kolei to, co potrafił pojąć, i pojmował, jak potrafił. A z tego wszystkiego razem tworzyła się mgławica powszechnego szaleństwa.

Ale co jest w tym najbardziej zadziwiające, to stanowisko lekarzy, którzy od początku wierzyli w dżumę; mam tu na myśli przede wszystkim Tadina, który zarazą przewidział z góry, był świadkiem jej początków, własnymi . oczyma śledził jej rozwój, wciąż twierdził, że jest to dżuma i że udziela się przez zetknięcie, że jeśli nie wypowie się jej walki, to ogarnie cały kraj — a później uznał to wszystko za dowód uprawiania trucicielskich czarów. On, który stwierdził u owego Carla Colonna, drugiej z kolei w Mediolanie ofiary zarazy, malignę jako objaw dżumy, później przytaczał na dowód „mazania” i diabelskich zaklęć taki fakt: dwóch świadków zeznało, że słyszeli od swego chorego przyjaciela, jakoby pewnej noa cy przyszli do niego jacyś ludzie i obiecali mu wyzdrowienie i pieniądze, jeżeli zgodzi się mazać pobliskie domy. Kiedy odmówił, ludzie ci odeszli, a zamiast nich został pod łóżkiem wilk i trzy kocury — „i siedziały tam aż do rana”.

Gdyby takie brednie plółł jeden człowiek, powiedzielibyśmy po prostu, że to wariat, a raczej nie byłoby w ogóle . o czym mówić. Ale że było ich wielu, prawie wszyscy, musimy włączyć do dziejów myśli ludzkiej to zjawisko ukazujące, jak całe pasmo rozsądnych dowodzeń może zostać splątane i zniszczone garścią zaprzeczających mu, niedorzecznych majaczeń. A ów Tadino był jedną z wybitniejszych umysłowości swego czasu.

Dwóch zasłużonych i głośnych pisarzy stwierdziło, że kardynał Federigo aż do końca wątpił w istnienie „mazaczy”. Bylibyśmy szczęśliwi, mogąc dorzucić jeszcze i to na pochwałę tej tak pięknej i pociągającej postaci i ukazać zacnego kapłana wyższym nad ogół swoich współczesnych także i pod tym, jak pod wielu innymi względami. Zamiast tego jesteśmy, niestety, zmuszeni dostrzec tu nowy przykład potęgi opinii publicznej, zdolnej zbałamucić nawet tak wybitny umysł. Od początku najwidoczniej, przynajmniej o ile wierzyć temu, co pisze Ripamonti, żywił on rzeczywiście co do tego wątpliwości, potem zawsze utrzymywał, że na lęk przed „mazaczami” składa się w dużej mierze łatwowierność, ciemnota, tchórzliwość i chęć usprawiedliwienia się z tego, że tak późno rozpoznano chorobę i zaczęto się przed nią bronić; że wiele jest w tym

wszystkim przesady, ale że jednak musi być także i ziarno prawdy. W Bibliotece Ambrojańskiej zachowało się małe dziełko jego pióra traktujące o owej zarazie; otóż tam w wielu miejscach daje się wyczuć to jego przekonanie, a raz wypowiedziane jest nawet zupełnie wyraźnie. „Istniała ogólne przekonanie — mówi do kogoś ze swego otoczenia —

iż maści te sporządzano w niejednym miejscu i wprowadzano je na rozliczne sposoby, z których jedne wydają się prawdziwe, inne zmyślone" — oto jego własne słowa: „Unguenta vero haec aiebant componi conficique multifariam, fraudisque vias fuisse complures; quarum sane fraudum et artium, aliis quidem assentimur, alias vero fictas fuisse commentitiasque arbitramur."

A byli przecież tacy, którzy aż do końca, aż do śmierci uważali to wszystko za wytwór wyobraźni: a wiemy o tym nie od nich samych, nikt bowiem nie był tak zuchwały, by wypowiadać publicznie przekonanie tak skrajnie przeciwne powszechnie panującym. Wiadomości te czerpiemy od pisarzy, którzy tych ludzi wyśmiewali, gromili lub przekonywali, zaznaczając zresztą, że jest to przesąd wyznawany przez niewielu, głupstwo nie warte otwartej dyskusji, ale przecież istniejące. To samo potwierdza i ustna tradycja. „Znalazłem w Mediolanie ludzi rozumnych — pisze poczciwy Muratori w wyżej cytowanym dziełku — którzy słyszeli te dzieje od swoich ojców i wcale nie byli tak mocno przekonani o prawdziwości tych wszystkich historii o trujących maziach." Widzimy zatem, że prawda przetrwała utajona, zwierzana w zaufaniu; że zdrowy rozsądek nie zaginął, ale przyciął się ze strachu przed głupotą. Ludzie stojący u władzy, z każdym dniem mniej liczni i coraz bardziej tracący głowę, zużywali tę resztkę energii, jaka im pozostała, na poszukiwanie sławetnych „mazaczy". Wśród dokumentów z okresu zarazy, przechowywanych w wyżej wspomnianym archiwum, znajduje się list, w którym wielki kanclerz z całą skwapliwością i powagą donosi gubernatorowi, że otrzymał wiadomość, jakoby w wiejskiej posiadłości braci Girolama i Giulia Montich, szlachciców mediolańskich, fabrykowano trucizny w takiej ilości, że czterdziestu ludzi było en este exercicio zatrudnionych,

a pomagać w tym miało czterech panów z Brescii, którzy sprowadzali potrzebne materiały z Wenecji para la fabrica del veneno. Kanclerz dodawał, że posłał tam w tajemnicy podestę mediolańskiego i audytora z Urzędu Zdrowia z trzydziestu żołnierzami z konnicy, niestety, jednak ktoś ostrzegł jednego z braci, tak że zdążyli na czas usunąć ślady zbrodni. Możliwe, że ostrzeżenie wyszło od jego przyjaciela, tegoż samego audytora, który też postarał się pod jakimś pozorem nie wziąć udziału w ekspedycji. Podesta jednak udał się z żołnierzami, a reconocer la casa, y a ver si hallara algunos vestigios, zasięgnąć informacji i zaarrestować wszystkich, którzy mu się wydadzą podejrzani.

Sprawa jednak musiała skończyć się na niczym, ponieważ współcześni pisarze, wspominając o podejrzeniu, jakie padło na owych dwóch szlachciców, nie przytaczają żadnego dowodu. W innych jednak podobnych wypadkach znajdowano, niestety, to, czego szukano.

Procesy, jakie z tych poszukiwań wynikały, z pewnością nie były pierwszymi w tym rodzaju. Nie można ich nawet uważać za jakąś osobliwość w dziejach sądownictwa. Bo nie sięgając nawet do starożytności i ograniczając się do czasów stosunkowo bliskich tej epoce, z którą tu mamy do czynienia, podobne procesy miały miejsce w Palermo w r. , w Genewie w , i jeszcze w ; w Casal Monferrato w r. ; w Padwie w ; w Turynie w i znowu w owym roku skazywano na najsrozsze męki to jednego, to wielu nieszczęśliwych, winnych jakoby rozszerzania dżumy przy pomocy proszku, maści, czarów czy też wszystkich tych sposobów równocześnie. Ale sprawa tak zwanych „mazaczy" mediolańskich była z tych wszystkich najgłośniejsza i może najłatwiejsza do zaobserwowania, ponieważ pozostałe po niej dokumenty są stosunkowo obszerniejsze i bardziej autentyczne. A że pewien pisarz, wyżej chwalebnie przez nas cytowany, zajął się nią specjalnie, stawiając sobie za zadanie nie tyle opis tej historii, ile wydobycie z niej istotnej treści dla celów nie większej może, ale bezpośredniej wagi, wydało nam się, że ta sprawa mogłaby się stać przedmiotem osobnej, no

wej pracy. To pewne, że w niewielu słowach nie da się jej opowiedzieć, a nie miejsce tu, by potraktować ją tak obszernie, jak na to zasługuje. Wreszcie, gdybyśmy się jeszcze dłużej nad tymi sprawami zatrzymali, czytelnik zrezygnowałby już pewnie z usłyszenia dalszego ciągu naszej opowieści. Zachowując więc na inny raz dzieje i ocenę owych procesów, powrócimy nareszcie do naszych bohaterów, by ich już nie porzucić aż do końca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pewnej nocy pod koniec sierpnia, w okresie kiedy dzuma najbardziej się srożyła, don Rodrigo wracał do swego domu w Mediolanie w asyście wiernego Grisa, jednego z trzech czy czterech, jacy mu z całej drużyny zostali. Powracał z pewnego domu, w którym zwykł był hulać ze swymi kompanami, aby rozpędzić ponury nastrój, jaki dokoła panował. Prawie za każdym razem przybywał do kompanii ktoś nowy, a kogoś ze starych brakowało. Tego dnia don Rodrigo był najweselszy ze wszystkich; zwłaszcza rozśmieszył przyjaciół wygłaszając coś w rodzaju mowy pogrzebowej na cześć hrabiego Attilia, którego dzuma zabrała dwa dni przedtem.

Ale w drodze powrotnej był jakiś nieswój, przygnębiony, czuł słabość w nogach, brak tchu i jakieś dziwne gorąco, które rad byłby przypisać wyłącznie winu, niewyspaniu i letniej spiekocie. Przez całą drogę nie otworzył ust, a pierwsze słowa, jakie wypowiedział wszedłszy do domu, to był rozkaz, by Griso przyniósł mu światło i odprowadził do sypialnej komnaty. Kiedy tam weszli, Griso zauważył dziwnie wzburzoną twarz pana, wypieki i wytrzeszczone, szkliste oczy. Trzymał się więc, o ile mógł, z daleka; w takich okolicznościach każdy hultaj musiał mieć, jak się to mówi, lekarskie oko.

— Zdrów jestem — rzekł don Rodrigo, który z zachowania Grisa wyczytał jego tajemną myśl. — Zdrów jestem zupełnie; ale piłem i może trochę nadto wypilem... takie to było wińsko... ale niech się jeno dobrze wyśpię, wszystko minie. Senny jestem okrutnie... odsuń no trochę to światło, całkiem mnie oślepia... znieść go nie mogę...

— Wino to głupstwo — rzekł Griso trzymając się wciąż

w rozsądnej odległości. — Ale trza się położyć co prędzej, sen dobrze panu zrobi.

— Mądrze gadasz... żebym jeno mógł zasnąć... Ale zresztą jestem zdrów. Połóż no tutaj ten dzwonek, bym go miał pod ręką, gdyby mi w nocy było czego potrzeba; a ty uważaj, żebyś usłyszał, jeśli zadzwonię. Ale nie będzie mi trzeba niczego... zabierz tylko to przekłete światło! — wykrzyknął, podczas gdy Griso spełnił rozkaz starając się jak najmniej przybliżyć. — Do diabła, jakże mnie ono męczy!

Griso zabrał światło i wycofał się spieszenie życząc dobrej nocy swemu panu, który natychmiast zwałił się na łożo. Ale kołdra wydała mu się ciężka jak góra. Odrzucił ją precz i zagrzebał się w poduszki, chcąc zasnąć. Czuł się doprawdy śmiertelnie "senny; zaledwie jednak przymknął oczy, zbudził go nagły wstrząs, jakby ktoś znienacka go szturchnął. Ogarniało go gwałtowne gorąco i okropny lęk. Przywoływał na pamięć sierpień, wypite wino, hulanki, chciałyby na nie zrzucić całą winę; ale wciąż przesłaniała te myśli myśl inna, która nie odstępowała go ani na chwilę,

wdzierała się jak gdyby wszystkimi zmysłami, jawiła się wciąż w hulaszczych żartach, bo łatwiej było z niej drwić niż pomijać milczeniem — dzuma.

Długo przewracał się z boku na bok, wreszcie zasnął i zaczął śnić najokropniejsze w świecie majaki. Raptem wydało mu się, że jest w jakimś ogromnym kościele, pośród zwartego tłumu, choć nie wiedział wcale, jak się tam dostał i skąd mu się wzięła chęć pójścia do kościoła, zwłaszcza w czasie zarazy; i był z tego powodu wściekły. Rozglądając się dookoła widział wszędzie poźółkłe, zapadnięte twarze, oczy nieprzytomne, ośleple, wargi obwisłe. Wszyscy ci ludzie odziani byli w łachmany, a poprzez strzępy i dziury widać było guzy i sine plamy. „Z drogi, hołoto!” — krzyczał wpatrując się w drzwi, które były gdzieś bardzo daleko, i ukazywał groźną twarz, ale nie ruszał się, a nawet kurczył, jak mógł, by nie dotykać tych okropnych ciał, które mimo to ze wszystkich stron ocierały się o niego. Nikt z tych szaleńców nie chciał się usunąć, nikt nawet nie zdawał się słyszeć jego wołania. Napierali na niego coraz silniej, a zwłaszcza jeden przyciskał go łokciem czy czymś innym pomiędzy sercem a pachą bardzo boleśnie. A ilekroć zdołał się uwolnić, zaraz coś nowego wpijało mu się boleśnie w to samo miejsce. Rozwścieczony

sięgnął ręką do szpady i wydało mu się, że w tłoku podsunęła mu się wyżej i że to jej rękojeść tak go uciska; ale dotknąwszy ręką bolącego miejsca przekonał się, że szpady wcale nie ma, poczuł natomiast ucisk i ból jeszcze dokuczliwszy. Dygotał w okropnym podnieceniu, chciał krzyczeć głośnie, kiedy nagle wszystkie owe twarze zwróciły się w jedną stronę. Spojrzał tam i on: zobaczył kazalnicę, a ponad jej krawędzią jakiś przedmiot wypukły, gładki i lśniący. Po chwili to coś uniosło się w górę i don Rodrigo ujrzał wyłaniającą się. łysą głowę, dwoje oczu, twarz i długą białą brodę — mnicha do połowy ciała widnego nad krawędzią kazalnicy: brata Cristoforo! Mnich powiódł płomiennym spojrzeniem po całym zgromadzeniu i zatrzymał wzrok na don Rodrigu. Wzniósł przy tym rękę takim samym gestem jak wówczas w dolnej sali jego zamku. W odpowiedzi don Rodrigo podniósł także z wściekłością rękę, rzucając się naprzód, jakby chciał uchwycić wzniesioną dłoń mnicha. W krtani dusił głuchy pomruk, który nagle przemienił się w nieludzki ryk; obudził się. Opuścił rękę, którą przez sen podniósł rzeczywiście, usiłował rozbudzić się na dobre, z trudem otwierając oczy, bo światło poranka, przenikające już do wnętrza, raziło jego wzrok tak samo jak świeca ubiegłego wieczora. Rozpoznał swoje łożo, swoją sypialnię, zrozumiał, że tamto wszystko było snem: kościół, tłum ludzki, mnich, wszystko zniknęło. Wszystko prócz jednej rzeczy — tego bólu z lewej strony ciała. Zarazem czuł gwałtowne, męczące bicie serca, szum i świst w uszach, wewnątrz paliło go jak ogniem, członki były bardziej jeszcze ociężałe niż wtedy, kiedy się kładł do łóżka. Wahał się chwilę, zanim odważył się spojrzeć na bolące miejsce; odsłonił je wreszcie, rzucił trwożliwie okiem: zobaczył okropny guz czerwonosiny.

Zrozumiał, że jest zgubiony. Ogarnął go lęk przed śmiercią i bodaj jeszcze silniejszy strach, że stanie się pastwą monattów, że go zabiorą i rzucają do lazaretu. Szukając w myśli sposobu uniknięcia tego straszliwego losu poczuł, że umysł miesza mu się i mroczy coraz bardziej i że bliska jest chwila, kiedy pozostanie mu chyba tyle tylko przytomności, by zdolny był odczuwać rozpacz. Chwyił dzwonek i gwałtownie nim potrząsnął. Natychmiast ukazał się Griso, który czuwał w pobliżu. Zatrzymał się w pewnej odległości od łoża, przyjrzał się uważnie swemu panu

i utwierdził całkowicie w powziętym z wieczora podejrzeniu.

— Griso! — rzekł don Rodrigo unosząc się z trudem do pozycji siedzącej — byłeś zawsze moim wiernym sługą.
— Tak, panie.
— Czyniłem ci wiele dobrego.
— W swej łaskawości...
— Mogę ci chyba zaufać?
— Jak wszyscy diabli!
— Chory jestem, Griso.
— Widzę to.
— Jeśli ozdrowię, obsypię cię dobrodziejstwami hojniej jeszcze, niżlim to do tej pory czynił.
Griso. nic nie odpowiedział czekając, dokąd zmierza ten wstęp.
— Nie chcę spuszczać się na nikogo innego prócz ciebie — podjął don Rodrigo. — Uczyń mi jedną przysługę, Griso.
— Rozkazuj, wasza wielmożność — odpowiedział zwykłą formułką na niezwykle zwrot swego pana.
— Wiesz, „gdzie jest dom Chioda, chirurga? — Juścić wiem.
— To uczciwy człek. Jak mu dobrze zapłacić, nie wyda chorego. Idź i wezwij go. Rzeknij, że dam mu cztery... sześć skudów, jak przyjdzie; więcej, jeżeli więcej zażąda, ale niech tu przyjdzie nie zwlekając. A spraw się dobrze, by nikt nic nie zmiarkował.
— Mądrze pomyślane — rzekł Griso. — Idę i zaraz wracam.
— Posłuchaj, Griso; daj mi najpierw trochę wody; pali mnie tak, że ścierpieć tego nie mogę.
— Nie, wasza wielmożność — rzekł Griso. — Nic bez zgody lekarza; choroby bywają czasem dziwne... nie mamy czasu do stracenia. Proszę czekać spokojnie: w trzech susach jestem tu na powrót wraz z Chiodem.
To rzekłszy wyszedł zamykając za sobą drzwi.
Don Rodrigo zostawszy sam towarzyszył mu myślą w drodze do domu Chioda, rachował kroki, obliczał czas. Raz po raz spoglądał na swój gaz, ale zaraz odwracał głowę w drugą stronę, przejęty odrazą. Po pewnym czasie zaczął nasłuchiwać, czy chirurg nie nadchodzi. Skupienie uwagi pozwalało mu zapominać chwilami o chorobie trzy

mając w ryzach jego myśli. Nagle usłyszał dźwięk dzwonka, oddalony, ale który zdawał się dochodzić nie z ulicy, lecz z wnętrza domu. Nadstawił uszu: dzwonienie xozległo się teraz głośniejsz, bez przerwy, a wraz z nim odgłos kroków. Potworne podejrzenie przemknęło mu przez głowę. Usiadł i wsłuchiwał się jeszcze uważniej; usłyszał w sąsiednim pokoju głucho stuknięcie, jakby postawiono tam ostrożnie ciężki jakiś przedmiot. Wyrzucił nogi z łóżka, jak do wstania, spojrział ku drzwiom, zobaczył, jak się otworzyły i ukazały się dwa zniszczone i brudne czerwone ubiory, dwie okropne gęby; jednym słowem, dwóch monattów. Dojrzał też pół twarzy Grisa, który podglądał, ukryty za skrzydłem drzwi.

— Ach, zdrajca bezecny! Precz, kanalio! Biondino! Carlotto! Na pomoc! Mordują! — krzyczał don Rodrigo. Sięgnął ręką pod poduszkę szukając pistoletu. Uchwycił go, wydobył, ale na pierwszy jego krzyk monatti rzucili się ku łożu, jeden z nich pochwycił go, zanim zdążył uczynić jakikolwiek ruch; wydarł mu pistolet z ręki, odrzucił daleko, przewrócił don Rodriga z powrotem na łoże i przytrzymał go wołając z wściekłością i pogardą:

— A hultaj! Opierać się monattom! Wykonawcom prawa! Tym, którzy świadczą miłosierdzie!

— Trzymaj go dobrze, póki go nie wyniesiemy — rzekł drugi zbliżając się do zasobnej skrzyni.

Teraz wszedł i Griso i wspólnie zabrali się do wyważania zamku.

— Nędzniku! — zawył don Rodrigo widząc to, mimo że był przyciśnięty przez drugiego monatta, i usiłując wywinąć się z jego silnych ramion.

— Pozwólcie mi zabić tego łotra, a potem czyńcie ze mną, co chcecie — prosił monattów. Po czym zaczynał znów wielkim głosem wołać swoich pachołków, ale na próżno, bowiem niegodziwy Griso posłał ich gdzieś daleko ze zmyślnymi rozkazami pana, zanim sam wezwał monattów proponując im podział łupów.

— No, spokojnie, spokojnie — przemawiał do nieszczęsnego Rodriga ów drab, trzymając go przygwożdżonego do łoża. A zwracając głowę ku tamtym dwóm, szperającym w poszukiwaniu zdobyczy, zawołał: — Róbcie jeno uczciwie!

— Ty! Ty! — ryczał don Rodrigo w stronę Grisa, który krztał się wydobywając zewsząd pieniądze i rozmaite

rzeczy i rozdzielając je. — Ty! Po tym!... Ach, diable wcielony! Ale ja mogę jeszcze ozdrowieć! Mogę ozdrowieć! Griso nic nie odpowiadał, na wszelki wypadek jednak odwracał się w stronę przeciwną od tej, z której dolatywały te wyrzuty.

— Trzymaj go mocno — mówił drugi monatto. — Całkiem się wściekł!

Była to prawda. Jeszcze jeden przeraźliwy ryk, jeden gwałtowny wysiłek, by się uwolnić — i don Rodrigo opadł nagle bez sił, zupełnie oszołomiony. Wciąż tylko jeszcze patrzył nieprzytomnie i od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz albo jęczał cicho.

Monatti wzięli go, jeden za nogi, drugi pod ramiona i ponieśli na stojące za drzwiami nosze. Jeden z nich wrócił jeszcze po swój łup, po czym podjęli swój żaloszny ciężar i odeszli.

Griso został jeszcze zbierając w pośpiechu wszystko, co mogło mu się przydać. Zrobił z tego zawiniątko i wyszedł. W obecności monattów pilnie zważał, żeby się o nich nie otrzeć i żeby oni go nie dotknęli; ale później, w zapale szperania chwycił porzucone obok łóżka odzienie pana i niewiele myśląc wytrząsnął je chcąc się przekonać, czy nie ma gdzie po kieszeniach pieniędzy. Pomyślał o tym, co zrobił, dopiero nazajutrz, kiedy w karczmie pośród hulanki chwyciły go gwałtowne dreszcze, oczy zaszyły mgłą, poczuł nagłą niemoc i upadł. Opuszczony przez swych kompanów, dostał się w ręce monattów, którzy odarli go ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość, rzucili go na wóz. Umarł, zanim zdążyli go dowieźć do lazaretu, gdzie znajdował się jego pan.

Pozostawmy teraz don Rodriga. na tym padole płaczu i rozejrzyjmy się za tym drugim młodzieńcem, którego dzieje nie byłyby nigdy tak się splątały z jego dziejami, gdyby don Rodrigo nie parł do tego całą mocą; można nawet twierdzić, że gdyby nie to, żaden z nich dwóch nie miałby w ogóle dziejów godnych wspomnienia. Mówię tu o Renzu, którego pozostawiliśmy w nowej przędzalni pod imieniem Antonia Rivolta.

Przebywał tam zdrow i cały od pięciu czy sześciu miesięcy, kiedy pomiędzy rzeczpospolitą wenecką a królem hiszpańskim zapanowały wrogie stosunki, a tym samym znikła obawa jakichś z tej strony prześladowań. Zaraz też

Bortolo pospieszył zabrać krewniaka z powrotem do siebie, bo po pierwsze lubił go szczerze, po drugie Renzo jako młodzieniec zdolny i biegły w swym rzemiośle był mu w fabryce ogromnie pomocny, bez żadnych przy tym widoków zajęcia w przyszłości jego miejsca z tej nieszczęsnej przyczyny, że nie umiał trzymać pióra w ręku. Okoliczność ta grała tu także pewną rolę, musimy to jasno powiedzieć. Może chcielibyście widzieć Bortola bardziej zbliżonym do ideału — ha, cóż, w takim razie zróbcie sobie takiego sami. Ten bowiem był taki, jaki był.

Renzo pracował więc przy nim. Nieraz, zwłaszcza po otrzymaniu jednego z tych fatalnych listów od Agnese, przychodziła mu do głowy szalona myśl, żeby zaciągnąć się do wojska i raz z tym wszystkim skończyć. Sposobności nie brakło: właśnie w tym czasie rzeczpospolita bardzo potrzebowała żołnierzy. Była to dla Renza pokusa tym silniejsza, że wciąż mówiono o wyprawie na terytorium mediolańskie; wyobrażał sobie, jakby to było pięknie powrócić tam jako zwycięzca, zobaczyć Lucję i wszystko nareszcie wyjaśnić. Ale Bortolo potrafił jakoś za każdym razem odwieść go od tych zamiarów.

— Jak mają tam pójść — mówił — to pójdą i bez ciebie, a ty będziesz mógł iść za nimi, kiedy ci będzie dogodnie. Jeżeli dostaną po łbie, czyż nie lepiej ci będzie siedzieć spokojnie w domu? Dość będzie takich desperatów, co tam

pójdą zamiast ciebie. Zanim się tani zresztą dostaną — ho, ho!... jeśli o mnie chodzi, to zgoła w to nie wierzę. Cóż, dużo oni wrzeszczą, ale księstwo mediolańskie to nie jest kąsek łatwy do połknięcia. Chodzi tu o Hiszpanię, mój synu. A wiesz ty, co to jest Hiszpania? Święty Marek mocny jest u siebie w domu; ale tu czegoś więcej trzeba. Poczekaj cierpliwie; alboż ci tu źle? Widzę już, co mi chcesz rzec, ale to wiedz, że jeśli jest przeznaczone, by się ta rzecz stała, to stanie się bez twoich szaleństw jeszcze łatwiej. Pomogą ci święci pańscy. Wierzaj mi, nie dla ciebie to rzemiosło. Zachciało ci się rzucić przedzenie jedwabiu i iść zabijać? I cóż byś ty robił z tymi ludźmi? Do tego potrzeba zgoła innych aniżeli ty.

Kiedy indziej znów Renzo snuł plany pójścia w przebraniu i pod fałszywym nazwiskiem. Ale i to także potrafił mu Bortolo wyperswadować z łatwych do odgadnięcia przyczyn.

Później w księstwie mediolańskim wybuchła dżuma, właśnie w pobliżu granicy Bergamo i w niedługim czasie granicę tę przekroczyła. I... ale nie przerażajcie się, nie zamierzam tu opowiadać o przebiegu dżumy na terytorium bergamskim. Kto byłby tego ciekaw, znajdzie wszystko opisane na zlecenie władz przez niejakiego Lorenza Ghirardelli; rzadka to książka i nieznaną, jakkolwiek zawiera więcej chyba materiału niż wszystkie najśłynniejsze opisy dżumy. Od iluż bowiem względów zależy rozgłos książki!

Chciałem powiedzieć jedynie, że Renzo także zachorował na dżumę i wyleczył się z niej sam, czyli, ściślej mówiąc, nie leczyl się wcale. Był o krok od śmierci, ale jego silny organizm zwyciężył chorobę: po kilku dniach znalazł się poza niebezpieczeństwem. W miarę jak powracał do życia, odżywały też w jego duszy coraz bujniej wspomnienia, pragnienia, nadzieje, projekty na przyszłość — znaczy to, krótko mówiąc, że więcej niż kiedykolwiek myślał o Lucji. Co też się z nią dzieje w takich czasach, kiedy już to samo, że się żyje, jest czymś nieomal wyjątkowym? Być tak niedaleko i nic o niej nie wiedzieć! I jeszcze Bóg wie jak długo trwać w tej niepewności! A kiedy nawet ona przeminie i zniknie też wszelkie niebezpieczeństwo, a on się dowie, że Lucja żyje — będzie istniała wciąż jeszcze tamta tajemnica, ta dziwna sprawa owego ślubowania! „Pójdę, pójdę i wszystkiego wreszcie się dowiem — powiedział sobie, i to zanim jeszcze czuł się na siłach wyruszyć. — Byle tylko żyła! Odnaleźć to już ja ją odnajdę; muszę z jej własnych ust usłyszeć, co to było z tą obietnicą. Wytłumaczę jej, że tak być nie może, i zabiorę ją z sobą, ją i Agnese, jeśli tylko żyje, biedaczka. Zawsze mi była życzliwa i tak myślę, że jest taka nadal. A wyrok? Ech, co tam, mają tam teraz co innego na głowie ci, co zostali przy życiu! Tutaj także chodzą spokojnie ludzie, co niejeden wyrok mają na karku. Czyż to tylko hultaje mają taki przywilej? A w Mediolanie, jak wszyscy powiadają, jeszcze gorszy zamęt. Jeśli przepuszczę taką piękną sposobność — dżumę! (Popatrzcież tylko, jakim głosem przemawia w człowieku ów sławetny instynkt, który każe nam wszystko sobie samym podporządkować, na wszystko patrzeć pod kątem własnej korzyści!) Druga taka mi się nie trafi!”

Miejmy nadzieję, drogi Renzo.

Zaledwie mógł powlec się o własnych siłach, udał się do Bortola, który do tej pory szczęśliwie ustrzegł się zarazy i chronił się przed nią nadal. Renzo nie wszedł do domu, ale stojąc na ulicy przywołał go do okna.

— Ho, ho! — rzekł Bortolo. — A więc się wywinąłeś! Masz szczęście!

— Trochę słabo jeszcze trzymam się na nogach, jak widzisz, ale jużem wyszedł z niebezpieczeństwa.

— Ba, chciałbym ja stać na twoich nogach. Dawniej, kiedy się mówiło: „Mam się dobrze”, to mogło to wszystko oznaczać, ale teraz nic nie znaczy. Za to, jak ktoś może powiedzieć: „Mam się lepiej” — ho, ho, to dopiero piękna mowa!

Renzo paru słowami dodał krewniakowi otuchy i oznajmił mu o swoim postanowieniu.

— No, cóż, idź i niechże ci Niebo dopomaga — odpowiedział tamten. — Staraj się umknąć przed sprawiedliwością, jak ja przed dżumą. Jeśli Bóg da, że nam się uda obu, to się znów spotkamy!

— Wrócę na pewno! Obym jeno wrócił nie sam! No, dość o tym. Nie tracę nadziei.

— Sprowadź tu jeszcze kogo. Jak Bóg da, znajdzie się tu dość pracy dla każdego i będzie nam tu dobrze razem. Byłeś jeno znalazł mnie tutaj i byle się ta diabelska zaraza skończyła.

— Spotkamy się, spotkamy. Musimy się spotkać!

— Raz jeszcze powtórzę: jak Bóg pozwoli!

Przez kilka dni Renzo ruszał się wiele, próbując swych sił i starając się je pomnożyć. Skoro tylko wydało mu się, że już może wędrować, zaczął się gotować do drogi. Pod ubranie włożył pas z ukrytymi wewnątrz pięćdziesięciu skudami, których nigdy nie naruszył, i nigdy ani słowem się nie zdradził, nawet wobec Bortola, że je posiada. Ponadto wziął trochę pieniędzy, które zdołał odłożyć oszczędzając dzień w dzień na wszystkim. Pod pachę wsunął niewielkie zawiniątko odzieży, do kieszeni świadectwo, o które poprosił na wszelki wypadek swego drugiego pracodawcę, wystawione na imię Antonia Rivolta. W małej kieszonce spodni ukrył nóż, bez niego bowiem w owym czasie uczciwy człowiek nie mógł się obejść. Wyruszył w drogę w końcu sierpnia, w trzy dni potem, jak don Rodriga zabrano do lazaretu. Skierował się w stronę Lec

co, chciał bowiem, zamiast iść tak na ślepo do Mediolanu, wstąpić do swojej wsi, gdzie miał nadzieję zastać Agnese przy życiu i usłyszeć od niej coś niecoś o tych wielu sprawach, których tak bardzo pragnął się dowiedzieć.

Ci nieliczni, którzy przeszli dżumę, stanowili na tle pozostałej ludności jak gdyby warstwę uprzywilejowaną. Wszędzie dokoła ludzie chorowali i umierali, a ci, których do tej pory nie dotknęła zaraza, żyli w nieustannej trwodze. Chodzili ostrożnie, przezornie, jakby wymierzali każdy krok, rozglądając się podejrzliwie, spiesząc się i zarazem jakby wahając w niepewności, zewsząd bowiem mógł im zagrażać śmiertelny cios. Tamci, przeciwnie, spokojni niemal zupełnie o swój los (bowiem dostać dżumy powtórnie było już nie to rzadkością, ale wręcz niesłychaną rzeczą) krążyli pośród zarazy odważnie i bezpiecznie. Jak owi rycerze średniowieczni zakuci w żelazo wszędzie, gdzie tylko żelazo dało się umieścić, dosiadający rumaków również ile się dało opancerzonych, którzy w takiej postaci wałęsali się po świecie (stąd pochodzi dumna nazwa „błądny rycerz”), wałęsali się tedy, gdzie ich oczy nosiły pośród pieszej hołoty miejskiej i wiejskiej nie mającej dla łagodzenia ciosów nic prócz łachmanów na grzbiecie.

Piękne to, mądre i użyteczne zajęcie! Zasługuje ono w całej pełni na to, by w ekonomii politycznej stawiano je na pierwszym miejscu.

Z taką to pewnością siebie, przyćmioną jedynie niepokojami, których przyczyny znane są czytelnikom, smutnym widokiem ogólnej niedoli oraz nieustanną o niej myślą, wędrował Renzo do rodzinnej wioski. Pogoda była piękna i niemniej piękne okolice, ale po drodze nie spotykał nikogo, czasem tylko po długim okresie posępnej samotności natykał się na jakąś istotę bardziej do pokutującej duszy niż do żywego człowieka podobną albo na trupy niesione do wspólnej mogiły bez uroczystych modłów, bez śpiewu i żałobników. Koło południa zatrzymał się w jakimś gajku, zjadł trochę chleba i co tam miał jeszcze z sobą. Owoców wszędzie było pod dostatkiem, więcej nawet, niż mógł potrzebować: fig, brzoskwiń, śliwek, jabłek ile dusza zapagnie. Wystarczało zejść gdziekolwiek z drogi i zrywać albo zbierać pod drzewami, gdzie leżały gęsto, jakby strącone gradem. Rok był bowiem niezwykle urodzajny, zwłaszcza w owoce, a nie było komu o nie się

zatoszczyć. Winorośl tak obrodziła, że jak to mówią, liści nie było widać pod gronami, a wszystko pozostawione na pastwę każdego, kto tylko zechce.

Pod wieczór Renzo ujrzał z daleka swoją wieś. Choć powinien był z góry być przygotowany na to, co zobaczył, przecież serce ścisnęło mu się na ten widok. W jednej chwili obieżyły go tłumnie bolesne wspomnienia i niemniej bolesne przecucia, zabrzmiało mu znów w uszach posępne dzwonienie na trwożę, które towarzyszyło mu i ścigało go, kiedy to miejsce opuszczał. Zarazem jednak czuł otaczającą go zewsząd śmiertelną ciszę, jaka tam teraz panowała. Silniejsze jeszcze wzruszenie ogarnęło go u wejścia na placyk przed kościołem; a jakież dopiero czekało go u kresu drogi! Zamierzał przecież pójść do tego domu, który dawniej zwykł był nazywać domem Lucji. Teraz mógł to być, w najlepszym razie, dom Agnese, a największą łaską Niebios, jakiej Renzo mógł się spodziewać, byłoby zastanie Agnese przy życiu i w zdrowiu. Liczył, że w takim razie znajdzie w tym domu nocleg, jako że jego własny nadawał się przypuszczalnie na mieszkanie dla szcurków i kun jedynie.

Nie chcąc, by go kto widział, skręcił w boczną drożynę, tę samą, którą przyszli owej pamiętnej nocy, by zaskoczyć niespodzianie proboszcza. Mniej więcej w jej połowie była po jednej stronie winnica Renza, po drugiej jego dom. Mógł więc przechodząc wstąpić na chwilę i tu, i tam i popatrzeć, w jakim też stanie znajduje się jego majątność.

Idąc rozglądał się uważnie, spragniony widoku ludzi i zarazem trochę się go obawiając. Uszedłszy kilka kroków zobaczył rzeczywiście siedzącego na ziemi pod jaśminowym żywopłotem jakiegoś człowieka odzianego w samą koszulę, wyglądającego na kogoś niespełna rozumu. Pozycja jego, a także i twarz były Renzowi znajome: wydało mu się, że poznaje biednego przy głupka Gervasa, który miał być drugim świadkiem w owym nieszczęsnym przedsięwzięciu. Ale kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że to nie Gervaso, ale bystry i żwawy Tonio, który go wówczas przyprowadził. Dżuma odebrała mu siły zarówno ciała, jak i umysłu, uwydatniając w jego twarzy i ruchach utajone w nich dawniej ślady podobieństwa z upośledzonym bratem.

— Och, Tonio! — przemówił Renzo zatrzymując się przed nim. — Tyżeś to?

Tonio podniósł oczy, ale głowa jego nie drgnęła.

— Tonio! Nie poznajesz mnie?

— Na kogo padnie, na tego padnie — wymamrotał Tonio i pozostał z otwartymi ustami.

— Dogodziło ci, co? Biedny Tonio! Czy mnie wcale nie poznajesz?

— Na kogo padnie, na tego padnie — powtórzył tamten z głupkowskim uśmiechem.

Renzo, widząc, że nic innego z niego nie wydobędzie, ruszył w dalszą drogę jeszcze bardziej zasmucony. Nagle na zakręcie dojrzał czarną postać, w której niebawem rozpoznał don Abbondia. Szedł on powoli, opierając się całym ciężarem na kij, a w miarę jak się zbliżał, coraz wyraźniej widać było z jego pobladłej, wynędzniałej twarzy, z każdego ruchu, że i jego nie oszczędziła choroba. On także przyglądał się Renzowi: tenże to czy nie ten? Z ubioru wydawał mu się obcy. Ale ten obcy ubiór był przecież właśnie bergamski.

— To on, ani chybi! — mruknął do siebie i wzniosł w górę ramiona gestem zdumienia i niezadowolenia zarazem; kij, który trzymał w prawej ręce, zawisł w powietrzu. Ukazały się wychudłe ramiona, z których opadały zbyt szerokie rękawy — te same, w których niegdyś ramiona ledwo się mieściły. Renzo poszedł mu naprzeciw przyspieszając kroku i uklonił się; bo choć rozstali się tak, jak sami dobrze wiecie, był to bądź co bądź jego proboszcz.

— Tyżeś to, tutaj?! — wykrzyknął don Abbondio.

— A jestem, jak ksiądz proboszcz widzi. Czy wiadomo coś o Lucji?

— A cóż ma być wiadomo? Nie wiadomo nic. Jest w Mediolanie, o ile w ogóle jest jeszcze na tym świecie. Ale ty...

— A Agnese, czy żyje?
— Może być, skądże miałbym to wiedzieć? Nie ma jej tutaj. Ale...
— Gdzież jest?
— Przeniosła się do Valsassiny, do jakichś swoich krewnych w Pasturo, wiesz... powiadają, że tam dzuma tak się nie sroży jak tutaj. Ale ty, mówię...
— To mnie martwi. A ojciec Cristoforo?
— Dawno już go tu nie ma. Ale...

— Wiedziałem, pisali mi o tym. Alem myślał, że może powrócił w te strony.
— Skądże! Nikt o nim nic więcej nie słyszał. Ale ty...,
— To mnie także martwi.
— Ale ty, powiadam, co robisz w tych stronach, na miłosierdzie boskie! Czy nie wiesz, że jest wyrok na ciebie?
— Co mi tam! Mają co innego na głowie. Chciałem tu przyjść i wreszcie sam zobaczyć, co się dzieje. A nie wiadomo...
— Cóżeś chciał zobaczyć? Że nikt się nie ostał, że nic nie ma? I z tym wyrokiem na karku, powiadani, przychodzić tutaj, prosto wilkowi w paszczę, czy to rozsądnie? Posłuchaj starca, który musi mieć więcej rozumu od ciebie i który przemawia do ciebie dla twego dobra: zawiąż swoje ciżmy i nim cię kto zobaczy, wracaj, skądżeś przyszedł. A jeżeli już cię ktoś widział, wracaj tym szybciej. Myślisz, że tu bezpiecznie? Nie wiesz to, że cię tu szukali, wszystko przetrząsali, przewracali do góry nogami...
— Wiem to, niestety... Ach, szelmy! — A zatem...
— Toć powiadam księdzu, że ani o tym myślę. A ów, czy żyje? Jest tutaj?
— A ja ci powiadam, że nie ma nikogo; powiadam, że nie czas ci myśleć teraz o tych rzeczach; powiadam, że...
— Pytam, czy on tu jest, ten!
— Och, Boże święty, co też ty! Możliwe to, byś jeszcze wciąż nosił w sobie ten dawny ogień, po tym wszystkim?
— Jest czy go nie ma?
— Nie ma go, nie. Ale jest za to dzuma, mój synu, jest dzuma! Któż to wałęsa się w taki czas?
— Obyż na tym świecie nie było nic gorszego od dżumy! Wiem, co mówię: miałem ją już i jestem bezpieczny.
— No widzisz, widzisz! Czy to nie przestroga z Nieba? Skoro człowiek raz umknął złego losu, winien dziękować Niebu i...
— Dziękuję mu z całej duszy.
— I nie szukać nowej biedy, powiadam. Posłuchaj mojej rady...
— Chyba i ksiądz proboszcz ją miał, jeśli się nie mylę.
— Czym ją miał! Haniebną, niegodziwą! Istny cud, że jeszcze żyje! Dość popatrzeć, co ze mną uczyniła. Teraz potrzeba mi nieco spokoju, żeby przyjść do siebie, Ledwom

Zaczął trochę lepiej się miewać... Na miły Bóg, po coś tu przyszedł? Wracaj...

— Wiecznie z tym wracaniem! Żeby teraz wracać, to po co było się ruszać? „Po coś przyszedł? Po coś przyszedł?”, pyta ksiądz. No, przyszedłem przecie do swego domu.

— Twój dom...

— Niech mi ksiądz powie: dużo tu pomarło?

— Ho, ho! — wykrzyknął don Abbondio i zaczynając od Perpetuy wymienił długą litanię nazwisk, czasem całych rodzin. Renzo spodziewał się czegoś takiego, a przecież słysząc tak wiele nazwisk znajomych, przyjaciół, krewnych — stał przejęty bólem, zwiesiwszy głowę i wykrzykując raz po raz:

— Biedak! Biedaczka! Biedacy!

— Widzisz — ciągnął don Abbondio — a to jeszcze nie koniec. Jeżeli jeszcze ci, co przeżyli, nie powypędzają ze swoich głów wszelkiego głupstwa, to nastanie istny koniec świata!

— Może ksiądz być spokojny: nie zamierzam tu zostać.

— Ach, Bogu dzięki, że nabierasz rozumu! I wrócisz, ma się rozumieć, do Bergamo?

— O tym niech ksiądz nawet nie myśli.

— Więc jakże? Nie chcesz chyba zrobić mi tu jeszcze gorszego jakiegoś głupstwa?

— Ksiądz może się o to nie trapić. Moja to jedynie sprawa. Nie jestem już dzieckiem, mam swój rozum. Mam nadzieję, że na wszelki wypadek nikomu ksiądz nie powie, że mnie widział. Ksiądz jest przecie kapłanem, a ja jedną z jego owieczek, nie zechce mnie ksiądz wydać.

— Rozumiem — rzekł don Abbondio sapiąc gniewnie — rozumiem. Chcesz zgubić siebie i mnie. Nie dość ci tego, coś przeszedł; nie dość tego, com przeszedł ja. Rozumiem, tak, rozumiem.

I mrużąc przez zaciśnięte zęby ostatnie słowa odwrócił się i poszedł swoją drogą.

Renzo smutny i zgryziony zastanawiał się, dokąd by tu pójść na noc. Pośród wymienionych przez don Abbondia zmarłych była rodzina, z której pozostał przy życiu jeden tylko młodzieniec mniej więcej w wieku Renza, towarzysz jego od lat dzieciennych; dom jego stał tuż za wsią. Renzo postanowił pójść tam właśnie.

Po drodze mijał swoją winnicę; już z zewnątrz mógł się

zorientować, w jakim ona jest stanie. Ani jednego wierzchołka, ani jednej gałęzi z tych wszystkich drzew, jakie tam zostawił, nie było widać spoza muru. Widniało natomiast to wszystko, co wzrosło tam samo w czasie jego nieobecności. Stanął w otworze muru (z furtki nie pozostały nawet zawiasy) i powiódł spojrzeniem dokoła.

Nieszczęsna winnica! Przez dwie zimy z rzędu ludność wioski zaopatrywała się w chrust i drzewo „u tego biedaka”, jak mówiono. Winorośl, morwy, rozmaite drzewa owocowe — wszystko było połamane, poszarpane lub zrąbane przy samej ziemi. Można było jeszcze dostrzec ślady dawnej uprawy: młoda winorośl w równych, choć poprzerywanych rzędach, znaczących ślad dawnego porządku; tu i owdzie młode szczepki morw, fig, brzoskwiń, wisien, śliw. Ale to wszystko ginęło przygłuszone nową, bujną roślinnością, rozwijającą się bez pomocy ludzkiej ręki. Była to płatanina pokrzyw, paproci, kąkolu, perzu, centurii, dzikiego owsa, zielonego szarłatu, cykorii, szczawiu, dzikiego prosa oraz wielu innych roślin, które wieśniacy wszystkich krajów zwykli łączyć po swojemu w jedną wielką rodzinę, określając je nazwą „zielska” czy jakąś inną w tym rodzaju. Łodygi tego wszystkiego plątały się pomiędzy sobą, przygniatały się wzajemnie, pełzały po ziemi, walczyły wszelkimi sposobami o przestrzeń. Istna powódź liści, kwiatów, owoców o stu barwach, stu kształtach, stu rozmiarach; kłoski, kiście, kity, pęki, główki białe, czerwone, żółte, błękitne. Pomiedzy tą hołotą wystrzelała gdzieś tam znaczniejsza wzrostem, okazała, ale przeważnie nie lepsza roślina: najwyższa ze wszystkich szkarłatka o rozłożystych czerwieniejących gałęziach, przepysznych ciemnozielonych liściach obrzeżonych już gdzieś tam purpurą, zwiniętych gronach jagód szkarłatnych od dołu, wyżej purpurowych, jeszcze wyżej zielonych, u samej góry usianych białymi kwiatuskami; dziewanna kładąca na ziemi swoje wielkie, włochate liście, ze śmigającą ku górze łodygą, na której mocno żółte kwiatki wyglądały jak gwiazdy; osty, pokryte kolcami na łodygach, liściach, szypułkach, z których wychylały się pędzelki kwiecica białego lub fioletowego albo ulatywały uniesione podmuchem wiatru srebrzyste, leciutkie pióropusze. Tu gęstwa powojów oplatając młode odrośla morwy okryła je całe zasłoną zwisających liści i chwających się lekko, delikatnych

dzwoneczków; tam dzika dynia o rumianych owocach uczepliła się młodej winorośli, która znów, szukając na próżno jakiegoś silniejszego oparcia, uwięziła łodygi tej samej dyni w swoich chwytnych, krętych wążach. Splątawszy tak ze sobą giętkie pędy i mało różniące się liście, obie rośliny mocowały się ze sobą, ciągnąc każda na swoją stronę, jak to się nieraz zdarza, kiedy dwie słabe istoty chcą znaleźć w sobie wzajemnie podporę. Wszędzie rozłożyły się zarośla jeżyn — pięły się z jednej rośliny na drugą, w górę i w dół, to zwijając, to wyciągając w dal swoje pędy, jak się dało; wysuwały się nawet poza ogrodzenie, jakby chciały bronić wstępu nawet gospodarzowi.

On zresztą nie miał wcale ochoty wchodzić do takiej winnicy; może nawet nie przyglądał jej się tak długo, jak długo trwał nasz opis. Poszedł dalej: tuż obok był jego dom. Przeszedł przez ogród warzywny, brodząc po kolana wśród zielska, którym był zarośnięty nie mniej niż winnica, i stanął na progu jednej z dwóch izb. Jakie były na parterze domku. Odgłos jego stąpania i nagle pojawienie się w drzwiach wywołały wielki zamęt. Całe mnóstwo ogromnych szczurów jęło uciekać w popłochu, poruszając przy tym śmieci i nieczystości pokrywające całą podłogę: pozostałość po lancknechtach. Rzucił okiem na ściany poobtłukiwane, pomazane, zadymione. Podniósł wzrok ku sufitowi: cały zasnuty pajęczyną. To było wszystko, co tam znalazł. Odszedł i stamtąd, w udręce ściskając rękami głowę. Zawrócił śladem, jaki chwilę przedtem pozostawił w bujnych zielskach, a po kilku krokach skręcił na lewo dróżką wiodącą w pola. Nie widząc ani nie słysząc żywej duszy doszedł do domku, w którym myślał się zatrzymać. Zaczynało już zmierzchać. Przyjaciel Renza siedział na drewnianej ławeczce przed drzwiami; ramiona miał skrzyżowane na piersi, a oczy wlepione w niebo i wyglądał jak człowiek oszołomiony nieszczęściem i zdziczały wskutek samotności. Na odgłos kroków odwrócił głowę, patrząc, kto idzie. W zapadającym mroku poprzez gałęzie i listowie wydało mu się, że rozpoznał nadchodzącego, i rzekł głośno, wznosząc obronnym gestem ręce:

— Czy to poza mną nikogo już nie ma? Nie dość napracowałem się wczoraj? Dajcież mi odetchnąć, będzie to także czyn miłosierny.

Renzo, nic z tego nie rozumiejąc, zawołał go po imieniu.

— Renzo?! — wykrzyknął tamten pytająco.

— Właśnie — rzekł Renzo i podbiegli obaj ku sobie wzajem.

— Tyżeś to naprawdę?! — zawołał przyjaciel. — Jakżem rad, że cię widzę! Kto by pomyślał? Wziąłem cię za Paolina grabarza, który wciąż spokoju mi nie daje, żebym mu pomagał grzebać. Wiesz, żem został sam jeden? Sam, sam niby pustelnik!

— Wiem o tym, niestety! — odparł Renzo; wymieniając bezładne powitania, pytania i odpowiedzi, weszli razem do domku. Gospodarz krzątał się i mówił równocześnie; starał się przyjąć gościa najlepiej, jak to było możliwe w takim czasie i w dodatku niespodziewanie. Przystawił do ognia kociołek z wodą i zabrał się do przyrządzania polenty; po chwili oddał kopystkę Rencowi, polecił mu mieszać potrawę i wyszedł z izby powtarzając raz po raz:

— Zostałem sam! Zostałem sam!

Wrócił niosąc mały szkopek mleka, kawałek suszonego mięsa, parę małych serków zwanych „raveggioli”, trochę fig i brzoskwiń. Położył to wszystko, wyjął polentę na miskę i zabrali się obaj do jedzenia dziękując sobie wzajemnie, jeden za odwiedziny, drugi za przyjęcie. Po tym dwuletnim rozstaniu poczuli się nagle bliźsi sobie, niż byli w czasach, kiedy Widywali się niemal co dzień. Obaj przeżyli bowiem ostatnio takie rzeczy — czytamy w naszym rękopisie — które

nauczyły ich, jakim balsamem dla duszy może być przyjaźń i życzliwość, zarówno ta, którą się samemu odczuwa, jak i ta, której się doznaje od innych.

Oczywiście, nikt nie mógł w owej chwili zastąpić Renzowi Agnese ani pocieszyć go całkowicie, że jej nie zastał — nie tylko z powodu dawnego i serdecznego do niej przywiązania, ale i dlatego, że ona jedna mogła mu dać klucz do tajemnicy, jaką pragnął zbadać. Renzo wahał się, czy ruszać prosto w dalszą drogę, czy odszukać przedtem Agnese, która ostatecznie nie była zbyt daleko. Doszedłszy jednak do przekonania, że Agnese o losach Lucji zapewne nic nie wie, postanowił trzymać się dawnego planu: pójść dowiedzieć się wszystkiego, wysłuchać, co ona mu powie, i potem dopiero zanieść matce dobrą nowinę. Od przyjaciela dowiedział się zresztą także wielu nowych dlań rzeczy i zrozumiał takie, które mu się wydały niejasne, o przygodach Lucji, o poszukiwaniu jego samego i o tym,

jak don Rodrigo musiał czmychnąć z podwiniętym ogonem i więcej się w tych stronach nie pokazał — jednym słowem, o całym tym wielkim zamieszaniu. Dowiedział się również (a była to dla Renza wiadomość nader ważna), jak naprawdę brzmiało nazwisko don Ferranta; bo choć Agnese przesłała mu tę wiadomość, ale jej sekretarz napisał to nazwisko Bóg wie jak, a ten, kto odczytywał list Renzowi, przekreślił je jeszcze dziwniej, tak że gdyby przyszło szukać tego domu w Mediolanie, prawdopodobnie Renzo nie znalazłby nikogo, kto by zdołał odgadnąć, o kim on właściwie mówi. A przecież nazwisko to było jedyną nicią, jaką mógłby się posłużyć w swoich poszukiwaniach. Co się tyczy zatargu ze sprawiedliwością, Renzo coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że żadne niebezpieczeństwo z bliska mu nie zagraża, i nie myślał o tym wiele. Podesta umarł na dżumę, nowego mogli przysłać Bóg wie kiedy; szeregi zbirów mocno się też przerzedziły; ci, którzy pozostali, mieli co innego na głowie niż takie stare sprawy. Renzo opowiedział przyjacielowi własne dzieje i w zamian usłyszał mnóstwo historii o przemarszu wojsk, o dżumie, o „mazaczach” i o cudach.

— Brzydkie to sprawy — mówił gospodarz prowadząc Renza do izby, która od czasu zarazy stała pustką — takie, że nigdy nie byłbym uwierzył, iż coś takiego ujrzę; mogą człowiekowi odebrać radość z duszy na całe życie. Ale pogadać o tym z przyjacielem to zawsze trochę ulży.

O świcie byli już obaj w kuchni. Renzo gotów do drogi, ze swoim pasem ukrytym starannie pod kaftanem i z nożem w kieszeni spodni. Węzełek z rzeczami zostawił na przechowanie u gospodarza, by się zbytecznie nie obciążać.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze — powiedział mu — jeśli ją znajdę żywą i jeśli... no, mniejsza z tym... to będę tędy wracał. Pójdę do Pasturo zanieść dobrą wieść biedaczce Agnese, a potem... potem... A gdyby... gdyby na nieszczęście... niechże Bóg zachowa... wtedy, nie wiem sam, co uczynię, nie wiem, dokąd pójdę, ale tu, w tych stronach już mnie na pewno nie zobaczycie.

Mówiąc tak stał w progu domku i z głową w tył odrzuconą patrzył na poły z rozrzewnieniem, na poły z goryczą na ten świt w ojczystej wsi, tak dawno nie widziany. Przyjaciel, jak to bywa zwykle w podobnych wypadkach, zapewnił go, że wszystko będzie dobrze. Zmusił Renza, by

wziął na drogę coś do jedzenia, odprowadził go kawałek drogi i wreszcie pożegnał życząc mu szczęścia.

Renzo szedł bez pośpiechu, chciał dojść tego dnia tylko w pobliże Mediolanu, tak, by nazajutrz wejść do miasta . wczesnym rankiem i zaraz rozpocząć poszukiwania. Droga przeszła bez żadnych przygód i nic nie odrywało Renza od jego myśli prócz powszednich widoków nędzy i smutku. Tak jak dnia poprzedniego, zatrzymał się po drodze w jakimś lasku, by posilić się i odpocząć. Przechodząc przez Monzę zobaczył otwarty sklep i wystawione w oknie chleby. Poprosił o dwa, na wszelki wypadek, nie chcąc znaleźć się bez zapasu żywności. Piekarz powiedział mu, żeby nie wchodził, i wyciągnął ku niemu deskę z małą miseczką napełnioną wodą z octem, do której Renzo wrzucił pieniądze. Po czym piekarz podał mu szczypcami najpierw jeden, potem drugi bocheneczek, a on wpakował je sobie do kieszeni. Pod wieczór zaszedł do Greco nie wiedząc zresztą, jak się ta miejscowość nazywa. Ale dzięki niejasnym wspomnieniom, jakie zachował z poprzedniej swojej wędrówki, obliczywszy także mniej więcej, ile drogi uszedł od Monzy, pomyślał, że jest już niedaleko od miasta. Zszedł więc z gościńca i ruszył w pole w poszukiwaniu jakiegoś szałasu, w którym mógłby przepędzić noc, jako że z oberżami wolał nie mieć do czynienia. Znalazł coś lepszego jeszcze niż to, czego szukał: natknął się na dziurę w płocie okalającym podwórze jakiegoś folwarczku i wszedł na los szczęścia. Nie było tam nikogo. Renzo zobaczył dużą szopę pełną siana z przystawioną do niej drabiną. Rozejrzał się przezornie dokoła, a potem wdrapał się na siano, ułożył wygodnie, zasnął i obudził się dopiero, kiedy dniało. Poczołgał się na brzuchu ku krawędzi swego rozległego łóża, wysunął głowę, a nie widząc nikogo zszedł tak, jak był wszedł, wy dostał się tą samą dziurą i ruszył przed siebie polnymi drózkami jako gwiazdę przewodnią mając widną z daleka katedrę. Po krótkim marszu stanął pod murami Mediolanu, pomiędzy Bramą Wschodnią a Bramą Nową, niedaleko tej ostatniej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Jeśli idzie o przedostanie się do miasta, Renzo ogólnikowo słyszał, że najsurowsze zakazy wzbraniają wpuszczania tam kogokolwiek bez świadectwa zdrowia; że jednak można się tam dostać bardzo łatwo, jeżeli ktoś jest jako tako zaradny i umie upatrzeć odpowiednią chwilę. Było tak rzeczywiście; pomijając przyczyny natury ogólnej, sprawiające, że w owych czasach zarządzenia rzadko kiedy były przestrzegane, oraz przyczyny specjalne, utrudniające wykonywanie tego właśnie rozkazu — Mediolan znajdował się w takim stanie, że nie wiadomo, od czego i po co miałyby się go bronić. Ludzi przybywających z zewnątrz można było raczej uważać za lekkomyślnych i nie troszczących się o własne zdrowie niż za niebezpieczeństwo zagrażające mieszkańcom.

Wiedząc o tym Renzo zamierzał wejść do miasta pierwszą bramą, na jaką się natknie, a gdyby natrafił tam na przeszkodę, iść wzdłuż murów i próbować dalej, dopóki nie znajdzie bramy bardziej dostępnej. Bogu tylko wiadomo, ile w wyobrażeniu Renza miało być tych bram w Mediolanie. Doszedłszy do murów zatrzymał się i rozejrzał dokoła, jak czynią ci, którzy nie wiedząc, w którą stronę im iść wypada, zdają się pytać otaczające przedmioty o wskazówki. Ale zarówno na prawo, jak i na lewo widział jedynie krzywe dróżki, przed sobą zaś szczyry mur. Nigdzie ani śladu żywej duszy; gdzieś tylko wznosił się spoza murów słup ciemnego, gęstego dymu, kłębiąc się i rozprzestrzeniając ku górze, a dalej niknąc w nieruchomym, szarawym przestworzu. To palono odzież, łóżka i inne zarażone sprzęty domowe. Takie ponure stopy płonęły nieustannie, nie tylko w tym miejscu, ale i w innych stronach miasta.

Dzień był pochmurny, powietrze ciężkie, niebo zaciągnięte jednolitą, nieruchomą powłoką mgły, która odbierając ludziom słońce nie obiecywała jednak deszczu. Ziemią dokoła częściowo nieuprawna, a wszędzie jałowa. Wszelka zieleń spłowiła i ani kropli rosy na przywiedłym, obwisłym listowiu. Ta pustka i cisza tak blisko wielkiego miasta wznagała jeszcze niepokój Renza i bardziej ponurymi czyniła jego myśli.

Postawszy chwilę zwrócił się na prawo na chybił trafił i poszedł nie wiedząc o tym w stronę Bramy Nowej. Nie mógł jej jeszcze zobaczyć, choć była niedaleko, ponieważ kryła ją baszta. Po chwili zaczął do niego dochodzić dźwięk dzwonek, raz po raz cichnący i rozlegający się na nowo, potem zaś i głosy ludzkie. Poszedł dalej; minawszy basztę zobaczył przede wszystkim drewnianą chatkę, a przed jej drzwiami wartownika wspartego na muszkiecie, w pozie niedbałej i znużonej. Za nim widać było ogrodzenie ze sztachet, jeszcze dalej bramę, czyli dwa murowane słupy z daszkiem chroniącym skrzydła przed deszczem. W tej chwili brama była szeroko otwarta, tak samo jak furtka w sztachetach. Ale w samym jej otworze widniała żalosna przeszkoda, nosze, na których dwóch monattów układało jakiegoś biedaka, aby go nieść do lazaretu. Był to główny celnik, u którego stwierdzono właśnie objawy dżumy. Renzo zatrzymał się czekając, jak się to skończy. Kiedy ruszyli w drogę, a nie zjawił się nikt, by zamknąć furtkę, Renzo pomyślał, że właściwa chwila nadeszła, i szybko postąpił naprzód. Widząc to wartownik krzyknął nań srogo:

— Hola!

Renzo zatrzymał się znowu, wydobył pół dukata i pokazał mu go. Strażnik, czy to, że przeszedł już dżumę, czy że strach przed nią nie był w nim tak silny, jak silne było upodobanie do półdukatów, skinął na Renza, żeby mu go rzucił. A kiedy pieniądz potoczył się do jego stóp, szepnął:

— Wchodźcie szybko.

Renzo nie dał sobie tego powtarzać dwa razy: przeszedł sztachety, bramę i ruszył dalej, przez nikogo nie zauważony. Dopiero kiedy oddalił się o jakie czterdzieści kroków, usłyszał za sobą wołanie któregoś z celników. Tym razem udał, że nie słyszy, i nie odwracając się przyspieszył kroku.

— Hola! — zawołał tamten ponownie, ale głosem, który

znamionował raczej zniecierpliwienie niż wolą zdobycia posłuchu; skoro go zaś nie posłuchano, wzruszył ramionami i wrócił do chaty, jako że bardziej mu zależało na tym, by się z obcymi wędrowcami nie stykać, niż na wypytywaniu o ich sprawy.

Ulica, którą szedł Renzo, prowadziła i prowadzi dotychczas wprost na brzeg kanału zwanego Naviglio; po obu jej stronach ciągnęły się żywopłoty i mury ogrodów, kościoły i klasztory, domów niewiele. Na końcu tej ulicy, a pośrodku drugiej, biegnącej wzdłuż kanału, wznosiła się kolumna, a na niej krzyż, zwany krzyżem. Św. Euzebiusza. Idąc ową ulicą ku kanałowi Renzo widział przed sobą tylko ten krzyż. Doszedłszy jednak na rozstaje dzielące ulicę mniej więcej na połowę, zobaczył po prawej strone na ulicy Św. Teresy mieszczanina idącego prosto ku niemu. „Nareszcie jakaś chrześcijańska dusza!” — powiedział sobie i skierował się w tę stronę w nadziei, że mu wskaże drogę. Tamten jednak widząc, że zbliża się ku niemu ktoś obcy, począł mu się podejrzliwie przyglądać, zwłaszcza kiedy zrozumiał, że ów obcy nie idzie sobie zwyczajnie w swoją stronę, ale najwyraźniej zmierza wprost ku niemu. Zbliżywszy się nieco Renzo zdjął kapelusz, jak przystało nieśmiało góralowi. Trzymając go w lewej ręce, prawą wsunął w główkę kapelusza i podszedł do nieznajomego jeszcze bliżej. Ale ów, tocząc strasznym wzrokiem, cofnął się o krok, uniósł w górę sękaty kij żelaznym ostrzem celując prosto w brzuch Renza i krzyknął:

— Precz! Precz! Precz!

— Ho, ho! — odrzyknął mu młodzieniec i nałożył kapelusz z powrotem na głowę; a że zgoła nie miał chęci, jak później opowiadał, wszczynać w owej chwili jakąś zwadę, odwrócił się plecami od tego dziwaka i ruszył swoją drogą, a raczej, mówiąc ściśle, tą, na której się przypadkowo znajdował.

Tamten ze swej strony oddalił się także oglądając się co chwila, cały drżący. Po powrocie do domu opowiedział, że próbował na niego napaść niecny „mazacz”; ruchy miał pokorne i łagodne, a twarz nikczemnego oszusta. Niósł pudełeczko mazi czy zawiniątko proszku (mieszczanin nie był zupełnie pewien, który z tych dwóch przedmiotów) ukryte wewnątrz kapelusza i byłby rzucił się na niego, gdyby go na czas nie odpędził.

— Gdyby się zbliżył jeszcze o krok — zakończył swoją opowieść — byłbym go nadział na mój kij, zanimby zdążył mi zaszkodzić, łotr nikczemny. Nieszczęście chciało, żeśmy byli w takiej odludnej okolicy; gdyby się to stało w środku miasta, zwołałbym ludzi i pomogliby mi go schwytać. To pewne, że miał to swoje paskudztwo w kapeluszu. Ale tak, sam na sam, musiałem zadowolić się tym, że go nastraszył, nie narażając się na nieszczęście. Proszkiem sypnąć — na to nie trzeba wiele' czasu. A już oni mają wprawę, zresztą, diabeł im sprzyja. Teraz krąży pewnie po mieście i kto wie, ile nieszczęścia przysporzy!

Do końca swoich dni, a przeżył ów mieszczanin jeszcze długie lata, ilekroć wspomniał kto o dżumie i „mazaczach”, opowiadał na nowo swoją przygodę, po czym dodawał:

— A ci, co gadają, że to nieprawda, niech przyjdą do mnie; musi się w to wierzyć, co się na własne oczy oglądało. Renzo nie mając pojęcia, czego szczęśliwym trafem uniknął, czując więcej złości niż strachu, szedł przed siebie i rozmyślał o tym przyjęciu, jakie go spotkało. Odgadł on mniej więcej, za kogo wziął go ów nieznajomy, ale że wydawało mu się to zupełnie bezsensowne, doszedł wreszcie do wniosku, że ów człowiek musiał być niespełna rozumu. „Kiepsko się zaczyna — pomyślał. — Widać zły jakiś los prześladowuje mnie w tym Mediolanie. Kiedy chcę wejść, wszystko układa się gładko; a jak już jestem w środku, czyhają na mnie same złe przygody. No, trudno; z boską pomocą... jeśli znajdę... jeśli uda mi się odnaleźć... ech, wszystko to furda.”

Doszedłszy do mostu, bez wahania skręcił w lewo, w ulicę Św. Marka; zdawało mu się bowiem, i słusznie, że musi ona prowadzić do śródmieścia. Idąc rozglądał się dokoła, szukając wzrokiem jakiejś ludzkiej istoty. Ale zobaczył jedynie rozkładającego się trupa w płytkim rowie (wtedy rowów było tam jeszcze mniej niż dzisiaj), biegnącym pomiędzy rzadkimi domami a ulicą. Przeszedłszy tę uliczkę usłyszał naraz wołanie:

— Hej, człowieku!

Spojrzał w tę stronę i dostrzegł niedaleko na małym tarasie stojącego na uboczu domku jakąś biedną kobietę z całą gromadką dzieci dokoła. Nie przestawała wołać go, dając równocześnie znaki ręką. Pobiegł tam co prędzej.

— O, młodzieńcze — odezwała się kobieta, kiedy był już blisko — uczynicie to dla zbawienia duszy waszych drogich zmarłych, okażcie nam miłosierdzie i powiadomcie komisarza, żeśmy tu zostali zapomniani. Zamknęli nas w domu jako podejrzanych, bo mój biedny mąż umarł. Zabili ćwiekami drzwi, jak sami widzicie. Od wczoraj rana nikt nie przyniósł nam nic do jedzenia; przez tyle godzin, co tu jesteśmy zamknięci, ani żywej duszy nie widziałam, nikogo, kto by nas poratował! A te biedne niewiniątka giną mi z głodu.

— Z głodu! — wykrzyknął Renzo. Wsunął ręce do kieszeni i wyciągnął swoje dwa chleby. — Macie tu, macie! — mówił. — Spuście mi coś, żebym to mógł włożyć.

— Bóg wam to policzy. Zaczekajcie chwilkę — rzekła kobieta. Przyniosła koszyk i sznurek i spuściła go na dół. A Renzowi przypomniały się tamte chleby, które znalazł pod krzyżem, kiedy pierwszy raz. przyszedł do Mediolanu; pomyślał: „Otóż je teraz oddaję; lepiej nawet, niż gdybym wtedy oddał właścicielowi, bo tutaj miłosierdzie naprawdę jest potrzebne.”

— Co się tyczy komisarza — mówił umieszczając chleby w koszyku — to nie na wiele wam się przydam, dobra kobieto. Bo prawdę mówiąc jestem tu obcy i nie wiem, jak się w tym mieście obracać. Ale niech jeno spotkam kogoś tutejszego, a pocziwego, do kogo mógłbym się odezwać, to mu o was powiem.

Kobieta poprosiła go, żeby tak właśnie zrobił, i powiedziała mu nazwę ulicy, żeby mógł ją wskazać.

— Ale i wy — powiedział Renzo — możecie mi pewnie oddać przysługę, wyświadczyć mi prawdziwą łaskę bez żadnego trudu. Czy możecie mi rzec, gdzie tu jest w Mediolanie dom jednych wielkich państwa, co się nazywają ?

— Wiem, że jest taki dom — odpowiedziała kobieta — ale gdzie on jest, tego nie wiem. Idźcie w tę stronę, pewnie wnet kogoś spotkacie, co was objaśni. A nie zapomnijcie mu powiedzieć i o nas.

— Bądźcie spokojni — rzekł Renzo odchodząc. Z każdym krokiem wyraźniej słyszał jakiś odległy szum, który już podczas rozmowy z ową niewiastą dobiegał jego uszu: daleki skrzyp kół, odgłos kopyt końskich, dźwięk dzwon

ków, od czasu do czasu świst bicia i krzyki. Spoglądał w tym kierunku, ale nie widział nic. Kiedy doszedł do końca ulicy wychodzącej na plac Św. Marka, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, były dwa pionowe słupy z przeciągniętą liną i jakimiś kółkami. Bez trudu rozpoznał (był to bowiem w owych czasach częsty widok) nienawistną machinę do tortur. Ustawiono ją w tym miejscu — i nie tylko w tym, ale na wszystkich placach i rozległej szyc ulicach — aby komisarze wyznaczeni dla każdej dzielnicy i obdarzeni nieograniczoną władzą mogli doraźnie karać każdego, kto według nich na karę zasłużył: izolowanych, którzy opuściliby samowolnie dom, podwładnych nie wykonujących rozkazów swych zwierzchników czy kogokolwiek innego. Był to jeden z tych sposobów równie gwałtownych, jak mało skutecznych, jakimi w owej epoce, a zwłaszcza w tym momencie, nadmiernie szafowano. Kiedy Renzo stał tak przyglądając się owej machinie i rozmyślając, po co ją też w tym miejscu ustawiono, ów daleki zgiełk coraz bardziej się przybliżał, aż wreszcie spoza kościoła ukazał się jakiś człowiek potrząsający dzwonkiem. Był to ostrzegacz; za nim z trudem postępowały dwa konie wyciągając ku przodowi zmęczone szyje i mozolnie stawiając nogi. Ciągnęły one wóz umarłych, za którym ukazał się drugi, potem trzeci, czwarty... Po obu stronach szli przy koniach monatti, popędzając je biciem, szturchańcami i przekleństwami. Zwłoki na wozach były przeważnie nagie, niektóre owinięte w jakieś łachmany, rzucone jedne na drugie i splecione jak kłębowisko węzłów rozluźniające się powoli w wiosennym cieple; na każdym wyboju, przy każdym wstrząsie ponure te stopy rozlatywały się, chwiały się głowy i powiewały na wietrze długie dziewczęce włosy, zwisające ramiona uderzały o koła ukazując oczom, i tak już przerażonym, cały bezmiar grozy, jaki może mieścić w sobie podobny widok.

Młodzieniec przystanął na rogu placu obok służy na kanale i modlił się przez chwilę za tych nie znanych mu zmarłych. Okrutna myśl przemknęła mu przez głowę: „A może tam, wśród nich, pod spodem... O Boże miłosierny! Spraw, by to nie było prawdą! Spraw, bym mógł o tym nie myśleć!”

Kiedy żalobny kondukt przeszedł, Renzo przeciął plac

idąc wzdłuż kanału na lewo; kierunek ten wybrał dlatego tylko, że konwój oddalał się w przeciwną stronę. Uszedłszy parę kroków pomiędzy bokiem kościoła a kanałem, zobaczył na prawo most Marcellino; minął go i wyszedł na Borgo Nuovo. Rozglądając się wciąż w nadziei znalezienia kogoś, kto by mu wskazał drogę, zobaczył w głębi uliczki księdza

w krótkim kaftanie i z laską w ręku. Stał on przed nie domkniętymi drzwiami z pochyloną głową i uchem przysuniętym do szpary; po chwili podniósł dłoń gestem błogosławieństwa. Renzo pomyślał, i słusznie, że ksiądz ten słucha czyjejś spowiedzi. „Oto człowiek, jakiego mi potrzeba — powiedział sobie w duchu. — Jeżeli ksiądz w chwili pełnienia kapłańskich obowiązków nie miał trochę litości, miłości bliźniego i dobrych chęci, to już trzeba by rzec, że nigdzie ich na tym świecie nie ma.”

Tymczasem ksiądz odszedł od drzwi i zbliżał się ku Renzowi trzymając się z wielką ostrożnością środka ulicy. Kiedy się zrównali, Renzo zdjął kapelusz i dał mu gestem do poznania, że pragnie z nim pomówić. Równocześnie zatrzymał się w miejscu, aby tamten zrozumiał, że bliżej podchodzić doń nie zamierza. Ksiądz przystanął także gotów wysłuchać, wbił tylko przed sobą w ziemię swoją laskę, jak gdyby chciał z niej utworzyć obronny bastion. Renzo wypowiedział swoje pytanie, a ksiądz udzielił mu obszernych wskazówek. Nie tylko powiedział nazwę ulicy, przy której dom ów się znajdował, ale widząc, że biedaczek tego potrzebuje, objaśnił szczegółowo o wszystkich zakrętach, przecznicach, kościołach, krzyżach itp., jakie miał minąć, stamtąd bowiem było jakie sześć czy osiem ulic do celu podróży.

— Bóg niechaj waszą wielebność zachowa w zdrowiu w tym ciężkim czasie i zawsze — rzekł Renzo. A kiedy ksiądz zbierał się do odejścia, dodał: — Jeszcze jeden czyn miłosierny — i opowiedział o nieszczęsnej, zapomnianej w zamknięciu kobiecie. Ksiądz podziękował mu za tę sposobność przyjścia z pomocą tak bardzo jej potrzebującym i odszedł mówiąc, że zaraz zawiadomi, kogo należy. Renzo ruszył także we wskazanym kierunku i po drodze usiłował powtórzyć sobie w myśli marszrutę, żeby nie pytać o drogę na każdym zakręcie. Przychodziło mu to jednak z trudnością, i to nie dlatego, żeby go pamięć zawodziła, ale że w duszy jego powstał nowy zamęt. Usłyszana nazwa ulicy,

wskazówki co do drogi — wszystko to wyprowadziło Renza z równowagi. Szukał tej wiadomości, pragnął ją uzyskać i nie mógł się bez niej obejść, nie usłyszał też nic takiego, co mógłby poczytać za złą wróżbę; ale cóż chcecie? Myśl trochę bardziej skryzalizowana o bliskiej już chwili, w której skończy się straszna niepewność, w której miał usłyszeć słowo „żyje” albo słowo „umarła”, wstrząsnęła nim tak silnie, że byłby w owej chwili wolał trwać jeszcze dalej w zupełnej niewiedzy, być jeszcze u początku tej drogi, której kres widział już przed sobą. Zebrał jednak siły i powiedział sobie: „Hola! Jeżeli zacznę teraz robić z siebie dzieciaka, co będzie dalej?” Otrząsnął się, jak mógł, ze swoich lęków i ruszył dalej zagłębiając się coraz bardziej w miasto.

Cóż to było za miasto! Czymże był, w porównaniu z obecnym, jego stan z ubiegłego roku, z okresu głodowego! Renzo miał właśnie do przejścia jedną z najbrudniejszych i najbardziej opuszczonych dzielnic. Dotarł do skrzyżowania ulic, zwanego carrobio Bramy Nowej (był tam wówczas pośrodku krzyż, a naprzeciw niego, obok tego miejsca, gdzie obecnie stoi kościół Św. Franciszka z Paoli, znajdował się stary kościółek pod wezwaniem Św. Anastazji). W tej okolicy zaraza srożyła się tak bardzo, a pozostawione wszędzie trupy wydawały tak straszny fetor, że i ci nieliczni, którzy pozostali przy życiu, musieli stamtąd uciekać. Ślady i pozostałości niedawnego zamieszkania wzmagały jeszcze smutne wrażenie, jakie ta pustka i opuszczenie sprawiały na rzadkich przechodniach. Renzo przyspieszył kroku tłumacząc sobie dla nabrania otuchy, że cel jego wędrówki jest jeszcze dość daleki i że zanim tam dotrze, widok na pewno zmieni się na lepsze. I rzeczywiście wkrótce znalazł się w okolicy, która już trochę bardziej podobna była do miasta żywych ludzi. Ale jakież to było miasto i jacy ludzie! Podejrzliwość i strach sprawiały, że wszystkie drzwi od ulicy były pozamykane; drzwi otwarte znamionowały dom opustoszały albo splądrowany. Były też drzwi zabite gwoździami i opieczętowane — drzwi domów, w których ktoś umarł lub chorował na dżumę. Na innych widniał nakreślony węglem krzyż jako znak dla monattów, że są tam trupy do zabrania. Wszystko to nie uporządkowane, przypadkowe, zależnie od tego, czy znalazł się tam właśnie komisarz Urzędu Zdro

wia, skłonny wypełniać zarządzenia swojej zwierzchności, czy też taki, który wolał tylko dręczyć ludność. Wszędzie widać było łachmany i bardziej od łachmanów odpychające wiązki zbutwiałej i zapowietrzzonej słomy, prześcieradła powyrzucane przez okna, niekiedy zwłoki czy to nagłe zmarłych na ulicy osób i zostawione tam w oczekiwaniu wozu, który by je zabrał, czy też takie, które spadły z wozów lub nawet zostały wyrzucone przez okna: do takiego bowiem zdziczenia i podeptania wszelkich uczuć, wszelkich względów społecznych doprowadziła ludzi okropna srogość i uporczywość zarazy. Umilkł zwykły gwar sklepów, odgłos pojazdów, nawoływanie sprzedawców, rozmowy przechodniów. Rzadko kiedy tę ciszę śmierci przerywał odgłos inny niż skrzypienie wozów grabarzy, lamenty nieszczęśliwych, jęki chorych, wycie szaleńców, krzyki monattów. Rankiem, w południe i wieczorem dzwon katedralny wzywał do specjalnych modłów nakazanych przez arcybiskupa. Dzwony pozostałych kościołów odzywały się do wtóru. W oknach ukazywały się w owych chwilach twarze ludzi chcących uczestniczyć we wspólnej modlitwie. Słychać było szmer głosów i jęki, w których jednakże prócz żalości dawała się odczuć odrobina nadziei. W tym czasie około dwóch trzecich mieszkańców wymarło, znaczna część pozostałych rozproszyła się albo leżała chora, z zewnątrz nie przybywał do miasta nikt prawie; pośród tych nielicznych, jakich spotkać można było na ulicach, nie było bodaj żadnego, którego wygląd nie nosiłby na sobie jakiegoś szczególnego piętna; nie znamionował bolesnych jakichś przemian. Widziało się znanych i zamożnych mężczyzn bez płaszcza czy peleryny, które stanowiły w owych czasach najniezbędniejszy element męskiego stroju; księży bez sutanny, nawet mnichów odzianych w świeckie kaftany; zarzucono, jednym słowem, wszelkie stroje obszerne i długie, mogące łatwo czegoś dotknąć, o coś się otrzeć lub dać (czego się lękano najwięcej) dogodną sposobność „mazaczom”. Poza tą jedyną troską, żeby być ubranym możliwie wąsko i kuso, panowało powszechne zaniedbanie i zobojętnienie na wygląd zewnętrzny. Ci, którzy z dawna nosili brody, mieli je teraz długie i niechlujne; ci zaś, którzy zazwyczaj golili się gładko, teraz chodzili zarośnięci. Również i włosy na głowie noszono długie i zmierzwione, nie tylko przez niedbalstwo,

ale i dlatego, że golarze i fryzjerzy byli w podejrzeniu od czasu, kiedy uwięziono i skazano jako groźnego „mazacza” jednego z nich, Giangiacoma Mora. Imię to przez długi czas otaczała nienawiść i niesława — zasługiwałoby raczej na wieczną i powszechną litość. Prawie każdy przechodzień dzierżył w ręku kij, niektórzy nawet pistolety jako groźne ostrzeżenie dla każdego, kto zechciałby się zaudać przybliżyć. W drugiej ręce trzymano jakieś wonne gałki lub drewniane czy metalowe kule z otworami, mieszczące wewnątrz gąbki przesycone odkażającym octem; raz po raz przytykano je do nosa albo nawet trzymano je przy nim stale. Niektórzy nosili zawieszony na szyi flakonik z odrobiną żywego srebra, wierząc w jego właściwość pochłaniania i niszczenia zaraźliwych wyziewów. Zmieniali je też pieczołowicie co kilka dni na nowe. Ludzie stanu szlacheckiego nie tylko wychodzili bez zwykłego orszaku, ale widywano ich nawet, jak z torbą na ramieniu szli kupować niezbędną żywność. Jeśli na ulicy spotkało się dwóch przyjaciół, wymieniali z daleka ukłony i trwożliwe znaki. Idąc, każdy zajęty był bardzo omijaniem odrażających i śmiercionośnych odpadków pokrywających ulice, gdziekolwiek nawet leżących całymi stosami. Każdy starał się trzymać środka ulicy w obawie przed innymi nieczystościami czy jeszcze bardziej ponurymi przedmiotami, jakie mogłyby na niego spaść z okien; bano się zwłaszcza proszków trujących, które jakoby rzucano często z okien na przechodniów; bano się także murów, które mogły być przecież pomazane. Tak to ciemnota, odważna i przewidująca w najgłębszy sposób, dodawała do jednych udręk inne, zaszczepiała fałszywe lęki w miejsce słusznych obaw i pożytecznej rozważki, które od samego początku zdołała zniszczyć. Tak wyglądało to, co było najmniej przerażające i litości godne — ci zdrowi, ci najhojniej obdarzeni. Po tylu obrazach niedoli, mając przed sobą obrazy jeszcze żałośniejsze, przez które będziemy zmuszeni przeprowadzić naszych czytelników, nie chcemy zatrzymywać się teraz przy opisywaniu zadumionych, wlokących się ulicami lub leżących na

nich nieszczęśliwych dzieci i kobiet. Był to widok taki, że patrzącemu ulgę niemal sprawiała świadomość tego, co dalekim i potomnym wydaje się najbardziej wstrząsające — że tych żywych pozostało tak niewiele.

Pogrążony w bolesnych myślach Renzo uszedł już sporą część swojej drogi, kiedy usłyszał dochodzący z ulicy, w którą miał za chwilę skręcić, zmieszany zgiełk i odróżniający się w nim dobrze już znany nienawistny dźwięk . dzwonek. Stanąwszy na rogu tej ulicy, jednej z najszerszych, zobaczył cztery stojące szeregiem wozy; dokoła widać było kręcących się ludzi, niby na targu zbożowym, gdzie ładują na wozy lub zdejmują z nich ciężkie worki: to monatti wchodzili do domów i wychodzili z nich dźwigając na plecach ciężary i składając je na wozach. Jedni mieli przepisowe czerwone ubiory, inni nie nosili żadnego szczególnego znaku, jeszcze inni mieli jako oznakę swej funkcji wiązki różnokolorowych gałganów; odrażająco wyglądała ta niby wesoła ozdoba, noszona przez tych nieszczęśników pośród powszechnej żałoby. Raz po raz rozlegało się z jakiegoś okna posępne wołanie: „Tutaj, monatti!” I jeszcze bardziej ponuro brzmiała odpowiedź rzucana pośród tego żalosego zgiełku: „Idziemy, idziemy!” Czasem mieszkańcy domów niecierpliwili się i nawoływali do pośpiechu, a monatti odpowiadali na to przekleństwami.

Wszedłszy w ulicę Renzo przyspieszył kroku, starając się nie patrzeć na całe to zamieszanie, chyba tylko tyle, ile było trzeba, by się w nie nie zaplątać; nagle jednak zobaczył coś, co wzbudziło w nim szczególną litość i przyciągało jego wzrok tak nieodparcie, że zatrzymał się niemal bezwiednie i patrzył.

W progu jednego z domów ukazała się i szła w stronę wozów jakaś kobieta, której wygląd znamionował młodość dojrzałą już, ale jeszcze nie minioną; uroda jej była jakby przyćmiona, nie zniszczona jednak wielkim cierpieniem, śmiertelną chorobą; była to owa uroda łagodna i dostojna zarazem, jaka wykwita często z krwi lombardzkiej. Chód jej był znużony, ale pewny; oczy były suche, ale nosiły ślady wielu przelanych łez. Był w tym jej bólu jakiś niezmienny, głęboki spokój, znamionujący duszę, która przeżywa swe cierpienie z pełną świadomością. Ale nie tylko jej wygląd był tym, co pośród tego ogromu niedoli jedna jej współczucie ludzi i budziło w zobojętniałych już na wszystko sercach żywą litość. Niosła ona w ramionach umarłą dziewczynkę, może dziewięcioletnią. Dziecko było starannie ubrane, włosy miało rozdzielone nad czołem

i troskliwie uczesane, bielutką sukienkę, jak gdyby te kochające ręce przystroiły ją na jakąś uroczystość, z dawną obiecaną w nagrodę. Dziewczynka nie leżała w ramionach matki, ale siedziała wyprostowana, piersią oparta o jej pierś, jak żywa. Jedyne tylko blade jak wosk rączka zwiśla bezwładnie i ciężko i główka chyliła się na matczyne ramię niżej niż we śnie. I gdyby nawet nie było takiego podobieństwa w rysach obu tych twarzy, sam wyraz tej z nich, która mogła jeszcze doznawać uczuć, świadczył niezbicie, że jest to matka i jej dziecko.

Tępy monatto podszedł, by zabrać od niej dziecko; wyciągnął ręce jakoś niezwykle delikatnie, z mimowolnym wahaniem. Kobieta cofnęła się, nie okazując jednak wcale pogardy ani wstrętu.

— Nie — rzekła. — Nie ruszajcie jej jeszcze; sama muszę ją na tym wozie ułożyć. Weźcie to — to mówiąc otworzyła dłoń ukazując sakiewkę, którą upuściła na wyciągniętą dłoń monatta. — Przyrzeknijcie mi — powiedziała — że ani jednej niteczki z niej nie zdejmiecie, a jeśli by kto inny ważył się na to, to mu wzbronicie i pogrzebiecie ją tak, jak jest.

Monatto przyłożył rękę do piersi, a potem gorliwie i z niezwykłym szacunkiem zakrzętnął się, by zrobić na wozie trochę miejsca dla małej zmarłej. I może nie tyle przyczyniła się do tego niespodziewana zapłata, ile nowe zupełnie uczucie, jakie nim owładnęło. Matka ucałowała czoło dziewczynki, ułożyła ją jak na łóżku, troskliwie okryła białym prześcieradłem i powiedziała:

— Żegnaj, Cecilio! Spoczywaj w spokoju! Dziś wieczór przyjdziemy do ciebie i zostaniemy już na zawsze razem. Tymczasem módl się za nas, jak ja modlić się będę za ciebie i za innych. — Po czym zwróciła się znowu do monatta, mówiąc: — A wy, jak będziecie przejeżdżać tędy pod wieczór, wejdźcie na górę; zabierzecie mnie i nie tylko mnie. Zawróciła ku domowi i po chwili ukazała się w oknie, trzymając w ramionach drugą, młodszą dziewczynkę, żywą, ale naznaczoną już stygmatem śmierci na twarzyczce. Stała tak patrząc na ów nędzny pogrzeb starszej córki, dopóki wóz nie ruszył i nie zniknął jej z oczu. Potem odeszła od okna. Cóż bowiem mogła zrobić innego niż "ułożyć na łóżku jedyne dziecko, jakie jej pozostało, i położyć się obok, by wspólnie czekać śmierci? Tak kwiat

w pełnym rozkwicie pada wraz ze stulonym jeszcze pączkiem pod ostrzem kosy, co wszelkie ziele łąkowe na równi ścina.

— O Boże! — wykrzyknął Renzo. — Wysłuchaj jej! Zabierz ją do siebie, ją i jej małą dziecinę! Dosyć się nacierpiaty! Dosyć się nacierpiaty!

Przyszedłszy nieco do siebie po wzruszeniu, jakie go ogarnęło, Renzo zaczął przypominać sobie otrzymane wskazówki i zastanawiał się właśnie, czy na najbliższym skrzyżowaniu powinien skrócić, a jeśli tak, to w prawo czy w lewo, kiedy nagle usłyszał nowy, a odmienny od poprzedniego hałas, zmieszany szmer gniewnych pokrzykiwań żalonych lamentów, płaczu kobiet i kwilenia dzieci.

Ruszył przed siebie, przygotowany na nowy jakiś, żalony i ponury widok. Stanąwszy na skrzyżowaniu zobaczył zbliżający się bezładny tłum ludzi i zatrzymał się, by go przepuścić. Byli to chorzy, których prowadzono do lazaretu. Niektórzy z nich, ciągnięci przemocą, opierali się, na próżno wołając, że chcą umrzeć na własnych łózkach, i na próżno odpowiadali przekleństwami na wymyślenia i rozkazy prowadzących ich monattów. Inni szli w milczeniu nie przejawiając ani bólu, ani żadnego zgoła uczucia, jakby byli nieprzytomni. Szły kobiety z niemowlętami w ramionach, szły starsze dzieci, bardziej wystraszone krzykiem, rozkazami, tym tłumem, co ich otaczał, niż niejasną myślą o śmierci; zawodziły głośno, tęskniąc do bezpiecznych ramion matczynych i do swoich domów. A kto wie, czy matka, którą zostawiły w domu i o której sądziły, że śpi, nie rzuciła się na łóżko, nagle pochwycona w szpony dżumy? Czy nie leży bez zmysłów, czy nie będzie tak leżała, dopóki nie rzucają jej na wóz, by zawieźć do lazaretu albo — jeżeli wóz pojawi się trochę później — do wspólnego dołu? Czy może — o niedolo ze wszystkich najbardziej gorzka — matka ta, zmożona własnym cierpieniem, zapomniała o wszystkim innym, nawet o dzieciach, mając już tylko tę jedną jedyną myśl: umrzeć w spokoju.

Jednak i w tym zamęciu i rozpaczynie znaleźć można było przykłady męstwa i przywiązania: ojców, matki, braci, synów i małżonków, którzy podtrzymywali troskliwie swoich bliskich krzepiąc ich dobrym słowem; nie tylko dorośli, ale mali chłopcy i dziewczęta prowadzili za rączki młodsze rodzeństwo i rozsądnie, a współczująco upominali

je, żeby były posłuszne, i zapewniali, że idą w takie miejsce, gdzie się nimi ktoś zaopiekuje i wyleczy.

Wśród tych smutnych i wzruszających widoków jedna myśl utrzymywała naszego wędrowca w nieustającym podnieceniu i niepokoju. Oto dom, którego szukał, musiał być gdzieś w pobliżu i kto wie, czy pomiędzy tymi ludźmi... Ale kiedy tłum minął go i pierzchła jego rozterka, zwrócił się do idącego na końcu monatta i zapytał go o ulicę i dom don Ferranta,

— U diabła w piekle, durniu! — usłyszał odpowiedź. Nie chciało mu się odpowiedzieć z kolei tamtemu, tak jak na to zasługiwał; natomiast widząc w pobliżu komisarza dozorującego cały konwój, a obdarzonego twarzą nieco bardziej do człowieka podobną, zwrócił się z tym samym pytaniem do niego. Ów wskazał kijem w stronę, z której właśnie przyszedł, i rzekł:

— Pierwsza ulica na prawo, ostatni duży dom po lewej stronie.

Młodzieniec ruszył we wskazanym kierunku czując w sercu nowy, jeszcze silniejszy niepokój. Oto już ta ulica; bez trudu rozpoznał dom otoczony dokoła niższymi i biedniejszymi budynkami. Podeszedł do drzwi; były zamknięte.

Wyciągnął rękę do kołatki i trzymał ją przez chwilę uniesioną w górę, jakby zagłębić miał rękę w urnę i wyciągnąć gałkę oznaczającą dłoń życie albo śmierć. Wreszcie podniósł kołatkę — i śmiało zastukał. Po chwili uchyliło się w górze okno; wyjrzała jakaś kobieta, by zobaczyć, kto stuka. Twarz jej miała wyraz podejrzliwy; zdawała się pytać: „Monatti? Włóczędzy? Komisarze? «Mazacze»? Czy diabli?”

— Pani — odezwał się Renzo niezbyt pewnym głosem, zadzierając głowę do góry — czy jest tu na służbie pewna dziewczyna ze wsi, zowie się Lucja?

— Już jej tu nie ma; idźcie sobie — odrzekła kobieta i uczyniła ruch, jakby chciała zamknąć okno.

— Chwileczkę, na miłość Boga! Nie ma jej tu? Gdzież tedy jest?

— W lazarecie.

I znowu okno zaczęło się zamykać.

— Ależ, chwileczkę! Na miłosierdzie boskie! Czy chora?

— Pewnie! Nie dziwota! Idźcie sobie.

— O, ja nieszczęsny! Zaczekajcież, pani! Bardzo była chora? Jak dawno?...

Ale teraz okno zamknęło się naprawdę.

— Pani! Pani! Jeszcze słówko! Miejcież zmiłowanie! Pomyślcie o waszych zmarłych! Toć niczego od was nie chcę!... Ale przemawiał jakby do ściany.

Zmartwiony tą wiadomością i wściekły, że go tak potraktowano, Renzo przywarł do drzwi, uchwycił ponownie kołatkę i ścisnął ją, i szarpał; to chciał uderzyć nią rozpaczliwie, to znów trzymał uniesioną, trwając w rozterce. Odwrócił się i rozejrzał, czy nie dostrzeże kogoś z sąsiadów, kto mógłby mu udzielić bliższych wyjaśnień, dać jakąś wskazówkę, rzucić jakieś światło. Ale pierwszą i jedyną osobą, jaką zobaczył, była stojąca w odległości dwudziestu może kroków kobieta. Na twarzy jej malowało się przerażenie, nienawiść, zniecierpliwienie i złośliwość, oczy jej biegały niespokojnie, jakby chciała rozejrzeć się dokoła nie spuszczać przy tym Renza z oka. Otworzyła usta jak do głośniego krzyku, zarazem jednak jak gdyby wstrzymała oddech, uniosła w górę wychudłe ramiona, to wyprostowując, to kurcząc sękatę, do szponów podobne palce, jakby chciała nimi coś pochwycić. Najwidoczniej chciała zwoływać ludzi, ale tak, by tego ktoś nie zauważył. Kiedy wzrok jej napotkał spojrzenie Renza, stała się nagle jeszcze brzydsza i wstrząsnęła się jak osoba zaskoczona znienacka.

— Co u diabła? — odezwał się Renzo, również wyciągając rękę w jej kierunku.

Ale ona widząc, że nie uda się go pochwycić niespodzianie, wyrzuciła z piersi ów krzyk, który przedtem powstrzymała:

— „Mazacz"! Łapać, łapać, łapać „mazacza"!

— Kogo? Mnie? Ach, wiedźmo kłamliwa! Milcz! — wrzasnął Renzo. Skoczył ku niej, chcąc ją przestraszyć zmusić do milczenia. Ale wnet spostrzegł, że raczej o sobie samym powinien myśleć. Na krzyk starej zewsząd zaczęli się zbiegać ludzie. Nie byłoby tłum, jaki zebraliby się w podobnym wypadku jeszcze trzy miesiące przedtem. Ale aż nadto., by z jednym samotnym człowiekiem zrobić, co tylko by zechcieli. Równocześnie okno otworzyło się ponownie, ukazała się ta sama nieuprzejma kobieta, krzycząc:

— Biercie go, bierzcie! To ani chybi jeden z tych lajdaków, co krążą i smarują drzwi uczciwych ludzi!

Renzo nie namyślał się dłużej: uważał, że rozsądniej będzie drapnąć stamtąd jak najprędzej niż zostać i wykladać tym ludziom swoje racje. Rzucił okiem w prawo, w lewo i pomknął w tę stronę, gdzie widział mniej ludzi. Silnym ciosem uwolnił się od kogoś, kto mu zastępował drogę, innego, który nadbiegał z boku, pchnął w pierś tak, że tamten zatoczył się w tył z osiem lub dziesięć kroków i rzucił się pędem przed siebie z pięściami zaciśniętymi, zwarty w sobie, najeżony, gotów pozbyć się każdego, kto by mu się zaplątał pod nogi. Ulica przed nim była wciąż pusta, ale za plecami słyszał tupot i głośniejsze od tupotu okrutne krzyki:

— Łapać! Łapać! Na „mazacza”!

Nie wiedział, jak długo mogą tak pędzić, nie wiedział, gdzie mógłby się schronić. Gniew zmienił się we wściekłość, niepokój w rozpacz. Zrobiło mu się ciemno w oczach: uchwycił nóż, wyszarpnął z pochwy, zatrzymał się nagle i odwrócił, ukazując goniącemu go twarz tak ponurą i złą, jakiej nie miał do tej pory nigdy w życiu. Wyciągnął ramię i wymachując w powietrzu błyszczącym ostrzem krzyknął:

— Kto się nie boi, niech wychodzi naprzód, hołoto! Pomażę go naprawdę tym nożem!

Ze zdumieniem i niejaką ulgą zobaczył, że jego prześladowcy zatrzymali się; stali jakoś niezdecydowanie i choć nie przestawali krzyczeć, rękami wykonywali w powietrzu jakieś dziwne, opętańcze gesty, jakby dawali znaki komuś za jego plecami. Odwrócił się znowu i ujrzał coś, czego przedtem w podnieceniu nie zauważył — zbliżający się wóz, a raczej cały sznur zwykłych żałobnych wozów z taką jak zawsze eskortą. A z tyłu, w pewnej za nimi odległości, inna gromadka ludzi, którzy także radzi byliby rozprawić się z „mazaczem”, ując go w kleszcze; ale powstrzymywały ich te właśnie wozy. Widząc się wziętym w dwa ognie Renzo pomyślał, że to, co przeraża tych ludzi, dla niego może stanowić ocalenie. Nie była to pora na wybieranie i wstręty; wsunął nóż w pochwę, uskoczył w bok i wziął rozpęd w kierunku wozów. Przebiegł obok pierwszego, na drugim dojrzał kawałek wolnego miejsca. Nastawił się,

skoczył i znalazł się prawą nogą na wozie, z lewą uniesioną w powietrzu, z rozpostartymi ramionami.

— Brawo! Brawo! — wykrzyknęli jednym głosem monatti, z których jedni szli w konwoju pieszo, inni siedzieli na wozach, jeszcze inni, choć trudno wypowiedzieć taką ohydę, siedzieli na trupach, pociągając z ogromnej, krążącej wkoło flaszki.

— Brawo! Piękny skok!

— Przyszedłeś oddać się w opiekę monattom; to tak, jakbyś był w kościele — powiedział jeden z dwóch jadących na wozie, na który Renzo wskoczył.

Większość prześladowców za zbliżaniem się wozów odwróciła się i odeszła, nie przestając zresztą nawoływać:

— Łapać! Łapać „mazacza”!

Niektórzy ociągali się z odejściem, przystawali, odwracali się ku Renzowi, grożąc mu głosem i gestami. On zaś odpowiadał im z wozu wymachiwaniem pięści w powietrzu.

— Czekaj, zostaw to mnie — rzekł jeden z monattów. I zerwawszy z jakiegoś trupa ohydny strzęp materii związał go w supeł, uniósł w górę ukazując go tym najbardziej upartym i czyniąc taki ruch, jakby chciał go wyrzucić jak z procy pomiędzy nich. — Czekajcie, hołoto! — wykrzyknął.

Na to cofnęli się wszyscy, przejęci trwogą, i uciekli w popłochu, tak że Renzo widział już tylko plecy nieprzyjaciół i ich podeszwy migające szybko niby tłuczki w maszynie do, ubijania sukna.

Wśród monattów rozległ się wrzask tryumfu; huraganowe wybuchy śmiechu, długotrwałe „uuu!” towarzyszyły tej ucieczce.

— Cha, cha! No i co, nie potrafimy może bronić zacnych ludzi? — zagadnął Renza ów monatto. — Jeden z nas wart jest więcej niż setka takich tchórzów.

— Śmiało rzec mogę, że wam winien życie — odparł Renzo — i dziękuję wam z całego serca.

— Nie ma za co — powiedział tamten. — Wart jesteś tego. Widać zaraz, żeś zuch. Dobrze robisz, że smarujesz tę hołotę. Smaruj, tę ich, bo jeśli są coś warci, to jeno po śmierci. W nagrodę za to, co. robimy, wyklinają nas i powiadają, że niech no się tylko pomór skończy, to wszystkich nas powywieszają. Skoro tak, to trzeba z nimi

skończyć, zanim się skończy zaraza. Zostaną sami monatti, będą się radować zwycięstwem i hulać po Mediolanie.

— Niech żyje pomór, niech wymiera hołota! — wykrzyknął drugi. Po tym toaście przytknął flaszę do ust i pociągnął dobrze, przytrzymując ją obiema rękami wśród chybotań wozu. Następnie podał flaszę Renzowi mówiąc: — Napij się za nasze zdrowie.

— Życzę wam wszystkim zdrowia całym sercem — rzekł Renzo. — Ale pić mi się nie chce. Po prostu nie mam chęci na picie w tej chwili.

— Ba, najadłeś się strachu niezgorzej, widzi mi się — rzekł monatto. — Wyglądasz mi na biednego człeka; „mazaczowi” inna twarz potrzebna.

— Każdy radzi sobie, jak potrafi — rzekł drugi.

— Daj no ją mnie — odezwał się jeden z tych, którzy szli obok wozu piechotą. — Chętnie pociągnę z niej jeszcze łyk za zdrowie jej właściciela, który przebywa ot tam, w tej pięknej kompanii... tam właśnie, widzi mi się, w tej wspańskiej karocy...

Z twarzą wykrzywioną okrutnym szyderstwem wskazał wóz poprzedzający ten, na którym stał biedny Renzo. Potem, przybierając wyraz powagi jeszcze bardziej fałszywy i szelmowski, złożył w tamtą stronę głęboki ukłon i ciągnął dalej:

— Czy pozwolicie, dostojny panie, by nędzny monatto pokosztował czegoś z waszej piwnicy? Raczcie posłuchać, panie, każdy żyje po swojemu: my to właśnie zapakowaliśmy was, dostojny panie, do karocy, by was powieźć na wiejskie wywczasy... zresztą możliwym panom wino często szkodzi; biedni monatti mają twardsze żołądki.

Wśród gromkiego śmiechu kompanów ujął flaszę, podniósł ją w górę, ale nim przytknął do ust, odwrócił się do Renza i przypatrzył mu się ze wzgardliwym nieco politowaniem:

— Młody jeszcze musi być ten diabeł, któremuś się zaprzedał, boć gdyby nie my, nie bardzo by cię on uratował.

I wśród nowego wybuchu śmiechu kompanów przypiął się ustami do flaszki.

— A my? Hola! A my? — ozwały się głosy z przedniego wozu.

Pijus, ożłopawszy się do woli, oburącz podał flaszę towarzyszom, którzy z kolei podawali ją innym, aż wreszcie

ten, który ją wysuszył do ostatka, ujął ją za szyjkę, zakręcił młynka i z okrzykiem: „Niech żyje pomór!” — cisnął ją na bruk, gdzie rozbiła się z trzaskiem. Potem zaintonował jedną z ich łotrowskich pieśni, wnet podjętą przez inne głosy tego szpetnego chóru. Piekielna kantylena przy wtórze dzwonek, skrzypieniu wozów i tupocie koni rozbrzmiewała głośno w milczącej pustce ulic, odbijała się echem od murów domów, ścisnęła grozą serca tych niewielu, którzy tam jeszcze żyli.

Ale nie ma rzeczy, która w pewnych wypadkach nie mogłaby się przydać, a nawet sprawić przyjemność. Niebezpieczeństwo dopiero co przeżyte uczyniło Renzowi znośniejszym towarzystwo tych zmarłych i tych żywych. Teraz owa piekielna muzyka zabrzmiała nieomal mile, w jego uszach, bo uwalniała go od okropniejszych jeszcze rozmów. Zdyszany i wstrząśnięty, dziękował w głębi serca Opatrzności za to, że wydostał się z podobnej opresji bez szwanku i nie skrzywdziwszy też nikogo. Modlił się teraz o pomoc w uwolnieniu się od swoich wybawców. Miał się na baczności, spoglądał to na nich, to na ulicę, upatrując stosownej chwili do zsunienia się po cichutku, tak, by nie dać znów okazji do zamętu i hałasów mogących zbudzić na nowo wrogi nastrój przechodniów.

Nagle na jakimś skrzyżowaniu wydało mu się, że rozpoznaje okolicę. Rozejrzał się uważniej i upewnił całkowicie. Wiedzie, gdzie się znajdował? Na ulicy wiodącej do Bramy Wschodniej, tej samej, którą przywędrował powoli, a wracał w pośpiechu około dwudziestu miesięcy przedtem. Przyszło mu na myśl, że stamtąd prosto jak strzelił idzie się do lazaretu. To, że znalazł się na właściwej drodze nie starając się o to ani dopytując, uznał za dowód opieki boskiej i za szczęśliwą wróżbę na przyszłość.

W tej chwili naprzeciw wozów ukazał się komisarz wołając, żeby stanąć i coś tam jeszcze — dość, że cały konwój zatrzymał się, a miejsce muzyki zajęła hałaśliwa kłótnia. Jeden z monattów jadących na wozie Renza zeskoczył na ziemię. Renzo zwrócił się do drugiego z nich:

— Dziękuję wam za poratowanie. Bóg wam to policzy — rzekł i zeskoczył szybko na drugą stronę.

— Idź, idź, biedny „mazaczku”; już to nie ty będziesz tym, co zniszczy Mediolan — odpowiedział tamten.

Na szczęście nie było nikogo, kto mógłby to usłyszeć.

Konwój stanął po lewej stronie ulicy; Renzo przeniknął szybko na drugą stronę mostu, przeszedł go i ruszył dalej przez borgo. Po chwili rozpoznał klasztor kapucynów, a dalej, w pobliżu bramy, ujrzał wyłaniający się mur lazaretu. Przeszedł furtkę w bramie i przed oczyma jego roztoczyła się cała zewnętrzna strona zabudowań. Początek zaledwie, drobna część tego, co się tam mieściło, a przecież ogrom, niemożliwy do opisanego ogrom niedoli.

Wzdłuż obu boków widocznych od tej strony aż roiło się od ludzi. Byli tam' chorzy udający się całymi gromadami do lazaretu; inni siedzieli lub leżeli na zboczach fosy okalającej cały teren. Może zbrakło im sił na ten ostatni kawałek drogi i nie zdołali wejść do środka, może wyszli stamtąd przejęci rozpaczą, a że siły ich zawiodły, nie poszli dalej, tylko tam już zostali; inni nieszczęśliwi wałęsali się pojedynczo, mieli jakiś osłupiały wygląd, niektórzy byli zupełnie nieprzytomni. Ktoś z przejęciem opowiadał o swoich przywidzeniach innemu jakiemuś nieszczęśliwemu, który leżał zmorzony cierpieniem. Ktoś inny miotał się jak w szale, jeszcze inny rozglądał się dokoła z rozpromienioną twarzą, jakby uczestniczył w wesołym widowisku. Ale jeszcze dziwniejsze, bardziej niesamowite od tej żałosnej wesołości wrażenie wywierał głośny, nieustający śpiew, który, zdawałoby się, nie mógł wydobywać się z tej' nieszczęśliwej bez granic ciżby, a przecież rozlegał się donośniej od wszystkich innych głosów. Była to ludowa pieśń miłosna, wesoła i żartobliwa, w rodzaju zwanym villanella. Idąc wzrokiem za jej dźwiękiem, jeśli ktoś byłby ciekaw, kto to może się tak weselić w podobnym czasie i miejscu, łatwo było odkryć siedzącego spokojnie na dnie fosy biedaka, który śpiewał zapamiętałe z głową zadartą ku górze.

Zaledwie Renzo uszedł parę kroków wzdłuż południowej ściany budynku, usłyszał jakiś głośny rumor i dolatujące z dala krzyki:

— Uwaga! Łapać!

Wspiął się na palce i zobaczył cwałującego konia, którego dosiadał doprawdy niezwykły jeździec; był to obłąkany, który, napotkawszy przy jakimś wozie nie uwiązanego i nie strzeżonego konia, wskoczył nań na oklep i jął grzmocić go

pięściami po szyi, a piętami w boki, co wprawiło konia w zupełny szal. Za nim pędzili z krzykiem monatti. Po chwili wszystko znikło w obłoku kurzu, rozwiewającym się w oddali.

Renzo oszołomiony i ogromnie znużony widokiem tylu nieszczęść dowlókł się do wrót tego miejsca, gdzie zgromadziło się może więcej niedoli, niż jej można było spotkać wzdłuż całej drogi, jaką już miał za sobą. Przekroczył te wrota, wszedł pod sklepienie i stał tam przez chwilę nieruchomo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Niech sobie czytelnik wyobrazi zamkniętą przestrzeń lazaretu, mieszczącą szesnaście tysięcy zadżumionych, ciasno zapchaną szałasami, barakami, wozami, ludźmi. Po obu stronach długie, bardzo długie portyki przepelnione chorymi leżącymi po społu z trupami na siennikach, na słomie — całe to olbrzymie rojowisko w nieustannym, jak gdyby falistym ruchu. Ludzie przepychający się to w tę to w ową stronę, biegnący, zatrzymujący się, schylający i podnoszący się — ozdrowieńcy, obłąkani, służba. Taki to widok uderzył nagle oczy Renza i przygwoździł go na miejscu, zupełnie zgnębnego. Nie zamierzamy oczywiście opisywać szczegółowo tego widoku ani też czytelnicy na pewno sobie tego nie życzą. Będziemy tylko towarzyszyli naszemu młodzieńcowi w jego wyczerpującej wędrówce zatrzymując się, ilekroć on się zatrzyma, a z tego, co widział, opowiemy tyle, ile będzie konieczne dla zrozumienia tego, co robił i co go spotykało.

Od wrót, w których stał Renzo, aż po wznoszącą się pośrodku kaplicę i dalej, aż do drugich wrót w przeciwnym murze, ciągnęła się jakby ulica ciasno zabudowana szałasami i zapchana rozlicznymi przeszkodami. Spojrzawszy uważniej Renzo dojrzał szeregi ładownych wozów i zrozumiał, że wywozi się stamtąd różne rzeczy czyniąc miejsce dla innych. Zobaczył kapucynów i ludzi świeckich, kierujących tą robotą i odpędzających każdego, kto się przy tym bez potrzeby płatał. W obawie, żeby i jego nie przepędzono przy tej sposobności, Renzo wsunął się pomiędzy szałas po prawej stronie, bo tam przypadkowo było mu bliżej.

Posuwał się naprzód stawiając nogi tam, gdzie widział kawałek wolnej przestrzeni, od szałasu do szałasu,

wsuwając do każdego z nich głowę, rozglądając się po posłaniach rozłożonych wszędzie — wewnątrz chatek i obok nich; patrzył na twarze wynędzniałe i obojętne, to znów wykrzywione grymasem cierpienia, to pogrążone już w bezruchu śmierci. Szukał gorliwie, a równocześnie bał się znaleźć to, czego szukał. Ale choć uszedł już spory kawałek i wiele razy ponawiał smutne oględziny, nigdzie nie dostrzegł ani jednej kobiety: pomyślał więc, że znajdują się one zapewne w oddzielnym miejscu. Odgadł to dobrze; ale nie miał najmniejszego pojęcia ani żadnej wskazówki, gdzieby to miejsce było. Spotykał raz po raz ludzi zatrudnionych w lazarecie, różniących się między sobą wyglądem, zachowaniem i ubiorem tak dalece, jak różnorakie były źródła, z których czerpali siłę potrzebną do pełnienia służby w takim miejscu: u jednych było to całkowite wyzucie z uczucia litości, u innych litość wręcz nadludzka. Żadnego z nich jednak nie odważył się Renzo zagadnąć, w obawie, że napyta sobie jakiego kłopotu. Postanowił chodzić tak długo, dopóki nie natrafi na miejsce przeznaczone dla kobiet. Idąc nie przestawał rozglądać się bacznie dokoła. Chwilami tylko czuł, że musi odwrócić zasmucone spojrzenie, nieomal oślepiiony tym ogromem niedoli. Ku czemuż jednak mógł tam zwrócić oczy, jeśli nie ku innej, podobnej niedoli?

Samo nawet powietrze i niebo pogłębiało — jeśli cokolwiek mogło ją jeszcze pogłębić — ponurość tego widoku. Mgła gęstniała zmieniając się w skłębione, z każdą chwilą ciemniejsze obłoki. Wyglądało to jak zmierzch przed burzliwą nocą. Tylko pośrodku ciężkiego, przytłaczającego nieba przebłyskiwała jak spoza gęstej zasłony blada tarcza słońca rzucając dokoła wąty, matowy blask. Panował martwy, ciężki upał. Od czasu do czasu poprzez nieustanny szum, jaki wytwarzało to nieszczęsne ludzkie mrowie, słychać było mrukliwy grzmot, głęboki, ale jakiś urywany, niezdecydowany. Nawet nasłuchując uważnie trudno byłoby odgadnąć, z której strony ten pomruk burzy dochodzi, i łatwo było wziąć go za daleki turkot wozów nagle zatrzymanych. Na polach dokoła nawet najlżejszy powiew nie zakolysał gałązką, ptak nie przysiadł na drzewie ani się zeń nie zerwał. Tylko jaskółka śmignawszy nagle ponad dachem lazaretu pomknęła w dół na rozpostartych nieruchomo skrzydłkach, jakby chciała musnąć brzuszkiem

ziemię, ale wystraszona tym ludzkim mrowiem poderwała się szybko w górę i znikła. Był to czas taki, kiedy idący gromadą ludzie milkną nagle i nikt tego milczenia nie przerywa; kiedy myśliwiec kroczy zadumany spuściwszy wzrok ku ziemi, a kopiająca w polu wieśniaczka przestaje śpiewać, sama o tym nie wiedząc. Czas przed burzą, kiedy cała przyroda, na zewnątrz nieruchoma, w głębi swej istoty dygocze, w napięciu, przytłacza każde żyjące stworzenie, kładzie jakiś tajemny ciężar na pracy, na spoczynku, na samym istnieniu.

Ale tam, w tym miejscu z natury rzeczy już przeznaczonym do cierpienia i śmierci, ludzie, i tak już zmagający się z chorobą, pod tym dodatkowym ciężarem zupełnie upadali. U setek ich dawało się zauważyć nagle pogorszenie; a męka ostatniej walki przybierała na sile; wzmagaly się cierpienia, boleśniej rozbrzmiewały jęki; nigdy może to siedlisko niedoli nie przeżyło równie ciężkiej godziny.

Młodzieniec od dłuższego już czasu krążył bezowocnie pomiędzy szalasami; nagle pośród jednostajnego szmeru jęków, żalów i szepcótów doszła do jego uszu dziwna mieszanina kwilenia i pobekiwania. Idąc za tymi dźwiękami znalazł się po chwili przy bardzo połamanym i chwiejącym się płocie, spoza którego płynęły owe głosy. Przyłożywszy oko do szerokiej szpary zobaczył spore podwórce z rozrzuconymi po nim chatkami, a w nich i dokoła nich nie zwykłych chorych, ale leżące na materacykach, rozciągniętych na ziemi prześcieradłach czy pieluchach maleńkie dzieci; dokoła nich krzątały się mamki i inne kobiety. Co zaś najbardziej przyciągało wzrok, to kręcące się wśród tego wszystkiego kozy, pomocnice piastunek. Był to przytułek niewiniątek, taki, jaki się dało w tym miejscu i czasie urządzić. Niezwykły był widok tych zwierząt, stojących spokojnie i nieruchomo nad którymś z owych maleństw i pozwalających się ssać. Niektóre same nadbiegały przywoływane płaczem niemowlęcia, jakby wiódł je macierzyński instynkt. Ustawiały się ponad maleństwami i bekiem wzywały kogoś do pomocy.

Tu i ówdzie siedziały mamki z dziećmi u piersi; w gestach niektórych spośród nich dostrzec można było tyle uczucia, że patrzący zadawał sobie pytanie, czy przyszły tam one za wynagrodzeniem, czy też wiedzione owym instynktem miłosierdzia nakazującym szukać wszędzie nie

szczęśliwych i potrzebujących. Jedna z nich właśnie ruchem pełnym żalu odjęła płaczące dzieciątko od wyschłej piersi i smutnie rozglądała się za kozą, która by ją zastąpiła. Druga z upodobaniem spoglądała na maleństwo, które zasnęło z sutką w buzi, ucałowała je delikatnie i poniosła do szałasów, by je tam ułożyć na materacyku. Trzecia natomiast używała swej piersi obcemu dziecku z wyrazem nie niedbałym wprawdzie, ale jakimś nieobecnym; nieruchomo zapatrzona w niebo, o czymże mogła dumać w takiej pozycji i z takim spojrzeniem, jeśli nie o dzieciątku z jej łona zrodzonym, które może niedawno jeszcze pierś jej ssało, może u piersi jej wydało ostatnie tchnienie?

Starsze kobiety spełniały inne prace. Jedna z nich właśnie przybiegła na krzyk zgłodniałego maleństwa, wzięła je i poniosła w stronę kozy stojącej nad stertą świeżej trawy. Podłożyła dziecko pod wymię, pokrzykując na niewprawną karmicielkę i głaszcząc ją równocześnie, żeby cierpliwie spełniła swój obowiązek. Druga piastunka biegła na ratunek jakiegoś biedactwa, które koza zajęta karmieniem niemowlątka nieuważnie przydeptywała kopytkiem; jeszcze inna chodziła z dzieciątkiem tam i na powrót kołysząc je w ramionach, usiłując uspić je śpiewem czy uspokoić łagodnymi słowami, przemawiając do niego imieniem, jakie mu sama nadała. Właśnie pojawił się kapucyn z siwiuteńką brodą niosąc dwoje krzyczących maleństw, po jednym na każdym ramieniu, zabranych dopiero co od zmarłych matek. Jedna z kobiet podbiegła, żeby je od niego odebrać, i już rozglądała się szukając wśród piastunek i wśród stada kóz, kto by tym maleństwom zastąpił matkę.

Tuż kilka razy Renzo, gnany tą jedyną, całkowicie pochłaniającą go myślą, odrywał się od szpary w płocie chcąc iść dalej i za każdym razem przybliżał się na nowo, by popatrzeć jeszcze chwilę.

Ruszywszy się stąd nareszcie, szedł wzdłuż ogrodzenia, dopóki grupka przylegających doń szałasów nie zmusiła go do skręcenia w bok. Zaczął więc iść wzdłuż szałasów, zamierzając dojść na powrót do płotu i dalej aż do jego końca, by zobaczyć, co jest za nim. Kiedy rozglądał się, badając drogę, nagle, przelotne zjawisko uderzyło jego wzrok i znikło natychmiast, wywołując w jego duszy gwałtowny wstrząs. Otóż zobaczył, jak w odległości jakichś stu kroków przeszła i znikła nagle pomiędzy barakami po

stać kapucyna. Mimo że tak z daleka i tak przelotnie, postać ta w ruchach i w sylwetce do złudzenia przypominała mu ojca Cristoforo. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim uczuciem rzucił się pędem w tę stronę, krążył, szukał, biegł naprzód i cofał się w tył, wpadał do szałasów i wypadał z powrotem, aż wreszcie pełen radości dojrzał tę samą sylwetkę, tego samego braciszka! Był nawet niedaleko; z miseczką w ręku odchodził właśnie od kotła kierując się ku jednej z chat. Usiadł na progu i przeżegnał miseczkę znakiem krzyża; po czym, rozejrzawszy się dokoła jak ktoś, kto przywykł zawsze być w pogotowiu, zabrał się do jedzenia. Tak, to był ojciec Cristoforo.

Jego dzieje od chwili, kiedy straciliśmy go z oczu, aż do tego spotkania, dadzą się opowiedzieć w dwóch słowach. Nie ruszał się z Rimini i nie byłby o tym nawet pomyślał, dopóki wybuchła w Mediolanie dzuma nie dała mu sposobności do tego, czego od dawna pragnął — do oddania życia za bliźnich. Prosił bardzo usilnie, by go tam wysłano na pomoc i pociechę zadżumionych. Hrabiastryj już nie żył; zresztą pielęgniarze byli w tej chwili potrzebniejsi od polityków; spełniono więc to życzenie nie czyniąc trudności. Ojciec Cristoforo przybył natychmiast do Mediolanu, wszedł do lazaretu i przebywał tam już około trzech miesięcy.

Ale radość Renza z odnalezienia zacnego mnicha nie była niezmacona. W tej samej bowiem chwili, w której upewnił się, że to istotnie on, zobaczył też, jak bardzo był zmieniony. Przygarbił się, chodził z wysiłkiem, twarz jego była

wychudła i blada. Ze wszystkiego widać było, że to organizm zupełnie wyczerpany, ciało złamane i zwałtałe, które tylko nieustanny wysiłek ducha zdolny był jeszcze krzepić i on także ze swej strony wpatrywał się w tego młodzieńca, który zbliżał się ku niemu i próbował dać się poznać gestami rąk, nie śmiać uczynić tego głosem. Dopiero kiedy był tak blisko, że mógł być słyszany bez podnoszenia głosu, zawołał z cicha:

— Ojciec Cristoforo!

— Ty tutaj! — odrzekł mnich odstawiając miseczkę na ziemię i podnosząc się.

— Jak się ojciec miewa? Czy aby zdrow?

— Lepiej niżli wielu z tych biedaków, których tu widzisz — powiedział. Głos miał słaby, głuchy, zmieniony

jak wszystko zresztą. Oczy tylko były te same, a nawet było w nich więcej życia i światła niż dawniej. Jak gdyby miłość ludzi, która dosięgła w jego duszy najwyższych szczytów, oraz radość, że wkrótce złoży siebie samego Bogu w ofierze, rozpały w nim ogień potężniejszy i czystszy od tego, który już dogasał powoli, zmorzony chorobą.

— Ale ty — ciągnął ojciec Cristoforo — dlaczego jesteś tutaj? Czemu samochcąc wyzywasz niebezpieczeństwo?

— Miałem już dżumę, Bogu dzięki. Teraz przychodzę... szukać tu... Lucji.

— Lucji? Lucja jest tutaj?

— Jest. Mam w Bogu nadzieję, że jeszcze jest. — Jest twoją żoną?

— Och, drogi ojciec! Nie, nie jest moją żoną. Czy ojciec nie wie o tym wszystkim, co się z nami działo?

— Nie, synu. Odkąd Bóg mnie z wami rozłączył, nie wiedziałem już nic o was. Ale teraz, kiedy On mi tu zesłał ciebie, wyznam, że bardzo pragnę się dowiedzieć. A ten... wyrok?

— Więc ojciec wie, co mi uczyniono?

— Ale ty... co ty uczyniłeś?

— Proszę posłuchać, ojciec. Gdybym powiedział, że owego dnia w Mediolanie byłem rozsądny, kłamałbym. Ale z tego nie uczyniłem nic a nic.

— Wierzę ci; wierzyłem w to i przedtem.

— Teraz wreszcie mogę ojcu wszystko opowiedzieć.

— Zaczekaj — rzekł mnich; wyszedł parę kroków za chatkę i zawołał: — Ojciec Vittore! — Po chwili ukazał się młody kapucyn. — Uczynicie mi tę łaskę, ojciec Vittore, i dogładajcie za mnie tych biedaków, póki nie wrócę. Ale gdyby który specjalnie mnie potrzebował, to mnie zawołajcie. Ten jeden zwłaszcza! Za najlżejszą oznaką, że wraca do przytomności, dajcie mi znać natychmiast, zaklinam!

— Bądźcie spokojni — odpowiedział młody mnich. Stary zaś zwrócił się do Renza i rzekł:

— Wejdźmy tutaj. Ale... — dodał nagle, zatrzymując się — zdajesz mi się wielce wyczerpany. Musisz być chyba głodny.

— To prawda — rzekł Renzo. — Teraz, kiedy ojciec mi to na myśl nasunął, przypominam sobie, że dziś jeszcze nic nie jadł.

— Zaczekaj — powiedział mnich. Wziął drugą miseczkę,

poszedł napełnić ją z kotła i wręczył wraz z łyżką Renzowi. Usadawił go na sienniku służącym mu za posłanie, ze stojącej w kącie beczułki utoczył kubek wina i postawił na stoliku przed gościem. Wreszcie wziął swoją miseczkę i usiadł obok Renza.

— Ach, ojcie Cristoforo! — rzekł Renzo. — Czy to przystoi, byście takie rzeczy robili? Ale ojciec pozostał ten sam co dawniej! Dziękuję z całego serca.

— Nie mnie dziękuj — odparł kapucyn. — To wszystko własność biedaków. Ale w tej chwili i ty jesteś biedakiem. A teraz mów mi wszystko, o czym nie wiem, mów mi o tym naszym biednym dziewczątku. I spiesz się, bo mało jest czasu, a wiele do zrobienia, jak sam widzisz.

Renzo zaczął tedy między jedną a drugą łyżką opowiadać historię Lucji. Jak to schroniła się do klasztoru w Monzy, jak została porwana... Na myśl o tych cierpieniach i niebezpieczeństwach oraz o tym, że to on sam posłał niewinne biedactwo do owego klasztoru, zacnemu mnichowi aż dech zaparło z przerażenia. Ale odetchnął z ulgą słysząc, jak została cudownie ocalona, zwrócona matce i powierzona przez nią opiece donny Prassedy.

— A teraz opowiem ojcu o sobie — podjął Renzo. I opowiedział pokrótce o owym pamiętnym dniu w Mediolanie i swojej ucieczce; mówił, że cały ten czas przeżył z dala od domu, aż dopiero teraz, w tym zamęcie, odważył się powrócić. Że nie zastał Agnese, a tu w Mediolanie dowiedział się, że Lucja jest w lazarecie.

— Więc jestem tu — zakończył — i muszę ją odnaleźć, dowiedzieć się, czy żyje... czy chce mnie jeszcze... bo czasem...

— Ale — przerwał mnich — czy masz jakie wskazówki, gdzie jej szukać? Czy wiesz, kiedy tu przybyła?

— Nic nie wiem, ojcie drogi. Nic prócz tego, że jest tutaj... jeśli jest, co oby Bóg dał!

— O biedaku! A jakęś jej szukał do tej pory?

— Krążyłem i krążyłem; ale, co prawda, wszędzie widziałem samych jeno mężczyzn. Pomyślałem, że widać niewiasty muszą mieć osobne miejsce, ale nie zdołał go odszukać. Jeśli tak jest, ojciec mi teraz wskaże, gdzie to!

— Czyż nie wiesz, synu, że mężczyznom wbronione jest tam wchodzić bez specjalnego zlecenia?

— A cóż mi się stanie?

— Reguła to słuszna i święta, synu drogi. A jeśli nawet nadmiar nieszczęść i trudności nie pozwala na ściśle jej przestrzeganie, czy to jest powód, by uczciwy człowiek ją łamał?

— Ależ, ojcie Cristoforo! — zawołał Renzo. — Lucja miała być moją żoną. Ojciec wie przecież, jak nas rozdzielono. Dwadzieścia miesięcy znosiłem to cierpliwie. Przyszedłem tu, nie bacząc na tyle niebezpieczeństw, jedno gorsze od drugiego, a teraz...

— Nie wiem, co ci rzec — podjął mnich, odpowiadając raczej własnym myślom niż słowom młodzieńca. — Intencje twoje są czyste; dałby Bóg, by wszyscy, co mają do tego miejsca dostęp swobodny, tak sobie tam poczynali, jak spodziewam się, że ty poczynać sobie będziesz. Bóg, który z pewnością błogosławi to twoje niezłomne przywiązanie, tę wytrwałość, z jaką dążysz do odzyskania tej, którą on ci przeznaczył; Bóg, który surowszy jest od ludzi, ale i bardziej od nich wyrozumiały, nie będzie patrzył na to, że szukasz jej w sposób niezupełnie zgodny z prawem. Pomnij tylko, że z twego postępowania, kiedy się tam znajdziesz, obaj będziemy musieli zdać sprawę: przed ludźmi zapewne nie, ale przed Bogiem bez wątpienia. Pójdź ze mną.

To mówiąc podniósł się, a razem z nim i Renzo. Słów mnicha wysłuchał uważnie i z szacunkiem, równocześnie jednak postanowił nic nie wspominać, choć tak zamierzał poprzednio, o ślubowaniu Lucji. „Jeśli dowie się i tego jeszcze — myślał — na pewno zechce mi czynić nowe trudności. Albo ją odnajdę, a wtedy zawsze jeszcze będzie czas o tym mówić, albo... a w takim razie na cóż by się to zdało?”

Pociągnawszy go do drzwi szałas, zwróconych ku północy, kapucyn podjął:

— Posłuchaj: nasz ojciec Felice; główny zarządzający lazaretu, wyprowadza stąd dzisiaj na odbycie kwarantanny gdzie indziej tych niewielu ozdrowieńców, jakich tu mamy. Widzisz ten kościółek pośrodku? — uniósł wychudłą, drżącą rękę i wskazał widną w mglistym powietrzu kopułę kościółka, górującą nad nędznymi szałasami. — Tam się właśnie gromadzą — ciągnął — i wyjdą wszyscy razem przez tę bramę, którą ty tu wejść musiałeś.

— A, to dlatego pracowali tam nad oczyszczeniem drogi.

— Właśnie. Słyszałeś też chyba dźwięk dzwonu?

— Słyszałem jedno uderzenie.

— To było drugie. Za trzecim wszyscy mają być już na miejscu. Ojciec Felice przemówi do nich, a potem razem z nimi wyruszy. Ty idź tam również, skoro usłyszysz dzwon. Postaraj się stanąć z tyłu za innymi, obok drogi, skąd nie zawadzając nikomu i nie rzucając się w oczy będziesz mógł ich widzieć przechodzących. Patrz, przyglądaj się, czy jej tam nie ujrzysz... A jeśli Bóg nie zechciał, by ona była wśród nich, to tam — uniósł znowu rękę i wskazał bok znajdującego się naprzeciwko nich budynku — ta część zabudowań i część placu obok nich przeznaczona jest dla kobiet. Zobaczysz tam płot odgradzający jedną część od drugiej, ale miejscami jest on zniszczony, miejscami otwarty, nie będziesz więc miał trudności z wejściem. Kiedy już tam będziesz, jeśli sam nikogo nie zaczepisz ani nie obrazisz, pewnie też nikt na ciebie nie zwróci uwagi. Gdyby jednak robił ci ktoś jakie wstręty, mów, że ojciec Cristoforo z zna cię i za ciebie ręczy. Tam, jej szukaj. Szukaj z ufnością... i z rezygnacją. Bo pamiętaj o tym, że niełatwo jest znaleźć to, czego ty szukasz: żyjącą istotę w lazarecie! Gdybyś wiedział, ile razy zmieniał się ten mój biedny lud tutejszy! Jak wielu widziałem stąd wynoszonych, a jak mało wychodzących!... Bądź gotów do tej ofiary...

— Tak jest, pojmuję to i ja — przerwał mu Renzo, odwracając oczy i mieniając się na twarzy. — Pojmuję! Teraz idę: wszędzie zajrzę, przeszukam każdy zakątek, cały lazaret wzdłuż i wszerz!... A jeśli jej nie znajdę...

— Jeśli jej nie znajdziesz? — powtórzył mnich poważnie i wyczekująco, karcąc go spojrzeniem.

Ale Renzo, którego nienawiść zapłonęła na nowo pod wpływem tej wątpliwości, jaką sam przed chwilą wypowiedział, i zmała mu wzrok, ciągnął dalej:

— Jeśli jej nie znajdę, pójdę poszukać kogoś innego. W Mediolanie czy w jego przeklętym zamku, na końcu świata czy w piekle znajdę przecież tego łotra, co nas rozdzielił. Gdyby nie ten zbrodzień, Lucja byłaby moją od dwudziestu miesięcy; a gdyby sądzone nam było umrzeć, umarlibyśmy przynajmniej razem. Jeżeli tylko żyje, znajdę go...

— Renzo! — powiedział mnich ściskając go za ramię i spoglądając jeszcze surowiej.

— A jeśli go znajdę — ciągnął Renzo zupełnie zaślepiony wściekłością — jeżeli zaraza nie wymierzyła mu jeszcze sprawiedliwości... Nie takie to już dziś czasy, by byle tchórz otoczony gromadą swoich bravich mógł bezkarnie doprowadzać ludzi do rozpacz i śmiać się z tego... przyszedł czas, kiedy człek z czlekiem twarzą w twarz spotkać się mogą... i ja już mu wymierzę sprawiedliwość.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął ojciec Cristoforo głosem, który w jednej chwili odzyskał całą dawną dźwięczność i pełnię. — Nieszczęsny! — Głowa jego opadająca na piersi uniosła się, policzki nabrały dawnych, żywych barw, w oczach zapłonął ogień mający w sobie coś przerażającego. — Patrz, nieszczęsny! — Podczas gdy jedna jego ręka zaciskała się silnie na ramieniu Renza, drugą zatoczył przed sobą szeroki krąg, ukazując mu bolesny widok rozciągający się wokół. — Spójrz, kim jest Ten, który karze! Ten, który sądzi, a nie jest sądzony! Który chłosta i który przebacza! I ty, nędzny robak, chcesz wymierzać sprawiedliwość? Zaliż ty nie wiesz, jaka ona jest, ta sprawiedliwość? Odejdź, nieszczęsny, ode mnie!... Miałem nadzieję... tak, żywiłem nadzieję, że zanim umrę, Bóg ześle mi na pociechę wieść, iż moja biedna Lucja żyje... że może ją zobaczyć, może usłyszę z jej ust obietnicę, że zwróci czasem modlitwę ku

tej mogile, w której mnie pogrzebią. Odebrałeś mi tę nadzieję. Bóg nie zostawił jej na ziemi dla ciebie, a ty nie jesteś chyba na tyle zuchwały, by sądzić się godnym tego, aby On zechciał cię pocieszyć. Pomyślał za to pewnie o niej, albowiem ona jest jedną z tych dusz, którym przeznaczona jest wieczna szczęśliwość. Idź już, nie mam czasu słuchać cię dłużej.

To mówiąc odtrącił od siebie ramię Renza i ruszył ku jednemu z szałasów, gdzie byli jego chorzy. — Ach, ojczcie! — przemówił Renzo błagalnie, idąc za nim. — Chce mnie ojciec odpędzić w ten sposób?

— Jak to? — podjął niemniej surowym głosem kapucyn. — Czyżbyś spodziewał się w swym zuchwalstwie, że będę kradł czas należący się tym nieszczęśliwym, którzy czekają na mnie, abym im mówił o przebaczeniu — po to, by wysłuchiwać twoich słów nienawiści, twoich planów zemsty? Słuchałem cię, kiedyś chciałem ode mnie pociechy i pomocy; poniechałem miłosierdzia dla miłosierdzia. Ale teraz, kiedy w sercu masz jeno zemstę, czego chcesz ode

mnie? Odejdź. Widziałem tu wielu skrzywdzonych, którzy umierając przebaczały; krzywdziciele jęczących z żalu, że nie dano im się ukorzyć przed tymi, których skrzywdzili; płakałem z jednymi i z drugimi. Ale z tobą cóż mógłbym czynić?

— Ach, przebaczam mu! Przebaczam naprawdę i na zawsze! — wykrzyknął młodzieniec.

— Renzo! — rzekł mnich poważnie, ale już nieco spokojniej — pomyśl trochę i powiedz mi, ile razy już mu przebaczałeś? — Przez chwilę stał tak, próżno czekając odpowiedzi. Nagle pochylił głowę i rzekł powoli i głucho: — Ty wiesz, dlaczego noszę ten habit.

Renzo zawahał się.

— Ty wiesz — powtórzył starzec.

— Wiem — odpowiedział Renzo.

— Ja również nienawidziłem. Ja, którym, cię zgromił za samą myśl, za słowa, ja tego człowieka, któremu nienawidziłem z całej duszy, nienawidziłem od dawna... ja tego człowieka zabiłem.

— Tak, ale to był pyszałek, tyran, jeden z tych...

— Milcz! — przerwał mnich. — Sądzisz, że gdyby istniało usprawiedliwienie, ja nie znalazłbym go przez lat trzydzieści? Ach, gdybym mógł zaszcześcić w twoim sercu uczucie, któremu doznawałem od tego czasu i dotychczas doznaję względem człowieka wówczas mi nienawistnego! Gdybym mógł! Ja? Bóg może to uczynić. I uczyni!... Słuchaj, Renzo, On miłuje cię więcej niż ty sam siebie. Knuleś zemstę, ale On ma dość siły i dość miłosierdzia, by ci jej wzbronić. Uczyni ci tę łaskę, której ktoś inny był zbyt niegodny... Ty wiesz, mówiłeś to wielokrotnie, że On zdolen jest wstrzymać rękę tyra. Ale wiedz, że i rękę mściciela wstrzymać On może. Czy myślisz, że dlatego, iż jesteś ubogi i skrzywdzony, On nie będzie bronił przed tobą człowieka, którego stworzył na obraz i podobieństwo swoje? Myślisz, że On pozwoli ci na to wszystko, czego ty chcesz? Nie! Ale wiesz, co możesz uczynić? Możesz nienawidzić, możesz się zgubić. Możesz tym niegodnym uczuciem pozbawić się boskiego błogosławieństwa. Bowiem cokolwiek nastąpi, jakkolwiek będzie Twój los, wiedz jedno: wszystko będzie dla ciebie karą, dopóki nie przebaczysz mu tak, żebyś już nigdy więcej nie potrzebował powiedzieć: „Przebaczam mu.”

— Tak, tak! — powiedział Renzo bardzo wzruszony i zawstydzony. — Widzę teraz, że mu nigdy dotychczas nie przebaczył prawdziwie. Widzę, że gadał jak dziki zwierz, nie jak chrześcijanin. Ale teraz, Bogu dzięki, przebaczam mu naprawdę z głębi serca.

— A gdybyś go zobaczył?

— Prosiłbym Boga o cierpliwość dla mnie i o to, by zapukał do jego serca.

— I pamiętałbyś o tym, że Bóg nakazuje przebaczać nieprzyjaciółom? Że każe ich kochać? Pamiętałbyś, że On ukochał tak bardzo tego człowieka, iż umarł za niego?

— Tak, z Jego pomocą.

— Pójdź więc ze mną. Mówiłeś: „Odnajdę go”, i odnajdziesz. Pójdź, a zobaczysz, kogo nienawidziłeś, komu życzyłeś zła i chciałeś mu je czynić, czym życiem chciałeś rozporządzać.

Ujął dłoń Renza, uścisnął ją tak, jak mógłby to uczynić ktoś młody i zdrowy, i ruszył naprzód. Renzo nie śmiać pytać o nic poszedł za nim.

Po kilku krokach mnich zatrzymał się u wejścia do jednego z szałasów i popatrzył w twarz Renza z powagą nie pozbawioną tkliwości. Potem wprowadził go do wnętrza.

Wzrok ich padł najpierw na chorego siedzącego w głębi na słomie; nie był to ciężko chory, raczej ktoś wracający powoli do zdrowia. Widząc mnicha, potrząsnął milcząco głową na znak przeczenia, ten zaś odpowiedział skinieniem wyrażającym smutek i rezygnację. Tymczasem Renzo rozglądając się po otaczających przedmiotach ciekawie, a z niepokojem, dostrzegł trzech czy czterech innych chorych, z których jeden leżał nieco na uboczu, owinięty w prześcieradło i przykryty magnacką delią zamiast kołdry. Renzo przyjrzał mu się uważniej, rozpoznał don Rodriga i cofnął się o krok. Ale mnich mocniej ścisnąwszy mu rękę pociągnął go do owego posłania i, wyciągnąwszy ponad nim drugą rękę, wskazał palcem leżącego tam człowieka.

Nieszczęśliwy leżał nieruchomo; oczy miał szeroko otwarte, ale bez spojrzenia; blada twarz pokryta była czarnymi plamami. Wargi były szerniałe i opuchłe; zdawałoby się: twarz trupa, gdyby nie bolesny skurcz świadczący o jakiejś upartej resztkę życia. Pierś unosiła się od czasu do czasu w ciężkim oddechu. Prawą dłoń, widną

spod przykrycia, trzymał kurczowo przyciśniętą do serca zakrzywiając palce bezkrwiste i o poczerwiałych końcach.

— Widzisz — odezwał się mnich cicho i z powagą — może tu nastąpić kara, a może i miłosierdzie. To samo, co czuć będziesz teraz względem tego człowieka, który cię skrzywdził, czuć będzie dla ciebie w godzinie twojej śmierci Bóg, którego ty obraziłeś. Pobłogosław mu, a będziesz błogosławiony. Od czterech dni leży tu oto taki, jakim go oglądasz, nie dając najmniejszego znaku świadomości. Kto wie, może Bóg gotów jest użyczyć mu jeszcze godziny przytomności, ale chce, byś ty go o to prosił; może chce, byś się modlił o to po społu z tą jego niewinną ofiarą. Może Bóg zachowuje swą łaskę, by nagrodzić nią twoją właśnie modlitwę, może czeka, aż w twoim zbolełym sercu zapanuje rezygnacja.

Może zbawienie tego człowieka i twoje zawisło teraz od ciebie, od twego przebaczenia... współczucia... miłości!

Umilkł. Pochylił głowę nad splecionymi rękami i modlił się. Renzo uczynił to samo.

Przez chwilę parę trwali obaj w tej postawie, kiedy zabrzmiało uderzenie dzwonu. Wtedy obaj wyprostowali się jakby jedną myślą tknięci i wyszli z szałasów. Nie wymieniali pytań ni zapewnień: dość jasno przemawiały ich twarze.

— Idź teraz — rzekł mnich — idź przygotowany na otrzymanie łaski czy na spełnienie ofiary. Nie przestawaj wielbić Boga, jakkolwiek byłby rezultat twoich poszukiwań. I cokolwiek się stanie, powiadom mnie o tym; będziemy wspólnie chwalili Pana.

Po czym rozstali się. Jeden powrócił tam, skąd przyszedł; drugi skierował się ku kaplicy odległej nie więcej niż o sto kroków.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Któż uwierzyłby parę godzin przedtem, że podczas owych poszukiwań, w decydującym, a pełnym niepewności momencie myślą Renza o władnie na równi z Lucją don Rodrigo? A jednak tak właśnie było. Postać jego jawiła się w każdym obrazie miłym sercu czy przerażającym, jakie nadzieja i trwoga nasuwały na przemian przed oczy młodzieńca w czasie tej wędrówki. Słowa, jakich wysłuchał stojąc nad posłaniem nieszczęśnika, kołatały się w jego umyśle pomiędzy „tak” i „nie” i każda modlitwa

o szczęśliwe wyjście z tej wielkiej próby łączyła się z tamtą, której dźwięk dzwonu nie dał mu dokończyć.

Ośmioboczna kaplica wznosząca się pośrodku lazaretu na złożonym z kilku stopni podmurowaniu była w pierwotnej swojej postaci otwarta ze wszystkich stron, a wspierała się tylko na filarach i kolumnach; budynek, rzecz można, złożony z samych otworów: każdy bok stanowił łuk pomiędzy dwoma filarami; Wewnątrz biegł portyk otaczający to, co było właściwym kościołkiem, utworzonym z ośmiu łuków; odpowiadały one łukom zewnętrznym i nakryte były kopułą. W ten sposób ołtarz wzniesiony pośrodku widny był ze wszystkich okien izdebek i z każdego niemal punktu lazaretu. Obecnie, kiedy budowlę tę oddano na zupełnie inny użytek, otwory zewnętrzne zostały zamurowane. Ale pierwotny szkielec, który pozostał nietknięty, jasno wskazuje na dawny kształt i dawne przeznaczenie budynku. Zaledwie Renzo ruszył w stronę kościołka, pod portykiem jego ujrzał ojca Felice. Kapucyn stał pod środkowym łukiem zwróconym ku miastu. Przed nim u stóp schodów zgromadzili się ozdrowieńcy. Z daleka już po

znać można było z ruchów zakonnika, że zaczął wygłaszać kazanie.

Renzo, skręcił w boczną uliczkę, okrążył tłum i zatrzymał się na samym jego końcu, jak mu radził ojciec Cristoforo. Stał w milczeniu i przebiegł spojrzeniem po zgromadzonych. Ale widział tylko morze głów, zwartą masę na kształt kamieni w bruku. Pośrodku widniała grupa głów nakrytych chustkami lub szalami: na nią skierował szczególnie uważne spojrzenie. Że jednak nie mógł nic wypatrzeć, podniósł po chwili oczy tam, gdzie byli wpatrzeni wszyscy inni. Uderzyła go czcigodna postać kaznodziei i począł słuchać pełnych namaszczenia słów jego z taką uwagą, jaka była w tej chwili oczekiwania możliwa.

— Pomyślmy o wielu tysiącach tych, którzy stąd odeszli — mówił wskazując palcem poza siebie, ku bramie wiodącej na cmentarz Św. Grzegorza, będący w owym czasie niemal jedną wspólną mogiłą. — Spójrzmy dokoła na tysiące tych, którzy tu pozostają, niepewni zgoła, którędy im stąd wyjść wypadnie. I spójrzmy na nas, na tak nieliczną gromadkę tych, co wychodzą ocaleni. Błogosławiony niechaj będzie Pan! Błogosławiony w swej sprawiedliwości, błogosławiony w miłosierdziu. Błogosławiony za śmierć i za ocalenie, błogosławiony za ten wybór, którego dokonał. O, i po cóż wybrał nas Bóg, jeśli nie po to, by uczynić z nas swój lud, poprawiony cierpieniem, rozplomieniony wdzięcznością, po to, byśmy czując tym silniej, że życie jest Jego darem, szanowali je, jak przystało nam szanować to, czym On nas darzy; byśmy obrócili je na uczynki takie, jakie Jemu ofiarować możemy? Po cóż, jeśli nie po to, by pamięć naszych cierpień uczyniła nas współczującymi względem bliźnich naszych, skorymi do pomagania im? Tym zwłaszcza, którzy z nami po społu cierpieli, doznawali nadziei i trwogi; wśród których zostawiamy przyjaciół, krewnych; którzy zresztą wszyscy są braćmi naszymi. Niechaj ci, którzy będą nas widzieli odchodzących i którzy może doznają pewnej pociechy na myśl, że przecież niektórzy i stąd wychodzą w zdrowiu, poczują się podniesieni na duchu naszym zachowaniem. Niechże Bóg broni, by mieli widzieć w nas hałaśliwą uciechę, światową radość z umknienia ze szponów śmierci — oni, którzy tu pozostają i muszą nadal walczyć ze śmiercią. Niechaj widzą, że odchodząc dzięki składamy za sie

bie, a o nich prosimy; niechaj mogą pomyśleć: „Nawet z dala wszyscy ci oto będą o nas pamiętali, będą się za nas nieszczęsnych modlili.” Wędrowką tą rozpoczniemy od pierwszych jej kroków nowe życie, poświęcone całe miłosierdziu. Ci, którzy odzyskali dawne siły, niechaj podtrzymują słabych bratnim ramieniem. Wy, młodzi, dopomóżcie starcom. Wy, którzyście utracili dzieci, popatrzcie dokoła siebie, ileż ujrzyście dzieci, które zostały bez ojców! Wy im ich zastąpicie. Miłość, jaką im dacie, wymazując wasze grzechy, złagodzi także wasz ból. Tu głuchy szmer jęków i szloch z każdą chwilą głośniejszy umilkły nagle na widok kaznodziei, który ukląkł zarzucając sobie powróż na szyję. Wszyscy trwali w niezmażonej ciszy czekając, co teraz powie.

— W imieniu swoim — przemówił — i wszystkich moich towarzyszy, którym bez żadnej zgoła naszej zasługi przypadł zaszczytny przywilej służenia wam, a przez was Chrystusowi, w pokorze proszę was o przebaczenie, jeśli nie dość godnie pełniliśmy tę naszą służbę. Jeżeli lenistwo czy krnąbrność naszego ciała uczyniła nas nie dość czujnymi na wasze potrzeby, nie dość gorliwie przychodzącymi na wasze wołanie. Jeżeli niesłuszna niecierpliwość, karygodna opieszałość sprawiały czasem, żeśmy się jawili przed wami z twarzą surową i znudzoną. Jeżeli czasem niegodna myśl o waszej od nas zależności mogła sprawić, że nie odnosiliśmy się do was z taką, jaka nam przystoi, pokorą. Jeżeli nasza słabość doprowadziła nas kiedyś do uczynku, który by wam przysporzył zgorszenia — odpuście nam! Tak samo Bóg niechaj odpuści wam grzechy wasze i błogosławi was.

Tu uczynił znak krzyża nad głowami zgromadzonych i wstał.

Mogliśmy przytoczyć tutaj, jeśli nie dosłowne brzmienie, to przynajmniej ogólny sens tego przemówienia; ale nie podobna nam oddać słowami sposobu, w jaki zostało ono wypowiedziane. Zakonnik ten mówił jak ktoś, kto służenie zadzumiom nazywa przywilejem, ponieważ je naprawdę za przywilej uważa; kto wyznaje, że nie spełnił godnie tego zadania, ponieważ naprawdę czuje, że go należycie nie spełnił; kto prosi o przebaczenie, bowiem jest przekonany, że przebaczenia potrzebuje. Ale ci wszyscy, którzy widzieli wciąż pośród siebie owych kapucynów,

o niczym innym nie myślących tylko o służeniu bliźnim; którzy widzieli śmierć wielu z nich, a tego, który przemawiał za wszystkich, widzieli zawsze pierwszym w pracy aż do chwili, kiedy sam znalazł się u progu śmierci — możecie sobie wyobrazić, jakim szlochem, jakimi łzami odpowiedzieli na jego słowa. Tymczasem ten podziwu godny mnich ujął wyniosły krzyż oparty o jeden z filarów

i uniósł go przed sobą w górę. Potem pozostawiając na krawędzi zewnętrznego portyku swe sandały zszedł po stopniach w dół i ruszył pomiędzy rozstępującymi się przed nim ze czcią ludźmi, by stanąć na czele pochodu.

Renzo spłakał się nie bardziej ani nie mniej od tych wszystkich, do których zwrócona była owa tak niezwykła prośba o przebaczenie. I on również odsunął się na bok i stanął pod ścianą jednej z chatek. Stał tam na pół ukryty, głowę tylko wysunąwszy naprzód, z szeroko otwartymi oczyma, z sercem mocno bijącym, pełen jednak zarazem jakiejś dziwnej ufności, którą natchnęły go, jak sądzę, zarówno słowa mnicha, jak widok ogólnego wzruszenia.

Oto ukazuje się ojciec Felice, bosy, z powrozem u szyi, dźwigając przed sobą długi, ciężki krzyż; błada, wychudła jego twarz wyraża skrucę i równocześnie promienieje odwagą. Idzie powolnym, ale pewnym krokiem człowieka myślącego o tym, by słabość innych szczerzyć. Wszystko w nim zresztą zdaje się świadczyć, że im więcej trudów i wyrzeczeń przypada mu w udziale, tym więcej przybywa mu sił do znoszenia tych, jakie są nieodłączne od jego funkcji. Tuż za ojcem Felice gromada dzieci trochę już starszych, po większej części bosych, wiele w samych tylko koszulach; bardzo nieliczne miały na sobie ubiór mniej więcej kompletny. Dalej szły kobiety, każda niemal z

dzieckiem u boku, na przemiany śpiewając Miserere. Wątlność ich głosów, bladość twarzy i malujące się na nich znużenie musiały budzić serdeczne współczucie w każdym przypadkowym nawet widzu. Renzo wpatrywał się w ten pochód, przeglądał szereg za szeregiem, twarz za twarzą, nie przeocząc ani jednej. Kobiety szły tak powoli, że starczało mu czasu w zupełności. Szły i szły, a on patrzył i patrzył — wciąż na próż

no. Rzucił przelotne spojrzenia na dalsze szeregi: było ich już niewiele. Oto już ostatni; przeszły już wszystkie — same nie znane mu twarze. Z głową pochyloną na ramię i bezsilnie opuszczonymi rękami Renzo odprowadzał wzrokiem owe szeregi, podczas kiedy mijały go nowe, złożone z mężczyzn. Uwagę jego zwrócił, budząc nową nadzieję, widok szeregu wozów z ozdowieńcami, nie mającymi jeszcze dość sił na pieszą wędrówkę. Tutaj kobiety były na końcu, konwój posuwał się niezmiernie powoli, tak że i teraz Renzo mógł przyjrzeć się kolejno każdej twarzy.

Ale cóż? Miał go pierwszy, drugi, trzeci wóz, minęły go dalsze — wciąż z tym samym rezultatem, aż do ostatniego, za którym kroczył już tylko kapucyn o surowej twarzy, z kijem w rękę, czuwający nad porządkiem w konwoju. Był to ów ojciec Michele, dodany, jak już wspominaliśmy, ojcu Felice do pomocy.

Tak więc rozviała się w nicłość nadzieja Renza, nie tylko unosząc z sobą owo chwilowe pokrzepienie, ale pozostawiając go, jak to zwykle bywa w takich razach, w gorszym jeszcze niż przedtem stanie. Odnaleźć Lucję chorą — oto było najlepsze, na co mógł jeszcze liczyć. Toteż biedak uchwycił się tej wątłej niteczki z całych sił, odpędzał, jak mógł, rosnący w nim lęk, który zajął miejsce minionej radosnej nadziei. Poszedł spieszenie w stronę, z której przedtem pochód ozdowieńców nadciągnął. Znalazłszy się u stóp kaplicy, ukląkł na ostatnim stopniu i począł się modlić. Dziwna to była modlitwa: chaos urywanych słów, nie dokończonych zdań, wykrzykników, prośb, żalów, obietnic; do ludzi przemawiać tak nie można, nie mają bowiem dość zrozumienia, by pojąć taką mowę, ani dość cierpliwości, by jej słuchać. Nie są dość wielkoduszni, by umieli odczuwać litość bez pogardy.

Podniósł się pokrzepiony trochę. Okrążył kaplicę i znalazł się w innej uliczce, której jeszcze nie widział, a która prowadziła do przeciwległej bramy. Idąc nią zobaczył wkrótce sztachety, tu i owdzie poprzerywane, takie właśnie, jak mu je opisywał ojciec Cristoforo. Wszedł przez jeden z tych otworów i znalazł się na terenie przeznaczonym dla kobiet. Zaledwie uszedł parę kroków, zauważył na ziemi dzwonek, jaki nosili na znak swej funkcji monatti. Przyszło mu na myśl, że mógłby się nim posłużyć niby paszportem; podniósł go z ziemi, rozejrzał się, czy

nikt nie patrzy, i przyczepił go sobie sposobem monattów do nogi. Po czym natychmiast rozpoczął swoje poszukiwanie, które już sama ilość obiektów czyniłaby bardzo uciążliwym, nawet gdyby to były zupełnie inne obiekty; przed jego oczyma zaczęły się przesuwać nowe obrazy niedoli, w dużej mierze podobne do tych, jakie dopiero co oglądał, a zarazem tak bardzo od nich różne. Tutaj bowiem inaczej znoszono to samo nieszczęście, inaczej cierpiano, inaczej, się skarżono i w inny sposób okazywano współczucie i pomagano sobie wzajemnie, toteż i w patrzącym odmienną wzbudzało to litość i odmienną grozę.

Uszedł już spory kawałek drogi bez rezultatu, ale i bez przeszkód; nagle usłyszał z tyłu za sobą okrzyk jakiś i wołanie, które zdawało się być skierowane do niego. Obejrzał się i zobaczył w pewnej odległości komisarza, który machał ku niemu ręką wołając:

— Tam, w izbach potrzebują pomocy; tutaj już wszystko opróżnione!

Renzo zrozumiał, za kogo go wzięto i że to dzwonek wywołał owo nieporozumienie. Zaczął sobie wyrzucać swoją głupotę: że pomyślał tylko o tych kłopotach, jakich może dzięki dzwonkowi uniknąć, a zapomniał o tych, jakich mu ów dzwonek może przysporzyć. Chcąc się uwolnić czym prędzej od natręta, skinął głową na znak, że rozumie i posłucha, i zniknął mu z oczu, wśliznąwszy się pomiędzy szafasy.

Kiedy uznał, że dosyć już się oddalił, pomyślał, że trzeba by pozbyć się niepotrzebnego dzwonka, a chcąc go zdjąć niepostrzeżenie wsunął się w wąskie przejście pomiędzy dwoma szafasami odwróconymi do siebie, że tak rzekę, plecami. Schylił się, by odczepić dzwonek, i gdy tak stał głową dotykając słomianej ścianki szafasu, usłyszał nagle głos... o Nieba! czy to możliwe? Cały zamienił się w słuch wstrzymując oddech... ależ tak, tak! Ten sam głos!...

— Czegóż się bać? — mówił ten głos tak miły — przeszliśmy coś więcej niżli zwykłą burzę. Ten, kto strzegł nas do tej pory, ustrzeże nas i nadal.

Jeśli Renzo nie krzyknął, to nie z obawy, by go nie dostrzeżono, ale dlatego, że tchu mu zabrakło. Nogi się pod nim ugięły, mgła przesłoniła oczy. Była to jednak tylko pierwsza chwila; w mgnieniu oka wyprostował się, ocknął, odzyskał siły. W trzech susach okrążył szafas, przypadł do

wejścia — ujrzał tę, której głos słyszał. Zobaczył ją na nogach, pochyloną nad czymś posłaniem. Na odgłos kroków obejrzała się — wydało jej się, że śni. Spojrzała uważniej i wykrzyknęła:

— O Boże miłosierny!

— Lucja! Znalazłem cię! Widzę cię! Toś ty! Żywa? — mówił Renzo zbliżając się do niej ze drżeniem.

— Boże miłosierny! — powtórzyła Lucja drżąc jeszcze silniej. — To ty? Jak to? Jakim sposobem? Dlaczego? Przecież dzuma!

— Miałem ją. A ty?...

— Ach, ja również!... A moja matka?

— Nie wiedziałam jej, jest w Pasturo. Myślę, że jest zdrowa. Ale ty... jakaś ty jeszcze blada! Jaka wydajesz się słaba!

Czyś ozdrowiała naprawdę, czy zupełnie?

— Bóg zechciał mnie tu jeszcze zostawić. Ach, Renzo! Po coś tu przyszedł!

— Po co? — powtórzył Renzo podchodząc coraz bliżej. — Pytasz mnie po co? Dlaczego musiałem tu przyjść? Czyż trzeba ci to mówić? O kimże ja myślę? Czy nie nazywam się już Renzo? Czy ty nie jesteś Lucja?

— Ach, co ty mówisz, co mówisz! Alboż ci moja matka nie pisała?...

— O, tak: pisała mi, niestety. Piękne rzeczy mi pisała, jakie przystało pisać do nieszczęśliwego, prześladowanego tułacza, który przecie nigdy wam w niczym nie uchybił!

— Ach, Renzo! Renzo! Skoro wiedziałeś... po co przychodzisz? Po co?

— Po co przychodzę? Och, Łucjo! Mówisz mi, po co przychodzę? Po tylu obietnicach? Czyśmy się odmienili? Czy nie już nie pamiętasz? Czy nie było nam dobrze?

— O Boże! — wykrzyknęła boleśnie Lucja załamując ręce i wznosząc oczy ku niebu. — Czemuś mi nie uczynił tej łaski, by mnie do siebie powołać? A ty, Renzo, coś uczynił? Teraz kiedy zaczęłam mieć nadzieję, że kiedyś... z czasem... zapomnę!

— Piękna nadzieja! Piękne słowa rzucasz mi prosto w twarz!

— Ach, coś uczynił! I to tutaj! Wśród tej całej niedoli! Wśród takich widoków! Tu, gdzie nie ma nic prócz śmierci, ty mogłeś...

— Za tych, co umierają, musimy się modlić i wierzyć,

że czeka ich szczęśliwość; ale czyż dlatego słuszne jest, by ci, którzy żyją, żyli w rozpaczach?...

— Ależ, Renzo! Renzo! Nie wiesz, co mówisz. Obietnica dana Madonnie!... Ślubowanie!

— A ja ci powiadam, że są obietnice, które nic zgoła nie znaczą.

— O Boże! Co ty mówisz, Renzo! Gdzieś ty bywał przez cały ten czas? Z kimżeś przestawał? Jak możesz tak mówić?

— Mówię jak dobry chrześcijanin. A o Madonnie lepszego jestem niżli ty mniemania. Wierzę, że niemiłe Jej są obietnice dawane z krzywdą bliźniego. Gdyby to Madonna do ciebie przemówiła, to w takim razie... ale tu, cóż to było? Twój pomysł jeno. Wiesz ty, coś powinna obiecać Madonnie? Że pierwszej naszej córce damy na imię Maria; to gotów jestem przyrzec razem z tobą. To lepszy sposób Jej uczczenia. Taka pobożność więcej ma sensu i nikomu szkody nie przynosi.

— Nie, nie! Nie mów tak. Nie rozumiesz, co mówisz. Nie wiesz, co to znaczy uczynić taki ślub: nie byłeś w takim położeniu, nie doświadczyłeś... Odejdź, odejdź stąd, na miłość boską!

Odsunęła się od niego gwałtownie i poszła w stronę posłania.

— Lucjo! — rzekł Renzo nie ruszając się z miejsca. — Rzeknij mi przynajmniej jedno: gdyby nie owo ślubowanie... czy byłabyś dla mnie ta sama co dawniej?

— Człowieku bez serca! — odpowiedziała odwracając twarz i z trudem powstrzymując łzy. — Chcesz mnie zmusić, bym mówiła słowa niepotrzebne, słowa, co boją i może są nawet grzechem? Wtedy dopiero rad będziesz? Odejdź, och, odejdź! Zapomnij o mnie! Widać nie byliśmy sobie przeznaczeni! Spotkamy się tam, w górze. Nie będziemy może zbyt długo kołatać się po tym świecie. Idź! Postaraj się dać znać mojej matce, że jestem uleczona, że i tutaj Bóg mnie nie opuścił, że tu znalazła pocziwą duszę, tę oto dobrą niewiastę, co mi jest jak matka. Rzeknij jej, że mam tę nadzieję, iż uniknie choroby i że się spotkamy — kiedy i jak Bóg zechce... Idź już, na miłość boską, i nie myśl o mnie, chyba w modlitwie.

I jak ktoś, kto nic więcej nie ma do powiedzenia, nie chce nic słyszeć i ucieka przed niebezpieczeństwem, przysunęła się bliżej posłania, na którym leżała owa kobieta.

— Posłuchaj, Lucjo, posłuchaj! — rzekł Renzo, nadal nie ruszając się z miejsca.

— Nie, nie! Odejdź, przez litość!

— Posłuchaj: ojciec Cristoforo...

— Co?

— Jest tutaj.

— Tutaj? Gdzie? Skąd to wiesz?

— Mówiłem z nim dopiero co. Byłem z nim długo... i myślę, że taki duchowny jak on...

— Jest tutaj! Z pewnością, aby ratować biednych zadzumionych. Ale on? Czy miał dżumę?

— Ach, Lucjo! Lękam się, lękam się, niestety... Renzo zawahał się, trudno mu było wymówić te słowa dla niego bolesne i które musiały być równie bolesne dla Lucji; ona tymczasem odeszła od posłania chorej i zbliżyła się do niego.

— Lękam się, Lucjo, że ma ją właśnie!

— O, biedny, święty człowiek! Ale cóż ja mówię, biedny? Myśmy biedni! Co z nim? Czy leży w łóżku? Czy go kto dogląda?

— Nie, nie leży. Chodzi, dopomaga jeszcze innym. Ale gdybyś go widziała, jak wygląda, jak z trudem się trzyma... kto tyłu widział podobnych, ten się nie myli, niestety...

— O, my nieszczęśliwi! I jest właśnie tu!

— Tak, i niedaleko stąd. Niewiele dalej niż z twego domu do mojego... jeżeli jeszcze pamiętasz...

— O Matko Najświętsza!

— No tak, niewiele dalej. Łacno zgadniesz, żeśmy o tobie mówili. Powiadał mi takie rzeczy... a gdybyś wiedziała, co mi pokazał! Opowiem ci. Ale najpierw muszę ci powtórzyć to, co mi on rzekł własnymi ustami: rzekł mi, że dobrze uczynił przychodząc tu szukać ciebie, że taki postępek miły jest Bogu, który mi też pomoże cię odnaleźć. I tak się stało, jak mi powiadał. A przecież to święty człek. No, sama widzisz.

— Ale jeśli tak mówił, to dlatego, że nie wie...

— A cóż miałby wiedzieć o tym, coś ty z własnej głowy wysnuła, bez zastanowienia, bez niczyjej porady? Rozumny, dobry człowiek jak on nie będzie sobie takimi rzeczami głowy zaprzętał. Ale co on mi pokazał!...

Tu Renzo, opowiedział o odwiedzinach w szalasie don Rodriga. Lucja, mimo że jej dusza i zmysły musiały już się oswoić z wielu wstrząsającymi wrażeniami, słuchała przejęta grozą i litością.

— Również i tam — ciągnął Renzo — mówił jak istny święty. Mówił, że może Pan Bóg chce temu nieszczęśnikowi odpuścić, teraz już nie potrafię inaczej go nazywać, jeno czeka sposobnej chwili... że czeka, byśmy oboje razem pomodlili się za niego... razem, czy pojmujesz?

— Tak, tak, będziemy się modlili, każde tam, gdzie mu Bóg żyć przeznaczy. Modlitwy nasze On sam pozbiera...

— Ale skoro ci powtarzam jego słowa!... — Renzo, on przecież nie wie...

— Czyż nie pojmujesz, że kiedy święty mówi, to sam Bóg przemawia przez niego? I że nie mówiłby, gdyby tak być nie miało? A cóż się stanie z duszą tego biedaka? Tak, ja się modliłem za niego i jeszcze będę się modlił. Modliłem się całym sercem, jak za rodzonego brata. Ale jakże chcesz, by on żył na tamtym świecie, biedaczek, jeśli na tym tutaj sprawy tej nie uładzi, jeśli nie będzie naprawione zło, które on sprawił? Jeżeli ty powrócisz do rozsądku, tedy wszystko będzie jak dawniej. Co było, to było; on za grzechy odpokutował na tym jeszcze świecie...

— Nie, Renzo, nie. Pan Bóg nie żąda od nas, byśmy źle czynili po to, by On okazał miłosierdzie. Bogu to pozostaw. My jeno prosić Go możemy. Gdybym była umarła owej nocy, czyż Bóg nie mógłby mu już przebaczyć? A jeśli nie umarłam, jeśli zostałam uwolniona...

— A matka twoja? Ta dobra Agnese, co mi zawsze była tak życzliwa i tak pragnęła widzieć nas mężem i żoną? Czy ona nie mówiła ci tak samo, że nie masz słuszności? Ona, która tylekroć w życiu przemawiała ci do rozsądku, bo w wielu rzeczach miała go więcej od ciebie...

— Moja matka! Moja matka miałaby nakłaniać mnie do złamania ślubu? Ależ, Renzo! Nie wiesz, co mówisz!

— Ach, wiesz ty, co ci rzeknę? Wy, kobiety, zgoła się na tych rzeczach nie rozumiecie. Ojciec Cristoforo kazał mi przyjść i powiadomić go, czym cię odnalazł. Idę: zobaczymy, co też on o tym powie...

— O, tak, tak, idź do niego. Powiedz, że modlę się za niego, i prosz, niechaj on za mnie się modli, tak bardzo mi tego potrzeba! Ale na miłość boską, na zbawienie twojej

i mojej duszy, nie przychodź tu więcej przysparzać mi bólu... i wodzić na pokuszenie. Ojciec Cristoforo, o, on potrafi ci wy tłumaczyć wszystko, przywieść do zastanowienia, uciszyć twoje serce.

— Uciszyć moje serce! Och, to, to już wybij sobie z głowy. Jużeś mi raz kazała tę dobrą radę napisać. Ja jeden wiem, jakiej się wtedy najadłem zgryzoty. A teraz masz jeszcze serce mi to powtarzać? A ja ci powiadam krótko i węzłowato: moje serce nigdy się nie uciszy. Ty chcesz mnie zapomnieć, ale ja ciebie zapomnieć nie chcę. I to ci jeszcze powiadam: jeśli przez ciebie rozum stracę, to go już i nie odzyskam. Do diabła z rzemiosłem, do diabła z uczciwym życiem.

Chcesz mnie skazać na to, bym żył jak szaleniec: będę żył jak szaleniec... A ten nieszczęsny... Bóg widzi, żem mu z serca przebaczył; ale ty... Chcesz, bym do śmierci wciąż myślał o tym, że gdyby nie on... Lucjo! Kazałaś mi siebie zapomnieć. Zapomnieć ciebie! Jakże miałbym to uczynić? O kimże to ja rozmyślałem przez cały ten czas?... I po tym wszystkim... po tylu obietnicach? Cóżem ci Uczynił od czasu, jakieśmy się rozstali? Czy dlatego, żem cierpiał, taka jesteś dla mnie? Dlatego, że na mnie spadło nieszczęście? Że mnie świat prześladował? Żem tyle czasu wygnany był z własnego domu, smutny, za tobą tęskniący? Żem z pierwszej sposobności skorzystał, by tu wrócić i szukać ciebie? Lucja, której płacz zaledwie pozwalał słowo wydobyć, złożyła znowu ręce i, wznosząc ku górze pełne łez oczy, zawołała:

— O Najświętsza Panienko, dopomóż mi! Ty wiesz, żem od owej nocy takiej bolesnej chwili nie przeżyła. Przysłaś mi wtedy z pomocą, racz przyjść i teraz!

— Tak, Lucjo; dobrze czynisz, że wzywasz Madonny. Ale jak możesz myśleć, że Ona, taka dobra, Matka miłosierdzia, może się cieszyć, kiedy cierpimy... ja przynajmniej... z powodu jednego nieopatrzego słowa, które ci się wyrwało, kiedyś nie wiedziała nawet, co mówisz? Czy sądzisz, że wyratowała cię wtedy, by cię później za to w zgryzocie pograć? A jeżeli to jeno wymówka, jeżeli ci obrzydł... to powiedz mi to... powiedz jasno...

—Przez litość, Renzo, przez litość, przez miłość do twoich drogich zmarłych, przestań, przestań; nie przyprawiaj mnie o śmierć... niedobra to po temu chwila... idź do

ojca Cristoforo, poleć mnie jego pieczy i nie wracaj więcej, nie wracaj więcej!

— Idę. Ale nie myśl, że nie wrócę. Wrócę, choćby z końca świata, wrócę!

I poszedł.

Lucja usiadła, a raczej opadła bezsilnie na ziemię obok posłania. Oparwszy o nie głowę płakała rozpaczliwie. Kobieta, która do tej pory leżała cichutko, ale oczy i uszy miała otwarte, spytała, kto to był, co znaczy ta sprzeczka i ten płacz. Ale może czytelnik zapyta ze swej strony, kim ona była? Niewiele słów potrzeba, by tę ciekawość zaspokoić.

Była to żona zamożnego kupca, mniej więcej trzydziestoletnia. W przeciągu kilku dni patrzyła własnymi oczyma na śmierć męża i wszystkich dzieci. Wkrótce potem zapadła na dzumę sama. Przeniesiono ją do lazaretu i umieszczono w tej chatce, w czasie kiedy Lucja nie wiedząc wcale

o tym przewyciężyła już chorobę i również nieświadomie niejedną raz zmieniła współmieszkanekę, a teraz zaczynała po trochu przychodzić do siebie; od początku choroby, jeszcze w domu don Ferranta, leżała całkowicie nieprzytomna. Chatka mogła pomieścić tylko dwie osoby; toteż pomiędzy tymi dwiema, srodze dotkniętymi, opuszczonymi, oszołomionymi nieszczęściem, samotnymi pośród tych tłumów, szybko zrodziła się zażyłość i przywiązanie, jakie w zwykłych czasach tylko długie wspólne życie mogłoby wytworzyć. Wkrótce już Lucja była w stanie doglądać nieco towarzyski, której stan był bardzo ciężki. Później, kiedy i tamta znalazła się już poza niebezpieczeństwem, dotrzymywały jedna drugiej towarzystwa i wzajemnie się sobą opiekowały. Przyrzekły sobie nie opuścić lazaretu inaczej niż razem. Postanowiły też nie rozstawać się i potem. Kupcowa, która pozostawiła pod opieką brata, jednego z komisarzy Urzędu Zdrowia, dom, sklep i kasę, wszystko to suto zaopatrzone, miała teraz stać się wyłączną i bardzo osamotnioną panią znacznie większej fortuny, niż jej sama dla siebie mogła potrzebować. Chciała więc zatrzymać Lucję przy sobie jak córkę czy młodszą siostrę. Lucja przystała na to, wdzięczna niezmiernie zarówno jej, jak i Opatrzności. Oczywiście jednak tylko do czasu, kiedy będzie mogła porozumieć się z matką i dowiedzieć się, co ona o tym sądzi. Skryta jak zawsze, nie zwierzyła się zresz

tą ani słowem nowej przyjaciółce ze swego narzeczeństwa ani z niezwykłych swych przygód. Teraz jednak, w tym zamęcie gwałtownych uczuć pragnęła znaleźć ulgę w zwierzeniach, tak samo jak tamta ciekawa była je usłyszeć. Toteż ująwszy w obie ręce prawą dłoń przyjaciółki zaczęła opowiadać nie powstrzymywana już niczym oprócz własnego szlochu.

Renzo tymczasem szedł spiesznie ku tej części lazaretu, gdzie działał brat Cristoforo. Rozglądał się i zastanawiał, nie obeszło się też bez zawracania parokrotnie tą samą drogą, wreszcie jednak trafił. Znalazł chatkę, mnicha w niej jednak nie zastał. Zaczął go szukać w okolicy i znalazł w jednym z baraków, pochylonego nisko, prawie leżącego na ziemi, dodającego otuchy konającemu. Po chwili zamknął temu biedakowi oczy, dźwignął się na kolana, modlił się chwilę, wreszcie wstał. Renzo zbliżył się.

— O! — rzekł mnich na jego widok. — No i co?

— Jest. Znalazłem ją.

— W jakim stanie?

— Uleczoną; już w każdym razie na nogach.

— Bogu niech będą dzięki!

— Ale — powiedział Renzo przysuwając się tak blisko, by mogli rozmawiać półgłosem — jest inne zmartwienie.

— Cóż takiego?

— Chcę rzec, że... ojciec wie przecie, jaka to dobra dziewczyna; ale czasami... czasami zanadto uparcie trzyma się tego, co sobie obmyśli. Po tylu obietnicach, po tym wszystkim, co się działo, wie ojciec przecie, ona teraz mówi, że nie może być moją żoną, i Bóg wie co opowiada; owej nocy — no cóż? — miała rozpaloną głowę, rzecz jasna... ofiarowała się jakoby Madonnie. Nie ma w tym sensu, czyż nie tak? Dobrze to dla ludzi uczonych, dla tych, co nad tym dobrze się namyślą, ale dla nas, prostych ludzi, co nawet nie wiemy, jak takie ślubowanie robić należy... czyż nieprawda, że to nie ma zgoła znaczenia?

— Powiedz mi, czy ona daleko stąd?

— O, nie. Parę kroków za kościołem.

— Poczekaj na mnie chwilę — rzekł mnich. — Pójdziemy tam razem.

— I ojciec jej wytłumaczy...

— Nic jeszcze nie wiem, synu. Od niej to muszę usłyszeć.

— Pojmuję — rzekł Renzo. Stał z głową spuszczoną i założonymi na piersi ramionami i przetrwał swoje obawy, bynajmniej nie zlagodzone.

Zakonnik poszedł szukać znowu owego ojca Vittore, poprosił o zastąpienie go raz jeszcze, wstąpił do swojej chatki, ukazał się z sakwą przewieszoną przez ramię i rzekł do Renza:

— Idziemy.

Ruszył przodem, kierując się najpierw w stronę tego samego szałas, do którego weszli poprzednio obaj. Tym razem zajrzał sam do wnętrza i wyszedł po krótkiej chwili mówiąc:

— Nic jeszcze. Módlmy się. — Po czym dodał: — Teraz ty mnie prowadź.

I poszli.

Tymczasem ściemniało się coraz bardziej, czarne chmury zwiastowały pewną już i bliską nawałnicę. Potężne błyskawice rozdzierały ciemność oświetlając na jedno mgnienie oka długie, jakby nie kończące się dachy i łuki portyków, kopułę kościołka i niziutkie daszki szałasów. Grzmoty wybuchały nagłym łoskotem i przewalały się z

głuchym pomrukiem z jednej strony nieba na drugą. Młodzieniec szedł przodem, uważnie badając drogę; spieszo mu było dojść do celu, zwalniał jednak kroku dostosowując swój chód do sił towarzysza. Ten zaś, wyczerpany trudami, zmorzony chorobą, dusząc się w parnym powietrzu, szedł z trudnością; raz po raz wznosił wychudłą twarz ku niebu jakby dla zaczerpnięcia głębszego oddechu.

Renzo dojrzał na koniec chatkę, do której szli. Stał, odwrócił się i powiedział drżącym głosem: . — To tu.

Wchodzą...

— Oto oni! — wykrzykuje leżąca na posłaniu kobieta. Lucja odwraca się, zrywa gwałtownie, podbiega do starca wołając:

— Och, kogóż widzę! O ojcie Cristoforo!

— No, Lucjo! Z jakichże opresji wywiódł cię Pan! Wielce się musisz radować, żeś zawsze w Nim pokładała nadzieję.

— O, tak! Ale ojciec? O, ja nieszczęsna, jakież ojciec zmieniony! Jakże się ojciec ma? Proszę, proszę mi rzec!

— Wedle woli bożej, a także, dzięki Niebu, i mojej —

odpowiedział z pogodną twarzą. Po czym, odciągnąwszy ją na bok, dodał szeptem: — Słuchaj! Mogę tu pozostać krótką jena chwilę. Czyś gotowa zwierzyć mi wszystko, jak dawniej?

— A czyliż ojciec nie jest, jak dawniej, moim ojcem duchownym?

— A zatem, córko, co to za ślub, o jakim powiadał mi Renzo?

— To obietnica, którą uczyniłam Madonnie... w niezmiernej udręce... że się wyrzekam zamęścia.

— Biedactwo! Czyliżes nie pomyślała wtedy, żeś związana innym przyrzeczeniem?

— Chodziło przecież o Boga i o Madonnę!... nie, nie pomyślałam...

— Bogu, moja córko, miłe są obietnice i ofiary, które od siebie samych składamy. Trzeba tu serca, trzeba wolnej woli.

A ty zaliż mogłaś ofiarować Mu wolę cudzą, wolę człowieka, z którym się przedtem dobrowolnie związałaś?

— Czym grzesznie postąpiła?

— Nie, o to się nie trap, biedaczko. Ja wierzę, że Najświętsza Panienska rada była owej intencji twego udręczonego serca i ofiarowała ją Bogu za ciebie. Ale powiedz mi, czyś nigdy nikogo nie poradziła się co do tej rzeczy?

— Nie myślałam, by to było coś takiego, z czego się powinnam spowiadać; a wiem przecie, że jeśli można coś dobrego uczynić, to nie ma po co o tym rozpowiadać.

— I nie ma żadnej innej przyczyny, która by ci wzbraniała dotrzymać danego Rencowi przyrzeczenia?

— Co do tego... ja... jakaż mogłaby być przyczyna? Nie umiałabym nic rzec, doprawdy... — wyrzekła Lucja z wahaniem, które zgoła co innego oznaczało niż brak pewności swych uczuć. Twarz jej, blada jeszcze wskutek choroby, rozkwitła nagle żywym rumieńcem.

— Czy wierzysz — podjął starzec opuszczając wzrok ku ziemi — że Bóg dał swemu Kościołowi władzę powstrzymywania i rozwiązywania, jeśli wyższe dobro tego wymaga, wszelkich przyrzeczeń i zobowiązań składanych Mu przez ludzi?

— Tak, wierzę w to.

— Wiedz tedy, że my, których posłano, byśmy mieli pieczę nad duszami ludzi w tym miejscu zgromadzonych, ma

my wszelką władzę, jaką Kościół rozporządza. Mogę więc, jeśli o to poprosisz, zwolnić cię z twego ślubowania i z wszelkich zobowiązań, jakie z racji tego ślubowania podjąć mogłaś.

— Ale... czy to nie grzech cofać się, żalować obietnicy złożonej Madonnie? Ja przecież uczyniłam ją wtedy ze szczerego serca... — szepnęła Lucja, oszłamona i wstrząśnięta tą niespodziewaną, musimy tu zaznaczyć, nadzieją, a zarazem miotaną lękiem, bo przecież od tak dawna każdą myśl obracała na stłumienie tej nadziei.

— Grzech, córko? — powtórzył mnich. — Grzechem ci się wydaje odwołać się do Kościoła i prosić jego sługę, by użył władzy, jaką mu Kościół przekazał, otrzymawszy ją od Boga? Toć patrzyłem na was oboje, widziałem, jak usilnie dążyliście do tego, by się połączyć. Zaiste, jeśli kiedy sądził o dwojgu ludziach, że ich Bóg złączył, to chyba o was. Nie widzę, czemu Bóg miałby was teraz rozłączyć? Dziękuję Mu za to, że dał mi moc przemawiania Jego imieniem i zwrócenia ci twego słowa. I jeśli tylko poprosisz mnie o rozwiązanie twego ślubowania, bez wahania uczynię zadość twemu życzeniu. A nawet pragnę szczerze, byś to uczyniła.

— Zatem... zatem... proszę o to — powiedziała Lucja z rozjaśnioną twarzą, której nie mąciło już nic prócz dziewczęcego zawstyżenia.

Mnich skinął na młodzieńca, który stał w najdalszym kącie chatki przypatrując się, jako że nic mu więcej nie pozostawało, z napięciem tej rozmowie, od której tak wiele dla niego zawisło. A kiedy się zbliżył, ojciec Cristoforo przemówił głośno do Lucji:

— W imię Kościoła orzekam cię uwolnioną od ślubu dziewictwa, nieważnym czynię wszystko, co byłoby w tym ślubie nie rozważonego i rozwiązuję wszelkie zobowiązania, jakie zeń wyniknąć mogły.

Wyobraźcie sobie, czytelnicy, jak słowa te zabrzmiały w uszach Renza. Wzrokiem gorąco podziękował temu, kto je wypowiedział, i poszukał spojrzeniem oczu Lucji, lecz na próżno.

— Ze spokojem w duszy możesz powrócić do dawnych myśli i zamiarów — ciągnął dalej kapucyn. — Proś Boga, jak prosiłaś Go dawniej, by pozwolił ci być dobrą żoną.

I ufaj, że nie poskąpi ci On swych łask po tym wszystkim,

coś przeszła. Ty zaś — tu zwrócił się w stronę Renza — pamiętaj, synu, że Kościół oddaje ci tę towarzyszkę życia nie dla doczesnej i światowej uciechy, która choćby nawet najpełniejsza i nie zamacona żadnym strapieniem, musi kiedyś zakończyć się wielkim bólem w chwili rozstania; ale po to, byście wspólnie kroczyli drogą tej szczęśliwości, która nie zna kresu. Miłujcie się jak dwoje towarzyszy wędrownicy, którzy wiedzą, że przyjdzie im się rozstać, ale mają zarazem nadzieję spotkać się znowu już na zawsze. Dziękujcie Niebu, które przywiodło was do tego stanu nie poprzez hałaśliwe i przemijające radości, ale przez trudy i udręki, by was godnie przysposobić do spokojnej, trwałej radości. Jeśli Bóg obdarzy was dziećmi, starajcie się wychować je dla Niego, zaszczerpić im miłość do Niego i miłość do wszystkich ludzi; wówczas i we wszystkim innym dobrze nimi pokierujecie. Lucjo, czy powiedział ci — tu wskazał na Renza — kogo tu oglądał?

— Och, ojczu, powiedział!

— Módlcie się za niego! Nie ustawajcie w modlitwie. I za mnie módlcie się także, dzieci... chciałbym, byście mieli jakąś pamiątkę po ubogim bracie.

To mówiąc wydobyl z sakwy szkatuleczkę ze zwykłego drzewa ale utoczoną i wypolerowaną z kapucyńską starannością.

— Tu wewnątrz — rzekł — jest resztką tego chleba... pierwszego chleba otrzymanego jako jałmużnę; tego, o którym, słyszeliście kiedyś. Zostawiam go wam: zachowajcie go, pokażcie go swoim dzieciom. Narodzą się one na smutnym świecie i w smutnych czasach, pośród pyszałków i podżegaczy do złego. Uczcie je, by przebaczały zawsze, zawsze! wszystko, wszystko! I niech się modlą i one za biednego mnicha! — Podał szkatulkę Lucji, która przyjęła ją ze czcią niby relikwię. Po czym rzekł spokojniejszym już głosem: — A teraz powiedz, masz tu w Mediolanie jakieś oparcie? Dokąd myślisz się udać po wyjściu stąd? Kto odprowadzi cię do matki, którą oby Bóg zechciał w zdrowiu zachować? — Ta oto dobra pani zastępuje mi matkę; wyjdziemy stąd razem i już ona o wszystkim pomyśli.

— Niech ją Bóg błogosławi — rzekł mnich zbliżając się do postania.

— Ja zaś dziękuję wam, ojczu — powiedziała wdowa —

za tę radość, którą przynosicie tym biedakom; chociaż ja rada byłabym zatrzymać przy sobie na zawsze tę drogą Lucję. I zatrzymam ją na razie, odwiozę ją do jej wsi i oddam matce. A również — dodała zniżając głos — chciałabym ofiarować jej wyprawę. Mam aż nadto wszelkiego dobra, a z tych, którzy mieli go wraz ze mną używać, nie ostał się nikt!

— W ten sposób — odpowiedział kapucyn — możecie, pani, złożyć ofiarę Bogu i wiele dobrego bliźnim wyświadczyć. Nie polecam waszemu sercu tej dziewczeczki, bo widzę, że dla was jest niby rodzona córka. Mogę jeno chwalić Pana, który okazuje się ojcem nawet pośród klęski i który zrządził, byście się obie spotkały, dając tym tak jednej, jak drugiej dowód swej miłości. No — rzekł nagle, zwracając się do Renza i biorąc go za rękę — my obaj nie mamy tu nic więcej do roboty; aż nadto długo tu jesteśmy. Idziemy.

— Ach, ojcze! — rzekła Lucja. — Czy zobaczymy się jeszcze? Ja jestem uleczona, ja, która niczego dobrego na tym świecie nie dokonałam; a ojciec...

— Od dawna już — odpowiedział starzec z powagą pełną łagodności — proszę Boga o tę niezmierną łaskę, by dane mi było zakończyć życie w służbie moich bliźnich. Jeśli mi teraz tej łaski zechce udzielić, trzeba, żeby wszyscy, którzy mi są życzliwi, dziękowali Mu wraz ze mną. A teraz dajże Renzowi swoje zlecenie dla matki.

— Opowiedz jej wszystko, coś tu widział — rzekła Lucja narzeczonemu — żem tu znalazła drugą matkę, że powrócę z nią razem jak najrychlej i że wierzę, wierzę mocno, że matkę w zdrowiu zastanę.

— Jeśli ci trzeba pieniędzy — rzekł Renzo — mam tu ze sobą to wszystko, coście mi przysłały, i...

— Nie, nie — wtrąciła się wdowa. — Ja ich mam aż nadto.

— Idziemy — powtórzył mnich.

— Do widzenia, Lucjo!... i wy także, dobra pani — rzekł Renzo nie znajdując słów mogących wypowiedzieć to, co czuł.

— Kto wie, czy Bóg uczyni nam tę łaskę, byśmy się jeszcze wszyscy zobaczyli! — wykrzyknęła Lucja.

— Niechaj będzie On zawsze z wami i błogosławi

wara — dodał ojciec Cristoforo i wyszedł wraz z Renzem z szałas.

Miało się już ku wieczorowi, a wygląd nieba zwiastował coraz bliższy wybuch burzy. Kapucyn zaproponował raz jeszcze Renzowi, żeby przepędził tę noc w jego chatce.

— Towarzystwa nie mogę ci dotrzymać, ale będziesz miał przynajmniej dach nad głową — mówił.

Ale Renzowi spieszo było odejść. Nie chciał dłużej pozostawać w podobnym miejscu, skoro i tak nie miałby widzieć już Lucji ani nie mógłby przebywać z zacnym mnichem. A co się tyczy późnej pory i burzliwej pogody, śmiało rzec można, że noc czy dzień, słońce czy deszcz, lekki zefirek czy wichur północny nie sprawiały Renzowi w owej chwili żadnej różnicy. Podziękował więc mnichowi mówiąc, że chce możliwie najprędzej ruszyć na poszukiwanie Agnese. Kiedy doszli do głównej ulicy lazaretu, brat Cristoforo uściskał mu rękę i rzekł:

— Jeżeli znajdziesz, co oby Bóg dał, tę pocziwą Agnese, pozdrów ją także ode mnie. I powiedz jej i wszystkim, którzy pozostali przy życiu, a pamiętają jeszcze brata Cristoforo, by się za niego modlili. Bóg niech cię prowadzi i zawsze ci błogosławi.

— Ach, drogi ojcze! Zobaczymy się jeszcze, prawda?

— Tam w górze, mam nadzieję.

Z tymi słowami rozstali się. Renzo stał spoglądając za nim, dopóki go z oczu nie stracił, potem ruszył spieszenie w stronę bramy, rzucając na prawo i lewo ostatnie współczujące spojrzenia na to królestwo niedoli. Panował tam wszędzie jakiś niezwykły ruch, monatti biegali tu i tam, przenoszono rzeczy, umacniano zasłony baraków, ozdrowieńcy wlekli się z wysiłkiem ku nim oraz ku portykom chcąc schronić się przed nadchodzącą burzą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Istotnie, zaledwie Renzo przeszedł próg lazaretu i skręcił w prawo chcąc trafić na dróżkę, która rano doprowadziła go do murów, rzadkie, a ciężkie krople zaczęły padać na kształt gradu; uderzały o białą, wyschłą drogę i odskakiwały, wznosząc obłoczki pyłu. Po chwili krople stały się gęstsze, a zanim wszedł na ową dróżkę, lało już jak z cebra. Renzo nie przejmował się tym — brnął przez ulewę ciesząc się nagłą świeżością, szumem deszczu, szmerem traw i liści, które drżały, ociekały wodą, błyszczały odmłodzoną zielenią. Oddychał głęboko, pełną piersią, wśród tego odprężenia przyrody tym żywiej odczuwając zmianę, jaka dokonała się w jego losie. O ileż pełniejsza jeszcze byłaby jego radość, gdyby mógł odgadnąć to, co się okazało w kilka dni później: że ta ulewa splukała resztki zarazy, że od tej chwili lazaret, jeśli nie zdołał powrócić do życia tych wszystkich, których mieścił w danym momencie, to w każdym razie nie pochłaniał już nowych ofiar; że w ciągu najbliższego tygodnia miały się pootwierać zabite drzwi domów i sklepy, że o kwarantannie prawie się już nie mówiło, a tylko gdzieś kryły się jeszcze resztki zarazy, jakie zawsze wlokły się po takiej klęsce jeszcze przez czas dłuższy niby ogon za kometą.

Nasz młody wędrowiec szedł więc wesoło, nie zastanawiając się wcale gdzie, jak i kiedy zatrzyma się na nocleg, myśląc tylko o tym, by iść szybko, dotrzeć jak najprędzej do swojej wsi, mieć przed kim się wygadać, opowiedzieć wszystko i wyruszyć nie zwlekając do Pasturo, aby tam odszukać Agnese. Szedł mając w głowie szalony zamęt myśli po przeżyciach ubiegłego dnia. Ale spośród wspomnień okropności, nieszczęść i niebezpieczeństw przebijała

i wypływała wciąż na powierzchnię myśl jedna: „Odnalazłem ją; jest zdrowa; jest moja!” Na tę myśl nie mógł się powstrzymać od podskoku, rozpryskując dokoła siebie wodę jak pudel po wyjściu z kąpeli. Czasami poprzestawał na pełnym zadowoleniu zatarciu rąk i szedł dalej z nowym zapalem. Rozglądał się po drodze, zbierając na niej — jeśli tak rzecz można — myśli, jakie na niej pozostawił rano i dnia poprzedniego, kiedy szedł do miasta. A z największą radością przypominał sobie te, które najusilniej starał się przedtem od siebie odpędzać — wątpliwości i piętrzące się przed oczyma trudności: odnaleźć ją, odnaleźć ją żywą pośród tyłu, tyłu umarłych i konających! „A ja ją żywą znalazłem!” — kończył tę myśl, pełen tryumfu.

Wracał pamięcią do najokropniejszych momentów tego dnia; widział siebie u drzwi z kołatką w ręku: jest tu czy jej nie ma? Słyszał ponurą odpowiedź, jaką mu dano. I nawet nie zdążył jej przemyśleć, kiedy rzucił się na niego ów tłum bezprzytomny a niegodziwy. A później lazaret, to morze, w którym usiłował odszukać Lucję! A przecież znalazł ją! Wspomnił tę chwilę, kiedy minął go pochód ozdowieńców. Co za chwila! Jaki ból, że jej wśród nich nie było. Przez chwilę nic go już nie obchodziło. A potem — ta dzielnica niewieścia. I nagle z tyłu za szalasem, kiedy najmniej się tego spodziewał, ten głos, jej głos! I zobaczył ją, zobaczył ją zdrową! Ale cóż? Był jeszcze ten węzeł nie rozplątany, to ślubowanie, groźniejsze, niż mu się przedtem wydawało. Wreszcie i to rozwiązane. A nienawiść do don Rodriga? Ten wieczny cierń, który każde zmartwienie pogarszał i zaprawiał trucizną każdą radość — i to także rozwiało się nagle. Tak, że trudno byłoby wyobrazić sobie większą radość, gdyby nie brak wiadomości o Agnese, smutne przeczucie co do ojca Cristoforo i ta dżuma, która jeszcze nie wygasła.

Pod wieczór przybył do Sesto; zdawało się, że deszcz nigdy nie ustanie. Ale Renzo czuł się pełen sił, a że znaleźć nocleg byłoby bardzo trudno, zwłaszcza komuś tak przemokniętemu i zaszarganemu, nawet nie myślał go szukać. Jedyne, co mu dokuczało, to silny głód. Wielka doność, jakiej doznał, pomogłaby mu strawić znacznie więcej niż chudą polewkę kapucyna. Rozglądał się więc, czy nie dojrzy gdzie sklepu piekarza. Znalazł go w końcu; podano mu szczypcami dwa chlebki z zachowaniem wszelkich

ostrożności. Jeden wsunął do kieszeni, drugi napoczął od razu — i w drogę.

Kiedy przechodził przez Monzę, noc już była zupełna. Mimo to udało mu się odszukać bramę wiodącą na właściwą drogę. To, że była właściwa, stanowiło niewątpliwie jej wielką zaletę; poza tym jednak możecie sobie wyobrazić, co to była za droga i jaką się stawiała z każdą chwilą! Wgłębiona pomiędzy dwa spadziste boki (podobnie jak wszystkie inne w tej okolicy, o czym wspominaliśmy już poprzednio), tworzyła coś w rodzaju koryta rzeki, teraz zaś przypominała, jeśli nie rzekę, to co najmniej kanał. Co krok kałuże tak głębokie, że nie tylko buty, ale i nogi trudno było z nich wyciągać. Ale Renzo przechodził je, jak mógł, nie czując nawet zniecierpliwienia, nie klnąc ani lamentując. Myślał sobie, że każdy krok, choćby najuciążliwszy, zbliża go przecież do celu; że deszcz ustanie, kiedy się Panu Bogu spodoba, że dzień zaświta we właściwym czasie, a drogę, na której teraz tak się męczył, będzie miał już wtedy poza sobą.

Co prawda, myślał o tych rzeczach tyle tylko, o ile okoliczności zmuszały go do tego. Odrywały go one od przedmiotu, jakim jego umysł całkowicie był pochłonięty; Renzo odtwarzał sobie w pamięci smutne dzieje ostatnich lat: tyle zmartwień, tyle przeciwności, tyle chwil, w których tracił już wszelką nadzieję, kiedy wszystko uważał za przepadłe. Przeciwstawiał teraz tym wspomnieniom obrazy przyszłości tak bardzo odmienne: powrót Lucji do domu, wesele, urządzenie nowego domu, nie kończące się opowiadania o tym, co oboje przeszli — całe dalsze życie wreszcie. Jak to się działo, że ilekroć znalazł się na rozstaju, wybierał właściwą drogę; czy kierował się swoją znikomą znajomością okolicy i dostrzegał coś w zupełnej niemal ciemności, czy też zgadywał tylko na chybił trafił, nie umiałbym powiedzieć. On sam, który lubił opowiadać swoją historię bardzo szczegółowo i raczej rozwlekle (wszystko wskazuje na to, że nasz anonim słyszał ją z jego ust niejednym razem), on sam tedy mawiał, że całą tę noc pamięta tak mgliście, jakby ją przeżył we śnie. Faktem jest, że kiedy miała się ku końcowi, Renzo stanął na brzegu Addy. Nie przestało jeszcze padać. Ale ulewa przeszła stopniowo w deszcz, deszcz zaś w drobniutką, cichutką, jednostaj

ną mrzawkę. Wysokie i przeredzone obłoki tworzyły zasłonę nieprzerwaną wprawdzie, ale lekką i przejrzystą. Błady świt ukazał Renzowi okolicę. Był to już jego rodzinny krajobraz. Co czuł na ten widok, trudno byłoby opisać. Powiem tylko tyle, że te góry, pobliski Resegone, okręg Lecco — wszystko to wydało się Renzowi niezmiernie bliskie i własne. Rzucił okiem na siebie samego i zdziwił się, jak dalece jego wygląd zewnętrzny odbiegał od stanu jego ducha.

Wszystko na nim było zniszczone, podarte; od czubka głowy do pasa ociekał wodą niby rynna, od pasa do stóp — muł i błoto. Drobnymi plamkami wydawały się miejsca widne spod błotnej pokrywy. Gdyby Renzo mógł zobaczyć się cały w zwierciadle, w kapeluszu zwiotczałym i obwisłym, z długimi kosmykami włosów lepiącymi się do twarzy, nabrałby jeszcze gorszego mniemania o swoim wyglądzie. Co do zmęczenia, to zapewne był rzeczywiście zmęczony, nic o tym jednak nie wiedział. Świeżość poranka przydana do chłodu deszczowej nocy oraz kompletne przemoknięcie dodawały mu tylko zapału do tym szybszego marszu.

Dotarł już do Pescate i szedł wzdłuż ostatniego odcinka Addy, ze smutkiem spoglądając na mijane z dala Pescarenico. Przebył most i idąc drogami i polami dotarł do domu przyjaciela, gdzie się poprzednio zatrzymał. Gospodarz właśnie się obudził i stał w drzwiach rozglądając się, jaka jest pogoda. Naraz ujrzał obłożoną, ochlapaną do niemożliwości postać, powiedzmy wręcz: niechlujną, mimo to żwawą i radosną. Nigdy w życiu nie widział człowieka bardziej obdartego i zarazem bardziej rozradowanego.

— Hej! — powiedział. — Już z powrotem? I w taki czas? Jakże ci się powiodło?

— Jest! — rzekł Renzo. — Jest! Jest! — ' Zdrowa?

— Uleczona, co lepsze. Będę za to póki życia dziękował Bogu i Madonnie. Niestychane, zadziwiające rzeczy!

Opowiem ci wszystko potem.

— Aleś obdarty!

— Pięknie wyglądam, co?

— Prawdę mówiąc, to, co masz u góry, starczyłoby na zmycie tego, co masz u dołu. Ale zaczekaj; wnet zrobię ci dobry ogień.

— Nie odmawiam. Wiesz, gdzie mnie to złapało? Tuż za bramą lazaretu. Ale to nic! Pogoda sobie, a ja sobie. Przyjaciel wyszedł i powrócił z dwoma nareczami chrustu. Jedno złożył na ziemi, drugie na palenisku i resztkę pozostałego z wieczora żaru szybko rozdmuchał w wesoły płomień. Renzo tymczasem zdjął kapelusz, otrząsnął kilkakrotnie z wody i rzucił na ziemię. Potem nie bez trudu ściągnął z siebie kaftan. Z kieszeni spodni wydobyl nóż, którego pochwa zupełnie rozmiękła od wody, i położył go przy sobie na ławce;

— Temu także nieźle się dostało — rzekł — ale to tylko woda! Tylko woda, Bogu dzięki... A byłem już o włos od...

Później ci opowiem. — zatarł ręce, rad z siebie. — A teraz oddaj mi jeszcze jedną przysługę — dodał. — Przynieś mi z góry to zawiniątko, którym tu u ciebie zostawił, nim wyschnie to wszystko, co mam na grzbiecie.

Gospodarz przyniósł tobolek i rzekł:

— Myślę, że i apetyt masz niezgorszy; bo choć picia po drodze pewnie ci nie zbrakło, to za to jedzenia...

— Kupiłem sobie dwa chleby wczoraj wieczorem, ale prawdę mówiąc, ani na jeden ząb mi nie starczyły.

— Zdaj się na mnie — rzekł przyjaciel; nalał wody do kociołka, zawiesił go na łańcuchu nad ogniem i dodał: — Pójdę teraz doić; jak wrócę z mlekiem, woda będzie gotowa i zrobi się dobrą polentę. A ty rozgość się tu tymczasem.

Zostawszy sam Renzo z trudem pozbył się reszty odzienia, które wręcz przykleiło mu się do ciała, wytarł się i ubrał świeżo od stóp do głów. Przyjaciel wrócił i zakrzętała się około swego kociołka, a Renzo usiadł w oczekiwaniu posiłku.

— Teraz czuję, że zmęczony — powiedział. — Nieżył to był marsz. Ale to jeszcze nic. Mam dość do opowiadania na cały dzień. Okropnie wygląda ten Mediolan! Czegóż się tam człowiek nie napatrzy, czego nie musi dotykać! Aż bierze obrzydzenie do samego siebie. Szczerze mówię — przydało mi się to pranie, com je miał przez całą drogę. Ale ci panowie tam, to dopiero chcieli mi sprawić łaźnię! Opowiem ci. A gdybyś widział ten lazaret! Człek głowę traci patrząc na taką niedolę. Ale dość; opowiem ci to wszystko potem. Grunt, że ona jest, że wróci tutaj i będzie moją żoną. Musisz nam być świadkiem i, dzu

ma czy nie dzuma, choć przez kilka godzin musimy się poweselić.

Dotrzymał zresztą obietnicy danej przyjacielowi, że przez cały dzień będzie mu opowiadał. Zwłaszcza że wciąż padało i cały dzień spędzili obaj w domu. Gospodarz to siedział obok gościa słuchając, to majstrował coś około swojej niedużej kadzi, około beczulek czy przy innych sprzętach gospodarskich przygotowując się po trochu do winobrania. Renzo zresztą dzielnie mu pomagał, bo jak sam o sobie powiadał, był on z tych, co bardziej się męczą nic nie robiąc niż przy pracy. Nie mógł tylko powstrzymać się od pójścia na chwilę pod dom Agnese; koniecznie chciało mu się popatrzeć tam na pewne okienko, a patrząc zacierał radośnie ręce. Wrócił przez nikogo nie zauważony i zaraz poszedł do łóżka. Nazajutrz wstał przed świtem, a widząc, że deszcz ustał, choć nie wróciła jeszcze pogoda, wyruszył w drogę do Pasturo. Było jeszcze wcześniej, kiedy tam dotarł; niemniej bowiem spieszyło mu się do celu i końca, niż się zapewne spieszy naszym czytelnikom. Zapytał o Agnese; powiedziano mu, że ma się dobrze, i wskazano stojący na uboczu domek, w którym mieszkała. Poszedł tam i zawołał na nią nie wchodząc do wnętrza. Słyszając ten głos podbiegła do okna. A kiedy stanęła tam i otworzyła usta, zanim jeszcze zdążyła wydobyć z nich słowo czy dźwięk jakiś, Renzo uprzedził ją mówiąc spiesznie:

— Lucja jest uleczona; widziałem ją onegdaj; pozdrawia was i wkrótce przybędzie. A ja tyle, tyle mam wam do opowiedzenia!

Agnese zaskoczona niespodziewanym jego przybyciem, uradowana wieścią i miotana chęcią dowiedzenia się reszty, rzucała beładne okrzyki i zapytania, żadnego nie kończąc, a wreszcie zapominając o względach ostrożności, jakie od dawna przywykła zachowywać, rzekła:

— Idę ci otworzyć.

— Czekajcież, a dzuma? — powstrzymał ją Renzo. — Nie mieliście jej, jak sądzę.

— Ja nie. A ty?

— Ja miałem. Ale wy musicie być ostrożni. Wracam z Mediolanu; i jak się zaraz dowiecie, siedziałem tam w zarazie po uszy. Prawda, zem się przebrał od stóp do głów, ale to paskudztwo czepia się człowieka jak zły urok.

A skoro Pan Bóg zachował was w zdrowiu do tej pory, to chciałbym, byście do końca zarazy tak dotrwali. Boć przecie jesteście naszą mateczką i należy nam się pożyć wszystkim razem długo i szczęśliwie za to; cośmy się nacierpieli — ja przynajmniej!

— Ale... — zaczęła Agnese.

— Ech — przerwał Renzo — nie ma nijakich „ale”. Wiem ja dobrze, co chcecie rzec; ale wnet usłyszycie, że już koniec z wszelkimi „ale”. Pójdźmy gdzieś, gdzie można pogadać swobodnie na świeżym powietrzu bez nijakiego dla was niebezpieczeństwa — i słuchajcie.

Agnese wskazała mu sad za domem i powiedziała:

— Idź no tam, a zobaczysz dwie ławki ustawione jedna naprzeciw drugiej, jakby umyślnie dla nas. Zaraz tam idę.

Renzo usiadł na jednej ławce, a po chwili na drugiej usadowiła się, Agnese. Pewien jestem, że gdyby czytelnik mógł znaleźć się tam z nimi jako trzeci, widzieć na własne oczy ich ożywioną rozmowę, słyszeć własnymi uszami wszystkie

te opowiadania, pytania, wyjaśnienia, okrzyki żalu i radości: a don Rodrigo, a ojciec Cristoforo, a obrazy . przyszłości równie jasne i pełne treści, jak opisy dopiero co minionej przeszłości — to choć zna on dobrze wszystkie owe wydarzenia, pewien jestem, powtarzam, że słuchałby z przyjemnością i odszedłby stamtąd ostatni. Ale mieć tę całą rozmowę na papierze, w niemych, wypisanych słowach, nie znajdując w niej ani jednego nowego dla siebie faktu — sędzę, że nie pociągałoby to wcale naszego czytelnika i że raczej, niż czytać, woli on to sobie sam wyobrazić. W konkluzji tej rozmowy postanowiono, że wszyscy razem osiedlą się w tej miejscowości na terytorium Bergamo, gdzie Renzo był już dobrze zadowolony. Kiedy to nastąpi, nie można było na razie ustalić, ponieważ zależało to od dżumy i innych jeszcze okoliczności. Zaraz po wygaśnięciu niebezpieczeństwa zarazy Agnese miała powrócić do domu i czekać tam na Lucję, o ile Lucja nie będzie tam już czekała na nią. Tymczasem Renzo miał od czasu do czasu zaglądać do Pasturo, by odwiedzić swoją mateczkę i powiadamiać ją o wszystkim, co się nowego wydarzy. Przed odejściem zaofiarował jej także pieniądze, mówiąc:

— Widzicie, mam je wszystkie tak, jakem je dostał. Ja także uczyniłem ślub: że ich nie tknę, póki się to wszystko

nie wyjaśni. Więc jeśli ich potrzebujecie, przynieście tu miseczką z wodą i octem, a wsypią wam do niej pięćdziesiąt pięknych i błyszczących skudów.

— Nie, nie — rzekła Agnese. — Mam ich więcej, niż mi trzeba. Zachowaj swoje, zdadzą się na nowe gospodarstwo. Renzo wrócił do wsi z nowym powodem do radości — że znalazł zdrową i całą tę tak mu drogą osobę. Resztę tego dnia i noc spędził w domu przyjaciela; nazajutrz wyruszył znowu w drogę, tym razem w inne strony — do swojej nowej ojczyzny.

Znalazł także Bortola w dobrym zdrowiu i mniej już o to swoje zdrowie drżącego. Ostatnie dni i tam również przyniosły raptowną zmianę na lepsze. Coraz mniej osób zapadało na dżumę, a i choroba jakoś złagodniała; nie było już widać tej śmiertelnej siności, wszystkie objawy straciły na sile. Zostały gorączki po większej części powtarzające się, czasem jakiś bezbarwny guz, dający się leczyć jak zwykły ropień. Toteż okolica przybierała już stopniowo inny wygląd. Pozostali przy życiu zaczęli już wychodzić z domów, spotykać się, wymieniać wyrazy współczucia i powinszowania. Mówiło się już o podjęciu pracy w warsztatach, właściciele rozglądali się za robotnikami, zwłaszcza w tych dziedzinach, gdzie i przed zarazą robotników było niewiele, a więc przede wszystkim w jedwabnictwie. Renzo nie drożąc się obiecał krewniakowi powrócić do pracy (pod warunkiem uzyskania potrzebnych zezwoleń), jak tylko wróci z żoną i urządzi się jakoś. Tymczasem zajął się koniecznymi przygotowaniem: znalazł, obszerniejszy dom, co w owej chwili było aż nadto łatwe, niestety, i niezbyt kosztowne, i zaopatrył go w potrzebne sprzęty i przyrządy, naruszając tym razem swój skarbeczyk. Nie uczynił w nim jednak wielkiego uszczerbku, gdyż wszystko było tanie, jako że więcej było towarów na sprzedaż niż ludzi mogących je kupować.

Po pewnym czasie wrócił do rodzinnej wsi i zastał tam również widoczne zmiany na lepsze. Niezwłocznie powędrował do Pasturo; Agnese nie bała się już i gotowa była wrócić do domu w każdej chwili; sam więc ją tam odprowadził. Co czuli i mówili oglądając znowu razem te wszystkie pamiętne miejsca, nie będziemy nawet próbowali opisać. Agnese znalazła w domu wszystko tak, jak zostawiła.

Twierdziła ona, że tym razem aniołowie chyba strzegli dobytku biednej wdowy i biednej dziewczyny.

— A wtedy — dodała — kiedy zdawało się, że Pan Bóg odwrócił się i zapomniał o nas, skoro pozwolił zrabować nasze ubogie mienie, to przecie okazało się inaczej: inną drogą zesłał mi bogactwo, żem mogła wszystko na nowo sprawić. Chociaż — powiadam „wszystko”, a niesłusznie: bo brak było jeszcze wyprawy Lucji, co mi ją rabusie ze szczeniem wynieśli; ale teraz już i to z innej strony nadchodzi. Nigdy bym nie uwierzyła, gdyby mi to kto powiedział, kiedym się męczyła nad przygotowaniem tamtej wyprawy: „Myślisz, że dla Lucji to szyjesz? Ech, biedaczko! ani nie wiesz, dla kogo tak pracujesz; Bóg jeden wie, jakiego gatunku stworzenia będą nosiły na sobie tę bieliznę i te suknie. O wyprawie Lucji, o tym, co ona naprawdę nosić będzie, pomyśli jedna pocziwa dusza, o której nawet nie wiesz, że chodzi po tym świecie!”

Pierwszą troską Agnese było przygotowanie w ubogim domku jak najgodniejszego dla owej „pocziwej duszy” mieszkania. Potem rozejrzała się za jedwabiem do nawijania; pracą skracala sobie czas.

Renzo ze swej strony nie spędzał na próżnowaniu tych dni, które wydawały mu się niesłychanie długie. Miał on na dobrą sprawę dwa zawody: teraz powrócił do zawodu rolnika. Trochę pomagał swemu gospodarzowi, dla którego było niemałym szczęściem mieć w tych ciężkich czasach na zawołanie robotnika, i to nie byle jakiego. Trochę doprowadzał do porządku ogródek Agnese, bardzo zapuszczony w czasie jej nieobecności. Co się tyczy jego własnego gospodarstwa, nie zajmował się nim wcale, mówiąc, że zbyt wiele tam roboty jak na jego dwie ręce. Ani nogą nie stąpił na swoje pole, tak samo jak i do domu, bo przykro byłoby mu oglądać to zniszczenie, a i tak postanowił pozbyć się wszystkiego za jaką bądź cenę i zużyć uzyskane pieniądze na urządzenie się w nowej ojczyźnie.

Jeżeli ci, którzy wyszli z życiem z zarazy, wydawali się sobie nawzajem niby zmartwychwstali, Renzo w oczach mieszkańców swojej wioski był zmartwychwstały, rzecz można, podwójnie: wszyscy witali go z zapałem, wieszali mu, każdy chciał usłyszeć jego dzieje z jego własnych ust. Zapytacie tu może: a jakże sobie radził z wyrokiem? Otóż z wyrokiem radził sobie doskonale: nie myślał o nim

wcale, powiedziawszy sobie, że ci, którzy mieliby ów wyrok wykonać, także z pewnością o nim nie myślą; i nie mylił się. Grała tu zresztą rolę nie tylko dzuma, która przerwała bieg tylu rzeczy; było to bowiem w owych czasach zwykłe zjawisko, że zarówno dekrety ogólniejszej natury, jak i wyroki przeciwko poszczególnym osobom skierowane, o ile nie zostały wykonane natychmiast, to nie wykonywano ich w ogóle, chyba że uparł się przy tym ktoś zawzięty a możny. Było z owymi dekretami tak jak z kulą karabinową: jeżeli nie trafi do celu, pada w ziemię i nikomu już nie zagraża. Nieunikniony to skutek łatwości, z jaką się te dekrety i wyroki sypały. Aktywność ludzka jest bowiem z natury rzeczy ograniczona; o ile przeholuje w rządzeniu, o tyle szwankuje w wykonywaniu rozkazów. Ten sam kawałek sukna nie może wystarczyć na rękawy i na poły.

Jeżeli kto ciekaw, jak w tym czasie wyglądały stosunki między Renzem a don Abbondiem, powiem krótko: trzymali się od siebie z daleka; don Abbondio z obawy, by go nie zagadnięto o ślub; na samą myśl o tym stawał mu przed oczyma z jednej strony don Rodrigo i jego bravi, z drugiej kardynał i jego nauki. Renzo — ponieważ postanowił sobie nic o tym nie wspominać przed czasem, nie chciał bowiem ryzykować, że proboszcz znów stanie okoniem i kto wie, czy nie wymyśli jakiejś przeszkody, czy nie zapłacze całej sprawy niepotrzebną gadaniną, O tych rzeczach Renzo rozmawiał jedynie z Agnese.

— Czy też ona rychło przyjedzie? — pytało jedno.

— Mam nadzieję, że wkrótce — odpowiadało drugie.

I nieraz to z nich, które dało tę odpowiedź, po chwili zadawało to samo pytanie. Takimi i tym podobnymi sposobami usiłowali skracać sobie czas, który, w miarę jak mijał, wydawał im się coraz leniwszy.

Naszym czytelnikom skrócimy ten okres oczekiwania do jednej chwili; powiemy tylko krótko, że w kilka dni po bytności Renza w 'lazarecie Lucja wyszła stamtąd razem z pocziwą wdową. Razem też przebyły nakazaną wszystkim kwarantannę, zamknąwszy się w domu tej ostatniej. Czas ten spędziły głównie na przygotowywaniu wyprawy dla Lucji. Dziewczyna wzdragała się nieco z jej przyjęciem, ale w końcu zabrała się także do roboty. A kiedy minął okres kwarantanny, wdowa oddała sklep i dom pod

opiekę swemu bratu, komisarzowi, i zaczęły gotować się do drogi. Moglibyśmy teraz powiedzieć: wyruszyły, dojechały i tak dalej. Ale choć szczerze bylibyśmy radzi zadowolnić pośpiech czytelnika, nie możemy przecież pominąć milczeniem trzech rzeczy, jakie się w tym okresie wydarzyły. I sądzimy, że co do dwóch przynajmniej, czytelnicy przyznają nam rację.

Po pierwsze, kiedy Lucja opowiedziała wdowie swoje dzieje w większym porządku i bardziej szczegółowo, niż to było możliwe w owej pierwszej pełnej podniecenia chwili, i wspominała o pani, która ją przygarnęła do klasztoru . w Monzy, dowiedziała się w zamian wielu rzeczy, które z jednej strony wyjaśniły jej niejedną tajemnicę, z drugiej przejęły jej duszę bolesnym i trwożnym zdumieniem. Dowiedziała się mianowicie, że ta nieszczęśliwa, podejrzewana o potworne wręcz czyny, została z rozkazu kardynała przeniesiona do jednego z klasztorów mediolańskich; tam początkowo szalała i wypierała się wszystkiego; po pewnym jednak czasie opamiętała się i oskarżyła się sama. Obecne jej życie było dobrowolnym, a tak srogim męczeństwem, że nikt nie zdołałby wymyślić jej cięższej kary, chyba tylko tę jedną: wzbronienie jej tego. Kto chciałby zapoznać się bliżej z tą smutną historią, znajdzie ją w książce i w miejscu cytowanym przez nas wyżej w związku z ową osobą.

Po drugie — Lucja, dopytując się u wszystkich kapucynów, jacy byli w lazarecie, o ojca Cristoforo, dowiedziała się z większym żalem niż zdziwieniem, że umarł na dżumę.

Wreszcie — przed opuszczeniem Mediolanu chciała dowiedzieć się czegoś o dawnych swoich opiekunach i dopełnić, jak mówiła, obowiązku wdzięczności, jeżeli ktoś z nich pozostał przy życiu. Wdowa towarzyszyła jej do ich domu, gdzie dowiedziały się, że oboje podzielili smutny los wielu. O donnie Prassedzie jeśli się powie, że umarła, to nic już więcej nie ma do powiedzenia. Ale co się tyczy don Ferranta, zważywszy, że był człowiekiem uczonym, nasz anonim uważał za właściwe omówić fakt jego śmierci nieco szerzej. My zaś skłonni jesteśmy zaryzykować tutaj przytoczenie niemal dosłowne tego, co on w swoim rękopisie pozostawił.

Powiada więc, że od pierwszej chwili, kiedy zaczęły krą

żyć słuchy o dżumie, don Ferrante należał do tych, co z najzaciętszym uporem zaprzeczali jej istnieniu. Wytrwał też w swym przekonaniu aż do końca, broniąc go nie czczą gadaniną i krzykiem, jak pospólstwo, ale dowodami rozumowymi, którym nikt nie może odmówić co najmniej logicznych powiązań.

— In rerum natura — mawiał on — dwa tylko istnieją gatunki rzeczy: materia i forma. Jeśli zatem wykażę, iż zaraza nie może być ani jednym, ani drugim, dowiodę tym samym, iż zaraza nie istnieje, że jest tylko chimera. Materia bywa natury duchowej lub natury materialnej. Twierdzenie, iż zaraza jest materią duchową, byłoby głupstwem, którego nikt nie zechce podtrzymywać; nie warto więc o nim mówić. Substancje materialne bywają proste lub złożone. Otóż substancją prostą zaraza nie jest z pewnością. Łatwo to wytłumaczyć w paru słowach. Nie jest substancją powietrzną, albowiem gdyby była takową, uleciałaby natychmiast w swoją sferę, miast przechodzić z jednych ciał w drugie. Nie jest wodną, albowiem w takim razie zatonąłaby i wiatr by ją wysuszał. Nie jest ognistą, musiałaby bowiem spłonąć. Nie jest też ziemną, bo nie jest widzialna. Substancją złożoną nie jest również, musiałaby bowiem być dostrzegalna okiem lub wyczuwalna dotykiem. A czyż widział ktoś zarazę? Czy jej ktoś dotykał? Pozostaje jeszcze zbadać, czy może być formą? Z tym jeszcze gorzej. Panowie doktorzy powiadają, iż przechodzi ona z ciała na ciało. To jest ich najsilniejszy pretekst do ogłaszania tych wszystkich przepisów bez sensu. Otóż przypuśćmy, że jest ona formą, a

musiałaby to być forma przenośna. Są to dwa słowa zgoła niemożliwe do pogodzenia, nie ma bowiem w całej filozofii myśli oczywistszej niżli ta, iż forma nie może przechodzić z jednego przedmiotu na inny. A jeśli, gwoli uniknięcia tej Scylli, contentują się stwierdzeniem, iż jest to forma wytworzona, wpadają na Charybdę. Albowiem jeśli jest wytworem, tedy nie udziela się ani nie szerzy, jak to owi doktorzy bajają. Zważywszy powyższe przesłanki, na cóż zda się całe owo gadanie o guzach, wysypkach, wrzodach?

— Wszystko to brednie! — wyrwało się raz komuś przy takiej przemowie.

— Nie, nie — podjął don Ferrante. — Tego nie mówię. Nauka jest nauką; trzeba jeno umieć nią się posługiwać. Guzy, wysypki, wrzody, parotydy fioletowe i czarne furunkuły — wszystko to są wielce szacowne nazwy i mają swoje nie byle jakie znaczenie. Ale powtarzam i podtrzymuję, że z tą sprawą nic a nic nie mają wspólnego. Któż zaprzecza, że takie dolegliwości istnieć mogą, a nawet, że są? Rzecz w tym, skąd się one biorą.

Tutaj jednak zaczynały się dla don Ferranta kłopoty. Dopóki jego dowodzenia zgodne były z tym, co sądził o zarazie ogół, znajdował wszędzie uszy chętne do słuchania i przychylnie. Bo trudno wprost wypowiedzieć, jak ogromny jest autorytet zawodowego uczonego, kiedy dowodzi innym rzeczy, o których oni są i tak przekonani. Ale kiedy przeszedł z kolei do wyjaśnienia, że błąd lekarzy nie na tym polega, iż głoszą oni istnienie groźnej i powszechnej choroby, ale na niewłaściwym rozumieniu jej przyczyn, wówczas (mówię tu o tym pierwszym okresie, kiedy to nikt ani słyszeć nie chciał o dżumie), wówczas tedy zamiast uszu znajdował dokoła tylko zuchwałe języki; z tą chwilą skończyły się obszerne rozprawy i tylko niewielkie strzępki wspaniałych teorii don Ferranta wydostawały się od tej pory na światło dzienne.

— Ta jest, niestety, prawdziwa przyczyna — mówił on — i nawet ci, którzy upatrują tę jakąś inną, wiszącą w powietrzu, muszą to przecież uznać... Niechaj zaprzeczają, jeśli potrafią, owemu fatalnemu zbliżeniu Saturna z Jowiszem. A któż słyszał kiedy, by wpływy gwiazdne przenosiły się z człowieka na człowieka? Może zaprzeczy kto istnieniu gwiazd? A może ktoś powie, że one tkwią tam w niebiesiach po to, by nic nie robić niby łebki szpilek wbitych w poduszeczkę? Ale czego zgoła pojąć nie mogę, to panów medyków: przyznają, że znajdujemy się pod wpływem tak złowróżbnego zbliżenia, a równocześnie powiadają z całą beczelnością: „Nie tykajcie tego, nie tykajcie owego, a będziecie bezpieczni!” Jak gdyby unikanie materialnego zetknięcia z ziemskimi ciałami mogło unicestwić działanie ciał niebieskich! Ileż zamętu robią z tym paleniem łachów! Biedaczyska! Czy spalicie Jowisza? Spalicie Saturna? His fretus, czyli budując swoją ufność na tych wspa

niałych argumentach, don Ferrante nie przedsiębrał żadnych ostrożności w związku z dżumą. Zaraził się, położył do łóżka i umarł winiąc gwiazdy o swoją śmierć jak bohaterowie Metastasia.

A jego wspaniała biblioteka? Może jeszcze kołaczą się po świecie jej rozpierzchłe karty.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Pewnego wieczora Agnese usłyszała zatrzymujący się przed domem wózek.

— To ona, ani chybi!

Była to rzeczywiście Lucja wraz z poczciwą wdową. Wzajemne powitania niechaj sobie czytelnik sam wyobrazi.

Nazajutrz wczesnym rankiem zjawił się nic o tym nie wiedząc Renzo. Przyszedł, żeby się użalić wraz z Agnese na to spóźnianie się Lucji. Jak się zachował i co mówił ujrzawszy ją niespodziewanie przed sobą — to również zdajemy na wyobraźnię czytelnika. Natomiast zachowanie się Lucji było takie, że właściwie nie ma tu co opisywać.

— Witam cię. Jak się miewasz? — powiedziała nie podnosząc oczu i z niewzruszoną twarzą.

Nie sądźcie jednak, że Renzo uznał to powitanie za nazbyt oschłe i że miał jej to za złe. Zrozumiał tych parę słów tak, jak miał ochotę je zrozumieć. Jak wśród ludzi „z towarzystwa” wiadomo powszechnie, że komplementów nie należy rozumieć dosłownie, tak znów Renzo wiedział doskonale, że słowa Lucji nie wyrażały tego wszystkiego, co mieści się w jej sercu. Zresztą, nietrudno było zauważyć, że te proste słowa wymawiała ona na dwa różne sposoby: inaczej, kiedy odnosiły się do Renza, inaczej — do wszystkich pozostałych ludzi.

— Miewam się dobrze, kiedy ciebie widzę — odpowiedział młodzieniec zdaniem starym i utartym, które jednakże on w tym momencie wymyślił.

— Biedny nasz ojciec Cristoforo! — rzekła Lucja. — Pomódl się za jego duszę; choć, co prawda, możemy być pewni, że to raczej on modli się za nas w tej godzinie.

— Spodziewałem się tego, niestety — westchnął Renzo.

Nie była to jedyna smętna struna, o jaką w tej rozmowie trącono. Ale cóż? O czymkolwiek by się mówiło, wszystko napępniało Renza uczuciem szczęścia. Czas był dla niego niby narowisty koń, który staje w miejscu, unosi to jedną, to drugą nogę po to, by ją postawić z powrotem w tym samym miejscu, wyprawia przeróżne historie, zanim krok naprzód uczyni — nagle rzuca się i pędzi, jakby wiatrem gnany; takim stał się czas dla Renza; przedtem minuty wydawały mu się godzinami, teraz godziny mknęły jak minuty.

"Wdowa nie tylko nie przeszkadzała nikomu, ale doskonale przystosowała się do reszty. Renzo widząc ją pierwszy raz na szpitalnym posłaniu nie uwierzyłby, że taka potrafi być wesoła i rozmowna. Ale lazaret i wiejski domek, śmierć i wesele — to przecież nie to samo. Z Agnese zaprzyjaźniła się natychmiast, a do Lucji odnosiła się tak czule i żartobliwie zarazem, aż miło było na to patrzeć. Droczyła się z nią z lekka, nie nadmiernie, ale tak, by wydobyć na jaw radość, jaka przepępniała serce dziewczyny.

Renzo po pewnym czasie powiedział, że idzie do don Abbondia rozmówić się co do ślubu. Poszedł i rozpoczął rozmowę w tonie nieco żartobliwym.

— Księżu proboszczu, czy przeszedł już waszej wielbności ów ból głowy, co to przeszkadzał podobno udzielić nam ślubu? Upłynęło już sporo czasu, oblubienica jest tutaj, no więc przychodzi się spytać, kiedy będzie waszej wielbności dogodnie? Ale tym razem to już proszę uniżenie nie zwłóczyć.

Don Abbondio nie odmówił, ale zaczął się wahać, wynajdywać trudności, dawać rady: po cóż nasuwać się tak na oczy, rozgłaszać swoje nazwisko, mając ten wyrok na karku? Można to przecież równie dobrze zrobić gdzie indziej; i tak dalej, i dalej.

— Rozumiem — rzekł na to Renzo. — Coś niecoś jeszcze księdzu proboszczowi zostało z tego bólu głowy. Ale niechże ksiądz posłucha... — I zaczął opowiadać, w jakim to stanie widział nieszczęsnego don Rodriga, zapewniając, że do tej pory musiał on już dawno umrzeć. — Miejmy nadzieję — zakończył — że Pan Bóg okazał mu miłosierdzie. — On tu nie ma nic do rzeczy — rzekł don Abbondio. — Czyli ci powiedział „nie”? Ja przecież nie odmawiam,

mówię... mówię, jak mi nakazuje rozsądek. Zresztą, widzisz, póki starczy tchu... popatrz na mnie, jestem niby rozbity garnek; byłem i ja jedną nogą na tamtym świecie. A przecież żyję i jeżeli nie spadną na mnie jakowe kłopoty... ano, mniejsza o to; mogę jeszcze pożyć czas jakiś. A ty jeno sobie wystaw takiego piekielnika... Ale jakem rzekł, to nie ma nic do rzeczy.

Po dłuższej wymianie zdań nie prowadzących do żadnej konkluzji Renzo uklonił się pięknie i wrócił do swoich niewiast; zdał im relację ze swej wyprawy i tak zakończył:

— Poszedłem sobie, bo we mnie aż wrzało, a nie chciałem stracić cierpliwości i jemu uchybić. Były chwile, że zdawał mi się takuteńki jak dawniej: te same wykręty, te same dowodzenia. Jestem pewny, że gdybym tam został jeszcze chwilę, to uczęstowałby mnie jakąś łaciną. Już ja widzę, że będzie z tym nowe marudztwo. Lepiej po prostu zrobić tak, jak on radzi, tam się pobrać, gdzie mamy się osiedlić.

— Wiecie, co zrobimy? — rzekła wdowa. — My, niewiasty, pójdziemy jeszcze raz popróbować. Może nam się lepiej powie. A ja też rada bym poznać tego człowieka, jeśli jest taki, jak powiadacie. Pójdziemy po obiedzie, by tak zaraz nie spadać mu znowu na kark. No, a teraz, mości oblubieńcze, poprowadź nas obie na przechadzkę, póki Agnese zajęta tu jest robotą. Posłużę Lucji za matkę; a wielką mam chęć obejrzeć trochę lepiej owe góry i owo jezioro, o którym tyle słyszałam. Już i ten jego rąbek, com widziała po drodze, zdał mi się bardzo piękny.

.Renzo zaprowadził je przede wszystkim do domu swego przyjaciela, gdzie też nader gościnnie były przyjęte.

Wychodząc wzięli od gospodarza obietnicę, że nie tylko tego dnia, ale ilekroć będzie mógł, przyjdzie zjeść obiad razem z nimi.

Po przechadzce i obiedzie Renzo wyszedł nie mówiąc dokąd. Kobiety gawędziły czas jakiś w domu naradzając się nad skutecznym sposobem przekonania don Abbondia, po czym ruszyły do szturmu.

„No, teraz te mi się zwaliły” — pomyślał don Abbondio. Ale powitał je jakby nigdy nic: winał Lucji, witał Agnese, obcą niewiastę obsypał uprzejmościami. Prosił je siadać i z miejsca zaczął rozmowę o dżumie.' Rozpytywał

Lucję, jak też przez to wszystko przeszła. Lazaret dostarczył sposobności wciągnięcia w rozmowę i tej, która tam razem z Lucją przebywała. Następnie don Abbondio począł, jak przystało, opowiadać własne swoje przejścia.

Rozwodził się długo nad szczęściem Agnese, która wyszła z zarazy obronną ręką.

Rozmowa przeciągała się, a obie starsze niewiasty na próżno pilnie upatrywały sposobnego momentu do wtrącenia tego, o co im jedynie chodziło. Wreszcie jedna z nich odważyła się przełamać lody. Ale cóż? Don Abbondio był na to ucho kompletnie głuchy. Nie powiedział wyraźnie: „nie”, ale znowu zaczął kręcić, lawirować, skakać, jak się mówi, z gałęzi na gałąź.

— Trzeba by — mówił — pozbyć się jakoś tego wyroku. Wy, pani, jesteście z Mediolanu i osoba bywała, macie tam zapewne jakieś stosunki, jakieś poparcie znacznej osoby... takimi sposobami zagoi się każdą ranę. Ale gdyby się chciało rzecz załatwić szybko, gładko, bez wplątania się w nowe kłopoty, toć przecież ci młodzi i nasza Agnese razem z nimi zamierzają wynieść się stąd za granicę (nie ganię tego bynajmniej: tam ojczyzna, gdzie dobrze); wydaje mi się tedy, że najlepiej rzecz całą tam już urządzić, gdzie wyrok nie ma mocy. Nie jest to chwila właściwa do zawarcia tego związku, a pragnąłbym, by zawarty został należycie, spokojnie. Wiercie mi: tutaj, z tym wyrokiem, ogłaszać publicznie od ołtarza imię Lorenza Tramaglino... nie mógłbym tego uczynić ze spokojnym sumieniem. Znadto mu życzliwy. Obawiam się, że złą wyświadczyłbym mu przysługę. Rozumiecie to, sądzę, i wy, pani, i wy obie. Na to i Agnese, i wdowa jęły gorąco zbijać jego dowodzenia. Don Abbondio przedstawiał je coraz z innej strony i tak w kółko, aż póki nie ukazał się Renzo idący pewnym krokiem, z twarzą zwiastującą ważną jakąś nowinę.

— Przybył margrabia — oznajmił.

— Cóż to znaczy? Dokąd przybył? — pytał don Abbondio podnosząc się.

— Przybył do swego zamku, niegdyś zamku don Rodriga. Ów margrabia jest, jak to oni jakoś nazywają, spadkobiercą fideucjarnym. Tak więc nie ma już żadnej wątpliwości. Co do mnie, to rad byłbym wiedzieć, czy ten biedak miał dobrą śmierć. Na wszelki wypadek odmówiłem już

wiele ojczenaszów za jego duszę, teraz odmówię jeszcze De profundis. A ten margrabia to, powiadają, godny i zacny pan.

— Pewnie — rzekł don Abbondio — nieraz słyszałem o nim jako o wielce zacnym panu, o człowieku na miarę mężów starożytnych. Ale tamto, czy to aby prawda?

— Zakrystianowi ksiądz proboszcz wierzy?

— No bo co?

— Bo on widział go na własne oczy. Ja byłem tam jeno w pobliżu; poszedłem, prawdę mówiąc, dlatego, żem sobie pomyślał: „Coś tam przecież muszą wiedzieć.” I każdy mówił mi to samo. A w końcu spotkałem Ambrogia: wracał wprost stamtąd i widział margrabiego, który sobie poczynał zgoła jak pan zamku. Chce ksiądz posłuchać, co powiada Ambrogio? Umyślnie go tu zatrzymałem, czeka za drzwiami.

— Posłuchajmy — zgodził się don Abbondio, a Renzo poszedł zawołać zakrystiana. Potwierdził on nowinę w całej rozciągłości, dodając jeszcze rozmaite szczegóły i rozwiewając resztę wątpliwości. Po czym odszedł.

— A zatem umarł! Umarł bez wątpienia! — wykrzyknął don Abbondio. — Widzicie, moje dzieci, jak to ręka Boga dosięga wreszcie takich ludzi. Wielka to rzecz! Wielka ulga dla tej nieszczęsnej okolicy! Boć z nim tutaj żyć było nie podobna. Dżuma była wielką plagą, ale była też i miotłą, co wymiotła niemało śmieci, od których, dzieci moje, nigdy nie bylibyśmy się uwolnili. Młodzi, świeży, kwitnący: zdawało się, że nie wyszedł jeszcze z seminarium i nad łaciną się męczy ten, kto im będzie śpiewał egzekwie... A tu jedno mgnienie oka i już po nich, schodzą z tego świata całymi setkami. Nie będziemy go już więcej oglądać, jak kroczy z orszakiem swoich łotrzyków, z tą pychą, z tą nadętą miną, sztywny jakby kij połknął, tak spoglądający na ludzi, jakby wszyscy żyli na świecie z jego łaski. No i patrzcie: jego już nie ma, a my jesteśmy! Nie będzie już nasyłał swoich hultajów na uczciwych ludzi. Wiele nam tu wszystkim przysparzał strapienia, dziś możemy to śmiało powiedzieć!

— Ja mu z serca przebaczyłem — rzekł Renzo.

— To twój obowiązek — podjął don Abbondio. — Ale

możesz też dziękować Bogu, że cię odeń uwolnić raczył. A wracając do waszej sprawy, moje dzieci, powtarzam: czyńcie, jak wam się widzi lepiej. Chcecie, bym ja wam ślubu udzielił — oto jestem. Chcecie inaczej — wasza wola. Co się tyczy wyroku, widzę to i ja, że skoro nie ma już nikogo, kto byłby na was zawzięty i chciał waszej krzywdy, to i nie ma sobie co nim głowy zaprzętać. Zwłaszcza że przyszedł później ten dekret o ułaskawieniach wydany z racji narodzin najjaśniejszego infanta, a zresztą dzuma! dzuma! Wymazała ona z pamięci wiele rzeczy! Tak więc, jeśli sobie życzyście... dziś mamy czwartek... w niedzielę ogłoszę wasze zapowiedzi. Bo te, co były niegdyś, nie liczą się już dzisiaj, tyle upłynęło czasu. A potem z radością dam wam ten ślub.

— Ksiądz proboszcz wie dobrze, że po tośmy właśnie przyszli — rzekł Renzo.

— Doskonale. A ja wam usłużę i rad będę powiadomić o tym niezwłocznie jego eminencję.

— Któż to taki, jego eminencja? — zapytała Agnese.

— Jego eminencja — odpowiedział don Abbondio — to nasz kardynał arcybiskup, którego oby Bóg chronił.

— O, co do tego, to niech mi ksiądz proboszcz wybaczy — odparła Agnese śmiało — bo choć ciemna ze mnie niewiasta, mogę zapewnić księdza, że tak się wcale do naszego arcybiskupa nie mówi. Jakaśmy były" tam drugi raz i gadały z nim jak ja tu z księdzem proboszczem, to przedtem jeden z tych księży odwołał mnie na bok i pouczył, jak się należy zachować i że się do niego przemawia: „wasza przewielebność" albo „monsignore".

— A teraz, gdyby mu znowu wypadło was pouczyć, rzekłby wam, że należy mówić: „eminencjo". Rozumiecie? Jako że papież, niechaj Pan Bóg chroni i jego, nakazał jeszcze pod koniec czerwca, by kardynałom taki tytuł dawać. A wiecie, skąd mu to przyszło do głowy? Sami widzicie, co się dzieje z tą „przewielebnością" i z „monsignorem", ilu ludziom daje się ten tytuł, należny niegdyś jedynie księżętom Kościoła. I jak każdy chętnie go przełyka. Cóż tedy miał papież zrobić? Wzbronić innym? Ileż byłoby żalów, pretensji, nieprzyjemności! A co gorsza, zostałyby pewno po dawnemu. Więc tak sobie sprytnie obmyślił. Po trochu zacznie się też eminencją nazywać biskupów, później zechcą tego samego opaci, potem ich zastępcy; bo lu

dzie już są tacy. Wciąż jeno chcieliby wyżej i wyżej; potem kanonicy...

— Potem proboszczowie — wtrąciła wdowa.

— Nie, nie — podchwycił don Abbondio. — Proboszczowie są jeno do ciężkiej harówki. Nie ma obawy, żeby się przewróciło w głowie proboszczom, najwyżej: „wasza wielebność", i tak będzie do końca świata. Nie dziwiłbym się natomiast, gdyby świeccy panowie, którzy przywykli, że się ich na równi z kardynałami traktuje, kazali się pewnego pięknego dnia tytułować eminencją. A jeśli zechcą, znajdą niechybnie takich, co ich tak będą tytułować. A wtedy papież, jaki tam w tym czasie będzie, obmyśli dla kardynałów coś nowego. Ale wracając do naszych spraw: w niedzielę ogłoszę was w kościele. A tymczasem, wiecie, com wymyślił, by wam lepiej wygodzić? Oto poprosimy o dyspensę od dalszych zapowiedzi. Będą mieli niemało roboty w kurii z tymi dyspensami, jeśli wszędzie tak będzie szło jak tutaj. Na niedzielę mam już... jedną... dwie... trzy zapowiedzi nie licząc waszej. A może jeszcze przybyć więcej. Sami zobaczycie wkrótce, co się dzieje: nikt nie zostanie samotny. Głupstwo zrobiła Perpetua, żeby też umrzeć właśnie w takim czasie. Teraz i ona znalazłaby chętnego, ani chybi. A w Mediolanie, signora, zapewne tak samo się dzieje?

— Jeszcze jak! Niech sobie ksiądz dobrodziej wyobrazi: w samej mojej parafii w ubiegłą niedzielę pięćdziesiąt zapowiedzi.

— Tak, tak; świat jeszcze nie chce się skończyć, zawsze powiadam. A dokoła was, signora, nie zaczynają jeszcze brzęczeć trutnie?

— Nie, nie. Ja o tym nie myślę i myśleć nie chcę.

— No, skoro koniecznie chcesz waćpani pozostać samotnie... Toć i Agnese, no, proszę, i Agnese...

— Uh! Żarty się jegomości trzymają — przerwała Agnese.

— To prawda, że mi się chce żartować. I myślę, że przyszła wreszcie na to pora. Przeszliśmy ciężkie czasy, no nie, moje dzieci? Przeszliśmy ciężkie czasy, ale tych niewiele dni, co nam jeszcze na tej ziemi pozostało, przeżyjemy może, miejmy nadzieję, trochę lepiej. Ba! Szczęśliwi wy młodzi; jeśli jakie niespodziane nieszczęście na was nie spadnie, długo jeszcze będziecie mogli wspominać minione

biedy. U mnie natomiast zaledwie kwadransa braknie do zachodu słońca, a... wrogowie mogą wyginąć, z dzumy można ozdrowieć, ale na lata, co płyną, nie ma leku żadnego... jak powiadają: Senectus ipsa est morbus.

— Teraz — rzekł Renzo — może ksiądz proboszcz sypać łaciną, ile mu się podoba. Mnie to już nie wadzi.

— Wciąż jeszcze masz z łaciną na pieńku, co? Dobrze, dobrze, jeszcze ja ci pokażę. Kiedy staniesz przede mną z tą oto osóbką, bym wam wygłosił, co trzeba, po łacinie, rzeknę ci: „Nie chcesz łaciny. Idźże sobie z Panem Bogiem.” Rad będziesz?

— Ej, wiem ja, co mówię — podjął Renzo. — Nie tej łaciny ja się boję. To jest łacina szczerza, świętobliwa, jak owa mszalna. Zresztą, księża czytają jeno, co jest w księdze napisane. Mówię o owej łotrowskiej łacinie, zgoła nie kościelnej, co się jawi zdradziecko w środku rozmowy. Choćby ta — teraz kiedyśmy tu znowu razem i wszystko złe minęło, mogę to rzec — choćby ta, którąś mnie tu, na tym miejscu, wasza wielebność uczył, by mnie przekonać, że nie można, że brak jeszcze tego czy owego, czy ja wiem czego? Może mi to teraz ksiądz proboszcz na nasz język przetłumaczy?

— Cicho bądź, błaznie, cicho bądź. Lepiej nie przypominaj już tego, bo gdyby przyszło do porachunków, nie wiem, kto by lepiej na nich wyszedł. Wybaczyłem wszystko i nie mówmy o tym więcej. Ale szpetnie postąpiliście wobec swego proboszcza. Co mi tam o ciebie, wiadomo, żeś hultaj, jakich mało. Ale ta cicha woda, ta świętoszka, ta cnotka! Zdawałoby się, że i spojrzeć na nią to grzech! Wiem ja dobrze, kto ją tak wyedukował, wiem to, wiem. To mówiąc pogroził Agnese palcem, który przedtem zwrócił był oskarżająco w stronę Lucji. Trudno opisać, jak dobrotliwie, jak przyjaźnie czynił im te wymówki. Nowina przed chwilą usłyszana napełniła go beztroską, weselem, radosną gadatliwością, jakiej od dawna był zapomniiał. Nieprędko doszlibyśmy do końca, gdybyśmy chcieli powtórzyć wszystko, co jeszcze gadał i gadał, wciąż zatrzymując swoich gości, parokrotnie zbierających się do odejścia. Odprowadził ich do drzwi i tam jeszcze przetrzymał chwilę plotąc trzy po trzy.

Nazajutrz miał don Abbondio odwiedziny równie niespodziane jak zaszczytne: margrabia, ten sam, o którym była wyżej mowa.

Stał on na pograniczu lat męskich i starości; cały jego wygląd potwierdzał opinię, jaka go powszechnie otaczała: szczery, uprzejmy, łagodny, skromny, a zarazem dostojny, nosił w sobie jakiś pełen rezygnacji smutek.

— Przybywam — rzekł — by oddać księdzu pozdrowienia od kardynała arcybiskupa.

— Jakież to dla mnie zaszczyt ze strony obu waszych dostojności!

— Kiedym się żegnał z tym nieporównanym mężem, który zaszczyca mnie swoją przyjaźnią, opowiadał mi on o dwojgu młodych ludziach z tutejszej parafii, którzy byli sobie przyrzeczeni i z winy biednego don Rodriga wpadli w wielkie tarapaty. Monsignore chciałby wiedzieć coś o ich losach. Czy żyją? Czy się ich sprawy ułożyły?

— Wszystko się jak najpomyślniej ułożyło. Zamierzałem właśnie pisać o tym do jego eminencji. Ale teraz, skoro mam honor...

— Są tutaj?

— Tak jest. I najrychlej, jak się da, będą mężem i żoną.

— Poproszę zatem księdza, by mi doradził, czy mógłbym coś dla nich uczynić, i wskazał mi najstosowniejszy po temu sposób. W tym okropnym czasie straciłem obu moich synów oraz ich matkę; stałem się, niestety, dziedzicem trzech znacznych fortun. Już i przedtem posiadałem więcej, niżli mi było trzeba; sam ksiądz tedy widzi, że, dając mi taką sposobność użycia mego bogactwa, prawdziwie wyświadczy mi przysługę.

— Niechże Bóg błogosławi waszą wielmożność. Obyż wszyscy byli doń podobni! Z serca dziękuję za te moje dzieci. A skoro wasza wielmożność tak łaskaw, to owszem, mogę doradzić coś, co zapewne będzie mu po myśli. Otóż trzeba waszej wielmożności wiedzieć, iż ci poczciwcy zamierzają wywędrować stąd, osiedlić się w innych stronach, sprzedawszy tę skromną majątność, jaką tu posiadają: niewielką winniczkę młodzieńca, dziewięć czy dziesięć przętów, ocalałą niby, ale wielce zapuszczoną; wartość ma jedynie ziemia, nic ponadto. Dalej — domek, jeden jego, drugi narzeczonej, dwie mysie norki, szczerze mówiąc. Taki wielki pan jak wasza wielmożność wyobrazić sobie

nie zdoła, jak to jest, kiedy biedak chce się pozbyć swojej własności. Kończy się zawsze na tym, że połknie ją jakiś spryciarz, który choćby od dawna ostrzył sobie zęby na ten kawałek ziemi, to kiedy widzi, że właściciel jest w potrzebie, cofa się, udaje zniechęconego; trzeba za nim chodzić i oddać mu wreszcie wszystko za kęs chleba. Zwłaszcza w podobnych, jak tu mamy, okolicznościach. Pan margrabia zapewne już spostrzegł, dokąd ta moja przemowa zmierza. Największe dobrodziejstwo, jakie mógłby wasza wielmożność tym dwojgu młodym wyświadczyć, to kupić od nich tę odrobinę ziemi i wybawić ich z kłopotu. Mówiąc szczerze, przemawiam również i w swoim własnym interesie: rad bym niezmiernie zyskać w osobie pana margrabiego tak zacnego parafianina. Ale wasza wielmożność postanowi, jak uzna za słuszne. Ja rzekłem swoje gwoli okazania posłuszeństwa. Margrabia bardzo radę pochwalił, podziękował don Abbondiowi i prosił go, by zechciał oznaczyć cenę, możliwie najwyższą. Po czym wprawił go w osłupienie propozycją, by obaj udali się zaraz do domu oblubienicy, gdzie i oblubieńca zapewne zastaną.

Po drodze don Abbondio, rozpromieniony, jak sobie łatwo możecie wyobrazić, wpadł na inny jeszcze pomysł.

— Skoro już wasza wielmożność — rzekł — życzy sobie naprawdę uszczęśliwić tych ludzi, to jest jeszcze coś, co można by dla nich uczynić. Ten młodzieniec ma na sobie wyrok skazujący go na więzienie za pewną ucieczkę przed dwoma laty w Mediolanie, w ów dzień wielkich rozruchów; wpłatał się w coś przez głupotę, bez złej woli, dał się schwytać niby mysz w pułapkę. Nic to poważnego, panie margrabio, ot, dziecinny wybryk. Do czegoś prawdziwie złego nie jest on zdolny, mogę śmiało rzec, bom go sam chrzcili i rósł on na moich oczach. Zresztą gdyby wasza wielmożność miał chęć pogadać z nimi, mógłby od nich samych usłyszeć o przygodach tego młodzieńca. Stare to dzieje i nikt go już nie niepokoi; w dodatku, jakem rzekł, chcą oni wywędrować poza granice księstwa. Ale nigdy nie wiadomo; z czasem, gdyby tu powrócił, czy przy jakiej innej okazji... no cóż, zawsze lepiej nie być do owych rejestrów wpisanym. Wasza wielmożność znaczy w Mediolanie wiele, i słusznie, jako mąż wielki i możny pan... nie, nie, proszę dać mi to wypowiedzieć: co prawda, to prawda.

Jedno słówko kogoś takiego jak wasza wielmożność, jedno małe polecenie to więcej, aniżeli trzeba, by uzyskać zwolnienie od kary.

— Czy nie ma jakich ważniejszych przeciwko temu młodzieńcowi zarzutów?

— Nie, nie, z pewnością. Narobiono gwałtu w pierwszej chwili, ale teraz to już rzecz bez żadnego zgoła znaczenia.

— Skoro tak, to sprawa nie trudna. Chętnie to wezmę na siebie.

— No i jakże nie mam zwać waszej wielmożności wielkim mężem? Powtarzam to i będę powtarzał, mimo że mi wasza wielmożność tego wzbrania... a choćbym ja nawet milczał, na nic by się to nie zdało, skoro powiadają to wszyscy inni. A vox populi, vox Dei.

Wszystkie trzy niewiasty były w domu, a i Renzo z nimi. Możecie sobie wyobrazić, jakiego doznali wrażenia. Sądzę, że nawet te nagie, proste ściany, okiennice w oknach, ławki i naczynia zdumiały się na widok tak niezwykłego gościa. On wnet rozpoczął rozmowę, opowiadał o kardynale, mówił o rozmaitych rzeczach z serdeczną otwartością, a zarazem z delikatnym szacunkiem. Po chwili przeszedł do sprawy, która go tam przywiodła. Don Abbondio, poproszony o ustalenie ceny, zabrał głos po dłuższych ceregielach i wymówkach, że się na tym nie zna, że może jedynie kroczyć po omacku, że mówi na wyrażne życzenie margrabiego; wreszcie jednak wypowiedział swoje zdanie, zaznaczając, że jest ono może zupełnie pozbawione sensu. Kupujący jednak orzekł, że jeśli o niego chodzi, to cenę uważa za całkowicie słuszną, przy czym udając, że się przesłyszał, wymienił dwakroć wyższą. Słyszeć nie chciał o żadnych sprostowaniach, uciał krótko dyskusję i zakończył zaproszeniem całej kompanii na obiad do swego zamku nazajutrz po ślubie. Miano wtedy sporządzić formalny akt kupna.

„Ach — rozmyślał don Abbondio wracając do domu — gdyby dzuma zawsze i wszędzie takie przynosiła zmiany, grzechem byłoby jej złorzeczyć. Przydałaby się jedna taka w każdym pokoleniu. Można by się pogodzić nawet z tym, że się zachoruje... byle tylko ozdrowieć, rozumie się.”

Dyspensa nadeszła, nadeszło umorzenie wyroku, nadszedł

wreszcie i ów dzień upragniony. Narzeczeni udali się do kościoła z radosnym poczuciem, że wszystko zło przeminęło — do tego samego kościoła, gdzie tenże sam don Abbondio połączył ich ślubem. Odwiedziny na zamku były też swego rodzaju radosnym tryumfem. Łatwo odgadnąć, jakie myśli przesuwają się im przez głowę, kiedy szli stromą drogą pod górę, kiedy wchodzili w tę bramę. Każde wypowiadało swoje uczucia w sposób sobie właściwy. Tylko pośród ogólnej wesołości coraz któreś z nich wdychało myśląc o tym, że do zupełnego szczęścia brak im dobrego ojca Cristoforo.

— Chociaż on tam — mówili — jeszcze od nas szczęśliwszy.

Margrabia powitał ich serdecznie, zaprowadził do pięknej sali i wskazał młodej parze miejsce u stołu pomiędzy Agnese i kupcową. Zanim odszedł na obiad w towarzystwie don Abbondia, czas jakiś dotrzymywał swym gościom towarzystwa i osobiście im usługiwał. Mam nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy niewczesna uwaga, że byłoby prościej, gdyby wszyscy zasiedli do wspólnego stołu. No cóż, margrabia był zacnym człowiekiem, ale jednak nie takim „oryginałem”, jakby to dzisiaj nazwano. Mówiłem wam, że był zdolny do odczuwania pokory, ale przecież wcieleniem pokory nie był. Miał jej dostateczny zasób, by stanąć tuż ponad tą wieśniaczą rodziną, ale przecież nie tyle, by stanąć z nią na równi.

Kiedy obie uczyt dobiegły końca, sporządzono akt. Spisał go uczony doktor, ale nie był to Azzecagarbugli. Ów bowiem, a raczej jego szczątki spoczywały i spoczywają po dziś dzień w Canterelli. Rozumiem, że tutaj należy się pewne objaśnienie tym czytelnikom, którzy nie pochodzą z tamtych okolic.

O jakie pół mili od Lecco, na pograniczu okręgu noszącego nazwę Castello, jest miejsce, gdzie krzyżują się dwa gościńce. Miejsce to zwie się Canterelli. Nieco w bok od rozstajów widnieje wzniesienie, jak gdyby sztucznie usypany pagórek, z krzyżem na szczycie. Nie jest to nic innego, jak wspólna mogiła zmarłych w czasie owej zarazy. Tradycja, co prawda, głosi tylko, że są to zmarli na dżumę; nie ulega jednak wątpliwości, że była to właśnie ta, którą tu opisaliśmy, najbardziej mordercza ze wszystkich, jakie przetrwały w ludzkiej pamięci. A wiadomo, że tradycja,

jeśli jej nie wspomagamy, sama z siebie mówi zawsze mniej, niż było naprawdę.

W drodze powrotnej jedyną niedogodnością było to, że Renzo ponad miarę obciążony był pieniędzmi. Ale ostatecznie, jak wiecie, nie takie trudności miał on do pokonania. Nie wspomnę już tu o niemałym wysiłku myśli, skierowanym ku jak najlepszemu wykorzystaniu tych pieniędzy. Gdyby ktoś mógł przejrzeć wszystkie projekty, jakie przesuwały się przez mózg Renza, wszystkie rozważania, wyobrażenia; słyszeć argumenty, jakie mu się „za” i „przeciw” nasuwały, porównywanie wartości rolnictwa

i przemysłu — sądziłby, że to zmartwychpowstały dwie słynne akademie minionego stulecia. Dla Renza natomiast było to zagadnienie bardzo żywotne, boć trudno mu było jako pojedynczemu człowiekowi powiedzieć sobie: „Na cóż wybierać? Popierajmy jedno i drugie. Środki, w gruncie rzeczy, są te same; przemysł i rolnictwo — to jak dwie nogi; a wiadomo, że lepiej się chodzi na dwóch nogach niż na jednej.”

Teraz pozostało już tylko spakować manatki i ruszyć w drogę: rodzina Tramaglino do nowej ojczyzny, wdowa do Mediolanu. Wiele było łez, podziękowań, obietnic wzajemnych odwiedzin. Niemniej serdeczne chociaż bez łez było pożegnanie Renza i jego rodziny z przyjacielem, który gościł go u siebie. Nie sądzicie też, że zimne było rozstanie z don Abbondiem. Ci zacni ludzie zachowali, mimo wszystko, pewne przywiązanie i nawet coś w rodzaju szacunku dla swego proboszcza; a i on w gruncie rzeczy zawsze ich lubił. Tylko ten niegodziwy świat potrafi zmacić każde przywiązanie.

Może kto zapyta, czy wcale nie czuli żalu odchodząc z rodzinnych stron, daleko od ulubionych gór? Czuli go z pewnością. Boć ostatecznie żal i ból wszędzie się kryją po trosze. Widocznie jednak nie był on bardzo dojmujący, bo ostatecznie mogliby go sobie oszczędzić teraz, kiedy obie groźby — don Rodrigo i wyrok — przestały istnieć. Ale w ostatnich czasach przywykli wszyscy troje uważać kraj,

do którego się wybierali, za swoją nową ojczyznę. Renzo wzbudził w obu niewiastach życzliwość dla niego opowiadając wiele o dostatku, jaki tam czekał na dobrych rzemieślników, i w ogóle o pięknym tamtejszym życiu. Zresztą, wszyscy przeszli wiele gorzkich chwil w tym kraju, który mieli teraz opuścić. A smutne wspomnienia zawsze w końcu rzucają cień na miejsca, z którymi są związane. A jeżeli to jest nasze miejsce rodzinne, tym ostrzejszy i bardziej dojmujący jest ból takich wspomnień. Nawet niemowlę, powiada nasz anonim, rade spoczywa na łonie piastunki, chciwie i ufnie szukając piersi, która go do tej pory karmiła; ale jeśli mamka, chcąc dziecinę odzwyczaić, natrze pierś piolunem; maleństwo cofa usteczka, spróbuje może raz jeszcze, ale wreszcie odsunie się od piersi: z płaczem, ale się przecież odsunie.

Ale cóż powiecie na to, że zaledwie przybyli i zadowolili się nieco w nowej ojczyźnie, Renzo znalazł tam nowe zupełnie troski i zmartwienia? Niewielkie, to prawda. Ale czyż wiele potrzeba, by zamącić ludziom szczęście? Oto, w paru słowach, rzecz cała:

Na długo przed przybyciem Lucji dużo się o niej w tamtej okolicy mówiło. Wiedziano, że Renzo wiele dla niej przecierpiał, że zawsze był wierny, zawsze niezłomny. Może też jakieś słówko niezupełnie bezstronnego przyjaciela, odnoszącego się z podziwem do Renza i wszystkich spraw jego, obudziło przesadne zainteresowanie osobą Lucji i kazało się po niej spodziewać nazbyt wielkiej urody. A wiecie, jak to bywa z takim spodziewaniem: jest łatwowieczne, pełne imaginacji i pewne siebie, a kiedy oczekiwany obiekt się pojawi, staje się trudne, wymagające, wybredne; nigdy

nie znajduje tyle, ile szukało, bo w gruncie rzeczy nie wie, czego chciało. Bez miłosierdzia odbiera swą łaskę, którą przedwcześnie i ponad zasługę szafowało. Toteż kiedy owa wyczekiwana Lucja przybyła, wielu takich, którzy widać wyobrażali sobie, że musi ona mieć włosy ze szczerego złota, lica z płatków różanych, oczy jedno od drugiego piękniejsze i czy ja wiem co jeszcze? — zaczęło wzruszać ramionami, kręcić nosem i mówić: — To ma być ta? Po takim czekaniu, tylu opowieściach spodziewał się człek czegoś lepszego. I któż to taki? Zwykła wieśniaczka. Takich jak ona i ładniejszych jest wszędzie dość.

Zaczynali przyglądać jej się bacznie, odkrywali taką czy inną niedoskonałość; znaleźli się nawet tacy, którzy uznali ją za zupełnie brzydką.

Że jednak nikt nie wygłaszał tej krytyki Renzowi prosto w oczy, nie było w tym nic tak dalece groźnego. Zamętu narobili dopiero ci, którzy pospieszyli mu to wszystko powtórzyć. A Renzo — cóż chcecie? — poczuł się tym do żywego dotknięty. Zaczął się zżymać i złościć w rozmowie z innymi, a jeszcze bardziej sam przed sobą.

— A wam co do tego? Kto wam kazał czegoś się spodziewać? Czym ja kiedy coś takiego mówił? Czym wmawiał w was, że jest piękna? A kiedyście wy sami o tym gadali, czym nie odpowiadał zawsze tyle jeno, że dobra z niej dziewczyna? Wieśniaczka! Czym wam tu obiecywał sprowadzić księżniczkę? Nie podoba się wam? To na nią nie patrzcie! Macie tu pod dostatkiem pięknych niewiast, im się przypatrujcie.

I popatrzcie tylko, jak takie głupstwo może zaważyć na całym życiu człowieka. Gdyby Renzowi przyszło spędzić swoje życie aż do końca w tej miejscowości, jak to z początku zamierzał, byłoby to życie wcale niewesołe. Tyle mu robiono przykrości, że i on stał się w końcu przykry. Był opryskliwy dla wszystkich, boć każdy mógł być jednym z owych, co tak krytykowali Lucję. Nie mówię, żeby przekraczał prawa obyczajności; ale wiecie sami, ile rzeczy można wyczyniać nie obrażając dobrych obyczajów: nawet flaki z siebie wypruć. W każdym jego słowie brzmiała jakaś sardoniczna nuta, wszędzie znajdował coś do skrytykowania, tak dalece, że jeśli dwa dni z rzędu była brzydka pogoda, mówił zaraz pogardliwie: „Ech, pewnie, w tym kraju...” Wkrótce niejednemu obrzydł ze szczętem, i to nawet takim, którzy go dawniej szczerze lubili. Mało brakowało, by znalazł się na stopie wojennej z całą ludnością, sam nie wiedząc, skąd się wziął początek tej wrogości.

Ale rzec by można, że dżuma wzięła sobie za cel zaradzić wszelkim strapieniom Renza na tym świecie. Pochłonęła ona wśród innych ofiar właściciela pewnej tkalni położonej niemal u bram Bergamo. Spadkobierca jego, lekkomyślny młodzieniec, który w tej fabryce nie znajdował nic dla siebie pociągającego, zdecydowany był, a nawet wręcz palił się do tego, by ją sprzedać, choćby za pół ceny. Ale

pieniądze musiał mieć natychmiast, bo spieszno mu było wydawać je w sposób jak najmniej użyteczny. Rzecz ta doszła do uszu Bortola; czym prędzej wybrał się obejrzeć fabrykę, omówił warunki; korzystniejsze trudno byłoby sobie wyobrazić; wszystko jednak psuł ten jeden: natychmiastowa spłata, bo całe długo i mozolnie, kosztem wielu wyrzeczeń gromadzone oszczędności Bortola dalekie były jeszcze od potrzebnej sumy. Bortolo poprosił tamtego o krótką zwłokę, wrócił spiesznie do domu, opowiedział rzecz krewniakowi i zaproponował mu spółkę. Ta kusząca propozycja przecięła od razu wszelkie wątpliwości ekonomiczne Renza, przechylając decyzję na stronę przemysłu. Zgodził się, razem udali

się do właściciela i zawarli umowę. Kiedy wkrótce potem nowi właściciele sprowadzili się i osiedli na swoim, Lucja, której tam nikt nie oczekiwał jak dziwowiska, nie tylko nie stała się przedmiotem krytyki, ale przeciwnie, bardzo się spodobała. Nieraz też dochodziło do uszu Renza, jak jedni drugich pytali: „Czyś widział już tę piękną kiepkę, co tu przybyła?” Przymiotnik czynił ów niepiękny rzeczownik zupełnie łatwym do przelknięcia.

A nawet przykrości, jakich zaznał w dawnym miejscu pobytu, stały się dlań pożyteczną nauką. Był zawsze dość pochopny w sądach i skłonny do krytyki zarówno cudzych żon, jak i wszystkiego innego. Teraz zrozumiał, że słowa inaczej brzmią w ustach, a inaczej w uchu. Nabrał więc pożytecznego zwyczaju przysłuchiwania się własnym słowom w duchu, zanim je wypowiedział.

Nie myślcie zresztą, że na tym nowym miejscu życie płynęło już zupełnie beztróska. Człowiek (powiada nasz anonim, a znacie już z doświadczenia jego przedziwne upodobanie do porównań; wybaczcie mu jeszcze to jedno, będzie już bowiem ostatecznie), człowiek, dopóki nie zejdzie z tego świata, jest jak chory, który leżąc na mniej lub więcej niewygodnym łóżku widzi dokoła siebie inne łóżka i wydają mu się one dobrze zaścielone, równe, gładkie; myśli sobie, jak dobrze byłoby mu na którymś z tamtych łóżek. Ale niech mu się uda przenieść na inne, zaledwie się na nim ułoży, zaczyna się kręcić, czuje tu jakiś pręt, co go kłuje, tam sęk w desce, co go uciska; w sumie wzięwszy nie lepiej się ma niż przedtem. Dlatego też — konkluduje anonim — więcej trzeba myśleć o tym, by do

brze czynić, niż by dobrze się mieć, a tym sposobem najłatwiej osiągnie się i to drugie. Porównanie wyciągnięte jest dość mozolnie, jak przystało na wiek siedemnasty, ale w gruncie rzeczy jest ono słuszne. Zresztą, jak mówi anonim dalej, strapienie i kłopotów tej miary jak wyżej w książce tej opisane — więcej już owa zacna rodzina nie zaznała. Życie jej płynęło od tej pory spokojnie, szczęśliwie, prawdziwie godne było zazdrości; tak dalece, że gdybym zechciał wam je opowiedzieć, znudziłbym was śmiertelnie.

Interesy szły doskonale. Z początku było trochę kłopotów w związku z brakiem robotników i z nadmiernymi żądaniami tych niewielu, którzy pozostali. Ogłoszone zostały dekry regulujące płacę robotników. Mimo tej „pomocy” sprawy z czasem jakoś się ułożyły, bo ostatecznie musiały się przecieź ułożyć. Z Wenecji nadesłano nowy dekret, nieco rozsądniejszy: zwalniał on na przeciąg lat dziesięciu od wszelkich podatków państwowych i obciążeń osobistych wszystkich cudzoziemców, jacy się na terytorium bergamskim osiedlą. Dla naszych znajomych była to nader pomyślna nowina.

Zanim rok od ślubu upłynął, przyszła na świat śliczna mała istotka; jak gdyby po to, by dać jak najprędzej Renzowi sposobność wypełnienia danej niegdyś obietnicy, była to dziewczynka. Jak się domyślacie, dano jej imię Maria. Z czasem przyszło ich jeszcze sporo obojej płci. Agnese ogromnie była zajęta niańczeniem jednego po drugim; nazywała je brzydalami i natychmiast wyciskała na ich buziach mnóstwo zamaszystych pocałunków, po których zostawały na dłuższą chwilę białe plamy. Wszystkie dzieci dobrze się zapowiadały, a Renzo obstawał przy tym, by każde umiało czytać i pisać, mówiąc, że skoro już takie bezceństwo wymyślono, to niechże z niego i oni skorzystają.

Pięknie było słuchać go, jak opowiadał swoje przygody. Zwykł był kończyć wyliczaniem, czego, się z tych przygód nauczył i co mu pomagało mądrzej kierować swoim dalszym życiem. „Nauczyłem się — mawiał — nie pchać się tam, gdzie jest zamieszanie, nie przemawiać na publicznych placach, nie pić za dużo, nie brać do ręki kołatki u drzwi, kiedy dokoła jest pełno szalonych; nauczyłem się także nie przyczepiać sobie dzwonka do nogi, dopóki nie

pomyśle, co z tego może wyniknąć." I wielu jeszcze podobnych rzeczy się nauczył.

Lucja jednak, choć nie widziała w tych naukach nic z gruntu fałszywego, czuła przecież, że czegoś w nich nie dostaje. Wielekroć słyszała tę samą opowieść i za każdym razem na nowo nad nią rozmyślała, aż raz tak do swego moralisty przemówiła:

— A ja, jak sądzisz, czegom się mogła nauczyć? Ja nie szukałam kłopotów po świecie, same do mnie przyszły. Chyba że powiesz — dokończyła uśmiechając się łagodnie — że głupstwo uczyniła pokochawszy cię i przyrzekłszy ci siebie.

Renzo w pierwszej chwili umilkł zaskoczony. Ale po długich wspólnych rozważaniach doszli do wniosku, że wprawdzie kłopoty często przychodzą dlatego, że się je wywołało, nie ma jednak takiej niewinności i takiej rozwagi, które byłyby zdolne utrzymać każde zmartwienie z daleka. A także, że skoro przyjdą strapienia, czy to zawinione, czy bez winy, ufność w Bogu położona potrafi je złagodzić i obrócić na pożytek nimi dotkniętego. Wniosek ten, jakkolwiek biedni i ciemni byli ci, którzy doń doszli, wydał nam się tak dalece słuszny, że postanowiliśmy umieścić go tutaj jako sens moralny całej powieści; jeśli się wam ona choć trochę podobała, pomyślcie życzliwie o tym, kto ją napisał, i o tym, kto ją wam w zmienionej nieco postaci ukazał. Jeśli natomiast znudziliśmy was, wierzcie, że nie było to uczynione z rozmysłem.